

STEVE BERRY

# WENECKA INTRYGGA

Niebezpieczna misja odnalezienia  
sekretne grobu Aleksandra Wielkiego



SERVIZIO  
GONDOLE



WYDAWCA  
KONWAL DZIADKI

STEVE BERRY

# WENECKA INTRYGGA

Z języka angielskiego przełożyła  
Daria Kuczyńska-Szymala



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:  
THE VENETIAN BETRAYAL

Copyright © 2007 by Steve Berry  
Copyright © 2009 for the Polish edition by Wydawnictwo  
Sonia Draga  
Copyright © 2009 for the Polish translation by Wydawnictwo  
Sonia Draga

Projekt graficzny okładki:  
Mariusz Banachowicz

Redakcja:  
Urszula Gardner

Korekta:  
Jolanta Olejniczak-Kulan, Joanna Rodkiewicz, Anna Gauza

ISBN: 978-83-7999-999-6

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.  
Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice  
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28  
e-mail: [info@soniadraga.pl](mailto:info@soniadraga.pl)  
[www.soniadraga.pl](http://www.soniadraga.pl)

E-wydanie  
2016

lesiojot

Dla Karert Elizabeth  
za podróż doskonałą

## PODZIĘKOWANIA

Przede wszystkim należą się Pam Ahearn, a przy okazji pewna uwaga: agent z nową wersją BlackBerry jest bardzo niebezpieczny. Poza tym jak zawsze całemu cudownemu zespołowi Random House: Ginie Centrello, mojemu wydawcy (co stwierdzam z wielką dumą), Libby McGuire za nieustanne wsparcie, Markowi Tavaniemu za jak zwykle świetną redakcję, Cindy Murray, która uwielbia wysyłać mnie gdzieś daleko, Kim Hovey, która jakimś cudem potrafi wszystkich do mnie przekonać, Rachel Kind, która rozsyła książki po całym świecie, Beck Stvan, doskonałej ilustratorce okładek, Carole Lowenstein oraz wszystkim pracownikom działu marketingu i sprzedaży, bez których niezwykłego wysiłku nic byśmy nie osiągnęli.

Dodatkowo chciałbym podziękować Vicki Satlow, naszej agentce literackiej we Włoszech, która zadbała o efektywność mojej podróży do Włoch, Michele'owi Benzoniemu i jego żonie, Leslie, którzy ugościli nas w Wenecji, Cristinie Cortese, która pokazała nam Bazylikę Świętego Marka i podzieliła się bezcennymi informacjami, całemu cudownemu zespołowi wydawnictwa Nord we Włoszech oraz Damaris Corrigan, wspaniałej damie, która pewnego wieczoru przy kolacji pobudziła moją wyobraźnię.

Serdecznie wam wszystkim dziękuję.

Dziękuję także mojemu bratu Bobowi, jego żonie Kim, córce Lyndsey i synowi Grantowi, którym od dawna należy się szczególna wzmianka. To mało powiedziane, ale wszyscy jesteście dla mnie bardzo ważni.

Na koniec chciałbym zadedykować tę książkę mojej żonie w podziękowaniu za ostatnich kilka miesięcy. Obserwowała, jak ta powieść z ogólnego zamysłu przemienia się w kolejne zapisane strony. W trakcie całego procesu była dla mnie źródłem wsparcia, cennych uwag i zachęty.

*Znój i niebezpieczeństwa to cena chwały,  
lecz to wspaniała rzecz żyć z wielką odwagą  
i umrzeć w wieczystej chwale.*

**Aleksander Wielki**

*Boskim prawem szaleńców jest nie dostrzegać zła,  
które tkwi tuż przed ich nosami.*

**Anonimowy duński dramatopisarz**

## **RAMY CZASOWE - ISTOTNE WYDARZENIA HISTORYCZNE**

**20 lipca 356 p.n.e.** - Narodziny Aleksandra Wielkiego.

**336 p.n.e.** - Filip II zostaje zamordowany. Aleksander zostaje królem.

**334 p.n.e.** - Aleksander wkracza do Azji Mniejszej i rozpoczyna serię podbojów.

**Wrzesień 326 p.n.e.** - Kampania azjatycka kończy się w Indiach buntem armii Aleksandra. Aleksander powraca na Zachód.

**Październik 324 p.n.e.** - Śmierć Hefajstiona.

**10 czerwca 323 p.n.e.** - Aleksander umiera w Babilonie. Generałowie dzielą między siebie jego imperium. Ptolemeusz obejmuje władzę w Egipcie.

**321 p.n.e.** - Kondukt pogrzebowy Aleksandra wyrusza do Macedonii. Ptolemeusz napada na procesję, a ciało Aleksandra trafia do Egiptu.

**305 p.n.e.** - Koronacja Ptolemeusza na faraona.

**283 p.n.e.** = Śmierć Ptolemeusza.

**215 p.n.e.** - Ptolemeusz IV wznosi Somę, by umieścić tam szczątki Aleksandra.

**100 n.e** - Św. Marek umiera męczeńską śmiercią w Aleksandrii, a jego ciało zostaje ukryte.

**391 n.e.** - Soma zostaje zniszczona, a szczątki Aleksandra Wielkiego znikają.

**828 n.e.** - Ciało św. Marka zostaje wykradzione z Aleksandrii przez weneckich kupców, którzy przewożą je do Wenecji i umieszczają w Pałacu Dożów. Z czasem miejsce jego przechowywania zostaje zapomniane.

**Czerwiec 1094 n.e.** - Ciało św. Marka znów pojawia się w Wenecji.

**1835 n.e.** - Ciało św. Marka zostaje przeniesione z krypty pod główny ołtarz bazyliki pod jego wezwaniem.



## PROLOG

### **BABILON, MAJ 323 R. P.N.E.**

ALEKSANDER MACEDOŃSKI PODJĄŁ WCZORAJ DECYZJĘ, ŻE SAM ZABIJE tego człowieka. Zwykle zlecał wykonanie takich zdań podwładnym, ale nie dziś. Ojciec nauczył go wielu rzeczy, które bardzo mu się przydały, a jedną z jego lekcji zapamiętał szczególnie dobrze.

Egzekucje są dla żywych.

Wokół stało sześciuset jego najlepszych żołnierzy. Nieustraszeni wojownicy, którzy bitwa za bitwą rzucali się prosto na szeregi wroga lub z poświęceniem bronili najsłabszej flanki. To dzięki nim niezniszczalna macedońska falanga zdobywała Azję. Ale dziś nie będzie walki. Żaden z żołnierzy nie miał na sobie zbroi i nie trzymał broni. Choć zmęczeni, zebrali się tutaj w lekkim odzieniu, a ich czujne oczy spoglądały spod czapek.

Aleksander również przyglądał się tej scenie bardzo zmęczonymi oczami.

Był przywódcą Macedonii i Grecji, panem Azji, władcą Persji. Niektórzy nazywali go królem świata. Inni bogiem. Jeden z jego dowódców stwierdził kiedyś, że jest jedynym filozofem wśród wojskowych.

Lecz Aleksander był też człowiekiem.

A jego ukochany Hefajstion leżał martwy.

Był dla niego wszystkim: jego zaufanym, dowódcą kawalerii, wielkim wezyrem i kochankiem. Gdy Aleksander był dzieckiem, Arystoteles nauczył go, że przyjaciel jest dla człowieka niczym drugie ja, i tym właśnie był dla niego Hefajstion. Z przyjemnością przypominał sobie, jak kiedyś wzięto Hefajstiona za niego samego. Ta pomyłka spowodowała

ogólne zakłopotanie, lecz Aleksander tylko się uśmiechnął i stwierdził, że nic nie szkodzi, bo przecież Hefajstion „też jest Aleksandrem”.

Zsiadł z konia. Dzień był ciepły i słoneczny. Wiosenny deszcz przestał padać. Znak? Możliwe.

Przez dwanaście lat podążał na wschód, zdobywając Azję Mniejszą, Persję, Egipt i tereny Indii. Teraz planował wyprawę na południe i zdobycie Arabii, a następnie wyruszenie na zachód do Afryki Północnej, na Sycylię i do Iberii. Już zgromadził statki i wojska. Wkrótce wymarsz, ale najpierw musi załatwić sprawę niespodziewanej śmierci Hefajstiona.

Przeszedł po miękkiej ziemi, a jego sandały zapadały się w świeżym błocie.

Chodził szybkim krokiem i równie szybko mówił. Jego niewysokie, krępe i jasne ciało nosiło ślady niezliczonych ran. Po albańskiej matce odziedziczył prosty nos, krótki podbródek i usta, które nie potrafiły skrywać emocji. Podobnie jak jego żołnierze był gładko ogolony. Jego jasne włosy były potargane, a oczy, jedno niebieskoszare, a drugie brązowe, zawsze czujne. Chłubił się swoją cierpliwością, lecz ostatnio z coraz większym trudem opanowywał złość. Lubił czuć, że wzbudza strach.

- Medyku - powiedział cichym głosem, podchodząc bliżej - ponoć najlepsi prorocy to ci, którzy najtrafniej zgadują.

Mężczyzna nie odpowiedział. Przynajmniej znał swoje miejsce.

- To z Eurypidesa. Z mojej ulubionej sztuki. Ale od proroków oczekuje się czegoś więcej, nie uważasz?

Nie sądził, że Glaukus odpowie. Wytrzeszczone oczy medyka wyrażały jedynie przerażenie.

I słusznie. Wczoraj, gdy jeszcze padał deszcz, za pomocą koni przygięto do ziemi pnie dwu wysokich palm. Przywiązano je, a następnie spleciono sznury w prosty węzeł i przymocowano do kolejnej potężnej palmy. Teraz w centrum litery V utworzonej przez drzewa znajdował się medyk, a oba jego ramiona przytroczono do sznurów. Aleksander trzymał w ręku miecz.

- Twoim obowiązkiem było zgadnąć jak najtrafniej - rzucił przez zaciśnięte zęby, a jego oczy wypełniły łzy. - Dlaczego go

nie uratowałeś?

Medyk szcząkał zębami ze strachu.

- Próbowałem.

- Niby jak? Przecież nie podałeś mu mikstury.

Przerażony Glaukus potrząsnął głową.

- Kilka dni temu zdarzył się wypadek. Rozlała się większość zapasu. Wysłałem posłańca po nową dostawę, ale nie zdążył wrócić przed... ostatnią fazą choroby.

- Czy nie nakazano ci, byś zawsze trzymał duży zapas mikstury?

- Tak robiłem, mój panie. To był wypadek... - Medyk zaczął szlochać.

Aleksander zignorował jego łzy.

- Ustaliliśmy przecież, że nie chcemy, żeby znowu zdarzyło się to co ostatnim razem.

Wiedział, że medyk pamięta, jak to było dwa lata temu, gdy on i He-fajstion zachorowali na gorączkę. Wtedy również skończyły się zapasy, ale udało się zdobyć więcej mikstury, która uleczyła ich obu.

Strach skapywał z czoła Glaukusa. Jego przerażony wzrok błagał o litość. Ale Aleksander widział tylko martwe spojrzenie swojego kochanka. W dzieciństwie obaj byli uczniami Arystotelesa: Aleksander, syn króla, i Hefajstion, syn wojownika. Zbliżyli się do siebie dzięki wspólnej fascynacji Homerem i *Iliadę*. Hefajstion był dla Aleksandra niczym Patrokles dla Achillesa. Zepsuty, nadęty, złośliwy i do tego nie najmądrzejszy, ale i tak cudowny. A teraz go nie ma.

- Czemu pozwoliłeś mu umrzeć?

Jego słowa docierały tylko do Glaukusa. Ustawił żołnierzy w takiej odległości, by wszystko widzieli, ale niekoniecznie słyszeli. Pierwsi wojownicy, którzy razem z nim wkroczyli do Azji, Grecy, w większości albo nie żyli, albo zakończyli już służbę. Perscy rekruci, zwerbowani do wojska po tym, jak zdobył ich kraj, stanowili teraz trzon jego armii. Dobrzy żołnierze, bez wyjątku.

- Jesteś moim medykiem - powiedział szeptem. - Zawierzyłem ci własne życie. I życie wszystkich tych, którzy są mi drodzy.

Lecz ty mnie zawiodłeś. - Opanowanie zaczęło ustępować rozżaleniu i Aleksander musiał walczyć ze łzami. - Przez jakiś wypadek.

Położył miecz płasko na naprężonych sznurach.

- Błagam, mój panie. Błagam cię. To nie moja wina. Nie zasłużyłem na to.

Aleksander wpatrywał się w medyka.

- Nie twoja wina? - Jego żal natychmiast przerodził się w gniew. - Jak możesz mówić coś takiego? - uniósł miecz. - Twoim obowiązkiem było mu pomóc.

- Mój panie. Potrzebujesz mnie. Poza tobą tylko ja wiem o tej miksturze. Jeśli będzie potrzebna, a ty będziesz zbyt chory, kto ci ją poda? - Mężczyzna mówił bardzo szybko. Chwytał się każdej szansy.

- Można kogoś przyuczyć.

- Ale to wymaga wiedzy, umiejętności.

- Twoje umiejętności nie pomogły Hefajstionowi. Nie skorzystał z twojej rozległej wiedzy. - Słowa z łatwością formowały się w głowie Aleksandra, ale wypowiadał je z trudem. W końcu zebrał się na odwagę i raczej do siebie niż do swojej ofiary powiedział: - On umarł.

Okres spędzony poprzedniej jesieni w Ekbatanie miał być jednym wielkim widowiskiem, festiwalem na cześć Dionizosa z zawodami atletów, muzyką i trzema tysiącami aktorów i innych artystów, którzy właśnie dotarli z Grecji, by zabawić armię Aleksandra. Pijaństwo i zabawa miały trwać tygodniami, ale hulanka skończyła się, gdy Hefajstion zachorował.

- Mówiłem mu, żeby nie jadł - powiedział Glaukus. - Ale on to zignorował. Jadł drób i pił wino. Mówiłem, żeby tego nie robił.

- Powinieneś być przy nim czuwać! A ty gdzie byłeś? - zapytał Aleksander, ale nie czekał na odpowiedź. - W teatrze. Oglądałeś przedstawienie, gdy mój Hefajstion leżał na łożu śmierci.

On sam był wtedy na stadionie, by obserwować wyścigi, i teraz poczucie winy jeszcze bardziej wzmocniło jego gniew.

- Gorączka, mój panie. Wiesz, jaką ma moc. Przychodzi nagle i zwala z nóg. Nie wolno jeść żadnego jedzenia. Wiemy to od poprzedniego razu. Gdyby się powstrzymał, zyskalibyśmy czas i

zapas mikstury zdążyłby dotrzeć.

- Powinieneś tam być - krzyknął i zorientował się, że słyszą go żołnierze. Opanował się i niemal szeptem rzekł: - I mikstura też powinna tam być.

Zauważył jakiś niepokój wśród żołnierzy. Musiał odzyskać kontrolę. Co mówił Arystoteles? „Król przemawia wyłącznie czynami”. To dlatego zerwał z tradycją i nakazał zabalsamować ciało Hefajstiona. Nawiązując do prozy Homera, kazał ściąć koniom grzywy i ogony, tak jak uczynił to Achilles po śmierci Patroklesa. Zakazał gry na wszelkich instrumentach i wysłał posłańców do wyroczni Amona, by wskazano, jak najlepiej uczcić pamięć jego ukochanego. A potem, by ukoić swój żal, zaatakował Kasytów i wybił cały naród, składając w ten sposób ofiarę blednącemu cieniowi swego umiłowanego Hefajstiona.

Zawładnął nim wtedy gniew.

I wciąż nim kierował.

Gwałtownym ruchem uniósł miecz i zatrzymał go tuż przy pokrytej brodą twarzą Glaukusa.

- Znowu mam gorączkę - wyszeptał.

- W takim razie będziesz mnie potrzebować, mój panie. Mogę ci pomóc.

- Tak jak pomogłeś Hefajstionowi?

Choć minęły już trzy dni, wciąż miał przed oczami stos pogrzebowy Hefajstiona. Wysoki na pięć pięt, o podstawie długości czterystu łokci, ozdobiony pozłocanymi orłami, dziobami statków, lwami, wołami i centaurami. Posłowie z całego śródziemnomorskiego świata przybyli, by patrzeć, jak płonie.

A wszystko to przez niekompetencję tego człowieka.

Wywinął mieczem młynka.

- Nie będę potrzebować twojej pomocy.

- Nie, błagam! - zawołał Glaukus.

Aleksander zaczął przecinać napięte liny ostrzem. Każde uderzenie zdawało się uwalniać go z gniewu. Zamachnął się na ostatni węzeł. Sznury uwalniały się z trzaskiem, jakby łamano kości. Jeszcze jedno uderzenie i miecz przeciął ostatnie więzy. Dwie palmy, do których przywiązany był Glaukus, uwolnione z

lin, wystrzeliły w górę, jedna w lewą stronę, druga w prawą.

Medyk krzyknął, gdy jego ciało na moment zatrzymało ruch drzew, a potem jego ramiona oderwały się od tułowia, a klatkę piersiową zalała kaskada krwi.

Liście palm zaszumiały niczym wodospady, a pnie jęknęły z wysiłku.

Ciało Glaukusa opadło z głuchym odgłosem na miękką ziemię, gdy jego ramiona i część klatki piersiowej wciąż kołysały się na palmach. Gdy drzewa uspokoiły się, ponownie zapadła cisza. Żaden z żołnierzy nie wydał z siebie najłżejszego dźwięku.

Aleksander odwrócił się do swoich żołnierzy i zawołał:

- Alalalalai!

Jego ludzie powtórzyli macedoński okrzyk wojenny, a ich glosy zadudniły na wilgotnej równinie i odbiły się od fortyfikacji Babilonu. Ludzie obserwujący to zdarzenie ze szczytów miejskich murów krzyknęli w odpowiedzi. Aleksander poczekał, aż hałas ucichnie, a potem zawołał:

- Nigdy go nie zapomnijcie.

Wiedział, że będą się zastanawiać, czy miał na myśli Hefajstiona, czy też nieszczęsnego człowieka, który właśnie zapłacił wysoką cenę za to, że zawiódł swojego króla.

Ale to nie miało znaczenia.

Już nie.

Wbił miecz w mokrą ziemię i wrócił do konia. Powiedział medykowi prawdę. Znów trawiła go gorączka.

A on się z tego cieszył.

# CZEŚĆ I

**JEDEN**

**KOPENHAGA, DANIA,  
SOBOTA 18 KWIETNIA, CZASY WSPÓŁCZESNE,  
GODZINA 23:55**

DZIWNY ZAPACH PRZYWRÓCIŁ Cottonowi Malone'owi świadomość. Ostry, drażniący, jakby z dodatkiem siarki i czegoś jeszcze. Słodki i mdlący. Niczym śmierć.

Otworzył oczy.

Leżał na podłodze na brzuchu, z rozrzuconymi ramionami i dłońmi ułożonymi płasko na podłodze. Od razu poczuł, że parkiet jest lepki.

Co się stało?

Był na kwietniowym spotkaniu Duńskiego Stowarzyszenia Antykwariuszy, które odbywało się kilka ulic od jego księgarni, niedaleko parku rozrywki Tivoli. Lubił te comiesięczne spotkania, a to nie było wyjątkiem. Parę drinków, kilkoro przyjaciół i mnóstwo gadania o książkach. Jutro rano miał się zobaczyć z Cassiopeią Vitt. Był zaskoczony, gdy wczoraj do niego zadzwoniła. Nie kontaktowała się z nim od Bożego Narodzenia, kiedy na kilka dni wpadła do Kopenhagi. Wracał do domu na rowerze, ciesząc się ciepłem wiosennej nocy, i nagle postanowił, że sprawdzi niezwykle miejsce, które wybrała na spotkanie - Muzeum Kultury Greków i Rzymian. Został mu taki nawyk ze starej pracy. Cassiopeia zwykle nie kierowała się impulsem, więc mały rekonesans nie zaszkodzi.

Gdy znalazł budynek muzeum, który stał nad kanałem Frederiksholms, zauważył, że drzwi do ciemnego wnętrza są

uchylone. Drzwi, które powinny być przecież zamknięte i podłączone do alarmu. Zaparkował rower. Zamknie chociaż te drzwi, a po powrocie do domu zadzwoni na policję.

Ostatnie, co zapamiętał, to moment, gdy chwycił gałkę od drzwi muzeum.

A teraz był w środku.

W słabym świetle przesączającym się przez dwa oszklone okna dostrzegł wnętrze urządzone w typowo duńskim stylu - eleganckie połączenie stali, drewna, szkła i aluminium. Poczul lupanie po prawej stronie głowy i rozmasował spory guz.

Otrząsnął się z otępienia i wstał.

Odwiedził już kiedyś to muzeum, a prezentowane w nim obiekty kultury materialnej Greków i Rzymian nie zrobiły na nim wrażenia. Była to jedna z ponad setki kopenhaskich prywatnych kolekcji, których tematyka wydawała się równie urozmaicona jak populacja zamieszkująca to miasto.

Wstał, opierając się o szklaną gablotę. Na palcach znowu poczuł lepka i cuchnącą substancję o przyprawiającym o mdłości zapachu.

Zauważył, że jego koszula i spodnie są wilgotne, podobnie jak włosy, twarz i ręce. Tajemnicza substancja, która pokrywała wnętrze muzeum, znajdowała się również na jego ciele.

Niepewnym krokiem ruszył do drzwi i spróbował je otworzyć. Zamknięte. Zamek z podwójną zasuwką. Musiałby mieć klucz, żeby otworzyć je od środka.

Odwrócił się w stronę holu muzeum. Był wysoki na dziesięć metrów. Wykonane z drewna i chromu schody prowadziły na piętro, które ginęło w jeszcze większych ciemnościach. Poniżej rozciągał się parter.

Znalazł włącznik światła. Bez efektu. Chwiejnym krokiem podszedł do stojącego na biurku telefonu. Brak sygnału.

Jakiś hałas zakłócił panującą we wnętrzu muzeum ciszę. Malone usłyszał jakieś klikania i szmery, niczym dźwięki wydawane przez pracujące tryby. Dochodziły z piętra.

Jako wyszkolony agent Departamentu Sprawiedliwości wiedział, że należy zachować ostrożność, ale czuł jednocześnie, że musi to sprawdzić.



Po cichu ruszył schodami w górę.

Chromowana balustrada była tak samo wilgotna jak każdy stopień schodów. Pokonał piętnaście stopni i ujrzał kolejne gabloty z chromu i szkła rozsiane po parkiecie. Marmurowe reliefy i odlewy z brązu przypominały duchy. Jakiś ruch w odległości około ośmiu metrów przyciągnął jego uwagę. Coś toczyło się po podłodze. Półmetrowej szerokości obiekt o zaokrąglonych brzegach i jasnej barwie poruszał się tuż przy podłodze. Przypominał automatyczną kosiarkę do trawy, jaką widział kiedyś w reklamie. Kiedy tajemnicze urządzenie natykało się na gablotę lub posąg, zatrzymywało się, cofało, a następnie ruszało w innym kierunku. U góry wystawał z niego rodzaj dyszy, za pomocą której automat co kilka sekund rozpylał jakąś substancję.

Malone podszedł bliżej.

Urządzenie przestało się poruszać. Jakby wyczuło jego obecność. Dysza skierowała się w jego stronę. Chmura aerozolu zmoczyła mu spodnie.

Co to jest?

Automat jakby stracił zainteresowanie i popędził w głąb ciemności, rozsiewając po drodze coraz więcej cuchnącej mgiełki. Malone spojrział znad poręczy na parter i zauważył jeszcze jedno urządzenie stojące obok szklanej gabloty.

Nie wyglądało to dobrze.

Musi się stąd wydostać. Od ostrego odoru zaczął go boleć brzuch.

Automat zakończył swoją wędrówkę, a Malone usłyszał jakiś nowy dźwięk.

Dwa lata temu, przed rozwodem, odejściem z rządowej agencji i nagłą przeprowadzką do Kopenhagi, kiedy mieszkał jeszcze w Atlancie, wydał kiedyś kilkaset dolarów na grill ze stali nierdzewnej. Był on wyposażony w czerwony przycisk, przy użyciu którego rozpalało się gazowy płomień. Przypomnił sobie dźwięk, który wydawał zapalnik po każdym naciśnięciu przycisku.

Dokładnie taki dźwięk usłyszał teraz.

Rozbłysły iskry.

Podłoga ożyła barwami, najpierw słoneczną żółcią, potem ciemnym pomarańczem, a na koniec bladym błękitem, gdy płomień jęły rozchodzić się na wszystkie strony, trawiąc drewniany parkiet. Jednocześnie ogień zaczął wspinać się po ścianach. Temperatura gwałtownie wzrosła, więc Malone uniósł ramię, by osłonić twarz. Strop również już się palił i w ciągu mniej niż piętnastu sekund całe piętro stało w ogniu.

Czujniki przeciwpożarowe zadziałały i umieszczone na suficie spry-skiwacze trysnęły wodą.

Malone zszedł kilka stopni na dół i czekał, aż ogień zostanie ugaszony.

Ale coś było nie tak.

Woda wzniewiała jeszcze większy pożar.

Urządzenie, które wywołało całą katastrofę, nagle rozpadło się z delikatnym błyskiem, wzbudzając nowe płomień, a te rozeszły się we wszystkie strony niczym fale zmiierzające do brzegu.

Masa ognia unosiła się coraz wyżej, jakby cieszyła się ze spotkania z rozpryskiwaną wodą. Powietrze zrobiło się gęste od pary. Nie był to zwykły dym, tylko jakaś substancja chemiczna, od której kręciło mu się w głowie.

Zeskoczył w dół, biorąc po dwa schodki naraz. Z piętra doszedł go kolejny szum. A potem jeszcze dwa. Usłyszał pękające szkło. I jakiś rumor.

Podbiegł do ściany frontowej budynku.

Drugi automat, który tkwił w uśpieniu, nagle ożył i zaczął krążyć wokół gablot na parterze.

Wypuszczał coraz więcej cuchnącej mgielki w rozpalone powietrze.

Malone musiał się wydostać. Ale zamknięte drzwi wejściowe otwierały się do środka. Metalowa framuga, grube drewno. Nie miał szans ich wyważyć. Patrzył, jak ogień spływa po schodach, pożerając kolejne schodki niczym diabeł idący mu na spotkanie. Nawet chrom nie miał z nim szans.

Malone z trudem oddychał z powodu gwałtownie zmniejszającej się ilości tlenu w tej chemicznej mgle. Na pewno ktoś zadzwoni po straż pożarną, ale to mu nie pomoże.

Wystarczy, że jedna iskra spadnie na jego nasiąknięte ubranie...

Płomienie dotarły do dołu schodów.

Były trzy metry od niego.

**WENECJA, WŁOCHY,  
NIEDZIELA 19 KWIETNIA,  
GODZINA 12:15**

ENRICO VINCENTI, WPATRUJĄC Się W OSKARŻONEGO,  
ZAPYTAŁ:

- Masz coś do powiedzenia Radzie?

Mężczyzna z Florencji wydawał się nie przejmować pytaniem.

- Wypchajcie się razem z tą waszą Ligą.

Vincenti wydawał się zaintrygowany.

- Najwyraźniej wydaje ci się, że możesz nas lekceważyć.

- Mam przyjaciół, grubasie. - Florentczyk wydawał się dumny z tego faktu. - Mnóstwo przyjaciół.

Vincenti wyjaśnił mu sytuację:

- Twój przyjaciele nas nie interesują. Ale twoja zdrada jak najbardziej.

Florentczyk ubrał się odpowiednio do okazji. Miał na sobie drogi garnitur od Zanettiego, koszulę od Charveta, krawat od Prądy i oczywiście buty od Gucciego. Vincenti uświadomił sobie, że całość warta jest więcej niż roczny zarobek wielu ludzi.

- Powiem wam coś - stwierdził florentczyk. - Wyjdę stąd i zapomnimy o tym wszystkim... cokolwiek to miało być... A wy wróćcie do swoich zajęć... czymkolwiek się zajmujecie.

Żadna z dziewięciu osób siedzących obok Vincentiego nie wypowiedziała ani jednego słowa. Ostrzegał ich przed arogancją florentczyka.

Zatrudnili go, żeby wykonał pewną robotę w Azji Środkowej. Zlecenie to Rada uważała za niezwykle istotne. Niestety, florentczyk zmodyfikował je, by nasycić swą chciwość. Na szczęście podstęp został wykryty i przedsięwzięto odpowiednie

środki zaradcze.

- Sądzisz, że twoi wspólnicy staną po twojej stronie? - zapytał Vin-centi.

- Chyba nie jesteś aż tak naiwny, grubasie? Przecież to oni kazali mi to zrobić.

Vincenti po raz kolejny zignorował aluzję do swojej tuszy.

- Oni twierdzą coś innego.

Owi wspólnicy to międzynarodowe konsorcjum przestępcze, z którego usług Rada wielokrotnie dotąd korzystała. Florentczyk został przez nich zatrudniony i Rada przymknęła oko na planowane przez konsorcjum oszustwo, by skupić się na stojącym teraz przed nią kłamcy. W ten sposób wysłała jednocześnie wyraźny sygnał do konsorcjum. Już anulowano zaległą płatność i zwrócono Radzie spory depozyt. W przeciwieństwie do florentczyka jego wspólnicy doskonale wiedzieli, z kim mają do czynienia.

- Co o nas wiesz? - zapytał Vincenti.

Włoch wzruszył ramionami.

- Banda bogaczy, którzy lubią się zabawić.

Brawura florentczyka rozbawiła Vincentiego. Stało za nim czterech uzbrojonych mężczyzn, co w pewnym stopniu tłumaczyło pewność siebie tego niewdzięcznika. Zgodził się przyjść tylko pod warunkiem, że będą mogli mu towarzyszyć.

- Siedemset lat temu - powiedział Vincenti - Wenecją rządziła Rada Dziesięciu. Byli to mężczyźni w wieku zbyt dojrzałym, by ulegać namiętnościom i pokusom, którzy odpowiadali za bezpieczeństwo publiczne oraz tłumienie opozycji politycznej. I tym właśnie się zajmowali. Przez wieki. W tajemnicy zbierali dowody, ogłaszali wyroki i wykonywali je, a wszystko to w imieniu weneckiego państwa.

- Myślisz, że interesują mnie wykłady z historii?

Vincenti położył ręce na kolanach.

- Powinny.

- To mauzoleum wygląda przygnębiająco. Należy do was?

To prawda, że willi brakowało uroku domu, który był kiedyś siedzibą rodziny, lecz pod tym dachem przebywali zarówno carowie, cesarze, ar-cyksiężęta, jak i inne koronowane głowy.

Nawet Napoleon spał w jednej z sypialni. Vincenti odpowiedział więc z dumą:

- Tak, ta willa należy do nas.
- Przydałby się dekorator wnętrz. Mogę już iść?
- Chciałbym dokończyć to, co zacząłem wyjaśniać.

Florentczyk machnął rękoma.

- Dawaj. Spać mi się chce.

- My również stanowimy Radę Dziesięciu. Podobnie jak pierwotna Rada zatrudniamy inkwizytorów, którzy zajmują się wypełnianiem naszej woli - skinieniem ręki przywołał trzech mężczyzn, a ci zbliżyli się z głębi salonu. - Podobnie jak było w przypadku tamtej Rady, nasze rządy również mają charakter absolutny.

- Nie jesteście rządem.

- Nie. Jesteśmy czymś zupełnie innym.

Ale florentczyk nadal pozostawał obojętny.

- Przyszedłem tutaj w środku nocy, ponieważ tak kazali mi moi współpracownicy. Nie zaimponujecie mi. Przyproceedłem tych czterech dla ochrony. Waszym inkwizytorom trudno będzie im cokolwiek narzucić.

Vincenti oparł się rękami o krzesło i wstał szybkim ruchem.

- Wydaje mi się, że należy coś wyjaśnić. Zatrudniono cię, byś wykonał pewne zadanie. Ty jednak postanowiłeś zmodyfikować zlecenie tak, by odpowiadało twoim własnym celom.

- Jeśli nie chcecie wyjechać stąd nogami do przodu, po prostu o tym wszystkim zapomnijmy.

Cierpliwość Vincentiego była na wyczerpaniu. Szczerze nie znosił tej części swoich oficjalnych obowiązków. Skinął ręką i czterech mężczyzn, którzy przyszli z głupim florentczykiem, chwyciło go i unieruchomiło.

Wyraz samozadowolenia na jego twarzy ustąpił zaskoczeniu.

Trzech mężczyzn przytrzymało go, podczas gdy czwarty pozbawiał go broni. Jeden z inkwizytorów podszedł i rolką szerokiej taśmy związał jego szamocące się ręce za plecami, a potem nogi w kolanach i kostkach. Następnie owinał mu taśmą twarz, zaklejając usta. Trójka osiłków rozluźniła chwyt i potężne ciało florentczyka z głuchym odgłosem wylądowało na

dywanie.

- Rada uznała cię za winnego zdrady wobec naszej Ligi - ogłosił Vincenti. Po raz kolejny skinął ręką, a wtedy otworzyły się podwójne drzwi.

Do salonu wjechała trumna z lakierowanego drewna z otwartym wiekiem. Oczy florentczyka rozszerzyły się, gdy zrozumiał, jaki czeka go los.

Vincenti podszedł bliżej.

- Pięćset lat temu zdrajców państwa zamurowano w pomieszczeniach znajdujących się nad Pałacem Dożów, które wznoszono z drewna i ołowiu, by poddać ich działaniu sił natury. Nazywano je trumnami

- przerwał, by jego słowa wybrzmiały. - To były straszne miejsca. Ci, którzy tam trafiali, w większości umierali. Ty zabrałeś nasze pieniądze, próbując jednocześnie jeszcze więcej zarobić dla siebie - pokręcił głową. - To niedopuszczalne. A tak przy okazji, twoi współnicy zdecydowali, że będziesz ceną, jaką zapłacą za zachowanie pokoju między nami.

Florentczyk zaczął walczyć z więzami z nową siłą, ale jego protesty zagłuszała taśma. Jeden z inkwizytorów wyprowadził z pokoju czterech mężczyzn, którzy z nim tutaj przybyli. Wykonali swoją pracę. Pozostałych dwóch inkwizytorów uniosło szamocący się pakunek i wrzuciło go do trumny.

Vincenti zajrzał do trumny i bez trudności odczytał wyraz oczu florentczyka. Bez wątplenia oszukał on Radę, ale robił tylko to, co kazał mu Vincenti, a nie współnicy. To Vincenti zmodyfikował zlecenie, a florentczyk stanął przed Radą tylko dlatego, że Vincenti zapewnił go na osobności, iż nie ma się czego obawiać. To miało być tylko takie przedstawienie. Żadnych problemów. Odegraj swoją rolę, a po godzinie będzie po sprawie.

- Grubasie, tak? - zapytał Vincenti. - *Arrivederci*.

I zatrzaskało wieko.

## KOPENHAGA

MALONE PATRZYŁ, JAK ZSTĘPUJĄCE PŁOMIENIE ZATRZYMUJĄ SIĘ w trzech czwartych wysokości schodów. Wydawało się, że nie pójdą dalej. Stał przed jednym z okien i rozglądał się za czymś, czego mógłby użyć do rozbicia szyby. Jedyne krzesła, które spostrzegł, znajdowały się zbyt blisko ognia. Drugi automat wciąż krążył po parterze, rozpryskując cuchnącą mgiełkę. Malone wolał nie ruszać się z miejsca. Mógł ściągnąć z siebie ubranie, ale jego skóra i włosy też nasiąknęły tajemniczą substancją.

Zaskoczyło go, gdy usłyszał trzy stuknięcia w szybę okna.

Odwrócił się i tuż przed sobą ujrzał wpatrującą się w niego znajomą twarz.

Cassiopeia Vitt.

Co ona tu robi? W jego oczach z pewnością widać było zaskoczenie, ale od razu przeszedł do rzeczy i krzyknął:

- Muszę się stąd wydostać!

Pokazała drzwi.

Splótl palce, pokazując, że są zamknięte.

Gestem nakazała mu, żeby się cofnął.

Gdy to robił, spod wędrującego automatu trysnęły iskry. Szybko podbiegł do niego i kopniakiem przewrócił go do góry nogami. Spód ustrojstwa zdobiły kółka i trybiki.

Usłyszał huknięcie, a potem kolejne i uświadomił sobie, co robi Cassiopeia.

Strzelała w okno.

A potem dostrzegł coś, czego nie zauważył przedtem. Na muzealnych gablotach leżały plastikowe torebki wypełnione przejrzystą cieczą.

Na szybie pojawiły się rysy.



Nie miał wyboru.

Zaryzykował zbliżenie się do ognia, chwycił jedno z krzeseł, które wcześniej zauważył, zamachnął się i uderzył nim w porysowaną szybę. Okno rozsypało się na drobne kawałki, a krzesło wypadło na ulicę.

Przewrócony automat zdołał się odwrócić.

Jedna z iskier rozbłysła i błękitne płomienie zaczęły pożerać parter, rozchodząc się we wszystkich kierunkach, także wprost na Malone'a.

Ruszył do przodu i wyskoczył przez okno, lądując na lekko ugiętych nogach.

Cassiopeia stała metr od niego.

Poczuł zmianę ciśnienia, gdy wybił okno. Znał się trochę na pożarach. Napływ dodatkowego tlenu właśnie wzmacnia płomienie. A na to nałożą się różnice ciśnienia. Strażacy nazywają ten efekt rozgorzeniem.

A do tego jeszcze te plastikowe torebki na gablotach.

Domyślał się, co zawierają.

Chwycił Cassiopeię za rękę i pociągnął ją na drugą stronę ulicy.

- Co ty wyprawiasz? - zapytała.

- Pora na kąpiel.

Z ceglanej balustrady zeskoczyli dokładnie w tym momencie, gdy muzeum zamieniło się w kulę ognia.

**SAMARKANDA,  
FEDERACJA ŚRODKOWOAZJATYCKA,  
GODZINA 5:45**

PREMIER IRINA ZOWASTINA POKLEPAŁA KONIA, PRZYGOTOWUJĄC SIĘ do gry. Uwielbiała jej się oddawać o świcie, w świetle budzącego się poranka, na polu pokrytym trawą mokrą od rosy. Uwielbiała też legendarne, pocące się krwią ogiery z Fergany, cenione już tysiące lat temu, kiedy wymieniano je z Chińczykami na jedwab. W swoich stajniach miała ponad setkę wierzchowców, które wykorzystywała zarówno w polityce, jak i dla przyjemności.

- Czy pozostali jeźdźcy są już gotowi? - zapytała stajennego.

- Tak, pani premier. Czekają na panią na polu.

Miała na sobie wysokie skórzane buty i pikowaną kurtkę, a pod spodem długi kaftan. Krótkie jasne włosy o srebrzystym połysku przykryła czapką z wilka, którego upolowaniem bardzo się chlubiła.

- Nie pozwólmy im czekać.

Wsiadła na konia.

Razem z nim już wielokrotnie zwyciężyła w *buzkaszi*, starożytnej grze rozgrywanej niegdyś na stepie przez ludzi, którzy żyli i umierali w siodłach. Grywał w nią z upodobaniem sam Czyngis-chan. Ale wtedy kobietom nie pozwalano nawet obserwować rozgrywki, a co dopiero w niej uczestniczyć.

Ona zmieniała te zasady.

Rumak o suchych nogach i szerokiej piersi uspokoił się, gdy pogładziła go po szyi.

- Cierpliwości, Bucefał, cierpliwości.

Nazwała go imieniem rumaka, który niósł na swym grzbiecie Aleksandra Wielkiego przez całą Azję, bitwa po bitwie. Ale

konie do *buzkaszi* były szczególnego rodzaju. Zanim mogły wziąć udział w pierwszej grze, szkolono je latami, by zdolne były wytrzymać panujący podczas gry chaos. Oprócz jęczmienia i owsa karmiono je masłem i jajami. W końcu, gdy zwierzę utył, nakładano mu ogłowie i siodłano, a potem na wiele dni wystawiano na słońce, by wytopić zbędny tłuszcz i nauczyć je cierpliwości. Uczono je też galopowania w ścisiku. Pochwalano agresję, ale kontrolowaną, tak by koń i jeździec działali jako jedna drużyna.

- Jest pani gotowa? - zapytał stajenny. Tadżyk, pochodzący z położonych na wschodzie gór, służył jej od blisko dziesięciu lat i był jedyną osobą, której pozwalała pomagać sobie w przygotowaniach do gry.

Poklepała się po piersi.

- Myślę, że jestem wystarczająco dobrze opancerzona.

Podbita futrem skórzana kurtka leżała na niej jak ulał, podobnie jak skórzane spodnie. Jej mocno zbudowana figura pozbawiona była kobiecości. Intensywnym ćwiczeniom i surowej diecie zawdzięczała dobrze umięśnione ramiona i nogi. Miała szeroką twarz i wyraziste rysy, które, podobnie jak ciemnobrązowe oczy, wskazywały na mongolskie pochodzenie. Zawdzięczała je matce, której rodzina pochodziła z dalekiej północy. Lata narzucanej sobie dyscypliny uczyniły z niej doskonałego słuchacza, lecz oszczędnego mówcę. Energia wręcz z niej promieniowała.

Wielu twierdziło, że federacja państw środkowoazjatyckich nigdy nie powstanie, ale ona udowodniła, że to możliwe. Nie istniały już Kazachstan, Uzbekistan, Kirgistan, Karakałpakstan, Tadżykistan i Turkmenistan. Piętnaście lat temu te były sowieckie republiki po krótkiej przygodzie z niepodległością połączyły się w ramach nowo powstałej Federacji Środkowoazjatyckiej. Dziewięć i pół miliona kilometrów kwadratowych, sześćdziesiąt milionów ludzi, olbrzymi obszar, który dorównywał Ameryce Północnej i Europie zarówno pod względem wielkości, jak i zasobów. Jej marzenie. A teraz rzeczywistość.

- Ostrożnie, pani premier. Chcieliby panią pokonać.

Uśmiechnęła się.

- To będą musieli ostro grać.

Rozmawiali po rosyjsku, choć oficjalnymi językami Federacji były teraz kazachski, tadżycki, turkmeński, kirgiski i perski. Jako ukłon w stronę wielu mieszkańców o słowiańskich korzeniach pozostawiono rosyjski jako język „międzyetnicznej komunikacji”.

Drzwi do stajni otworzyły się, a premier popatrzyła na płaskie pole, które rozciągało się na ponad kilometr. Dwudziestu trzech jeźdźców krążyło pośrodku pola wokół płytkiej dziury w ziemi. Leżał w niej *boz* - pozbawiony głowy, nóg i wnętrzości tułów kozła, który cały poprzedni dzień moczone w lodowatej wodzie, by stwardniał i zniósł to, co go czeka.

Na każdym końcu pola do gry wznosił się pomalowany w pasy słup.

Jeźdźcy wciąż krążyli. *Czapandazi*. Gracze tacy jak ona. Gotowi do walki.

Stajenny podał jej nahajkę. Setki lat temu do tych skórzanych rzemieni przywiązywano kulki z ołowiu. Współczesna wersja była łagodniejsza, ale i tak używano jej nie tylko do poganiania koni, lecz także do atakowania innych graczy.

Ujęła rączkę z kości słoniowej i poprawiła się w siodle.

Słońce właśnie wzniosło się ponad leżącymi na wschodzie lasami. Jej pałac był kiedyś rezydencją chanów, którzy panowali nad tymi obszarami do końca dziewiętnastego wieku, aż do przybycia Rosjan. Trzydzieści pokoi ozdobionych uzbeckimi meblami i orientalną porcelaną. Jej stajnie mieściły kiedyś harem. Dzięki łaskawości bogów tamte czasy już minęły.

Głęboko wciągnęła powietrze, które niesło w sobie słodki zapach nowego dnia.

- Będzie się dobrze grało - stwierdził stajenny.

Podziękowała mu za zachętę skinieniem głowy i przygotowała się do ruszenia w pole.

Ale cały czas dręczyła ją pewna myśl.

Co się dzieje w Danii?

## KOPENHAGA

VIKTOR TOMAS STAŁ W CIENIU PO DRUGIEJ STRONIE KANAŁU i obserwował płonący budynek muzeum. Odwrócił się do swojego towarzysza, ale nie musiał mówić tego, co było oczywiste.

Pojawiły się kłopoty.

To Rafael zaatakował intruza, a potem wciągnął pozbawionego przytomności do muzeum, jakimś cudem drzwi uchyliły się, gdy zakradli się już do wnętrza muzeum, i Viktor zauważył z piętra podejrzaną cień na ganku. Rafael, który pracował na parterze, zareagował natychmiast i przyczał się w odpowiedniej pozycji. To prawda, że powinien był po prostu poczekać i przekonać się co do intencji intruza. Ale on wciągnął tego człowieka do środka i walnął go w głowę jedną z rzeźb.

- Ta kobieta - powiedział Rafael. - Ona czekała tam z bronią. To nie wróży nic dobrego.

Viktor zgadzał się z nim. Długowłosa, zgrabna, ubrana w przylegający do ciała kombinezon. Gdy ogień zajął budynek, wyszła z jednej z uliczek i stanęła przy kanale. Kiedy mężczyzna pojawił się w oknie, wyciągnęła broń i zaczęła strzelać w szybę.

Tamten mężczyzna też stanowił problem.

Jasnowłosa, wysoki, muskularny. Rozbił szybę krzesłem, a potem wyskoczył przez okno z zaskakującą zręcznością, jakby robił to nie pierwszy raz. Od razu chwycił kobietę i oboje wskoczyli do kanału.

Straż pożarna przyjechała po kilku minutach, gdy oboje wyszli już z wody, i zaraz opatulono ich kocami. Żółwicy doskonale poradziły sobie z zadaniem. To Rafael tak je nazwał, bo pod wieloma względami przypominały żółwie i potrafiły nawet tak jak one przewrócić się z grzbietu na brzuch. Dzięki Bogu, nie

pozostaną po nich żadne szczątki. Każdy został wykonany z łatwopalnych materiałów, które wyparują w wysokiej temperaturze pożaru. Może każdy śledczy szybko wykryje, że to było podpalenie, ale nie będzie w stanie znaleźć żadnych śladów ani określić wykorzystanej metody.

Problem tylko w tym, że temu mężczyźnie udało się przeżyć.

- Będą z nim kłopoty? - zapytał Rafael.

Viktor wciąż obserwował walkę strażaków z ogniem. Mężczyzna i kobieta siedzieli na ceglany murku opatuleni kocami.

Wyglądało na to, że dobrze się znają.

To zaniepokoiło go jeszcze bardziej.

Odpowiedział więc na pytanie Rafaela w jedyny możliwy sposób.

- Bez wątpienia.



MAI.ONE DOCHODZIŁ DO SIEBIE. CASSIOPEIA KULIŁA SIĘ POD KOCEM obok niego. Z muzeum pozostały tylko zewnętrzne ściany. Ogień szybko strawił stary budynek. Strażacy wciąż pilnowali płomieni, koncentrując się na ograniczaniu zniszczeń. Jak dotąd nie zajął się żaden z sąsiednich budynków.

W powietrzu czuć było sadzę oraz inny zapach, słodko-gorzki, podobny do tego, który unosił się w muzeum. Dym płynął w górę, przesłaniając błyszczące gwiazdy na nocnym niebie. Potężny mężczyzna w pobrudzonym żółtym strażackim kombinezonie po raz drugi podszedł do nich ciężkim krokiem. Jeden z dowódców strażaków. Wcześniej jakiś policjant odebrał od nich zeznania.

- Jest tak, jak pan mówił o spryskiwaczach - powiedział dowódca strażaków po duńsku. - Nasza woda dodatkowo wzmacnia płomienie.

- W jaki sposób udało wam się w końcu nad tym zapanować? - zapytał Malone.

- Jak w zbiorniku pokazało się dno, wsadziliśmy węże do kanału i stamtąd pompowaliśmy wodę. Ta zadziałała.

- Słona woda? - Wszystkie kopenhaskie kanały łączyły się z morzem.

Strażak skinął głową.

- Powstrzymała ogień raz-dwa.

Malone zapytał:

- Znaleźliście coś w budynku?

- Żadnych mechanizmów, o których mówił pan policji. Ale żar był taki, że stopiły się marmurowe posągi. - Dowódca strażaków przeciągnął ręką po mokrych włosach. - To jakies niesamowite paliwo. Będziemy potrzebować pańskich ubrań. Może na ich podstawie uda się zidentyfikować skład tej substancji.

- A może nie - odpowiedział Malone. - Przecież wskoczyłem do kanału.

- Racja... - Strażak pokręcił głową. - Śledczy od podpaleń nie będą zadowoleni.

Gdy strażak odszedł, Malone zwrócił się do Cassiopeii, by rozpocząć przesłuchanie.

- Masz zamiar powiedzieć mi, co się tu dzieje?

- Miałeś się zjawić dopiero jutro rano.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Mokre pasma gęstych ciemnych włosów zwisały jej na ramiona, okalając atrakcyjną twarz. Była hiszpańską muzułmanką, a mieszkała na południu Francji. Inteligentna, zamożna i pewna siebie była jednocześnie inżynierem i historykiem. Ale jej obecność w Kopenhadze, i to na dzień wcześniej, niż mu zapowiedziała, musiała coś znaczyć. Poza tym przyszła tutaj z bronią i w bojowym stroju - czarnych skórzanych spodniach i dopasowanej skórzanej kurtce. Zastanawiał się, czy będzie stawiać opór, czy też zacznie współpracować.

- Na szczęście byłam tutaj, żeby uratować ci tyłek - powiedziała.

Nie potrafił określić, czy mówi poważnie, czy tylko się z nim drażni.

- Skąd wiedziałaś, że trzeba będzie ratować mi tylek?
- To długa historia, Cottonie.
- Mam czas. Jestem na emeryturze.
- Ale ja nie.

Usłyszał gorzką nutę w jej głosie i domyślił się.

- Wiedziałaś, że ten budynek spłonie, prawda?

Nie spojrziała na niego, patrzyła na drugą stronę kanału.

- Szczerze mówiąc, chciałam, żeby spłonął.
- Mogłabyś to wyjaśnić?

Siedziała w milczeniu, zatopiona w myślach.

- Byłam tutaj wcześniej. Widziałam, jak dwóch ludzi włamuje się do muzeum. I widziałam, jak cię wciągają. Powinnaś była pójść za nimi, ale nie mogłam - przerwała. - Przez ciebie.

- Kto to był?

- Ci, którzy zostawili te automaty.

Przysłuchiwała się, gdy składał zeznanie policjantowi, i nie wydawała się ani trochę zdziwiona.

- Może przejdziemy do rzeczy i powiesz mi w końcu, o co tu chodzi. Niemal nie zginąłem przez to, co robisz.

- Powinieneś ignorować otwarte w nocy drzwi.

- Trudno pozbyć się dawnych nawyków. O co tu chodzi?

- Widziałeś te płomienie. Czułeś żar. To było niezwykle, nie uważasz?

Przypomniał sobie, jak ogień schodził po schodach, a potem zatrzymał się, jakby czekał na zaproszenie do pójścia dalej.

- Można tak powiedzieć.

- W siódmym wieku, gdy muzułmańska flota zaatakowała Konstantynopol, zdobycie miasta wydawało się błahostką. Muzułmanie mieli lepszą broń i większe siły. Ale Bizantyjczycy przygotowali niespodziankę. Nazywali to płynnym ogniem albo dzikim ogniem. Wypuścili go na statki, całkowicie niszcząc atakującą flotę. - Cassiopeia wciąż na niego nie patrzyła. - Broń ta w różnej formie przetrwała aż do czasu wypraw krzyżowych, a w końcu ustaliła się nazwa ogień grecki. Oryginalna formuła na tę łatwopalną mieszanekę była tak tajna, że znali ją osobiście tylko kolejni bizantyjscy cesarze. Strzegli tajemnicy tak dobrze, że gdy cesarstwo upadło, po formule nie pozostał żaden ślad. -



Odetchnęła głęboko i mocniej opatulila się kocem. - Ale teraz ją odnaleziono.

- Chcesz powiedzieć, że przed chwilą widziałem grecki ogień?

- Jakąś odmianę. Ta akurat nie lubi słonej wody.

- To dlaczego nie powiedziałaś tego strażakom, jak tylko przyjechali?

- Nie mam zamiaru odpowiadać na więcej pytań, niż muszę.

Ale on nie ustępował.

- Dlaczego pozwoliłaś, żeby to muzeum spłonęło? Nie było w nim nic wartościowego?

Popatrzył na wypalony kadłub budynku i dostrzegł zwęglone resztki swojego roweru. Wyczuwał, że coś jest z Cassiopeią nie tak, ponieważ cały czas unikała jego wzroku. Nigdy, odkąd ją znał, nie widział u niej oznak wątpliwości, podenerwowania ani przygnębienia. Była twarda, zaangażowana, zdyscyplinowana i bystra. Ale w tym momencie wyglądała na zmartwioną.

Jakiś samochód pojawił się na odległym końcu zablokowanej przez policję ulicy. Rozpoznał drogą angielską limuzynę i zgarbioną postać, która wysiadła z tylnego siedzenia.

Henrik Thorvaldsen.

Cassiopeia wstała.

- Przyjechał, żeby z nami porozmawiać.

- A skąd wiedział, że tu jesteśmy?

- Coś się dzieje, Cottonie.

**WENECJA,  
GODZINA 2:30**

VINCENTI BYŁ ZADOWOLONY, ŻE UDAŁO SIĘ ZAPOBIEC KATASTROFIE, jaką mógł spowodować florentczyk. Popęłnił błąd. Miał mało czasu i grał w niebezpieczną grę, ale wyglądało na to, że los dał mu kolejną szansę.

- Czy sytuacja w Azji Środkowej jest pod kontrolą? - zapytał go jeden z członków Rady Dziesięciu. - Udało nam się powstrzymać to, co ten idiota próbował zrobić?

Wszyscy członkowie Rady zebrali się w sali zgromadzeń, kiedy trumna z rzucającym się w środku florentczykiem została wywieziona. Kula w łeb najpewniej załatwiła już kwestię jego dalszego oporu.

- Wszystko w porządku - odpowiedział Vincenti. - Osobiście zająłem się tą sprawą, ale premier Zowastina lubi popisy. Przypuszczam, że zrobi z tego niezły spektakl.

- Nie można jej ufać - powiedział ktoś inny.

Vincenti zastanawiał się, jak ta zapalczywa uwaga ma się do tego, że Zowastina jest ich sojusznikiem, ale mimo wszystko się z nią zgodził.

- Despoci zawsze sprawiają kłopoty. - Wstał i podszedł do mapy wiszącej na jednej ze ścian. - Ale niech mnie diabli, jeśli nie dokonała wielkich rzeczy. Udało jej się połączyć sześć skorumpowanych środkowoazja-tyckich państw w federację, która może okazać się sukcesem - zauważył.

- Ona na nowo nakreśliła mapę świata.



- A jak tego dokonała? - padło pytanie. - Z pewnością nie dyplomacją.

Vincenti znalazł oficjalną wersję wydarzeń. Po upadku Związku Radzieckiego w Azji Środkowej wybuchły konflikty i wojny domowe, kiedy każde z powstających państw narodowych zmagало się z niepodległością. Następczyni ZSRR, Wspólnota Niepodległych Państw, istniała tylko na papierze. Szerzyły się korupcja i bezład. Za Gorbaczowa Irina Zowastina stała na czele lokalnych przemian, propagując pierestrojkę i głośność oraz doprowadzając do oskarżenia wielu skorumpowanych urzędników. Potem jednak spowodowała wydalenie Rosjan, przypominając ludziom o ich kolonialnych podbojach i

podnosząc ekologiczny alarm, że Azjaci umierają tysiącami z powodu rosyjskiego zanieczyszczenia. To ona stanęła przed kazachskim parlamentem i uczestniczyła w proklamowaniu republiki.

Rok później została wybrana na jej prezydenta.

Zachód cieszył się z jej sukcesu. Wydawało się, że jest reformatorką w regionie, który rzadko ulegał przemianom. Ale później, piętnaście lat temu, zaskoczyła świat, ogłaszając powstanie Federacji Środkowoazjatyckiej.

Z sześciu narodów powstał jeden.

Ale kolega Vincentiego miał rację. To nie był żaden cud. Raczej manipulacja. Na pytanie odpowiedział więc zgodnie ze swoim przekonaniem.

- Zrobiła to przy użyciu siły.

- I przypadkowych zgonów politycznych oponentów.

- To zawsze była droga do władzy - stwierdził. - Nie możemy jej o to obwiniać. Robimy dokładnie to samo. - Vincenti popatrzył na innego członka Rady. - Czy fundusze są na miejscu?

Skarbnik skinął głową.

- Trzy przecinek sześć miliarda porozrzucane po różnych kontach na całym świecie, czysty dostęp, bezpośrednio z Samarkandy.

- Zakładam, że nasi członkowie są gotowi.

- Nowy napływ inwestycji rozpocznie się natychmiast. Większość członków planuje poważną ekspansję. Do tej pory byli ostrożni, zgodnie z zaleceniami.

Czasu było niewiele. Podobnie jak działo się to w pierwotnej Radzie Dziesięciu, jej połowa zostanie wkrótce wymieniona. Przepisy Ligi nakazywały, by pięciu członków zmieniało się co dwa lata. Członkostwo Vincentiego wygasło za niecały miesiąc.

Błogosławieństwo, a jednocześnie problem.

Sześćset lat temu Wenecja była oligarchiczną republiką, którą rządzą kupcy poprzez skomplikowany system polityczny zapobiegający rozwojowi despotyzmu. Uważano, że dzięki procesom opartym na przypadku uda się zapobiec

wewnętrzny sporom i intrygom. Nikt nie mógł dzierżyć całkowitej władzy. Radzono, decydowano i działano zawsze w grupach. Grupach, których skład zmieniał się w regularnych odstępach czasu.

Ale korupcji i tak nie udawało się uniknąć. Kwitły zmywy i załatwianie spraw na boku. Tkano sieci spisków.

Ludzie zawsze znajdują jakiś sposób.

Tak jak on.

Trzydzieści dni.

To wystarczająco dużo.

- Co z premier Zowastiną? - zapytał jeden z członków Rady, budząc Vincentiego z zamyślenia. - Wszystko będzie z nią w porządku?

- Może zostanie nawet newsem dnia - odpowiedział Vincenti.

**SAMARKANDA,  
FEDERACJA ŚRODKOWOAZJATYCKA,  
GODZINA 6:20**

ZOWASTINA SPIĘŁA KONIA. POZOSTALI CZAPANDAZI RÓWNIEŻ pogonili swoje wierzchowce batami. W górę poleciał mokry torf zerwany kopytami. Zowastina zagryzła zęby na nahajce i chwyciła wodze obiema rękami. Jak dotąd nikt jeszcze nie próbował zbliżyć się do zwłok kozła leżących w zagłębieniu w ziemi.

- Dalej, Bucefał - szepnęła przez zaciśnięte zęby do końskiego ucha.

- Pokażemy im - szarpnęła wodze, a koń gwałtownie skręcił.

Gra była prosta. Złapać *boz*, trzymając go w rękę, dojechać do krańca pola, objechać słup, a potem wrócić i położyć martwego kozła w kole zakreślonym na trawie wapnem. Nie wydawało się to trudne, ale problem stanowili pozostali *czapandazi*, którym wolno było robić niemal wszystko, by wykraść *boz*.

Zaproszenie do *buzkaszi* w jej towarzystwie uważano za zaszczyt, a ona z wielką rozwagą dobierała uczestników gry. Dzisiejsi gracze stanowili mieszaninę jej osobistych ochroniarzy oraz dziewięciu gości. W sumie były to dwie drużyny po dwunastu zawodników.

Ona była wśród nich jedyną kobietą.

Lubiła to.

Bucefał jakby wyczuł, czego od niego oczekuje, i zbliżył się do kozła. Jakiś jeździec najechał na jego prawy bok. Zowastina wyjęła nahajkę z ust, zamachnęła się i trafiła skórzanymi rzemieniami w twarz mężczyzny. Ten zlekceważył cios i wciąż na nich najeżdżał, a na pomoc ruszyło mu trzech innych jeźdźców.

Dwóch zawodników z jej drużyny zwarło szyki i stawilo czoło trzem przeciwnikom.

Wokół zwłok kozła szalała nawałnica koni i jeźdźców.

Uprzedziła wcześniej swoją drużynę, że chce zrobić pierwszą rundę wokół słupa, i wyglądało na to, że starają się jej to umożliwić.

Zbliżył się do niej czwarty jeździec z przeciwnej drużyny.

Wirowało jej w głowie, gdy w tłumie dwudziestu czterech *czapandazi* krążyła wokół kozła. Jeden z przeciwników trafił nahajką w jej pierś, ale gruba skórzana kurtka złagodziła uderzenie. Za podniesienie ręki na panią premier groziła kara śmierci, ale podczas *buzkaszi* zasada ta ulegała zawieszeniu. Chciała, by wszyscy gracze mogli iść na całość.

Jeden z jeźdźców ześlizgnął się z siodła i uderzył o ziemię.

Nikt nie zatrzymał się, by mu pomóc. To było zakazane.

Często dochodziło do złamań, zranień i skaleczeń. W ciągu ostatnich dwóch lat na tym polu doszło do pięciu wypadków śmiertelnych. *Buzkaszi* często zbierało śmiertelne żniwo. Nawet kodeks kryminalny Federacji przewidywał wyjątek dla zabójstw popełnionych podczas gry.

Zowastina okrążyła płytkie wgłębienie.

Ktoś sięgnął po *boz*, ale ona uderzyła nahajką w wyciągniętą rękę. Potem mocno ściągnęła wodze, aż Bucefał okręcił się wokół własnej osi, i zwolniła, żeby ponownie ruszyć na kozła, zanim ktokolwiek ich dogoni.

Dwóch kolejnych jeźdźców spadło na ziemię.

Każdy wdech oznaczał kontakt ze źdźbłami trawy i błotem, które musiała wypluwać. Mimo wszystko Zowastina uwielbiała tę grę i zapach końskiego potu.

Z powrotem wcisnęła nahajkę między zęby i pochyliła się, jedną ręką trzymając się siodła, a drugą chwytając zwłoki. Krew trysnęła z miejsc, w których odcięto kopyta i głowę kozła. Podciągnęła martwe zwierzę do góry i mocno je uchwyciła, a potem dała Bucefałowi znać, by szybko ruszył w lewo.

Teraz obowiązywały tylko trzy zasady.

Nie wolno przywiązywać kozła. Nie wolno uderzyć w rękę trzymającego *boz*. Nie wolno podcinać koniom nóg.

Czas na wyścig do słupa.

Spięła konia.

Przeciwna drużyna zbliżała się.

Członkowie jej drużyny galopowali, by stanąć w jej obronie.

Zwłoki kozła były ciężkie, truchło ważyło około trzydziestu kilogramów, ale jej silne ramiona udźwignęłyby i większy ciężar. Krew wciąż ciekła jej po ręce i wsiąkała w rękaw.

Nagle uderzenie w plecy odwróciło jej uwagę.

Obróciła się.

Dwóch jeźdźców z przeciwnej drużyny.

A za nimi zbliżająca się reszta.

Kopyta z grzmiącym odgłosem uderzały w wilgotną ziemię, a powietrze przeszywały rżenia rozszalałych koni. Jej *czapandazi* pędzili na pomoc. Wymieniano ciosy. Z całych sił ścisnęła w bolące ręce *boz*. Słup stał pięćdziesiąt metrów od niej.

Pole do gry rozciągało się na trawiastej równinie na tyłach letniego pałacu. Na jej krańcu rósł gęsty las. Sowieci wykorzystywali cały kompleks jako ośrodek wypoczynkowy dla partyjnej elity, i dlatego przetrwał. Zowastina zmieniła wystrój, ale celowo zachowano kilka śladów radzieckiej okupacji.

Coraz więcej jeźdźców dołączało do walki między dwiema drużynami.

Nahajki cięży powietrze.

Rozchodziły się jęki.

Padaly przekleństwa.

Zowastina zdołała minimalnie wysforować się do przodu. Będzie musiała zwolnić, by okrążyć słup i rozpocząć powrót do koła sprawiedliwości, a wtedy wszyscy będą mieli okazję do ataku. Choć do tej pory jej drużyna wspomagała ją, teraz zgodnie z zasadami każdy mógł ukraść *boz* i ukończyć rundę.

Postanowiła wszystkich zbić z tropu.

Kopniakiem skierowała Bucefała na prawo.

Tu nie było autów. Jeźdźcy mogli kierować się w dowolną stronę. Zaczęła zakreślać w galopie szeroki łuk, zwiększając dystans i pozostawiając większość *czapandazi* po swojej lewej stronie. Kierowała się w stronę obrzeża pola, które wyznaczały rzędy wysokich drzew. Mogła wykonać slalom między nimi,



robiła tak już wcześniej, ale dziś postanowiła wybrać inną trasę.

Zanim ktokolwiek zdołał zareagować na nagłą zmianę kierunku, ostro skręciła w lewo, zajeżdżając drogę głównej grupie galopujących jeźdźców i zmuszając ich do hamowania.

Moment wahania z ich strony umożliwił jej szybką ucieczkę i okrążenie słupa.

Ruszyli za nią.

Patrzyła prosto przed siebie.

Jeden z jeźdźców czekał na polu w odległości pięćdziesięciu metrów. Smagły mężczyzna z brodą i nieruchomą twarzą. Siedział wyprostowany w siodle, a Zowastina zauważyła, jak spod skórzanej peleryny wysuwa się dłoń z pistoletem. Trzymał broń blisko ciała, czekając, aż się zbliży.

- Bucefał, pokażmy mu, że wcale się go nie boimy.

Koń pognał do przodu.

Mężczyzna z bronią nie poruszył się. Zowastina nie spuszczała z niego wzroku. Nikomu jeszcze nie udało się jej przestraszyć.

Wycelował broń.

Po polu rozległ się odgłos strzału.

Mężczyzna z pistoletem zachwiał się, a potem upadł na wilgotną ziemię. Jego wystraszony koń rzucił się do ucieczki.

Zowastina stratowała ciało, a kopyta Bucefała rozdeptały je w pędzie.

Jechała tak długo, aż zobaczyła koło sprawiedliwości. Mijając je, rzuciła *boz* do środka, a potem zatrzymała konia.

Pozostali jeźdźcy zebrali się przy zwłokach mężczyzny.

Strzelanie do przeciwnika było wbrew wszelkim regułom. Ale to nie był element gry. A może jednak? Tyle że zupełnie innej gry. Z innymi graczami i innymi zasadami. Żaden ze zgromadzonych tu dziś mężczyzn ani by tego nie zrozumiał, ani nie docenił.

Pociągnęła za wodze i wyprostowała się w siodle, rzucając okiem na dach pałacu. W jednej ze starych sowieckich wieżyczek strażniczych jej snajper sygnalizował swój sukces, wymachując bronią.

Odwzajemniła ów gest, spinając konia, by stanął na tylnych nogach, a Bucefał rzeniem wyraził swą aprobatę.

**KOPENHAGA,  
GODZINA 3:10**

CASSIOPEIA WESZŁA ZA MALONE'EM I HENRIKIEM THORVALDSENEM do antykwariatu Malone'a. Była zmęczona. Choć spodziewała się, że to nie będzie łatwy wieczór, to jednak kilka poprzednich miesięcy, a zwłaszcza tygodni, dało jej się we znaki, a nic nie zapowiadało końca harówki.

Malone włączył światło.

Słyszała o tym, co zdarzyło się tu poprzedniej jesieni, kiedy pojawiła się ekszona Malone'a, i o zniszczeniu antykwariatu, ale ekipa renowacyjna spisała się znakomicie. Cassiopeia potrafiła docenić fachową robotę. Wszystko było nowe, ale wyglądało jak stare.

- Gratuluję fachowców.

Thorvaldsen skinął głową.

- Chciałem, żeby wszystko wyglądało jak wcześniej. Ten budynek ma w sobie za dużo historii, żeby pozwolić zburzyć go fanatykom.

- Masz ochotę zdjąć te mokre ciuchy? - zwrócił się do niej Malone.

- A nie powinniśmy najpierw odesłać Henrika do domu?

Malone uśmiechnął się.

- Słyszałem, że lubi sobie popatrzeć.

- Brzmi interesująco - odparł Thorvaldsen. - Ale dzisiaj nie jestem w nastroju.

Podobnie jak ona.

- Nie trzeba, skóra szybko schnie. Między innymi dlatego ubieram się w nią do pracy.

- A nad czym dzisiaj pracowałaś?

- Jesteś pewien, że chcesz wiedzieć? Ciągłe powtarzasz, że nie

jesteś już agentem, tylko antykwariuszem. Emerytura, spokój i tak dalej.

- Przysłałaś mi maila z prośbą o spotkanie rano w muzeum. Sądząc po tym, co powiedziałaś pod płonąącym budynkiem, muzeum jutro miało już nie istnieć.

Usiadła w jednym z klubowych foteli.

- I dlatego właśnie mieliśmy się tam spotkać. Henrik, powiedz mu.

Lubiła Malone'a. Był inteligentnym, pewnym siebie i przystojnym mężczyzną. Tak go oceniła, kiedy poznali się w zeszłym roku we Francji. Doskonale wykształcony prawnik. Przez dwanaście lat pracował dla amerykańskiego Departamentu Sprawiedliwości w tajnej jednostce pod nazwą Magellan Billet. A potem, dwa lata temu, wycofał się i kupił od Ihorvald-sena antykwariat w Kopenhadze. Nie owijał w bawełnę i bywał szorstki, podobnie jak ona, więc nie mogło jej to przeszkadzać. Lubiła jego pełną wyrazu twarz, złośliwy błysk w jasnozielonych oczach, włosy w kolorze piasku i ogorzałą cerę. Wiedziała, że jest po czterdziestce, i uświadomiła sobie, że wciąż tłąca się w nim młodość dodaje mu mnóstwa uroku.

Zazdrościła mu.

Zazdrościła mu czasu.

Jej tak bardzo go brakowało.

- Cottonie - powiedział Thorvaldsen - takie pożary zdarzyły się już w innych miejscach w Europie. Zaczęło się we Francji, potem była Hiszpania, Belgia i Szwajcaria. Za każdym razem wygląda to mniej więcej tak, jak miałaś okazję zobaczyć. W każdym przypadku policja domyśla się podpalenia, ale na razie nikt tych pożarów ze sobą nie wiąże. Dwa budynki spłonęły doszczętnie. Stały na wsi i nikt się tym nie przejął. Wszystkie cztery pożary dotyczyły niezamieszkałych prywatnych rezydencji. Muzeum było pierwszą instytucją komercyjną.

- A skąd wiecie, że te pożary są ze sobą powiązane? - zapytał Malone.

- Wiemy, czego oni szukają - odparła Cassiopeia. - Monet ze słońcem.

- A wiesz - stwierdził Malone - że tak sobie właśnie

pomyślałem. Pięć pożarów. Rozsianych po całej Europie. Faktycznie musi chodzić o monety ze słoniem. To przecież nie mogłoby być nic innego.

- One istnieją - powiedziała.

- Dobrze wiedzieć, ale co to, do diabła, są monety ze słoniem?

- Dwa tysiące trzysta lat temu - wtrącił się Thorvaldsen - gdy Aleksander Wielki zdobył Azję Mniejszą i Persję, planował podbój Indii. Ale jego armia porzuciła go, zanim zdążył zrealizować swe zamiary. Stoczył w Indiach kilka walk i po raz pierwszy zetknął się ze słoniami bojowymi. Łamały one macedońskie szyki, dokonując wielkich zniszczeń. Żołnierze Aleksandra panicznie się ich bali. Później wybito na pamiątkę monety przedstawiające Aleksandra w starciu ze słoniami.

- Te monety - dodała Cassiopeia - wybito po śmierci Aleksandra. Nie mamy pojęcia, ile ich powstało, ale dziś wiadomo o ośmiu. Cztery już mają, jedna to ta dzisiejsza, dwie następne znajdują się w prywatnych kolekcjach, a ósma na wystawie w Muzeum Historii Kultury w Samarkandzie.

- Stolicy Federacji Środkowoazjatyckiej? - zapytał Malone. - Aleksander podbił między innymi te rejony.

Thorvaldsen zapadł się w jednym z klubowych foteli. Krzywy kręgosłup sprawił, że szyja sterczała mu do przodu, a mięsisty podbródek opadał na szczupłą pierś. Cassiopeia zauważyła, że jej stary przyjaciel wygląda na znużonego. Jak zwykle miał na sobie workowaty sweter i za luźne sztruksy. Taki strój miał ukrywać zdeformowane ciało. Żałowała, że go w to wciągnęła, ale on się upierał. Był naprawdę dobrym przyjacielem. Pora sprawdzić, jak dobrym przyjacielem jest Malone.

- Co wiesz o śmierci Aleksandra Wielkiego?

- Coś o tym czytałem. Mnóstwo mitów i wzajemnie wykluczających się faktów.

- Twoja słynna pamięć ejdetyczna?

Wzruszył ramionami.

- Taki się już urodziłem.

Uśmiechnęła się.

- To, co wydarzyło się w czerwcu trzysta dwudziestego trzeciego roku przed naszą erą, wpłynęło na losy świata.

Thorvaldsen machnął ręką.  
- Powiedz mu. Powinien wiedzieć.  
Tak też uczyniła.

Ostatniego dnia maja w mieście Babilon Aleksander przybył na ucztę wydaną przez jednego ze swych zaufanych towarzyszy. Wzniósł toast, wypił wielki puchar nierozcieńczonego wina i nagle wykrzyknął głośno, jakby otrzymał silny cios. Zaniesiono go do łoża, gdzie dostał gorączki, ale wciąż grał w kości, planował z generałami kolejną wyprawę i składał jak zwykle ofiary. Czwartego dnia zaczął narzekać na zmęczenie, a niektórzy z jego towarzyszy dostrzegli, że brak mu energii. Przez kilka kolejnych dni odpoczywał w ciszy, śpiąc dla ochłody w budynku łaźni. Pomimo osłabienia przekazał piechocie rozkaz, by była gotowa do wymarszu za cztery dni, a flocie polecenie wypłynięcia za dni pięć. Zamierzał rozpocząć wyprawę na zachód i podbój Arabii. Szóstego czerwca poczuł się gorzej, przekazał swój pierścień Perdikkasowi, by nie hamować załatwiania spraw administracyjnych. To wywołało panikę. Żołnierze Aleksandra obawiali się, że zmarł, toteż by ukoić ich niepokój, Aleksander pozwolił, by go odwiedzili. Każdego z przechodzących żołnierzy witał uśmiechem.

Gdy wyszedł ostatni z nich, Aleksander wyszeptał: „Gdzie po mojej śmierci znajdziecie króla, który zasługiwałby na takich ludzi?”. Rozkazał, by po jego śmierci zabrano jego ciało do świątyni Amona w Egipcie. Ale żaden z towarzyszy nie chciał słuchać tak ponurych przewidywań. Jego stan pogarszał się, aż dziewiątego czerwca towarzysze zapytali go: „Komu zostawiasz swe królestwo?” Ptolemeusz twierdził, że Aleksander odpowiedział: „Najmądrzejszemu”. Seleukosz zaś twierdził, że powiedział: „Najbardziej sprawiedliwemu”, Pejton zapamiętał, że wódz powiedział: „Najsilniejszemu”. Rozpoczęły się dyskusje, kto ma rację. Nazajutrz wczesnym rankiem Aleksander III Macedończyk zmarł w trzydziestym trzecim roku życia i po dwunastu latach i ośmiu miesiącach panowania.

- Ludzie wciąż spierają się, jakie były jego ostatnie słowa -  
dodała.

- A czemu to takie istotne? - zapytała Malone.

- Ze względu na to, co po sobie pozostawił - odpowiedział  
Thorvaldsen. - Królestwo bez prawowitego dziedzica.

- I to ma coś wspólnego z monetami ze słoniem?

- Cottonie - powiedział Thorvaldsen. - Kupiłem to muzeum,  
wiedząc, że zostanie zniszczone. Razem z Cassiopeią  
czekaliśmy, aż to się stanie.

- Musimy wyprzedzić o krok tych, którzy szukają monet -  
dodała Cassiopeia.

- Wygląda na to, że jednak wygrali. Mają tę monetę.

Thorvaldsen rzucił okiem na Cassiopeię, a potem popatrzył na  
Malone'a i powiedział:

- Niekoniecznie.

## DZIEWIĘĆ

VIKTOR ODPREŻYŁ SIĘ, DOPIERO GDY ZAMKNĘLI ZA SOBĄ DRZWI pokoju hotelowego. Byli po drugiej stronie Kopenhagi, w pobliżu Nyhavn, gdzie w hałaśliwych nadbrzeżnych kafejkach obsługiwano awanturujących się klientów. Usiadł przy biurku i włączył lampę, podczas gdy Rafael zajmował pozycję przy oknie, z którego rozciągał się widok na położoną cztery piętra niżej ulicę.

Mieli piątą monetę.

Pierwsze cztery przyniosły same rozczarowania. Jedna była falsyfikatem, a pozostałe trzy zachowały się w kiepskim stanie. Jeszcze pół roku temu niemal nic nie wiedział o monetach ze słoniem. Teraz stał się prawdziwym ekspertem.

- Wszystko w porządku - powiedział do Rafaela. - Uspokój się. Nikt nas nie śledził.

- Wolę czuwać, żeby mieć pewność.

Viktor zdawał sobie sprawę, że Rafael stara się zrekompensować swoją przesadną reakcję w muzeum, więc powiedział tylko:

- Jak wolisz.

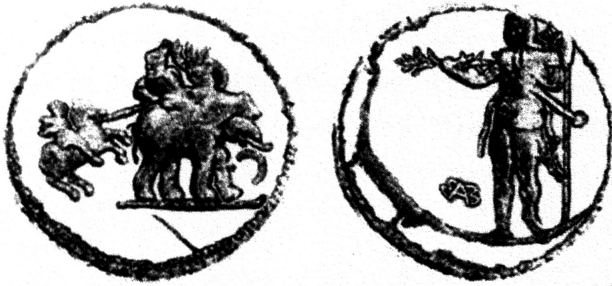
- On powinien być umrzeć.

- Dobrze, że tak się nie stało. Przynajmniej wiemy, z kim mamy do czynienia.

Rozpiął skórzaną walizkę i wyjął z niej mikroskop stereoskopowy oraz elektroniczną wagę.

Położył monetę na biurku. Znaleźli ją w jednej z gablot w muzeum, prawidłowo opisaną jako „Moneta ze słoniem (Aleksander Wielki), dkadrachma, ok. II w. p.n.e”

Najpierw zmierzył jej średnicę. Trzydzieści pięć milimetrów. Może być. Włączył elektroniczną wagę i zważył monetę. Czterdzieści przecinek siedemdziesiąt cztery grama. Też w porządku.



Za pomocą szkła powiększającego przyjrzał się wizerunkowi na jednej stronie medalu. Był to wojownik w królewskim stroju, ubrany w hełm z pióropuszem i nakarczkiem, napierśnik oraz sięgający kolan płaszcz.

Viktor ucieszył się. Ewidentnym błędem falsyfikatów była długość płaszcza, który na fałszywkach sięgał kostek. Wymiana podrobionych greckich monet kwitła od wieków, a sprytni fałszerze nauczyli się oszukiwać zarówno tych ostrożnych, jak i naiwnych.

On na szczęście nie należał ani do jednych, ani do drugich.

Pierwsza znana moneta ze słoniem pojawiła się w 1887 roku, kiedy jako dar trafiła do Muzeum Brytyjskiego. Pochodziła z Azji Środkowej. Druga wypłynęła w 1926 roku, a pochodziła z Iranu. Trzecią odkryto w 1959 roku. Czwartą w 1964. A w 1973 roku znaleziono cztery kolejne w pobliżu ruin Babilonu. Tylko osiem sztuk w całym obrocie między muzeami i prywatnymi kolekcjami. Niezbyt cennych na tle bogactwa sztuki hellenistycznej oraz tysięcy innych monet, lecz mimo wszystko wartych kolekcjonowania.

Viktor wrócił do sprawdzania monety.

Gładko ogolony młody wojownik trzymał w lewej dłoni sarisę zakończoną ostrzem w kształcie liścia. W prawej ręce dzierżył błyskawicę. Nad nim unosiła się Nike, skrzydlata bogini zwycięstwa. Po lewej stronie wojownika starożytny grawer pozostawił intrygujący monogram.

Wydawało się, że wszystko jest w porządku. Niczego nie brakowało, niczego też nie było za wiele.

Viktor odwrócił monetę.



Viktor nie był pewien, czy ten monogram to BA czy też BAB, i nie miał pojęcia, co te litery oznaczają. Ale oryginalna moneta powinna posiadać ten właśnie znak.



Jej brzegi było poważnie zniszczone, a ciemna patyna przetrwała się, jakby usunięta strumieniem wody. Czas pomалу niszczył delikatny rysunek po obu stronach. To naprawdę zdumiewające, że w ogóle niektóre z tych monet przetrwały.

- Wszystko okay? - zapytał Rafaela, który wciąż stał przy oknie.

- Nie traktuj mnie protekcyjnie.

Viktor uniósł wzrok.

- Naprawdę chcę wiedzieć.

- Nie najlepiej mi idzie.

Viktor wyczuł brak pewności w głosie partnera.

- Zauważyłeś, że ktoś podchodzi do drzwi muzeum. I zareagowałeś. To wszystko.

- To było głupie. Zabijanie przyciąga za dużo uwagi.

- Nie znaleźliby żadnego ciała. Przestań się tym zamartwiać. A poza tym to ja pozwoliłem go tam zostawić.

Ponownie skupił uwagę na monecie. Na awersie znajdował się mężczyzna w tym samym stroju, ale tym razem jako jeździec atakujący uciekającego słonia. Na słoni siedziało dwóch mężczyzn, jeden wymachujący włócznią, a drugi próbujący wyciągnąć ze swej piersi sarisę jeźdźca. Numizmatycy byli zgodni, że król wojownik przedstawiony na obu stronach monety to Aleksander, a medal wybito, by uczcić bitwę z udziałem słoni bojowych.

Ale o autentyczności monety można się było przekonać, tylko badając ją pod mikroskopem.

Włączył oświetlacz i wsunął monetę na stolik.

Autentyczne monety cechowała pewna anomalia: mikroskopijne literki, które starożytni rytownicy ukryli w grawerunku, posługując się prymitywnymi soczewkami. Eksperci uważają, że te literki stanowią odpowiednik znaku wodnego stosowanego na współczesnych banknotach w celu zapewnienia ich oryginalności. W starożytności soczewki stanowiły rzadkość, więc odkrycie tego znaku było wtedy mało prawdopodobne. Zwrócono na niego uwagę w czasach nowożytnych, gdy przed laty pojawiła się pierwsza moneta. Ale spośród czterech, które udało im się do tej pory ukraść, tylko jedna nosiła ten szczególny znak. Jeśli ta moneta była prawdziwa, w fałdach płaszcza wojownika powinny być ukryte dwie greckie litery - ZH.

Viktor nastawił ostrość mikroskopu i dostrzegł drobniutkie znaki.

Ale to nie były litery.

To były cyfry.

36 44 77 55.

Viktor odsunął się od mikroskopu.

Rafael obserwował go.

- O co chodzi?

Ich problemy właśnie się pogłębiły. Wcześniej zatelefonował w parę miejsc, korzystając z aparatu w pokoju hotelowym. Spojrzał na aparat i podany na nim numer. Cztery pary cyfr, a pierwsza z nich to 36.

Nie te same, które przed chwilą widział pod mikroskopem.

Ale od razu wiedział, co oznaczają cyfry na rzekomo starożytnej monecie.

Numer telefonu w Danii.

### WENECJA, GODZINA 6:30

VINCENTI PRZYGLĄDAŁ SIĘ SWOJEMU ODBICIU W LUSTRZE, PODCZAS gdy lokaj wygładzał marynarkę, odziewając jego potężną postać w garnitur od Gucciego. Szczotką z wielbłądziej wełny usunął wszelkie kłaczki z ciemnej wełny ubranie. Potem Vincenti poprawił krawat i upewnił się, że węzeł jest prawidłowo zaciśnięty. Lokaj wręczył mu chustkę w kolorze burgunda, a on ułożył jedwabne fałdy w kieszonce garnituru.

Jego blisko stukilowe ciało dobrze prezentowało się w szytym na miarę garniturze. Stylista z Mediolanu, którego zatrudnił, doradził mu, że ciemne kolory nie tylko podkreślą autorytet, ale także odciągną uwagę od jego tuszy. A to nie było łatwe. Wszystko miał duże. Pulchne policzki, wypukłe czoło, wielki nos. Ale on po prostu uwielbiał dobrze zjeść, a głodzenie się wydawało mu się grzechem.

Skinął i lokaj zaczął polerować jego eleganckie buty od Lorenza Banfiego. Vincenti ostatni raz spojrział w lustro, a potem zerknął na zegarek.

- Proszę pana - powiedział lokaj - ona dzwoniła, gdy był pan pod prysznicem.

- Na domowy telefon?

Lokaj skinął głową.

- Zostawiła jakiś numer?

Lokaj sięgnął do kieszeni i wyjął z niej małą karteczkę. Vincentiemu udało się zdrzemnąć przed i po spotkaniu Rady. Snu, w przeciwieństwie do diet, nie uważał za stratę czasu. Wiedział, że na niego czekają, i nie znosił się spóźniać, ale postanowił, że zadzwoni ze swojej sypialni. Nie warto

rozgłaszać wszystkiego przez komórkę.

Lokaj wyszedł z pokoju.

Vincenti podszedł do stojącego obok łóżka aparatu i wykręcił zagraniczny numer. W słuchawce rozległy się trzy długie i przenikliwe dźwięki, zanim usłyszał kobiecy głos. Wtedy powiedział:

- Widzę, że pani premier wciąż jest wśród żywych.
- A ja cieszę się, że pańskie informacje się sprawdziły.
- Nie zwracałbym pani głowy jakimiś rojeniami.
- Ale wciąż nie wiem, skąd pan wiedział, że ktoś będzie chciał mnie dzisiaj zabić.

Trzy dni temu Vincenti poinformował Irinę Zowastinę o planie florentczyka.

- Liga chroni swoich członków, a pani, pani premier, jest jednym z najważniejszych.

Zachichotała.

- Pan to ma gadane, Enrico.
- Wygrała pani *buzkaszi*.
- Oczywiście. Dwa razy udało mi się dotrzeć do koła. Zostawiliśmy ciało zamachowca na polu. Zostało stratowane na miazgę. Teraz ptaki i psy korzystają z resztek.

Vincenti skrzywił się. To właśnie był problem z Azją Środkową. Choć desperacko pragnęła przynależeć do dwudziestego pierwszego wieku, jej kultura wciąż tkwiła w piętnastym. Liga będzie musiała zrobić wszystko, co się da, żeby to zmienić. Nawet jeśli zadanie okaże się równie trudne, jak przekonanie mięsożercy do diety wegetariańskiej.

- Zna pan *Iliadę*?

Wiedział, że należy folgować jej kaprysom.

- Owszem.
- *Gniew złowrogi, co wiele potężnych dusz bohaterów w podziemia Hadesu strącił, zaś ciała na żer rzucił psom i ptakom-drapieżcom.*<sup>1</sup>

Uśmiechnął się.

- Aspiruje pani do roli Achillesa?

- Był ze wszech miar godny podziwu.

---

<sup>1</sup> Wszystkie cytaty z Iliady Homera w tłumaczeniu Ignacego Wieniewskiego.

- A nie był zbyt dumny?
- Ale to był wojownik. Zawsze gotów do walki. Niech mi pan powie, Enrico, co z waszym zdrajcą? Czy to już załatwione?
- Florentczyk będzie miał piękny pogrzeb na północ stąd, w rejonie jezior. Wyślemy mu kwiaty. - Zdecydował, że sprawdzi, czy Zowastina jest w dobrym nastroju, zanim rzucił: - Musimy porozmawiać.
- To pańska cena za uratowanie mi życia?
- Pani udział w naszym układzie, który uzgodniliśmy już dawno temu.
- Będę mogła spotkać się z Radą za kilka dni. Wcześniej muszę załatwić kilka spraw.
- Bardziej mnie interesuje to, kiedy my się spotkamy. Zachichotała.
- Nie wątpię. Mnie również. Ale najpierw dokończę pewne sprawy.
- Wkrótce kończy się moja kadencja w Radzie. Potem będzie pani musiała radzić sobie z innymi jej członkami. Nie wszyscy będą tak ugodowi.
- Roześmiała się.
- Cudownie to pan określił. Ugodowi. Naprawdę doskonale się z panem rozmawia, Enrico. Tak dobrze się rozumiemy.
- Musimy porozmawiać - powtórzył.
- Wkrótce. Teraz ma pan na głowie to, o czym rozmawialiśmy. Tych Amerykanów.
- To była prawda.
- To żadne zmartwienie. Zajmę się tym jeszcze dzisiaj.

## JEDENAŚCIE

### KOPENHAGA

- CO TO ZNACZY „NIEKONIECZNIE”? - MALONE ZWRÓCIŁ SIĘ DO Thorvaldsena.
- Zamówilem fałszywkę monety ze słoniem, bardzo łatwo ją podrobić. Na rynku jest już wiele jej podróbek.
- Ale po co to zrobiłeś?
- Cottonie - wtrąciła się Cassiopeia - te monety są naprawdę ważne.
- No coś ty, nigdy bym się nie domyślił. Ale wciąż nie wiem, dlaczego są ważne i jak bardzo?
- Czy wiesz, co stało się z Aleksandrem Wielkim po jego śmierci?
- zapytał Thorvaldsen. - A raczej z jego ciałem?
- Malone czytał coś na ten temat.
- Coś tam wiem.
- Nie sądzę, żebyś wiedział to, co my wiemy - stwierdziła Cassiopeia. Stała obok regału z książkami. - Zeszłej jesieni zadzwonił do mnie znajomy, który pracuje w Muzeum Historii Kultury w Samarkandzie. Znalazł coś, co powinnam zobaczyć. Stary manuskrypt.
- Jak stary?
- Pierwszy lub drugi wiek naszej ery. Słyszałeś kiedyś o fluorescencji rentgenowskiej?
- Pokręcił głową.
- To stosunkowo nowa technika - powiedział Thorvaldsen. - W średniowieczu pergamin był tak drogi, że mnisi wymyślili sposób na jego odzyskiwanie. Polegał on na zdrapaniu pierwotnego inkaustu i wykorzystaniu oczyszczonego pergaminu do zapisywania modlitw. Dzięki fluorescencji rentgenowskiej możemy odczytać pierwotny zapis za pomocą

akceleratora cząstek, który bombarduje taki pergamin promieniami X. Inkaust stosowany przed setkami lat zawierał mnóstwo żelaza. Gdy promienie rentgenowskie trafiają na jego resztki, cząsteczki tkwiące głęboko w pergaminie rozbłyskują, a obraz ten można zapisać. To dość zdumiewające. Jakby odebrać faks z odległej przeszłości. Słowa niegdyś wymazane i pokryte kolejną warstwą atramentu pojawiają się na nowo dzięki swojemu molekularnemu odciskowi.

- To, co wiemy o Aleksandrze z pierwszej ręki - mówiła dalej Cassiopeia - ogranicza się do pism czterech ludzi, którzy żyli niemal pięćset lat po nim. *Efemerydy*, rzekome dzienniki królewskie z czasów Aleksandra, są bezużyteczne, to historia opisana na nowo przez zwycięską stronę. *Romans o Aleksandrze*, na który powołuje się wielu ludzi, to zupełna fikcja, która niewiele ma wspólnego z rzeczywistością. Ale pozostałe dwie relacje zostały spisane przez rzetelnych kronikarzy, Flawiusza Ar-riana i Plutarcha.

- Czytałem *Romans o Aleksandrze*. Świetnie napisane.

- I nic więcej. Aleksander przypomina króla Artura, człowieka, którego prawdziwe życie zastąpiła romantyczna legenda. Uważa się go dzisiaj za wspaniałego i łagodnego władcę. Kogoś w rodzaju męża stanu. A on przecież mordował ludzi na niespotykaną skalę i na potęgę trwonił zasoby podbijanych ziem. Był paranoikiem mordującym własnych przyjaciół, a większość swych żołnierzy doprowadził do przedwczesnej śmierci. Był hazardzistą, który ryzykował życie własnym oraz tych, którzy mu towarzyszyli. Nie ma w tym żadnej magii.

- Nie zgadzam się - odpowiedział Malone. - Był wspaniałym dowódcą i pierwszym człowiekiem, który zjednoczył świat. Jego podboje były krwawe i brutalne, ale taka jest wojna. To prawda, że lubił podbijać nowe kraje, lecz jego świat czekał na podboje. Aleksander był niezwykle przenikliwym politykiem. Był Grekiem, który został Persem. Ze wszystkich znanych mi źródeł wynika, że nie wykorzystywał płytkiego nacjonalizmu, i trudno robić mu z tego zarzut. Po jego śmierci towarzyszący mu dowódcy podzielili jego imperium między siebie, co na

wieki zapewniło greckiej kulturze dominację. A epoka hellenistyczna całkowicie odmieniła zachodnią cywilizację. Można powiedzieć, że wszystko zaczęło się od Aleksandra.

Widział, że nie przekonał Cassiopeii.

- Właśnie tego dziedzictwa dotyczył ten stary manuskrypt - powiedziała. - Tego, co naprawdę stało się po jego śmierci.

- Wiadomo, co się stało - odparł. - Generałowie podzielili między siebie imperium, traktując jego ciało jako fant w grze o władzę. Jest mnóstwo relacji o tym, jak każdy z nich próbował zaatakować procesję pogrzebową. Wszyscy pragnęli jego ciała jako potwierdzenia swej władzy. Dlatego też zwłoki Aleksandra zmumifikowano. Grecy palili swoich zmarłych. Ale nie Aleksandra. Jego ciało musiało przetrwać.

- Manuskrypt opisuje to, co działo się między śmiercią Aleksandra w Babilonie a momentem, gdy jego ciało ostatecznie trafiło z powrotem na zachód - powiedziała Cassiopeia. - To trwało rok. Rok o zasadniczym znaczeniu dla monet ze słońcem.

Delikatny dzwonek przerwał ciszę panującą w antykwariacie.

Malone patrzył, jak Henrik wyjmując telefon z kieszeni i odbiera. Niezwykłe. Thorvaldsen nie cierpiał tych urządzeń, a zwłaszcza ludzi, którzy rozmawiali przez komórki w jego obecności.

Malone spojrzał na Cassiopeię i spytał:

- To coś ważnego?

Wciąż miała posępną minę.

- Na to czekaliśmy.

- To skąd u ciebie taki doskonały nastrój?

- Może trudno ci w to uwierzyć, Cottonie, ale ja też mam swoje uczucia.

Zdziwiła go ta uszczypliwa uwaga. Kiedy przyjechała do Kopenhagi na Boże Narodzenie, spędzili kilka miłych wieczorów w Christians-gade, w nadmorskim domku Thorvaldsena usytuowanym na północ od Kopenhagi. Dał jej nawet wyjątkowy prezent, siedemnastowieczną księgę o średniowiecznej inżynierii. Pracowała wtedy we Francji nad rekonstrukcją zamku sprzed siedmiuset lat, kamień po



kamieniu, z wykorzystaniem surowców i narzędzi z epoki. Umówili się nawet, że wiosną ją tam odwiedzi.

Thorvaldsen skończył rozmowę.

- To ten złodziej z muzeum.

- A skąd znał twój numer? - zapytał Malone.

- Wygrawerowałem go na monecie. Chciałem dać mu wyraźny znak, że czekamy. Powiedziałem, że jeśli chce mieć oryginalną dekadrachmę, będzie musiał ją kupić.

- To teraz pewnie będzie chciał cię zabić.

- Taką mamy nadzieję.

- I jak zamierzacie temu zapobiec? - zainteresował się Malone. Cassiopeia podeszła bliżej z surowym wyrazem twarzy.

- To właśnie zadanie dla ciebie.

## DWANAŚCIE

VIKTOR ODŁOŻYŁ SŁUCHAWKĘ TELEFONU NA WIDELKI. RAFAEL przysłuchiwał się rozmowie, wciąż stojąc przy oknie.

- Chce spotkać się z nami za trzy godziny. W domu w północnej części miasta, przy nadmorskiej szosie. - Viktor uniósł monetę ze słońcem.

- Spodziewali się nas i od jakiegoś czasu mieli to przygotowane. Całkiem niezła podrobka. Musiał zrobić ją jakiś fachowiec.

- Powinniśmy to zgłosić.

Viktor był odmiennego zdania. Premier Zowastina wysłała w tej sprawie właśnie jego, ponieważ mu ufała. Codziennie chroniło ją trzydziestu mężczyzn. To był jej własny Święty Zastęp. Wzorowany na najbardziej wojowniczej jednostce bojowej starożytnej Grecji, która dzielnie walczyła, dopóki nie wybili jej Filip Macedoński i jego syn Aleksander Wielki. Słyszał kiedyś, jak pani premier o tym wspomniała. Macedończycy byli tak zachwyceni odwagą Świętego Zastępu, że wzniesli na jego cześć pomnik, który stoi w Grecji do dziś. Gdy Zowastina objęła władzę, z wielkim entuzjazmem ożywiła starożytną ideę. Viktor był pierwszym rekrutem i to on znalazł kolejnych dwudziestu dziewięciu, w tym Rafaela, Włocha, który pracował dla bułgarskich służb bezpieczeństwa.

- Chyba powinniśmy zadzwonić do Samarkandy? - Rafael ponownie wyraził swoją wątpliwość.

Viktor popatrzył na swojego partnera. Młodszy od niego mężczyzna był szybki i energiczny. Viktor polubił go i dlatego wybaczał mu błędy, na które innym by nie pozwolił. Jak choćby wciągnięcie tamtego faceta do muzeum. Ale może w sumie wcale nie był to błąd?

- Nie możemy - odpowiedział cicho.

- Jeśli sprawa nabierze rozgłosu, ona nas zabije.

- Więc nie możemy dopuścić, żeby tak się stało. Na razie dobrze nam idzie.

To prawda. Cztery kradzieże. Wszystkie dotyczyły prywatnych kolekcji, które właściciele szczęśliwym trafem przechowywali bez zabezpieczeń albo w bardzo lichych sejfach. Każdą kradzież maskowali pożarem i dokładnie zacierali za sobą ślady.

Chociaż chyba nie do końca.

Człowiek, z którym przed chwilą rozmawiał przez telefon, wydawał się wiedzieć, o co im chodzi.

- Będziemy musieli sami sobie z tym poradzić - stwierdził Viktor.

- Boisz się, że ona obwini mnie.

Poczuł, że w gardle rośnie mu jakaś gula.

- Szczerze mówiąc, obawiam się, że obwini nas obu.

- Martwię się, Viktorze. Ciągłe musisz mnie chronić.

Viktor rzucił partnerowi współczujące spojrzenie.

- Obaj to schrzaniiliśmy. - Obrócił w palcach monetę. - Same kłopoty z tymi przekłętymi monetami.

- Po co jej one?

Viktor potrząsnął głową.

- Ona się nigdy nie tłumaczy. Ale musi mieć ważny powód.

- Coś kiedyś usłyszałem.

Viktor z ciekawością uniósł wzrok.

- Kiedy to coś usłyszałeś?

- Jak zostałem przydzielony do jej osobistej ochrony, tuż przed naszym wyjazdem w zeszłym tygodniu.

Codziennie ktoś inny z drużyny ochraniał panią premier. Obowiązywała jedna zasada. Istotne było wyłącznie jej bezpieczeństwo, a nie to, co ktoś powiedział albo usłyszał. Ale tym razem było inaczej. Viktor musiał się dowiedzieć.

- Mów.

- Ona coś planuje.

Viktor uniósł monetę.

- I co to ma wspólnego z tym?

- Mówiła, że ma. Komuś, z kim rozmawiała przez telefon. To, co teraz robimy, zapobiegnie jakimś kłopotom. - Rafael zrobił

przerwę. - Jej ambicje nie znają granic.

- Bardzo wiele dokonała. Nikomu wcześniej się to nie udało. Dobrze się teraz żyje w tamtej części Azji. Nareszcie.

- Widziałem to w jej oczach, Viktorze. To dla niej wciąż za mało. Chce czegoś więcej.

Viktor ukrył własny niepokój, udając zdziwienie.

Rafael kontynuował:

- Czytałem biografię Aleksandra, o której mi kiedyś wspomniała. Ona lubi polecać ludziom różne książki. Zwłaszcza te o Aleksandrze. Znasz historię o koniu Aleksandra, Bucefale?

Viktor słyszał kiedyś, jak Zowastina o nim opowiadała. Kiedy Aleksander był jeszcze chłopcem, jego ojciec kupił pięknego konia, który nie pozwalał się dosiąść. Aleksander skrytykował ojca i królewskich masztalerzy i stwierdził, że poskromi rumaka. Filip wątpił w to, ale gdy Aleksander obiecał, że odkupi konia za własne pieniądze, jeśli mu się nie powiedzie, król zgodził się dać mu szansę. Zauważywszy, że koń boi się własnego cienia, Aleksander odwrócił go przodem do słońca i po krótkiej namowie udało mu się go dosiąść.

Viktor opowiedział Rafaelowi, co wie na ten temat.

- A wiesz, co Filip powiedział Aleksandrowi, gdy temu udało się poskromić konia?

Viktor pokręcił głową.

- Powiedział: „Znajdź sobie królestwo godne twej wielkości, bo Macedonia jest dla ciebie za mała”. Na tym właśnie polega jej problem, Viktorze. Jej Federacja jest większa od Europy, ale to jej nie wystarcza. Chce jeszcze więcej.

- To nie nasz problem.

- To, co robimy, jest elementem jej planu.

Viktor nic nie odpowiedział, choć też czuł niepokój.

Rafael jakby wyczuł jego niepewność.

- Powiedziałeś temu człowiekowi, że przyniesiemy pięćdziesiąt tysięcy euro. Przecież nie mamy pieniędzy.

Viktor ucieszył się ze zmiany tematu.

- Nie będą nam potrzebne. Zdobędziemy monetę, nie wydając grosza.

- Musimy wyeliminować tych, którzy za tym stoją.  
Rafael miał rację. Premier Zowastina nie toleruje błędów.
- Zgadza się - odpowiedział. - Zabijemy ich wszystkich.

## TRZYNAŚCIE

### **SAMARKANDA, FEDERACJA ŚRODKOWOAZJATYCKA, GODZINA 11:30**

MĘŻCZYZNA, KTÓRY WSZEDŁ DO GABINETU IRINY ZOWASTINY, BYŁ niski i przysadzisty. Miał płaską twarz i znamionującą upór linię podbródka. Zajmował trzecie miejsce w hierarchii dowództwa Zjednoczonych Sił Powietrznych Federacji, ale jednocześnie był też tajnym przywódcą mniejszościowej partii politycznej, której znaczenie rosło ostatnio w alarmującym tempie. Był Kazachem, który w głębi duszy sprzeciwiał się wszelkim słowiańskim wpływom i uwielbiał opowiadać o czasach koczowników sprzed setek lat, zanim Rosjanie wszystko zmienili.

Patrząc na buntownika, Zowastina zastanawiała się, jak mógł podobać się komukolwiek z tą swoją łysą czaszką i surowym spojrzeniem, a jednak według raportów był człowiekiem inteligentnym, elokwentnym i przekonującym. Sprowadzono go do pałacu dwa dni temu, kiedy nagle zasłabł. Dostał wysokiej gorączki, krew tryskała mu z nosa, dręczyły go ataki kaszlu, a ból w biodrach przypominał uderzenia młotem. Jego lekarze zdiagnozowali infekcję wirusową z podejrzeniem zapalenia płuc, ale żadne konwencjonalne leczenie nie przyniosło ulgi.

Dziś jednak wyglądał na zdrowego.

Był bosy i miał na sobie tylko rudobrazowy pałacowy szlafrok.

- Dobrze wyglądasz, Enverze. O wiele lepiej.

- Dlaczego tutaj jestem? - zapytał pozbawionym wyrazu tonem, w którym nie było śladu wdzięczności.

Wcześniej podpytywał personel, kto na jej rozkaz podrzucił dowody sugerujące jego zdradę. Ciekawe, że pułkownik nie

okazywał ani cienia strachu. Nawet teraz podkreślał swoje nieposłuszeństwo, unikając rosyjskiego i zwracając się do niej po kazachsku. Zowastina, pragnąc go ułagodzić, odpowiadała w starym języku.

- Byłeś śmiertelnie chory. Sprowadziłam cię tutaj, żeby moi lekarze mogli się tobą zająć.

- Nie pamiętam nic z wczorajszego dnia.

Gestem zaprosiła go, żeby usiadł, i naląła herbaty ze srebrnego dzbanka.

- Byłeś w bardzo złym stanie. Martwiłam się, więc postanowiłam pomóc.

Patrzył na nią podejrzliwym wzrokiem.

Wręczyła mu filiżankę i spodek.

- Zielona herbata z dodatkiem jabłek. Podobno taką lubisz.

Nie przyjął poczęstunku.

- Pani premier, czego pani chce?

- Zdradziłeś mnie i Federację. Ta twoja partia polityczna zachęca ludzi do nieposłuszeństwa obywatelskiego.

Nie wydawał się zaskoczony.

- Wciąż pani powtarza, że mamy prawo wyrażać swoje poglądy.

- I ty w to wierzysz? - Odstawiła filiżankę na stolik i zdecydowała, że przestanie odgrywać rolę gospodyni. - Trzy dni temu zostałeś poddany działaniu wirusa, który zabija w ciągu dwudziestu czterech, góra czterdziestu ośmiu godzin. Śmierć następuje z powodu wysokiej gorączki, płynu w płucach oraz osłabienia ścian aort, co prowadzi do silnego krwotoku wewnętrznego. W twoim przypadku jeszcze do tego nie doszło. Ale już powinno.

- I w jaki sposób zostałem uleczony?

- Powstrzymałam infekcję.

- Pani?

- Chciałam, żebyś przekonał się, co mogę zrobić.

Przez chwilę nic nie odpowiadał, najwyraźniej musiał oswoić się z faktami.

- Jesteś pułkownikiem naszych sił powietrznych. Człowiekiem, który przysięgał, że z narażeniem życia będzie

bronie Federacji.

- I tak będzie.

- Ale najwyraźniej nie przeszkadza ci to w knuciu zdrady.

- Zapytam jeszcze raz. Czego pani chce? - w jego głosie nie było już śladu grzeczności.

- Twojej lojalności.

Nie odpowiedział.

Sięgnęła po pilota leżącego na stoliku. Płaski monitor stojący w rogu biurka ożył i wyświetlił obraz pięciu mężczyzn, kręcących się w tłumie i sprawdzających pełne świeżych towarów stragany z kolorowymi daszkami.

Gość Zowastiny zerwał się na nogi.

- Ten zapis pochodzi z jednej z kamer na rynku w Nawoi. Przydają się w utrzymywaniu porządku i zwalczaniu przestępczości. Ale pozwalają nam także śledzić wrogów. - Widziała, że rozpoznał ich twarze. - Tak jest, Enverze. To twoi przyjaciele. Z zaangażowaniem zwalczają Federację. Wiem o waszych planach.

Doskonale znała też filozofię ich partii. Przed dominacją komunistów, kiedy Kazachowie mieszkali głównie w jurtach, kobiety stanowiły integralną część społeczeństwa, zajmując ponad jedną trzecią stanowisk politycznych. Ale w okresie pomiędzy Sowietami a islamistami kobiety odsunięto na bok. Zdobyta w latach 90. ubiegłego wieku niezależność przyniosła kryzys gospodarczy, lecz jednocześnie umożliwiła powrót kobiet na pierwszy plan i zdobywanie przez nie na nowo wpływów politycznych. Federacja przypieczętowała ich zdobycze.

- Tak naprawdę wcale nie chcesz powrotu do starych tradycji, Enverze. Wrócić do czasów, gdy wędrowaliśmy po stepach. Wtedy to kobiety rządziły naszym społeczeństwem. Nie. Ty chcesz wyłącznie władzy. I jeśli uda ci się zwabić ludzi wizjami chwalebnej przeszłości, wykorzystasz to dla własnych korzyści. Jesteś tak samo zły jak ja.

Splunął jej pod nogi.

- Tyle mam do powiedzenia.

Wzruszyła ramionami.



- To niczego nie zmienia. - Wskazała na ekran. - Każdy z nich jeszcze przed zachodem słońca zostanie zainfekowany, tak jak ty. Nic nie zauważą, najwyżej katar, ból gardła albo głowy, sygnalizujące przeziębienie. Przypominasz sobie te objawy, Enverze?

- Zawsze uważałem, że jesteś diabłem wcielonym.

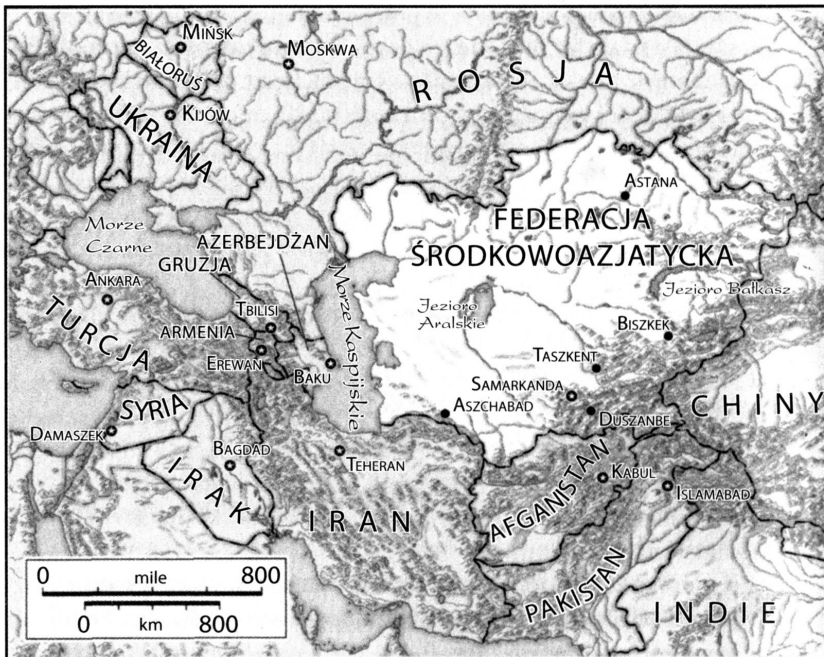
- Gdyby tak było, pozwoliłabym ci umrzeć.

- A czemu tego nie zrobiłaś?

Nacisnęła pilota i zmieniła kanał. Na ekranie pojawiła się mapa.

- To udało nam się osiągnąć. Zjednoczone azjatyckie państwo, które zaakceptowali wszyscy przywódcy.

- Ludzi o zdanie nie pytaliście.



- Naprawdę? Tę rzeczywistość stworzyliśmy piętnaście lat temu i od tamtej pory gospodarka wszystkich byłych republik rozkwita. Wybudowaliśmy domy, szkoły i drogi. Opieka

medyczna jest znacznie lepsza. Zmodernizowaliśmy infrastrukturę. Elektrownie, wodociągi i kanalizacja sprawnie funkcjonują w przeciwieństwie do tego, jak było za Sowietów. Rosjanie przestali grabić naszą ziemię i nasze zasoby. Zagraniczne firmy inwestują u nas miliardy. Rozwija się turystyka. Nasz produkt krajowy brutto wzrósł tysiąckrotnie. Ludzie są szczęśliwi, Enverze.

- Nie wszyscy

- Nie sposób uszczęśliwić wszystkich. Można najwyżej zadowolić większość. Tak przynajmniej twierdzą na Zachodzie.

- Ilu jeszcze potraktowałaś tak jak mnie?

- Wcale nie tak wielu. Większość z nich sama dostrzega korzyści płynące z tego, co robimy. Dzielę się bogactwem i władzą ze swoimi przyjaciółmi. I mogę szczerze powiedzieć, że jeśli ktokolwiek z was będzie mieć lepszy pomysł, chętnie posłucham. Ale jak dotąd nikt nic lepszego nie zaproponował. Ci nieliczni opozycjoniści chcą jak ty po prostu przejąć władzę. I to wszystko.

- Łatwo być wspaniałomyślnym, gdy ma się na innych bat w postaci wirusów.

- Mogłam pozwolić ci umrzeć, i to rozwiązałoby problem. Ale zamordowanie cię byłoby głupotą, Enverze. Hitler, Stalin, rzymscy cesarze, rosyjscy carowie i niemal wszyscy europejscy monarchowie, wszyscy oni popełniali ten sam błąd. Eliminowali tych ludzi, którzy mogli poprzeć ich wtedy, gdy naprawdę potrzebowali pomocy.

- Może mieli rację? Utrzymywanie wrogów przy życiu jest ryzykowne.

Wyczuła, że jego zgorzknienie zaczyna topnieć, więc zapytała:

- Słyszałeś o Aleksandrze Wielkim?

- Kolejny najeźdźca z Zachodu.

- Który podbił nas w dwanaście lat, zajmując całą Persję i Azję Mniejszą. Zdobył większy obszar niż Cesarstwo Rzymskie przez tysiąc lat podbojów. A w jaki sposób rządził? Wcale nie siłą. Gdy zdobywał jakieś królestwo, zawsze pozwalał poprzedniemu władcy zachować władzę. W ten sposób zyskiwał przyjaciół, którzy w razie potrzeby przysyłali mu wojsko i zapasy, a on

mógł kontynuować podboje. A potem dzielił się bogactwami. Odnosił sukces, ponieważ wiedział, jak korzystać z władzy.

Trudno było stwierdzić, czy jej się to udaje, ale Kazach w jednym punkcie miał rację. Faktycznie otaczali ją wrogowie i wciąż miała świeżo w pamięci dzisiejszą próbę zamachu. Zawsze starała się eliminować oponentów lub przeciągać ich na swoją stronę, ale nowe frakcje wyrastały niczym grzyby po deszczu. Nawet Aleksander padł ofiarą szaleńczej paranoi. Lecz ona nie powtórzy jego błędu.

- Co ty na to, Enverze? Dołączysz do nas?

Patrzyła, jak zastanawia się nad jej propozycją. Być może jej nie lubił, ale według raportów ten zapalczywy lotnik, wyszkolony przez Sowieców, u których boku walczył w ich licznych głupich wojnach, o wiele bardziej niż jej nienawidził czegoś innego.

Pora przekonać się, czy to prawda.

Przybliżyła na mapie obraz Pakistanu, Afganistanu i Iranu.

- To jest nasz problem.

Widziała, że się z nią zgadza.

- Co zamierzasz? - zapytał zaintrygowany.

- Wykończyć ich.

## CZTERNAŚCIE

### KOPENHAGA, GODZINA 8:30

MALONE PRZYGLĄDAŁ SIĘ DOMOWI. ON, THORVALDSEN I CASSIOPEIA opuścili antykwariat pół godziny temu i pojechali nadmorską szosą na północ. Dziesięć minut drogi na południe od okazałej rezydencji Thorvaldsena skręcili z głównej trasy i zaparkowali przed skromnym jednopiętrowym budynkiem ukrytym w kępie sękaty buczyny. Wokół domu rosły żonkile i hiacynty, a ściany z cegieł i drewna przykrywał asymetryczny dwuspadowy dach. W odległości pięćdziesięciu metrów od domu szarobrązowe wody cieśniny Sund obmywały skalistą plażę.

- Chyba nie muszę pytać, czyj to dom.

- Wymaga remontu - powiedział Thorvaldsen. - Teren graniczy z moją działką. Kupiłem okazyjnie, ale bardzo mi się podoba, że jest tak blisko morza.

Malone był tego samego zdania. Doskonałe położenie.

- A kto tu niby mieszka?

Cassiopeia uśmiechnęła się.

- Właściciel muzeum, któż by inny?

Zauważył, że trochę poprawił jej się humor. Ale i ona, i Henrik nadal wydawali się lekko podenerwowani. Przebrał się przed wyjazdem z miasta i wyciągnął spod łóżka specjalną wersję beretty stworzoną dla jego jednostki Magellan Billet. Miejskowa policja już dwukrotnie wzywała go do oddania broni, ale Thorvaldsen wykorzystał swoje powiązania z duńskimi premierem i zablokował jej działania. W ciągu minionego roku wielokrotnie korzystał z broni pomimo pozostawiania na emeryturze. Martwiło go to. Między innymi po to rzucił pracę dla rządu, żeby nie musieć nosić broni.

Weszli do budynku. Słońce wpadało do środka przez pokryte cieniutką warstwą soli okna. Wnętrze urządzone mieszaniną starego i nowego, takie połączenie stylów sprawiało przyjemne wrażenie swojskości. Malone rozejrzał się i stwierdził, że remont faktycznie jest niezbędny.

Cassiopeia przeszukiwała dom.

Thorvaldsen usiadł na zakurzonej kanapie obitej tweedem.

- Wczoraj w muzeum były same kopie. Oryginały przенiosłem, jak tylko je kupiłem. Nie są szczególnie wartościowe, ale nie mogłem pozwolić na ich zniszczenie.

- Zadałeś sobie sporo trudu - powiedział Malone.

Cassiopeia wróciła z rekonesansu.

- Gra toczy się o wysoką stawkę.

Jakby się nie domyślał.

- Skoro już tu siedzimy i czekamy, aż ten gość, z którym rozmawiałeś przed trzema godzinami, przyjdzie tutaj, żeby nas zabić, może chociaż wyjaśnisz mi, dlaczego daliśmy im tak dużo czasu na przygotowania?

- Wiem, co robię - odparł Thorvaldsen.

- Dlaczego te monety są takie ważne?

- Słyszałeś o Hefajstionie? - zapytał Thorvaldsen.

- Owszem. Najbliższy towarzysz Aleksandra. Prawdopodobnie kochanek. Zmarł kilka miesięcy przed Aleksandrem.

- Ten odczytany za pomocą fluorescencji manuskrypt - powiedziała Cassiopeia - który odkryto w Samarkandzie, uzupełnia historyczne zapisy. Wiemy, że Aleksander miał takie wyrzuty sumienia po śmierci Hefajstiona, że kazał zabić swojego osobistego lekarza o imieniu Glaukus. Został on przywiązany do dwóch przygiętych do ziemi drzew i rozdarty na strzępy.

- A czym ów medyk sobie na to zasłużył?

- Nie uratował Hefajstiona - odpowiedział Thorvaldsen. - Wygląda na to, że Aleksander dysponował jakimś lekiem. Czymś, co wcześniej co najmniej raz powstrzymało gorączkę, która zabiła Hefajstiona. Manuskrypt nazywa tę substancję po prostu miksturą. Ale zawiera pewne interesujące szczegóły.

Cassiopeia wyciągnęła z kieszeni złożoną kartkę.

- Sam przeczytaj.

*Niegodziwie postąpił król, zabijając nieszczęsnego Glaukusa. Medyk był bez winy. Zakazał Hefajstionowi jeść i pić, lecz ten nie posłuchał. Gdyby się powstrzymał, wystarczyłoby może czasu, by go uleczyć. To prawda, że Glaukus nie miał już pod ręką mikstury, ponieważ pojemnik z nią potłukł się przypadkowo kilka dni wcześniej, lecz oczekiwał na dostawę zapasu ze Wschodu. Kilka lat wcześniej, podczas walk ze Scytami, Aleksander cierpiał na bóle brzucha. W zamian za zawarcie rozejmu Scytowie zaproponowali mu miksturę, którą od dawna stosowali w leczeniu. Wiedzieli o niej tylko Aleksander, Hefajstion i Glaukus, ale jeden raz Glaukus podał ów cudowny płyn swojemu pomocnikowi. Jego szyja nabrzmiała guzami tak, że nie mógł przelykać, jakby miał w gardle kamienie, a z każdym oddechem z jego ust wypływała ciecz. Całe jego ciało pokryły rany. Zupełnie opadł z sił. Każdy kolejny oddech był dla niego wysiłkiem. Glaukus podał mu miksturę i następnego dnia pomocnik wyzdrowiał. Glaukus powiedział mu, że już kilkakrotnie podawał ową miksturę królowi, raz nawet gdy był on bliski śmierci, i za każdym razem król zdrowiał. Pomocnik zawdzięczał Glaukusowi życie, ale nie był w stanie uchronić go przed gniewem Aleksandra. Z murów Babilonu obserwował, jak drzewa rozrywają jego zbawcę na strzepy. Gdy Aleksander powrócił z miejsca egzekucji, wezwał pomocnika medyka i zapytał go, czy wie o cudownej miksturze. Przerażony widokiem straszliwej śmierci Glaukusa pomocnik wyznał prawdę. Król nakazał mu, by nikomu o miksturze nie wspominał. Dziesięć dni później Aleksander leżał na łożu śmierci. Opuściły go wszelkie siły, a jego ciało trawiła szalona gorączka, zupełnie jak wcześniej Hefajstiona. W ostatnim dniu swojego życia, gdy jego towarzysze i dowódcy błagali o wskazówki, Aleksander wyszeptał, że pragnie lekarstwa. Pomocnik zebrał się na odwagę i pamiętając o Glaukusie, odmówił mu. Na ustach*

*króla pojawił się uśmiech. Pomocnik z przyjemnością patrzył na śmierć Aleksandra, wiedząc, że mógł go uratować.*

- Tę relację spisał nadworny historyk - powiedziała Cassiopeia - który również stracił ukochaną osobę, kiedy cztery lata wcześniej Aleksander rozkazał zabić Kallistenesa. Kallistenes był siostrzeńcem Arystotelesa i nadwornym historykiem Aleksandra aż do wiosny 327 roku p.n.e. Wtedy przyłapano go na uczestnictwie w przygotowaniach do zamachu. Paranoja Aleksandra przybrała już wówczas niebezpieczne rozmiary. Wydał rozkaz zabicia Kallistenesa. Arystoteles ponoć nigdy tego Aleksandrowi nie wybaczył.

Malone pokiwał głową.

- Niektórzy twierdzą, że to Arystoteles przysłał truciznę, którą rzekomo posłużono się do zamordowania Aleksandra.

Thorvaldsen roześmiał się na tę uwagę.

- Aleksandra nie otruto. Ten manuskrypt tego dowodzi. Aleksander zachorował. Prawdopodobnie na malarię. Kilka tygodni wcześniej przedzierał się przez bagniska. Ale pewności nie ma. A ten napój, ta mikstura, wyleczyła go kiedyś wcześniej i wyleczyła też pomocnika medyka.

- Zwróciłeś uwagę na objawy? - zapytała Cassiopeia. - Gorączka, puchnięcie szyi, śluz, zmęczenie, rany. To brzmi jak opis ciężkiej infekcji wirusowej. A mimo to mikstura wyleczyła pomocnika Glaukusa.

Na Cottonie nie zrobiło to wrażenia.

- Nie można wierzyć jakiemuś manuskryptowi sprzed ponad dwóch tysięcy lat. Nawet nie wiesz, czy jest autentyczny.

- Jest - odpowiedziała Cassiopeia.

Czekał na jakieś wyjaśnienie.

- Mój przyjaciel był specjalistą. Technika, której użył do odkrycia tego pisma, jest doskonała i nie poddaje się fałszerstwom. To jak odczytywanie słów na poziomie molekularnym.

- Cottonie - wtrącił Thorvaldsen. - Aleksander wiedział, że będą się bić o jego ciało. Ponoć na kilka dni przed śmiercią

powiedział, że „jego wspaniali przyjaciele rozpoczną wielkie igrzyska pogrzebowe”, jak tylko go zabraknie. Intrygujący komentarz, który właśnie zaczynamy rozumieć.

Ale uwagę Malone'a przyciągnęło coś innego i zwrócił się do Cassiopeii.

- Powiedziałaś, że twój znajomy z muzeum był specjalistą? Użyłaś czasu przeszłego?

- On nie żyje.

Teraz rozumiał, czemu jest strapiona.

- Byliście blisko związani?

Cassiopeia nie odpowiedziała.

- Mogłaś mi powiedzieć - rzekł z wyrzutem.

- Nie, nie mogłam.

Jej słowa raniły.

- Krótko mówiąc - stwierdził Thorvaldsen - w całej tej sprawie chodzi o zlokalizowanie ciała Aleksandra Wielkiego.

- To życzę powodzenia. Zaginęło piętnaście wieków temu.

- I tu tkwi haczyk - odpowiedziała chłodnym tonem Cassiopeia.

- Prawdopodobnie wiemy, gdzie ono jest, natomiast ten mężczyzna, który przyjedzie tu, żeby nas zabić, tego nie wie.



## PIĘTNAŚCIE

### **SAMARKANDA, FEDERACJA ŚRODKOWOAZJATYCKA, GODZINA 12:20**

ZOWASTINA POPATRZYŁA NA PEŁNE ZAINTERESOWANIA TWARZE studentów i zadała pytanie:

- Kto z was czytał Homera?

Podniosło się tylko kilka rąk.

- Byłam na uniwersytecie, tak jak wy teraz, kiedy po raz pierwszy przeczytałam jego epos.

Pojawiła się w Ludowym Ośrodku Studiów Wyższych na jednym ze swoich licznych wystąpień. Starła się organizować je co najmniej kilka razy w tygodniu. To były okazje, podczas których prasa i lud mogli ją zobaczyć i usłyszeć. Kiedyś był to niedofinansowany rosyjski instytut, ale dziś ośrodek stanowił szacowne centrum akademickie. Zadbala o to, bo wiedziała, że Grecy mieli rację. Analfabetyzm prowadzi do zaniku państwa.

Przeczytała fragment z egzemplarza *Iliady*, który leżał przed nią otwarty.

*Tchórz ustawicznie mieni się na twarzy, nie może ni chwili grozy, od której drży, opanować, usiedzieć spokojnie, kuli się trwożnie, kucnąwszy na piętach raz w raz się poprawia, serce mu wali w piersiach z łomotem, a on w przerażeniu przed upiorami śmierci zębami szczęka bez przerwy. Śmiały wojownik zaś ani się zbytnio nie lęka, ni twarz mu się mieni ze strachu.*

Studenci słuchali jej z przyjemnością.

- To słowa Homera sprzed ponad dwudziestu ośmiu wieków. I wciąż mają sens.

Kamery i mikrofony kierowały się w jej stronę z tyłu sali wykładowej. Przypomniała sobie siebie sprzed dwudziestu ośmiu lat. Północny Kazachstan. Sala lekcyjna.

I jej nauczyciel.

- *Wyplacz się - powiedział Siergiej.*

*Te słowa ją poruszyły. Bardziej, niż uważała to za możliwe. Wpatrywała się w Ukraińca, którego cechował niezwykle aprobujący stosunek do świata.*

- *Masz dopiero dziewiętnaście lat - powiedział. - Pamiętam, jak ja pierwszy raz czytałem Homera. Też byłem pod wrażeniem.*

- *Achilles to taka udręczona dusza.*

- *Wszyscy jesteśmy udręczonymi duszami, Irino.*

*Lubiła, gdy wymawiał jej imię. Wiedział rzeczy, o których nie miała pojęcia. Rozumiał rzeczy, których ona miała dopiero doświadczyć. Chciała je już poznać.*

- *Nigdy nie znalazłam ojca ani matki. Nigdy nie znalazłam nikogo z mojej rodziny.*

- *Oni są nieważni.*

*Była zaskoczona.*

- *Jak może pan tak mówić?*

*Wskazał na książkę.*

- *Losem człowieka jest cierpieć i umrzeć. Przeszłość nie ma żadnego znaczenia.*

*Przez lata zastanawiała się, dlaczego została skazana na życie w samotności. Miała niewielu przyjaciół, żadnych poważnych związków, a życie było dla niej nieustannym wyzwaniem, pełnym pragnień i poczucia braku. Tak samo było z Achillesem.*

- *Irino, dowiesz się, jak cieszyć się wyzwaniami. Życie to ciąg wyzwań. Bitwa za bitwą. Toczy się je nieustannie, niczym Achilles dążący do doskonałości.*

- *A co z porażkami?*

*Wzruszył ramionami.*

- *To tylko konsekwencje niepowodzenia. Pamiętaj, co mówił Homer. To okoliczności panują nad ludźmi, a nie ludzie nad*

*okolicznościami.*

*Pomyślała o innym wersie z poematu. Najsrozsze cierpimy udręki, jedni zadając je drugim, gdy ludziom łaski świadczymy.*

*Nauczyciel skinął głową.*

*- Zawsze o tym pamiętaj.*

*- Piękna opowieść - powiedziała do studentów. - Iliada. Wojna, która toczyła się przez dziewięć lat. A w dziesiątym roku Achilles przestał walczyć z powodu kłótni. Grecki bohater, pełen dumy wojownik, o którego człowieczeństwie stanowiła wielka pasja, odporny na ciosy na całym ciele poza piętami.*

*Dostrzegła uśmiechy na niektórych twarzach.*

*- Każdy ma jakąś słabość - powiedziała.*

*- Pani też, pani premier? - zapytał jeden ze studentów.*

*Poprosiła ich, żeby się nie wstydzili.*

*Zadawali dobre pytania.*

*- Dlaczego mnie pan tego uczy? - zapytała Siergieja.*

*- By poznać swe dziedzictwo, trzeba je zrozumieć. Czy masz świadomość, że możesz być potomkinią Greków?*

*Spojrzała na niego zdumiona.*

*- Jakim sposobem?*

*- Dawno temu, przed islamem, kiedy Aleksander i Grecy podbili te ziemie, wielu jego żołnierzy pozostało tutaj, gdy on powrócił do domu. Osiedlali się w naszych dolinach i brali za żony miejscowe kobiety. Niektóre z naszych słów, melodii czy tańców należały do nich.*

*Nie wiedziała o tym.*

*- Tak, przywiązanie do ludu naszej Federacji - odpowiedziała na zadane przez studenta pytanie. - To wy jesteście moją słabością.*

*Studenci nagrodzili ją brawami.*

*Znowu pomyślała o Iliadzie. O płynącej z niej nauce. Pochwała wojny. Triumf wartości militarnych nad życiem rodzinnym. Honor osobisty. Zemsta. Odwaga. Nietrwałość*

ludzkiego żywota.

*Śmiały wojownik zaś ani się zbytnio nie lęka, ni twarz mu się mieni ze strachu.*

Czy jej twarz mieniła się, gdy stała oko w oko z niedoszłym zamachowcem?

- *Mówisz, że interesuje cię polityka - powiedział Siergiej. - Więc nigdy nie zapomnij o Homerze. Nasi rosyjscy panowie nie wiedzieli nic o honorze. Nasi greccy przodkowie wiedzieli o nim wszystko. Nigdy nie stań się taka jak Rosjanie, Irino. Homer miał rację. Zawieść swoje społeczeństwo to największa porażka ze wszystkich.*

- Kto z was słyszał o Aleksandrze Wielkim? - zapytała.

Podniosło się kilka rąk.

- Zdajecie sobie z sprawę z tego, że być może jesteście Grekami?

- Opowiedziała im to, co Siergiej opowiedział jej dawno temu. O Grekach, którzy pozostali w Azji. - Dziedzictwo Aleksandra to część naszej historii. Odwaga, rycerskość, wytrwałość. To on pierwszy połączył Wschód z Zachodem. Jego sława dotarła do każdego zakątka świata. Wspomina o nim i Biblia, i Koran. Grecki Kościół Prawosławny zalicza go do grona świętych. Żydzi uważali go za bohatera ludowego. Różne wersje opowieści o nim zawierają sagi germańskie, islandzkie i etiopskie. Przez wieki pisano o nim epepeje i wiersze. A opowieść o nim to opowieść o nas.

Doskonale rozumiała, dlaczego Aleksander zachwycał się Homerem. Dlaczego żył „Iliadą”. Nieśmiertelność można zyskać tylko dzięki bohaterskim czynom. Ludzie tacy jak Enrico Vincenti nie rozumieli, czym jest honor. Achilles miał rację. *Nie masz przecie zgody wilków z owcami.*

Vincenti był owcą. A ona wilkiem.

Zgody nie będzie.

Spotkania ze studentami przynosiły wielorakie korzyści, a

jedną z istotniejszych było to, że przypominały jej o tym, co było kiedyś. Dwadzieścia trzy wieki wcześniej Aleksander Wielki przeszedł trzydzieści dwa tysiące kilometrów, podbijając cały znany wówczas świat. Stworzył wspólny język, popierał tolerancję religijną, różnorodność rasową, założył siedemdziesiąt miast, wytyczył nowe szlaki handlowe i zapoczątkował epokę, która trwała ćwierć tysiąclecia. Dążył do *arete*. Greckiego ideału cnoty.

Teraz kolej na nią.

Skończyła rozmowę ze studentami i pożegnała się.

Gdy wychodziła z budynku, jeden z ochroniarzy wręczył jej kartkę papieru. Rozwinęła ją i przeczytała wiadomość. Był to e-mail, który przyszedł pół godziny temu. Zawierał zaszyfrowany adres zwrotny oraz krótką wiadomość. MUSI PANI BYĆ TUTAJ PRZED WIECZOREM.

Zirytowało ją to, ale nie miała wyboru.

- Przygotujcie helikopter - poleciała.

### WENECJA, GODZINA 8:35

WEDŁUG VINCENTIEGO WENECJA WYGLĄDAŁA JAK DZIEŁO SZTUKI. Bizantyjski splendor, islamskie motywy, aluzje do sztuki Indii i Chin. W połowie Wschód, w połowie Zachód, jedną nogą w Europie, drugą w Azji. Niezwykle ludzki twór zrodzony na szeregu wysepek, którym kiedyś udało się stopić w największą republikę kupiecką, potęgę morską, państwo o dwunastu wiekach historii, którego wzniosłe ideały zwróciły nawet uwagę amerykańskich ojców założycieli. Wzbudzała zawiść, podejrzliwość, a nawet strach, handlując bez uprzedzeń ze wszystkimi stronami, wrogami i przyjaciółmi. Pozbawiony skrupułów kupiec, zapatrzony w zysk, który nawet wojny traktuje jako obiecujące inwestycje. Tym właśnie przez stulecia była Wenecja.

A on sam przez ostatnie dwadzieścia lat.

Nabył tę willę położoną przy Wielkim Kanale za pierwsze zyski, które przyniosła jego niedawno założona firma farmaceutyczna. Tak się akurat składało, że siedzibę w tej willi miał i on, i firma, której wartość była obecnie wyceniana w miliardach euro.

Szczególnie lubił Wenecję wczesnym rankiem, kiedy panowała w niej cisza. Poranny spacer z jego *palazzo* przy kanale do ulubionej *ristorante* przy Campo del Leon stanowił jedyny wysiłek fizyczny z jego strony. Ale nie mógł go uniknąć. W Wenecji ruch kołowy był zakazany, można się było po niej poruszać tylko pieszo lub łodziami.

Dzisiaj spacerował pełen nowej energii. Martwił się sprawą florentczyka. Po jej załatwieniu mógł zająć się pozostałymi kilkoma trudnościami. Nic nie dawało mu większej satysfakcji

niż dobrze wykonany plan. Niestety, to nie zdarzało się zbyt często.

Zwłaszcza gdy trzeba było posunąć się do oszustwa.

W porannym powietrzu nie czuć już było nie milego chłodu zimy. Wiosna najwyraźniej zawitała do północnych Włoch. Wiatr też złagodniał, a niebo o pięknej łososiowej barwie rozświetlało słońce wznoszące się znad morza na wschodzie.

Maszerował dziarsko krętymi uliczkami, tak wąskimi, że przejście pod otwartym parasolem mogłoby sprawić trudności. Przeszedł po kilku mostkach, które spinały to piękne miasto. Minął sklep z ubraniami, z papeterią, z winami, z butami oraz kilka dobrze zaopatrzonych sklepów spożywczych. O tej wczesnej porze wszystkie były jeszcze zamknięte.

Doszedł do końca uliczki i wyszedł na plac.

Na jednym końcu wznosiła się stara wieża, która kiedyś była kościołem, a dziś mieściła teatr. Drugi koniec zdobiła kampanila kaplicy Carmine. Pomiędzy nimi stały stare domy i sklepy, aż skrzące się od samozadowolenia. Nie przepadał za *campo*. Uważał, że sprawia wrażenie starego, oschłego i bardzo miejskiego. Były zupełnie inne niż ulice wzdłuż kanałów, przy których pałace przepychały się między sobą, niczym ludzie walczący w tłumie o dostęp do powietrza.

Przyjrzał się pustemu placowi. Czysty i porządny.

Tak jak lubił.

Był człowiekiem opętanym bogactwem, władzą i przyszłością. Mieszkał w jednym z najwspanialszych miast świata, a styl jego życia odpowiadał osobie cieszącej się prestiżem i ceniącej tradycję. Gdy był dzieckiem, jego ojciec, niepozorny człeczyna, który zaszczepił w nim miłość do nauki, powiedział mu, by brał życie takim, jakie jest. To dobra rada. Życie to ciąg reakcji i odzyskiwania sił. Człowiek zawsze albo jest w tarapatkach, albo z nich wychodzi, albo właśnie w nie wpada. Cała sztuczka polega na tym, żeby wiedzieć, na którym etapie właśnie się znajduje, i odpowiednio zadziałać.

On właśnie wyszedł z tarapatów.

I właśnie miał wpaść w kolejne.

Przez ostatnie dwa lata przewodził Radzie Dziesięciu, która

rządziła Ligą Wenecką. Czterysta trzydzieścioro dwoje mężczyzn i kobiet, których ambicje ograniczały wygórowane przepisy rządowe, restrykcyjne prawo handlowe oraz politycy zerujący na zyskach firm. Najgorsze były Ameryka i Unia Europejska. Każdego dnia nowe utrudnienia pomniejszały zyski. Członkowie Ligi wydawali miliardy, by zapobiec wprowadzaniu kolejnych regulacji. I podczas gdy niektórych polityków udawało się nakłonić do zapewnienia cichego poparcia, inni chcieli wyrobić sobie nazwisko, wykrywając tamtych i głośno ich oskarżając.

Frustrujący i nigdy niekończący się cykl.

Dlatego właśnie Liga zdecydowała się stworzyć miejsce, gdzie biznes nie tylko by prosperował, ale jednocześnie rządził. Miejsce przypominające pierwotną Republikę Wenecką, którą przez wieki kierowali ludzie obdarzeni zmysłem handlowym Greków oraz zuchwałością Rzymian, przedsiębiorcy, którzy byli jednocześnie kupcami, żołnierzami, zarządcami i mężami stanu. Miasto-państwo, które przekształciło się w efekcie w imperium. Co jakiś czas Wenecja zawierała sojusze z innymi miastami-państwami, przymierza, które pozwalały przetrwać dzięki połączeniu sił. To się sprawdziło. Współczesny odpowiednik dawnej republiki musiał podzielać podobną filozofię. Vincenti ciężko pracował na swoje sukcesy i zgadzał się z tym, co kiedyś powiedziała mu Irina Zowastina: „Każdy bardziej docenia to, czego zdobycie kosztowało go trochę trudu”

Przeszedł przez plac i podszedł do kawiarni, którą otwierano codziennie o szóstej rano tylko dla niego. Ranek to była jego ulubiona pora dnia. Przed południem najlepiej mu się myślało. Wszedł do *ristorante* i pozdrowił właściciela.

- Emilio, mogę cię prosić o przysługę? Powiedz moim gościom, że zaraz wrócę. Muszę coś załatwić. To zajmie tylko chwilę.

Mężczyzna uśmiechnął się i skinął głową, zapewniając, że to żaden kłopot.

Vincenti minął współpracowników swojej firmy, którzy czekali na niego w bocznej sali restauracyjnej, i wszedł do



kuchni. Zapach pieczonej ryby i smażonych jajek podrażnił jego nos. Zatrzymał się na chwilę i z podziwem popatrzył na to, co gotowało się na kuchence, a potem wyszedł z budynku przez tylne wyjście i znalazł się w jednej z niezliczonych weneckich uliczek. Ta skrywała się w cieniu wysokiego budynku z cegły, pokrytego grubymi osadami ptasich odchodów.

Trzech inkwizytorów czekało w odległości kilku metrów. Skinął, a oni ruszyli za nim gęsiego. Na skrzyżowaniu skręcili w prawo i weszli w kolejną uliczkę. Poczul znajomy odór kanalizacji i gnijących kamieni, cały urok Wenecji. Zatrzymali się przed tylnym wejściem do budynku, w którym na parterze mieścił się butik z ubraniami, a na trzech piętrach apartamenty. Wiedział, że w tej chwili znajdują się dokładnie po drugiej stronie placu.

Przed drzwiami czekał na nich kolejny inkwizytor.

- Jest w środku? - zapytał Vincenti.

Mężczyzna skinął głową.

Vincenti dał znak i trzech inkwizytorzy wkroczyli do budynku, a czwarty pozostał na zewnątrz. Vincenti ruszył za nimi po metalowych schodach. Na drugim piętrze zatrzymali się przed jednym z mieszkań. Vincenti pozostał w odpowiedniej odległości, gdy inkwizytorzy wyciągali broń, a jeden z nich szykował się do wyważenia drzwi kopniakiem.

Vincenti skinął głową.

But uderzył w drewno, a drzwi gwałtownie otworzyły się do środka.

Inkwizytorzy wbiegli do mieszkania.

Kilka sekund później jeden z nich dał mu znak. Vincenti wszedł do apartamentu i zamknął za sobą drzwi.

Dwaj inkwizytorzy przytrzymały kobietę. Była szczupłą, dość atrakcyjną, o jasnych włosach. Usta miała zasłonięte dłonią inkwizytora, a do lewej skroni przystawioną lufę pistoletu. Była przestraszona, ale spokojna. Można się było tego spodziewać, w końcu była profesjonalistką.

- Zaskoczona na mój widok? - zapytał. - Jesteś na obserwacji od blisko miesiąca.

Jej spojrzenie nic nie zdradzało.

- Nie jestem głupcem, nawet jeśli twój rząd za takiego mnie uważa.

Wiedział, że jest agentką amerykańskiego Departamentu Sprawiedliwości i że pracuje dla specjalnej międzynarodowej jednostki pod nazwą Magellan Billet. Liga Wenecka już spotkała się z tą jednostką kilka lat temu, kiedy rozpoczęła pierwsze inwestycje w Azji Środkowej. Można się było tego spodziewać. Ameryka zawsze była wobec Ligi podejrzliwa. Nic z takich śledztw nigdy nie wynikało, ale Waszyngton miał jakąś obsesję na punkcie jego organizacji.

Rzucił okiem na sprzęt agentki. Kamera dalekiego zasięgu umocowana na statywie, komórka, laptop. Wiedział, że przesłuchiwanie jej nie ma sensu. Nie mogła powiedzieć mu niczego nowego, wiedział już raczej wszystko.

- Przeszkodziła mi pani w śniadaniu.

Skinął dłonią i jeden z inkwizytorów zabrał jej sprzęt.

Vincenti podszedł do okna i spojrzął w dół na wciąż puste *campo*. Decyzja, którą teraz podejmie, zaważy na jego przyszłości. Zamierzał zastosować zasadę „gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta” w niebezpiecznej rozgrywce, która nie spodoba się ani Lidze Weneckiej, ani Irinie Zowasti-nie. Amerykanom też nie, skoro już o nich mowa. Swoje odważne posunięcie zaplanował dość dawno temu.

Ojciec wielokrotnie mu powtarzał, że potulni nie zasługują na nic.

Wciąż patrząc przez okno, uniósł rękę i dał znak, strzepując nadgarstkiem. Suchy trzask świadczył o tym, że kobiecie skreślono kark. Zabijanie mu nie przeszkadzało. Ale przyglądanie się tak.

lego ludzie wiedzieli, co trzeba zrobić.

Na dole czekał już samochód, który zabrał ciało na drugą stronę miasta, gdzie czekała trumna z poprzedniego dnia. Spokojnie pomieszczą się we dwoje.

## SIEDEMNAŚCIE

### DANIA

MALONE PRZYGLĄDAŁ SIĘ MĘŻCZYŹNIE, KTÓRY WŁAŚNIE PRZYJECHAŁ w pojedynkę, kierując audi z kolorową naklejką firmy wynajmującej samochody na przedniej szybie. Był niski, przysadzisty, z gęstą potarganą czupryną, w workowatym ubraniu. Dłonie i ramiona świadczyły o tym, że jest przyzwyczajony do ciężkiej pracy. Prawdopodobnie tuż po czterdziestce, a rysy wskazywały na słowiańskie pochodzenie - spory nos, głęboko osadzone oczy.

Mężczyzna wszedł na ganek i powiedział:

- Nie jestem uzbrojony. Ale możecie sprawdzić.

Malone wciąż celował do niego z pistoletu.

- Przyjemnie mieć do czynienia z profesjonalistą.

- To ty byłeś w muzeum.

- A ty zostawiłeś mnie w środku.

- To nie ja. Ale się na to zgodziłem.

- Spora doza szczerości jak na człowieka, w którego mierzę z broni.

- Nie boję się broni.

Malone nie wątpił.

- Nie widzę pieniędzy.

- A ja nie widzę monety.

Malone przesunął się i pozwolił mężczyźnie wejść do środka.

- Nazywasz się jakoś?

Mężczyzna zatrzymał się w drzwiach i odwrócił, patrząc twardym wzrokiem.

- Viktor.



CASSIOPEIA PATRZYŁA SPOŚRÓD drzew, jak mężczyzna z samochodu i Malone wchodzi do domu. Nieważne, czy przyjechał sam czy z kimś. Wszystko miało się zaraz rozstrzygnąć.

Ze względu na Malone'a miała nadzieję, że wraz z Thorvaldsenem wszystko dobrze wyliczyli.



MALONE ODSUNĄŁ się na bok, podczas gdy Thorvaldsen i mężczyzna o imieniu Viktor rozmawiali. Zachował czujność, obserwując wszystko z zaangażowaniem kogoś, kto kilkanaście lat pracował jako agent rządowy. On też często stawał twarzą w twarz z nieznanym przeciwnikiem, uzbrojony tylko we własną inteligencję i doświadczenie, licząc, że wszystko pójdzie dobrze i że wyjdzie z tego cały i zdrowy.

- Kradniecie te monety ze wszystkich kontynentów - powiedział Thorvaldsen. - Po co? Nie są szczególnie cenne.

- Nie znam się na tym. Wy za swoją chcecie pięćdziesiąt tysięcy euro. To pięć razy więcej, niż jest warta.

- A wy, co zdumiewające, jesteście gotowi tyle zapłacić. To znaczy, że nie jesteście kolekcjonerami. Dla kogo pracujecie?

- Dla siebie.

Thorvaldsen wydał z siebie cichy chichot.

- Nieźle poczucie humoru. Podoba mi się. W twoim angielskim słyszę wschodnioeuropejski akcent. Była Jugosławia? Chorwacja?

Viktor nie odpowiedział. Malone uświadomił sobie, że ich gość do tej pory niczego w tym domu nie dotknął.

- Tak przypuszczałem, że nie odpowiesz na to pytanie - powiedział Thorvaldsen. - Jak chcesz ubić z nami interes?

- Chciałbym obejrzeć monetę. Jeśli będę zadowolony, przygotuję na jutro pieniądze. Dzisiaj nie da rady. Jest niedziela.

- To zależy, gdzie masz swój bank - wtrącił Malone.

- Mój bank jest zamknięty. - Pozbawione wyrazu spojrzenie

Viktora świadczyło o tym, że temat uważał za zakończony.

- Gdzie nauczyliście się robić grecki ogień? - zapytał Thorvaldsen.

- Masz niezłą wiedzę.

- Jestem przecież właścicielem Muzeum Kultury Greków i Rzymian. Malone'owi zjeżyły się włosy na karku. Ludzie tacy jak Viktor, którzy nie wydają się zbyt wylewni, idą na ustępstwa tylko wtedy, gdy mają pewność, że ich rozmówcy wkrótce nie będą w stanie się na nie powołać.

- Wiem, że szukacie monet ze słoniem - powiedział Thorvaldsen.

- I macie prawie wszystkie, poza moją i trzema innymi. Myślę, że jesteście tylko najemnymi pomocnikami i nie macie pojęcia, dlaczego te monety są tak poszukiwane, i nawet was to nie interesuje. Wierni służący.

- A kim ty jesteś? Bo na pewno nie właścicielem muzeum.

- Jak najbardziej jestem jego właścicielem i chcę zapłaty za zniszczenia. Stąd ta wysoka cena.

Thorvaldsen sięgnął do kieszeni, wyjął przezroczyste plastikowe pudełko i rzucił je w stronę nieznanego. Ten chwycił je obiema rękami. Malone przyglądał się, jak ich gość wysypuje monetę na otwartą dłoń. Miała wielkość pięćdziesięciocentówki, była pokryta grafitowym osadem, a na obu stronach widniały jakieś rysunki. Viktor wyjął z kieszeni jubilerską lupę.

- Jesteś ekspertem? - zapytał Malone.

- Znam się na tym wystarczająco dobrze.

- Mikrograwerunek jest tam, gdzie trzeba - powiedział Thorvaldsen.

- Greckie litery. ZH. Dzeta i eta. To zdumiewające, że starożytni potrafili je wygrawerować.

Viktor kontynuował oględziny monety.

- Zadowolony? - zapytał Malone.



VIKTOR OBEJRZAŁ MONETĘ I CHOĆ NIE MIAŁ PRZY SOBIE MIKROskopu i wagi, uznał, że wygląda na prawdziwą.

Wyglądała najlepiej ze wszystkich.

Przyszedł nieuzbrojony, ponieważ chciał, żeby ci ludzie poczuli się pewnie. Tutaj potrzebne było wyrafinowane działanie, a nie siła. Ale jedna rzecz go martwiła. Nieobecność tamtej kobiety.

Podniósł wzrok, pozwalając, by lupa wpadła mu w prawą dłoń.

- Mogę przyjrzeć się jej dokładniej, przy oknie? Potrzebuję więcej światła.

- Oczywiście - odpowiedział starszy mężczyzna.

- Jak się nazywasz? - zapytał Viktor.

- Powiedzmy, że Ptolemeusz, może być?

Viktor uśmiechnął się.

- Ptolemeuszów było wielu. Którym jesteś?

- Pierwszym. Najbardziej oportunistycznym z dowódców Aleksandra. Po jego śmierci przydzielił sobie Egipt. Spryciarz. Jego potomkowie rządzą nim przez wieki.

Viktor potrząsnął głową.

- Ale w końcu Rzymianie ich pokonali.

- Nic nie trwa wiecznie. Tak jak moje muzeum.

Viktor zbliżył się do zaciemnionej szyby. Mężczyzna z pistoletem trzymał straż przy drzwiach. Viktor potrzebował ułamka sekundy. Ustawiając się między pasmami słonecznego światła, na moment odwrócił się do nich plecami i wykonał swój ruch.



CASSIOPEIA ZOBACZYŁA, ŻE JAKIŚ MĘŻCZYZNA POJAWIŁ SIĘ POŚRÓD drzew po drugiej stronie domu. Był młody, szczupły i bardzo sprawny. Choć zeszłej nocy w muzeum nie widziała twarzy żadnego z dwóch podpalaczy, rozpoznała tę ostrożność w ruchach i zwinny krok.

To był jeden ze złodziei.

Kierował się prosto do samochodu Thorvaldsena.

Starają się, musiała przyznać, ale nie są dość ostrożni, zwłaszcza wiedząc, że ktoś wyprzedza ich co najmniej o kilka kroków.



MALONE ZAUWAŻYŁ PODMIANĘ. VIKTOR ZŁAPAŁ LUPEĘ W PRAWĄ dłoń, trzymając monetę w lewej. Ale gdy z powrotem przykładał lupę do oka, kontynuując badanie, monetę trzymał już w prawej dłoni, a palec wskazujący i kciuk lewej zawinęły się do środka, ukrywając autentyczną monetę.

Obserwowała, jak mężczyzna wbija nóż w tylne opony samochodu, a potem wycofuje się.

Nieźle. Zręcznie połączone z podejściem do okna i poszukiwaniem dobrego oświetlenia. Świetny sposób na odwrócenie uwagi.

Szybko przerzucił wzrok na Thorvaldsena, a ten delikatnie skinął głową, potwierdzając, że również to zauważył. Viktor trzymał monetę w świetle i przyglądał się jej przez lupę. Thorvaldsen pokręcił głową, dając tym samym znak, że nie będą reagować.

Malone po raz drugi zapytał:

- Zadowolony?

Viktor upuścił lupę do lewej dłoni i schował ją do kieszeni, razem z prawdziwą monetą. A potem uniósł do góry tę, którą podmienił, zwracając w ten sposób najprawdopodobniej fałszywkę z muzeum.

- To oryginał.

- Wart pięćdziesiąt tysięcy euro? - zapytał Thorvaldsen.

Viktor skinął głową.

- Zgromadzę pieniądze. Gdzie się spotkamy?

- Zadzwoń jutro pod tamten numer z monety i uzgodnimy szczegóły.

- Tylko włóż ją z powrotem do pudełka - dodał Malone.

Viktor podszedł do stołu.

- Nieźle sobie pogrywacie.
- To nie jest gra - odparł Thorvaldsen.
- Pięćdziesiąt tysięcy euro?
- Już mówiłem, zniszczyliście moje muzeum.

Malone dostrzegł w ostrożnym wzorku Viktora poczucie pewności. Ten człowiek nie zdawał sobie sprawy, z kim ma do czynienia, i uważał się za bystrzejszego. A to zawsze jest niebezpieczne.

Lecz Malone popełnił jeszcze gorszy błąd.

Zgodził się na udział w tym wszystkim, ufając, że dwójka jego przyjaciół wie, co robi.



## OSIEMNAŚCIE

### **PROWINCJA SINKIANG, CHINY, GODZINA 15:00**

ZOWASTINA WYGLĄDAŁA PRZEZ SZYBĘ HELIKOPTERA, GDY OPUSZCZALI przestrzeń powietrzną Federacji i znaleźli się nad najhardziej wysuniętą na zachód częścią Chin. Kiedyś rejon ten stanowił ściśle strzeżony obszar graniczny ZSSR, którego pilnowały liczne oddziały wojska. Dzisiaj granice były otwarte. Żadnych ograniczeń dla transportu i handlu. Chiny były jednym z pierwszych państw, które formalnie uznały Federację, a zawarte z nimi umowy zapewniały wolny handel i możliwość swobodnego podróżowania.

Prowincja Sinkiang zajmowała szesnaście procent całego obszaru Chin. W większości góry i pustynie zasobne w surowce naturalne. Była to prowincja odmienna od reszty kraju. Mniej komunistyczna. Bardzo islamska. Kiedyś nazywano ją Turkiestanem Wschodnim, ponieważ tożsamość mieszkańców bliższa była Azji Środkowej niż Państwu Środka.

Liga Wenecka przyczyniła się do sformalizowania przyjaznych stosunków z Chińczykami i Zowastina między innymi z tego powodu zdecydowała się do niej przystąpić. Wielki Zachodni Skok Gospodarczy rozpoczął się pięć lat temu, kiedy Pekin zaczął wydawać miliardy na infrastrukturę i rozwój całej prowincji Sinkiang. Członkowie Ligi zdobyli wiele kontraktów w zakresie wydobywania surowców, produkcji maszyn, remontów i budowy dróg. Liga miała w chińskiej stolicy mnóstwo przyjaciół, ponieważ pieniądź w komunistycznym świecie jest tak samo przekonujący jak wszędzie indziej, a Zowastina wykorzystywała te powiązania do wzmacniania własnej pozycji politycznej.

Lot z Samarkandy szybkim helikopterem trwał nieco ponad

godzinę. Pokonywała tę trasę już wielokrotnie i jak zawsze spoglądała na rozpościerającą się w dole surową okolicę, wyobrażając sobie starożytne karawany, które kiedyś wędrowały na wschód i na zachód wzdłuż słynnego Jedwabnego Szlaku. Przewożono wtedy wówczas nefryt, koral, płótno, szkło, złoto, żelazo, czosnek, herbatę, a nawet karły, młode kobiety i konie, tak dzikie, że ponoć pociły się krwią. Aleksander Wielki nigdy nie dotarł tak daleko na wschód, ale Marco Polo z pewnością stapał po tej ziemi.

Przed sobą ujrzała Kaszgar.

Miasto leżało na skraju pustyni Takla Makan, sto dwadzieścia kilometrów na wschód od granicy z Federacją, w cieniu ośnieżonych szczytów Pamiru, jednych z najwyższych i najbardziej nieprzyjaznych gór na świecie. Ta najbardziej wysunięta na zachód metropolia Chin była niczym oaza i podobnie jak Samarkanda szczyciła się ponad dwoma tysiącami lat historii. Kiedyś gościła zatłoczone i pełne życia bazyry, ale teraz wypełniał ją przede wszystkim kurz oraz jęki i zawodzenia muezinów zwołujących mężczyzn na modlitwę w czterech tysiącach meczetów. W mieście pełnym hoteli, magazynów, firm i świątyń mieszkało trzysta pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Po murach miejskich nie został nawet ślad, a miasto otaczała nowoczesna obwodnica, kolejny element wielkiego skoku gospodarczego, którą we wszystkich kierunkach poruszały się zielone taksówki.

Helikopter przechylił się lekko i skierował na północ, tam, gdzie zmieniał się krajobraz. Pustynia zaczynała się tuż na wschodzie. Takla Makan znaczyło ponoć „wejdz, a nie wyjdiesz”. Doskonały opis miejsca, w którym wiatr jest tak gorący, że potrafi zabić całą karawanę w kilka minut.

Zowastina dostrzegła cel swojej podróży.

Budynek z czarnego szkła stojący w środku pokrytej kamieniami łąki. Pięćset metrów dalej zaczynał się las. Żadne oznaczenie nie wskazywało, że ten dwupiętrowy budynek należy do Philogen Pharmaceutique, luksemburskiej firmy z siedzibą we Włoszech, której największym udziałowcem był pewien amerykański obywatel o raczej z włoska brzmiącym

nazwisku Enrico Vincenti.

Już wcześniej zadbała o to, by lepiej poznać historię życia Vincentiego.

Był wirusologiem, którego w latach siedemdziesiątych Irakijczycy zatrudnili do udziału w badaniach nad bronią biologiczną, którą chciał wtedy rozwijać ówczesny nowy przywódca Saddam Husajn. Uważał on, że konwencja dotycząca rozwoju, produkcji i przechowywania broni biologicznej z 1972 roku, która wprowadzała ogólnoswiatowy zakaz stosowania broni biologicznej, to po prostu świetna okazja do działania. Vincenti pracował dla Irakijczyków niemal do pierwszej wojny w Zatoce, kiedy to Husajn szybko zdecydował się na porzucenie owych badań. Pokój oznaczał obecność inspektorów ONZ, którzy wymusili całkowitą rezygnację z badań. Vincenti musiał się przenieść i założył firmę farmaceutyczną, która w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku rozwijała się w zdumiewającym tempie. Obecnie była największą taką firmą w Europie i mogła pochwalić się imponującym zestawem patentów. Olbrzymi międzynarodowy konglomerat. Niezłe osiągnięcie jak na nikomu nieznanego najemnego naukowca. Zawsze ją to zastanawiało.

Helikopter wylądował i Zowastina weszła do budynku.

Zewnętrzne szklane ściany stanowiły jedynie fasadę. Przystające do siebie szklane płyty osłaniały wznoszącą się w środku osobną budowlę. Wyłożony łupkiem chodnik okrężał wewnętrzny budynek, a jego obie strony otaczały ozdobne krzewy. Kamienne ściany budynku przełamywały trzy pary podwójnych drzwi. Wiedziała, że ten wyjątkowy układ architektoniczny miał na celu zapewnienie bezpieczeństwa. Żadnych płotów zakończonych drutem kolczastym. Żadnych strażników. Żadnych kamer. Wszystko po to, by budynek nie zwracał niczyjej uwagi.

Przeszła przez część zewnętrzną i zbliżyła się do jednego z wejść. Drogę zagroziła jej metalowa barierka. Za marmurowym kontuarem stał ochroniarz. Bramkę otwierało się biometrycznym czytnikiem dłoni, lecz jej nikt nie

zatrzymywał.

Po drugiej stronie stał drobny, blisko sześćdziesięcioletni mężczyzna o przerzedzonych siwych włosach i mysiej twarzy. Pozbawione wyrazu oczy spoglądały na nią zza okularów w drucianej oprawie. Ubrany był w rozpięty czarno-złoty fartuch laboratoryjny, a do kłapy miał przypięty identyfikator z nazwiskiem Grant Lyndsey.

- Witam panią premier - zwrócił się do niej po angielsku.

Odpowiedziała na powitanie spojrzeniem, które miało wyrażać irytację. W swoim e-mailu sugerował, że sprawa jest pilna, i choć wcale jej się to nie podobało, odwołała wszystkie swoje popołudniowe zajęcia i przyleciała na wezwanie.

Weszli do wewnętrznego budynku.

Za głównym wejściem droga rozwidlała się. Lyndsey skręcił w lewo i poprowadził ją labiryntem pozbawionych okien korytarzy. W budynku panowała szpitalna czystość i czuć było chlor. Wszystkie drzwi zaopatrzone w elektroniczne zamki. Przy drzwiach z napisem „Dyrektor ds. Naukowych” Lyndsey odpiął identyfikator od kłapy i przeciągnął kartę przez czytnik.

W pozbawionym okien biurze dominował nowoczesny wystrój. Za każdym razem, gdy tu wchodziła, dziwiła ją jedna rzecz. Nie było tu żadnych zdjęć rodziny. Ani dyplomów na ścianach. Ani pamiątek. Jakby ten człowiek nie miał osobistego życia. Co prawdopodobnie nie miało się z prawdą.

- Muszę coś pani pokazać - powiedział Lyndsey.

Mówił do niej jak do równej sobie, a ona tego nie znosiła. Swoim tonem zawsze podkreślał, że mieszka w Chinach i nie jest jej poddanym.

Włączył monitor, na którym wyświetlił się obraz z zamieszczonej przy suficie kamery. Na krześle siedziała kobieta w średnim wieku i oglądała telewizję. Zowastina wiedziała, że to obraz z pokoju na piętrze budynku, z oddziału z pacjentami, ponieważ widywała już takie nagrania.

- W zeszłym tygodniu - powiedział Lyndsey - poprosiłem o kolejny tuzin z więzienia. Tak jak zwykle.

Nie miała pojęcia, że przeprowadzane są kolejne testy kliniczne.

- Dlaczego mnie nie poinformowano?
- Nie wiedziałem, że mam taki obowiązek.

Zrozumiała aluzję. Tutaj szefem jest Vincenti. To jego laboratorium, jego ludzie, jego mikstury. Tak naprawdę okłamała Envera. To nie ona go wyleczyła, tylko Vincenti. Odtrutkę podał technik z jego laboratorium, gdyż choć to ona była w posiadaniu patogenów, Vincenti dysponował odtrutkami. Równowaga sił, którą wymusiła nieufność i która od samego początku zapewniała, że będą równoprawnymi partnerami.

Lyndsey nacisnął guzik pilota i na ekranie pojawił się widok na inne pokoje, w sumie było ich osiem, a w każdym tkwił pacjent, kobieta lub mężczyzna. W przeciwieństwie do pierwszej kobiety wszyscy leżeli bezwładnie na łóżkach i byli podłączeni do kroplówek.

Żaden z pacjentów nie wykonał najmniejszego ruchu.

Lyndsey zdjął okulary.

- Użyłem tylko dwunastu, ponieważ tyłu udało się zdobyć w tak krótkim czasie. Musiałem szybko przebadać odtrutkę na nowego wirusa. Tego, o którym opowiadałem pani miesiąc temu. Dość obrzydliwego.

- A gdzie go pan znalazł?

- U pewnego gatunku gryzoni na wschód stąd, w prowincji Heilongjiang. Słyszeliśmy opowieści o tym, jak ludzie chorują po ich zjedzeniu. Z całą pewnością we krwi tych szczurów krążył jakiś złożony wirus. Po lekkim podrasowaniu to cholera ma niesamowitą siłę rażenia. Śmierć następuje w ciągu niecałego dnia. - Lyndsey wskazał na ekran. - Oto dowód.

To właśnie ona poprosiła o jakiś silniej działający środek. Coś, co zabijałoby w jeszcze krótszym czasie niż dwadzieścia osiem patogenów, które już posiadała.

- Wszyscy są podłączeni do aparatury podtrzymującej życie. Śmierć kliniczna nastąpiła kilka dni temu. Muszę przeprowadzić autopsje, żeby potwierdzić dane wirusologiczne, ale chciałem pokazać to pani, zanim ich pokroimy.

- A odtrutka?

- Wystarczyła jedna dawka i cała dwunastka zaczęła wracać

do zdrowia. Zasadnicza poprawa w ciągu kilku godzin. Potem u wszystkich zastąpiłem odtrutkę placebo, poza tą pierwszą kobietą. Jest próbką kontrolną. Tak jak się spodziewałem, wszyscy inni szybko stracili przytomność i zmarli - z powrotem wrócił do obrazu z kamery umieszczonej w pokoju pierwszej kobiety. - Ale u niej nie ma śladu wirusa. Jest całkowicie zdrowa.

- Czemu służyły te testy?

- Chciała pani nowego wirusa. Musiałem się przekonać, czy wprowadzone ulepszenia sprawdzają się w praktyce. - Lyndsey uśmiechnął się do niej. - I jak już wspomniałem, musiałem też sprawdzić działanie odtrutki.

- Kiedy dostanę tego nowego wirusa?

- Może go pani wziąć już dzisiaj. Dlatego właśnie panią wezwałem.

Nie lubiła przewozić wirusów, ale tylko ona знаła lokalizację laboratorium. Taki był układ z Vincentim. Osobisty układ. W żadnym razie nie mogła nikomu powierzyć owoców ich współpracy. A poza tym jej helikoptera Chińczycy nigdy by nie zatrzymali.

- Przygotujcie go.

- Wszystko gotowe, zamrożone i spakowane.

Wskazała na monitor.

- A co z nią?

Wzruszył ramionami.

- Zostanie ponownie zainfekowana. Jutro będzie martwa.

Zowastina wciąż była podenerwowana. Pozbyła się nieco frustracji, traktując niedoszłego zamachowca, ale wciąż nie знаła odpowiedzi na wiele pytań związanych z próbą jej zabójstwa. Skąd Vincenti o niej wiedział? Może to on je zlecił? Trudno powiedzieć. Ale dała się zaskoczyć. Vincenti wyprzedzał ją o krok. A to jej się nie podobało.

Lyndsey też jej się nie podobał.

Ponownie wskazała na monitor.

- Proszę ją też przygotować do podróży. Teraz.

- Czy to rozsądne?

- To już moje zmartwienie.

Uśmiechnął się.

- Odrobina rozrywki?

- A ma pan ochotę dołączyć?

- Nie, dziękuję. Podoba mi się tutaj, po chińskiej stronie granicy. Zowastina wstała.

- Na pana miejscu nie ruszałabym się stąd.

## DZIEWIĘTNAŚCIE

### DANIA

MALONE WCIĄŻ TRZYMAŁ BRONŃ W POGOTOWIU, PODCZAS GDY Thorvaldsen kończył rozmowę z Viktorem.

- Wymiany możemy dokonać tutaj - powiedział Thorvaldsen.  
- Jutro.

- Nie wyglądasz na kogoś, kto potrzebuje kasy - odparł Viktor.  
- Potrzebuję tyle, ile tylko zdołam zdobyć.

Malone z trudem ukrył uśmiech. Jego przyjaciel Duńczyk w rzeczywistości przekazywał miliony euro na rozmaite cele na całym świecie. Zastanawiał się nawet, czy sam nie był takim celem, kiedy dwa lata temu Thorvaldsen zadał sobie trud, by dotrzeć do niego w Atlancie i zaproponować mu możliwość przeniesienia się do Kopenhagi. Skorzystał z okazji przeprowadzenia takiej zmiany w swoim życiu i do dziś jej nie żałował.

- Ciekawi mnie jedna rzecz - powiedział Viktor. - Falszywka była doskonale wykonana. Kto ją zrobił?

- Bardzo utalentowany rzemieślnik, który z dumą wykonuje swoją pracę.

- Proszę przekazać mu moje gratulacje.

- Część waszych euro trafi właśnie do niego. - Thorvaldsen zawahał się. - Ja też mam pytanie. Zamierzacie zdobyć kolejne dwie monety, te, które są w Europie?

- A jak myślisz?

- A tę trzecią, która jest w Samarkandzie?

Viktor nie odpowiedział, ale aluzja Thorvaldsena z pewnością została zrozumiana. Wiemy, co robicie.

Viktor zaczął się zbierać do wyjścia.

- Zadzwoń jutro.

Thorvaldsen nie wstał, gdy jego rozmówca wychodził.



- Będę czekać na kontakt.

Usłyszeli, jak drzwi frontowe otwierają się, a potem zamykają.

- Cottonie - powiedział Thorvaldsen, wyjmując z kieszeni papierową torebkę. - Mamy niewiele czasu. Wsuń ostrożnie pudełko z monetą do tej torebki.

Cotton od razu zrozumiał.

- Odciski palców? Dlatego dałeś mu monetę.

- Pewnie zauważyłeś, że starał się niczego nie dotknąć. Ale musiał dotknąć monety, żeby móc dokonać podmiany.

Malone użył lufy pistoletu, żeby wsunąć plastikowe pudełko do torebki, starając się, żeby upadło poziomo. Zawinął jej brzeg, zostawiając dużo miejsca w środku. Znał procedurę. W przeciwieństwie do tego, co sugerują telewizyjne seriale, to papier, a nie plastik, jest najlepszy do przechowywania odcisków palców. Dużo mniejsza szansa, że się rozmażą.

Thorvaldsen wstał.

- Chodź już. - Cotton patrzył, jak przyjaciel z głową wysuniętą do przodu przechodzi przez pokój, powłócząc nogami. - Musimy się śpieszyć.

Cotton spostrzegł, że Thorvaldsen idzie na tyły domu.

- Dokąd się wybierasz?

- Najważniejsze to stąd wyjść.

Cotton pobiegł za przyjacielem i wydostali się razem przez kuchenne drzwi na otoczony balustradą taras wychodzący na morze. W odległości pięćdziesięciu metrów od skalistego wybrzeża odchodziła mała przystań, przy której czekała motorówka. Poranne niebo zachmurzyło się. Stalowo-szare chmury zwisały nisko nad ziemią. Rześki wiatr z północy owiewał cieśninę, wzbudzając pianę na brązowej tafli.

- Odjeżdżamy? - zapytał, gdy Thorvaldsen schodził z tarasu.

Duńczyk wciąż poruszał się ze zdumiewającą prędkością, jak na kogoś z pokrzywionym kręgosłupem.

- A gdzie jest Cassiopeia? - zapytał Malone.



CASSIOPEIA OBSERWOWAŁA, JAK MEŹCZYŻNA, KTÓRY WYSZEDŁ Z domu, wsiada do wynajętego samochodu i odjeżdża wysadzaną drzewami drogą prowadzącą do autostrady. Włączyła miniaturowy ekran LCD, który połączony był drogą radiową z dwiema kamerami wideo. Zainstalowała je w zeszłym tygodniu, jedną przy wyjeździe na szosę, a drugą wysoko na drzewie, oddalonym o jakieś pięćdziesiąt metrów od domu.

- W tarapatach - odparł Thorvaldsen. - Ale to właśnie zapewni nam przewagę.

Samochód widoczny na małym ekranie zatrzymał się.

Człowiek, którzy przebił opony w samochodzie Thorvaldsena, wybiegł z lasu. Kierowca audi otworzył drzwi i wysiadł. Obaj cofnęli się drogą kilka metrów w stronę domu.

Cassiopeia doskonale wiedziała, na co czekają.

Wyłączyła więc ekran i opuściła swoją kryjówkę.



VIKTOR CZEKAŁ, ŻEBY SPRAWDZIĆ, CZY MIAŁ RACJĘ. ZAPARKOWAŁ samochód tuż za zakrętem gęsto porośniętej drogi dojazdowej i obserwował dom zza pnia drzewa.

- Nigdzie się nie wybiorą - powiedział Rafael - z dwiema przebitymi oponami.

Viktor wiedział, że ta kobieta musiała ich obserwować.

- Nic po sobie nie pokazałem - powiedział Rafael. - Udawałem, że cały czas się rozglądam i nie zauważam niczego niepokojącego.

Tak właśnie wcześniej kazał mu się zachowywać partner.

Viktor wyjął z kieszeni monetę, którą udało mu się ukraść. Rozkazy premier Zowastiny były jasne. Zdobyć i dostarczyć wszystkie monety w nienaruszonym stanie. Mieli już pięć. Zostały tylko trzy.

- Jacy oni są? - zapytał Rafael.

- Zagadkowi.

I rzeczywiście tak uważał. Potrafił przewidzieć ich ruchy, nawet

przychodziło mu to zbyt łatwo, co było trochę niepokojące.

Z zagajnika wyszła ta sama szczupła kobieta o kocich ruchach. Z pewnością zauważyła przecięte opony i biegła donieść o tym swoim towarzyszom. Viktor był zadowolony, że miał rację. Ale dlaczego nie próbowała powstrzymać wtedy Rafaela? Może po prostu miała ograniczyć się do obserwacji? Viktor zauważył, że kobieta coś niesie. Coś małego i prostokątnego. Żałował, że nie ma ze sobą lornetki.

Rafał sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął radiowy detonator.

Viktor delikatnie położył dłoń na ramieniu partnera.

- Jeszcze nie teraz.

Kobieta zatrzymała się i przyjrzała oponom, a potem podbiegła do frontowych drzwi domu.

- Dajmy jej czas.

Trzy godziny temu, po umówieniu spotkania, obaj przyjechali prosto tutaj. Przeprowadzili dokładne rozeznanie, które potwierdziło, że dom jest opustoszały, więc rozłożyli paczki z greckim ogniem pod podwyższonymi fundamentami i na strychu. Tym razem zamiast żółwia zastosowali zdalne starowanie ładunkiem wybuchowym.

Kobieta zniknęła we wnętrzu domu.

Viktor policzył po cichu do dziesięciu i cofnął dłoń z ramienia Rafaela.



MALONE STAŁ JUŻ NA MOTORÓWCE. OBOK NIEGO ZNAJDOWAŁ SIĘ Thorvaldsen.

- Co miałeś na myśli, mówiąc, że Cassiopeia jest w tarapatach?

- Pod cały dom podłożono grecki ogień. Przyjechali tu przed nami i przygotowali się. Teraz Viktor, mając monetę, ma nadzieję, że nie przeżyjemy spotkania.

- I czekają, żeby mieć pewność, że Cassiopeia też jest w środku.

- Tak zakładam. Zaraz przekonamy się, czy oni zakładają to samo.



CASSIOPEIA POCZEKAŁA, AŻ FRONTOWE DRZWI ZAMKNĄ SIĘ ZA NIĄ, a potem biegiem ruszyła przez dom. To było ryzykowne. Mogła liczyć tylko na to, że złodzieje dadzą jej kilka sekund, zanim zdetonują mieszankę. Nerwy miała napięte, umysł działał na najwyższych obrotach, a smutek został wyparty przez napędzany adrenaliną pośpiech.

W muzeum Malone wyczuł jej melancholię, najwyraźniej domyślając się, że coś jest nie tak.

I tak było.

Ale w tym momencie nie mogła o tym myśleć. Straciła już dosyć energii na oplakiwanie tego, czego nie dało się zmienić. W tej chwili liczyło się tylko jak najszybsze dotarcie do tylnych drzwi.

Pędem wybiegła na zewnątrz.

Malone i Thorvaldsen czekali w motorówce.

Dom zasłaniał widok, uniemożliwiając dostrzeżenie ich ucieczki z drogi dojazdowej od frontu. Cassiopeia wciąż ścisnęła przenośny ekran LCD.

Sześćdziesiąt metrów do wody.

Skoczyła z drewnianego tarasu.



MALONE ZAUWAŻYŁ, ŻE CASSIOPEIA WYBIEGŁA Z DOMU I PĘDZI w ich kierunku.

Pięćdziesiąt metrów.

Trzydzieści.

Nagle poczuli potężny podmuch i cały dom stanął w ogniu. W jednej sekundzie dom był cały i nienaruszony, a w kolejnej płomienie buchały ze wszystkich okien, spod podłogi i przez dach wznosiły się do nieba. Jak czary - pomyślał Malone. Żadnego wybuchu. Natychmiastowe spalanie. Całkowite.

Zupełne. I przy braku dostępu do słonej wody nie do powstrzymania.

Cassiopeia wbiegła na przystań i wskoczyła do łodzi.

- O mały włos - powiedział.

- Schowaj się - nakazała.

Skulili się na dnie łodzi, a ona nastawiła przenośny ekranik, żeby zobaczyć samochód podpalaczy.

Wsiadało do niego dwóch mężczyzn. Malone rozpoznał Viktora. Samochód odjechał, znikając z ekranu. Cassiopeia wcisnęła przełącznik i druga kamera pokazała, jak samochód wyjeżdża na szosę.

Thorvaldsen wyglądał na zadowolonego.

- Wygląda na to, że nasz podstęp się udał.

- A nie sądzicie, że mogliście mnie uprzedzić, co się będzie działo? - zapytał Malone.

Cassiopeia posłała mu złośliwy uśmiezek.

- Co to by była wtedy za zabawa?

- On ma monetę.

- I tego właśnie chcieliśmy - odpowiedział Thorvaldsen.

Nad trawionym przez płomień domem unosiły się kłęby dymu. Cassiopeia uruchomiła silnik i wypłynęła motorówką z zatoczki. Nadmorska posiadłość Thorvaldsena znajdowała się zaledwie kilka mil na północ.

- Łódź dostarczono tuż po naszym przybyciu - powiedział Thorvaldsen, chwytając Malone'a za ramię i prowadząc go na rufę. Na dziobie opryskiwała ich słona zimna mgiełka. - Doceniam twoją obecność. Mieliśmy zamiar poprosić cię o pomoc dzisiaj, po zniszczeniu muzeum. Dlatego Cassiopeia umówiła się z tobą na spotkanie. Potrzebuje twojej pomocy, ale wątpię, by o nią teraz poprosiła.

Malone miał jeszcze kilka pytań, ale zdawał sobie sprawę, że to nie jest odpowiednia chwila. Lecz jego odpowiedź mogła być tylko jedna.

- Może na mnie liczyć - powiedział. - Oboje możecie na mnie liczyć.

Thorvaldsen uściśnął mu ramię w podziękowaniu. Cassiopeia patrzyła na fale, kierując łodzią.

- Jest bardzo źle? - zapytał Malone.

Ryk silnika i szum wiatru stłumiły jego głos na tyle, by mógł go usłyszeć tylko Thorvaldsen.

- Bardzo. Ale teraz jest przynajmniej jakaś nadzieja.

## DWADZIEŚCIA

### PROWINCJA SINKIANG, CHINY, GODZINA 15:30

ZOWASTINA SIEDZIAŁA W TYLE HELIKOPTERA PRZYPIĘTA PASAMI. Zwykle podróżowała w bardziej komfortowych warunkach, ale dziś zdecydowała się na szybszy, wojskowy śmigłowiec. Pilotem był jeden z członków jej Świętego Zastępu. Połowa jej ochroniarzy posiadała licencję pilota, również Viktor. Siedziała naprzeciwko więźniarki z laboratorium. Miejsce obok kobiety zajmował ochroniarz. Przyprawiono ją w kajdankach, ale Zowastina kazała je zdjąć.

- Jak się nazywasz? - zapytała ją.

- Czy to ważne?

Rozmawiały przez słuchawki w kaskach w języku kazachskim, którego nie znał żaden ze znajdujących się na pokładzie śmigłowca obcokrajowców.

- Jak się czujesz?

Kobieta zawahała się przed udzieleniem odpowiedzi, jakby rozważała, czy skłamać.

- Od lat nie czułam się tak dobrze.

- Cieszę się. Poprawa życia obywateli to nasz cel. Może gdy wyjdiesz z więzienia, bardziej docenisz nasze nowe społeczeństwo.

Dziobata twarz kobiety wyrażała pogardę. Nie było w niej nic atrakcyjnego i Zowastina zastanawiała się, ile porażek trzeba było, by pozbawić ją resztek szacunku do samej siebie.

- Nie sądzę, bym stała się częścią waszego nowego społeczeństwa, pani premier. Mam długi wyrok.

- Poinformowano mnie, że byłaś zamieszana w handel kokainą. Gdyby wciąż byli tu Sowieci, zostałabyś stracona.

- Rosjanie? - Kobieta roześmiała się. - To właśnie oni kupowali narkotyki.

Zowastina nie była zaskoczona.

- To się już zmieniło.

- Co stało się z pozostałymi, których przywieziono razem ze mną?

Choć więźniarka z pewnością przyzwyczajona była do kłopotów, Zowastina dostrzegła jej zaniepokojenie. Co było zrozumiałe. Siedzi tutaj na pokładzie helikoptera z samą panią premier Federacji Środkowoazjatyckiej, a wcześniej raptem zabrano ją z więzienia i poddano jakimś tajemniczym testom medycznym, które z całej grupy więźniów przeżyła tylko ona.

- Zadbam o to, by skrócono ci wyrok. Choć ty chyba nas nie doceniasz, Federacja docenia twoją pomoc.

- Mam być wdzięczna?

- Zgłosiłaś się na ochotnika.

- Nie przypominam sobie, żebym miała jakikolwiek wybór.

Zawastina wyjrzała przez okno na milczące szczyty gór Pamiru, które wyznaczały granicę i przyjazne terytorium. Spojrzała więźniarce w oczy.

- Nie chcesz być częścią tego, co się będzie działo?

- Chcę być wolna.

Zowastinie przypomniały się jej uniwersyteckie lata i coś, co dawno temu powiedział jej Siergiej: „Gniew zdaje się zawsze kierować ku jednostkom, ale nienawiść woli klasy. Czas może złagodzić gniew, ale nie nienawiść”. Więc zapytała:

- Dlaczego jesteś pełna nienawiści?

Kobieta patrzyła na nią wzrokiem pozbawionym wyrazu.

- Nie powinnam była przeżyć.

- Czemu?

- Wasze więzienia to straszne miejsca, które opuszcza niewielu.

- Takie powinny być, mają odstraszać potencjalnych więźniów.

- Wielu nie ma wyboru... - Kobieta na moment umilkła. - W przeciwieństwie do pani, pani premier.

Bastion gór w oknie stawał się coraz większy.



- Przed wieloma wiekami Grecy ruszyli na wschód i zmienili świat. Wiedziałaś o tym? Zdobyli Azję. Zmienili naszą kulturę. Teraz Azjaci ruszą na zachód i zrobią to samo. A ty pomagasz to urzeczywistnić.

- Nie dbam o wasze plany.

- Moje imię, Irina, a po grecku Ejrene, oznacza pokój. Do niego właśnie dążymy.

- Mordując więźniów?

Tej kobiety nie obchodziło przeznaczenie. A dla Zowastiny stanowiło ono istotę życia. Do tej pory udało jej się stworzyć nowy porządek polityczny, tak jak uczynił to Aleksander. Przypomniała jej się inna lekcja Siergieja: „Pamiętaj, Irino, co o Aleksandrze mówił Flawiusz Arrian. Zawsze rywalizował sam ze sobą”. Dopiero w ostatnich kilku latach zaczęła rozumieć tę przypadłość. Wpatrywała się w kobietę, która zniszczyła sobie życie dla kilku tysięcy rubli.

- Słyszałaś o Menandrze?

- Może mi pani o nim opowie?

- To grecki poeta z czwartego wieku przed naszą erą. Pisał komedie.

- Wolę tragedie.

Miała już dosyć tego defetyzmu. Nie każdego da się zmienić. W przeciwieństwie do pułkownika Envera, który zrozumiał, jakie możliwości mu oferuje, i bez problemów się nawrócił. W kolejnych latach będzie potrzebować ludzi takich jak on, ale ta żalosna kobieta to jedna wielka porażka.

- Menander napisał jedno niezwykle trafne zdanie: „Kto pragnie przeżyć całe życie bez bólu, musi być albo bogiem, albo trupem”.

Sięgnęła ręką i rozpięła pasy więźniarki. Siedzący obok niej ochroniarz jednym szarpnięciem otworzył drzwi kabiny. Kobieta zamarła, gdy do środka wdarło się zimne powietrze i ogłuszający ryk silnika.

- Ja jestem bogiem - powiedziała Zowastina. - A ty trupem.

Ochroniarz zerwał więźniarce kask z głowy, a ona nareszcie domyśliła się, co ma się stać, i zaczęła stawiać opór.

Ale to nie przeszkodziło mu wypchnąć ją za drzwi.

Zowastina patrzyła, jak ciało obraca się w kryształowo czystym powietrzu i znika na tle mijanych w dole górskich szczytów.

Ochroniarz zatrzasnął drzwi kabiny, a helikopter poleciał dalej na zachód w stronę Samarkandy.

Zowastina po raz pierwszy tego ranka poczuła się usatysfakcjonowana.

Teraz wszystko było na miejscu.

# CZEŚĆ II

## DWADZIEŚCIA JEDEN

**AMSTERDAM, HOLANDIA,  
GODZINA 19:30**

STEPHANIE NELLE WYSIADŁA Z TAKSÓWKI I SZYBKO ZARZUCIŁA NA głowę kaptur kurtki. Padał kwietniowy deszcz, a woda zbierała się w kałużach na nierównym bruku i szybkim nurtem spływała w kierunku miejskich kanałów. Przyczyna deszczu, porządny sztorm znad Morza Północnego, ukryła się już za ciemnoniebieskimi chmurami, lecz nieustająca mżawka wciąż była widoczna w półcieniu ulicznych lamp.

Stephanie ruszyła przez deszcz, wciskając dłonie do kieszeni kurtki. Przeszła po łukowatym mostku i wkroczyła na Rembrandtplein, gdzie spostrzegła, że pogoda wcale nie przerzedziła tłumów wokół rozmaitych spelunek, striptizów czy barów dla gejów.

Zagłębiając się w czeluści dzielnicy czerwonych latarni, mijała burdele z mnóstwem szklanych witryn z panienkami w skórkach i koronkach. Za jedną z szyb jakaś Azjatka w sadomasochistycznym stroju siedziała na wyścielanym taborecie, przeglądając kolorowe czasopismo.

Stephanie wiedziała, że wieczór to wcale nie najbardziej niebezpieczna pora na wizytę w słynnej dzielnicy. Poranna desperacja ćpunów czy popołudniowa nerwowość alfonsów, niemogących doczekać się przynoszącego zyski wieczoru, wydawały się większym zagrożeniem. Ale ostrzeżono ją, że w północnej części dzielnicy, w okolicach Nieuwmarkt, tam, gdzie

nie ma już tłumów, atmosfera zawsze jest gęsta. Przekraczając niewidoczną granicę, była więc bardzo czujna. Kierując swe kroki prosto do pubu znajdującego się na drugim końcu ulicy, rozglądała się na boki niczym skradający się drapieznik.

Pub Jan Heuval zajmował parter starego trzypiętrowego składu. Była to typowa „brązowa kawiarnia”, których setki rozsiane są po całym Rem-brandtplein. Popchnęła drzwi i natychmiast poczuła zapach palonych konopi. Nie dostrzegła też nigdzie zakazu używania narkotyków.

Pub był zatłoczony, a ciepłe powietrze nasycone halucynogenną mgiełką cuchnęło niczym tłący się sznur. Zapach smażonej ryby i pieczonych kasztanów mieszał się z odurzającym aromatem, aż zapiekły ją oczy. Ściągnęła kaptur, strząsając krople deszczu na już wilgotne płytki podłogi za drzwiami.

I wtedy właśnie zauważyła Klause Dyhra. Blondyn po trzydziestce o bladej i zniszczonej twarzy - wyglądał dokładnie tak, jak go opisano.

Po raz kolejny przypomniała sobie, po co tu jest. Żeby zrewanżować się za przysługę. Cassiopeia Vitt poprosiła ją, żeby skontaktowała się z Dyh-rem. A ponieważ winna była przyjaciółce co najmniej jedną przysługę, nie mogła odmówić. Zanim się z nim skontaktowała, sprawdziła go, dowiadując się, że Dyhr urodził się w Holandii, uczył w Niemczech, a teraz pracuje jako chemik w miejscowej fabryce tworzyw sztucznych. Jego pasją była numizmatyka i podobno posiadał imponujący zbiór starych monet. Jej koleżankę muzulmankę szczególnie zainteresowała jedna z nich.

Holender stał sam przy sięgającym mu piersi stole, popijając ciemne piwo i pałaszując smażoną rybę. Ręcznie zwinięty papieros dopalał się w popielniczce, a unoszący się gęsty zielony dymek świadczył, że nie jest z tytoniu.

- Nazywam się Stephanie Nelle - zwróciła się do niego po angielsku.

- To ja dzwoniłam.

- Mówiła pani, że chce coś kupić.

Zauważyła szorstki ton, który mówił: „Powiedz, czego chcesz,

zapłać i już mnie nie ma”. Zauważyła też jego szklisty wzrok, którym beładnie błędził po otoczeniu. Nawet ona poczuła się jak na lekkim odlocie.

- Jak już mówiłam, interesuje mnie moneta ze słoniem.

Przełknął łyk piwa.

- Dlaczego? Nie jest szczególnie cenna. Mam mnóstwo innych monet, które warte są o wiele więcej. I mogę je sprzedać po dobrych cenach.

- Nie wątpię. Ale ja chcę tę ze słoniem. Mówił pan, że jest na sprzedaż.

- Powiedziałem, że to zależy od tego, ile będzie pani skłonna zapłacić.

- Mogę na nią zerknąć?

Klaus sięgnął do kieszeni. Wzięła od niego podłużną plastikową torebeczkę i przyjrzała się monecie. Z jednej strony wojownik, a z drugiej słoń bojowy i jeździec. Mniej więcej wielkości pięćdziesięciocentówki, a grawerunek niemal całkowicie starty.

- Nie ma pani pojęcia, co to jest, prawda? - zapytał Klaus.

Postawiła na szczerłość.

- Robię to na czyjeś zlecenie.

- Chcę sześć tysięcy euro.

Cassiopeia powiedziała jej, że ma zapłacić każde pieniądze. Cena nie gra roli. Ale przyglądając się monecie w folii, zastanawiała się, dlaczego coś tak skromnego jest aż tak ważne.

- Jest ich tylko osiem - powiedział Klaus. - Sześć tysięcy euro to okazja.

- Tylko osiem? To czemu pan sprzedaje?

Ujął w palce tłący się niedopałek, głęboko się zaciągnął, wstrzymał oddech, a potem powoli wypuścił ustami gęsty dym.

- Potrzebuję kasy. - Opuścił szkliste spojrzenie na piwo.

- Jest aż tak źle? - zapytała.

- Mówi pani, jakby to panią obchodziło.

Nagle po obu stronach Klausa pojawiło się dwóch mężczyzn. Jeden o jasnej skórze, a drugi ciemny. Ich twarze stanowiły dziwną mieszaninę rysów arabskich i azjatyckich. Na zewnątrz wciąż padał deszcz, ale płaszcze mężczyzn były suche. Ten

jasny chwycił Klausea za ramię i przycisnął mu do brzucha ostrze noża. Ten ciemny objął ramieniem Stephanie, udając przyjazny uścisk, a jednocześnie przycisnął jej nóż do kurtki w okolicach żeber.

- Moneta - powiedział jaśniejszy, wykonując ruch głową. - Na stół.

Uznała, że nie ma sensu protestować, i posłusznie zrobiła to, czego zażądał.

- Teraz wyjdziemy - powiedział ciemny, wkładając monetę do swojej kieszeni. Jego oddech cuchnął piwem. - A wy tu zostaniecie.

Nie miała zamiaru się sprzeciwiać. Wiedziała, że skierowanej w siebie broni należy się szacunek.

Mężczyźni przecisnęli się przez tłum do drzwi i wyszli z pubu.

- Zabrali moją monetę - powiedział Klaus, podnosząc głos. - Idę za nimi.

Nie potrafiła stwierdzić, czy przemawia przez niego narkotyk czy głupota.

- Może lepiej ja się tym zajmę.

Obdarzył ją podejrzliwym spojrzeniem.

- Zapewniam pana - powiedziała - że jestem odpowiednio przygotowana.

## DWADZIEŚCIA DWA

### KOPENHAGA, GODZINA 19:45

MALONE KOŃCZYŁ JEŚĆ KOLACJĘ. SIEDZIAŁ W CAFÉ NORDEN, dwupiętrowej restauracji, której fasada mieściła się w samym środku Højbro Plads. Wieczór zepsuła gwałtowna kwietniowa ulewa, która doszczętnie zmoczyła niemal opustoszały plac. On siedział bezpiecznie przy otwartym oknie na górnym poziomie, z przyjemnością obserwując deszcz.

- Doceniam twoją dzisiejszą pomoc - powiedział siedzący po drugiej stronie stołu Thorvaldsen.

- To, że mało nie spłonąłem? I to dwa razy? Od czego ma się przyjaciół? - Właśnie skończył *bisque*, zupę z homara. W tej restauracji podawano najlepszą, jaką kiedykolwiek jadł. Miał mnóstwo pytań, ale wiedział, że Thorvaldsen jak zawsze będzie mu udzielać odpowiedzi bardzo oszczędnie. - W tamtym domu mówiliście z Cassiopeią o szczątkach Aleksandra. Że wiecie, gdzie one są. Niby skąd?

- Udało nam się sporo dowiedzieć na ten temat.

- Dzięki przyjacielowi Cassiopeii z muzeum w Samarkandzie?

- On był dla niej kimś więcej niż przyjacielem, Cottonie.

Tego już się domyślił.

- A kto to był?

- Ely Lund. Dorastał tutaj, w Kopenhadze. Przyjaźnił się z moim synem, Caiem.

Malone dostrzegł smutek, z jakim Thorvaldsen mówił o swoim zmarłym synu. Ścisnęło go w żołądku, gdy pomyślał o tamtym dniu, dwa lata temu, w Meksyku, kiedy zamordowano chłopaka. Malone był tam na zlecenie jednostki Magellan Billet i zlikwidował zabójców, ale sam też został postrzelony. Stracił syna. Nie wyobrażał sobie, jak by to było, gdyby zginął jego

piętnastoletni Gary.

- Cai chciał pracować dla rządu, a Ely uwielbiał historię. Zrobił doktorat i został ekspertem od starożytnej Grecji. Zanim trafił do Samarkandy, pracował w kilku europejskich muzeach. Tamtejsze Muzeum Historii Kultury posiada wspaniałą kolekcję, a Federacja Środkowoazjatycka wspiera naukowców i artystów.

- Jak Cassiopeia go poznała?

- To ja ich sobie przedstawiłem. Trzy lata temu. Myślałem, że tak będzie dobrze dla nich obojga.

Malone wypił łyk drinka.

- I co się stało?

- Zmarł. Niecałe dwa miesiące temu. Ciężko to zniosła.

- Kochała go?

Thorvaldsen wzruszył ramionami.

- Z nią nigdy nie wiadomo. Rzadko okazuje uczucia.

Ale czasem je okazywała. Smutek, gdy patrzyła na płonące muzeum. Wpatrywanie się w dal nad kanałem. Unikanie jego wzroku. Niczego nie powiedziała. Mimo to on coś wyczuwał.

Gdy zacumowali motorówkę przy Christiansgade, Malone chciał uzyskać kilka odpowiedzi, ale Thorvaldsen obiecał mu, że wszystko wyjaśni sobie podczas kolacji. Został więc odwieziony z powrotem do Kopenhagi, przespał się trochę, a potem przez resztę dnia pracował w antykwariacie. Kilkrotnie zajrzał do działu historycznego i znalazł kilka tomów poświęconych Grecji i Aleksandrowi. Ale przede wszystkim zastanawiał się, co Thorvaldsen miał na myśli, mówiąc, że Cassiopeia potrzebuje jego pomocy.

Teraz zaczął się domyślać.

Przez otwarte okno dostrzegł, jak po drugiej stronie placu Cassiopeia wychodzi z jego księgarni i przebiega w strugach deszczu, trzymając pod pachą coś zawiniętego w plastikową torbę. Przed półgodziną dał jej klucz do sklepu, żeby mogła skorzystać z jego telefonu i komputera.

- Odnalezienie ciała Aleksandra - powiedział Thorvaldsen - wiąże się z Elym i manuskryptem, który odkrył. Ely poprosił Cassiopeię, żeby zlokalizowała monety ze słoniem. Ale gdy



zaczęliśmy się za nimi rozglądać, zorientowaliśmy się, że ktoś inny też ich szuka.

- W jaki sposób powiązał monety z manuskryptem?

- Przyjrzał się monecie z Samarkandy i znalazł te mikroskopijne litery. ZH. To one wskazują na związek z manuskryptem. Po śmierci Ely'ego, Cassiopeia chciała dowiedzieć się, co się dzieje.

- I zwróciła się o pomoc do ciebie?

Thorvaldsen skinął głową.

- Nie mogłem jej odmówić.

Malone uśmiechnął się. Ilu przyjaciół kupiłoby muzeum i zrobiło kopie wszystkich eksponatów tylko po to, żeby budynek mógł całkowicie spłonąć?

Cassiopeia zniknęła pod parapetem. Malone usłyszał, jak drzwi do restauracji otwierają się i zamykają, a potem zabrzmiały kroki na metalowych schodach prowadzących na piętro.

- Nieźle się dzisiaj zmoczyłaś - powiedział Malone, gdy dotarła na górę.

Włosy spięła w kucyk, a dzinsy i bluzę miała całe w plamach od deszczu.

- Dziewczynom trudno zadbać o dobry wygląd.

- Wcale nie.

Spojrzała na niego.

- Ale z ciebie dzisiaj czaruś.

- Zdarza mi się.

Wyjęła jego laptop z plastikowej torby i zwracając się do Thorvald-sena, powiedziała:

- Wszystko ściągnęłam.

- Gdybym wiedział, że masz zamiar wynieść go na deszcz - wtrącił Malone - zażądałbym zastawu.

- Powinieneś to obejrzeć.

- Opowiedziałem mu o Elym - powiedział Thorvaldsen.

Sala restauracyjna była ciemna i opustoszała. Malone jadał tam trzy, cztery razy w tygodniu, zawsze przy tym samym stoliku, niemal o tej samej porze. Lubił samotność.

Cassiopeia zwróciła się w jego stronę.

- Przykro mi - powiedział, i powiedział to szczerze.
- Dziękuję.
- A ja dziękuję, że uratowałaś mi życie.
- Znalazłbyś jakieś wyjście. Ja tylko przyśpieszyłam bieg rzeczy.

Przypomniał sobie swoje kłopotliwe położenie i wcale nie uważał, by Cassiopeia miała rację.

Chciał zapytać jeszcze o Ely'ego Lunda, ponieważ ciekawiło go, jak udało mu się dostać do skarbcza jej uczuć. Podobnie jak jego własny, wyposażony był w mnóstwo zamków i alarmów. Ale nie odezwał się, jak zawsze w momentach gdy w grę wchodziły emocje.

Cassiopeia włączyła laptop i otworzyła kilka plików ze skanami. Słowa. Szarobure, miejscami rozmazane i wszystkie po grecku.

- Mniej więcej tydzień po śmierci Aleksandra Wielkiego, w roku trzysta dwudziestym trzecim przed naszą erą - powiedziała Cassiopeia - do Babilonu przybyli egipscy balsamiści. Mimo że było lato, i to piekielnie gorące, jego ciało wcale nie uległo rozkładowi, a cerę miał jak żywy. Odebrano to jako znak od bogów świadczący o wielkości Aleksandra.

Malone już kiedyś o tym czytał.

- Znak? Prawdopodobnie jeszcze żył, tylko był w śpiączce.
- Tak się uważa dzisiaj. Ale wtedy medycyna nie знаła tego stanu. Więc Egipcjanie wzięli się do pracy i zmumifikowali ciało.

Malone potrząsnął głową.

- Zdumiewające. Największy zdobywca owych czasów zabity podczas balsamowania.

Cassiopeia uśmiechnęła się.

- Mumifikowanie zwłok trwało zwykle siedemdziesiąt dni, chodziło o stopniowe wysuszenie ciała, żeby powstrzymać rozkład. Ale w przypadku Aleksandra zastosowano inną metodę. Balsamiści zanurzyli go w białym miodzie.

Wiedział, że miód to substancja, która się nie psuje. Z czasem krystalizuje się, ale nigdy nie rozkłada, a po podgrzaniu odzyskuje pierwotną formę.

- Miód - kontynuowała Cassiopeia - miał zakonserwować ciało Aleksandra na zewnątrz i od środka lepiej, niż zrobiłaby to mumifikacja. Potem ciało owinięto bandażami, osłonięto kartonazem i umieszczono w złotym sarkofagu, który przystrojono materiałem oraz koroną i dodat-

kowo oblano miodem. W takim stanie przebywało w Babilonie przez rok, aż zbudowano wysadzany klejnotami wóz. Wówczas kondukt pogrzebowy wyruszył z miasta.

- A wtedy rozpoczęły się igrzyska pogrzebowe - dopowiedział Malone.

Cassiopeia skinęła głową.

- Można to tak nazwać. Perdikkas, jeden z generałów Aleksandra, zwołał nagłe spotkanie jego dowódców w dzień po jego śmierci. Roksana, pochodząca z Azji żona Aleksandra, była w szóstym miesiącu ciąży. Perdikkas chciał poczekać do narodzin dziecka i wtedy zdecydować, co dalej. Gdyby na świat przyszedł chłopiec, byłby prawowitym dziedzicem. Ale inni dowódcy odmówili. Nie chcieli zgodzić się na półbarbarzyńskiego władcę. Chcieli, by ich królem został przyrodni brat Aleksandra, Filip, choć wedle wszelkich relacji był on upośledzony na umyśle.

Malone przypomniał sobie, co czytał na ten temat. Walka wybuchła już przy łożu śmierci Aleksandra. Perdikkas zwołał zgromadzenie Macedończyków i żeby utrzymać porządek, umieścił pośrodku ciało Aleksandra. Zgromadzenie uchwaliło porzucenie planów kampanii arabskiej i zgodziło się na podział imperium. Urzędy rozdzielono pomiędzy dowódców. Szybko doszło do walk pomiędzy nimi. Późnym latem Roksana urodziła syna, któremu nadano imię Aleksander IV. By utrzymać pokój, uzgodniono wspólnie, że królem będą jednocześnie syn Roksany i przyrodni brat Aleksandra - Filip, chociaż to dowódcy rządili swoimi częściami imperium, nie przejmując się żadnym z nich.

- Jak to było? - starał sobie przypomnieć Malone. - Sześć lat później brat przyrodni Aleksandra został zamordowany przez jego matkę, Olimpias. Nienawidziła tego chłopaka od dziecka, ponieważ Filip Macedoński rozwiódł się z nią, by ożenić się z

jego matką. A potem, po paru latach, Roksanę i Aleksandra IV otruto. Nikt z nich nigdy niczym nie władał.

- W końcu zamordowano nawet siostrę Aleksandra - dodał Thorvaldsen. - Cały ród został zlikwidowany. Nie został ani jeden prawowity spadkobierca. A największe imperium świata rozpadło się.

- Co to wszystko ma wspólnego z monetami ze słoniem? I jakie to może mieć dzisiaj znaczenie?

- Ely uważał, że ogromne - stwierdziła Cassiopeia.

Wiedział, że chodzi o coś więcej.

- A ty też tak uważasz?

Milczała, jakby nie była pewna odpowiedzi, ale jednocześnie nie chciała wyrazić głośno swoich wątpliwości.

- W porządku - powiedział Malone. - Powiesz mi, jak będziesz na to gotowa.

Ale wtedy przyszło mu do głowy coś innego i zwrócił się do Thorvaldsena.

- A co z tymi ostatnimi dwiema monetami w Europie? Słyszałem, jak pytałeś o nie Viktora. Pewnie w następnej kolejności wyruszy właśnie po nie.

- Wyprzedzamy go w tej kwestii.

- Ktoś już je ma?

Thorvaldsen zerknął na zegarek.

- Mam nadzieję, że przynajmniej jedną tak.

## DWADZIEŚCIA TRZY

### AMSTERDAM

STEPHANIE WYSZŁA Z PUBU Z POWROTEM NA DESZCZ. NACIĄGAJĄC kaptur, znalazła słuchawkę i powiedziała do ukrytego pod kurtką mikrofonu:

- Wyszło stąd teraz dwóch mężczyzn. Mają to, czego szukam.
- Pięćdziesiąt metrów przed tobą, idą w kierunku mostu - brzmiała odpowiedź.
- Zatrzymajcie ich.

Stephanie wybiegła w noc.

Wzięła ze sobą dwóch agentów służb specjalnych, których zarekwirowała z ochrony prezydenta Danny ego Danielsa. Miesiąc temu prezydent poprosił ją, żeby towarzyszyła mu na dorocznym szczycie ekonomicznym w Europie. Przywódcy wielu krajów zgromadzili się pięćdziesiąt kilometrów na południe od Amsterdamu. Tego wieczoru prezydent uczestniczył w uroczystej kolacji w Hadze, był więc bezpieczny, a jej udało się ściągnąć dwóch pomocników. Powiedziała im, że to tylko na wszelki wypadek, i obiecała potem kolację w dowolnie wybranym miejscu.

- Są uzbrojeni - powiedział jej do ucha jeden z agentów.
- W pubie mieli noże - odpowiedziała.
- Tutaj mają gnaty.

Zesztywniała. Zaczynało się robić nieciekawie.

- Gdzie oni są?
- Na mostku dla pieszych.

Usłyszała strzały i wyjęła spod kurtki specjalną wersję beretty, produkowaną dla członków jednostki Magellan Billet.

Kolejne strzały.

Stephanie wyszła zza rogu ulicy.

Ludzie rozbiegali się we wszystkie strony. Panowie jasnoskóry

i ciemnoskóry przyczaili się na mostku za sięgającą piersi żelazną balustradą i strzelali do dwóch agentów Secret Service, znajdujących się po dwu stronach kanału.

Rozległ się brzęk tłuczonego szkła, gdy któraś kula trafiła w witrynę burdelu.

Jakaś kobieta zaczęła krzyżeć.

Stephanie mijalo coraz więcej przerażonych ludzi. Opuściła dłoń z pistoletem, ukrywając ją z boku ciała.

- Powstrzymajmy to - powiedziała do mikrofonu.

- Im to powiedz - odpowiedział jeden z agentów.

W zeszłym tygodniu, gdy zgodziła się oddać Cassiopei przysługę, nie przeczuwała żadnego zagrożenia, ale wczoraj intuicja kazała jej się dobrze przygotować. Szczególnie gdy przypomniała sobie, że Cassiopeia powiedziała, że ona i Henrik Thorvaldsen będą jej bardzo wdzięczni. Zaangażowanie Thorvaldsena zawsze oznaczało kłopoty.

Kolejne strzały z mostka.

- Nie macie szans! - krzyknęła.

Mężczyzna o jasnej skórze odwrócił się i skierował broń w jej stronę.

Skuliła się w niskiej niszy. Kula ze świstem odbiła się od cegieł w odległości niecałego metra. Stephanie weszła pod schody i wyprostowała się. Deszcz spływał z góry, mocząc jej ubranie.

Strzeliła dwa razy.

Teraz dwaj mężczyźni znaleźli się w środku trójkąta. Nie mieli szans.

Ten o ciemnej karnacji zmienił pozycję, starając się bardziej schować, ale jeden z agentów trafił go w klatkę piersiową. Zatoczył się na balustradę mostka, zachwiał, zgiął wpół i z pluskiem wpadł do kanału.

Cudownie. Teraz mamy już nawet trupy.

Mężczyzna o jasnej karnacji podczołgał się do balustrady i spróbował wyrzeć. Wyglądało to tak, jakby miał zamiar skoczyć, ale kolejne strzały osadziły go w miejscu. Nagle wyprostował się i zaczął biec, kierując się na drugi koniec mostka i strzelając na wszystkie strony. Ogniem odpowiedział

mu znajdujący się przed nim agent, z kolei ten, który był po tej samej stronie kanału co Stephanie, pobiegł za nim i powalił go na ziemię trzema strzałami od tyłu.

Usłyszeli syreny alarmowe.

Stephanie wyskoczyła z kryjówki i podbiegła do mostka. Mężczyzna o jasnej skórze leżał na bruku, a deszcz rozmywał krew, która wyciekała z jego ciała. Gestem poprosiła agentów, żeby się zbliżyli.

Obaj do niej podbiegli.

Ciemnoskóry mężczyzna unosił się na wodzie w kanale twarzą do dołu.

W odległości pięćdziesięciu metrów dostrzegli czerwone i niebieskie migające światelka, które szybko zbliżały się do mostka. Trzy samochody policyjne.

Wskazała palcem jednego z agentów.

- Trzeba wejść do wody i wyciągnąć z kieszeni tego człowieka monetę. Moneta ze słoniem, w foliowej torebce. Jak ją znajdziesz, odpłyn stąd i nie daj się złapać.

Mężczyzna schował pistolet do kabury i przeskoczył przez balustradę. To właśnie lubiła u agentów służb specjalnych. Żadnych pytań, tylko działanie.

Samochody policyjne zatrzymały się z piskiem opon.

Strząsnęła krople deszczu z twarzy i popatrzyła na drugiego agenta.

- Zmykaj stąd i załatw mi pomoc służb dyplomatycznych.

- Gdzie cię znajdę?

Przypomniało jej się zeszłe lato. Roskilde. Ona i Malone.

- W areszcie.

## DWADZIEŚCIA CZTERY

### KOPENHAGA

CASSIOPEIA, POPIJAJĄC WINO Z KIELISZKA, OBSERWOWAŁA, JAK Malone przetrawia to, co ona i Thorvaldsen właśnie mu powiedzieli.

- Cottonie - powiedziała - pozwól, że wytłumaczę ci, co nas w tym wszystkim najbardziej zainteresowało. Wspomnieliśmy ci już o fluorescencji rentgenowskiej. Pionierem tej techniki był jeden z naukowców z muzeum w Samarkandzie, ale to Ely wpadł na pomysł, żeby zbadać za jej pomocą średniowieczne bizantyjskie manuskrypty. I znalazł na nich molekularny zapis wcześniejszego pisma.

- Ponownie wykorzystany pergamin nosi nazwę palimpsestu - dodał Thorvaldsen. - To całkiem sprytnie rozwiązanie. Mnisi zdrapywali oryginalny inkaust, pisali coś na oczyszczonych pergaminach, a potem cięli je i obracali, tworząc coś na kształt dzisiejszych książek.

- Oczywiście - kontynuowała Cassiopeia - oryginalny pergamin ulegał w ten sposób uszkodzeniu, ponieważ rzadko kiedy jego części trafiały do tej samej księgi. Ale Ely'emu udało się odnaleźć kilka pergaminów, które zachowały się w stosunkowo dobrym stanie. Jeden z nich zawierał zaginione twierdzenia Archimedesza. To zdumiewające, biorąc pod uwagę fakt, że do dziś nie przetrwały żadne z jego pism - Cassiopeia popatrzyła na Malone'a. - A inny pergamin zawierał przepis na grecki ogień.

- I komu Ely o tym powiedział? - zapytał Malone.

- Irinie Zowastinie - odparł Thorvaldsen - premier Federacji Środkowoazjatyckiej. Zowastina poprosiła, żeby nie ujawniać tych badań. Przynajmniej przez jakiś czas. Ponieważ to ona wszystko finansowała, trudno było odmówić. Zachęciła go



także do zbadania kolejnych manuskryptów z muzeum.

- Ely - wtrąciła Cassiopeia - rozumiał potrzebę zachowania dyskrecji. To była nowa technika i musieli zdobyć pewność, że ich odkrycia są nie do podważenia. Nie widział nic złego w tym, żeby poczekać. Sam chciał zbadać jak najwięcej manuskryptów przed ogłoszeniem wyników badań.

- Ale przed tobą się zdradził - stwierdził Malone.

- Był podekscytowany i chciał się tym z kimś podzielić. Wiedział, że nikomu nie powiem.

- Cztery miesiące temu - dodał Thorvaldsen - Ely odkrył na jednym z palimpsestów coś niezwykłego. Była to historia Hieronima z Kardii. Hieronim był przyjacielem i krajanem Eumenesa, jednego z dowódców Aleksandra Wielkiego. Eumenes był jednocześnie osobistym sekretarzem Aleksandra. Przetrwały tylko nieliczne fragmenty dzieł Hieronima, ale uznaje się go za wiarygodnego autora. Ely odkrył więc pełną relację z czasów Aleksandra autorstwa człowieka, któremu można ufać. - Thorvaldsen zamilkł na chwilę. - To niesamowita opowieść, Cottonie. Miałaś okazję poznać jej fragment, ten o śmierci Aleksandra i miksturze.

Cassiopeia zauważyła, że Malone jest zaintrygowany. Chwilami przypominał jej Ely'ego. Obaj wykorzystywali swe poczucie humoru, by drwić z rzeczywistości, omijać sporne kwestie, zmieniać tok dyskusji czy - co najbardziej irytujące - unikać zaangażowania. Ale podczas gdy Malone emanował fizyczną pewnością siebie i sprawiał wrażenie człowieka kontrolującego swe otoczenie, Ely dominował dzięki głębokiej inteligencji i delikatności uczuć. Jak bardzo się różnili. On ciemnoskóra, ciemnowłosa muzułmanka z Hiszpanii. On jasnowłosy skandynawski protestant. Ale uwielbiała jego towarzystwo.

Od dawna nic takiego nie czuła.

- Mniej więcej rok po śmierci Aleksandra - zwróciła się do Malone'a - zimą roku trzysta dwudziestego pierwszego, kondukt pogrzebowy wyruszył w końcu z Babilonu. Perdikkas zdecydował, że Aleksander zostanie pochowany w Macedonii. Wbrew wyrażonemu na łożu śmierci życzeniu Aleksandra, by

pochowano go w grobowcu w Egipcie. Egipt, jako przypadającą mu część imperium, przejął inny dowódca, Ptolemeusz, który już zaczął tam swoje rządy. Perdikkas działał jako regent małego Aleksandra.

Zgodnie z prawem macedońskim nowy władca powinien w odpowiedni sposób pochować swego poprzednika...

- A gdyby - wtrącił Malone - Perdikkas pozwolił Ptolemeuszowi pochować Aleksandra w Egipcie, przyznałby mu tym samym większe prawa do tronu.

Cassiopeia skinęła głową.

- W owym czasie popularna była także przepowiednia, która głosiła, że jeśli królowie przestaną być chowani w macedońskiej ziemi, królewski ród wyginie. I faktycznie. Aleksander Wielki nie został pochowany w Macedonii i królewski ród wyginął.

- Czytałem o tym, co się stało - powiedział Malone. - Ptolemeusz porwał kondukt pogrzebowy w okolicy, która dziś stanowi północną część Syrii, i zabrał ciało do Egiptu. Perdikkas trzykrotnie próbował przepłynąć się przez Nil. W końcu jego oficerowie zbuntowali się i zakuli go nożami.

- I wtedy Ptolemeusz zrobił coś niespodziewanego - stwierdził Thorvaldsen. - Nie przyjął regencji oferowanej mu przez armię. Mógł zostać władcą całego imperium, ale odmówił i swoją uwagę skupił na Egipcie. Dziwne, nie uważasz?

- Może nie chciał zostać królem. Z tego co czytałem, było wtedy tylu zdrajców i tyle cynizmu, że niewielu władców dłużej utrzymywało się na tronie. A morderstwa po prostu stanowiły element polityki.

- A może Ptolemeusz wiedział coś, o czym nie wiedzieli inni...

- Cassiopeia zauważyła, że Malone czeka na ciąg dalszy, dodała więc: - Że ciało w Egipcie to wcale nie Aleksander.

Malone się uśmiechnął.

- O tym też czytałem. Podobno po porwaniu konduktu Ptolemeusz zastąpił ciało Aleksandra jakąś podróbką, i to ją wystawił na ryzyko porwania przez Perdikkasa czy kogokolwiek. Ale to zwykłe bajki. Nie ma na to żadnych dowodów.

Cassiopeia pokręciła głową.

- Mówię o czymś zupełnie innym. Manuskrypt, który odkrył Ely, szczegółowo opisuje, co się wydarzyło. Ciało, które wysłano w trzysta dwudziestym pierwszym roku na zachód, nie należało do Aleksandra. Podmiany dokonano w Babilonie w poprzednim roku. Ciało Aleksandra złożono w miejscu, o którym wiedziała jedynie garstka ludzi. I udało im się dochować tajemnicy. Przez dwadzieścia trzy stulecia nikt się o tym nie dowiedział.

*Minęły dwa dni, odkąd Aleksander zabił Glaukusa. Resztki ciała medyka pozostały poza murami Babilonu, na ziemi i na drzewach, a zwierzęta wciąż odrywały mięso od kości. Niepohamowana wściekłość króla trwała. Był niecierpliwy, podejrzliwy i nieszczęśliwy. Przed jego oblicze wezwano Eumenesa i Aleksander powiedział swojemu sekretarzowi, że wkrótce umrze. Stwierdzenie to zdumiało Eumenesa, ponieważ nie mógł wyobrazić sobie świata bez Aleksandra. Król powiedział, że bogowie się niecierpliwią i jego czas pośród żywych dobiega końca. Eumenes słuchał, ale nie dawał wiary królewskim słowom. Aleksander od dawna wierzył, że nie jest synem Filipa, tylko śmiertelnym potomkiem Zeusa. Było to rojenie, lecz po wszystkich jego wspaniałych podbojach wielu skłonnych było je podzielać. Aleksander wspomniał o Roksanie i dziecku które nosiła w swym łonie. Gdyby to był chłopiec, miałby solidne podstawy do objęcia tronu, lecz Aleksander był świadom, że Grecy nie będą chcieli na wpół obcego władcy. Powiedział Eumenesowi, że jego dowódcy będą walczyły między sobą*

*o jego imperium i że on nie chce brać udziału w ich zmaganiach. Niech sami wywalczą swe przeznaczenie! - powiedział. Jego los się dopełnił. Oznajmił więc Eumenesowi, że chce zostać pochowany wraz z Hefajstionem. Tak jak Achilles, który życzył sobie, by jego prochy zmieszano z prochami jego kochanką. Tego samego pragnął Aleksander. Zadbam o to, by połączono wasze prochy - obiecał Eumenes. Lecz Aleksander pokręcił głową. Nie, po prostu pochowajcie nas razem - poprosił. Ponieważ przed kilkoma dniami*

*Eumenes widział płonący stos pogrzebowy Hefajstiona, zapytał, jak to możliwe. Aleksander odpowiedział, że ciało spalone w Babilonie nie należało do Hefajstiona. Zeszłej jesieni kazał zabalsamować ciało przyjaciela i przewieźć je w miejsce, gdzie zawsze będzie mógł spoczywać w pokoju. Aleksander tego samego pragnął dla siebie. Zmumifikujcie mnie - rozkazał - a potem zabierzcie do miejsca, gdzie ja również będę mógł spoczywać pośród krystalicznego powietrza. Wymógł na Eumenesie przysięgę, że ten spełni jego wolę w tajemnicy, angażując w to jedynie dwóch ludzi, których imiona mu podał.*

Malone oderwał wzrok od ekranu. Deszcz na zewnątrz padał coraz mocniej.

- Dokąd go zabrali?

- I tu sprawa się komplikuje - odpowiedziała Cassiopeia. - Ely stwierdził, że ten manuskrypt powstał mniej więcej czterdzieści lat po śmierci Aleksandra. - Sięgnęła do laptop i przesunęła strony na ekranie. - Przeczytaj ten fragment. To też relacja Hieronima z Kardii.

*Cóż za szkoda, że największy z królów, Aleksander Macedoński, spoczywać ma na wieki w nieznanym miejscu. Choć szukał wytchnienia, myśląc o pewnej okolicy, taki spokojny los nie był mu przeznaczony. Aleksander miał rację co do swoich dowódców. Walczyli między sobą, zabijali siebie nawzajem i wszystkich, którzy stanowili zagrożenie dla ich zdobyczy. Ptolemeuszowi najlepiej się powiodło. Rządził Egiptem przez trzydzieści osiem lat. W ostatnim roku swoich rządów dowiedział się o moich wysiłkach w spisywaniu niniejszej relacji i wezwał mnie z biblioteki w Aleksandrii do pałacu. Wiedział o mojej przyjaźni z Eumenesem i z zainteresowaniem przeczytał to, co do tej pory napisałem. A potem potwierdził, że ciało, które pochowano w Memfis, nie należało do Aleksandra. Ptolemeusz jasno stwierdził, że wiedział o tym od napadu na kondukt pogrzebowy. Po latach obudziła się w nim ciekawość i wysłał swoich śledczych. Do*

Egiptu sprowadzono Eumenesa, który powiedział Ptolemeuszowi, że prawdziwe szczątki Aleksandra ukryto w miejscu, o którym wie tylko on. W owym czasie grobowiec w Memfis, w którym rzekomo złożono ciało Aleksandra, stał się już świętym przybytkiem. Obaj walczyliśmy u jego boku

i obaj z chęcią oddalibyśmy za niego życie - rzekł Ptolemeusz do Eumenesa. - Nie powinien na zawsze pozostać w nieznannej okolicy. Przepęlniony wyrzutami sumienia i przekonany o szczerości Ptolemeusza, Eumenes wyjawiał mu miejsce spoczynku Aleksandra, które znajdowało się daleko w górach, tam gdzie Scytowie podzielili się z Aleksandrem swoją wiedzą o życiu. Wkrótce potem Eumenes zmarł. Ptolemeusz przypomniał sobie, że gdy zapytano

Aleksandra, komu pozostawia swe królestwo, on odparł: „Najmądrzejszemu”. Więc Ptolemeusz rzekł do mnie tak:

*A ty; lowco przygód jako że mój nieśmiertelny głos,  
choć odległy wypełnia twe uszy wysłuchaj mych słów.*

*Pożegłuj do stolicy założonej przez ojca Aleksandra,  
gdzie na straży stoję mędrcy.*

*Dotknij najskrytszej istoty złotej iluzji.*

*Podziel Feniksa.*

*Życie zapewni miarę prawdziwego grobu.*

*Lecz strzeż się, bo jedna jest tylko szansa powodzenia.*

*Wespnij się na wzniesione przez bogów mury.*

*Gdy dotrzesz na poddasze, popatrz w płowe oko  
i odważ się odnaleźć odległe schronienie.*



*Ptolemeusz wręczył mi wtedy srebrną monetę, na której widniał Aleksander z czasów; gdy walczył ze słoniami. Powiedział mi, że kazał wybić takie monety dla uczczenia tamtych bitew. Kazał mi także powrócić, gdy rozwiążę jego zagadkę. Ale miesiąc później już nie żył.*

## DWADZIEŚCIA PIĘĆ

### **SAMARKANDA, FEDERACJA ŚRODKOWOAZJATYCKA, GODZINA 23:50**

ZOWASTINA DELIKATNIE ZASTUKAŁA w LAKIEROWANE NA BIAŁO drzwi. Otworzyła je dostojna i zadbana kobieta przed sześćdziesiątką o matowych szpakowatych włosach. Zowastina jak zwykle nie czekała na zaproszenie, by wejść do środka.

- Nie śpi?

Kobieta potwierdziła ruchem głowy i Zowastina ruszyła w głąb holu.

Dom znajdował się na zalesionej działce na wschodnich obrzeżach miasta, za beładną zabudową niskich budynków i barwnych meczetów, tam, gdzie wyrosło wiele nowych posiadłości. Wcześniej ten pagórkowaty teren roił się od wież strażniczych z czasów sowieckich. Rozwój Federacji doprowadził do powstania zarówno klasy średniej, jak i wyższej, a ci, którym się powiodło, nie ukrywali swego bogactwa. Ten dom, wybudowany przed dziesięciu laty, należał do Zowastiny, choć ona sama tak naprawdę nigdy w nim nie mieszkała. Oddała go swojej kochance.

Zowastina rozejrzała się po luksusowo urządzonej wnętrzności. W kunsztownie rzeźbionej konsolce w stylu Ludwika XV pyszniły się figurki z białej porcelany, które podarował jej prezydent Francji. Sufit w salonie obok ozdobiony był kasetonami, a na intarsjowanym parkiecie leżał ukraiński dywan. Kolejny podarunek. Drugi koniec podłużnego pokoju zdobiło barokowe lustro, a zasłony z tafty okalały trzy strzeliste okna.

Za każdym razem gdy przechodziła marmurowym holem, jej

pamięć wracała do wydarzeń sprzed sześciu lat, do pewnego popołudnia, kiedy podeszła do tych samych drzwi.

*W sypialni zobaczyła wtedy nagą Karyn i leżącego na niej szczupłego mężczyznę o muskularnych ramionach i kręconych włosach. Wciąż słyszała ich jęki i czuła zaskakujące podniecenie ich dziką namiętnością. Stała tam przez dłuższą chwilę i obserwowała, aż ich ciała się rozłączyły.*

*- Irino - powiedziała spokojnym tonem Karyn. - To Michele.*

*Zeszła z łóżka i odrzuciła do tyłu swoje długie falujące włosy,eksponując piersi, które Irina tyle razy z przyjemnością pieściła. Karyn była szczupła jak szakal, a każdy centymetr jej idealnie gładkiej skóry mienił się barwą cynamonu. Wąskie usta były pogardliwie wygięte, nos o delikatnych nozdrzach leciutko skrzywiony, a policzki gładkie niczym porcelana. Zowastina podejrzewała, że kochanka ją zdradza, ale zupełnie czymś innym było ujrzeć to na własne oczy.*

*- Masz szczęście, że nie każę cię zabić.*

*Karyn nie wyglądała na przejętą.*

*- Spójrz na niego. Obchodzi go, co czuję, daje bez żadnych pytań. Ty bierzesz. Tylko to potrafisz. Wydawać rozkazy i oczekiwać, że zostaną spełnione.*

*- Do tej pory jakoś się nie skarżyłaś.*

*- Wcale nie jest łatwo być twoją dziwką. Zrezygnowałam z rzeczy, które są cenniejsze niż forsa.*

*Spojrzenie Zowastiny mimowolnie skierowało się na nagiego mężczyznę.*

*- Podoba ci się, prawda? - zapytała Karyn.*

*Zowastina nie odpowiedziała.*

*- Wieczorem ma cię tu już nie być.*

*Karyn podeszła bliżej, roztaczając przed sobą zapach drogich perfum.*

*- Naprawdę chcesz, żebym odeszła? - Jej dłoń dotknęła uda Zowastiny. - A może rozbierzesz się i przyłączysz do nas?*

*Zowastina uderzyła swoją kochankę na odlew w twarz. Nie po raz pierwszy, ale po raz pierwszy w złości. Strużka krwi*



*pocięła z rozciętej wargi Karyn, która popatrzyła na nią z nienawiścią.*

*- Ma cię tu nie być przed zmrokiem, bo inaczej obiecuję, że nie dożyjesz jutra.*

Sześć lat. To długo.

A przynajmniej tak się wydaje.

Zowastina przekreśliła gałkę i otworzyła drzwi.

Sypialnia wciąż urządzona była delikatnymi francuskimi meblami w wiejskim stylu. Na jednej ze ścian dwa egipskie lwy z porfiru strzegły marmurowego kominka ze zdobieniami z połączanego brązu. Respirator stojący obok łóżka z baldachimem wydawał się nie na miejscu, podobnie jak butla z tlenem po drugiej stronie oraz plastikowy woreczek z kroplówką zwisający ze stalowego stojaka i połączony przezroczytymi rurkami z bladym ramieniem.

Karyn leżała oparta na poduszkach na środku łoża o królewskich wymiarach, a koralowe jedwabne prześcieradło przykrywało ją do pasa. Jej skóra miała kolor brunatnego popiołu, a cera przypominała nawo-skowany papier. Niegdyś gęste jasne włosy zwisały w nieładzie, cieniutkie niczym mgiełka. Jej oczy, które kiedyś jaśniały żywym błękitem, były zapadnięte i wyglądały jak jakieś stworzenia ukryte w jaskiniach. Trupie wychudzenie podkreśliło jej trójkątne policzki i wyostrzyło nos. Koronkowy szlafrok leżał na niej niczym flaga zwisająca z masztu w bezwietrzny dzień.

- Czego dzisiaj chcesz? - wymamrotała Karyn, a jej głos był jednocześnie łamiący się i oschły. Rurka przy nosie zapewniała dodatkową dawkę tlenu z każdym oddechem. - Przyszedł sprawdzić, czy jeszcze żyję?

Irina podeszła do łoża z baldachimem. Silniej poczuła panujący w pokoju odór. Mdlącą mieszaninę zapachu środka do dezynfekcji, choroby i rozkładu.

- Nie masz nic do powiedzenia? - zdołała powiedzieć Karyn niemal szeptem.

Zowastina przyglądała się leżącej kobiecie. Wbrew przyzwyczajeniom Zowastiny w ich związku nic nigdy nie było

zaplanowane. Karyn najpierw była jej pracownicą, potem osobistą sekretarką, a na koniec konkubina.

W sumie pięć lat. A potem pięć lat rozłąki, aż w zeszłym roku chora Karyn niespodziewanie powróciła do Samarkandy.

- Przyszłam zobaczyć, jak się miewasz.

- Nie, Irino. Przyszłaś sprawdzić, kiedy umrę.

Zowastina chciała powiedzieć, że to ostatnie, czego pragnie, ale wspomnienie zdrady Karyn z Micheleem ostudziło jej chęć do okazywania uczuć. Zapytała więc tylko:

- Warto było?

Zowastina wiedziała, że uprawianie przez lata seksu bez zabezpieczeń, ciągłe zmiany partnerek i partnerów to ogromne ryzyko, które w końcu zemściło się na Karyn. Któreś z jej partnerów zaraziło ją wirusem HIV. Samotna, przerażona i pozbawiona środków do życia Karyn przeknęła dumę i wróciła do jedyne go miejsca, w którym mogła liczyć na odrobinę komfortu.

- I dlatego przychodzisz? - zapytała Karyn. - Żeby przekonać się, że popełniłam błąd?

- Bo popełniłaś błąd.

- Zniszczy cię twoja własna zawziętość.

- I to mówi osoba, którą jej zawziętość zżera dosłownie.

- Bądź ostrożna, Irino. Nie masz pojęcia, kiedy zostałam zarażona. Może ty też podzielisz mój los.

- Zrobiłam badania.

- A który lekarz był na tyle głupi, żeby je zrobić? - Kaszel przerwał słowa Karyn. - Żyje jeszcze, żeby móc podzielić się swoją wiedzą?

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie. Warto było?

Zapadnięta twarz zmarszczyła się w uśmiechu.

- Nie możesz mi już rozkazywać.

- Wróciłaś. Chciałaś pomocy. Ja ci tę pomoc daję.

- Jestem więźniem.

- Możesz odejść stąd w każdej chwili - Zowastina zrobiła przerwę.

- Dlaczego nie chcesz pogodzić się z prawdą?

- A co jest prawdą, Irino? To, że jesteś lesbijką. Twój

ukochany mąż to wiedział. Musiał wiedzieć. Nigdy o nim nie wspominasz.

- On nie żyje.

- Co za korzystny zbieg okoliczności, ten jego wypadek samochodowy. Ciągłe wykorzystujesz współczucie swojego ludu?

Ta kobieta wiedziała o wiele za dużo, co jednocześnie przyciągało ją do niej i odpychało. Poczucie intymności, zawierzenia tej drugiej, stanowiło istotny element ich relacji. To właśnie tutaj kiedyś mogła naprawdę być sobą.

- Wiedział, kiedy się ze mną żenił. Był tak samo ambitny jak ty. Potrzebował odpowiedniej otoczki. A ja mu ją zapewniałam.

- Jak trudno musi być żyć w kłamstwie.

- Ty to właśnie robisz.

Karyn potrząsnęła głową.

- Nie, Irino. Wiem, kim jestem. - Rozmowa wyczerpywała ją i Karyn przerwała, by głęboko kilkakrotnie odetchnąć, zanim zapytała: - Dlaczego mnie po prostu nie zabijesz?

W gorzkim tonie Zowastina rozpoznała odrobinę dawnej Karyn. Zabicie jej nie wchodziło w grę. Chciała ją uratować. Los nie pozwolił Achillesowi uratować Patroklesa. Nieudolność sprawiła, że Aleksander utracił swego ukochanego Hefajstiona. Ona nie padnie ofiarą tych samych błędów.

- Czy naprawdę uważasz, że ktokolwiek zasługuje na coś takiego?

- Karyn szarpnęła za szlafrok. Drobne perłowe guziczki rozsypały się po prześcieradle. - Popatrz na moje piersi, Irino.

Ten widok bolał. Odkąd Karyn wróciła, Irina dużo czytała o AIDS i wiedziała, że choroba w odmienny sposób dotyka różne osoby. Niektórzy cierpią na schorzenia wewnętrzne. Ślepotę, zapalenie okrężnicy, wykańczające biegunki, zapalenie mózgu, gruźlicę i najgroźniejsze ze wszystkich zapalenie płuc. Innych choroba atakuje od zewnątrz, a ich skórę pokrywają mięsaki Kaposiego lub wykwity opryszczki, albo niszczy ich wychudzenie, tak że skóra ciasno opina kości. Karyn choroba atakowała i od zewnątrz, i od środka.

- Pamiętasz, jaka byłam piękna? Pamiętasz moją cudowną

skórę? Uwielbiałaś moje ciało.

Zowastina pamiętała.

- Przykryj się.

- Nie możesz znieść tego widoku?

Zowastina nie odpowiedziała.

- Sram tak często, że aż boli mnie tyłek, Irino. Nie mogę spać i ciągle boli mnie brzuch. Każdego dnia czekam, aż rozwinie się we mnie kolejna infekcja. To jest piekło, Irino.

Zowastina wyrzuciła kobietę z helikoptera na pewną śmierć. Wydała rozkaz eliminacji niezliczonych oponentów politycznych. Stworzyła Federację dzięki tajnej kampanii zamachów z użyciem broni biologicznej, w których życie straciły tysiące ludzi. Żadna z tych śmierci nic dla niej nie znaczyła. Ale umieranie Karyn to co innego. Dlatego pozwoliła jej zostać. Dlatego dostarczała leki, które utrzymywały ją przy życiu. Okłamała tamtych studentów. Miała słabość. Tylko tę jedną.

Karyn leciutko się uśmiechnęła.

- Za każdym razem, gdy tu przychodzisz, widzę to w twoich oczach. Zależy ci. - Karyn chwyciła ją za rękę. - Możesz mi pomóc, prawda? Te zarazki, którymi bawiłaś się lata temu. Na pewno się czegoś dowiedziałaś. Ja nie chcę umrzeć, Irino.

Zowastina starała się trzymać swe emocje na wodzy. Achilles i Aleksander ponieśli porażkę, bo nie potrafili tego uczynić.

- Będę się za ciebie modlić do bogów.

Karyn zaczęła się śmiać. Głęboki, gardłowy rechot i rozpryskująca się ślina jednocześnie zaskoczyły Zowastinę i zraniły.

Karyn wciąż się śmiała.

Zowastina wyszła z sypialni i skierowała się do wyjścia.

Te wizyty to był błąd. Nigdy więcej. Nie teraz. Zbyt wiele miało się wydarzyć.

Opuszczając dom, wciąż słyszała odrażający odgłos Karyn dławiącej się swoją własną śliną.

## DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

### WENECJA, GODZINA 20:45

VINCENTI ZAPŁACIŁ ZA TAKSÓWKĘ WODNĄ, A POTEM WSPIĄŁ SIĘ NA poziom ulicy i pomaszerował w kierunku San Silvy, jednego z najlepszych weneckich hoteli. Nie oferowano w nim żadnych weekendowych obniżek ani promocji. Hotel mieścił się w dawnej rezydencji doży i posiadał czterdzieści dwa luksusowe apartamenty z widokiem na kanał Grande. Wspaniały hol emanował dekadencją starych czasów. Rzymskie kolumny, żyłkowane marmury, bibeloty o muzealnej wartości, a cała przestrzeń wypełniona tłumem ludzi, ich ruchem i głosami.

Peter O'Conner cierpliwie czekał w przytulnej wnęce. Wcale nie był ekspracownikiem wywiadu wojskowego czy rządowego, był po prostu człowiekiem z talentem do zbierania informacji, który łączył się z niemal całkowitym brakiem sumienia.

Philogen Pharmaceutique wydawało rocznie miliony na szeroki zakres usług zapewniających bezpieczeństwo wewnętrzne w celu ochrony tajemnic handlowych i patentów, ale O'Conner składał raporty bezpośrednio Vincentiemu. O'Conner był jego oczami i uszami, które zapewniały mu niezbędny komfort możliwości zastosowania wszelkich środków, jakich wymagała ochrona jego interesów.

I Vincenti był bardzo z niego zadowolony.

Pięć lat temu to O'Conner powstrzymał bunt pośród znacznego grona udziałowców Philogen Pharmaceutique, których nie zachwyciła podjęta przez Vincentiego decyzja o rozszerzeniu działalności firmy w Azji. Trzy lata temu, gdy amerykański gigant farmaceutyczny próbował dokonać wrogiego przejęcia, to O'Conner zastraszył wystarczającą część

udziałowców, by zapobiec wyprzedaży udziałów. A niedawno, kiedy Vincentiemu sprzeciwiła się rada nadzorcza, to O'Conner znalazł dość brudów, by wystarczyło ich do wymuszenia szantażem tylu głosów, że Vincenti nie tylko utrzymał stanowisko dyrektora generalnego, ale został też ponownie wybrany na prezesa zarządu.

Vincenti rozsiadł się w fotelu obitym wytłaczaną skórą. Rzut oka na marmurowy zegar nad kontuarem recepcji przypomniał mu, że o 21.15 powinien być w restauracji. Jak tylko Vincenti się usadowił, O'Conner wręczył mu kilka spiętych zszywaczem kartek, mówiąc:

- Tyle udało nam się dowiedzieć do tej pory.

Vincenti szybko przejrzał zapisy rozmów telefonicznych i przeprowadzonych osobiście - wszystkie pochodziły z urzędów podsłuchowych śledzących Irinę Zowastinę. Kiedy skończył, zapytał:

- Ona zbiera te monety ze słoniem?

- Nasi obserwatorzy - odpowiedział O'Conner - twierdzą, że wysłała po nie kilku swoich osobistych ochroniarzy. Jednym z zespołów kieruje szef jej ochroniarzy, Viktor Tomas. Inny zespół wyjechał do Amsterdamu. Pałą budynki po całej Europie, żeby zamaskować ślady kradzieży.

Vincenti wiedział wszystko o Świętym Zastępie Iriny Zowastiny. Kolejny objaw jej obsesji dotyczącej wszystkiego co greckie.

- I mają te monety?

- Mają co najmniej cztery. Kolejne dwie mieli zdobyć wczoraj, ale to jeszcze niepotwierdzone.

Vincenti był zdezorientowany.

- Musimy dowiedzieć się, o co w tym chodzi.

- Pracuję nad tym. Udało mi się przekupić kilkoro ludzi z pałacu. Niestety, podsłuch elektroniczny działa tylko wtedy, gdy ona jest na miejscu. A ona ciągle jest w ruchu. Niedawno znowu była w chińskim laboratorium.

Vincenti dowiedział się o tej wizycie już wcześniej od dyrektora ds. naukowych laboratorium, Granta Lyndseya.

- Szkoda, że jej pan nie widział podczas tamtej próby

zamachu - powiedział O'Conner. - Jechała wprost na zamachowca, jakby wyzywając go do strzału. Obserwowaliśmy to przez kamerę dalekiego zasięgu. Oczywiście miała na dachu pałacu snajpera, który miał go zdjąć. Ale mimo wszystko, galopować tak wprost na zamachowca? Jest pan pewien, że ona nie ma pod spódnicą jaj?

Vincenti zachichotał.

- Nie mam zamiaru tego sprawdzać.

- Ta kobieta jest szalona.

I dlatego właśnie Vincenti zmienił swoje zdanie co do florentczyka. Rada Dziesięciu wspólnie zdecydowała o podjęciu wstępnych działań wywiadowczych dotyczących ewentualnej eliminacji Zowastiny. Florentczyka zatrudniono, aby rozeznał się w sytuacji. Vincenti najpierw postanowił, że wykorzysta go do przeprowadzenia ostatecznej akcji, ponieważ osiągnięcie jego własnych celów wymagało usunięcia Zowastiny. Obiecał florentczykowi wielką premię, jeśli uda mu się ją zabić.

Ale potem wpadł na lepszy pomysł.

Gdyby ujawnił planowany zamach, pomogłoby to zmniejszyć obawy Zowastiny, która miała wątpliwości co do wiarygodności Ligi. Dzięki temu zyskałby czas na przygotowanie lepszego rozwiązania, nad którym pracował już od kilku tygodni. Rozwiązania bardziej subtelne. Pozostawiającego mniej śladów.

- I znowu była w tym domu - kontynuował O'Conner. - Całkiem niedawno. Wymknęła się z pałacu sama i pojechała samochodem. Kamery zamontowane na drzewach nagrały jej wizytę. Była tam pół godziny.

- Znamy obecny stan jej byłej kochanki?

- Jakoś się trzyma. Podśluchaliśmy ich rozmowę dzięki parabolicznej antenie umieszczonej w pobliskim domu. Dziwna z nich para. Miłość pomieszana z nienawiścią.

Vincenti uważał, że taka namiętność u kobiety, która sprawowała bezwzględne rządy, jest bardzo intrygująca. Była mężatką tylko przez kilka lat. Jej mąż był dyplomatą średniego szczebla w służbach zagranicznych byłego Kazachstanu. Bez wątplenia było to małżeństwo zawarte dla pozorów. Sposób na

zamaskowanie jej budzącej podejrzania seksualności. Jednakże raporty, które zgromadził, świadczyły o przyjaznych stosunkach między małżonkami. Mąż Zowastiny zginął w wypadku samochodowym siedemnaście lat temu, tuż przed tym, jak została wybrana na prezydenta Kazachstanu i na kilka lat przed stworzeniem Federacji. Karyn Walde pojawiła się kilka lat później i związek z nią był jedyną długotrwałą relacją w życiu Zowastiny. Nie skończył się jednak dobrze. Lecz kiedy rok temu ta kobieta znowu się pojawiła, Zowastina od razu ją przyjęła i przy pomocy Vincentiego zaopatrywała w leki przeciwko HIV.

- Powinniśmy zacząć działać? - zapytał Vincenti.

O'Conner skinął głową.

- Jak będziemy zwlekać, może być za późno.

- Zajmij się tym. Pod koniec tygodnia powinienem być w Federacji.

- Może się zrobić nieciekawie.

- Wszystko jedno. Tylko pamiętaj, żadnych odcisków palców. Żadnych śladów, które mogłyby doprowadzić do mnie.



## DWADZIEŚCIA SIEDEM

**AMSTERDAM,  
GODZINA 21:20**

ZESZŁEGO LATA STEPHANIE POZNAŁA WNEȚTRZE DUŃSKIEGO WIĘZIENIA, gdy razem z Malone' em trafiła do aresztu. Teraz miała okazję poznać celę holenderskiego więzienia. Niewielka różnica. Gdy policjanci wbiegli na most i spostrzegli trupa, z rozsądku zachowała milczenie. Obu agentom Secret Service udało się uciec, a ona miała nadzieję, że ten, który wskoczył do wody, znalazł monetę. Ale jej podejrzenia potwierdziły się. Cassiopeia i Thorvaldsen byli w coś zamieszani i bynajmniej nie chodziło tu o kolekcjonowanie starożytnych monet.

Drzwi do celi otworzyły się i do środka wszedł szczupły mężczyzna po sześćdziesiątce o podłużnej kanciastej twarzy i gęstych siwych włosach. Edwin Davis. Zastępca doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego prezydenta. Człowiek, który zastąpił Larryego Daleya. I jaka to była odmiana. Davis przeszedł z Departamentu Stanu, gdzie jego kariera świetnie się rozwijała. Miał dwa doktoraty, jeden z historii Ameryki, a drugi ze stosunków międzynarodowych. Posiadał też doskonałe umiejętności organizacyjne oraz wrodzone zdolności dyplomatyczne. Miał bardzo uprzejmy sposób bycia, był takim równym gościem, podobnie jak sam prezydent Daniels, co sprawiało, że inni często ich nie doceniali. Trzech sekretarzy stanu skorzystało z jego pomocy, by wyprowadzić na prostą swoje kulejące departamenty. Teraz pracował w Białym Domu, pomagając administracji prezydenta przejść przez ostatnie trzy lata drugiej kadencji.

- Jem sobie kolację z prezydentem. W Hadze. Nawiasem mówiąc, świetne miasto. Wieczór bardzo udany. Menu

doskonale, choć zwykle nie zwracam na to uwagi. Nagle przynoszą mi karteczkę z informacją o miejscu twojego pobytu, więc mówię sobie, że na pewno można jakoś logicznie wytłumaczyć, dlaczego Stephanie Nelle siedzi w holenderskim areszcie, ponieważ zatrzymano ją stojącą w deszczu z bronią nad trupem jakiegoś faceta.

Stephanie otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, lecz Davis uniósł dłoń.

- Będzie jeszcze ciekawiej.

Dalej więc siedziała cicho w mokrym ubraniu.

- Kiedy właśnie postanowiłem, że zostawię cię tutaj, ponieważ jestem pewien, że nie chcę wiedzieć, po co przyleciałaś do Amsterdamu, sam prezydent bierze mnie na stronę i każe mi tu przyjechać. Okazuje się, że w sprawę zamieszanych jest też dwóch agentów Secret Service, choć do aresztu nie trafili. Jeden z nich był cały przemoczony po kąpieli w kanale i przekazał nam to.

Złapała plastikową torebkę, którą jej rzucił, i po raz kolejny ujrzała monetę ze słońcem.

- Prezydent rozmawiał z Holendrami. Jesteś wolna.

Stephanie wstała.

- Zanim wyjdę, muszę się dowiedzieć, kim byli tamci mężczyźni.

- Ponieważ spodziewałem się, że o to spytasz, dowiedziałem się, że obaj mieli przy sobie paszporty Federacji Środkowoazjatyckiej. Sprawdziliśmy ich. Byli członkami osobistej ochrony premier Iriny Zowastiny.

Stephanie dostrzegła jakiś błysk w jego oczach. O wiele łatwiej było przejrzeć Davisa niż Daleya.

- To pana nie dziwi.

- Już mało co mnie dziwi - odpowiedział i zniżył głos do szeptu.

- Mamy problem, Stephanie, a teraz, na szczęście lub nieszczęście, w zależności od twojego punktu widzenia, ty też jesteś w to zaangażowana.

POSZŁA Z DAVISEM DO APARTAMENTU HOTELOWEGO. PREZYDENT Danny Daniels siedział wyciągnięty na sofie. Owinął się szlafrokiem i oparł gołe stopy na połączonym szklanym stoliku. Był wysokim mężczyzną z burzą jasnych włosów, tubalnym głosem i rozbijającym sposobem bycia. Choć pracowała dla niego już od pięciu lat, tak naprawdę poznała go dopiero zeszłej jesieni w związku ze sprawą zdrady dotyczącej zaginionej Biblioteki Aleksandryjskiej. Wtedy zwolnił ją, a potem z powrotem zatrudnił. Daniels w jednym ręku trzymał szklankę z drinkiem, a w drugim pilota.

- W tej telewizji wszystko jest z napisami albo w jakimś języku, którego nie znam. A już nie mogę patrzeć na BBC News i CNN International. Wciąż w kółko pokazują te same historie.

- Daniels wyłączył telewizor i rzucił pilota na bok. Wypił łyk ze szklanki, a potem zwrócił się do Stephanie:

- Słyszałem, że spędziłaś kolejny rujnujący dla swej kariery wieczór.

Dostrzegła figlarny błysk w jego oczach.

- To chyba jest właśnie moja ścieżka do sukcesu.

Zaprosił ją gestem, by usiadła. Davis odszedł na bok.

- Mam kolejne złe wieści - powiedział Daniels. - Zaginęła wasza agentka w Wenecji. Od dwunastu godzin nie ma od niej żadnych wieści. Sąsiedzi z budynku, w którym mieszkała, zgłosili jakieś zamieszanie dziś rano. Czterech mężczyzn. Wyważone drzwi. Oczywiście oficjalnie nikt nic nie widział. Typowi Włosi - gwałtownie zamachał ręką. - Najważniejszy dla nich jest święty spokój. - Zrobił przerwę, a twarz mu spochmurniała.

- To nie rokuje najlepiej.

Stephanie wypożyczyła Naomi Johnes Białemu Domowi, ponieważ potrzebowali kogoś do przeprowadzenia rozpoznania. Chodziło o osobę Enrica Vincentiego, międzynarodowego finansisty powiązanego z organizacją zwaną Ligą Wenecką. Stephanie słyszała o niej. Kolejny z niezliczonych karteli świata. Naomi od lat pracowała dla Stephanie i to ona prowadziła sprawę Larryego Daleya. W zeszłym roku odeszła z jednostki Magellan Billet, ale zaraz

wróciła, z czego Stephanie bardzo się ucieszyła. Naomi była świetną agentką. To rozpoznanie miało być łatwą pracą. Tylko obserwacja. Stephanie nawet powiedziała jej, żeby wzięła parę dni wolnego i pozwiedzała Włochy, gdy już skończy.

A teraz Naomi prawdopodobnie nie żyje.

- Kiedy ją wam wynajmowałam, wasi ludzie twierdzili, że chodzi wyłącznie o zbieranie informacji.

Zapadła cisza, a jej wzrok wędrował od jednego mężczyzny do drugiego.

Daniels wyciągnął dłoń.

- Gdzie moneta? - Podała mu ją. - Wyjaśnisz mi to?

Stephanie czuła, że jest brudna. Marzyła o prysznicu i odrobinie snu, ale rozumiała, że to nie będzie możliwe. Nie lubiła być przesłuchiwana, ale rozmawiała z prezydentem Stanów Zjednoczonych, który właśnie uratował jej tyłek, więc opowiedziała o Cassiopeii, Thorvaldsenie i oddanej im przysłudze. Prezydent przysłuchiwał się z niezwykłą uwagą, a potem powiedział:

- Edwinie, powiedz jej.

- Co wiesz o premier Zowastinie?

- Wystarczająco dużo, żeby mieć świadomość, że nie należy do naszych przyjaciół.

Jej zmęczony umysł przywołał fakty dotyczące Zowastiny. Urodziła się w robotniczej rodzinie w północnym Kazachstanie, jej ojciec zginął, walcząc z nazistami za Stalina, a potem, tuż po wojnie, jej matka i reszta najbliższej rodziny zginęła w trzęsieniu ziemi. Dorastała w sierocińcu, dopóki nie zabrała jej stamtąd jakaś daleka kuzynka matki. Po dwudziestce wstąpiła do partii komunistycznej i awansowała aż na stanowisko szefowej lokalnego Komitetu Robotniczego. Potem zdobyła miejsce w Komitecie Centralnym Kazachstanu i szybko stała się czołową przedstawicielką sowieckiej władzy. Jako pierwsza popierała reformę rolną i inne przemiany gospodarcze, a z czasem zaczęła krytykować Moskwę. Po uzyskaniu niezależności od Rosji była jednym z sześciu członków partii, którzy startowali w wyborach na prezydenta Kazachstanu. Gdy żadnemu z dwóch faworytów nie udało się zdobyć większości,

zgodnie z konstytucją zostali wykluczeni z udziału w drugiej turze, w której zwyciężyła Zowastina.

- Już dawno temu przekonałem się - stwierdził Daniels - że jeśli musisz mówić komuś, że jesteś jego przyjacielem, to znaczy, że wasze relacje są w bardzo kiepskim stanie. Ta kobieta uważa nas za zgraję idiotów. Nie potrzebujemy takich przyjaciół jak ona.

- Ale i tak musimy się jej podlizywać.

Daniels pociągnął kolejny łyk ze szklanki.

- Niestety.

- Federacji Środkowoazjatyckiej nie można lekceważyć - stwierdził stanowczo Davis. - To kraina twardych ludzi o długiej pamięci. Dwadzieścia osiem milionów mężczyzn i kobiet, których można zaciągnąć do armii.

Dwadzieścia dwa miliony gotowych do służby od razu. Około półtora miliona nowych rekrutów rocznie. To potężna siła bojowa. Obecnie Federacja wydaje prawie półtora miliarda dolarów na obronność, ale te wydatki nie uwzględniają naszego wkładu, który wynosi dwa razy tyle.

- A najgorsze jest to - dodał Daniels - że ludzie ją uwielbiają. Standard życia polepszył się tysiąckrotnie. Zanim doszła do władzy, w ubóstwie żyło sześćdziesiąt cztery procent społeczeństwa. Dziś mniej niż piętnaście. To poziom porównywalny do naszego. Wszędzie inwestuje. Hydroelektrownie, bawełna, złoto, dysponuje mnóstwem nadwyżek. Federacja ma idealne położenie geopolityczne. Rosja, Chiny, Indie - i Federacja dokładnie pośrodku między nimi. Zowastina to sprytna kobieta. Siedzi na jednych z największych na świecie rezerw ropy i gazu, które kiedyś kontrolowali Rosjanie. Wciąż są wkurzeni tą ich niepodległością, więc poszła z nimi na ugodę i sprzedaje im ropę i gaz po zaniżonych cenach, dzięki czemu Moskwa się jej nie czepia.

Stephanie zaimponowała znajomości spraw regionu, jaką wykazał się prezydent.

- Na dodatek - kontynuował Daniels - kilka lat temu zawarła z Rosjanami długoterminową umowę dzierżawy kosmodromu

Bajkonur. Znajduje się on w samym środku dawnego Kazachstanu. Kilkanaście tysięcy kilometrów kwadratowych, na których użytkowanie Rosja ma teraz wyłączność aż do roku dwa tysiące pięćdziesiątego. W zamian za to uzyskała oczywiście anulowanie części długu. A potem ułagodziła Chińczyków, kończąc ciągnący się od setek lat spór graniczny. Nieźle jak na ekonomistkę, która dorastała w sierocińcu.

- Czy mamy jakiś problem z Zowastiną? - zapytała Stephanie. Ponownie żaden z mężczyzn nie odpowiedział na jej pytanie, więc zmieniła temat. - Co ma z tym wspólnego Enrico Vincenti?

- Zowastina i Vincenti są powiązani - powiedział Daniels - poprzez Ligę Wenecką. Oboje są jej członkami. Liga skupia ponad czterystu członków. Mają mnóstwo kasy, czasu i nadmiernych ambicji, ale nie chcą zmieniać świata. Przed wszystkim pragną, żeby ich zostawić w spokoju. Nienawidzą rządów, restrykcyjnych praw, ceł, podatków, mnie i wszystkiego, co ich ogranicza. Mają swoje macki w wielu krajach świata...

Stephanie zauważyła, że Daniels wyczuł, o czym myśli.

Prezydent pokręcił głową.

- Nie tutaj. Nie tak jak ostatnim razem. Sprawdziliśmy. Nic nie ma. Koncentrują się głównie na Federacji Środkowoazjatyckiej.

Davis powiedział:

- Wszystkie państwa, które teraz wchodzi w skład Federacji, odziedziczyły po sowieckiej dominacji i swojej walce o niepodległość spore długi. Zowastinie udało się renegocjować te zobowiązania z różnymi rządami i większość zadłużenia została umorzona. Ale napływ nowego kapitału jest tam mile widziany. Nic nie dusi postępu bardziej niż długoterminowe zadłużenie. - Po chwili przerwy dodał: - Na rachunkach w różnych bankach na całym świecie znajduje się ponad trzy i pół miliarda dolarów należących do członków Ligi Weneckiej.

- Wejściowa stawka w wielkiej grze w pokera - stwierdził Daniels.

Stephanie uświadomiła sobie znaczenie sprawy, ponieważ

prezydent zwykle nie wszczynał alarmu na podstawie niepewnych podejrzeń.

- Która właśnie ma się rozpocząć?

Daniels skinął głową.

- Do tej pory korporacje zarejestrowane w Federacji Środkowoazjatyckiej przejęły blisko osiemdziesiąt firm z całego świata. Między innymi z branży farmaceutycznej, informatycznej, motoryzacyjnej i telekomunikacyjnej. Wyobraź sobie, że przejęli nawet największego na świecie producenta torebek do herbaty. Goldman Sachs przewiduje, że jeśli ten trend się utrzyma, Federacja stanie się trzecią lub czwartą gospodarką świata, tuż za nami, Chinami i Indiami.

- A to niepokojące. - Davis pokiwał głową. - Zwłaszcza że wszystko dzieje się po cichu. Zwykle korporacje chwalą się przejęciami. Ale nie w tym przypadku. Wszystko trzymane jest w tajemnicy.

Daniels machnął ręką.

- Zowastina potrzebuje ciągłego napływu kapitału, żeby jej administracja mogła funkcjonować. My mamy podatki, ona ma Ligę. Federacja ma mnóstwo bawelny, złota, uranu, srebra, miedzi, ołowiu, cynku...

- I opium - dokończyła Stephanie.

- Zowastina - ciągnął Davis - okazała się pomocna nawet w tej sprawie. Federacja zajmuje trzecie miejsce na świecie pod względem przechwytywania opiatów. Wyeliminowała swój region z handlu narkotykami, a Europa ją za to kocha. Po drugiej stronie Atlantyku nie można na jej temat powiedzieć złego słowa. Oczywiście im też sprzedaje tanią ropę i gaz.

- Macie świadomość - spytała Stephanie - że Naomi prawdopodobnie zginęła przez to wszystko? - Na tę myśl poczuła skurecz żołądka. Utrata agenta to była najgorsza rzecz, jaką mogła sobie wyobrazić. Na szczęście rzadko się to zdarzało. Ale jeśli już do tego dochodziło, zawsze musiała walczyć, by cierpliwością zrównoważyć rosnącą w sobie złość.

- Zdajemy sobie z tego sprawę - odpowiedział Davis. - I mamy zamiar odpowiednio zareagować.

- Przyjaźniła się z Cottonem Malone'em. Wielokrotnie

pracowali razem w jednostce Magellan Billet. Tworzyli dobry zespół. Będzie mu przykro, jak się dowie.

- I między innymi dlatego tu jesteś - powiedział prezydent. - Kilka godzin temu Cotton uratował się z pożaru w Muzeum Kultury Greków i Rzymian w Kopenhadze, którego właścicielem jest Henrik Thorvaldsen. Cassiopeia Vitt pomogła mu wydostać się z płomieni.

- Jest pan doskonale poinformowany.

- To część moich obowiązków, których szczerze mówiąc, zaczynam nie lubić. - Daniels pomachał torebką z monetą. - W tym muzeum była taka sama moneta.

Stephanie przypomniała sobie słowa Klause Dyhra: „Tylko osiem”.

Davies wskazał swoim długim palcem na monetę.

- To się nazywa moneta ze słoniem.

- Ma jakieś znaczenie? - zapytała.

- Najwyraźniej tak - odparł Daniels. - Ale żeby dowiedzieć się czegoś więcej, potrzebujemy twojej pomocy.



## DWADZIEŚCIA OSIEM

### **KOPENHAGA, PONIEDZIAŁEK 20 KWIETNIA, GODZINA 12:40**

MALONE WZIAŁ KOC I ruszył w kierunku sofy w sąsiednim pokoju. W ramach przebudowy po zeszłorocznym pożarze wyburzył kilka ścianek działowych, a inne poprzestawiał, urządzając w ten sposób na trzecim piętrze antykwariatu całkiem wygodne mieszkanie.

- Podobają mi się te meble - stwierdziła Cassiopeia. - Pasują do ciebie.

Porzucił skandynawską prostotę i wszystkie meble sprowadził z Londynu. Sofę, parę krzeseł, stoły i lampy. Drewno i skóra, ciepłe i wygodne. Zauważył, że w wystroju jego mieszkania niewiele się zmienia, najwyżej jakaś książka wędruje tu z parteru albo kolejne zdjęcie Gary'ego trafia do jego skrzynki mailowej i zostaje dodane do kolekcji. Zaproponował Cassiopeii, żeby przespala się tutaj, w mieście, zamiast wracać z Thorvaldsenem do Christiansgade, a ona nie oponowała. Podczas kolacji wysłuchał ich wyjaśnień, pamiętając o tym, że Cassiopeia ma osobisty stosunek do wydarzeń, który wpływa na jej ocenę.

A to niedobrze. Doskonale pamiętał, jak to było, gdy niebezpieczeństwo groziło Gary'emu.

Siedziała na skraju jego łóżka. Lampy o przytłumionym świetle dodawały blasku ścianom w kolorze musztardy.

- Henrik uważa, że będzie mi potrzebna twoja pomoc.
- A ty się z nim nie zgadzasz?
- Nie wiem, czy ty się zgadzasz.
- Kochałaś Ely'ego?

Sam się zdziwił, że zadał to pytanie. Ona przez chwilę nie

odpowiadała.

- Trudno powiedzieć.

To nie była odpowiedź.

- Musiał być kimś wyjątkowym.

- Ely był niesamowity. Bystry, żywy, zabawny. Trzeba go było widzieć, jak znalazł te manuskrypty. Zupełnie jakby odkrył nieznany dotąd kontynent.

- Długo się spotykaliście?

- Od czasu do czasu przez trzy lata.

Jej oczy znowu patrzyły w dal, tak jak przed płonącym muzeum. Byli tacy do siebie podobni. Oboje ukrywali uczucia. Aż do pewnych granic. On do dzisiaj nie poradził sobie ze świadomością, że Gary nie jest jego biologicznym synem, tylko efektem romansu jego byłej żony przed wielu laty. Zdjęcie chłopca stało na nocnym stoliku i Malone rzucił na nie okiem. Uznał, że geny nie mają znaczenia. Chłopak wciąż był jego synem, a z byłą żoną doszli do porozumienia. Lecz Cassiopeia wciąż zmagala się ze swoimi demonami. Szczerłość była jak najbardziej na miejscu.

- Co masz zamiar zrobić?

Napięła kark, a jej dłonie usztywniły się.

- Życ dalej.

- Czy w tej sprawie chodzi o Ely'ego czy o ciebie?

- Jak to ma znaczenie?

Częściowo miała rację. Nie powinno mieć znaczenia. To była jej walka. Nie jego. Ale jego ciągnęło do tej kobiety, mimo że jej najwyraźniej zależało na kimś innym. Opróżnił więc swój umysł z emocji i zapytał:

- Co wykazało badanie odcisków palców Viktora? Nie wspomnieliście o tym przy kolacji.

- Pracuje dla premier Iriny Zowastiny. Jest szefem jej osobistej ochrony.

- Mielicie w ogóle zamiar mi o tym powiedzieć?

Wzruszyła ramionami.

- Oczywiście. Gdybyś tylko zapytał.

Zduślił w sobie gniew, uświadamiając sobie, że ona się z niego naigrawa.

- Myślisz, że Federacja Środkowoazjatycka jest w to bezpośrednio zamieszana?

- Moneta ze słońcem w muzeum w Samarkandzie pozostała nietknięta.

Słuszna uwaga.

- Ely natrafił na pierwszy od setek lat uchwytny ślad zaginionego grobu Aleksandra Wielkiego. Wiem, że powiedział o tym Zowastinie, bo opowiadał mi, jak zareagowała. Ona ma obsesję na punkcie historii Grecji i interesuje się też epoką hellenistyczną. Była zafascynowana odkrytą przez Ely'ego zagadką Ptolemeusza dotyczącą miejsca pochówku Aleksandra - Cassiopeia zawahała się. - On umarł w niecały tydzień po tym, jak jej o tym powiedział.

- Myślisz, że został zamordowany?

- Jego dom spłonął doszczętnie. Razem z nim.

Czyli grecki ogień.

- A co z tymi odkrytymi przez niego manuskryptami?

- Poprosiliśmy różnych naukowców, żeby o nie popytali. W muzeum w Samarkandzie nikt nic nie wiedział.

- A teraz płoną kolejne budynki i znikają kolejne monety.

- Mniej więcej.

- Co robimy?

- Jeszcze nie zdecydowałam, czy potrzebuję twojej pomocy.

- Potrzebujesz.

Przyjrzała mu się podejrzliwie.

- Co wiesz na temat historycznych relacji dotyczących miejsca pochówku Aleksandra?

- Najpierw Ptolomeusz pochował go w Memfis, na południu Egiptu, mniej więcej rok po śmierci. A potem syn Ptolemeusza przeniósł ciało na północ, do Aleksandrii.

- Zgadza się. Zrobił to między rokiem dwieście osiemdziesiątym trzecim, czyli śmiercią Ptolemeusza, a dwieście siedemdziesiątym czwartym. Mauzoleum wzniesiono w nowej dzielnicy miasta, przy skrzyżowaniu dwu głównych arterii w pobliżu królewskiego pałacu. Zaczęto je potem nazywać Soma, czyli po grecku ciało. To był najwspanialszy grobowiec w najwspanialszym mieście owych czasów.

- Ptolemeusz był sprytny - powiedział Malone. - Poczekał, aż wymrą wszyscy spadkobiercy Aleksandra, i wtedy ogłosił się faraonem. Jego potomkowie też wykazali się sprytem. Przekształcili Egipt w greckie królestwo. I kiedy inni byli dowódcy Aleksandra tracili swoje części imperium lub nieudolnie nimi zarządzali, Ptolemeusze utrzymali się przy władzy przez trzy stulecia. Mauzoleum Aleksandra posłużyło ich celom politycznym.

Cassiopeia skinęła głową.

- To naprawdę fascynująca historia. Grobowiec Aleksandra stał się celem pielgrzymek. Odwiedzili go Cezar, Oktawian, Kaligula i tuzin innych cesarzy. To musiało być imponujące miejsce. Zdobiona złotem mumia w złotej koronie, ukryta w złotym sarkofagu i zatopiona w złotym miodzie. Przez półtora stulecia ciało Aleksandra spoczywało w pokoju, ale potem Ptolemeuszowi IX zabrakło pieniędzy. Pozbawił mumię całego złota i stopił sarkofag, zastępując go trumną ze szkła. Mauzoleum zwane Somą istniało przez sześćset lat. Ostatni zapis dowodzący jego istnienia pochodzi z trzysta dziewięćdziesiątego pierwszego roku naszej ery.

Malone wiedział, co było dalej. Zarówno budynek mauzoleum, jak i szczątki Aleksandra Wielkiego zniknęły. Szukano ich przez kolejne szesnaście stuleci. Ale największy zdobywca świata starożytnego, człowiek czczony jako żywy bóg, po prostu zniknął.

- Wiesz, gdzie jest to ciało? - zapytał Malone.

- Ely sądził, że wie... - Jej głos zabrzmiał jak z oddali, jakby rozmawiała z duchem.

- Myślisz, że miał rację?

Wzruszyła ramionami.

- Trzeba tam pojechać i sprawdzić.

- Dokąd?

W końcu popatrzyła na niego zmęczonym wzrokiem.

- Do Wenecji. Ale najpierw musimy zdobyć ostatnią monetę. Tę, po którą Viktor z pewnością już wyruszył.

- A gdzie ona jest?

- To dość intrygujące, bo też w Wenecji.

## DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

### **SAMARKANDA, FEDERACJA ŚRODKOWOAZJATYCKA, GODZINA 2:50**

ZOWASTINA UŚMIECHNĘŁA SIĘ DO NUNCJUSZA PAPIESKIEGO. Był to przystojny mężczyzna o kasztanowych, przyprószonych siwizną włosach oraz żywym i przenikliwym spojrzeniu. Amerykanin. Monsignore Colin Michener. Członek nowego Watykanu, któremu przewodził pierwszy papież z Afryki. Nuncjusz już dwukrotnie tu przyjeżdżał, by zapytać, czy Federacja zgodzi się na obecność katolików, ale ona dwukrotnie odmówiła. Choć dominującą w Federacji religią był islam, nomadowie, którzy od wieków zamieszkiwali Azję Środkową, zawsze na pierwszym miejscu stawiali swoje własne prawa, nawet przed islamskich szariatem. Z geograficznej izolacji narodziła się niezależność tego społeczeństwa, niezależność nawet od Boga, więc Zowastina wątpiła, by katolicy zostali miło przyjęci. Teraz jednak potrzebowała czegoś od nuncjusza, więc nadszedł czas negocjacji.

- Nie jest pan skowronkiem? - zapytała, zauważając zmęczony wygląd Michenera, którego ten nawet nie starał się ukryć.

- Czy to nie jest tradycyjna pora na spanie?

- Dla nas obojga lepiej będzie, jeśli nikt nie zobaczy nas razem w świetle dnia. Pański Kościół nie jest tu zbyt popularny.

- I to właśnie chcielibyśmy zmienić.

Wzruszyła ramionami.

- Chcecie nakłaniać ludzi, by porzucali to, co czczą od stuleci. Nawet muzułmanom, z ich zdyscyplinowaniem i moralnym rygorem, to się nie udało. Przekona się pan, że tutaj religia o wiele lepiej służy celom organizacyjnym i politycznym niż duchowym.

- Ojciec Święty nie chce zmieniać Federacji. Prosi tylko, by Kościół miał swobodę w opiekowaniu się tymi, którzy pragną praktykować naszą wiarę.

Zowastina uśmiechnęła się.

- Był pan w którymś z naszych świętych miejsc?

Nuncjusz pokręcił głową.

- Namawiam. Zauważyłby pan kilka ciekawych rzeczy. Mężczyźni całują, pocierają i obchodzą wkoło przedmioty czci. Kobiety wczołgują się pod święte kamienie, żeby zapewnić sobie płodność. Proszę nie zapominać o drzewach życzeń i o mongolskich słupach z kitami z końskiego włosia, które stawia się na grobach. Bardzo popularne są u nas amulety i rzucanie czarów. Ludzie wierzą w rzeczy, które nie mają nic wspólnego z waszym chrześcijańskim Bogiem.

- Wśród tych ludzi jest coraz więcej katolików, baptystów, luteran, a nawet buddystów. Najwyraźniej są tacy, którzy chcą się modlić inaczej. Czyż nie powinni mieć do tego prawa?

Zowastina zdecydowała się w końcu przyjąć papieskiego wysłannika również ze względu na Islamską Partię Odrodzenia. Choć już przed laty została ona zdelegalizowana, wciąż po cichu działała, zwłaszcza w Kotlinie Fergańskiej w dawnym Uzbekistanie. Zowastina potajemnie zainfekowała głównych podżegaczy, pozbawiając tym samym wrogą partię jej przywódców. Jednakże sama partia wciąż istniała. Dopuszczenie większej konkurencji między religiami, zwłaszcza konkurencji ze strony takiej organizacji jak Kościół rzymskokatolicki, zmusi islamistów do skoncentrowania się na wrogu groźniejszym niż jej osoba. Powiedziała więc:

- Postanowiłam, że wpuszczę pański Kościół do Federacji.

- Bardzo się cieszę.

- Ale pod pewnymi warunkami.

Przystojna twarz księdza spochmurniała.

- Nie są szczególnie trudne do spełnienia - zapewniła Zowastina.

- Tak naprawdę to mam tylko jedną małą prośbę. Jutro wieczorem w weneckiej bazylice zostanie otwarty grób świętego Marka.

W oczach nuncjusza odbiło się zdumienie.

- Z pewnością zna pan historię świętego Marka i opowieść o tym, jak jego ciało znalazło się w Wenecji?

Michener skinął głową.

- Mam przyjaciela, który pracuje w bazylice. Rozmawialiśmy kiedyś o tym.

Zowastina też знаła tę historię. Marek, jeden z dwunastu apostołów, wyznaczony przez świętego Piotra na biskupa Aleksandrii, zmarł śmiercią męczeńską z rąk tamtejszych pogan w sześćdziesiątym siódmym roku naszej ery. Kiedy próbowali spalić jego ciało, nagle burza zdusiła płomień i pozwoliła chrześcijanom wykraść zwłoki apostoła. Ciało Marka zmumifikowano, a następnie pochowano w tajnym miejscu, gdzie pozostawało przez cztery stulecia. Po przejęciu Aleksandrii przez chrześcijan wzniesiono piękny grobowiec, który uważano za tak święte miejsce, że właśnie tam odbywały się kolejne inwestytury aleksandryjskich patriarchów. Grobowiec przetrwał nadejście islamu, a także inwazje Persów i Arabów w siódmym wieku naszej ery.

Ale w roku osiemset dwudziestym ósmym grupa weneckich kupców wykrała ciało świętego.

Wenecja potrzebowała symbolicznego potwierdzenia zarówno swojej politycznej, jak i teologicznej niezależności. Rzym miał Piotra, Wenecja miała mieć Marka. W tym samym czasie aleksandryjskie duchowieństwo obawiało się o bezpieczeństwo świętych relikwii. Islamskie rządy stawały się coraz surowsze. Wyburzano kaplice i świątynie. Tak więc z pomocą strażników grobu udało się wykraść ciało świętego Marka.

Zowastina uwielbiała szczegóły tej opowieści.

By zamaskować kradzież, w miejsce ciała świętego Marka podstawiono zwłoki pochowanego w pobliżu świętego Klaudiana. Zapach substancji użytych do balsamowania był tak silny, że aby odwieść urzędników od dokładnego badania ładunku odpływającego statku, przysypano ciało kapuścianymi liśćmi i kawałkami wieprzowiny. Udało się, muzułmańscy inspektorzy uciekli w panice na widok świńskiego mięsa. Ciało następnie owinięto płótnem i przymocowano do noka rei.

Ponoć w drodze powrotnej do Włoch duch świętego Marka uchronił statek przed zatonięciem podczas sztormu.

- Trzydziestego pierwszego stycznia osiemset dwudziestego ósmego roku ciało świętego przekazano weneckiemu doży - powiedziała Zowa-stina. - Doża nakazał złożyć relikwie w swoim pałacu, lecz one zniknęły i pojawiły się na nowo w roku tysiąc dziewięćdziesiątym czwartym, kiedy dokonano formalnego poświęcenia nowo wybudowanej Bazyliki Świętego Marka. Szczałki świętego umieszczono w krypcie pod posadzką kościoła, ale w dziesiętnastym wieku przeniesiono je wyżej, pod główny ołtarz, gdzie pozostały do dziś. Mnóstwo luk w historii jednego ciała, nie uważa pan?

- Takie są historie relikwii.

- Przez czterysta lat w Aleksandrii, a potem przez blisko trzy stulecia w Wenecji nikt nie wiedział, gdzie znajdują się zwłoki świętego.

Nuncjusz wzruszył ramionami.

- To kwestia wiary, pani premier.

- Aleksandria zawsze żywiła urazę o tę kradzież - powiedziała Zowastina. - Zwłaszcza że Wenecja przez setki lat chwaliła się nią, jakby złodzieje wykonali jakąś świętą misję. Dajmy temu spokój, wiadomo, że chodziło o kwestie polityczne. Wenecjanie okradali cały świat. Byli niczym padlinożercy, którzy brali wszystko, co się dało, i wykorzystywali to z pożytkiem dla siebie. A kradzież świętego Marka chyba najbardziej im się opłacała. Do dziś całe miasto kręci się wokół jego postaci.

- Po co więc otwierają jego grób?

- Biskupi i patriarchowie Kościoła koptyjskiego i etiopskiego chcą zwrotu świętego Marka. W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym wasz papież Paweł VI przekazał patriarche Aleksandrii kilka relikwii, żeby ich udobruchać. Ale one pochodziły z Rzymu, a nie z Wenecji, i nie pomogły. Oni chcą powrotu szczałków świętego Marka i od dawna rozmawiają na ten temat z Rzymem.

- Służyłem jako sekretarz Klemensowi XV. Wiem o tych rozmowach.

Od dawna podejrzewała, że ten mężczyzna był kimś więcej niż



nuncjuszem. Nowy papież najwyraźniej starannie dobierał swoich wysłanników.

- Więc wie pan też, że pański Kościół nigdy nie odda ciała świętego. Ale patriarcha Wenecji, za zgodą Rzymu, zgodził się na kompromis. To element polityki pojednania ze światem waszego afrykańskiego papieża. Część relikwii z grobowca zostanie zwrócona. W ten sposób obie strony będą zadowolone. Ale to drażliwa kwestia, szczególnie dla Wenecjan. Naruszany jest spokój ich świętego. - Zowastina potrzęsła głową. - I dlatego grób zostanie otwarty dziś wieczorem w tajemnicy. Część szczątków zostanie zabrana, a grobowiec na nowo zamknięty. Nikt nie będzie o niczym wiedział, dopóki za kilka dni świat nie zostanie zawiadomiony o darze.

- Jest pani doskonale poinformowana.

- Jestem zainteresowana tym tematem. Ciało w tym grobowcu to wcale nie jest święty Marek.

- Więc kto?

- Powiedzmy, że ciało Aleksandra Wielkiego zniknęło z Aleksandrii w czwartym wieku, niemal dokładnie wtedy, gdy pojawiło się ciało świętego Marka. Ciało Marka złożono w grobowcu podobnym do Somy Aleksandra, która przez poprzednich sześćset lat stanowiła święte miejsce. Moi naukowcy przeanalizowali rozmaite starożytne teksty, które były dotąd nieznanne...

- I uważa pani, że ciało złożone w weneckiej bazylice to tak naprawdę szczątki Aleksandra Wielkiego?

- Nie mogę powiedzieć nic więcej niż to, że teraz tylko analiza DNA może potwierdzić rasę, do której należał zmarły. Marek urodził się w Libii w arabskiej rodzinie. Aleksander był Grekiem. To oznacza istotne różnice w chromosomach. Również badania izotopowe zębów, tomografia oraz datowanie metodą węglową powinny dostarczyć wielu informacji. Aleksander zmarł w roku trzysta dwudziestym trzecim przed naszą erą, a święty Marek w pierwszym wieku po Chrystusie. I tutaj występują weryfikowalne naukowo różnice.

- Ma pani zamiar zbeczczyć relikwie?

- Nie bardziej niż wy. Proszę mi powiedzieć, co chcecie mu

obciąć?

Amerikanin zastanawiał się nad jej słowami. Już wcześniej przeczuwała, że wrócił do Samarkandy z o wiele większymi uprawnieniami niż poprzednio. Pora przekonać się, czy to prawda.

- Chcę tylko kilku minut samotności przy otwartym grobowcu. Jeśli coś zabiorę, nic nie będzie widać. W zamian Kościół rzymskokatolicki będzie mógł swobodnie działać na obszarze Federacji i przekonać się, ile dusz zdoła nawrócić. Ale wznoszenie jakichkolwiek budowli będzie uwarunkowane zgodą rządu. Tak będzie lepiej również dla waszego bezpieczeństwa. Dojdzie do wybuchów przemocy, jeśli budowa świątyń nie będzie prowadzona ostrożnie.

- Ma pani zamiar osobiście udać się do Wenecji?

Skinęła głową.

- Zależy mi na wizycie bez rozgłosu, zorganizowanej przez Ojca Świętego. Podobno wasz Kościół ma ogromny wpływ na włoski rząd.

- Ma pani świadomość, pani premier, że w najlepszym razie to, co pani tam znajdzie, będzie jak całun turyński albo fatimskie objawienia. To kwestia wiary.

Ale ona była przekonana, że równie dobrze może to być coś konkretnego. Jak wyraził to Ptolemeusz w swojej zagadce? „Dotknij najskrytszej istoty złotej iluzji...”

- Tylko kilka minut przy grobie. To wszystko, o co proszę.

Nuncjusz papieski siedział w milczeniu.

Zowastina czekała.

- Poinstruję patriarchę Wenecji, by to pani umożliwił.

Miała rację. Nie wrócił z pustymi rękoma.

- Ma pan sporo władzy jak na zwykłego nuncjusza.

- Trzydzieści minut. O pierwszej w nocy w środę. Poinformujemy włoskie władze, że przybywa pani na prywatną uroczystość na zaproszenie Kościoła.

Podziękowała ponownym skinieniem głowy.

- Zaażuję pani wejście do bazyliki przez Porta dei Fiori w zachodnim przedsionku. O tej porze na rynku będzie niewielu ludzi. Będzie pani sama?

Była zmęczona nadgorliwością tego księdza.

- Jeśli to takie istotne, to może zapomnijmy o całej sprawie.

Zauważyła, że Michener dostrzegł jej irytację.

- Pani premier, proszę zabrać ze sobą, kogo pani chce. Ojciec Święty pragnie jedynie panią zadowolić.

## TRZYDZIEŚCI

### **HAMBURG, NIEMCY, GODZINA 1:15**

VIKTOR SIEDZIAŁ W BARZE HOTELOWYM. RAFAEL SPAŁ w POKOJU NA górze. Wyruszyli z Kopenhagi na południe, do północnych Niemiec. W Hamburgu mieli spotkać się z dwoma innym członkami Świętego Zastępu, którzy zostali wysłani do Amsterdamu po szóstą monetę. Powinni dotrzeć tu tej nocy. Wszystkimi innymi kradzieżami zajęli się on z Rafaelem, ale ponieważ zostało już niewiele czasu, Zowastina wysłała w teren drugi zespół.

Viktor sączył piwo i napawał się spokojem. W słabo oświetlonych boksach siedziało tylko kilku klientów baru.

Zowastina uwielbiała napięcie. Uwielbiała trzymać ludzi na granicy wytrzymałości. Rzadko chwaliła, często krytykowała. Personel pałacowy, Święty Zastęp, ministrów. Każdy bał się ją rozczarować. Ale słyszał, co mówią za jej plecami. I dziwił się, że kobieta tak żądna władzy stała się tak nieświadoma towarzyszących jej zagrożeń. Lojalność niezadowolonych poddanych to niebezpieczna iluzja. Rafael miał rację, coś się szykowało. Jako szef Świętego Zastępu często towarzyszył Zowastinie w wyprawach do laboratorium w górach na wschód od Samarkandy. Tego po jej stronie granicy z Chinami, z jej personelem i jej zarazkami. Widział osoby poddawane testom, które przywożono z więzień, i ich śmierć w męczarniach. Stał też pod salami konferencyjnymi, gdy knuła spiski ze swoimi generałami. Federacja posiadała imponującą armię, całkiem spore siły powietrzne, a nawet rakiety krótkiego zasięgu. Większość pochodziła z Zachodu lub była przez Zachód finansowana ze względów obronnych, ponieważ sąsiadami Federacji były Iran, Chiny i Afganistan.

Nie powiedział tego Rafaelowi, ale wiedział, co planuje Zowastina. Słyszał, jak mówiła o chaosie w Afganistanie, gdzie talibowie kurczowo trzymali się swej krótkotrwałej władzy. O Iranie, którego kontrowersyjny prezydent nieustannie potrząsał szabelką. I o Pakistanie, kraju, który eksportował ślełą przemoc.

Te kraje były jej pierwszym celem.

A zginąć miały miliony.

Zaskoczyło go wibrowanie komórki w kieszeni.

Wyciągnął telefon, spojrział na wyświetlacz i odebrał, a w żołądku poczuł znajomy ucisk.

- Viktor - powiedziała Zowastina. - Cieszę się, że cię złapałam. Mamy problem.

Słuchał, gdy opowiadała o wydarzeniach w Amsterdamie, gdzie dwóch członków Świętego Zastępu straciło życie, próbując zdobyć monetę.

- Amerykanie zgłosili oficjalne zapytanie. Chcą wiedzieć, dlaczego moi ludzie strzelali do ich tajnych agentów. To dobre pytanie.

Chciał odpowiedzieć, że prawdopodobnie zrobili to z obawy, że ją rozczarują, a ich wyważony osąd zastąpiła lekkomyślność. Ale wiedział, że nie powinien tego robić, i stwierdził tylko:

- Wolałbym sam załatwić tę sprawę.

- W porządku, Viktorze. Muszę to dziś przyznać. Byłeś przeciwny wysłaniu drugiego zespołu, ale ja się uparłam.

Potrafił docenić to wyznanie. Niesamowity był sam fakt, że je uczyniła.

- Ale pani chciałaby wiedzieć, dlaczego ci Amerykanie akurat tam byli?

- Przyszło mi to do głowy.

- Może zostaliśmy wystawieni.

- Wątpię, by obchodziło ich to, co robimy. Bardziej obawiam się naszych przyjaciół z Ligi Weneckiej. Zwłaszcza tego grubasa.

- Ale to fakt, że Amerykanie tam byli - powiedział.

- Może to przypadek.

- A co oni mówią?

- Ich przedstawiciele odmówili podania szczegółów.

- Pani premier - zapytał przyciszonym głosem - czy w końcu wiemy, czego szukamy?

- Pracuję nad tym. Idzie powoli, ale wiem już teraz, że kluczem do rozszyfrowania zagadki Ptolemeusza jest odnalezienie ciała, które kiedyś spoczywało w Somie w Aleksandrii. Jestem przekonana, że to, czego szukamy, to szczątki świętego Marka, które znajdują się w Wenecji w bazylice pod jego wezwaniem.

Nigdy o tym wcześniej nie słyszał.

- I dlatego wybieram się do Wenecji. Dziś w nocy.

To jeszcze bardziej go zdumiało.

- Czy to rozsądne?

- To konieczne. Chcę, żebyś był ze mną w bazylice. Musisz zdobyć monetę i stawić się przy kościele o pierwszej w nocy.

Wiedział, jak należy odpowiedzieć.

- Oczywiście, pani premier.

- Nie powiedziałeś mi jeszcze, Viktorze, czy mamy tę z Danii?

- Mamy, pani premier.

- Będziemy musieli sobie poradzić bez tej holenderskiej.

Zauważył, że wcale nie jest zła pomimo porażki.

- Viktorze, ja nie bez powodu zdecydowałam, że wenecką monetę zostawiamy na koniec.

Teraz wiedział już dlaczego. Bazylika. I ciało świętego Marka. Ale wciąż martwił się Amerykanami. Na szczęście udało mu się opanować sytuację w Danii. Wszystkie trzy osoby, które sprawiały problemy, były już martwe, a Zowastina o niczym nie musiała wiedzieć.

- Planowałam to od jakiegoś czasu - powiedziała. - W Wenecji coś dla was przygotowałam, więc nie jedźcie tam, tylko weźcie samolot. Oto namiary. - Zowastina podała mu adres magazynu i kod do elektronicznego zamka. - To, co wydarzyło się w Amsterdamie, nie ma znaczenia. Istotne jest to, co stanie się w Wenecji. Muszę mieć tę ostatnią monetę.

## TRZYDZIEŚCI JEDEN

### HAGA, GODZINA 1:10

STEPHANIE Z ZAINTERESOWANIEM SŁUCHAŁA WYJAŚNIENÍ EDWINA Davisa i prezydenta Danielsa.

- Wiesz, co to są zoonozy? - zapytał Davis.

- Choroby, które przenoszą się ze zwierząt na ludzi.

- Dokładniej rzecz biorąc - powiedział Daniels - są to choroby niegroźne dla zwierząt, lecz wywołujące katastrofalne skutki u ludzi. Wąglik, dżuma dymienicza, ebola, wścieklizna, ptasia grypa, a nawet zwykła grzybica to najbardziej znane przykłady.

- Nie miałam pojęcia, że tak dobrze zna się pan na biologii.

Daniels roześmiał się.

- Nigdy nie miałem naukowych zainteresowań, ale za to znam wielu znakomitych specjalistów. Opowiedz jej, Edwinie.

- Istnieje około tysiąca pięciuset znanych patogenów odzwierzęcych. Połowa z nich mieszka sobie spokojnie w ciele gospodarza, żyjąc na jego koszt, i nie czyni mu większej szkody. Ale jeśli taki patogen przeniesie się na inne zwierzę, wobec którego nie jest już tak łagodnie usposobiony, zaczyna szaleć. W ten właśnie sposób wybuchła epidemia dżumy. Nosicielami choroby były szczury, a na nich żerowały pchły, które przeniosły ją na ludzi. Dżuma zdziesiątkowała średniowieczną Europę.

- Dopóki ludzie - dodał Daniels - nie wytworzyli odporności. Niestety, w czternastym wieku zajęło to kilkadziesiąt lat, a w tym czasie wymarła jedna trzecia mieszkańców Europy.

- Hiszpanka z osiemnastego roku to też była zoonoza, prawda? - zapytała Stephanie.

Davis skinął głową.

- Przeniosła się z ptaków na ludzi, a potem zmutowała tak, że

mogła przenosić się z człowieka na człowieka. I przenosiła się. Na hiszpankę zachorowało dwadzieścia procent ludzi na świecie. Zmarło około pięciu procent światowej populacji. Dwadzieścia pięć milionów ludzi w ciągu pierwszych sześciu miesięcy. Dla porównania AIDS zabił dwadzieścia pięć milionów ludzi w ciągu ćwierć wieku.

- A dane z osiemnastego roku są niepełne, Chiny i cała Azja też bardzo ucierpiały, lecz nie znamy dokładnej liczby tamtejszych ofiar. Niektórzy historycy uważają, że na całym świecie mogło zginąć w sumie sto milionów ludzi.

- Patogen choroby odzwierzęcej to idealna broń biologiczna - powiedział Davis. - Trzeba tylko taki patogen znaleźć, czy to będzie wirus, bakteria, pierwotniak czy jakiś inny pasożyt. Potem wystarczy go wyizolować i już można dowolnie zarażać. Jak ktoś jest sprytny, to tworzy od razu dwie wersje. Jedną formę, która przenosi się ze zwierząt na ludzi, i wtedy ofiarę trzeba zainfekować bezpośrednio. I drugą formę, zmutowaną, która przenosi się z człowieka na człowieka. Tę pierwszą wykorzystuje się do ataków o ograniczonym zasięgu na konkretne cele, minimalizując ryzyko dalszego rozprzestrzenienia się choroby. Druga wersja to potencjalna broń masowego rażenia. Wystarczy zainfekować kilka osób, a wkrótce wybuchnie śmiertelna epidemia.

Stephanie miała świadomość, że Edwin Davis wcale nie przesadza.

- Można taką epidemię powstrzymać - powiedział Daniels. - Ale trzeba czasu na wyizolowanie i zbadanie patogenu oraz stworzenie antidotum. Na szczęście większość znanych chorób odzwierzęcych można leczyć, a w przypadku kilku istnieją nawet szczepionki, które mogą zapobiec masowym zarażeniom. Ale to wszystko trwa, a tymczasem może umrzeć mnóstwo ludzi.

Stephanie zastanawiała się, do czego zmierza ta rozmowa.

- Dlaczego o tym rozmawiamy?

Davis sięgnął po teczkę, która leżała na szklanym stoliku obok nóg stóp prezydenta.

- Dziewięć lat temu z prywatnego ogrodu zoologicznego w



Belgii skradziono parę gęsi z zagrożonego gatunku. Mniej więcej w tym samym czasie z ogrodów zoologicznych w Australii i Hiszpanii zniknęło kilka rzadkich gryzoni i węży. Zwykle tego rodzaju wypadki nie mają większego znaczenia. Ale postanowiliśmy to sprawdzić i okazało się, że na świecie doszło do co najmniej czterdziestu tego rodzaju kradzieży. Przełom nastąpił w zeszłym roku. W RPA złapano złodziei. Upozorowaliśmy ich śmierć, by zamaskować aresztowanie. Poszli na współpracę, bo nie mieli ochoty spędzić kilku lat w południowoafrykańskim więzieniu. Od nich dowiedzieliśmy się, że za tymi kradziejami stoi Irina Zowastina.

- Kto prowadził śledztwo? - zapytała Stephanie.

- Painter Crowe z Sigmy - odpowiedział Daniels. - To było śledztwo o charakterze naukowym, a oni się w tym specjalizują. Ale teraz sprawa jest wasza.

Wcale jej się to nie podobało.

- Jesteście pewni, że Painter nie mógłby tego dokończyć?

Daniels uśmiechnął się.

- Po tym, co stało się dziś wieczór? Nie, Stephanie. Teraz to już tylko twoje śledztwo. Odwdzięczysz się w ten sposób za to, że wyciągnąłem cię z holenderskiego aresztu.

Prezydent wciąż trzymał w dłoni monetę, więc Stephanie zapytała:

- A co ta moneta ma z tym wszystkim wspólnego?

- Zowastina je zbiera - odpowiedział Daniels. - Naprawdę mamy problem. Wiemy, że zgromadziła potężny arsenał patogenów. Lekko licząc, dwadzieścia. I jest sprytna, ma ich różne wersje. Tak jak powiedział Edwin, jedną do wykorzystania w atakach o ograniczonym zasięgu i drugą przenoszącą się z człowieka na człowieka. Zowastina ma laboratorium biologiczne w pobliżu stolicy, Samarkandy. Ale co ciekawe, Enrico Vincenti również posiada laboratorium biologiczne, które znajduje się tuż za granicą między Federacją a Chinami. A Zowastina lubi tam bywać.

- I dlatego zamówiliście obserwację Vincentiego?

Davis skinął głową.

- Warto znać swojego wroga.

- CIA pracuje nad przeciekami wewnątrz Federacji - powiedział Daniels i potrząsnął głową. - Ale idzie to opornie. Udało się jednak osiągnąć pewien niewielki postęp.

Stephanie nadstawiła uszu.

- Macie tam swoje źródło?

- Można to tak określić - odparł prezydent. - Choć ja mam wątpliwości. Zowastina to bardzo złożony problem.

Stephanie rozumiała jego dylemat. W rejonie świata, w którym Amerykanie mieli niewielu przyjaciół, Zowastina ogłosiła się jednym z nich. Kilkakrotnie pomogła w sprawach wywiadowczych mniejszej wagi, które umożliwiły zablokowanie działania terrorystów w Afganistanie i Iraku. Stany Zjednoczone z konieczności dostarczały jej kapitał, wsparcie wojskowe oraz wyrafinowany sprzęt, co było jednak dość ryzykowne.

- Znasz dowcip o facecie, który jedzie autostradą i zauważa grzechotnika leżącego na środku drogi?

Stephanie uśmiechnęła się. Daniels znany był z dowcipnych opowieści.

- Facet zatrzymuje się i widzi, że wąż jest ranny. Zabiera go do domu i zajmuje się nim. Wąż zdrowieje, a samarytanin otwiera drzwi, żeby go wypuścić. Wąż wypełza na zewnątrz, ale w ostatniej chwili gryzie gospodarza w nogę. Zanim jad pozbawił go świadomości, facet woła do węża: „Wziąłem cię do domu, karmiłem, leczyłem twoje rany, a ty odwdzięczasz mi się, gryząc?” A wąż odpowiada: „Robiłeś to wszystko, wiedząc, że jestem wężem”.

Stephanie zrozumiała aluzję.

- Zowastina - powiedział prezydent - ma jakiś plan, w który zamieszany jest Vincenti. Nie lubię broni biologicznej. Od trzydziestu lat obowiązuje zakaz jej produkowania i stosowania. A ta forma broni biologicznej jest najgorsza. Ona planuje coś strasznego, a Liga Wenecka, do której należą razem z Vincentim, z pewnością jej pomaga. Na szczęście jeszcze nie zaczęła działać. Ale mamy powody, by wierzyć, że wkrótce to zrobi. Jej głupi sąsiedzi nic nie dostrzegają. Za bardzo przejmują się nami i Izraelem. Ona wykorzystuje ich

zaślepienie. I myśli, że ja też jestem głupi. Pora, żeby dowiedziała się, że mamy na nią oko.

- Wolelibyśmy trochę dłużej pozostać w cieniu - dodał Davis. - Ale fakt, że dwóch agentów Secret Service zabiło jej ochroniarzy, z pewnością zwróci uwagę Zowastiny.

- Co mam zrobić?

Daniels ziewnął, a Stephanie stłumiła własne ziewnięcie. Prezydent machnął ręką.

- Nie krępuj się. Do diabła, przecież to środek nocy. Nie przejmuj się. Ziewaj sobie. Prześpisz się w samolocie.

- Dokąd mam lecieć?

- Do Wenecji. Skoro Mahomet nie chce przyjść do góry, to, na Boga, my mu tę górę dostarczymy.

## TRZYDZIEŚCI DWA

### WENECJA, GODZINA 8:50

Vincenti wszedł do głównego salonu swojego *PALAZZO*, by wysłuchać prezentacji. Zwykle się tym nie zajmował. W końcu Philogen Pharmaceutique dysponowało sporym działem marketingu i sprzedaży, zatrudniającym setki pracowników. To było jednak coś wyjątkowego. Jego obecność była konieczna, zorganizował więc prywatną prezentację w swoim własnym domu.

Zauważył, że zewnętrzna agencja reklamowa z siedzibą w Mediolanie naprawdę się postarała. Do prezentacji wydelegowała czterech przedstawicieli, trzy kobiety i mężczyznę, jedno z nich było nawet wiceprezesem.

- Damaris Corrigan - przedstawiła się wiceprezes, po czym wymieniła nazwiska swoich współpracowników. Była atrakcyjną kobietą tuż po pięćdziesiątce. Miała na sobie ciemnogrnatowy kostium w jasne prążki.

Znad ustawionego z boku bufetowego termosu z kawą unosiła się para. Vincenti podszedł do stolika i nalał sobie filiżankę.

- Przepraszam, ale jesteśmy bardzo zaintrygowani - powiedziała Corrigan. - Czy coś się szykuje?

Vincenti rozpiął garnitur i usiadł na krześle z polituowanego drewna.

- Co ma pani na myśli?

- Kiedy zaangażowano nas pół roku temu, poprosił pan o pomysły dotyczące marketingu ewentualnego leku przeciwko HIV. Zastanawialiśmy się, czy Philogen jest bliskie jakiegoś ważnego odkrycia. A teraz chce pan, żebyśmy zaprezentowali wyniki prac, więc pomyśleliśmy, że może nastąpił jakiś przełom w badaniach.

Vincenti pogratulował sobie w duchu.

- Myślę, że użyła pani właściwego sformułowania. Ewentualny lek. Oczywiście, mamy nadzieję, że pierwsi zaczniemy produkować lek przeciwko HIV, i wydajemy na ten cel miliony. Gdyby miał nastąpić jakiś przełom, a nigdy nie wiadomo, kiedy to się może stać, nie chciałbym wtedy musieć czekać miesiącami na przygotowanie dobrego planu marketingowego.

- Zawahał się. - Nie. Na razie nic nie mamy, ale warto być przygotowanym.

Pani wiceprezes podziękowała za wyjaśnienie skinieniem głowy, po czym podeszła do przygotowanego stojaka z kartonami. Vincenti rzucił okiem na jedną z kobiet, która siedziała obok niego. Zgrabna brunetka, najwyżej trzydzieści pięć lat, w dopasowanej do ciała wełnianej sukience. Zastanawiał się, czy jest menedżerem ds. kluczowych klientów czy jedynie dekoracją.

- W ciągu ostatnich tygodni dowiedziałam się fascynujących rzeczy.

- Corrigan rozpoczęła prezentację. - Wirus HIV zdaje się mieć wiele różnych odmian w zależności od regionu świata, w którym występuje.

- To prawda - wtrącił Vincenti. - Tutaj czy w Ameryce Północnej chorobę udaje się jakoś kontrolować. Nie stanowi głównej przyczyny zgonów. Ludzie po prostu z nią żyją. Leczenie objawowe zmniejszyło śmiertelność niemal o ponad połowę. Ale w Afryce i Azji jest zupełnie inaczej. Na całym świecie tylko w zeszłym roku zmarły z powodu wirusa HIV trzy miliony ludzi.

- I od tego właśnie zaczęliśmy - powiedziała Corrigan. - Od zdefiniowania naszego potencjalnego rynku.

Odsłoniła czysty karton z wierzchu stojaka, ukazując tabelę umieszczoną na kolejnym.

- Te liczby to dane o najnowszych zakażeniach HIV na świecie.

REGION	LICZBA ZAKAŻONYCH
Ameryka Północna	1 011 000
Europa Zachodnia	988 000
Australia i Oceania	22 000
Ameryka Łacińska	1 599 000
Afryka	20 778 000
Karaiby	536 000
Europa Wschodnia	2 000
Bliski Wschód	893 000
Daleki Wschód	6 000
Azja Południowo-Wschodnia	11 270 000
-----	
Łącznie	37 112 000

- Skąd macie te dane? - zapytał Vincenti.

- Od Światowej Organizacji Zdrowia. To obecna wielkość całego rynku na dowolny lek. - Corrigan odsłoniła kolejny karton. - Ta tabela jest bardziej szczegółowa. Jak pan widzi, z danych wynika, że około jednej czwartej zakażonych wirusem HIV na świecie ma objawy AIDS. Pełnoobjawowa forma AIDS wystąpiła u dziewięciu milionów nosicieli HIV.

REGION	LICZBA CHORYCH
Ameryka Północna	555 000
Europa Zachodnia	320 500
Australia i Oceania	14 000
Ameryka Łacińska	573 500
Afryka	6 300 000
Karaiby	160 500
Europa Wschodnia	10 800
Bliski Wschód	15 000
Daleki Wschód	17 600
Azja Południowo-Wschodnia	1 340 000
-----	
Łącznie	9 306 900

Corrigan odsłoniła następną tabelę.

- Tutaj mamy prognozy na kolejne pięć lat. Te dane również pochodzą ze Światowej Organizacji Zdrowia.

REGION	PROGNOZA
Ameryka Północna	8 150 000
Europa Zachodnia	2 331 000
Australia i Oceania	45 000
Ameryka Łacińska	8 554 000
Afryka	33 609 000
Karaiby	6 962 000
Europa Wschodnia	20 000
Bliski Wschód	3 532 000
Daleki Wschód	486 000
Azja Południowo-Wschodnia	45 059 000
-----	
Łącznie	108 748 000

- To naprawdę zdumiewające. Wkrótce na całym świecie będziemy mieć niemal sto dziesięć milionów nosicieli HIV. Bieżące statystyki wskazują, że pięćdziesiąt procent z nich zachoruje na AIDS. Czterdzieści procent z tych pięćdziesięciu procent umrze w ciągu dwóch lat. Oczywiście większość z nich to będą mieszkańcy Afryki i Azji. - Corrigan potrząsnęła głową. - Całkiem spory rynek, nie uważa pan?

Vincenti przetrwał podane liczby. Nawet zakładając jedynie siedemdziesiąt milionów przypadków HIV i uwzględniając skromne pięć tysięcy euro rocznie za kurację, potencjalne lekarstwo z miejsca zapewni trzysta pięćdziesiąt miliardów euro. To prawda, że gdy wyleczona zostanie pierwotna populacja zakażonych, rynek się skurczy. Ale cóż z tego? Kasa będzie już w kieszeni. I będzie jej tyle, że jeden człowiek nie zdoła wydać jej do końca życia. Później na pewno dojdzie do nowych zakażeń i zwiększenia sprzedaży i choć przychody nie będą tak olbrzymie jak na początku kampanii, to zapewnią

stały przyływ gotówki.

- Następnym etapem naszej analizy dotyczył konkurencji. Z tego co udało mi się dowiedzieć w Światowej Organizacji Zdrowia, na świecie stosuje się obecnie szesnaście substancji w objawowym leczeniu AIDS. Na rynku jest mniej więcej dwunastu graczy. Sprzedaż tylko waszych leków wyniosła w zeszłym roku ponad miliard euro.

Philogen było właścicielem patentów na sześć medykamentów, które w połączeniu z innymi pozwalały na powstrzymanie namnażania się wi-rusa. Mimo że nosiciel musiał przyjmować średnio pięćdziesiąt pigułek dziennie, tak zwany koktajl terapeutyczny był jedyną skuteczną metodą. Choć tak naprawdę niczego nie leczono, po prostu potop substancji medycznych mylił wirusa. Wyłącznie kwestią czasu było, kiedy natura znowu wygra z mikrobiologami. Już teraz w Chinach i innych rejonach Azji pojawiały się szczepy odporne na leczenie.

- Przyjrzelismy się terapiom łączonym - powiedziała Corrigan.

- Schemat leczenia obejmujący trzy leki kosztuje średnio dwadzieścia tysięcy euro rocznie. Ale ta forma leczenia to luksus, na jaki stać tylko Zachód. W Azji czy Afryce tego nie ma. Philogen sprzedaje leki po zaniżonych kosztach rządów kilku państw, ale gdyby tamci pacjenci mieli być leczeni w normalny sposób, kosztowałyby to miliardy euro rocznie, a na to nie stać żadnego rządu z Afryki.

To samo mówili mi już specjaliści od marketingu z jego własnej firmy. Trzeci Świat, dziesiątkowany przez epidemię AIDS, nie mógł sobie pozwolić na leczenie. Jedyną efektywną kosztowo metodą przełamania kryzysu było powstrzymanie rozprzestrzeniania się wirusa HIV. Początkowo postawiono na prezerwatywy, a jedna ze spółek córek Philogen Pharmaceutique wręcz nie mogła nadażyć z realizacją zamówień. Sprzedaż przez ostatnie dwadzieścia lat wzrosła o tysiące procent. Podobnie jak zyski. Ale to się już skończyło. Ludzie zaczęli lekceważyć zagrożenie.

Corrigan powiedziała:

- Wasz konkurent, Kellwood-Lafarge, chwali się, że tylko w



zeszłym roku wydał ponad sto milionów euro na badania nad lekiem na AIDS. Wy wydajecie mniej więcej jedną trzecią tej kwoty.

Vincenti posłał jej uśmiech.

- Konkurowanie z Kellwood-Lafarge przypomina łowienie wieloryba na wędkę z kołowrotkiem. To największy konglomerat farmaceutyczny na świecie. Trudno dorównać firmie, która ma rocznie ponad sto miliardów przychodów brutto.

Wypił łyk kawy, gdy Corrigan odsłaniała kolejny karton.

- Przejdźmy teraz do koncepcji produktu. Decydujące znaczenie w przypadku leków ma oczywiście nazwa. Te szesnaście produktów wykorzystywanych do objawowego leczenia AIDS obecnych na rynku ma rozmaite nazwy. Bactrim, Diflucan, Intron, Pentam, Videx, Crixivan, Hi-vid, Retrovir. Ponieważ lek na wirus HIV byłby stosowany na całym świecie, pomyśleliśmy, że z punktu widzenia marketingu lepsze byłoby jakieś prostsze, bardziej uniwersalne oznaczenie, jak choćby stosowana nazwa AZT. Z tego co udało nam się dowiedzieć, Philogen pracuje obecnie nad ośmioma potencjalnymi lekami.

- Corrigan odsłoniła następny karton, przedstawiający projekty opakowań. - Nie wiadomo, czy potencjalne lekarstwo będzie w formie stałej czy płynnej, czy będzie podawane doustnie czy dożylnie, więc przygotowaliśmy różne wersje, ale wszystkie w tonacji czarno-złotej zgodnie z waszym logo.

Vincenti przyjrzał się projektom.

Corrigan wskazała na stojak.

- Zostawiliśmy puste miejsce na nazwę, zostanie wypisana złotą czcionką. Jeszcze nad tym pracujemy. Najważniejsze w tym projekcie jest to, że nawet jeśli nazwa nie będzie tłumaczona na różne języki, to i tak wyróżniające się opakowanie będzie natychmiast rozpoznawalne.

Vincenti był zadowolony, choć nie pokazał tego po sobie.

- Mam już ewentualną nazwę. Ostatnio ciągle chodzi mi po głowie.

Corrigan wyglądała na zaintrygowaną.

Vincenti wstał, podszedł do stojaka, wziął marker i napisał:

ZH.

Zauważył zdumione spojrzenia.

- Dzeta i eta. Stare greckie litery. To znaczy „życie”.

Corrigan skinęła głową.

- Bardzo odpowiednie.

Był tego samego zdania.

## TRZYDZIEŚCI TRZY

### **WYSPA ODRODZENIA, FEDERACJA ŚRODKOWOAZJATYCKA, GODZINA 13:00**

ZOWASTINA BYŁA ZACHWYCONA TŁUMAMI. PODWŁADNI ZAPEWNIALI ją, że stawi się pięć tysięcy ludzi. Ale już na pokładzie helikoptera podczas lotu na północny zachód od Samarkandy asystent poinformował ją, że na jej przybycie oczekuje dwadzieścia tysięcy mieszkańców. Kolejny dowód jej popularności. Teraz, widząc wiwatujący tłum, idealne tło dla kamer telewizyjnych skierowanych na podium, po prostu nie mogła nie odczuwać satysfakcji.

- Popatrzcie wokół - powiedziała do mikrofonu - na to, co możemy osiągnąć, gdy zgodnie pracują nasze umysły i nasze serca. - Przerwała na chwilę, by wywołać odpowiedni efekt, a potem kontynuowała: - Kantubek się odrodził!

Tłum ludzi, przypominających mrówki, wyraził swój aplauz z entuzjazmem, do którego zdążyła się już przyzwyczać.

Wyspa Odrodzenia znajdowała się pośrodku Jeziora Aralskiego i stanowiła odosobnione, dzikie miejsce, w którym kiedyś znajdował się sowiecki Zakład Broni Biologicznej. Była ona jednocześnie tragicznym przykładem bezwzględnego wykorzystywania Azji przez Związek Radziecki. To tutaj mnożono i przechowywano zarodniki wąglika i zarazki dżumy. Po upadku komunistycznego rządu w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym personel laboratorium opuścił wyspę, porzucając pojemniki ze śmiertcionośnymi zarodnikami, które przez kolejne dziesięciolecie zaczęły korodować. Zagrożenie potencjalną katastrofą biologiczną pogłębiało cofanie się wód Jeziora Aralskiego. Zasilane wodami Amudarii, to cudowne jezioro należało kiedyś do Kazachstanu i

Uzbekistanu. Ale gdy Sowieci zmienili bieg zasilającej go rzeki, kierując ją do mającego tysiąc dwieście kilometrów kanału irygacyjnego, który nawadniał pola bawełny, wykorzystywanej w radzieckich fabrykach, śródlądowe jezioro, które kiedyś stanowiło jeden z największych zasobów słodkiej wody na świecie, zaczęło zanikać. A na jego miejscu pojawiła się pustynia niezdolna do podtrzymania życia.

Ale Zowastina to zmieniła. Kanału już nie było, rzeka wróciła do swego dawnego koryta. Większość polityków wydawała się skazana na naśladowanie wzorów narzuconych przez zdobywców, ale jej mózgu wódka nigdy nie zniszczyła. Zawsze zdecydowanie dążyła do celu i nauczyła się, jak zdobywać i utrzymywać władzę.

- Dwieście ton komunistycznego węgla zostało zneutralizowanych

- powiedziała do tłumu. - Pozbyliśmy się ostatniego grama ich trucizny. I zmusiliśmy ich, żeby za to zapłacili.

W tłumie znów rozległy się okrzyki aprobaty.

- Pozwólcie, że coś wam powiem. Kiedyś, gdy byliśmy już wolni, wolni od dławiącego uścisku Moskwy, mieliśmy chęć stwierdzić, że jesteśmy im coś winni - uniosła ramiona w górę.

- Możecie to sobie wyobrazić? Rabowali naszą ziemię. Zniszczyli nasze jezioro. Zatruli naszą glebę swoimi zarazkami. I to my byliśmy im coś winni? - zobaczyła, jak tłum zgodnie potrząsa głowami. - Powiedziałam im dokładnie to samo. Nie.

Popatrzyła na wpatrzone w nią twarze skąpane w jasnym słońcu południa.

- Zmusiliśmy więc Sowieców, by zapłacili za posprzątanie ich własnego bałaganu. I zamknęliśmy ich kanał, który wysysał życie z naszego odwiecznego jeziora.

Nigdy nie używała liczby pojedynczej, zawsze mówiła „my”.

- Jestem pewna, że wielu z was pamięta jeszcze tygrysy, dziki i ptactwo wodne żyjące kiedyś w delcie Amu-darii. Miliony ryb mieszkających w wodach Jeziora Aralskiego. Nasi naukowcy wiedzą, że było ich sto siedemdziesiąt osiem gatunków. Teraz pozostało tylko trzydzieści osiem. Radziecki postęp - pokręciła głową. - Zalety komunizmu - uśmiechnęła się ironicznie. -

Kryminaliści. Tym właśnie byli. Zwykłymi kryminalistami.

Kanał okazał się porażką nie tylko pod względem ekologicznym. Woda w ogromnych ilościach wyciekała z niego, nie dając żadnego pożytku. W Związku Radzieckim nie dbano o efektywność, więc i ten kanał tracił więcej wody, niż jej dostarczał. Gdy Jezioro Aralskie niemal całkowicie wyschło, Wyspa Odrodzenia stała się półwyspem stale połączonym z brzegiem jeziora, co wywołało obawy, że ssaki lądowe i gady rozniosą śmiertcionośne toksyny. Ale to ryzyko zostało zażegnane. Okolice jeziora były czyste, co potwierdziła inspekcja ONZ, która oceniła, że prace zostały wykonane „po mistrzowsku”.

Zowastina uniosła w górę pięść.

- Więc powiedzieliśmy tym radzieckim kryminalistom, że gdybyśmy mogli, każdego z nich skazalibyśmy na pobyt w naszych więzieniach.

Tłum ponownie głośno ją poparł.

- Kantubek, miasto, w którym teraz jesteśmy, tu, na jego głównym rynku, powstało z popiołów. Sowieci pozostawili po sobie rumowisko. A teraz wolni obywatele Federacji będą mieszkać tutaj, w pokoju i zgodzie, na wyspie, która również się odrodziła. Jezioro Aralskie też powraca, poziom jego wód rośnie z roku na rok, i stworzona przez człowieka pustynia znowu pokryje się wodą. Oto przykład tego, co jesteśmy w stanie odzyskać. Naszą ziemię. Naszą wodę - zawahała się. - I nasze dziedzictwo.

Pośród tłumu wybuchł entuzjazm.

Patrzyła na twarze, spijając z nich wyraz zachwyty, który zdawały się wywołać jej słowa. Uwielbiała być pośród ludzi. A oni uwielbiali ją. Zdobycie władzy to jedno, jej utrzymanie to coś zupełnie innego.

A ona miała zamiar ją utrzymać.

- Moi współobywatele wiedzą, że możemy osiągnąć wszystko, jeśli tylko tak postanowimy. Ilu na świecie twierdziło, że nigdy się nie zjednoczymy? Ilu mówiło, że podzielią nas wojny domowe? Ilu głosiło, że nie będziemy potrafili prowadzić własnych rządów? Dwukrotnie przeprowadziliśmy wybory.

Otwarte i wolne, z wieloma kandydatami. Nikt nie może zarzucić, że były nieuczciwe - dodała. - Mamy konstytucję, która gwarantuje prawa człowieka oraz wolność osobistą, polityczną i intelektualną.

Cieszyła się chwilą. Powtórne otwarcie Wyspy Odrodzenia z pewnością było wydarzeniem, podczas którego jej obecność była niezbędna. Telewizja Federacji oraz trzy nowe niezależne kanały propagowały jej idee w całym narodzie. Zowastina przydzieliła te trzy koncesje członkom Ligi Weneckiej. Właściciele nowych stacji telewizyjnych obiecali jej osobiście, że będą kontrolować swoje produkcje, wszystko w ramach koleżeństwa między członkami Ligi, a ona cieszyła się, że te nowe stacje powstały. Trudno będzie jej teraz zarzucić, że kontroluje media, skoro na pierwszy rzut oka wcale tak nie jest.

Rozejrzała się po odbudowanym mieście, po budynkach z cegły i kamienia, które wzniesiono w stylu sprzed stu lat. Kantubek znowu się zaludni. Minister spraw wewnętrznych zapewnił ją, że złożono dziesięć tysięcy wniosków o przydział ziemi na wyspie, co stanowiło kolejne potwierdzenie zaufania, jakim darzył ją lud, skoro tak wielu chciało zamieszkać w miejscu, w którym przed dwudziestu laty życie nie mogło istnieć.

- Podstawą wszystkiego jest stabilizacja! - krzyknęła.

Był to jej slogan, którego używała przez minionych piętnaście lat.

- Dziś chrzczimy tę wyspę w imieniu ludu Federacji Środkowoazjatyckiej. Oby nasza unia trwała wiecznie.

Zeszła z podium pośród wiwatów tłumu.

Trzech ochroniarzy szybko ją otoczyło i odprowadziło do helikoptera. Czekał już na nią, podobnie jak samolot, który miał zabrać ją na zachód, do Wenecji, gdzie zamierzała odnaleźć odpowiedzi na tak wiele pytań.

## TRZYDZIEŚCI CZTERY

### WENECJA, GODZINA 14:15

MALONE STAŁ OBOK CASSIOPEII, KTÓRA SKIEROWAŁA MOTORÓWKĘ w głąb laguny. Polecieli z Kopenhagi bezpośrednim lotem i godzinę temu wylądowali w porcie lotniczym imienia Marca Pola. W poprzednich latach wielokrotnie bywał w Wenecji w ramach zadań wykonywanych dla jednostki Magellan Billet. Było to więc dla niego znajome miasto. Spore, choć nie rozległe, centrum zajmowało obszar o wymiarach: trzy kilometry długości i półtora szerokości. Wenecjanom od wieków udawało się trzymać świat na dystans.

Dziób motorówki wskazywał północny wschód. Oni oddalali się od centrum, mijali słynne manufaktury szkła Murano i kierowali się w stronę Torcello, jednego z licznych skrawków ziemi, którymi usiana była wenecka laguna.

Wynajęli motorówkę przy porcie lotniczym. Była to smukła drewniana konstrukcja z zamykanymi kabinami na dziobie i rufie. Zaopatrzona w mocne silniki ślizgała się po lekko wzburzonych falach, zmieniając zielonkawą wodę w cytrynową pianę.

Podczas śniadania Cassiopeia opowiedziała mu o ostatniej monecie ze słoniem. Razem z Thorvaldsenem śledzili na mapie działania złodziei i szybko zorientowali się, że ignorują oni dekadrachmy znajdujące się w Wenecji i Samarkandzie. Dlatego byli niemal pewni, że w następnej kolejności zajmą się monetą w Kopenhadze. Odkąd trzy tygodnie temu czwarta moneta została skradziona prywatnemu kolekcjonerowi we Francji, cierpliwie na nich czekali.

- Nie bez powodu monetę z Wenecji zostawili sobie na sam koniec - powiedziała Cassiopeia, przekrzykując silnik. Minął

ich miejski tramwaj wodny, który zmierzał w przeciwnym kierunku. - Pewnie chciałbyś poznać ten powód.

- Owszem.

- Ely sądził, że w grobowcu świętego Marka może spoczywać ciało Aleksandra Wielkiego.

Ciekawy pomysł. Oryginalny. Wręcz szalony.

- To długa historia - powiedziała Cassiopeia - ale mógł mieć rację. W Bazylice Świętego Marka znajduje się ponoć licząca dwa tysiące lat mumia. Ciało świętego Marka poddano po jego śmierci mumifikacji w Aleksandrii w pierwszym wieku naszej ery. Aleksander zmarł trzy stulecia wcześniej i również został zmumifikowany. Ale w czwartym wieku naszej ery, kiedy ciało Aleksandra zniknęło z jego grobowca, nagle w Aleksandrii pojawiły się zwłoki Marka.

- Przypuszczam, że opierasz się na czymś więcej niż tylko na tych przypuszczeniach?

- Irina Zowastina ma obsesję na punkcie Aleksandra Wielkiego. Ely wszystko mi opowiedział. Ma prywatną kolekcję sztuki greckiej, obszerną bibliotekę i uważa się za eksperta od Homera i *Iliady*. A teraz porozsyłała swoich ochroniarzy, żeby zdobyli te monety, nie pozostawiając żadnych śladów. Oczywiście monety w Samarkandzie nikt nie ruszył - pokręciła głową. - A z tą kradzieżą czekali na koniec, żeby być jak najbliżej świętego Marka.

- Byłem w tej bazylice - odpowiedział Malone. - Sarkofag świętego znajduje się pod głównym ołtarzem, który musi ważyć tony. Żeby dostać się do środka, trzeba mieć podnośniki hydrauliczne i mnóstwo czasu. A to niemożliwe, bo przecież bazylika to główna atrakcja turystyczna Wenecji.

- Nie mam pojęcia, jakie ona ma zamiary, ale jestem przekonana, że będzie próbowała dostać się do tego grobowca.

Malone pomyślał, że najwyraźniej najpierw chcą zdobyć siódmą monetę.

Cofnął się od steru i zszedł trzy schodki do przedniej kabiny z zasłonami zdobionymi frędzlami, haftowanymi obiciami i polerowanym mahoniem. Bogoto zdobiona łódź na wynajem. Na lotnisku kupił przewodnik po Wenecji i teraz postanowił



dowiedzieć się jak najwięcej o Torcello.

Na tej malutkiej wyspie Rzymianie osiedlili się na przełomie piątego i szóstego wieku. Potem w ósmym wieku n.e. przerażeni mieszkańcy lądu ponownie na niej zamieszkali, uciekając przed najazdami Lombardów i Hunów. Do roku tysiąc pięćsetnego dwadzieścia tysięcy ludzi zamieszkiwało kwitnącą kolonię, pełną kościołów, klasztorów, pałaców i placów. Wyspa stała się też ważnym portem. Kupcy, którzy w roku osiemset dwudziestym ósmym wykradli z Aleksandrii ciało świętego Marka, pochodzili właśnie z Torcello. Według przewodnika było to miejsce, w którym „Rzym po raz pierwszy spotkał się z Bizancjum”. Punkt przełomowy. Na zachodzie znajdował się brytyjski Parlament. Na wschodzie Tadż Mahal. Ale potem zaraza morowa, malaria i muł zatykający kanały spowodowały upadek tego ośrodka. Najbardziej obrotni obywatele przenieśli się do centrum Wenecji. Domy kupieckie podupadły. O pałacach zapomniano. Budowniczo wie z innych wysp w końcu zaczęli wykorzystywać kamienie z ruin i rzeźbione gzymsy i stopniowo wszystko zniknęło. Moczary znowu się rozrosły i teraz na całej wysepce mieszkało mniej niż sześćdziesiąt osób w kilkunastu domach.

Malone wyrzwał przez przednią szybę i dostrzegł wznoszącą się ku niebu pojedynczą wieżę z czerwonej cegły, starą, dumną i samotną. Taka sama wieża była na zdjęciu w przewodniku. Przeczytał, że dzwonnica stoi tuż obok ostatniego powodu do chwały Torcello, czyli wzniesionej w siódmym wieku katedry di Santa Maria Assunta, która była najstarszą świątynią Wenecji. Obok niej znajdował się według przewodnika niski kościół na planie greckiego krzyża, który wybudowano sześćset lat później. Kościół Santa Fosca.

Dźwięk silników przycichł, gdy Cassiopeia zwolniła i łódź opadła na wodę. Malone wrócił na swoje miejsce obok steru. Przed sobą ujrzał wąskie pasy mielizn w kolorze ochry, przybrane sitowiem i sękatymi cyprysami. Łódź zwolniła i wpłynęli do błotnistej kanału, którego brzegi otaczały z jednej strony zarośnięte pola, a z drugiej brukowany trakt. Po ich lewej stronie na jedynym przystanku transportu publicznego

na tej wysepce pasażerowie wsiadali do tramwaju wodnego.

- Torcello - powiedziała Cassiopeia. - Miejmy nadzieję, że jesteśmy tu pierwsi.



Viktor wysiadł z *VAPORETTO*, a za nim podążył Rafael.

Tramwaj wodny przywiózł ich z placu Świętego Marka do Torcello, z wysiłkiem przedzierając się przez wenecką lagunę. Viktor zdecydował się na transport publiczny, ponieważ był to najmniej rzucający się w oczy sposób na przeprowadzenie rekonesansu ich dzisiejszego celu.

Ruszyli za tłumkiem turystów obwieszonych aparatami fotograficznymi, kierując się w stronę dwóch słynnych kościołów wyspy. Szli przypominającą chodnik ulicą biegnącą wzdłuż leniwie płynącego kanału. Droga kończyła się obok niskiego skupiska kamiennych budynków, gdzie mieściło się kilka restauracji, sklepików dla turystów oraz zajazd. Viktor znał zarys wyspy i wiedział, że Torcello to wąziutki pasek ziemi, na którym znajduje się parę gospodarstw produkujących karczochy i kilka bogatych rezydencji. Dumą wysepki były dwa stare kościoły i restauracja.

Przylecieli z Hamburga z przesiadką w Monachium. Po załatwieniu sprawy tutaj wrócą do domu, do Federacji, a ich europejskie tournée się zakończy. Zgodnie z rozkazami pani premier Viktor musiał zdobyć siódmą monetę przed północą i miał stawić się w Bazylice Świętego Marka przed pierwszą w nocy.

Przybycie Zowastiny do Wenecji było czymś niezwykłym.

Czegokolwiek oczekiwała, to miało się właśnie stać.

Ale przynajmniej ta kradzież powinna być łatwa.



MALONE PATrzył W DÓŁ, PODZIWIJAJĄC ELEGANCKĄ ARCHITEKTURĘ dzwonnicy. Ciężkie cegły i marmur po mistrzowsku połączone pilastrami i łukami. Wysoka na pięćdziesiąt metrów, niczym klejnot wśród pustyni, ze schodkami i podestami wzdłuż zewnętrznych ścian, przypominała mu

Okrągłą Wieżę w Kopenhadze. Zapłacili sześć euro za wejście i wspięli się na górę, by popatrzeć na wyspę z jej najwyższego punktu.

Stał przy sięgającym piersi murku, wychylając się przez otwarty łuk, przyglądając się, jak ziemia i woda przenikają się niczym w mocnym uścisku. Białe czaple wlatywały w górę z porośniętych trawą moczarów. Sady i pola karczochów emanowały spokojem. Ten posepny krajobraz przypominał mu opuszczone miasteczka na Dzikim Zachodzie.

Poniżej stała bazylika o mało zachęcającym i niezbyt sympatycznym wyglądzie, w kształcie stodoły i jakby niedokończona. Malone przeczytał w przewodniku, że wybudowali ją w pośpiechu ludzie, którzy wierzyli, że w roku tysięcznym nastąpi koniec świata.

- To doskonała alegoria - powiedział do Cassiopeii. - Bizantyjska katedra zaraz obok greckiego kościoła. Wschód i Zachód tuż obok siebie. Zupełnie jak cała Wenecja.

Przed dwoma kościołami rozciągała się pokryta trawą *piazzetta*. Kiedyś było to centrum życia miasteczka, ale teraz to tylko miejski skwerek. Prowadziło z niego wiele zakurzonych drózek, kilka odchodziło w stronę drugiego kanału, ale większość zmierzała w kierunku odległych farm. Przy placyku stały jeszcze dwa inne kamienne budynki, oba niewielkie, dwanaście metrów na sześć, jednopiętrowe z dwuspadowymi dachami. Razem tworzyły Museo di Torcello. W przewodniku napisano, że kiedyś były to pałace zamieszkiwane przez bogatych mieszczan, lecz teraz należały do państwa.

Cassiopeia wskazała na budynek po lewej stronie.

- Moneta jest tam, na piętrze. Trudno to nazwać muzeum. Trochę fragmentów mozaik, kapiteli kolumn, parę obrazów, książek i monet. Greckie, rzymskie i egipskie drobiazgi.

Malone popatrzył na nią. Cassiopeia wciąż podziwiała widok wyspy. Na południu rysowało się centrum Wenecji, z wysokimi kampanilami wskazującymi na ciemniejące niebo, które zapowiadało burzę.

- Czemu tu jesteśmy?

Nie odpowiedziała od razu. Sięgnął ręką i dotknął jej ramienia. Wzdrygnęła się, ale nie cofnęła. Jej oczy się zamglily, a Malone pomyślał, że być może smutna atmosfera Torcello przypomniawszy jej o rzeczach, których lepiej byłoby nie pamiętać.

- To miejsce już nie istnieje - powiedziała szeptem.

Byli sami na szczycie wieży, a leniwą ciszę zakłócały jedynie dochodzące z dołu kroki, głosy i śmiechy kolejnych osób wspinających się na górę.

- Tak jak Ely - odparł.

- Tęsknię za nim - zagryzła wargę.

Zastanawiał się, czy ta szczerłość oznaczała jednocześnie zaufanie.

- Nic na to nie poradzisz.

- Nie powiedziałabym.

Nie podobało mu się brzmienie jej słów.

- Co masz na myśli?

Nie odpowiedziała, a on nie naciskał. Razem z nią popatrzył ponad kościelnymi dachami. Przy krótkiej drodze prowadzącej z wioski na porośniętą trawą *piazzette* stało kilka kramów z koronkami, wyrobami ze szkła i pamiątkami. Grupa turystów zmierzała w kierunku kościołów. Pośród nich Malone dostrzegł znajomą twarz.

Viktor.

- Też go zauważyłam - powiedziała Cassiopeia.

Kilka osób weszło na szczyt dzwonnicy.

- Mężczyzna obok niego to ten, który podziurawił opony - dodała.

Patrzyli, jak obaj mężczyźni udają się prosto do muzeum.

- Musimy stąd zejść - powiedział Malone. - Mogą chcieć obejrzeć okolicę z góry. A przecież myślą, że nie żyjemy.

- Niczym ta wyspa - odpowiedziała półgłosem.

## TRZYDZIEŚCI PIĘĆ

### WENECJA, GODZINA 15:20

STEPHANIE WYSKOCZYŁA Z TAKSÓWKI WODNEJ I RUSZYŁA WĄSKIMI uliczkami ciasno zabudowanej dzielnicy. Zapytała wcześniej o drogę w hotelu i kierowała się teraz według uzyskanych wskazówek, ale Wenecja przypominała ogromny labirynt. Stephanie zagłębiała się w dzielnicę Dorsodu-ro, cichą i malowniczą okolicę, która od dawna kojarzyła się z bogactwem. Szła ruchliwymi, przypominającymi aleje ulicami, otoczonymi butikami, w których roiło się od klientów.

Nagle dostrzegła willę. Idealnie symetryczną, wciąż noszącą ślady utraconej chwały, a jej urodę podkreślał przyjemny dla oka kontrast między ścianami z czerwonej cegły a obrastającą je zieloną winoroślą oraz jaśniejszymi marmurowymi wykończeniami.

Stephanie przeszła przez kutą z żelaza bramę i obwieściła swe przybycie, stukając we frontowe drzwi. Otworzyła je starsza kobieta w stroju pokojówki, o pozbawionej wyrazu twarzy.

- Przyszłam zobaczyć się z panem Vincentim - oznajmiła Stephanie.

- Proszę mu przekazać, że przynoszę pozdrowienia od prezydenta Danny'ego Danielsa.

Kobieta rzuciła jej zaciekawione spojrzenie, a Stephanie miała nadzieję, że nazwisko prezydenta Stanów Zjednoczonych coś jej mówi. Na wszelki wypadek podała pokojówce złożoną karteczkę.

- Proszę mu to przekazać.

Kobieta zawahała się, po czym zamknęła drzwi.

Stephanie czekała.

Dwie minuty później drzwi ponownie się otworzyły.

Tym razem szerzej.

Zaproszono ją do środka.

- Przedstawiła się pani bardzo intrygująco - powiedział Vincenti.

Usiedli w prostokątnym pokoju z połączanym sufitem, którego elegancję podkreślał matowy połysk lakieru, pokrywającego meble zapewne od stuleci. Stephanie poczuła przenikliwy zapach i pomyślała, że czuć tu kotami i cytrynową pastą do czyszczenia.

Gospodarz uniósł karteczkę.

- „Przysłała mnie prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki”. Interesujące stwierdzenie. - Vincenti sprawiał wrażenie zadowolonego z poczucia własnej ważności.

- A pan jest interesującym człowiekiem, panie Vincenti. Urodził się pan w stanie Nowy Jork. Jest pan amerykańskim obywatelem i nazywa się August Rothman. - Stephanie potrząsnęła głową. - Enrico Vincenti? Zmienił pan nazwisko. Ciekawe dlaczego?

Jej rozmówca wzruszył ramionami.

- Najważniejszy jest wizerunek.

- To nowe nazwisko - zawahała się - brzmi bardziej kontynentalnie.

- Sporo nad nim myślałem. Enrico to po Enricu Dandolo, trzydziestym dziewiątym doży Wenecji, który żył pod koniec dwunastego wieku. Poprowadził czwartą krucjatę, której udało się zdobyć Konstantynopol i doprowadzić do upadku cesarstwo bizantyjskie. To dopiero była postać. Wręcz legendarna. A nazwisko Vincenti również pochodzi od Wenecjanina z dwunastego wieku. Był szlachcicem i członkiem zakonu benedyktynów. Kiedy cała jego rodzina zatoniła w Morzu Egejskim, poprosił o zwolnienie ze ślubów zakonnych. Ożenił się, a jego dzieci stworzyły pięć nowych linii rodu. Całkiem pomysłowo. Podziwiam jego elastyczność.

- I tak stał się pan Enrikiem Vincentim. Weneckim arystokratą.

Skinął głową.

- Brzmi świetnie, prawda?

- Chce pan, żebym dalej mówiła o tym, co wiem?

Pokiwał głową na znak zgody.

- Ma pan sześćdziesiąt lat. Uzyskał pan licencjat z biologii na Uniwersytecie Karoliny Północnej. Magisterium na Uniwersytecie Duke'a. Potem doktorat z wirusologii w Centrum Johna Innesa przy Uniwersytecie Wschodniej Anglii. Stamtąd zwerbowała pana pakistańska firma farmaceutyczna powiązana z rządem w Iraku. Pracował pan dla Irakijczyków, gdy zaczynali swój program rozwoju broni biologicznej, tuż po przejęciu władzy przez Saddama Husajna. W centrum Salman Pak na północ od Bagdadu, nadzorowanym przez Ośrodek Badań Technicznych zajmujący się między innymi rozwojem broni biologicznej. Choć Irak podpisał konwencję dotyczącą zakazu stosowania broni biologicznej w siedemdziesiątym drugim roku, Saddam nigdy jej nie ratyfikował. Był pan z nimi aż do roku dziewięćdziesiątego, kiedy pierwsza wojna w Zatoce napędziła im niezłego stracha. Wtedy z wszystkiego się wycofali, a pan szybko się stamtąd wyniósł.

- Wszystko się zgadza, pani Nelle, czy też mogę do pani mówić Stephanie?

- Jak pan woli.

- Okay, Stephanie, dlaczego prezydent Stanów Zjednoczonych tak bardzo się mną interesuje?

- Jeszcze nie skończyłam.

Po raz kolejny pokiwał głową, by kontynuowała.

- Wąglik, jad kielbasiany, cholera, dżuma, trujący rącznik, salmonella, a nawet ospa... pan i pańscy koledzy babraliście się w nich wszystkich.

- Czy wasi ludzie w Waszyngtonie zorientowali się w końcu, że to wszystko fikcja?

- Może w dwa tysiące trzecim po inwazji Busha, ale na pewno nie w dziewięćdziesiątym. Wtedy to była rzeczywistość. Najbardziej spodobał mi się wirus ospy wielbłądziej. Uważaliście, że to broń doskonała. Łatwiejsza do opanowania niż zwykła ospa i doskonała jako broń etniczna, ponieważ Irakijczycy byli na nią odporni ze względu na wielowiekowe

kontakty z wielbłędami. Ale w przypadku mieszkańców Zachodu czy Izraela sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Dla nich to śmiertelna choroba odzwierzęca.

- To też raczej fikcja - powiedział Vincenti, a ona zaczęła się zastanawiać, ile razy wypowiedział już to samo kłamstwo z identycznym przekonaniem.

- Jest za dużo dokumentów, zdjęć i świadków, żeby ktoś uwierzył w takie tłumaczenie - odparła Stephanie. - I dlatego zniknął pan z Iraku po roku dziewięćdziesiątym.

- Daj spokój, Stephanie, przecież w latach osiemdziesiątych nikt nie sądził, że broń biologiczna mogłaby być bronią masowego rażenia. Waszyngton w ogóle się tym nie interesował. A Saddam przynajmniej dostrzegł ten potencjał.

- Teraz już wiemy. I zagrożenie jest spore. A wielu sądzi, że pierwsza wojna biologiczna wcale nie będzie ogólnoswiatowym kataklizmem. To będzie raczej regionalny konflikt o niewielkiej intensywności. Któreś państwo rozbójnicze zaatakuje swojego sąsiada. Globalna moralność nie będzie tu miała nic do rzeczy. Tylko miejscowa nienawiść i zabijanie bez ograniczeń. Podobnie jak podczas wojny Iranu z Irakiem w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy faktycznie wypróbowano na ludziach niektóre z waszych zarasków.

- Ciekawa teoria, tylko czy to nie jest problem pani prezydenta? Co mnie to wszystko obchodzi?

Stephanie postanowiła zmienić taktykę.

- Pańska firma, Philogen Pharamaceutique, odniosła wielki sukces. Pan posiada dwa przecinek cztery miliony udziałów, co oznacza, że jest pan właścicielem firmy w czterdziestu dwóch procentach, czyli jej największym udziałowcem. Pańska firma to imponujący konglomerat. Aktywa warte blisko dziesięć miliardów euro, w tym własne filie produkujące kosmetyki, przybory toaletowe, mydło, mrożonki oraz sieć domów towarowych w Europie. A piętnaście lat temu kupił pan tę firmę za grosze.

- Jestem przekonany, że wie pani, że była wtedy bliska bankructwa.

- Więc aż prosi się o pytanie, dlaczego i w jaki sposób pan ją



kupił i jak udało się panu ją uratować?

- Nie słyszała pani nigdy o ofercie publicznej? Ludzie po prostu zainwestowali w nią, kupując akcje.

- Raczej nie. To pan przekazał firmie większość kapitału początkowego. Według naszych szacunków było to około czterdziestu milionów dolarów. Niezły kapitał pan uzbierał, pracując dla zbójckiego rządu.

- Irakijczycy byli bardzo hojni. Zapewniali też doskonałą opiekę zdrowotną i świetny program emerytalny.

- Z czego skorzystało wielu z was. Mieliśmy wtedy pod obserwacją wielu mikrobiologów, w tym pana.

Wydawało się, że zauważył irytację w jej głosie.

- Czy przysłała pani do mnie w jakimś konkretnym celu?

- Jest pan świetnym biznesmenem. Wszystkie relacje potwierdzają pana uzdolnienia jako przedsiębiorcy. Ale pańska firma przeinwestowała. Obsługa długów pochłania niemal wszystkie środki, a mimo to wciąż inwestujecie.

Edwin Davis poinformował ją o wszystkim.

- Daniels chce zainwestować? Ile mu zostało, trzy lata w tej kadencji? Proszę mu powiedzieć, że znajdę dla niego miejsce w radzie nadzorczej.

Stephanie sięgnęła do kieszeni i rzuciła Vincentiemu foliową koszulkę z monetą ze słońcem. Złapał ją z zadziwiającą zwinnością.

- Wie pan, co to jest?

Vincenti przyjrzał się dekadrachmie.

- Tutaj widać mężczyznę walczącego ze słońcem. A tutaj stojącego mężczyznę z włócznią. Obawiam się, że znajomość historii nie jest moim atutem.

- Jest pan specjalistą od bakterii i wirusów.

Obrzucił ją pewnym spojrzeniem.

- Kiedy po pierwszej wojnie w Zatoce przesłuchiwali pana inspektorzy ONZ w sprawie irackiego programu broni biologicznej, powiedział im pan, że niczego nie osiągnęliście. Mnóstwo różnych badań, ale cały program był niedoinwestowany i źle zarządzany.

- Te wszystkie toksyny, które pani wymieniła, są niezwykle

trudne do przechowywania. Bardzo trudno utrzymać je też pod kontrolą. W praktyce są więc nie do wykorzystania. Tak jak mówiłem.

- Tacy sprytni ludzie jak pan potrafią radzić sobie z trudnościami.

- Aż tak dobry nie jestem.

- Też tak uważam. Ale inni się ze mną nie zgadzają.

- Nie powinna ich pani słuchać.

Zignorowała to wyzwanie.

- W ciągu trzech lat, odkąd wyjechał pan z Iraku, Philogen Pharmaceutique zaczęło rozkwitać, a pan został członkiem Ligi Weneckiej. - Obserwowała, czy jej słowa wywołują jakąkolwiek reakcję. - Członkostwo w Lidze kosztuje. Ponoć bardzo dużo.

- Nie sądzę, by można było zakazać ludziom przyjemności przebywania we własnym towarzystwie.

- Nie jesteście Klubem Rotariańskim.

- Mamy cel, świetnych członków i jesteśmy zaangażowani w naszą misję. Jak każde tego rodzaju stowarzyszenie.

- Wciąż nie odpowiedział pan na moje pytanie - zwróciła uwagę.

- Widział pan już kiedyś taką monetę?

Rzucił jej ją z powrotem.

- Nie, nigdy.

Stephanie próbowała przejrzeć tego mężczyznę o imponującej tuszy, ale jego twarz była równie zwodnicza, jak jego głos. Z tego co wiedziała, był średnio uzdolnionym wirusologiem o przeciętnym wykształceniu, z talentem do interesów. Ale być może był także odpowiedzialny za śmierć Naomi Johns.

Pora się dowiedzieć.

- Nie jest pan aż tak sprytny, jak to się panu wydaje.

Vincenti przyglądał niesforny lok swoich cienkich włosów.

- To zaczyna być męczące.

- Jeśli ona nie żyje, pan też jest już martwy.

Patrzyła na jego reakcję, a on zdawał się zastanawiać, ile prawdy w jego słowach wystarczy, by nie było to kłamstwo, którego ona nie zaakceptuje.

- To już wszystko? - zapytał, a w jego głosie wciąż brzmiała

ciepła nuta grzeczności.

Stephanie wstała.

- Tak naprawdę to dopiero zaczęliśmy. - Uniosła monetę. - Na jej awersie w fałdach płaszcza wojownika ukryte są mikroskopijne litery. To zdumiewające, że starożytni rzemieślnicy potrafili wygrawerować coś tak małego. Ale potwierdziłam to u ekspertów. Takie litery były niczym dzisiejsze znaki wodne. Stanowiły zabezpieczenie. Na tej monecie są dwie litery. ZH. Dzeta. Eta. Z czymś się panu kojarzą?

- Absolutnie nie.

Ale zauważyła, że przez moment w jego oczach zabłysło zainteresowanie. A może zaskoczenie? A może przez ten ułamek sekundy zdołała dostrzec u niego całkowite zdumienie?

- Zapytałam kilku specjalistów od starogreckiego. Twierdzą, że ZH oznacza życie. Nie uważa pan, że to interesujące, że ktoś zadał sobie trud wygrawerowania mikroskopijnych liter o takim znaczeniu, skoro w jego czasach niewielu potrafiło je odczytać? Wówczas soczewki były praktycznie nieznane.

Wzruszył ramionami.

- To nie moja sprawa.



VINCENTI DAŁ SOBIE PEŁNE PIĘĆ MINUT PO ZAMKNIĘCIU DRZWI wejściowych do *palazzo*. Siedział w salonie i czekał, aż cisza ukoi jego niepokój. Słychać było tylko szelest skrzydeł w klatkach i postukiwanie dziobów kanarków. *Palazzo* należał kiedyś do pewnego bon vivanta o intelektualnych ambicjach, który przed wiekami uczynił z niego centrum weneckiego świata literackiego. Kolejny właściciel wykorzystał sąsiedztwo kanału Grande i przyjmował w pałacu kondukty pogrzebowe, wykorzystując salon, w którym teraz siedział Vincenti, do przeprowadzania autopsji oraz przechowywania zwłok. Później przemytnicy używali *palazzo* jako targowiska dla swojej kontrabandy, celowo rozpowszechniając

przerażające legendy, które miały odstraszać ciekawskich.

Marzyły mu się tamte czasy.

Wizyta Stephanie Nelle, pracownicy amerykańskiego Departamentu Sprawiedliwości, przysłanej rzekomo przez prezydenta Stanów Zjednoczonych, głęboko nim wstrząsnęła.

Ale nie ze względu na to, co Amerykanie wiedzieli o jego przeszłości, bo to wkrótce nie będzie miało żadnego znaczenia. I nie ze względu na to, co stało się z ich agentką, którą wysłali na przeszpiegi - była martwa i pochowano ją w takim miejscu, gdzie nigdy jej nie znajdą. Nie. Skurcze żołądka odczuwał z powodu literek na monecie.

ZH.

Dzeta. Eta.

Życie.

- Możesz już wejść! - zawołał.

Do salonu wszedł Peter O'Conner, którzy przysłuchiwał się całej rozmowie z sąsiedniego pokoju. Za nim wślizgnął się jeden z licznych kotów zamieszkujących dom Vincentiego.

- I co o tym sądzisz? - zapytał Vincenti.

- To był posłaniec, który bardzo ostrożnie dobierał słowa.

- Moneta, którą mi pokazała, jest identyczna jak te, których szuka Zowastina. Doskonale odpowiada opisowi, który przeczytałem wczoraj w otrzymanych od ciebie w hotelu materiałach.

- Vincenti wciąż nie wiedział, dlaczego te monety są takie istotne.

- Mam nową wiadomość. Zowastina przyleci do Wenecji. Dzisiaj.

- Z wizytą państwową? Nic o tym nie słyszałem.

- Nieoficjalnie. Tylko na chwilę. Prywatnym samolotem. Watykan ustalił szczegóły ze służbami celnymi. Jeden z moich informatorów zadzwonił, żeby mi o tym powiedzieć.

Teraz już rozumiał. Zdecydowanie coś się działo, a Zowastina wyprzedzała go o kilka kroków.

- Musimy wiedzieć, kiedy przylatuje i dokąd zamierza się udać.

- Pracuję nad tym. Dowiemy się na czas.

On też musiał się już zbierać.

- W Samarkandzie wszystko gotowe?

- Wystarczy jedno pańskie słowo.

Vincenti postanowił wykorzystać przewagę, jaką zapewniała nieobecność wroga. Czekanie do weekendu nie miało sensu.

- Przygotujcie odrzutowiec. Chcę wyruszyć za godzinę. Ale zadbaj o to, byśmy mimo naszej nieobecności wiedzieli, co pani premier robi w Wenecji.

O'Conner pokiwał głową ze zrozumieniem.

A teraz to, co naprawdę go trapiło.

- Jeszcze jedno. Muszę przekazać pewną wiadomość do Waszyngtonu. Taką, która na pewno zostanie właściwie odczytana. Zabij Stephanie Nelle. I zdobądź tę monetę.

## TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ

**GODZINA 17:50**

MALONE ZE SMAKIEM KONSUMOWAŁ MAKARON SZPINAKOWY Z SEREM i szynką. Viktor i jego towarzysz opuścili wyspę przed godziną, spędziwszy dwadzieścia minut wewnątrz muzeum. Potem rozglądali się w okolicy świątyni, zwłaszcza w ogrodzie, który oddzielał ją od Canale Borgognoni, przypominającego rzekę kanału żeglownego, który ciągnął się między Torcello a kolejną wysepką. Razem z Cassiopeią obserwowali ich z różnych pozycji. Viktor, przekonany o własnej anonimowości, niczego nie zauważył, koncentrując się na czekającym go zadaniu.

Gdy Viktor i jego kompan odjechali tramwajem wodnym, Malone i Cassiopeia wrócili do miasteczka. Jeden ze sprzedawców pamiątek powiedział im, że działająca od kilkudziesięciu lat restauracja Locanda Cipriani to jedna z najlepszych weneckich restauracji. Ze względu na wspaniałą atmosferę ludzie przybywają do niej codziennie. Wewnątrz restauracji, na tle sufitów z drewna, ozdobnych płytek oraz imponujących płaskorzeźb wisiało mnóstwo fotografii znanych postaci: Hemingway, Picasso, księżna Diana i księżę Karol, królowa Elżbieta, Churchill, niezliczeni aktorzy i inni artyści, a każda z podpisem i podziękowaniami.

Cassiopeia i Malone usiedli w ogrodzie pod pergolą obrośniętą różami o słodkim zapachu, w cieniu dwóch kościołów i kampanili, w cichej oazie otoczonej kwitnącymi drzewami granatu. Malone musiał przyznać, że jedzenie było wyborne. Nawet Cassiopei dopisał apetyt. Oboje nie jedli nic od śniadania w Kopenhadze.

- On wróci po zapadnięciu zmroku - powiedziała cicho Cassiopeia.

- Kolejny pożar?

- Taki mają styl działania, choć tutaj to niepotrzebne. Nikt by nawet nie zauważył braku tej monety.

Gdy Viktor odpłynął, oni też odwiedzili muzeum. Cassiopeia miała rację. Ekspozycja była nader skromna. Jakieś drobiazgi, fragmenty kolumn, kapiteli, mozaik i kilka obrazów. Na piętrze w rozchwierutanych szklanych gablotach wystawiono gliniane skorupy, biżuterię i starożytne przedmioty codziennego użytku, znalezione w okolicach Torcello. W jednej z gablot, pośród innych monet, znajdowała się ta ze słoniem. Malone zauważył, że w budynku nie ma ani ochrony, ani alarmu, a jedyna osoba z obsługi, tęga kobieta w prostej białej sukience, skupia się na pilnowaniu, by nikt ze zwiedzających nie robił zdjęć.

- Zabiję tego skurwysyna - mruknęła Cassiopeia.

Nie zaskoczyła go ta deklaracja. Już na wieży dzwonnicy wyczuwał rosnący w niej gniew.

- Uważasz, że to Irina Zowastina kazała zabić Ely'ego?

Cassiopeia odłożyła sztucce.

- Masz na to jakiś dowód poza tym, że jego dom doszczętnie spłonął?

- Wiem, że to ona.

- Tak naprawdę to nie wiesz nic.

Cassiopeia siedziała bez ruchu. Ponad ogrodem zapadał zmierzch.

- Wiem wystarczająco dużo.

- Cassiopeio, pochopnie wyciągasz wnioski. Zgadzam się, że tamten pożar jest podejrzany, ale jeśli nawet ona maczała w tym palce, powinnaś się dowiedzieć, dlaczego to zrobiła.

- Kiedy grożono śmiercią Gary'emu, co zrobiłaś?

- Uratowałem go. Całego i zdrowego.

Wiedział, że ona to rozumie. Pierwsza zasada każdej misji. Nigdy nie tracić celu z pola widzenia.

- Nie potrzebuję twoich rad.

- Ale powinnaś zwolnić i zastanowić się trochę.

- Cottonie, nie masz pojęcia, co tu się dzieje.

- Też mi nowina.

- Wracaj do domu. Zostaw mnie.

- Nie mogę tego zrobić.

Wibrowanie komórki w kieszeni spodni zaskoczyło go. Wyjął aparat, spojrzął na numer, powiedział Cassiopeii, że to Henrik, i odebrał.

- Cottonie, właśnie dzwonił do mnie prezydent Daniels.

- To musiała być interesująca rozmowa.

- Stephanie jest w Wenecji. Została wysłana na spotkanie z człowiekiem noszącym nazwisko Enrico Vincenti. Prezydent jest zaniepokojony. Stracili z nią kontakt.

- Czemu dzwonił do ciebie?

- Szukał ciebie, choć odniosłem wrażenie, że wie, że jesteś już na miejscu.

- Nietrudno to sprawdzić przy tych wzmożonych kontrolach na lotniskach. Zakładając, że wie się, o jaki kraj chodzi.

- Najwyraźniej to wiedział.

- Dlaczego przysłali tutaj Stephanie?

- Prezydent powiedział, że ten Vincenti ma powiązania z Iriną Zo-wastiną. Znam Vincentiego. Niezły z niego numer. Daniels powiedział mi też, że inna agentka zaginęła ponad dobę temu i że prawdopodobnie nie żyje. Powiedział, że ją znałeś. Naomi Johns.

Malone zamknął oczy. Razem wstąpili do jednostki Magellan Billet i kilkakrotnie pracowali jako zespół. Była dobrą agentką. I jeszcze lepszą przyjaciółką. To właśnie był kłopot z jego poprzednią pracą. Rzadko kogoś zwalniali. Ludzie albo odchodzili, albo przechodzili na emeryturę, albo umierali. Był już na wielu pogrzebach.

- Vincenti maczał w tym palce? - zapytał.

- Daniels tak uważa.

- Podaj mi więcej informacji o Stephanie.

- Zatrzymała się w hotelu Montecarlo, na północ od Bazyliki Świętego Marka, przy Calle degli Specchieri.

- Dlaczego nie pošlą kogoś ze swoich?

- Daniels powiedział, że posłali właśnie Naomi Johns. Nikogo więcej już nie mają. Miał nadzieję, że uda mi się skontaktować z tobą i poprosić, żebyś sprawdził, co ze Stephanie. Mógłbyś to zrobić?



- Zajmę się tym.

- A jak poza tym?

Malone popatrzył przez stół na Cassiopeię.

- Nie najlepiej.

- Powiedz Cassiopeii, że przesyłka, którą zamówiła, wkrótce dotrze.

Malone rozłączył się i zapytał:

- Dzwoniłaś do Henrika?

Skinęła głową.

- Trzy godziny temu. Jak zauważyliśmy naszych złodziei.

Rozdzielili się wtedy i zwiedzili muzeum osobno.

- Stephanie jest w Wenecji i prawdopodobnie ma kłopoty - powiedział Malone. - Muszę to sprawdzić.

- Dam sobie tutaj radę.

Miał co do tego wątpliwości.

- Nie wrócą tu, aż nie będzie ciemno - powiedziała Cassiopeia.

- Pytałam i ta wyspa jest niemal zupełnie opustoszała wieczorami, jeśli nie liczyć tych, którzy przyplływają na kolację. Restaurację zamykają o dziewiątej. Ostatni tramwaj wodny odpływa punktualnie o dwudziestej drugiej. I wtedy nie ma tu już nikogo.

Kelner podszedł do ich stolika, niosąc srebrne pudełko obwiązane czerwoną wstążką oraz podłużną torbę z materiału, długą na niemal metr i również obwiązaną wstążką. Wyjaśnił, że przesyłka przed chwilą dotarła taksówką wodną. Malone dał mu dwa euro napiwku.

Cassiopeia rozwiązała wstążkę na pudełku, zajrzała do środka i podała je Malone'owi. W środku znajdowały się dwa pistolety automatyczne z zapasowymi magazynkami.

Malone wskazał na torbę.

- A to?

- To niespodzianka dla naszych złodziei.

Nie podobało mu się to wszystko.

- Sprawdź, co ze Stephanie - powiedziała Cassiopeia. - A dla Viktora nadszedł czas, by ujrzeć ducha.

## TRZYDZIEŚCI SIEDEM

### GODZINA 21:40

KORZYSTAJĄC ZE WSKAZÓWEK THORVALDSENA, MALONE BEZ TRUDU odnalazł hotel Montecarlo. Skrywał się w zadaszonej uliczce pełnej sklepów i kawiarni kilkaset metrów na północ od bazyliki. Malone precyzyjnie przeszedł przez gęsty wieczorny tłum i wszedł przez szklane drzwi do holu hotelu. Za ladą stał mężczyzna o bliskowschodnich rysach ubrany w białą koszulę, krawat i czarne spodnie.

- *Scusa* - powiedział Malone. - Mówi pan po angielsku?

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Oczywiście.

- Szukam pani Stephanie Nelle. Amerykanki. Zatrzymała się tutaj.

- Po wyrazie twarzy recepcjonisty Malone domyślił się, że wie o kim mowa, więc dodał: - Który pokój?

Mężczyzna popatrzył na wiszącą za nim szafkę z kluczami.

- Dwieście dziesięć.

Malone ruszył w kierunku marmurowych schodów.

- Ale nie ma jej w pokoju.

Malone zawrócił.

- Wyszła na plac kilka minut temu. Na *gelato*. Właśnie zostawiła klucz. - Recepcjonista uniósł ciężki kawałek mosiądzu z wygrawerowaną liczbą 210.

W Europie zdobywanie informacji wyglądało zupełnie inaczej. W Stanach kosztowałoby go to co najmniej sto dolarów. Ale wciąż coś się tu nie zgadzało. Thorvaldsen powiedział, że Waszyngton stracił kontakt ze Stephanie. Ale ona najwyraźniej przed chwilą była w tym hotelu i podobnie jak wszyscy agenci jednostki Magellan Billet nosiła przy sobie komórkę o zasięgu ogólnosiwiatowym.

I tak po prostu sobie wyszła, żeby zjeść lody?

- Wie pan może, dokąd poszła?

- Polecilem jej lodziarnię pod arkadami. Naprzeciwko bazyliki. Mają tam świetne lody.

Malone też lubił lody. Więc czemu nie skorzystać?

Mogą zjeść je razem.



CASSIOPEIA ZAJĘŁA POZYCJĘ W POBLIŻU MIEJSCA, W KTÓRYM błotnisty kanał wpływał do laguny, niedaleko przystanku tramwaju wodnego. Jeśli instynkt dobrze jej podpowiadał, Viktor i jego towarzysz powinni pojawić się tutaj w ciągu kilku najbliższych godzin.

Wyspę spowiły ciemności.

Otwarta była już tylko restauracja, w której jadła razem z Malone'em, ale Cassiopeia wiedziała, że i ona zostanie zamknięta w ciągu pół godziny. Sprawdziła też oba kościoły i muzeum. Wszystko było pozamykane, a obsługa odpłynęła tramwajem, który wyruszył godzinę temu.

Wśród gęstniejącej mgły przesłaniającej lagunę widziała motorówki płynące w różnych kierunkach, poruszające się wzdłuż kanałów, które na tych płytkich wodach odgrywały rolę autostrad. To, co zamierzała zrobić, stanowiło przekroczenie pewnej normy moralnej, której nigdy dotąd nie złamała. Zabijała, ale tylko wtedy, gdy była do tego zmuszona. Tym razem było inaczej. Robiła to z zimną krwią, a to ją przerażało.

Lecz była to winna Ely'emu.

Myślała o nim każdego dnia.

Zwłaszcza o czasie, który spędzili razem w górach.

*Patrzyła na masyw skalny przechodzący w strome wzgórze, parowy, wąwozy i przepaście. Wiedziała już, że góry Pamiru często nawiedzają gwałtowne burze i trzęsienia ziemi, że to kraina nieustępujących mgieł i szybujących orłów. Bezludna i samotna. Ciszę rozdzierał tylko jakiś dziki*

szczek.

- *Podoba ci się tutaj, prawda?* - zapytał Ely.

- *Ty mi się podobasz.*

Uśmiechnął się. Mężczyzna przed czterdziestką, o szerokich ramionach, jasnej owalnej twarzy i figlarnym spojrzeniu. Należał do tych nielicznych mężczyzn, którzy sprawiali, że czuła się gorsza pod względem intelektualnym, a ona uwielbiała to uczucie. Tak wiele ją nauczył.

- *Pobył tutaj to chyba największa zaleta mojej pracy* - powiedział Ely.

Wspominał jej o swoim azylu w górach, na wschód od Samarkandy, w pobliżu chińskiej granicy, ale była tu pierwszy raz. Trzypokojowa chata z grubych bali kryła się w lesie z dala od głównej drogi, około dwóch tysięcy metrów nad poziomem morza. Krótki spacer wśród drzew doprowadził ich do tego miejsca, z którego rozciągał się cudowny widok na góry.

- *Ta chata to twoja własność?* - zapytała.

Pokręcił głową.

- *Należy do wdowy po sklepikarzu z wioski. Zaproponowała mi pobyt tutaj, jak byłem tu rok temu. Czynsz, który jej płacę, pomaga jej przetrwać, a ja rozkoszuję się tym wszystkim wokół.*

Uwielbiała jego cichy sposób bycia. Nigdy nie podnosił głosu i nie przeklinał. Prosty człowiek, który kochał przeszłość.

- *Znalazłeś to, czego szukałeś?*

Wskazał na kamienisty grunt i czerwoną ziemię.

- *Tutaj?*

Potrząsnęła głową.

- *W Azji.*

Zdawał się na poważnie zastanawiać nad jej pytaniem. By nie przerywać jego zamyślenia, obserwowała, jak topniejący śnieg powoli spływa po jednym z odległych zboczy.

- *Chyba tak* - odpowiedział.

Uśmiechnęła się, słysząc potwierdzenie.

- *A co udało ci się osiągnąć?*

- *Spotkałem ciebie.*

*Nigdy nie była łasa na komplementy. Mężczyźni zawsze ją nimi obsypywali. Ale z Elym było inaczej.*

*- Ale poza tym - nalegała.*

*- Dowiedziałem się, że przeszłość nigdy nie umiera.*

*- Możesz o tym rozmawiać?*

*Szczekanie ustało i dał się słyszeć cichy trajkot jakiegoś odległego strumyczka.*

*- Nie teraz.*

*Objęła go ramieniem, przyciągnęła do siebie i powiedziała:*

*- Powiesz mi, jak będziesz gotowy.*

Jej oczy wypełniły się łzami na to wspomnienie. Ely był wyjątkowy pod wieloma względami. Jego śmierć była szokiem, czuła się jak wtedy, gdy dowiedziała się o śmierci swojego ojca, albo jak wtedy, gdy jej matka umarła na raka, o którym nikt wcześniej nie wiedział. Tyle bólu. Serce złamane tyle razy.

Dostrzegła dwa żółte światelka zmierzające w jej kierunku, była to łódź płynąca kursem prosto na Torcello. Zanim się zbliżyła, dwie wodne taksówki przypłynęły i odpłynęły, przywożąc i odwożąc klientów restauracji.

To mogła być kolejna taksówka.

To, co powiedziała Malone'owi, traktowała poważnie. Ely został zamordowany. Nie miała na to żadnego dowodu. Tylko przecucie. Ale intuicja nigdy dotąd jej nie zawiodła. Thorvaldsen, niech Bóg go błogosławi, wyczuł, że ona musi tę sprawę zakończyć, i dlatego bez zbędnych pytań przysłał jej torbę, którą mocno teraz ścisnęła. Pistolet wsunęła wcześniej za pasek. Nienawidziła Iriny Zowastiny i Viktora, i każdego, kto doprowadził ją do obecnego stanu.

Łódź zwolniła, a silnik ucichł.

Była to motorówka podobna do tej, którą wynajęli z Malone'em. Podchodziła do wejścia do kanału, a gdy znalazła się bliżej, w bursztynowym świetle przy sterze Cassiopeia ujrziała nie jakiegoś anonimowego taksówkarza, lecz Viktora.

Wcześniej.

Tym lepiej.

Chciała załatwić to bez Malone'a.



STEPHANIE SZŁA PRZEZ PLAC ŚWIĘTEGO MARKA, A ZŁOTE ORNAMENTY bazyliki rozświetlały noc. Krzesła i stoliki spod arkad wysypywały się na słynny chodnik w symetryczne wzory. Kilka zespołów przygrywało, tworząc niefrasobliwą dysharmonię. Psująca się pogoda nieco przerzedziła tradycyjny tłum turystów, przewodników, sklepikarzy, żebraków i naganiaczy.

Stephanie minęła słynne maszty flagowe z brązu oraz imponującą kampanilę, którą na noc zamykano. Jej uwagę zwrócił zapach ryby, pieprzu i odrobiny goździków. Plamy przyciemnionego światła nadawały placowi złocisty odcień. Gołębi, które obejmowały go we władanie w ciągu dnia, nie było. Gdyby nie okoliczności, uznałaby ten widok za bardzo romantyczny.

Ale ona musiała być czujna.

I gotowa.



GDY DZWONY UMIESZCZONE WYSOKO NA KAMPANILI WYBIJAŁY dziesiątą wieczór, Malone rozglądał się w tłumie, szukając Stephanie. Wiejąca z południa bryza rozpraszała wypełnione mgiełką powietrze. Cieszył się, że włożył marynarkę, pod którą ukrył jeden z pistoletów przysłanych Cassiopeii przez Thorvaldsena.

Po jednej stronie starego rynku znajdowała się jasno oświetlona bazylika, po drugiej muzeum, a wszędzie widać było oznaki setek lat chwały i przepychu. Turyści tłoczyli się pod długimi arkadami, wypatrując skarbów w witrynach sklepów. W ukrytych za arkadami trattoriach, kawiarniach i lodziarniach panował ożywiony ruch.

Malone popatrzył na plac. Niecałe dwieście metrów na

niecałe sto. Z trzech stron otoczony zwartymi szeregami pięknych budowli, które sprawiały wrażenie, jakby tworzyły jeden olbrzymi marmurowy pałac. Po drugiej stronie zalewanego deszczem placu dostrzegł pośród rozkładanych przez turystów parasolek Stephanie, która szybkim krokiem zbliżała się do południowych arkad.

On stał pod północnymi arkadami, które po jego prawej stronie ciągnęły się niemal bez końca od bazyliki aż do muzeum po drugiej stronie.

Jego uwagę zwrócił pewien mężczyzna w tłumie.

Stał sam, w oliwkowozielonym płaszczu, z rękami wetkniętymi do kieszeni. Coś w sposobie, w jaki się zatrzymał, a potem przyglądał arkadom, wodząc skupionym wzrokiem po każdym łuku, zaniepokoiło Malone'a.

Postanowił wykorzystać fakt, że jest anonimowy, i ruszył w stronę mężczyzny. Jednym okiem patrzył na Stephanie, a drugim na człowieka w oliwkowym płaszczu. Już po kilku sekundach był pewien, że mężczyzna obserwuje Stephanie.

A potem dostrzegł kolejny problem w beżowym płaszczu przeciwdeszczowym na drugim końcu arkad. Ten mężczyzna również rozglądał się po placu.

Dwóch zalotników.

Malone szedł dalej, słysząc głosy, śmiechy, stukot obcasów i czując zapach perfum. Mężczyźni zbliżyli się do siebie, a potem nagle ruszyli w lewo, śpiesząc w kierunku południowej arkady, pod którą właśnie zniknęła Stephanie.

Malone odwrócił się w lewo, wszedł w mgłę i ruszył przez plac.

Mężczyźni szli równolegle do niego, a ich postaci migały mu pomiędzy kolumnami arkad. Delikatne brzmienie jednego z kawiarnianych zespołów muzycznych tłumilo wszelkie dźwięki.

Malone zwolnił i przecisnął się przez labirynt stolików, pustych teraz z powodu nieprzyjemnej pogody. Pod arkadami dojrzał Stephanie, która stała przed szklaną gablotą i przyglądała się lodom.

Mężczyźni wyszli zza rogu w odległości trzydziestu metrów.

Malone podszedł do Stephanie i powiedział:

- Najlepsze są te z kawałkami czekolady.  
Na jej twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia.  
- Cotton, co do...  
- Nie mamy czasu. Mamy towarzystwo, za mną, idą w tę stronę.

Widział, jak zerka znad jego ramienia.

Odwrócił się.

Błysnęła broń.

Odsunął Stephanie od lady i razem pobiegli pod arkadami, kierując się w stronę placu.

Chwycił za pistolet i przygotował się do walki.

Ale byli w potrzasku. Za nimi rozciągał się otwarty plac wielkości dwóch boisk piłkarskich. Nie mieli dokąd uciec.

- Cottonie - powiedziała Stephanie. - Panuję nad tym.

Popatrzył na nią, mając nadzieję, że mówi prawdę.



VIKTOR POPROWADZIŁ ŁÓDŹ WĄSKIM KANAŁEM I POD STARYM lukowym mostem. Nie zamierzał cumować przy końcu szlaku, obok restauracji, chciał tylko upewnić się, że miasteczko opustoszało na noc. Cieszył się z deszczowej pogody, z tego, że typowa włoska burza nadeszła znad morza i trochę zrasza okolice deszczem, który w niczym nie przeszkadzał, jednocześnie zapewniając dyskrecję.

Rafael obserwował ciemne brzegi kanału. Przyptyw nastąpił dwie godziny temu, dzięki czemu docelowe miejsce cumowania stało się łatwiej dostępne. Zauważył to miejsce już wcześniej. Tuż obok bazyliki, tam, gdzie ospały kanał przecinał wyspę na całej szerokości. Zatrzymają się przy małym betonowym doku sąsiadującym z bazyliką.

Przed sobą widział miasteczko.

Ciemne i ciche.

Ani śladu innych łodzi.

Właśnie wrócili z magazynu, do którego wysłała ich Zowastina. Pani premier rzeczywiście wszystko zaplanowała.



Znaleźli tam grecki ogień, pistolety i amunicję. Zastanawiał się, czy powinni spalić muzeum. To wydawało się zbędne, ale Zowastina uparła się, że ma zniknąć z powierzchni ziemi.

- Wygląda na to, że jest okay.

Viktor był tego samego zdania.

Włączył więc silnik na luz, a potem zawrócił łódź.



CASSIOPEIA UŚMIECHNĘŁA się. MIAŁA RACJĘ. NIE BĘDĄ NA TYLE głupi, żeby zacumować w miasteczku. Upatrzyli sobie już wcześniej drugi kanał, który przebiegał obok bazyliki.

Patrzyła, jak motorówka obraca się o sto osiemdziesiąt stopni i wypływa z kanału. Sięgnęła po pistolet, który przysłał jej Thorvaldsen, i sprawdziła komorę. Chwyciła broń i torbę i opuściła kryjówkę, nie spuszczając oka z kanału.

Viktor i jego towarzysz dopłynęli do laguny.

Silnik zwiększył obroty.

Łódź skręciła na prawo i zaczęła opływać wyspę.

Cassiopeia pobiegła przez wilgotną noc w kierunku kościołów, planując po drodze jeden przystanek.

## TRZYDZIEŚCI OSIEM

OBECNOŚĆ MALONE A ZASKOCZYŁA STEPHANIE. MÓGŁ DO NIEJ TRAFIĆ tylko w jeden sposób. Ale teraz nie jest odpowiedni moment, żeby się nad tym zastanawiać.

- Działaj - powiedziała do wpiętego w klapę mikrofonu.

Na placu rozległo się echo trzech wystrzałów i jeden z uzbrojonych mężczyzn przewrócił się na chodnik. Stephanie i Malone przypadli do mokrych płyt, ponieważ drugi mężczyzna zareagował strzałami. Malone zachował się tak, jak przystało na agenta, którym kiedyś był. Przeturlał się z powrotem pod arkady, oddając jednocześnie dwa strzały, które miały wypchnąć drugiego napastnika na otwarty plac.

Na placu Świętego Marka wybuchła panika, ludzie rozbiegali się na wszystkie strony.

Malone skoczył na nogi i przytulił się do mokrej powierzchni jednej z kolumn. Napastnik znajdował się około dwudziestu metrów od niego, unieruchomiony ostrzałem ze strony Malone'a i snajpera Stephanie, który znajdował się na jednym z budynków po północnej stronie placu.

- Mogłabyś mi wyjaśnić, co tu się dzieje? - zapytał Malone, nie spuszczać wzroku z napastnika.

- Wiesz, co to przynęta?

- Taa, takie cholerstwo na haczyku.

- Mam ludzi na tym placu.

Malone zaryzykował odwrócenie wzroku od celu, ale nikogo nie dostrzegł.

- Są niewidzialni?

Stephanie również się rozejrzała. Nikt się do nich nie zbliżał. Wszyscy uciekali w kierunku bazyliki. Poczuli, jak narasta w niej znajomy gniew.

- Policja zaraz tu będzie - powiedział Malone.

Stephanie wiedziała, że to właśnie może być problemem. Zasady jednostki Magellan Billet nakazywały agentom unikanie kontaktu z lokalnymi służbami. Ich przedstawiciele albo byli bezużyteczni, albo wręcz wrogo nastawieni, o czym dopiero co miała okazję przekonać się na własnej skórze w Amsterdamie.

- Uciekaj - powiedział Malone i ruszył za napastnikiem.

Stephanie pobiegła za nim, mówiąc do mikrofonu:

- Zabieraj się stąd.

Malone pobiegł w kierunku wyjścia z arkad, które prowadziło nie na plac, lecz w głąb ciemnych uliczek Wenecji. Przy samym wyjściu znajdował się mostek dla pieszych, przerzucony nad kanałem.

Stephanie dostrzegła, jak Malone po nim przebiega.



MALONE NIE ZWALNIAŁ TEMP. PO OBU STRONACH ŚMIESZNIE WĄSKIEJ uliczki rozciągały się pozamykane sklepy. Tuż przed nim uliczka skręcała w prawo. Zza rogu wyszło kilkoro przechodniów. Malone zwolnił i schował pistolet pod kurtkę, nie zdejmując palca ze spustu.

Zatrzymał się na rogu przy błyszczącej od deszczu sklepowej witrynie. Złapał kilka głębszych oddechów i ostrożnie wyjrzał za róg.

Kula gwizdnęła tuż obok niego i odbiła się od kamieni.

Tuż za nim stanęła Stephanie.

- Czy to nie jest niemądre? - zapytała.

- Nie wiem. To twoja impreza.

Zaryzykował i ponownie zajrzał za róg.

Nic się nie stało.

Postanowił zmienić pozycję i przebiegł dziesięć metrów dzielących go od kolejnego zakrętu uliczki. Jedno spojrzenie za róg wystarczyło, by dojrzał kolejne pozamykane sklepy oraz głębokie cienie i mgłę, za którymi mogło się kryć niemal wszystko.

Stephanie znów do niego dołączyła, trzymając w ręku broń.

- Jaki z ciebie dzielny mały agent! - stwierdziła. - Nosisz przy sobie broń?

- Ostatnio jakoś dziwnie często mi się przydaje. - To była prawda, ale ona też miała rację. - To niemądre. Jak tak dalej pójdzie, to albo nas postrzelą, albo aresztują. Lepiej mi powiedz, co ty tu w ogóle robisz?

- Miałam cię zapytać o to samo. Mam tu zadanie do wykonania. A ty sprzedajesz książki. Dlaczego Danny Daniels przysłał właśnie ciebie?

- Powiedział, że stracili z tobą kontakt.

- Nikt nie próbował się ze mną kontaktować.

- Wygląda na to, że nasz prezydent chciał mnie w coś wciągnąć, tylko nie był na tyle uprzejmy, żeby o to poprosić.

Z tyłu za nimi, od strony placu, rozległy się jakieś krzyki.

Ale Malone martwił się czymś innym. Torcello.

- Zacumowałem łódź tuż za placem, przy nabrzeżu. - Wskazał w prawo na jedną z uliczek. - Jeśli pójdziemy tędy, powinniśmy tam trafić.

- Dokąd płyniemy? - zapytała Stephanie.

- Pomóc komuś, kto potrzebuje pomocy jeszcze bardziej niż ty.



VIKTOR WYŁĄCZYŁ silnik, a motorówka delikatnie przybiła do kamiennego doku. Otaczały ich łupkowate szarości, mętna zieleń i przytłumiony błady błękit. Surowa sylwetka bazyliki wznosiła się w odległości trzydziestu metrów, tuż za postrzępioną plamą krzaczastych cieni, czyli ogrodem i sadem. Rafael wyłonił się z kabiny na rufie, niosąc dwa plecaki, i powiedział: - Osiem pakietów i jeden zółw powinny wystarczyć. Jak podpalamy parter, reszta też spłonie.

Rafael doskonale znał się na starożytnym płynie i Viktor polegał na jego zdaniu. Patrzył, jak partner ostrożnie kładzie plecaki i wraca do kabiny, żeby przynieść jeden z robotów.

- Naładowany i gotowy.

- Skąd wiesz, że to „on”?
- Nie wiem. Ale jakoś pasuje.
- Viktor uśmiechnął się.
- Powinniśmy odpocząć.
- Przydałoby się parę dni wolnego. Może pani premier da nam urlop, w ramach nagrody.
- Viktor roześmiał się.
- Pani premier nie wierzy w nagrody.
- Rafael poprawił paski przy plecakach.
- Na przykład kilka dni na Malediwach. Byczenie się na plaży, ciepła woda...
- Przestań marzyć. Nic z tego nie będzie.
- Rafael założył jeden z ciężkich plecaków na ramię.
- Nie ma nic złego w marzeniach. Zwłaszcza tutaj w tym deszczu. Viktor sięgnął po robota, gdy Rafael podnosił drugi plecak.
- Załatwimy to raz-dwa. Okay?
- Rafael skinął głową.
- To powinna być szybka i łatwa robota.
- Viktor był tego samego zdania.



CASSIOPEIA STAŁA W GŁÓWNYM PRZEDSIONKU BAZYLIKI, UKRYTA w cieniu za sześcioma strzelistymi kolumnami. Mgłę zastąpiła mżawka, ale na szczęście ta wilgotna noc była całkiem ciepła. Ciągłe wiejąca bryza burzyła na falach pianę, przytłumiając dźwięki, które ona chciała słyszeć. Takie jak silnik motorówki, tuż za ogrodem po jej prawej stronie, która już powinna tu być.

Widziała dwie wysypane otoczakami ścieżki. Jedna prowadziła do kamiennego doku, gdzie Viktor z pewnością się zatrzyma, a druga do samej wody. Cassiopeia musiała wykazać się cierpliwością, pozwolić im wejść do muzeum i udać się na pierwsze piętro.

A wtedy pokona ich ich własną bronią.

## TRZYDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

STEPHANIE STAŁA OBOK MALONE'A, KTÓRY WYPROWADZAŁ ŁÓDŻ z betonowego doku. Przybywało coraz więcej motorówek policyjnych. Cumowały przy nabrzeżu, tam gdzie plac Świętego Marka graniczył z brzegiem laguny. Ciemności rozjaśniały ich światła alarmowe.

- Rozpęta się tu niezłe piekło - stwierdził Malone.
- Daniels powinien był pomyśleć o tym, zanim namieszał.

Malone płynął wzdłuż oświetlonych granic kanału na północ, równoległe do brzegu. Mijało ich coraz więcej policyjnych motorówek z wyjącymi syrenami. Stephanie wyjęła swoją komórkę, wybrała numer, a potem podeszła do Malone'a i włączyła głośnik.

- Edwinie - powiedziała - masz szczęście, że cię tu nie ma, bo skopałabym ci tyłek.

- Czy ty przypadkiem dla mnie nie pracujesz? - zapytał Davis.

- Miałam na tym placu trzech ludzi. Dlaczego nie było ich tam, kiedy ich potrzebowałam?

- Wysłaliśmy Malone'a. Ponoć jest tak dobry, że wystarcza za trzech.

- Kimkolwiek pan jest - wtrącił Malone - powinien pan wiedzieć, że zwykle komplementy na mnie działają. Ale jestem tutaj ze Stephanie. Odwołał pan jej wsparcie?

- Miała ciebie i snajpera na dachu. To powinno wystarczyć.

- Teraz to już na pewno skopię ci tyłek - powiedziała Stephanie.

- Może najpierw jakoś przez to przebrniemy, a potem na pewno będziesz miała okazję.

- Co tu się, do diabła, dzieje? - zapytała, podnosząc głos. - Dlaczego przysłaliście Cottona?

- Muszę wiedzieć, co się wydarzyło.

Stephanie przeknęła gniew i streściła przebieg wydarzeń. A potem dodała:

- Spory teraz ruch na placu. Zwróciliśmy chyba uwagę całego miasta.

- To ma swoje plusy - odparł Davis.

Początkowo mieli zamiar sprawdzić, czy Vincenti coś zrobi. Jacyś mężczyźni wystawali pod jej hotelem każdego wieczoru, a gdy wyszła, natychmiast pobiegli na górę, z pewnością z zamiarem zdobycia monety. Zastanawiała się, skąd ta zmiana strategii i zaangażowanie Malone'a, ale powstrzymała swą dociekliwość i powiedziała do słuchawki tylko tyle:

- Wciąż nie powiedziałeś, dlaczego przysłaliście Malone'a.

Malone skręcił w lewo, zgodnie z linią brzegową i kompasem wskazującym północny wschód, po czym przyśpieszył.

- Co teraz robicie? - zapytał Davis.

- Zmierzamy do kolejnego problemu - odparł Malone. - Proszę odpowiedzieć na jej pytanie.

- Chcemy narobić dziś w nocy dużo hałasu na placu Świętego Marka.

Stephanie czekała na dalsze wyjaśnienia.

- Dowiedzieliśmy się, że Irina Zowastina jest w drodze do Wenecji. Wyląduje mniej więcej za dwie godziny. Powiedziałbym, że to co najmniej niezwykle. Głowa państwa składa niezapowiedzianą wizytę w innym państwie bez żadnego znanego powodu. Musimy dowiedzieć się, po co przylatuje.

- To czemu jej nie zapytacie? - zapytał Malone.

- Zawsze jest pan taki pomocny?

- To jedna z moich największych zalet.

- Panie Malone - powiedział Davis. - Wiemy o pożarze w Kopenhadze i o monetach. Stephanie ma ze sobą jedną z nich. Może oszczędzi pan mój czas i jednak nam pomoże?

- Jest aż tak źle? - zapytała Stephanie.

- Dobrze nie jest.

Stephanie wiedziała, że na Malone'a zawsze można liczyć.

- Dokąd wybiera się Zowastina?

- Do bazyliki, około pierwszej w nocy.

- Widać, że jesteście dobrze poinformowani.

- Dzięki jednemu z naszych doskonałych źródeł. Tak cholernie doskonałych, że aż mnie to dziwi. - Przez chwilę w słuchawce panowała cisza. - W ogóle nie jestem tym zachwycony - powiedział w końcu Davis.

- Ale wiercie mi, nie mamy wyboru.



VIKTOR WSZEDŁ na miejski skwerek przed bazyliką i kościołem i popatrzył na Museo di Torcello. Położył swoją torbę na kawałku marmuru wyrzeźbionego na kształt siedziska przypominającego tron. Słyszał, że nazywają go Sedia d'Attila, Krzesłem Attyli. Ponoć siedział na nim sam wódz Hunów Attyla, ale Viktor w to nie wierzył.

Przyglądał się ich ostatniemu celowi. Muzeum było niskim jednopiętrowym prostokątem, mniej więcej dziesięć metrów na dwadzieścia, z podwójnymi oknami z obu stron na dwóch poziomach zaopatrzonymi w kraty z kutego żelaza. Po jednej stronie muzeum wznosiła się dzwonnica. Na placu wokół rosły drzewa, a pośród przyszyżonej trawy widać było resztki marmurowych kolumn i rzeźb.

Jedynie wejście do muzeum stanowiły podwójne drewniane drzwi pośrodku parteru. Otwierały się na zewnątrz i były zaryglowane za pomocą umieszczonej pośrodku grubej belki z pociemniałego drewna, którą z obu stron przytrzymały metalowe uchwyty zaopatrzone w kłódki.

Viktor wskazał na drzwi i powiedział: - Spal je.

Rafael wyjął plastikową butelkę z jednego z plecaków. Podszedł za Viktorem do drzwi, a tam ostrożnie polał obie kłódki greckim ogniem. Viktor się cofnął. Rafael podpalił miksturę, a ta każdą z kłódek zmieniła w jasnobłękitny płomień.

Niezwykła materia. Nawet metal poddawał się jej furii, nie topiła go co prawda, ale potrafiła zmiękczyć.

Viktor patrzył na płomień przez blisko dwie minuty, zanim wygasły.





CASSIOPEIA WCIAŻ CZUWAŁA, GDY W ODLEGŁOŚCI TRZYDZIESTU metrów dwa intensywnie niebieskie światełka, niczym odległe gwiazdy, rozjarzyły się, a potem zgasły. Dwa uderzenia łomem i złodzieje otworzyli główne drzwi do muzeum.

Wnieśli do środka swój sprzęt.

Dostrzegła, że mają ze sobą jedno z tych automatycznych urządzeń, co oznaczało, że po Museo di Torcello wkrótce pozostanie wyłącznie popiół.

Placyk wciąż sprawiał wrażenie ciemnego, wilgotnego i ponurego. Ciszę przerywały jedynie uderzenia kropel deszczu o kałuże. Cassiopeia stała w przedsionku kościoła i zastanawiała się nad tym, co zamierza zrobić, a potem dostrzegła, że drewniana belka, która zabezpieczała drzwi, została pozostawiona na zewnątrz.



VIKTOR WSPIĄŁ SIĘ PO SPIRALNYCH SCHODACH NA PIERWSZE piętro muzeum, a jego oczy zdążyły się już przyzwyczaić do mroku nocy. Rozróżniał cienie na tyle, żeby znaleźć drogę pośród nielicznych eksponatów parteru i wejść po schodach na równie skromnie urządzone piętro, gdzie stały trzy wielkie gabloty. W środkowej, tak jak zauważył już wcześniej, znajdowała się moneta ze słońciem.

Rafael był na parterze i ustawiał pakiety z greckim ogniem tak, by spowodowały jak największe zniszczenia. Viktor miał ze sobą dwa pakiety przeznaczone na piętro. Szybkim uderzeniem łomem rozbił szybę i ostrożnie wyjął leżącą pośród skorup monetę. A potem wrzucił do gabloty jeden z zapakowanych próżniowo pakietów o objętości kilku litrów.

Drugi z nich położył na podłodze.

Monetę schował do kieszeni.

Trudno mu było stwierdzić, czy jest autentyczna, ale gdy wcześniej podczas zwiedzania muzeum rzucił na nią okiem, takie odniósł wrażenie.

Spojrzał na zegarek. Za dwadzieścia jedenasta. Szybciej, niż planowali. Mają sporo czasu do spotkania z panią premier. Może Zowastina faktycznie nagrodzi ich kilkoma dniami odpoczynku.

Zszedł po schodach na parter.

Już wcześniej zauważyli, że podłoga na obu poziomach jest drewniana. Jak ogień zacznie szaleć, pakiety z greckim ogniem na górze już po kilku minutach dołączą do gorącej imprezy.

W ciemnościach zauważył Rafaela pochylonego nad żółwiem. Usłyszał kliknięcie i robot zaczął wędrować po sali. Zatrzymał się w odległym końcu i zaczął spryskiwać zewnętrzną ścianę substancją o charakterystycznym zapachu.

- Wszystko gotowe - powiedział Rafael.

Żółw kontynuował wykonywanie zadania, nie przejmując się tym, że wkrótce sam zostanie zniszczony. To tylko maszyna. Żadnych uczuć ani wyrzutów sumienia. Viktor pomyślał, że Irina Zowastina tego samego oczekuje od niego.

Rafael popchnął drzwi wejściowe.

Nie ustąpiły.

Spróbował jeszcze raz.

Nic.

Viktor podszedł bliżej i przycisnął dłoń płasko do drewna. Podwójne drzwi zostały zablokowane. Z zewnątrz. Ogarnęła go fala złości i napał na drzwi, ale tylko zabolalo go ramię. Grube drewniane płyty na żelaznych zawiasach nie chciały się poddać.

Rozejrzał się w ciemnościach.

Robiąc rozpoznanie w budynku, zauważył, że w oknach są kraty. Nie stanowiły wcześniej przeszkody, ponieważ zamierzali wejść i wyjść przez główne drzwi. Ale teraz zakratowane okna nabrały znaczenia.

Viktor popatrzył na Rafaela. Choć nie widział jego twarzy, wiedział, co myśli.

Znaleźli się w pułapce.

# CZEŚĆ III

## CZTERDZIEŚCI

**SAMARKANDA,  
WTOREK 21 KWIETNIA,  
GODZINA 1:40**

VINCENTI OSTROŻNIE ZSZEDŁ PO SCHODKACH PRYWATNEGO odrzutowca. Podróż z Wenecji do Federacji Środkowoazjatyckiej trwała niemal sześć godzin, ale on odbywał ją już wielokrotnie, więc nauczył się cieszyć luksusową kabiną i wypoczywać podczas długiego lotu na wschód. Za nim w balsamiczną noc wkroczył Peter O'Conner.

- Kocham Wenecję - powiedział Vincenti - ale kiedy już w końcu tutaj zamieszkać, wcale nie będę tęsknić za tym ciągłym deszczem.

Na asfalcie czekał samochód i Vincenti ruszył wprost do niego, rozciągając usztywnione nogi i zmęczone mięśnie. Z samochodu wysiadł kierowca i otworzył tylne drzwi. Vincenti wsiadł do środka, a O'Conner usiadł na przednim siedzeniu pasażera. Szyba z pleksi zapewniała Vincentiemu prywatność.

Na tylnym siedzeniu siedział już mężczyzna o ciemnych włosach i oliwkowej cerze, którego oczy zawsze, nawet w obliczu przeciwności, zdawały się dostrzegać komiczną stronę życia. Gęsty zarost pokrywał kwadratową szczękę i szczupłą szyję, znamiona młodości. Nawet o tej nieludzkiej godzinie był bystry i uważny.

Kamil Karimowicz Rewin był ministrem spraw zagranicznych Federacji. Pod czterdziestkę, niemal bez referencji, był

powszechnie uważany za pieska pokojowego pani premier, który robi dokładnie to, czego ona chce. Jednakże kilka lat temu Vincenti dostrzegł coś innego.

- Witam ponownie - powiedział Kamil. - Nie było cię kilka miesięcy.

- Mam mnóstwo roboty, mój przyjacielu. Sprawy Ligi pochłaniają mnóstwo czasu.

- Mam do czynienia z waszymi członkami. Wielu z nich zaczyna szukać miejsca na dom.

Z Zowastiną uzgodniono między innymi to, że członkowie Ligi przeprowadzą się do Federacji. To było rozwiązanie korzystne dla obu stron. Biznesowa utopia miała uwolnić ich wszystkich od dokuczliwych podatków. Z kolei napływ kapitału do gospodarki w formie towarów, usług i bezpośrednich inwestycji z nadwyżką zrekompensuje Federacji wszelkie potencjalnie utracone przychody z podatków. Co więcej, stworzona zostanie jednocześnie cała klasa wyższa, i to bez narzucanego przez Zachód efektu podnoszenia się poziomu życia wszystkich mieszkańców przy bogaceniu się elit. Vincenti zawsze uważał ten efekt za niesprawiedliwy, bo dlaczego mniejszość miałaby finansować i utrzymywać większość.

Członków Ligi zachęcano, by nabywali tereny pod zabudowę, i wielu z nich to zrobiło, płacąc rządowi Federacji, ponieważ większość gruntów w wyniku sowieckiego panowania znajdowała się w rękach państwa. Vincenti był nawet członkiem komitetu, który negocjował ten element umowy Ligi z Zowastiną, i był jednym z pierwszych, którzy dokonali zakupu, nabywając osiemdziesiąt hektarów gór i dolin w byłym wschodnim Tadżykistanie.

- Ilu zawarło już umowy? - zapytał.

- Do tej pory stu dziesięciu. Mają różne preferencje, jeśli chodzi o lokalizację, ale najczęściej decydują się na Samarkandę lub jej okolice.

- Blisko źródeł władzy. Samarkanda i Taszkient wkrótce staną się światowymi centrami finansów.

Samochód opuścił lotnisko i ruszył czterokilometrową drogą do miasta. Kolejnym ulepszeniem będzie budowa nowego

portu lotniczego. Trzech członków Ligi już przygotowało plany bardziej nowoczesnego lotniska.

- Jaki jest cel tej wizyty? - zapytał Kamil. - Pan O'Conner nie był zbyt rozmowny.

- Dziękujemy za wiadomość o wyjeździe Zowastiny. Wiesz może, dlaczego poleciała do Wenecji?

- Nic nie powiedziała, tylko to, że wkrótce wraca.

- Więc jest teraz w Wenecji i nie wiadomo, co tam robi.

- A jeśli odkryje, że ty tutaj spiskujesz - powiedział Kamil - wszyscy będziemy martwi. Pamiętaj, że nie istnieje żadna obrona przed jej zarazkami.

Minister spraw zagranicznych Federacji był przedstawicielem nowego gatunku polityków, którzy pojawili się wraz z jej powstaniem. I choć Zowastina była pierwszą premier Federacji, nie będzie przecież ostatnią osobą na tym stanowisku.

- Potrafię neutralizować jej zarazki.

Azjatyckie rysy ministra rozciągnęły się w uśmiechu.

- Możesz ją zabić i w ten sposób zakończyć sprawę?

Vincenti potrafił docenić czystą ambicję.

- To byłoby nierozsądne.

- Więc jaki masz plan?

- Lepszy.

- Czy Liga stanie po twojej stronie?

- Rada Dziesięciu popiera wszystkie moje działania.

Kamil skrzywił się.

- Nie wszystkie, mój przyjacielu. Przecież wiem. Ten ostatni zamach. To byłeś ty. Nie miałem wątpliwości. I przehandlowałeś tego zamachowca. Inaczej nie byłaby tak dobrze przygotowana. - Zawahał się. - Zastanawiam się, czy mnie też przehandlujesz?

- Chcesz zająć jej miejsce?

- Wolę żyć.

Vincenti wyjrzał przez okno na płaskie dachy, błękitne kopuły i zgrabne szczupłe minarety. Samarkanda leżała w niecce otoczonej przez góry. W nocy nie było widać mglistego smogu, który nieustannie okrywał starożytne miasto. W oddali światła

fabryk tworzyły niewyraźną poświatę. Fabryki, które kiedyś zaopatrywały w gotowe wyroby Związek Radziecki, teraz wytwarzały produkt narodowy brutto Federacji. Liga już zainwestowała miliardy w ich modernizację. A to dopiero początek. Więc musiał to wiedzieć.

- Jak bardzo chcesz zostać premierem?

- To zależy. Czy twoja Liga może sprawić, że tak się stanie?

- Nie boję się jej zarazków. I ty też nie powinienes.

- Och, mój mężny przyjacielu. Widziałem zbyt wielu jej wrogów umierających gwałtowną śmiercią. To zdumiewające, że nikt nie zwrócił na to uwagi. Ale jej choróbska świetnie się sprawdzają. Zwykle przeziębienie albo grypa, które okazują się śmiertelne.

Choć urzędnicy Federacji, w tym sama Zowastina, nienawidzili wszystkiego, co sowieckie, brali przykład ze swoich skorumpowanych poprzedników. I dlatego Vincenti zawsze był oszczędny w słowach, lecz hojny w obietnicach.

- Bez ryzyka niczego nie można osiągnąć.

Rewin wzruszył ramionami.

- To prawda. Ale czasami ryzyko jest zbyt duże.

Vincenti spoglądał na Samarkandę. Takie stare miasto, znane już w piątym wieku przed naszą erą. Miasto Cieni, Ogród Duszy, Klejnot Islamu, Serce Świata. Stolica biskupstwa przed nadejściem islamu i Rosjan. Dzięki Sowiетom położony dwieście kilometrów na północny wschód Taszkient stał się większy i bogatszy. Ale to Samarkanda pozostała duszą regionu.

Vincenti spojrział na Kamila Rewina.

- Sam muszę podjąć ryzykowną decyzję. Wkrótce kończy się moja kadencja w Radzie Dziesięciu. Jeśli mamy zamiar to zrobić, musimy to zrobić teraz. Pora, żebyś zdecydował, jak powiadają tam, skąd pochodzę: wóz albo przewóz. Wchodzisz w to czy nie?

- Pewnie nie dożyłbym jutra, gdybym powiedział, że nie. Wchodzę.

- Cieszę się, że się rozumiemy.

- I co masz zamiar zrobić? - zapytał minister.

Vincenti znów zwrócił wzrok na miasto. Na jednym z setek meczetów, które dominowały w krajobrazie Samarkandy, wypisane ozdobną arabską kaligrafią litery o co najmniej metrowej wysokości głosiły: „Bóg jest nieśmiertelny”. Mimo swej skomplikowanej historii Samarkanda wciąż emanowała atmosferą bezbarwnej instytucjonalnej powagi, wywodzącą się z kultury, która dawno temu straciła resztki wyobraźni. Zowastina miała chyba zamiar wyleczyć tę dolegliwość. Jej wizja była wielka i klarowna. Skłamał, mówiąc Stephanie Nelle, że historia nie jest jego mocną stroną. Tak naprawdę to właśnie ona była jego celem. Miał jednak nadzieję, że nie popełnia błędu, pragnąc tchnąć życie w przeszłość.

Nieważne. Jest zbyt późno, żeby się wycofać.

Spojrzał więc na współpiskowca i szczerze odpowiedział na jego pytanie:

- Zmienić świat.

## CZTERDZIEŚCI JEDEN

### TORCELLO

VIKTOR INTENSYWNIE MYŚLAŁ. ŻÓŁW KONTYNUOWAŁ SWÓJ OBCHÓD na parterze muzeum, pozostawiając za sobą cuchnący ślad. Viktor pomyślał o próbie wyważenia drzwi razem z Rafaelem, ale znając grubość drewna i belki na zewnątrz, wiedział, że nic by to nie dało.

Wyglądało na to, że okna stanowiły jedyną drogę na zewnątrz.

- Weź jeden z pakietów - powiedział do Rafaela, a jego wzrok obiegił salę. Zdecydował się na okna po lewej.

Rafael podniósł jedną z plastikowych toreb z podłogi.

Grecki ogień powinien na tyle osłabić stare kute żelazo wraz ze sworzniami, które mocowały kraty do zewnętrznej ściany, by byli w stanie je sforsować. Wyciągnął jeden z pistoletów, które odebrali w magazynie, i już miał strzelić w szybę, gdy nagle po drugiej stronie sali rozległ się dźwięk tłuczonego szkła.

Ktoś strzelił w okno z zewnątrz.

Viktor przykucnął, podobnie jak Rafael, żeby poczekać, co stanie się dalej. Żółw dalej rytmicznie pełzał, zatrzymując się i ruszając ponownie przy napotkaniu przeszkody. Viktor nie miał pojęcia, ilu ludzi jest na zewnątrz i czy niebezpieczeństwo nie zagraża im także z pozostałych trzech okien.

Poczuł, że sytuacja wymyka im się spod kontroli. Jedno było pewne. Żółwia trzeba powstrzymać. Dzięki temu zyskają trochę czasu.

Tyle że nadal nie będą wiedzieli, co się dzieje.





CASSIOPEIA WEPCHNEŁA PISTOLET Z POWROTEM ZA PASEK I WZIĘŁA DO ręki łuk z włókna szklanego, który wyjęła z torby. Thorvaldsen nie pytał, dlaczego chce łuk i szybkie strzały, a ona wcale nie miała pewności, czy ta broń okaże się przydatna.

Ale teraz na pewno się przyda.

Stała trzydzieści metrów od muzeum, ukryta przed deszczem w przedsionku bazyliki. Po drodze z drugiej strony wyspy zatrzymała się w centrum i wzięła jedną ze starych lamp naftowych, które oświetlały nabrzeże przy restauracji. Zauważyła je już wcześniej, gdy byli tu z Malone'em, i między innymi dlatego poprosiła Thorvaldsena o łuk. Potem znalazła trochę szmat w koszu w pobliżu jednego z kramów. Gdy złodzieje wewnątrz muzeum zajmowali się swoim zadaniem, ona przygotowała cztery strzały, owijając paski materiałów wokół metalowych czubków i nasączając je naftą z lampy.

Zapałki zdobyła podczas kolacji z Malone'em, po prostu wzięła kilka pudełek z tacy w toalecie.

Zapaliła nasączony naftą materiał na dwu strzałach, wzięła jedną z nich, a potem ostrożnie napięła łuk. Zamierzała trafić w okno na parterze, którego szybę właśnie roztrzaskała kulami. Skoro Viktor chciał ognia, to właśnie go dostanie.

Łucznictwo trenowała od dziecka. Nigdy nie polowała, odrzucało ją na samą myśl, ale regularnie strzelała do tarczy w swoim francuskim majątku. Nieźle jej szło, zwłaszcza na spore odległości, więc trzydzieści metrów do okna ponad placem nie stanowiło problemu. Same kraty też nie powinny w niczym przeszkadzać. Były zbyt rzadkie, więcej powietrza niż żelaza.

Napięła cięciwę.

- Za Ely'ego - szepnęła.



VIKTOR ZOBACZYŁ, JAK SMUGA PŁOMIENIA WPADA PRZEZ POZBAWIONE szyby okno i rozbija się na wysokiej szklanej płycie, która stanowiła podporę dla jednego z

eksponatów parteru. Cokolwiek to było, rozbiło szkło, które rozsypało się po podłodze, niosąc za sobą ogień. Żółw już przeszedł przez tę część sali, co potwierdził ryk powstającego greckiego ognia.

Żółc i pomarańcz natychmiast przekształciły się w jaskrawy błękit, a podłoga zaczęła płonąć.

A pakiety?

Viktor zobaczył, że Rafael uświadomił sobie to samo. Rozłożył cztery sztuki. Dwie na szklanych gablotach i dwie na podłodze. To właśnie jedna z nich dała o sobie znać kaskadą gwałtownie narastających płomieni.

Viktor skulił się pod jedną z pozostałych gablot, szukając osłony przed gorącym.

- Chodź tutaj - krzyknął do Rafaela.

Partner podbiegł do niego. Połowa parteru już stała w ogniu. Podłoga, ściany i wyposażenie płonęły. Tam, gdzie się schowali, ogień jeszcze nie dotarł, ale tylko dlatego, że nie było tam mikstury. Viktor jednak wiedział, że to potrwa zaledwie kilka chwil. Schody prowadzące na górę zaczynały się po jego prawej stronie, a droga była wolna. Tyle że piętro wcale nie uchroni ich przed ogniem, bo pożar ogarnie je od spodu.

Rafael przysunął się do niego.

- Żółw. Widzisz go gdzieś?

Viktor zrozumiał. Automat był wyposażony w czujnik ciepła i zaprogramowany tak, by eksplodować, gdy temperatura osiągnie ustalony poziom.

- Na ile stopni był ustawiony?

- Za mało. Chciałem, żeby ten budynek szybko spłonął.

Viktor przeszukał wzrokiem płomień. Nagle dojrzał żółwia, wciąż kursującego po ogarniętej płomieniem podłodze, który przypominał teraz małego zięjącego ogniem smoka, bo każdy wytrysk mikstury powodował wybuch płomieni.

Po drugiej stronie sali ponownie rozległ się dźwięk tłuczonego szkła.

Trudno było stwierdzić, czy przyczyną było gorąco czy kule.

Żółw przesunął się prosto na nich, wyłonił się z płomieni i odnalazł fragment podłogi, który jeszcze nie zajął się ogniem.

Rafael wstał i zanim Viktor zdołał go powstrzymać, podbiegł do automatu. Musiał go zdeaktywować, żeby wyłączyć zadany program. To był jedyny sposób.

Płonąca strzała wbiła się w pierś Rafaela.

Viktor skoczył na nogi i już miał pobiec partnerowi na pomoc, gdy dostrzegł, że żółw chowa swój lejek i zatrzymuje się.

Doskonale wiedział, co się teraz stanie.

Rzucił się w stronę schodów i pomknął w górę, przeskakując metalowe podesty.

Potknął się i na piętro wdrapał się w pośpiechu na kolanach.

Żółw eksplodował.



CASSIOPEIA NIE MIAŁA ZAMIARU TRAFIĆ W JEDNEGO ZE ŻŁODZIEI, ale mężczyzna pojawił się w oknie tuż po tym, jak puściła cięciwę. Widziała, jak płonąca strzała uderza go w pierś, a jego ubranie zajmuje się ogniem. A potem olbrzymia kula ognia pochłonęła wnętrze muzeum, panujące wewnątrz gorąco wylało się przez pozbawione szyb okno, a reszta szyb popękała z hukiem.

Cassiopeia przypadła do mokrej posadzki.

Płomienie ognia lizały nocne powietrze przez pozbawione szyb okna.

Cassiopeia wyszła z przedsionka bazyliki i zajęła pozycję naprzeciwko muzealnej dzwonnicy. Nie żył co najmniej jeden ze złodziei. Nie wiedziała który, ale to nie miało znaczenia.

Wyprostowała się i zbliżyła do frontu budynku, obserwując, jak płonie stworzone przez nią więzienie.

Była gotowa wystrzelić kolejną ognistą strzałę.

## CZTERDZIEŚCI DWA

### WENECJA

ZOWASTINA STAŁA OBOK NUNCJUSZA. JEJ SAMOŁOT WYLĄDOWAŁ godzinę temu. Monsignore Michener czekał na nią na płycie lotniska. Ona, Michener i jej dwóch ochroniarzy przyłączyli się do śródmieścia prywatną taksówką wodną. Nie mogli skorzystać z północnego wejścia do bazyliki, od strony Piazzetta dei Leoncini, tak jak pierwotnie ustalono. Znaczna część placu Świętego Marka została otoczona kordonem policyjnym z powodu jakiejś strzelaniny, jak jej wyjaśnił nuncjusz. Poszli więc boczną uliczką, na tył bazyliki, i weszli do kościoła przez biuro diecezji.

Nuncjusz papieski wyglądał dziś inaczej niż wczoraj, czarną sutannę i koloratkę zastąpiło zwykłe ubranie. Papież najwyraźniej starał się, żeby jej wizyta faktycznie nie zwracała uwagi.

Stała teraz we wnętrzu olbrzymiej świątyni, której sufit i ściany rozświetlały złote mozaiki. Wyraźnie bizantyjskie wpływy, jakby bazylika powstała w Konstantynopolu, a nie we Włoszech. U góry wznosiło się pięć kopuł. Kopuła Zesłania Ducha Świętego, Świętego Jana, Świętego Leonarda, Proroków oraz ta, pod którą teraz stała, czyli kopuła Wniebowstąpienia. Ciepła poświata rzucana przez strategicznie rozmieszczone oświetlenie sprawiła, że Zowastina musiała w duchu przyznać, że ten kościół zasługuje na swoją popularną nazwę - Złota Bazylika.

- Nieźle to wygląda, prawda? - zapytał Michener.

- Świadczy o tym, co mogą osiągnąć ludzie religii i ludzie interesu, gdy połączą swe siły. Wenecyjscy kupcy okradali cały świat. A to najlepszy przykład ich łupiestwa.

- Zawsze jest pani taka cyniczna?

- Sowietci nauczyli mnie, że świat to niezbyt przyjemne miejsce.

- A czy pani jakoś dziękuje swoim bogom?

Uśmiechnęła się. Ten Amerykanin studiował jej dossier. Nigdy wcześniej nie rozmawiali o jej wierzeniach.

- Mogę polegać na swoich bogach tak samo, jak pan na swoim.

- Mieliliśmy nadzieję, że być może będzie pani skłonna przemyśleć swoje pogaństwo.

Obruszyła się na tę łatkę. Samo słowo sugerowało, że wiara w wielu bogów jest gorsza od wiary w jednego. Zowastina tak nie uważała. W przeszłości wiele kultur też było tego zdania, o czym nie omieszkła wspomnieć.

- Moja wiara doskonale mi służy.

- Nie chodziło mi o to, że jest błędna. Tylko że my moglibyśmy zaoferować pewne nowe możliwości.

Po dzisiejszej nocy Kościół katolicki nie będzie jej już potrzebny. Zezwoli mu na pewne ograniczone działania na terenie Federacji, tylko tyle, by zaniepokoiło to radykalnych muzułmanów, ale nigdy nie dopuści, by organizacja zdolna do stworzenia i uchronienia przez wieki czegoś tak wspaniałego, co ją teraz otacza, zapuściła korzenie na jej terytorium.

Ruszyła w stronę głównego ołtarza, ukrytego za ozdobną i wielobarwną ścianą tęcza, która niezwykle przypominała ikonostas. Słyszała, że przy jej dalekim, jasno oświetlonym końcu toczą się jakieś prace.

- Przygotowują się do otwarcia sarkofagu. Zdecydowaliśmy, że zwrócimy dłoń, ramię lub jakąś inną ceną relikwię, którą łatwo oddzielić.

Nie mogła się powstrzymać.

- Nie dostrzegacie śmieszności tej sytuacji?

Michener wzruszył ramionami.

- Jeśli to zadowoli Egipcjan, to co to szkodzi?

- A co ze świętością ciała? Wasza religia nieustannie o tym naucza. A jednak najwyraźniej nie ma nic złego w otwarciu czyjegoś grobu, wyjęciu części szczątków i oddaniu ich komuś.

- To godne pożałowania, ale konieczne.

Gardziła jego hipokryzją.

- To właśnie podoba mi się w pańskim Kościele. Potrafi być bardzo elastyczny, jeśli to konieczne.

Rozejrzała się po opustoszałej nawie, ale większość kaplic, ołtarzy i wnęk kryła się w głębokim cieniu. Jej dwaj ochroniarze stali w odległości zaledwie kilku metrów. Zowastina przyjrzała się marmurowej posadzce, która dorównywała urodą mozaice na ścianach. Mnóstwo różnobarwnych motywów geometrycznych, kwiatowych i zwierzęcych oraz charakterystyczne fale, stworzone celowo, jak twierdzili niektórzy, czy też raczej powstałe z powodu słabości fundamentów.

Przypomniała sobie słowa Ptolemeusza: „A ty, łowco przygód, jako że mój nieśmiertelny głos, choć odległy, wypełnia twe uszy, wysłuchaj mych słów. Pożegłuj do stolicy założonej przez ojca Aleksandra, gdzie na straży stoją mędracy”.

Choć Ptolemeusz z pewnością uważał się za sprytnego, czas rozwiązał tę część zagadki. Za Aleksandra Wielkiego w Egipcie rządził faraon Nektanebo. Gdy Aleksander był młodym chłopcem, najazd Persów zmusił faraona do ucieczki za granicę. Egipcjanie mocno wierzyli, że Nektanebo pewnego dnia powróci i wyrzuci Persów z ich kraju. I dziesięć lat po jego porażce tak się mniej więcej stało, kiedy przybył Aleksander, a Persowie natychmiast poddali się i opuścili Egipt. By uczcić swego wyzwoliciela i uczynić jego obecność łatwiejszą do zaakceptowania, Egipcjanie zaczęli opowiadać o tym, że Nektanebo na początku swoich rządów wyruszył w podróż do Macedonii w przebraniu maga i tam obcował z Olimpias, matką Aleksandra. To Nektanebo, a nie Filip, miał być jego ojcem. Były to kompletne bzdury, ale na tyle utrwalone, że pięćset lat później trafiły do *Romansu o Aleksandrze*, interesującej fikcji historycznej, którą wielu historyków cytowało jako rzekomo wiarygodne źródło. Podczas swego panowania jako ostatni faraon Egiptu Nektanebo przeniósł stolicę do Memfis, co wyjaśniało, gdzie znajduje się „stolica założona przez ojca Aleksandra”.

Kolejny fragment, „gdzie na straży stoją mędracy”, potwierdzał

ten trop.

W świątyni Nektanebo w Memfis stały w półkolu wyrzeźbione z piaskowca postaci jedenastu greckich filozofów i poetów. Centralne miejsce przypadło Homerowi, którego Aleksander uwielbiał. Znalazł się tam też Platon, nauczyciel Arystotelesa, który z kolei uczył Aleksandra, oraz inni słynni Grecy, z którymi Aleksander był blisko związany. Obecnie pozostały jedynie resztki owych rzeźb, ale wystarczy wiedza, że kiedyś istniały.

Ptolemeusz pochował ciało, które uważał za zwłoki Aleksandra, w świątyni Nektanebo. Pozostało ono tam do śmierci Ptolemeusza, kiedy to jego syn przeniósł je na północ do Aleksandrii.

„Pożegluj do stolicy założonej przez ojca Aleksandra, gdzie na straży stoją mędrcy”.

Jedź na południe do Memfis i świątyni Nektanebo.

Zowastina przywołała z pamięci kolejny wers zagadki.

„Dotknij najskrytszej istoty złotej iluzji”.

I uśmiechnęła się.

## CZTERDZIEŚCI TRZY

### TORCELLO

VIKTOR PRZYPADŁ PŁASKO DO SCHODÓW I UNIÓSŁ RAMIĘ, BY OSŁONICЬ twarz przed falą niesamowitego gorąca, która wylewała się przez otwór drzwiowy parteru. Żółw zareagował na wzrost temperatury i dokonał automatycznego samozniszczenia, tak jak został zaprogramowany. Rafael z pewnością już nie żył. Początkowa temperatura greckiego ognia jest niezwykle wysoka, wystarcza, by zmiękczyć metal i stopić kamień, ale później rośnie jeszcze bardziej. Ludzkie ciało nie ma najmniejszych szans. Po Rafaelu wkrótce pozostanie sam popiół, tak jak miało się to stać z tamtym mężczyzną w kopenhaskim muzeum.

Viktor odwrócił się.

Od szalejącego ognia dzieliły go nieco ponad trzy metry.

Zrobiło się nieznośnie gorąco.

Viktor pośpieszył na górę.

Stary budynek muzeum został wzniesiony w czasach, gdy strop parteru służył jednocześnie jako podłoga piętra. Sufit poniżej stał już cały w płomieniach. Jednym z celów eksplozji żółwia było rozszerzenie zasięgu niszczycielskiego ognia. Skrzywienie i jęki desek podłogi na piętrze potwierdzały, że są od spodu trawione ogniem. Ciężar trzech gablot i innych wielkogabarytowych eksponatów nie pomógł sprawie. Choć płomienie nie pojawiły się jeszcze na piętrze, Viktor wiedział, że nie powinien wchodzić na podłogę. Na szczęście klatkę schodową, gdzie się ukrył, zbudowano z kamienia.

Na ścianie kilka stóp od niego znajdowało się podwójne okno wychodzące na miejski placyk. Postanowił zaryzykować i delikatnie stąpając i przytrzymując się zewnętrznej ściany, podszedł do okna i wyjrzał przez szybę.





CASSIOPEIA DOSTRZEĞŁA w oknie twarz. natychmiast opuściła łuk, chwyciła za broń i dwukrotnie wystrzeliła.



VIKTOR Z POWROTEM UKRYŁ się na klatce schodowej, gdy szyba rozpadała się na drobne odłamki. Chwycił za pistolet i przygotował się do oddania strzałów. Po sylwetce rozpoznał, że osoba, która do niego strzelała, to kobieta. Trzymała w ręku łuk, ale szybko zamieniła go na pistolet.

Zanim mógł skorzystać z przewagi, jaką zapewniała mu pozycja na piętrze, płonąca strzała minęła kute z żelaza kraty i przeleciała przez pozbawione szyb okno. Wbiła się w tynk ściany po drugiej stronie sali. Na szczęście na tym poziomie żółw niczego nie zdążył rozprysnąć. Potencjalny problem stanowiły tylko dwa pakiety z greckim ogniem, jeden na podłodze, a drugi wewnątrz okradzionej gabloty.

Musiał coś z tym zrobić.

Wziął przykład z napastniczki i strzelił w okno, które wychodziło na tył budynku.



CASSIOPEIA USŁYSZAŁA JAKIEŚ głosy po swojej lewej stronie, tam gdzie znajdowały się restauracja i zajazd. Strzały z pewnością zwróciły uwagę gości. Zauważyła ciemne postaci biegnące ścieżką od strony centrum, szybko zeszła z placyku i z powrotem ukryła się w przedsionku bazyliki.

Wypuściła ostatnią płonąca strzałę, mając nadzieję, że również piętro stanie w ogniu. W blasku płomieni od razu rozpoznała w oknie twarz Viktora.

Na placyku pojawili się jacyś ludzie. Jeden z nich rozmawiał przez komórkę. Na wyspie nie było komisariatu policji, co dawało jej czas. A Viktor z pewnością nie liczył na pomoc przypadkowych ludzi. Zwłaszcza że na parterze znajdowały się zwłoki.

Cassiopeia postanowiła się wycofać.



VIKTOR POPATRZYŁ PONAD deskami z twardego drewna na pakiet greckiego ognia leżący na podłodze. Uznał, że zdecydowana akcja będzie najlepsza, podszedł więc szybkim krokiem, chwycił pakiet i ruszył do okna, którego szyby właśnie usunął.

Deski wytrzymały jego ciężar.

Położył pakiet na zewnątrz na fragmencie kraty w kształcie litery C.

Ze środka podłogi dobiegły go jęki.

Przypomniał sobie, że pod spodem są jeszcze belki poprzeczne, ale z pewnością z każdą chwilą stawały się coraz słabsze. Jeszcze kilka kroków w stronę strzały wbitej w ścianę i już miał ją w garści. Szmaty owinięte wokół jej czubka wciąż się paliły. Viktor przesunął się w stronę schodów, a potem rzucił strzałą od dołu w stronę okna. Upadła na pakiet, a płomienie migotały kilka centymetrów od plastikowego opakowania. Wiedział, że za kilka chwil folia się rozpuści.

Ukrył się na klatce schodowej.

Nagły świst i wybuchły kolejne płomienie.

Wyjrzał zza framugi i zobaczył, że kute żelazo płonie. Na szczęście ogień wybuchł przede wszystkim na zewnątrz. Framuga okna nie zajęła się.

Piętro zaczynało się zapadać, ogień pochłonął gablotę z drugim pakietem. Substancja wewnątrz zapaliła się, a chmura gorąca uderzyła w strop. Museo di Torcello już długo nie postoi.

Viktor podbiegł do okna.

Chwycił się gzymsu, który szedł nad górną framugą, podciągnął całe ciało i zaczął kopać obiema nogami w płonące kraty.

Ani drgnęły.

Kolejne podciągnięcie i kolejne kopnięcia. Sił dodała mu adrenalina, której dodatkowy napływ poczuł, gdy z powodu gorąca coraz trudniej było mu oddychać.

Kraty zaczęły ustępować.

Jeszcze kilka kopnięć i jeden róg odłamał się od sworznia, który mocował go do ściany.

Kolejne dwa uderzenia i cała krata wypadła na zewnątrz.

W podłodze zapadały się kolejne deski.

Ostatnia gabłota i resztki jakiejś kolumny spadły na parter, kłębiąc się w ogniu niczym kawałki mięsa we wrzącym gulaszu.

Viktor wychylił się na zewnątrz.

Od ziemi dzieliły go trzy lub cztery metry. Z okien parteru wylewały się płomienie.

Viktor skoczył.



MALONE TRZYMAŁ KURS na północny wschód. kierując się do Torcello, dodawał tyle gazu, na ile pozwalały wzburzone wody laguny. Dostrzegł na horyzoncie pulsującą poświatę.

Pożar.

W górę tryskały słupy dymu, a wilgotny wiatr zamieniał je w szare smugi. Dotrą dopiero za dziesięć, piętnaście minut.

- Wygląda na to, że się spóźniliśmy - powiedział do Stephanie.



VIKTOR TRZYMAŁ się tyłów budynku muzeum. słyszał krzyki i głosy dobiegające znad żywopłotu, oddzielającego dziedzińiec od ogrodu i sadu, za którymi znajdował się kanał oraz jego motorówka.

Przedarł się przez żywopłot i wszedł do ogrodu.

Na szczęście wczesna wiosna sprawiała, że nie był jeszcze gęsto zarośnięty. Viktor znalazł ścieżkę i ruszył w stronę betonowego doku.

A potem wskoczył do łodzi.

Odwiązał cumę i odepchnął się od brzegu. Nikt go nie widział i nikt za nim nie ruszył. Motorówka dryfowała w przypominającym rzekę kanale, prąd pchał ją obok bazyliki i muzeum, z powrotem do północnego wyjścia na lagunę. Począł, aż oddali się od doku na sporą odległość, i uruchomił silnik. Włączył niski bieg, obrócił dziób i powoli płynął bez świateł.

Co najmniej pięćdziesiąt metrów dzieliło go od każdego brzegu kanału - a raczej błota, płycizn i trzcin. Spojrzał na zegarek. 23:20.

U ujścia kanału dodał gazu i wypłynął na wzburzoną wodę. W końcu włączył światła i ruszył wokół Torcello, by dopłynąć do głównego kanału, który doprowadzi go do Wenecji i placu Świętego Marka.

Nagle usłyszał jakiś hałas i odwrócił się.

Z kabiny na rufie wyszła kobieta.

Z bronią w ręku.

## CZTERDZIEŚCI CZTERY

### **SAMARKANDA, FEDERACJA ŚRODKOWOAZJATYCKA, GODZINA 2:30**

VINCENTI PRZYSUNĄŁ KRZESŁO BLIŻEJ DO STOŁU, KIEDY KELNER postawił przed nim zamówioną potrawę. Większość hoteli w tym mieście przypominała ponure grobowce, w których prawie nic nie funkcjonowało tak jak należy. Ale Intercontinental wyróżniał się na ich tle, faktycznie oferując pięciogwiazdkowy europejski standard w połączeniu z azjatycką gościnnością, jak głosił slogan reklamowy. Vincenti był głodny po długim locie z Włoch, więc zamówił posiłek do pokoju dla siebie i dla swojego gościa.

- Przekaż Ormandowi - powiedział do kelnera - że nie podoba mi się to, że musiałem czekać na te trzy dania prawie pół godziny, zwłaszcza że uprzedzałem o swoim przybyciu. A najlepiej poproś, żeby przyszedł tutaj, jak skończymy jeść, i wtedy sam mu to powiem.

Kelner skinął głową i wyszedł z pokoju.

Arthur Benoit, który siedział naprzeciwko Vincentiego, rozłożył serwetę na kolanach.

- Dlaczego jesteś dla niego taki surowy?

- To twój hotel. Dlaczego ty go nie ochrzaniłeś?

- Bo nie jestem zdenerwowany. Przygotowali posiłek tak szybko, jak się dało.

Vincentiego to nie obchodziło. Sytuacja nie wyglądała dobrze i był poirytowany. O'Conner pojechał sprawdzić, czy wszystko gotowe, a on postanowił zjeść, odpocząć i załatwić parę interesów podczas tego późnego posiłku.

Benoit chwycił za widelec.

- Przypuszczam, że nie zaprosiłeś mnie tutaj tylko ze względu

na przyjemność przebywania w moim towarzystwie. Przejdźmy od razu do rzeczy, Enrico. Czego chcesz?

Vincenti zaczął jeść.

- Potrzebuję pieniędzy, Arthurze. Czy raczej Philogen Pharmaceutique potrzebuje pieniędzy.

Benoit odłożył widelec i łyknął wina.

- Powiedz, ile potrzebujesz, zanim zaczniesz mnie boleć żołądek.

- Miliard euro. Może półtora.

- Tylko tyle?

Vincenti uśmiechnął się, słysząc sarkazm. Benoit zbil majątek na bankach i wciąż kontrolował wiele z nich w Europie i Azji. Od dawna był miliarderem i członkiem Ligi Weneckiej. Działalność hotelarską traktował jako hobby. Ostatnio zbudował Intercontinental w Samarkandzie, by obsługiwać napływ członków Ligi oraz innych przyzwyczajonych do luksusu gości. Sam również przeprowadził się do Federacji, jako jeden z pierwszych członków Ligi. Już kilkakrotnie zapewnił finansowanie niezwykle dynamicznego rozwoju Philogen Pharmaceutique.

- Zakładam, że chcesz pożyczkę poniżej międzynarodowych stawek.

- Oczywiście. - Vincenti wsunął pełen widelec nadziewanego bażanta do ust, rozkoszując się jego wyrazistym smakiem.

- Jak bardzo poniżej?

Vincenti usłyszał sceptycyzm w głosie Benoit.

- Dwa punkty procentowe.

- Może ja ci po prostu dam te pieniądze?

- Arthurze, pożyczyłem od ciebie miliony, spłaciłem je w terminie do ostatniego centa, z odsetkami. Więc owszem, oczekuję specjalnego traktowania.

- O ile się orientuję, masz teraz w moich bankach kilka kredytów i to sporych.

- Wszystkie są spłacane na bieżąco.

Po minie Benoit Vincenti wiedział, że tamten jest tego świadomy.

- Jaką będę miał korzyść z takiego układu?

Wreszcie zaczęli się dogadywać.

- Ile masz udziałów w Philogen?

- Sto tysięcy. Kupiłem, jak mi to zarekomendowałeś.

Vincenti nabił na widelec kolejny kęs parującego mięsa.

- Sprawdzalesz wczorajsze notowania?

- Nigdy się tym nie zajmuję.

- Sześćdziesiąt jeden, dwadzieścia pięć za akcję, poszły w górę o pięćdziesiąt procent. To naprawdę dobra inwestycja. W zeszłym tygodniu sam kupiłem prawie pięćset tysięcy nowych udziałów. - Vincenti umoczył bażanta w nadzieniu z wędzonej mozzarelli. - Oczywiście w tajemnicy.

Wyraz twarzy Benoit wskazywał na to, że zrozumiał sugestię.

- Szykuje się coś większego?

Kolega Vincentiego z Ligi był być może amatorem w branży hotelarskiej, ale bardzo lubił zarabiać duże pieniądze. Vincenti potrząsnął więc głową i stwierdził:

- Arthurze, nie wolno mi ujawniać wewnętrznych informacji.

Wstyd mi, że w ogóle zapytałeś.

Benoit uśmiechnął się na tę przyganę.

- Tutaj nie ma takich zakazów. Pamiętaj, to my tworzymy tu prawo. Więc powiedz mi, jakie masz plany.

- Nic z tego - odparł Vincenti i wstał od stołu, czekając, czy chciwość jak zwykle pokona zdrowy rozsądek.

- Na kiedy potrzebujesz tego miliarda czy półtora?

Vincenti miał pełne usta, więc wypił łyk wina.

- Najpóźniej za dwa miesiące.

Benoit zdawał się rozważać jego prośbę.

- A na jak długo chcesz je pożyczyć? Zakładając, oczywiście, że to w ogóle będzie możliwe.

- Dwa lata.

- Miliard dolarów, z odsetkami, do spłaty za dwa lata?

Vincenti nie odpowiedział. Tylko przeżuwał, pozwalając koledze ochłonać.

- Jak już wspomniałem, twoja firma ma spore długi. Komisje w moich bankach nie będą zbyt przychylnie nastawione.

Vincenti powiedział w końcu to, co jego kolega chciał usłyszeć.

- Zastąpisz mnie w Radzie Dziesięciu.

Na twarzy Benoit pojawił się wyraz zaskoczenia.

- A skąd możesz to wiedzieć? Przecież do Rady członkowie wybierani są losowo.

- Powinieneś wiedzieć, Arthurze, że nic nie dzieje się przypadkiem. Mój czas już się kończy. Twoja dwuletnia kadencja wkrótce się rozpocznie.

Vincenti wiedział, że Benoit rozpaczliwie pragnie zostać członkiem Rady. A on potrzebował tam przyjaciół. Przyjaciół, którzy byli mu coś winni. Czterej z pięciu członków, których kadencje się nie kończyły, byli już jego przyjaciółmi. A teraz właśnie zdobywał kolejnego.

- Okay - powiedział Benoit. - Ale potrzebuję kilku dni, żeby rozłożyć ryzyko na kilka moich banków.

Vincenti uśmiechnął się i wrócił do posiłku.

- Proszę bardzo. Tylko nie zapomnij zadzwonić do swego maklera.



## CZTERDZIEŚCI PIĘĆ

ZOWASTINA SPOJRZAŁA NA SWÓJ ZEGAREK MARKI LOUIS VUITTON, który otrzymała w prezencie od szwedzkiego ministra spraw zagranicznych podczas wizyty państwowej kilka lat temu. To był czarujący mężczyzna, który wręcz z nią flirtował. Odwzajemniała wtedy uprzejmości, choć tak naprawdę nie było w nim nic inspirującego. Tak samo jak w nuncjuszu papieskim, Colinie Michenerze, który sprawiał wrażenie, że cieszy go wprawianie jej w irytację. Przez ostatnie kilka chwil spacerowała z monsignore wzdłuż nawy bazyliki. Przypuszczała, że czekają, aż przygotowania przy ołtarzu zostaną ukończone.

- Dlaczego pracuje pan dla papieża? - zapytała. - Był pan sekretarzem poprzedniego papieża, a teraz jest pan tylko nuncjuszem.

- Ojciec Święty lubi angażować mnie do specjalnych zadań.

- Takich jak moja sprawa?

Skinął głową.

- Pani przypadek jest wyjątkowy.

- A niby czemu?

- Jest pani głową państwa. To chyba zrozumiałe.

Nieżyły jest, podobnie jak ten szwedzki dyplomata z francuskim zegarkiem. Szybki w myślach i słowach, lecz unikający udzielania odpowiedzi. Zowastina wskazała na jedną z masywnych marmurowych kolumn, którą na dole opasywała kamienna ławka. Była ona jednak oddzielona sznurami tak, że nikt nie mógł z niej skorzystać.

- Co to za ciemne ślady? - Zauważyła je na wszystkich kolumnach.

- Sam o to kiedyś zapytałem - odpowiedział Michener. - Setki lat wierni siedzieli na ławkach i opierali głowy o marmur. Brud

i tuszcz z włosów wsiąkały w kamień. Proszę wyobrazić sobie, ile głów trzeba było, żeby pozostawiły taki ślad.

Zowastina zazdrościła Zachodowi takich historycznych niuansów. Niestety, jej ojczyznę prześladowali najeźdźcy, z których każdy starał się zniszczyć ślady przeszłości. Najpierw Persowie, potem Grecy, Mongołowie, Turcy, a w końcu ci najgorsi, Rosjanie. Gdzieś przetrwała jakaś budowla, ale nic nie przypominało tego jaśniejącego złotem gmachu.

Stali po lewej stronie głównego ołtarza, na zewnątrz ikonostasu, a jej dwaj ochroniarze znajdowali się w zasięgu głosu. Michener wskazał na mozaikową posadzkę.

- Widzi pani te kamienie w kształcie serc?

Widziała. Małe, nierzucające się w oczy, zlewające się z otaczającymi je skomplikowanymi wzorami.

- Nikt nie wiedział, po co tu są. Ale mniej więcej pięćdziesiąt lat temu, podczas renowacji posadzki, wyjęto jeden z takich kamieni i pod spodem odnaleziono małe pudełeczko z zasuszonym ludzkim sercem. Należało do doży Francesca Erizza, który zmarł w roku tysiąc sześćset czterdziestym czwartym. Ponoć jego ciało spoczywa w kościele Świętego Marcina, ale chciał, by jego najskrytsza istota została pochowana blisko świętego patrona Wenecjan - Michener wskazał na główny ołtarz - świętego Marka.

- Zna pan określenie „najskrytsza istota”?

- Na ludzkie serce? A któż go nie zna? Starożytni uważali, że serce to siedziba mądrości, inteligencji, sama istota człowieka.

I właśnie dlatego, pomyślała Zowastina, Ptolemeusz użył tego określenia: „Dotknij najskrytszej istoty złotej iluzji”.

- Proszę pozwolić mi pokazać sobie coś jeszcze - powiedział Michener.

Przeszli przed bogato zdobioną w kwadraty, romby i ćwierćłuki ścianę tęczową z kolorowego marmuru. Za tą przegrodą kilku mężczyzn pracowało na kolanach pod ołtarzem, gdzie stał oświetlony kamienny sarkofag. Żelazna krata, która zabezpieczała go od przodu, wysoka na metr i szeroka na dwa, była właśnie usuwana.

Michener dostrzegł jej zainteresowanie i zatrzymał się.

- W roku tysiąc osiemset trzydziestym piątym podniesiono ołtarz, żeby zrobić miejsce dla świętego. I tu właśnie spoczął. Dziś sarkofag zostanie otwarty po raz pierwszy od tamtej chwili. - Nuncjusz zerknął na zegarek. - Zbliży się pierwsza. Zaraz skończę.

Zowastina przeszła za tym irytującym mężczyzną na drugą stronę bazyliki, do pogrążonego w mroku południowego transeptu. Michener zatrzymał się przed kolejną strzelistą kolumną z marmuru.

- Bazylika została zniszczona w pożarze w roku dziewięćset siedemdziesiątym szóstym - powiedział - a potem odbudowana i poświęcona w roku tysiąc dziewięćdziesiątym czwartym. Tak jak pani wspomniała, gdy byłem w Samarkandzie, w ciągu tych stu osiemnastu lat zapomniano, gdzie pochowano ciało świętego Marka. Jednakże podczas mszy konsekracyjnej nowej bazyliki, dwudziestego szóstego czerwca tysiąc dziewięćdziesiątego czwartego roku, usłyszano dochodzący z tej kolumny odgłos jakby kruszących się skał. Albo spadających kamieni. Odczuto wstrząs. Najpierw ukazała się dłoń, potem ramię, a potem całe ciało świętego. Kapłani i lud zgromadzili się wokół, był tam nawet sam doża, i wierzono wówczas powszechnie, że wraz z ponownym pojawieniem się świętego Marka powrócił spokój dla miasta i świata.

Zowastina była bardziej rozbawiona niż przejęta usłyszaną historią.

- Słyszałam tę bajkę. To wręcz cudowne, że ciało świętego pojawiło się nagle akurat w momencie, gdy nowy kościół i doża potrzebowali politycznego i finansowego wsparcia Wenecjan. Ich święty patron ujawnił się w cudowny sposób. To musiał być niezły show. Przypuszczam, że doża albo jakiś sprytny urzędnik wyreżyserował całą tę scenę. Świetny polityczny chwyt. Nawet po dziewięciu wiekach wciąż się o nim wspomina.

Rozbawiony Michener potrząsnął głową.

- Ma pani tak mało wiary.

- Skupiam się na tym, co rzeczywiste.

Wskazał na ołtarz.

- Jak Aleksander Wielki w tym grobowcu?

Irytował ją jego sceptycyzm.

- A skąd pan wie, że to nie on? Kościół nie ma pojęcia, czyje ciało przed tysiącem lat weneccy kupcy wykradli z Aleksandrii.

- Proszę mi więc powiedzieć, pani premier, skąd pani pewność?

Popatrzyła na marmurowy filar wspierający ogromny strop u góry i nie mogła powstrzymać się przed dotknięciem go i zastanowieniem się, czy opowieść o wychodzącym z niego ciele świętego nie może być prawdą.

Lubiła takie historie.

Opowiedziała więc nuncjuszowi jedną ze swoich.

*Przed Eumenesem stało ogromne zadanie. Jako osobistemu sekretarzowi Aleksandra powierzono mu zadanie o to, by król spoczął w grobie obok Hefajstiona. Od śmierci Aleksandra minęły trzy miesiące, a zmumifikowane ciało władcy wciąż pozostawało w pałacu. Większość dowódców króla już dawno opuściła Babilon i wyruszyła, by objąć swoje części imperium. Pewną trudność stanowiło znalezienie odpowiedniego ciała do zamiany, ale w wiosce niedaleko od miasta mieszkał człowiek przypominający Aleksandra wiekiem, wzrostem i figurą. Eumenes otruł go, a jeden z Egipcjan, który został skuszony obietnicą wysokiego wynagrodzenia, zmumifikował jego zwłoki. Potem Egipcjanin opuścił Babilon, lecz zabił go jeden z dwóch współników Eumenesa. Zamiana ciała nastąpiła podczas letniej burzy, która zalała miasto obfitym deszczem. Gdy ciało wieśniaka umieszczono w złotym sarkofagu, ubrano w złote szaty, a jego głowę ozdobiono koroną, nikt nie odróżniłby go od króla. Eumenes przechowywał w ukryciu ciało Aleksandra przez kilka miesięcy, aż do czasu, gdy królewski kondukt pogrzebowy wyruszył z Babilonu do Grecji z fałszywymi zwłokami. Miasto popadło wówczas w letarg, z którego nigdy się już nie otrząsnęło. Eumenes i jego dwaj współnicy opuścili je bez trudności, zabierając Aleksandra na północ, zgodnie z jego ostatnim życzeniem.*

- Więc to ciało tutaj wcale nie musi być Aleksandrem? - powiedział Michener.

- Nie przypominam sobie, żebym obiecywała jakiegokolwiek wyjaśnienia.

Uśmiechnął się.

- Nie, pani premier. Nie obiecywała pani. Powiem po prostu tylko, że podobała mi się pani opowieść.

- Była równie interesująca, jak pańska legenda o kolumnie.

Michener skinął głową.

- Prawdopodobnie obie w równym stopniu odpowiadają prawdzie.

Ale ona była innego zdania. Jej opowieść pochodziła z zapisków odkrytych na pergaminie za pomocą promieni rentgenowskich. Była zawarta w słowach, które przez stulecia pozostawały ukryte przed ludzkim okiem. Dotrzeć do nich mogła tylko nowoczesna technika. Jej opowieść nie była legendą. Aleksander Wielki nie został pochowany w Egipcie. Zabrano go w inne miejsce. Miejsce, które w końcu odkrył Ptolomeusz, pierwszy grecki faraon. Miejsce, do którego mogły ją doprowadzić zmumifikowane zwłoki znajdujące się w grobowcu dziesięć metrów obok.

Przy ścianie tęczowej pojawił się jakiś człowiek.

- Jesteśmy gotowi - powiedział do Michenera.

Nuncjusz skinął głową, a potem podszedł do niej, żeby ją odprowadzić.

- Pani premier, pora przekonać się, czyja legenda odpowiada prawdzie.

## CZTERDZIEŚCI SZEŚĆ

VIKTOR PATRZYŁ, JAK kobieta wspina się po schodkach na środkowy pokład łodzi, wciąż celując do niego z pistoletu.

- I co? Podobał ci się pożar? - zapytała.

Viktor wrzucił bieg na luz i ruszył w jej stronę.

- Ty głupia suko, zaraz ci pokażę...

Uniosła pistolet wyżej.

- Zrób to. Dawaj.

Oczy, które się w niego wpatrywały, były pełne nienawiści.

- Zabijanie to dla ciebie pestka.

- Dla ciebie też.

- A kogo to niby zabiłem?

- Może ty, a może ktoś inny z tego waszego Świętego Zastępu.

Dwa miesiące temu. W Samarkandzie. Ely Lund. Jego dom spłonął doszczętnie, to sprawka waszego greckiego ognia.

Przypomniał sobie tę misję. Wykonał ją osobiście na prośbę Zowastiny.

- Jesteś tą kobietą z Kopenhagi. Widziałem cię w muzeum, a potem przy tamtym domu.

- Kiedy próbowałeś nas zabić.

- Ty i twoi dwaj przyjaciele sami się o to prosiliście.

- Co wiesz o śmierci Ely'ego? Jesteś w końcu szefem Świętego Zastępu Zowastiny...

- Skąd to wiesz? - zapytał i od razu zrozumiał. - Moneta, którą oglądałem w tamtym domu. Zostawiłem na niej odciski palców.

- Bystrzak z ciebie.

Widział, że ona męczy się z jakimś bolesnym problemem, więc postanowił podsycić te emocje.

- Ely został zamordowany.

- To twoja sprawka?

Zauważył, że ma na ramieniu łuk i zapinany na suwak kołczan

ze strzałami. Udowodniła, że potrafi działać z zimną krwią, gdy zabarykadowała drzwi do muzeum i użyła strzał do podpalenia budynku. Postanowił więc nie naciskać zbyt mocno.

- Byłem tam.

- Dlaczego Zowastina kazała go zabić?

Łódź kołysała się na niewidocznych falach, a Viktor czuł, jak dryfują z wiatrem. Jedyнным źródłem światła był słaby blask deski rozdzielczej.

- Ty, twoi przyjaciele, ten Ely, wy wszyscy mieszacie się do spraw, które nie powinny was interesować.

- To raczej ty powinieneś zacząć się martwić. Jestem tu, żeby zabić was obu. Jeden już nie żyje. Zostałeś ty.

- I co przez to zyskasz?

- Przyjemność z patrzenia, jak umierasz.

Wyprostowała ramię z pistoletem.

I strzeliła.



MALONE WRZUCIŁ BIEG NA LUZ.

- Słyszałaś?

Stephanie też się zaniepokoiła.

- To przypominało strzał z pistoletu. I to gdzieś w pobliżu.

Wystawił głowę ponad przednią szybę i zauważył, że pożar na Torcello, około półtora kilometra od nich, rozbłysnął z nową siłą. Mgła podniosła się, pogoda najwyraźniej była tutaj zmienna, i widoczność zrobiła się znośna. Światła łodzi krzyżowały się we wszystkich kierunkach.



CASSIOPEIA WYCELOWAŁA W GRÓDŹ, a kula odbiła się kilka centymetrów od nogi Viktora.

Nasłuchiwał kolejnych dźwięków. Cisza.

Wrzucił bieg i dodał gazu.

- Ely nigdy nikogo nie skrzywdził. Dlaczego chciała jego śmierci?

- Wciąż trzymała wycelowany w niego pistolet. - Powiedz mi, dlaczego?

- Mówiła, robiąc przerwę po każdym słowie, przez zaciśnięte zęby, raczej błagając, niż grożąc.

- Zowastina to kobieta, która ma misję do spełnienia. A twój Ely jej przeszkadzał.

- Był historykiem. Jakie mógł stanowić zagrożenie? - nienawidziła samej siebie za to, że mówi o nim w czasie przeszłym.

Woda odbijała się od kadłuba, a wiatr wciąż mocno smagał pokład.

- Zdziwiłabyś się, jak łatwo przychodzi jej zabijanie.

Jego uniki tylko potęgowały jej gniew.

- Weź się do steru - patrzyła na niego z drugiej strony koła sterowego. - Ruszaj do przodu, delikatnie i powoli.

- Dokąd?

- Na plac Świętego Marka.

Odwrócił się, wrzucił bieg i nagle skrzył łódź ostro w lewo, a pokład wprost uciekł jej spod stóp. W momencie zaskoczenia, gdy walka o utrzymanie równowagi przytłumiła gotowość do oddania strzału, runął na nią.



VIKTOR WIEDZIAŁ, ŻE MUSI zabić tę kobietę. stanowiła symbol porażki. I to wielokrotnie. Wystarczało samo to, że gdyby tylko Zowastina się o niej dowiedziała, na zawsze straciłaby do niego zaufanie.

Nie wspominając o tym, co spotkało Rafaela.

Lewą ręką chwycił górną krawędź drzwi do tylnej kabiny i odbił się od pokładu, by uderzyć butami w rękę kobiety.

Uchyliła się i upadła.

Kokpit miał kilka metrów powierzchni. Po obu stronach znajdowały się wyjścia. Silniki zawyły, gdy pozbawiona pilota



Łódź walczyła z falami. Woda rozpryskiwała się na przedniej szybie. Kobieta wciąż trzymała pistolet, ale z trudem odzyskiwała równowagę.

Viktor zamachnął się i trafił ją w szczękę nasadą otwartej dłoni. Jej głowa poleciała do tyłu, uderzając o coś. Wykorzystał moment zaskoczenia, by ponownie zakręcić sterem i zmniejszyć prędkość. Bał się ruchomych mielizn i podwodnych zarośli. Torcello czaiło się w mroku po lewej, a płonące muzeum rozświetlało nocne niebo. Łódź obróciła się wśród wzburzonych fal, a kobieta chwyciła się za głowę.

Viktor postanowił zdać się na siły przyrody.

Kopniakiem zrzucił ją z pokładu łodzi.

## CZTERDZIEŚCI SIEDEM

ZOWASTINA MINEŁA ŚCIANĘ TĘCZOWĄ I WESZŁA DO PREZBITERIUM, wpatrując się we wspianą baldachim. Na czterech kolumnach z alabastru, zdobionych skomplikowanymi rzeźbieniami, oparty był masywny blok zielonego marmuru, w którym wyrzeźbiono przecinające się sklepienia. Na tle baldachimu błyszczał słynny Pala d'Oro, Złoty Ołtarz zdobiony cennymi klejnotami i emalią.

Przyjrzała się dwom częściom kamiennego sarkofagu pod głównym ołtarzem. Bezkształtna pokrywa była po prostu kamienną płytą, natomiast dolna część stanowiła elegancki prostokąt z wyrytym napisem: CORPUS DIVI MARCI EVANGELISTAE. Znała łacinę na tyle, by zrozumieć. Ciało św. Marka Ewangelisty. Dwa ciężkie żelazne pierścienie wystawały z górnej części sarkofagu. Prawdopodobnie za ich pomocą sarkofag umieszczono kiedyś na miejscu. Teraz przechodziły przez nie grube żelazne belki, a koniec każdej z nich zamocowano na hydraulicznym podnośniku.

- To prawdziwe wyzwanie - powiedział Michener. - Pod ołtarzem jest mało miejsca. Oczywiście mając ciężki sprzęt, moglibyśmy z łatwością dostać się do środka, ale na to nie mamy czasu, no i nie chcemy rozgłosu.

Przyjrzała się mężczyznom obsługującym podnośniki.

- To księża?

Michener przytaknął.

- Przydzielono ich tutaj. Pomyśleliśmy, że najlepiej zachować sprawę we własnym gronie.

- Wie pan, co jest w środku? - zapytała.

- Chodzi pani o to, czy zwłoki są zmumifikowane? - Michener wzruszył ramionami. - Od ostatniego otwarcia tego grobu minęło ponad sto siedemdziesiąt lat. Nikt tak naprawdę nie wie, co jest w środku.

Irytowało ją jego samozadowolenie. Ptolemeusz skorzystał z podmiany dokonanej przez Eumenesa i zbił polityczny majątek na zwłokach, które cały świat uważał za szczątki Aleksandra Wielkiego. Nic miała pojęcia, czy to, co zaraz zobaczy, przyniesie jej jakąkolwiek odpowiedź, ale musiała się przekonać.

Michener skinął na jednego z księży i uruchomiono podnośniki. Belki wyprostowały żelazne pierścienie na sarkofagu, a potem milimetr po milimetrze podnośniki uniosły ciężką pokrywę.

- To potężne mechanizmy - powiedział Michener. - Małe, ale potrafiłyby unieść dom.

Pokrywa unosiła się już na dwa centymetry, lecz wewnątrz sarkofagu wciąż ukryte było w mroku. Zowastina popatrzyła wysoko ponad baldachimem na jasno oświetloną kopułę absydy pokrytą mozaiką przedstawiającą postać Chrystusa.

Czterech mężczyzn wyłączyło podnośniki.

Pokrywa sarkofagu wisiała cztery centymetry ponad dolną częścią, a żelazne belki były przyciśnięte do spodu głównego ołtarza.

Wyżej już się nie dało.

Michener gestem zaprosił ją w stronę ściany tęczowej, dalej od ołtarza, i tam wyszeptał:

- Ojciec Święty stara się spełnić pani prośbę, licząc na wdzięczność. Ale bądźmy realistami. Nie ma pani zamiaru dotrzymać obietnicy.

- Nie przywykłam do tego, by mnie obrażano.

- A Ojciec Święty do tego, by go okłamywano. - Watykański dyplomata przestał cokolwiek udawać.

- Uzyskacie wstęp do Federacji, tak jak obiecałam.

- Chcemy czegoś więcej.

Teraz zrozumiała. Czekał, aż pokrywa zostanie podniesiona. Była zła, ale z powodu Karyn, Aleksandra Wielkiego i tego, co tam na nią czekało, nie miała wyboru.

- Czego chcecie?

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął złożony plik kartek.

- Przygotowaliśmy umowę konkordatową między Federacją i Kościołem. To pisemna gwarancja możliwości działania. Zgodnie z pani wczorajszą uwagą zastrzeżliśmy prawo Federacji do każdorazowego wyrażania zgody na budowę kościoła.

Zowastina rozwinęła plik i zauważyła, że konkordat został spisany po kazachsku.

- Pomyśleliśmy, że będzie łatwiej, jeśli spiszemy to w pani języku.

- Pomyśleliście, że łatwiej będzie to potem rozpowszechnić w moim języku. Mój podpis to wasze zabezpieczenie. Nie będę mogła zaprzeczyć.

Przejrzała umowę. Omawiała ona w szczegółach współpracę Kościoła rzymskokatolickiego i Federacji Środkowoazjatyckiej na rzecz „wspólnego promowania i wspierania swobody religijnej poprzez nieograniczone możliwości pracy misyjnej”. W kolejnych paragrafach zapewniano, że przemoc wobec Kościoła nie będzie tolerowana, a dokonujący jej nie unikną kary. Kolejne postanowienia mówiły o ułatwieniach w uzyskiwaniu wiz dla przedstawicieli Kościoła oraz o zakazie represji wobec nawróconych.

Zowastina popatrzyła na ołtarz. Dolna część sarkofagu wciąż pozostawała w mroku. Nawet z odległości dziesięciu metrów nie mogła dojrzeć, co jest w środku.

- Dobrze byłoby mieć pana w swojej drużynie - powiedziała.

- Podoba mi się praca dla Kościoła.

Spojrzała na zegarek. Za dziesięć pierwsza. Viktor powinien już tu być. Nigdy się nie spóźniał. Można było na nim polegać. Rozejrzała się po nawie, popatrzyła na górną część zachodniego przedsionka, w którym oświetlone były tylko połączane sklepienia. Mnóstwo pogrążonych w mroku kryjówek. Zastanawiała się, czy kiedy wybije pierwsza, a ona będzie miała te swoje trzydzieści minut, faktycznie będzie tu sama.

- Jeśli podpisanie konkordatu stanowi problem - powiedział Michener - to po prostu zapomnijmy o całej sprawie.

Wczoraj użyła wobec niego tych samych słów.

Zmuszając go do pokazania kart.

- Ma pan długopis?

## CZTERDZIEŚCI OSIEM

MALONE DOSTRZEĞŁ PARĘ czerwonych świateł łodzi oddalanej o mniej więcej pół kilometra, które śmigały bezładnie po czarnej wodzie, jakby motorówką nikt nie kierował.

- Widzisz to? - zapytał Stephanie, wskazując jej kierunek.

Stała po drugiej stronie steru.

- To poza wyznaczonym kanałem.

Pomyślał to samo. Jego motorówka parła do przodu. Zbliżyli się do dryfującej łodzi, byli od niej oddaleni o jakieś dwieście metrów. Bez wątpienia tamta łódź, prawie tego samego kształtu i rozmiaru co ich, zbliżała się do mielizn. Nagle w słabym blasku swojej sterówki dostrzegł, że ktoś wpada do wody.

Na drugiej łodzi pojawiła się druga postać i w nocnej ciszy rozległy się trzy strzały.

- Cottonie... - zaczęła Stephanie.

- Już tam płyniemy.

Skrecił ster w lewo i popłynęli prosto w kierunku świateł. Druga łódź nabrała tempa. Malone wbił się w wodę i posłał wzburzone fale w stronę drugiej motorówki. Woda uderzyła o kadłub łodzi, która minęła ich w odległości dwudziestu metrów. Przy sterze mignął im ciemny zarys postaci z pistoletem w wyciągniętej ręce.

- Padnij! - krzyknął do Stephanie.

Najwyraźniej dostrzegła niebezpieczeństwo, bo już przywarła do mokrego pokładu. Skulił się przy niej, a dwie kule gwizdnęły obok, rozbijając okno w kabinie na rufie.

Skoczył na nogi i odzyskał kontrolę nad sterem. Druga łódź szybko oddalała się w kierunku Wenecji. Powinien ją ścigać, ale myślał o tej osobie w wodzie.

- Znajdź latarkę - powiedział, zwalniając i kierując motorówkę w miejsce, gdzie wcześniej była druga łódź.

Stephanie potruchtała do przedniej kabiny. Malone słyszał, jak grzebie w schowkach. Potem pojawiła się na pokładzie z latarką w ręku.

Malone wrzucił na luz.

Stephanie rozświetliła powierzchnię wody strumieniem światła. Malone usłyszał w oddali wycie syren i dostrzegł trzy łodzie na sygnale, które płynęły wzdłuż brzegu jednej z wysepek, kierując się w stronę Torcello.

Włoscy policjanci mieli tej nocy pełne ręce roboty.

- Widzisz coś? - zapytał. - Ktoś wpadł do wody.

Musiał uważać, żeby nie najechać na tego kogoś łodzią, a to nie było łatwe w panujących wokół ciemnościach.

- Tam! - krzyknęła Stephanie.

Podbiegł do niej i zauważył, że ktoś walczy z falami. Wystarczył ułamek sekundy, by rozpoznał, że to Cassiopeia. Zanim zdążył zareagować, Stephanie rzuciła latarkę w bok i wskoczyła do wody.

Wrócił do steru, by zapanować nad łodzią.

Gdy z powrotem znalazł się po drugiej stronie pokładu, Stephanie i Cassiopeia już podpłynęły. Wyciągnął dłoń, chwycił Cassiopeię i wyciągnął ją z wody.

Położył jej bezwładne ciało na pokładzie.

Była nieprzytomna.

Do ramienia miała przywiązany łuk i kołczan ze strzałami. Z całą pewnością kryła się za tym jakaś ciekawa historia. Przewrócił Cassiopeię na bok.

- Wypluj wodę. - Nie słyszała go. Uniósł jej głowę. - Wykasłaj wodę.

Zacząła wypluwać wodę, krztusząc się przy każdym wdechu, ale w końcu zaczerpnęła powietrza.

Stephanie wciągnęła się na pokład.

- Jest zamroczone. Ale nie ma żadnych ran.

- Trudno trafić w nocy z chwiejnego pokładu.

Delikatnie poklepywał ją po plecach, a z jej płuc wydostawało się coraz więcej wody. Dochodziła do siebie.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

W jej oczach widać było, że usiłuje się skoncentrować. Znał to

spojrzenie. Musiała uderzyć się w głowę.

- Cotton? - zapytała.

- Chyba nie ma sensu cię pytać, po co ci ten łuk i strzały?

Pomasowała się po głowie.

- Ten drań...

- Kto to był? - zapytała Stephanie.

- Stephanie? A co ty tu robisz? - Cassiopeia sięgnęła ręką i dotknęła mokrych ubrań Stephanie. - To ty wyciągnęłaś mnie z wody?

- Byłam ci to winna.

Malone znał tylko część wydarzeń, które miały miejsce w Waszyngtonie poprzedniej jesieni, kiedy on sam tkwił na górze Synaj, ale najwyraźniej te dwie kobiety coś połączyło. W tej chwili jednak chciał wiedzieć jedno:

- Ile trupów jest w Museo di Torcello?

Cassiopeia zignorowała go i sięgnęła za plecy. Wyjęła glocka, otrząsnęła go z wody i osuszyła lufę. To wielka zaleta glocków, którą znał z własnego doświadczenia. Są niemal wodoodporne.

Cassiopeia wstała.

- Musimy płynąć.

- Czy na tamtej łodzi był Viktor? - zapytał Malone, a w jego głosie słycać było irytację.

Ale Cassiopeia odzyskała wigor i w jej oczach znów pojawił się gniew.

- Mówiłam ci już wcześniej, że to ciebie nie dotyczy. To nie twoja walka.

- Ta... racja. Dzieje się tu mnóstwo rzeczy, o których nie masz pojęcia.

- Wiem, że ci dranie zabili w Azji Ely'ego na rozkaz Iriny Zowastiny.

- Kto to jest Ely? - zapytała Stephanie.

- To długa historia - odparł Malone. - Która sprawia nam teraz mnóstwo problemów.

Cassiopeia wciąż otrząsała się z otępienia, a pistolet z wody.

- Czas na nas.

- Zabiłaś kogoś? - zapytał.

- Usmażyłam jednego z nich jak bekon.

- Będziesz tego potem żałować.

- Dzięki za radę. Płynmy już.

Postanowił grać na zwłokę i podejść z innej strony.

- Dokąd popłynął Viktor?

Ściągnęła z ramienia luk.

- Henrik ci to przysłał? - zapytał, przypominając sobie podłużną torbę z materiału, którą dostarczono do restauracji.

- Cottonie, już ci mówiłam, że to nie twoja sprawa.

Stephanie podeszła bliżej.

- Cassiopeio, nie bardzo wiem, co się tu dzieje, ale widzę, że przestałaś myśleć. Zeszłej jesieni powiedziałaś mi, żebym użyła swojej głowy. Pozwól nam sobie pomóc. Co się stało?

- To dotyczy też ciebie, Stephanie. Nie wtrącaj się. Czekałam na tych ludzi od miesięcy. I wreszcie dziś w nocy mam ich w zasięgu wzroku. Jednego już załatwiłam. Teraz chcę dorwać tego drugiego. Tak, to Viktor. Był tam, gdy zginął Ely. Spalili go żywcem. Za co? - mówiła coraz wyższym głosem. - Chcę wiedzieć, dlaczego umarł.

- Więc dowiedzmy się tego - powiedział Malone.

Cassiopeia ruszyła niepewnym krokiem. W tym momencie była w pułapce, nie miała wyjścia i najwyraźniej domyślała się, że żadne z nich nie zamierza się wycofać. Oparła dłonie na relingu i uspokoiła oddech. W końcu powiedziała:

- Okay. Okay. Macie rację.

Malone zaczął się zastanawiać, czy stara się ich udobruchać.

Cassiopeia stała nieruchomo.

- To sprawa osobista. I to bardziej, niż myślicie... - zawahała się.

- Chodzi nie tylko o Ely'ego.

Już drugi raz to zasugerowała.

- Może powiesz nam, o co chodzi?

- Może jednak nie.

Rozpaczliwie pragnął jej pomóc, ale kłótnia nie miała sensu. Popatrzył na Stephanie, która dostrzegła prośbę w jego oczach.

Skinęła na znak zgody.

Wrócił do steru i dodał gazu. Mijały ich kolejne policyjne motorówki płynące w kierunku Torcello. Malone skierował



łódź w stronę Wenecji i dalekich światel oddalającej się łodzi Viktora.

- Nie martw się o ciało - powiedziała Cassiopeia. - Nie zostanie po nim ślad, tak samo jak po muzeum.

Malone miał jeszcze jedno pytanie.

- Stephanie, wiadomo coś o Naomi?

- Od wczoraj nic nowego. Dlatego tu jestem.

- Kto to jest Naomi? - zapytała Cassiopeia.

- To z kolei jest moja sprawa - odparł Malone.

Cassiopeia ustąpiła. Powiedziała tylko:

- Dokąd płyniemy?

Malone popatrzył na zegarek. Podświetlane cyfry wskazywały za piętnaście pierwsza.

- Mówiłem ci, że dużo się tu dzieje, a my akurat wiemy, dokąd płynie Viktor.

## CZTERDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

### **SAMARKANDA, FEDERACJA ŚRODKOWOAZJATYCKA, GODZINA 4:50**

VINCENTIEMU CIARKI PRZESZŁY PO PLECACH. ZDARZAŁO MU SIĘ zlecić morderstwo, choćby wczoraj, ale tu chodziło o coś innego. Miał wkroczyć na nową ścieżkę. Taką, która nie tylko uczyni z niego najbogatszego człowieka na świecie, ale także zapewni mu miejsce w historii.

Świt nadejdzie za godzinę. Vincenti siedział na tylnej kanapie samochodu, gdy O'Conner i dwóch innych mężczyzn podchodziło do domu ukrytego za gąszczem kwitnących kasztanowców i wysokim żelaznym ogrodzeniem. Wszystko to stanowiło własności Iriny Zowastiny. O'Conner zbliżył się do samochodu, a Vincenti uchylił szybę.

- Dwaj ochroniarze nie żyją. Zdjęliśmy ich bez problemu.
- Jest jeszcze ktoś?
- Nie, to wszystko. Zowastina nie pilnowała tego miejsca zbyt dobrze. Bo myślała, że nikogo ono nie obchodzi.
- Możemy zaczynać?
- W środku jest jeszcze tylko ta kobieta, która się nią opiekuje.
- Przekonajmy się więc, czy miło nas przyjmą.

Vincenti wszedł do domu frontowymi drzwiami. Dwóch mężczyzn, których wynajęli na dzisiejszy wieczór, przytrzymało pielęgniarkę Karyn Walde. Starsza kobieta o surowym wyglądzie miała na sobie szlafrok i kapcie. Jej twarz o azjatyckich rysach wyrażała strach.

- Rozumiem - powiedział do niej Vincenti - że to pani zajmuje się panią Walde?

Kobieta skinęła głową.

- I że nie podoba się pani sposób, w jaki traktuje ją pani

premier?

- Jest dla niej okropna.

Vincenti był zadowolony, że jego informacje sprawdziły się.

- Rozumiem, że Karyn cierpi, a jej choroba postępuje.

- A pani premier nie daje jej spokoju.

Vincenti gestem nakazał mężczyznom, by puścili pielęgniarkę.

Podszedł do niej bliżej i powiedział:

- Przybyłem tutaj, by ulżyć jej w cierpieniu. Ale potrzebuję pani pomocy.

Spojrzała na niego podejrziwym wzrokiem.

- A gdzie są ochroniarze?

- Nie żyją. Proszę tu poczekać, pójdę do niej. - Wskazał ręką w głąb domu. - Prosto tym korytarzem?

Kobieta ponownie skinęła głową.



VINCENTI ZAPALIŁ JEDNĄ Z LAMP PRZY ŁÓŻKU I POPATRZYŁ NA ŻAŁOSNĄ istotę leżącą pod bladoróżową kołdrą.

Karyn Walde oddychała za pomocą butli z tlenem i respiratora. Do ramienia miała podłączoną kroplówkę. Vincenti wyjął igłę i wbił ją w jeden z łączników kroplówki.

Kobieta na łóżku otworzyła oczy.

- Proszę się obudzić - powiedział.

Kilkakrotnie mrugnęła oczami, próbując zrozumieć, co się dzieje. A potem wyprostowała się na łóżku.

- Kim pan jest?

- Wiem, że ostatnio miała ich pani niewielu, ale jestem pani przyjacielem.

- Czy ja pana w ogóle znam?

Vincenti pokręcił głową.

- Nie sędzę, ale ja znam panią. Proszę mi powiedzieć, jak to jest kochać Irinę Zowastinę?

Z pewnością było to zaskakujące pytanie ze strony nieznanego w środku nocy, ale ona tylko wzruszyła ramionami.

- A co to pana obchodzi?
- Mam z nią do czynienia od wielu lat. Nigdy nie wzbudziła we mnie żadnych uczuć i sądzę, że sama też jest ich pozbawiona. Jak to się pani udało?
- Sama się nad tym wielokrotnie zastanawiałam. Rozejrzała się po sypialni. Była urządzonej elegancko i komfortowo, podobnie jak reszta domu.
- Ładnie pani mieszka.
- Kiepska pociecha.
- Mimo wszystko, kiedy pani zachorowała, kiedy dowiedziała się pani, że ma wirusa HIV, wróciła pani do niej. Wróciła pani po kilku latach rozłąki.
- Dużo pan o mnie wie.
- Żeby móc tu wrócić, musiała pani coś do niej czuć. Kobieta z powrotem oparła się o poduszkę.
- Pod pewnymi względami ona jest naiwna. Vincenti nadstawił uszu.
- Uważa, że jesteśmy niczym Achilles i Patrokles. Albo jeszcze gorzej, Aleksander Wielki i Hefajstion. Opowiadała mi o nich wiele razy. Zna pan *Iliadę*?
- Pokręcił głową.
- Achilles czuł się odpowiedzialny za śmierć Patroklesa. Pozwolił, by jego kochanek poprowadził wojsko do walki, podając się za niego. A Aleksander też winił się za śmierć Hefajstiona.
- Dobrze zna pani literaturę i historię.
- Wcale nie. Po prostu słuchałam jej nudnawych opowieści.
- Czemu uważa ją pani za naiwną?
- Ona chce mnie uratować, ale nie chce się do tego przyznać. Przychodzi, gapi się na mnie, kłóci się ze mną, ale cały czas stara się mnie uratować. Wiedziałam, że jest słaba, więc gdy zachorowałam, wróciłam tu, gdzie mam zagwarantowaną opiekę.
- Ale musi jej pani nienawidzić.
- Zapewniam pana, kimkolwiek pan jest, że ktoś w mojej sytuacji ma niewielki wybór.
- Szczerze rozmawia pani z nieznajomymi.

- Nie mam nic do ukrycia i nie mam się czego obawiać. Moje życie dobiega końca.

- Poddaje się pani?

- Nie mam wyboru.

Postanowił sprawdzić, czy uda mu się dowiedzieć czegoś więcej.

- Zowastina jest w tej chwili w Wenecji. Czegoś tam szuka. Wie pani o tym?

- Wcale mnie to nie dziwi. Ona jest wielką bohaterką na wielkiej wyprawie. A ja jestem słabym kochankiem. Nie mnie zadawać pytania bohaterowi, mogę tylko przyjmować to, co mi oferuje.

- Wysłuchiła pani mnóstwa bzdur.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Ona wyobraża sobie, że jest moim zbawcą, a ja jej na to pozwalam. Czemu nie? A poza tym dręczenie jej to moja jedyna przyjemność. Wyroki losu i całe to bredzenie.

- Życie potrafi być kapryśne.

Zauważył, że ją zaintrygował.

- Gdzie są ochroniarze?

- Nie żyją.

- A moja pielęgniarzka?

- Wszystko z nią w porządku. Wydaje mi się, że naprawdę się o panią troszczy.

Lekkie skinienie głową.

- To prawda.

W młodości ta kobieta musiała robić wrażenie. Mogła uwodzić zarówno mężczyzn, jak i kobiety. Nietrudno było sobie wyobrazić, że spodobała się Zowastinie. Ale też nietrudno było się domyślić, że musiały ze sobą walczyć. Dwie samice alfa. Obie przyzwyczajone do tego, że wszystko jest tak, jak chcą.

- Obserwowałem panią od jakiegoś czasu - powiedział Vincenti.

- Chyba nie bardzo było co obserwować.

- Proszę mi powiedzieć... gdyby mogła pani zażądać czegokolwiek, o co by pani poprosiła?

Widział, że leżąca przed nim śmiertelnie chora kobieta

poważnie zastanawia się nad odpowiedzią. Niemal słyszał słowa, które formują się w jej umyśle. Takie samo zdecydowanie widział już wcześniej u innych ludzi, którzy czekali na straszny koniec, ale chwyтали się każdej nikłej nadziei, ponieważ ani wiara, ani nauka nie mogły ich uratować.

Mógł to zrobić tylko cud.

Więc nie rozczarował się, gdy w końcu wzięła głębszy oddech i powiedziała:

- O życie.

### WENECJA

VIKTOR POŚPIESZYŁ WZDŁUŻ JASNO OŚWIETLONEJ ZACHODNIEJ fasady bazyliki. Wysoko na tle ciemnego nieba powyżej złotego lwa z rozpostartymi skrzydłami straż trzymał sam święty Marek. Po lewej stronie rozciągał się odgradzony kordonem środek placu z mnóstwem kręcących się policjantów. Wokół zebrał się tłum gapiów i Viktor z urywków rozmów dowiedział się, że niedawno miała tu miejsce jakaś strzelanina. Ominął zgromadzenie i ruszył w kierunku północnego wejścia do kościoła. Tamtędy Zowastina kazała dostać mu się do wnętrza bazyliki.

Był wytracony z równowagi pojawieniem się tamtej kobiety z łukiem. Powinna była zginąć w Danii. A jeśli ona przeżyła, to jej dwaj towarzysze pewnie też. Sytuacja zaczynała wymykać się spod kontroli. Powinien był zostać na łódce i upewnić się, że kobieta z łukiem utonęła w lagunie, ale Zowastina czekała na niego i nie mógł się spóźnić.

Wciąż miał przed oczami widok umierającego Rafaela.

Zowastina się nie przejmie, będzie ją interesowało tylko to, czy jego śmierć nie wzbudzi podejrzeń. A to im nie groziło. Policjanci nie znajdują żadnego ciała. Najwyżej popiół i fragmenty kości.

Tak jak po pożarze domu Ely'ego Lunda.

*- Masz zamiar mnie zabić? - zapytał Ely. - Co takiego zrobiłem?*

*- Włamywacz trzymał w ręku pistolet. - Czy ja stanowię jakiegokolwiek zagrożenie?*

*Viktor przysłuchiwał się rozmowie z sąsiedniego pomieszczenia. - Dlaczego nie odpowiadasz? - zapytał Ely podniesionym tonem.*

- *Nie jestem tutaj, żeby gadać - odparł mężczyzna.*
- *Tylko żeby mnie zastrzelić?*
- *Wykonuję rozkazy.*
- *I nie wiesz, czemu masz to zrobić?*
- *Nie interesuje mnie to.*

*W pokoju zapadła cisza.*

*- Chciałbym zrobić jeszcze parę rzeczy - powiedział w końcu Ely. Mówił głosem pełnym melancholii i rezygnacji, lecz zaskakująco spokojnym. - Zawsze myślałem, że zabije mnie moja choroba.*

*Viktor przysłuchiwał się rozmowie z rosnącym zainteresowaniem.*

*- Jesteś zakażony? - spytał nieznajomy, a w jego głosie zabrzmiała podejrzliwość. - Nie wyglądasz na chorego.*

*- Nie muszę. Ale jestem chory.*

*Viktor usłyszał charakterystyczny dźwięk odbezpieczanego pistoletu.*

Stał na zewnątrz domu i patrzył, jak płonie. Kiepsko wyposażona straż pożarna Samarkandy niewiele mogła zdziałać. W końcu ściany zwały się i grecki ogień pochłonął całe domostwo.

Teraz coś do niego dotarło.

Kobiecie z Kopenhagi zależało na Elym Lundzie na tyle, by pomścić jego śmierć.

Viktor obszedł bazylikę i dostrzegł północny portal. W otwartych drzwiach z brązu stał jakiś człowiek.

Viktor odzyskał panowanie nad sobą.

Pani premier potrzebuje go skupionego i opanowanego.



ZOWASTINA WRĘCZYŁA PODPISANY KONKORDAT MICHENEROWI.

- A teraz proszę zostawić mnie na te obiecane trzydzieści minut.



Nuncjusz papieski skinął na księży, którzy natychmiast opuścili prezbiterium.

- Pożaluje pan, że wywarł na mnie presję. - Zowastina postawiła sprawę jasno.

- Być może przekona się pani, że Ojciec Święty to twardy przeciwnik.

- A ile ma wojska?

- Wielu o to pyta. Ale papież nie potrzebował armii, żeby rzucić komunizm na kolana. Jan Paweł II poradził sobie z nim sam.

- A pański papież jest równie przenikliwy?

- Proszę mu się przeciwstawić, a przekona się pani.

Michener przeszedł przez ścianę tęczową do nawy i zniknął, oddalając się w kierunku głównego wejścia do bazyliki.

- Wracam za pół godziny - zawołał z ciemności.

Zowastina dostrzegła Viktora zbliżającego się w półmroku. Minął Michenera, który powitał go skinieniem głowy. Jej ochroniarze odeszli na stronę.

Viktor wszedł do prezbiterium. Jego ubranie było wilgotne i wygniecione, a twarz pokryta pyłem.

Ale Zowastina chciała wiedzieć tylko jedno:

- Masz to?

Viktor wręczył jej monetę ze słoniem.

- I co myślisz? - zapytała.

- Wygląda na oryginalną, ale nie miałem okazji jej zbadać.

Wsunęła monetę do kieszeni. Zrobią to później.

Otwarty sarkofag czekał w odległości kilku metrów.

Teraz to było najważniejsze.



MALONE JAKO OSTATNI ZESKOCZYŁ Z MOTORÓWKI NA BETONOWE nabrzeże. Wrócili do centrum Wenecji, na plac Świętego Marka wychodzący na lagunę. Drobne fale uderzały w słupy i rozpychały gondole przywiązane do cum. Wokół wciąż kręciło się sporo policji, a gapiów było nawet więcej niż przed

godziną.

Stephanie pokazała na Cassiopeię, która już przepychała się przez zatłoczony rząd straganów w kierunku bazyliki. Na plecach wciąż miała łuk i kołczan.

- Tę Pocahontas trzeba trochę ujarzmić.

- Panie Malone.

W tłumie dostrzegł zmierzającego w ich stronę mężczyznę pod pięćdziesiątkę, ubranego w drelichowe spodnie, koszulę z długim rękawem i bawełnianą marynarkę. Cassiopeia prawdopodobnie również usłyszała jego zawołanie, ponieważ zatrzymała się i odwróciła w stronę Malone'a i Stephanie.

- Monsignore Colin Michener. - Mężczyzna podszedł do nich i przedstawił się.

- Nie wygląda pan jak ksiądz.

- Dziś nie. Ale kazano mi czekać na państwa i muszę przyznać, że opis był niezwykle akuraty. Wysoki jasnowłosy mężczyzna w towarzystwie starszej kobiety.

- Wypraszam sobie - wtrąciła Stephanie.

Michener uśmiechnął się.

- Uprzedzono mnie również, że jest pani wrażliwa na wzmianki o swoim wieku.

- A kto pana uprzedził? - zapytał Malone.

- Edwin Davis - powiedziała Stephanie. - Wspomniał, że ma jakieś doskonałe źródło. To pewnie pan?

- Znamy się z Edwinem od bardzo dawna.

Cassiopeia wskazała na kościół.

- Czy do bazyliki wszedł pewien mężczyzna? Niski, krępy, w dżinsach?

Ksiądz skinął głową.

- Jest w środku. Z premier Zowastiną. Nazywa się Viktor Tomas, jest szefem jej ochrony.

- Jest pan świetnie poinformowany - stwierdził Malone.

- To raczej Edwin doskonale się we wszystkim orientuje. Ale jednej rzeczy mi nie wyjaśnił. Skąd się wzięło pańskie imię, panie Cotton.

- To długa historia. Teraz powinniśmy raczej pośpieszyć się z wejściem do bazyliki. Jestem pewien, że wie pan dlaczego.

Michener zachęcił ich gestem, by wyszli z tłumu i przeszli na tyły jednego ze straganów.

- Wczoraj dowiedzieliśmy się czegoś o premier Zowastinie i naszą wiedzę podzieliliśmy się z Waszyngtonem. Chciała koniecznie zajrzeć do grobu świętego Marka, więc Ojciec Święty pomyślał, że może Ameryka też skorzysta z okazji.

- Możemy już iść? - zapytała Cassiopeia.

- Nerwusek z pani, nieprawdaż? - stwierdził Michener.

- Po prostu chcę już iść.

- Niesie pani łuk i strzały.

- Nic się przed panem nie ukryje.

Michener zignorował żart i zwrócił się do Malone'a.

- Czy ta sprawa wymknie się wam spod kontroli?

- Nie bardziej niż dotąd.

Michener wskazał na plac.

- Jak choćby ten człowiek, którego niedawno tu zabito.

- Albo pożar muzeum na Torcello - dodał Malone i poczuł wibracje komórki.

Wyciągnął telefon z kieszeni i spojrzał na wyświetlacz. Ponownie Henrik. Odebrał.

- Przysłanie jej łuku i strzał to nie był najlepszy pomysł.

- Nie miałem wyboru - odpowiedział Thorvaldsen przez telefon.

- Muszę z nią pomówić. Jest tam z tobą?

- Och, tak.

Malone podał komórkę Cassiopeii, a ona odeszła na bok.



**CASSIOPEIA DRŻĄCĄ RĘKĄ TRZYMAŁA APARAT BLISKO UCHA.**

- Posłuchaj - powiedział Thorvaldsen. - Jest parę spraw, o których powinnaś wiedzieć...



- TO KOMPLETNY CHAOS - POWIEDZIAŁ MALONE DO STEPHANIE.

- I z każdą chwilą robi się coraz gorzej.

Malone obserwował Cassiopeię, która stała tyłem do nich, przyciskając telefon do ucha.

- Spaprała sprawę - stwierdził bez ogródek. - Chyba wszyscy tego doświadczyliśmy. Uśmiechnął się na tę oczywistą prawdę.

Cassiopeia skończyła rozmawiać, podeszła do nich i oddała mu telefon.

- Dostałaś instrukcje?

- Coś w tym stylu.

Malone zwrócił się do Michenera.

- Widzi pan, w jakich warunkach muszę pracować, więc mam nadzieję, że chociaż pan udzieli mi jakichś przydatnych informacji.

- Zowastina i Viktor są w prezbiterium bazyliki.

- Jak dla mnie okay.

- Ale z panią muszę porozmawiać na osobności - powiedział Michener do Stephanie. - Edwin poprosił mnie o przekazanie pewnych informacji.

- Wolałabym pójść z nimi.

- Powiedział, że to bardzo ważne.

- Porozmawiajcie - wtrącił Malone. - My wejdziemy do kościoła.



ZOWASTINA PODESZŁA DO OŁTARZA I PRZYKUCNEŁA.

Jeden z księży zostawił na podłodze lampę. Zowastina kiwnęła na Viktora, by uklęknął obok niej.

- Wyślij tamtych dwóch w głąb kościoła. Niech się tam pokręca, zwłaszcza na galeriach. Chcę mieć pewność, że nikt mnie nie obserwuje.

Viktor rozesłał ochroniarzy i wrócił do ołtarza.

Zowastina uniosła lampę i wstrzymując oddech, oświetliła

wnętrze kamiennego sarkofagu. Wyobrażała sobie tę chwilę, odkąd Ely Lund po raz pierwszy wspomniął jej o możliwości zamiany ciała. Czy leżały tu zwłoki nieznanego mieszkańca Babilonu? Czy Ptolemeusz pozostawił tu wskazówki prowadzące do miejsca spoczynku samego Aleksandra Wielkiego? „Daleko w górach, tam gdzie Scytowie podzielili się z Aleksandrem swoją wiedzą o życiu”. O życiu w formie mikstury. Zowastina przypomniała sobie, co w pewnym manuskrypcie napisał jeden z nadwornych historyków Aleksandra: „Jego szyja nabrzmiała guzami tak, że nie mógł przełykać, jakby miał w gardle kamienie, a z każdym oddechem z jego ust wypływała ciecz. Całe jego ciało pokryły rany. Zupełnie opadł z sił. Każdy kolejny oddech był dla niego wysiłkiem”. Mimo to mikstura uleczyła go w jeden dzień. Naukowcy w jej laboratorium doszli do wniosku, że były to objawy choroby wirusowej. Czy to możliwe, by natura, która stworzyła tylu agresorów, dostarczyła też cudowny sposób na ich powstrzymanie?

Ale kamienna trumna nie zawierała zmumifikowanych zwłok.

Zowastina zobaczyła tylko drewniane pudełko, bogato zdobione i wyposażone w dwie mosiężne klamerki. Rozczarowanie wywołało skurcz żołądka. Zowastina natychmiast ukryła swe odczucia i rozkazała Viktorowi, by wyjął pudełko z sarkofagu.

Viktor sięgnął pod wiszące kamienne wieko, wyjął zdobny pojemnik i położył go na marmurowej posadzce.

Czego oczekiwała? Mumia miałyby co najmniej dwa tysiące lat. To prawda, że Egipcjanie doskonale znali się na mumifikacji i istniały nawet starsze mumie w nienaruszonym stanie. Ale one przez całe wieki spokojnie leżały w swoich grobowcach, nie były przewożone po całym globie i nie znikwały nie wiadomo gdzie na setki lat. Ely Lund był przekonany, że zagadka Ptolemeusza jest autentyczna. Był również przekonany, że Wenecjanie w roku osiemset dwudziestym ósmym nie wywieźli z Aleksandrii zwłok świętego Marka, lecz szczątki kogoś innego. Być może było to ciało, które przez sześćset lat spoczywało w Somie i było przez wszystkich

czczone i uwielbiane jako pozostałość po Aleksandrze Wielkim.

- Otwórz.

Viktor otworzył klamerki i uniósł wieczko. Środek pudełka wyłożony był spłóviałym czerwonym aksamitem. W środku kruchy materiał tworzył wybrzuszenie. Zowastina ostrożnie uniosła aksamit. Pod spodem dostrzegła zęby, kość łopatki, kość udową, fragmenty czaszki i popiół.

Zowastina zamknęła oczy.

- A czego pani oczekiwała? - zapytał jakiś nowy głos.

## PIĘĆDZIESIĄT JEDEN

### **SAMARKANDA, FEDERACJA ŚRODKOWOAZJATYCKA**

VINCENTI ROZWAŻYŁ ODPOWIEDŹ KARYN WALDE I ZAPYTAŁ:

- A co byłąby pani gotowa zrobić, by odzyskać życie?

- Niewiele mogę zrobić. Proszę na mnie popatrzeć. I nawet nie wiem, jak się pan nazywa.

Ta kobieta całe swoje życie spędziła na manipulowaniu innymi i nawet teraz jej się to udawało.

- Enrico Vincenti.

- Włoch? Nie wygląda pan.

- Podoba mi się to nazwisko.

Uśmiechnęła się.

- Odnoszę wrażenie, Enrico Vincenti, że wiele nas łączy.

Podzielał jej zdanie. Był człowiekiem o dwóch nazwiskach, związanym z wieloma interesami, ale miał tylko jedną ambicję.

- Co pani wie o wirusie HIV?

- Tylko to, że mnie wykańcza.

- A wie pani, że on istnieje od milionów lat? W co trudno uwierzyć, skoro nawet nie jest żywy. To sam kwas rybonukleinowy, RNA, otoczony przez białkową osłonkę.

- Jest pan naukowcem?

- W rzeczy samej. A wie pani, że HIV nie ma żadnych struktur komórkowych? Nie może wytworzyć ani grama energii. Jediną cechą żywego organizmu, jaką przejawia, jest zdolność do namnażania się. Ale nawet do tego potrzebuje materiału genetycznego żywiciela.

- Takiego jak ja?

- Niestety tak. Znamy około tysiąca różnych wirusów. Ale niemal co dzień odkrywamy nowe. Blisko połowa zakaża

rośliny, reszta zwierzęta. HIV to wirus zwierzęcy, ale jest naprawdę wyjątkowy.

Spostrzegł wyraz zdziwienia na jej wymizerowanej twarzy.

- Nie chce pani wiedzieć, co panią zabija?

- A czy to ma znaczenie?

- To może mieć ogromne znaczenie.

- W takim razie, mój nowy przyjacielu, który przybyłeś tutaj nie wiadomo po co, opowiadaj dalej.

Vincentiemu spodobało się jej podejście.

- Wirus HIV jest wyjątkowy, ponieważ zastępuje strukturę genetyczną innej komórki swoją własną. Dlatego nazywa się go retrowirusem. Przyczepia się do komórki i przekształca ją w swoją kopię. Jest niczym włamywacz, który okrada komórkę z jej własnej tożsamości. - Vincenti przerwał, by podkreślić udaną metaforę. - Gołym okiem nie sposób dostrzec nawet skupiska dwustu tysięcy wirusów. HIV jest niezwykle odporny, niemal niezniszczalny, ale potrzebuje odpowiedniej mieszanki białek, soli, cukrów, a przede wszystkim właściwego poziomu pH. Za dużo jednego, za mało drugiego i... - Vincenti kliknął palcami - wirus umiera.

- Przypuszczam, że teraz do akcji wkraczam ja.

- Jak najbardziej. Jako stałocieplny ssak. Ich ciała to idealne środowisko dla wirusa HIV. Tkanka mózgowa, płyn mózgowo-rdzeniowy, szpik kostny, mleko z piersi, komórki szyjki macicy, męskie nasienie, błona śluzowa, wydzielina z pochwy, wszędzie tam może się rozwijać. Ale najlepiej czuje się we krwi i w limfie. Ten wirus, podobnie jak pani, pani Walde, po prostu chce przetrwać.

Vincenti zerknął na budzik na stojącym przy łóżku stoliku. O'Conner i dwaj wynajęci mężczyźni trzymali straż na zewnątrz. Postanowił przeprowadzić tę rozmowę, ponieważ miał pewność, że nikt im nie przeszkodzi. Kamil Rewin poinformował go, że ochroniarze strzegący domu zmieniają się co tydzień. Nikt ze Świętego Zastępu nie lubił tego obowiązku, więc poza tymi dwoma strażnikami, którzy akurat pełnili służbę, nikt nie interesował się tym miejscem. Ot, jedna z licznych obsesji premier Zowastiny.



- A jedna rzecz jest bardzo ciekawa - kontynuował Vincenti. - Wirus HIV tak naprawdę nie powinien być w stanie przetrwać w pani ciele. W pani krwi jest mnóstwo komórek walczących z infekcjami. Ale HIV przybrał wyrafinowaną strategię partyzancką i bawi się z pani białymi krwinkami w chowanego. Nauczył się ukrywać w miejscach, które nigdy nie są przez nie sprawdzane. - Vincenti dla efektu zawiesił głos, a potem powiedział: - Węzły chłonne. Guzeczki wielkości groszku porzucane po całym ciele. Działają jak filtry i wyłapują niczego niespodziewających się intruzów, którzy następnie są niszczeni przez białe krwinki. Węzły chłonne to jakby jaskinie lwów naszego układu odpornościowego. Wydaje się, że to ostatnie miejsce, jakie retrowirus mógłby wybrać na swoją kryjówkę, ale okazuje się, że nadają się do tego idealnie. To naprawdę zdumiewające. Wirus HIV nauczył się produkować identyczną otoczkę białkową, jaką układ odpornościowy wytwarza w węzłach chłonnych. W ten sposób tuż pod nosem układu odpornościowego niewykryty wirus żyje sobie spokojnie, przekształcając komórki węzłów chłonnych walczących z infekcjami w swoje własne kopie. Robi tak przez całe lata, aż w końcu węzły chłonne puchną, a potem rozpadają się, a wirus HIV wręcz zalewa krwiobieg gospodarza. To wyjaśnia, czemu tak dużo czasu upływa pomiędzy zakażeniem a zorientowaniem się o obecności wirusa we krwi.

Jego umysł nadal działał niczym umysł myślącego analitycznie naukowca, którym był przez wiele lat. Ale teraz był przede wszystkim międzynarodowym przedsiębiorcą i podobnie jak Karyn Walde wielkim manipulatorem, który właśnie miał dokonać swojej największej manipulacji.

- A wie pani, co jest jeszcze bardziej zdumiewające? - zapytał. - Wirus HIV w różnych komórkach replikuje się w inny sposób. Więc gdy węzły chłonne rozpadają się, zamiast jednego intruza mamy miliony różnych intruzów, całą armię rozmaitych szczepów retrowirusa, które swobodnie przemieszczają się w krwiobiegu. Układ odpornościowy reaguje na to tak, jak powinien, ale musi wytwarzać coraz to nowe białe krwinki do walki z każdym szczepem. I nie daje rady. Sprawę pogarsza to,

że wszystkie szczepy retrowirusa potrafią zniszczyć dowolną białą krwinkę. To beznadziejna walka, a jej efekty są przewidywalne, czego jest pani żywym dowodem.

- Ta lekcja biologii z pewnością nie jest jedynym powodem pańskiej wizyty.

- Przyszedłem przekonać się, czy chce pani żyć.

- Nie mam takiej możliwości, chyba że jest pan aniołem albo samym Panem Bogiem.

- Rzecz w tym, że sam wirus HIV nie może nikogo zabić. Ale wystawia pani bezbronne ciało na działanie innych wirusów, bakterii, grzybów czy pasożytów, które dostają się do pani krwiobiegu. Ma pani za mało białych krwinek, by sobie z nimi poradzić. Jedyne pytanie brzmi więc, która z infekcji okaże się przyczyną pani śmierci.

- Więc może odczepi się pan ode mnie i pozwoli mi umrzeć?

Karyn Walde nie była przyjemną rozmówczynią, ale rozmowa z nią przywołała jego marzenia. Wyobraził sobie, że zwraca się do prasy, a reporterzy spijają słowa z jego ust. W ciągu jednego dnia staje się światowym autorytetem. Oczami wyobraźni ujrzał umowy na książki, prawa do ekranizacji, specjalne programy telewizyjne, wykłady, nagrody. Na pewno dostałby Nagrodę imienia Alberta Laskera. I National Medal for Science. A może nawet Nagrodę Nobla. Czemu nie?

A wszystko to zależało od decyzji, którą właśnie miał podjąć.

Popatrzył na przypominającą szkielet istotę. Resztki życia tliły się już tylko w jej oczach.

Sięgnął po kroplówkę.

- Co to jest? - zapytała Karyn Walde, dostrzegając w jego dłoni strzykawkę z przezroczystym płynem.

Vincenti nie odpowiedział.

- Co pan robi?

Mężczyzna wstrzyknął zawartość strzykawki do kroplówki.

Karyn próbowała się podnieść, ale jej wysiłki były daremne. Opadła z powrotem na łóżko z rozszerzonymi źrenicami. Vincenti obserwował, jak jej powieki stają się ciężkie, a oddech zwalnia. Znieruchomiała, a potem zamknęła oczy.

I już ich nie otworzyła.

## PIĘĆDZIESIĄT DWA

### WENECJA

ZOWASTINA WSTAŁA Z KLĘCZEK I SPOJRZAŁA NA INTRUZA. BYŁ TO NISKI garbaty mężczyzna o gęstych włosach i krzaczastych brwiach. Jego łamiący się głos, zmarszczki, zapadnięte policzki, szorstkie włosy i pokryte żyłkami dłonie wskazywały na zaawansowany wiek.

- Kim pan jest? - zapytała.

- Henrik Thorvaldsen.

Słyszała to nazwisko. Jeden z najbogatszych ludzi w Europie. Duńczyk. Ale co on tu robi?

Viktor natychmiast zareagował na obecność intruza, wymierzając w niego broń. Zowastina powstrzymała go gestem, a jej spojrzenie mówiło, że najpierw chce się dowiedzieć, czego on chce.

- Znam pana.

- A ja znam panią. Z sowieckiego biurokraty stała się pani twórczynią narodów. Niezłe osiągnięcie.

Nie miała ochoty wysłuchiwać komplementów.

- Co pan tu robi?

Starszy mężczyzna przysunął się bliżej drewnianego pudełka.

- Naprawdę myślała pani, że spoczywa tu ciało Aleksandra Wielkiego?

Intruz najwyraźniej wiedział, czego szuka.

- „A ty, łowco przygód, jako że mój nieśmiertelny głos, choć odległy, wypełnia twe uszy, wysłuchaj mych słów. Pożegnaj do stolicy założonej przez ojca Aleksandra, gdzie na straży stoją mędrcy. Dotknij najskrytszej istoty złotej iluzji. Podziel Feniksa. Życie zapewni miarę prawdziwego grobu. Lecz strzeż się, bo jedna jest tylko szansa powodzenia”.

Zowastina próbowała ukryć swoje zdumienie, słysząc tekst

wyrecytowany przez Thorvaldsena. Ten mężczyzna naprawdę dużo wiedział.

- Myślała pani, że tylko pani o tym wie? - zapytał. - Jest pani aż tak zadufana w sobie?

Zowastina wyrwała Viktorowi pistolet i wycelowała w Thorvaldsena.

- Wystarczająco, by cię zastrzelić.



Malone BYŁ zaniepokojony. Znajdowali się wraz z Cassiopeią kilka pięter powyżej i na odległość boiska piłkarskiego od miejsca, w którym Thorvaldsen mierzył się z Zowastiną i obserwującym go Viktorem. Michener wprowadził ich przez zachodni przedsionek i zostawił przy stromych schodach. Na górze ściany, łuki i kopuły przypominały architekturę dolnej części kościoła, lecz w przeciwieństwie do wspaniałej marmurowej fasady i błyszczących mozaik, umieszczone na piętrze muzeum i sklep z pamiątkami miały zwykłe ściany z cegieł.

- Co on tutaj do diabła robi? - burknął Malone. - Przecież przed chwilą do ciebie dzwonił.

Ukryli się za kamienną balustradą, zza której roztaczał się panoramiczny widok na strzeliste kopuły spoczywające na masywnych marmurowych filarach. Połączone mozaiki na sufitach błyszczały w świetle żarówek, a marmurowa podłoga i nieoświetlone boczne kaplice spowijał półmrok w odcieniach szarości i czerni. Znajdujące się na drugim końcu prezbiterium, gdzie przebywał Thorvaldsen, wyglądało niczym jasno oświetlona scena w pograżonym w ciemnościach teatrze.

- Nie odpowiesz mi?

Cassiopeia milczała.

- Zaczynacie mnie już oboje wkurzać.

- Mówiłam, żebyś się wycofał.

- Henrik chyba przeliczył się z siłami.

- Ona go nie zastrzeli. Przynajmniej dopóki nie dowie się, po

co przyszedł.

- A po co przyszedł?

Znowu milczenie.

Musieli zmienić pozycję.

- Może przejdziemy tam? - Malone wskazał na północny transept i drugą galerię, która wychodziła na prezbiterium. - Muzeum skręca w tamtą stronę. Będziemy bliżej i może coś usłyszymy.

Cassiopeia pokazała na prawo.

- Ja pójde tędy. Na pewno jest stąd przejście do górnej części południowego transeptu. Wtedy będziemy po obu stronach.



SERCE VIKTORA BIŁO W PRZYŚPIESZONYM TEMPIE. NAJPIERW TA kobieta, a teraz rzekomy właściciel kopenhaskiego muzeum. Ten drugi mężczyzna też na pewno żyje. I prawdopodobnie jest gdzieś w pobliżu. Ale Thorvaldsen w ogóle nie zwrócił na niego uwagi.

Jakby go nie poznał.



ZOWASTINA PATrzyŁA NA THORVALDSENA PRZEZ CELOWNIK pistoletu.

- Rozumiem, że jest pani poganką - powiedział Duńczyk spokojnym głosem. - Ale czy naprawdę zastrzeliliby mnie pani tutaj, na ołtarzu chrześcijańskiej świątyni?

- Skąd znasz zagadkę Ptolemeusza?

- Od Ely'ego.

Zowastina opuściła broń i wbiła spojrzenie w nieznanego.

- Skąd go znasz?

- Był przyjacielem mojego syna. Przyjaźnili się od dziecka.

- Czemu tu przyszedłeś?

- A czemu odnalezienie grobu Aleksandra Wielkiego jest takie

ważne?

- Czy jest jakikolwiek powód, dla którego miałabym to z tobą omawiać?

- Przekonajmy się, może uda mi się pani taki przedstawić. Dysponuje pani teraz blisko trzydziestoma zoonozami, które wyhodowaliście z przeróżnych egzotycznych zwierząt skradzionych z ogrodów zoologicznych lub prywatnych kolekcji. Ma pani do swojej dyspozycji co najmniej dwa laboratoria pracujące nad bronią biologiczną. Jedno nadzoruje pani rząd, a drugie jest własnością Philogen Pharmaceutique, korporacji kontrolowanej przez Enrica Vincentiego. Oboje jesteście członkami Ligi Weneckiej. Czy udało mi się panią przekonać?

- Wciąż żyjesz, prawda?

Thorvaldsen uśmiechnął się z satysfakcją.

- Jestem bardzo wdzięczny. Dysponuje też pani sporą armią. Blisko milion żołnierzy. Sto trzydzieści myśliwców. Do tego samoloty transportowe, odpowiednie bazy i doskonała sieć komunikacyjna. Wszystko, czego może potrzebować despota z ambicjami.

Nie podobało jej się, że rozmowie przysłuchuje się Viktor, ale koniecznie chciała dowiedzieć się więcej, więc zwróciła się do niego z poleceniem.

- Sprawdź, co robią tamci dwaj ochroniarze, i upewnij się, że jesteśmy tu sami.



## TAMCI DWAJ?

Malone usłyszał te słowa, gdy zajmował pozycję za kamienną balustradą nad prezbiterium, na wysokości kilku pięter nad Zowastiną i Thorvaldsenem. Cassiopeia znajdowała się w odległości pięćdziesięciu metrów po drugiej stronie nawy, w południowym transepcie, na takiej samej wysokości.

Nie widział jej, ale miał nadzieję, że usłyszała to samo.



ZOWASTINA POCZEKAŁA, AŻ VIKTOR ODEJDZIE, A POTEM SPOJRZAŁA NA Thorvaldsena.

- Czy to, że chcę chronić mój naród, stanowi jakiś problem?

- „Obyście wrogów nie stali się łupem i łatwą zdobyczą, wtedy Achaje wasz ludny gród w perzynę obróca”.

- *Iliada*. Sarpedon do Hektora. Dobrze się pan przygotował. Ja również posłużę się cytatem: „Męstwa nie zabraknie z nas nikomu, jak tylko każdemu siły pozwolą”.

- Pani nie ma zamiaru niczego chronić. Przygotowuje się pani do ataku. Zoonozy to broń ofensywna. Iran, Afganistan, Pakistan, Indie. Tylko jeden człowiek zdołał je wszystkie pokonać. Aleksander Wielki. A i jemu udało się nad nimi panować zaledwie przez kilka lat. Od tamtej pory mimo wielu prób nikt nie powtórzył jego sukcesu. Nawet Amerykanie w Iraku. Ale pani, pani premier, ma zamiar prześcignąć ich wszystkich.

Miała przeciek, i to potężny. Powinna wrócić do domu i rozwiązać ten problem.

- Chce pani dokonać tego co Aleksander, tylko w odwrotnym kierunku. To nie Zachód zdobędzie Wschód, tym razem Wschód zdominuje Zachód. Chce pani podbić wszystkich swoich sąsiadów. I wierzy pani, że Zachód na to pani pozwoli, wierząc, że pozostanie pani ich sojusznikiem. Ale pani to nie wystarczy, prawda? Bliski Wschód i Arabia, ich też pani pragnie. Macie ropę. W byłym Kazachstanie jest jej mnóstwo. Ale większość sprzedajecie tanio do Rosji i Europy. Więc pragnie pani nowego źródła, które wzmocniłoby waszą pozycję na świecie. A pani zoonozy mogą to wszystko urzeczywistnić. Może pani zniszczyć dowolny naród w kilka dni. Rzucić go na kolana. Żadne z państw, które są pani potencjalnymi ofiarami, nie jest zbyt wprawne w walkach, a kiedy pani zarazki zrobią swoje, będą wręcz bezbronne.

Zowastina wciąż trzymała uniesioną broń.

- Zachód powinien się ucieszyć.

- Wolimy zło, które znamy. I wbrew temu, co sądzą państwa arabskie, Zachód nie jest ich wrogiem.

Wskazał na nią palcem.

- To pani nim jest.



MALONE UWAŻNIE SIĘ PRZYŚLUCHIWAŁ. THORVALDSEN NIE BYŁ idiotą, więc widocznie miał powód, by drażnić Zowastinę. Już samo to, że Duńczyk się tu znalazł, było niezwykle. Ostatnia podróż, w jaką się wybrał, to wyprawa do Austrii zeszłej jesieni. Jednakże był tutaj, wewnątrz włoskiej bazyliki, w środku nocy, wbijając szpile uzbrojonej despotce.

Malone obserwował, jak Viktor wychodzi z prezbiterium i kieruje się do południowego transeptu, poniżej miejsca, w którym znajdowała się Cassiopeia. Malone niepokoił się otwartą klatką schodową, która znajdowała się kilka metrów od niego i prowadziła na dół nawy. Skoro po tej stronie, w północnym transepcie, znajdowało się wejście, to pewnie po południowej stronie też jest taki portal, gdyż średniowieczni budowniczości nade wszystko cenili sobie symetrię.

Otaczały go nagie ceglane ściany, ozdobione dziełami sztuki, malowidłami, gobelinami i koronkami, wystawionymi w szklanych gablotach lub na stołach.

W oświetlonej klatce schodowej mignął jakiś cień i powiększając się, zatańczył na marmurowych ścianach.

Jeden z ochroniarzy Zowastiny.

Wchodził na piętro.

Szedł prosto na niego.



## PIĘĆDZIESIĄT TRZY

STEPHANIE SZŁA ZA MONSIGNORE MICHENEREM KORYTARZAMI biur diecezjalnych, aż dotarli do skromnego pomieszczenia, w którym pod portretem papieża w ozdobnej ramie siedział Edwin Davis.

- Wciąż chcesz skopać mi tyłek? - zapytał Davis.

Była zbyt zmęczona, żeby się kłócić.

- Co ty tu robisz?

- Próbuję zapobiec wybuchowi wojny.

Nie miała ochoty tego słuchać.

- Zdajesz sobie sprawę, że we wnętrzu tego kościoła może dojść do nieprzyjemnych zdarzeń?

- I właśnie dlatego ciebie tam nie ma.

Coś zaświtało jej w głowie.

- Malone'a i Cassiopeii możecie się wyprzeć.

- Mniej więcej. Nie mamy pojęcia, co Zowastina robi, ale nie chciałem, żeby była w to zaangażowana szefowa jednostki Magellan Billet.

Odwróciła się, żeby wyjść.

- Zostałbym tutaj, gdybym był na twoim miejscu.

- Odwał się, Edwin.

Michener zastąpił jej drogę w drzwiach.

- Pan też uczestniczy w tym szaleństwie?

- Tak jak wspominałem na zewnątrz, natknęliśmy się na coś i przekazaliśmy tam, gdzie mogło to kogoś zainteresować. Irina Zowastina stanowi zagrożenie dla świata.

- Ona planuje wojnę - powiedział Davis. - Zginą miliony ludzi, a ona właśnie zamierza to rozpocząć.

Stephanie odwróciła się.

- I zaryzykowała wycieczkę do Wenecji, żeby popatrzeć na zwłoki sprzed dwóch tysięcy lat? Co ona tutaj robi?

- Pewnie się irytuje - powiedział Michener.

Stephanie dostrzegła iskierkę rozbawienia w jego oczach.

- Wystawiliście ją?

Ksiądz potrząsnął głową.

- Sama to zrobiła.

- Ktoś tam w środku dostanie kulkę. Cassiopeia jest na skraju wyczerpania. Nie sądzicie, że strzały przyciągną uwagę tych wszystkich policjantów zgromadzonych na placu?

- Ściany bazyliki mają kilka metrów grubości - powiedział Michener.

- Są dźwiękoszczelne. Nikt nie będzie im przeszkadzał.

- Stephanie - powiedział Davis. - Nie jesteśmy pewni, dlaczego Zowastina zdecydowała się na tę podróż. Ale to na pewno coś ważnego. Pomyśleliśmy, że skoro tak jej zależy na tej wizycie, pójdziemy jej na rękę.

- Rozumiem. Wyszła ze swojej piaskownicy i przyszła pobawić się do waszej. Ale nie macie prawa narażać Malone'a i Cassiopeii.

- Daj spokój. Wcale tego nie robimy. Cassiopeia już wcześniej była w to zaangażowana, i to razem z Henrikiem Thorvaldsenem, a on z kolei wciągnął w to ciebie. A Malone? To duży chłopiec i może robić, na co ma ochotę. Jest tutaj, ponieważ tego chce.

- Macie nadzieję czegoś się dowiedzieć. Wyłowić jakąś informację.

- I używamy do tego jedynej przynęty, jaką dysponujemy. To ona chciała zajrzeć do tego grobowca.

Stephanie była zaskoczona.

- Wygląda na to, że znacie jej plany. Na co czekacie? Ruszajcie na nią. Zbombardujcie jej instalacje. Nałóżcie embargo. Zwiększcie polityczną presję.

- To nie jest takie proste. Mamy wyrywkowe informacje. I żadnych konkretnych dowodów. Nie mamy niczego, czego nie mogłaby się po prostu wyprzeć. Nie można bombardować laboratoriów biologicznych. A przede wszystkim nie wiemy wszystkiego. I dlatego potrzebujemy Malone'a i reszty.

- Edwin, ty nie znasz Malone'a. On nie lubi, gdy się nim

manipuluje.

- Wiemy, że Naomi Johns nie żyje.

Trzymał tę wiadomość na odpowiednią chwilę i faktycznie jego słowa odczuła jako cios w podbrzusze.

- Wsadzili ją do trumny razem z jakimś facetem, drobnym gangsterem z Florencji. Miała złamany kark, a on kulę w głowie.

- Vincenti? - zapytała Stephanie.

Davis skinął głową.

- On też jest w ruchu. Poleciał do Federacji Środkowoazjatyckiej. Nieplanowana wizyta.

Stephanie domyślała się, że Davis wie coś więcej.

- Właśnie porwał kobietę, którą Zowastina opiekuje się od roku. Miała z nią kiedyś romans.

- Zowastina jest lesbijką?

- Czy ta wiadomość nie wstrząsnęła by Zgromadzeniem Narodowym Federacji? Były ze sobą przez długi czas. Ale teraz jej była kochanka umiera na AIDS, a Vincenti najwyraźniej ma jakiś pomysł, jak to wykorzystać.

- I zapewne jest jakiś powód, dla którego pozwalacie Vincentiemu robić, co chce?

- On też coś planuje. I nie chodzi tu tylko o dostarczanie Zowastinie zarasków i odtrutek. Albo zapewnienie członkom Ligi Weneckiej bezpiecznego miejsca do prowadzenia interesów. Chcemy wiedzieć, do czego zmierza.

Stephanie czuła, że musi wyjść.

W drzwiach biura pojawił się jakiś ksiądz.

- Usłyszeliśmy z wnętrza bazyliki strzał.



GDY OCHRONIARZ STRZELIŁ, MALONE SKULIŁ SIĘ ZA JEDNĄ Z GABLOT. Próbował schować się, zanim tamten mężczyzna wejdzie na górę, ale najwyraźniej nie zdążył.

Kula uderzyła w jeden ze stołów, na którym rozłożono średniowieczne tekstylia. Laminowane drewno rozprysło się,

pozwalając Malone'owi ukryć się głębiej w cieniu. Echo wystrzału rozległo się po wnętrzu bazyliki i z pewnością zwróciło uwagę wszystkich obecnych.

Malone zakradł się po śliskiej drewnianej podłodze i ukrył za długą gablotą z malowidłami na drewnie i ilustrowanymi manuskryptami. Broń miał odbezpieczoną.

Musiał tylko wciągnąć ochroniarza w głąb transeptu.

To nie powinno być trudne.

Słyszał zbliżające się kroki.



ZOWASTINA USŁYSZAŁA STRZAŁ, KTÓRY PADŁ W GÓRNEJ części północnego transeptu. Zauważyła jakiś ruch po swojej prawej stronie, za kamienną balustradą, i dostrzegła głowę jednego ze swoich ochroniarzy.

- Nie przyszedłem tutaj sam - stwierdził Thorvaldsen.

Wciąż trzymała pistolet wycelowany w Duńczyka.

- Na placu aż roi się od policji. Trudno będzie się pani stąd wydostać. Jest pani głową państwa w obcym kraju. Naprawdę chce mnie pani zastrzelić? - Henrik zrobił przerwę. - A co zrobiłby Aleksander Wielki?

Nie potrafiła stwierdzić, czy mówi poważnie, czy stroi sobie z niej żarty, ale знаła odpowiedź na to pytanie.

- Zabiłby cię.

Thorvaldsen zmienił pozycję, przesuując się na jej lewą stronę.

- Nie zgadzam się. Był wspaniałym taktykiem. I był sprytny. Weźmy za przykład słynny węzeł gordyjski.

Zowastina zawołała:

- Co się tam dzieje u góry?

Ochroniarz nie odpowiedział.

- We wsi Gordium - kontynuował Thorvaldsen - splątany węzeł łączył jarzmo i dyszel starego królewskiego wozu. Nikt nie potrafił go rozplątać. Z wyzwaniem tym Aleksander poradził sobie, po prostu przecinając węzeł mieczem, a potem

rozplątując resztki. Proste rozwiązanie skomplikowanego problemu.

- Za dużo mówisz.

- Aleksander nie pozwalał, by zamieszanie wpływało na jego myślenie.

- Viktor! - zawołała Zowastina.

- Oczywiście - mówił dalej Thorvaldsen - istnieje wiele różnych wersji opowieści o węźle gordyjskim. Według jednej z nich Aleksander wyciągnął dyszel związany z jarzmem, znalazł końce węzła i po prostu go rozwiązał. Kto wie, jak było naprawdę?

Zowastina była zmęczona wywodami staruszka.

Głowa państwa czy nie, nieważne.

Pociągnęła za spust.

## PIĘĆDZIESIĄT CZTERY

### **SAMARKANDA, FEDERACJA ŚRODKOWOAZJATYCKA**

*Vincenti pamiętał pierwsze objawy. Najpierw wydawało się, że to zwykle przeziębienie, potem pomyślał, że to grypa, ale wkrótce wiadomo było, że to atak śmiertelnego wirusa.*

*Skażenie.*

*- Czy ja umrę? - zawołał Charlie Easton ze swojej pryczy. - Do cholery, chcę to wiedzieć. Mów.*

*Otarł kompletnie mokre czoło Eastona wilgotną ściereczką, co robił już od godziny, i powiedział cichym głosem:*

*- Musisz się uspokoić.*

*- Nie ściemniaj mi tutaj. To koniec, tak?*

*Przez trzy lata pracowali ramię w ramię. Nie było sensu robić uników.*

*- Nic nie mogę poradzić.*

*- Cholera. Wiedziałem. Musisz sprowadzić pomoc.*

*- Wiesz, że nie mogę.*

*To Irakijczycy i Sowieci wybrali to odległe miejsce na laboratorium. Zachowanie tajemnicy było priorytetem. A cena za ową dyskrecję była w przypadku jakiegokolwiek błędu niezwykle wysoka. Właśnie do takiego błędu doszło.*

*Easton szarpnął łóżkiem polowym, mimo że był do niego przywiązany za ręce i nogi.*

*- Przetnij te sznury. Wypuść mnie stąd.*

*Vincenti związał tego idiotę, bo wiedział, że nie mają wyboru.*

*- Nie możemy opuścić laboratorium.*

*- Pieprzę procedury. I ciebie też. Rozwiąż mnie.*

*Ciało Eastona usztywniło się, oddychał z trudem, a potem poddał się gorączce i stracił przytomność.*

*Wreszcie.*

*Vincenti odwrócił się od pryczy i sięgnął po notatnik, który zaczął wypełniać trzy tygodnie temu. Na pierwszej stronie widniało nazwisko partnera. Opisywał stopniową zmianę barwy skóry. Najpierw normalna, potem zażółcona, a w końcu sina tak, że mężczyzna już teraz wydawał się martwy. Niezwykle szybka utrata wagi, w sumie dwadzieścia kilogramów, w tym pięć w ciągu dwóch dni, codzienne spożycie pokarmów ograniczyło się do odrobiny ciepłej wody i kilku łyków alkoholu.*

*I ta gorączka.*

*Obłądna, ciągle 39,5 stopnia, czasem nawet więcej, Easton więcej wody wypacał, niż przyjmował, jego ciało wręcz wyparowywało na oczach Vincentiego. Od lat wykorzystywali do badań zwierzęta, Bagdad dostarczał im całe stada gibbonów, pawianów, koczokodanów, gryzoni i gadów. Ale tym razem po raz pierwszy można było obserwować efekty działania wirusa u człowieka.*

*Przyjrzał się partnerowi. Easton oddychał z coraz większym trudem, w gardle charczał śluz, pojawiające się na skórze krople potu przypominały krople deszczu. Vincenti zapisał wszystkie objawy w dzienniku, a potem schował długopis do kieszeni. Wstał i spróbował rozruszać trochę zdrętwiałe nogi. Poczłapał do drzwi i wyszedł w rześką noc. Zastanawiał się, ile jeszcze wytrzyma wyniszczone ciało Eastona.*

*I co potem zrobi ze zwłokami?*

*Nie było żadnej procedury dotyczącej tego rodzaju wypadków, więc będzie musiał improwizować. Na szczęście w budynku laboratorium przewidziano piec do spalania ciał zwierząt wykorzystywanych do eksperymentów. Będzie musiał pogłówkować, jak spalić w nim o wiele większe ciało człowieka.*

*- Widzę anioły. Są tutaj. Wszędzie wokół - krzyknął z pryczy Easton.*

*Vincenti wszedł z powrotem do środka.*

*Easton nic już nie widział. Vincenti nie miał pojęcia, czy to skutek gorączki, czy też jakaś wtórna infekcja doprowadziła*

do zniszczenia siatkówki.

- I Bóg tu jest. Widzę Go.

- Oczywiście, Charlie. Na pewno tak jest.

Vincenti zmierzył mu tętno. Krew mocno pulsowała w tętnicy szyjnej. Posłuchał serca, które waliło niczym głośny bęben. Zmierzył ciśnienie. Na skraju zapaści. Temperatura cały czas wynosiła 39,5.

- Co ja powiem Bogu? - zapytał Easton.

Vincenti spojrział na chorego.

- Po prostu się przywitaj.

Przysunął sobie bliżej krzesło i obserwował, jak jego partner umiera. Koniec nastąpił dwadzieścia minut później i nie był ani gwałtowny, ani bolesny. Po prostu ostatni wdech. Długi i głęboki. I już.

Vincenti zapisał w dzienniku datę i godzinę, a potem pobrał próbki krwi i tkanek. Następnie owinął ciało cienkim materacem i przeпоconą pościelą i przeniósł cuchnący pakunek z budynku laboratorium do sąsiadującej z nim wiaty. Miał tam przygotowany skalpel, ostry niczym brzytwa, oraz piłę chirurgiczną. Włożył parę grubych gumowych rękawic i odciął nogi od tułowia. Wyniszczone ciało łatwo poddawało się cięciom, kości były kruche, a mięśnie stawiały równie silny opór jak mięso gotowanego kurczaka. Vincenti odciął ramiona i wetknął wszystkie cztery kończyny do pieca. Obojętnie przyglądał się, jak trawi je ogień. Pozbawiony kończyn tułów z głową bez problemu przeszedł przez żelazne drzwiczki. Vincenti pociął zakrwawiony materac na cztery części i szybko wepchnął go razem z pościelą i rękawiczkami do ognia.

Zatrzasnął drzwiczki i chwiejnym krokiem wyszedł na zewnątrz.

Nareszcie koniec.

Padł na skalistą ziemię i zapatrzył się w noc. Na ciemnoniebieskim tle górskiego nieba wznosił się ciemny cień ceglanego komina spalarni. Wydobywał się z niego dym cuchnący ludzkimi włoskami.

Vincenti wyciągnął się i z zadowoleniem zapadł w sen.



Vincenti przypomniał sobie tamten sen sprzed dwudziestu pięciu lat. I Irak. Co za piekło. Bieda i upał. Samotne, odludne miejsce. I co stwierdziła komisja ONZ po pierwszej wojnie w Zatoce? „Biorąc pod uwagę założone cele, instalacje były zupełnie archaiczne, jednakże w owym burzliwym okresie uznawano je za szczytowe osiągnięcie”. Taa... Ci inspektorzy nawet nie dotarli na miejsce. A on tam był. Młody, szczupły, z jeszcze owłosioną głową pełną pomysłów. Przemądrzały wirusolog. Jego i Eastona przydzielono do odległego laboratorium w Tadżykistanie. Pracowali tam w jednostce ukrytej u stóp gór Pamiru w porozumieniu z Sowietami, którzy kontrolowali ten region.

Iluż przeróżnych wirusów i bakterii szukali. Stworzonych przez samą naturę organizmów, które można by wykorzystać jako broń biologiczną. Czegoś, co zniszczyłoby wroga, a jednocześnie pozwoliło zachować cenną infrastrukturę. Bez konieczności bombardowań, marnowania amunicji, ryzyka skażenia nuklearnego czy narażania własnych oddziałów. Mikroskopijne organizmy mogły wykonać najcięższą robotę. Najprostsza biologia jako katalizator przyśpieszający nieuchronny podbój.

Kryteria dotyczące ich odkryć były proste. Musiał to być organizm, który działa szybko, pozwala się zidentyfikować oraz kontrolować, a przede wszystkim taki, którego działaniu można zapobiec. Odrzucali setki szczepów tylko dlatego, że praktycznie nie istniał żaden sposób, by je powstrzymać. A jaki sens miało zarażanie wroga, jeśli nie było sposobu ochrony własnej populacji? Wszystkie cztery kryteria musiały zostać spełnione jeszcze przed skatalogowaniem próbki. Przez gęste sito udało się przejść dwudziestu organizmom.

Vincenti nie wierzył w doniesienia prasowe po wprowadzeniu konwencji o zakazie broni biologicznej z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku. Stany Zjednoczone rzekomo wycofały się z prac nad taką bronią i zniszczyły cały swój arsenał. Wojskowi nie zrezygnowaliby z efektów wieloletnich

badań tylko dlatego, że kilku polityków ubzdurало sobie, że tak właśnie trzeba. Vincenti był pewien, że przynajmniej kilka takich organizmów było wciąż przechowywanych w chłodniach jakiejś nierzu-cającej się w oczy instytucji wojskowej.

Sam osobiście odkrył sześć patogenów, które spełniały wszystkie wymagane kryteria.

Natomiast próbka 65-G nie spełniała żadnego.

Po raz pierwszy natknął się na ten patogen w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym, w krwiobiegu koczokodanów, które dostarczono do badań. W zwykłym laboratorium nie zostałyby wykryty, ale on znalazł go dzięki swojemu specjalistycznemu wykształceniu wirusologicznemu oraz wyposażeniu laboratoryjnemu, jakie zapewnili Irakijczycy. Dziwny organizm, kula wypełniona RNA i enzymami. W kontakcie z powietrzem ginął. W wodzie zapadały się jego ściany. Uwielbiał za to ciepłe osocze i zamieszkiwał ciało prawie wszystkich koczokodanów, które trafiły w ręce Vincentiego.

Ale żadna z małp nie miała objawów infekcji.

Co innego Charlie Easton. Cholerny głupiec. Dwa lata temu ugryzła go jedna z małp, ale on nikomu o tym nie powiedział. Zrobił to dopiero na trzy tygodnie przed śmiercią, gdy pojawiły się pierwsze objawy. Badanie próbki krwi potwierdziło, że jest zakażony 65-G. Vincenti wykorzystał chorobę Eastona do zbadania wpływu wirusa na organizm ludzki i stwierdził, że ten patogen nie nadaje się na broń biologiczną. Jest zbyt nieprzewidywalny, chaotyczny i działa o wiele za wolno na potrzeby masowego ataku.

Vincenti potrzęsnał głową.

Ależ był ignorantem.

To cud, że sam przeżył.

Był już z powrotem w swoim apartamencie w hotelu Intercontinental. Świt zawitał już do Samarkandy. Wiedział, że powinien odpocząć, ale wciąż roznosiła go energia po spotkaniu z Karyn Walde.

Znów pomyślał o starym uzdrowiaczu.

To był rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty czy tysiąc

dziewięćset osiemdziesiąty pierwszy?

W górach Pamiru, mniej więcej dwa tygodnie przed śmiercią Eastona. Wcześniej był w tej wiosce kilkakrotnie, starając się dowiedzieć jak najwięcej. Dziś ten starzec zapewne od dawna nie żyje. Już wtedy był w zaawansowanym wieku.

Ale wtedy...

*Starzec bosymi stopami o stwardniałych podeszwach ze zwinnością kota wspinał się po brunatnym stoku. Vincenti szedł za nim i mimo wysokich sznurowanych butów odczuwał ból kostek i palców stóp.*

*Tu nie było ani kawałka płaskiego gruntu. Odlamki skał były wszędzie, ostre i bezlitosne. Znajdowali się w odległości około półtora kilometra od wioski położonej niemal tysiąc metrów nad poziomem morza, a ich wędrówka prowadziła jeszcze wyżej.*

*Przewodnik był miejscowym uzdrowicielem, połączeniem lekarza rodzinnego, kapłana, wróżbity i czarownika. Znał tylko kilka angielskich słów, za to posługiwał się znośnym chińskim i tureckim. Ze swoimi europejskimi rysami twarzy i rozwidloną mongolską brodą wyglądał prawie jak krasnal. Miał na sobie wyszywaną złotą nicią pikowaną kurtkę i jasną czapkę. W wiosce Vincenti widział, jak leczy mieszkańców wywarem z korzeni i roślin, podawanym skrupulatnie zgodnie z doświadczeniem wypływającym z dziesięcioleci prób i błędów.*

*- Dokąd idziemy? - zapytał w końcu Vincenti.*

*- Odpowiedzieć na twoje pytanie i znaleźć coś, co powstrzyma gorączkę u twojego przyjaciela.*

*Wokół nich krąg białych szczytów tworzył galerię o niebotycznej wysokości. Z najwyższych wierzchołków spływały burzowe chmury. Pasma srebra i jesiennych czerwieni oraz gęste kępy orzechów włoskich nadawały kolorytu tej martwej skądinąd scenie. Gdzieś w oddali słychać było szmer wody.*

*Dotarli na występ skalny i Vincenti ruszył za starcem przez*

ciemnoczerwoną szczelinę w skale. Wiedział, że góry wokół niego wciąż ulegają procesom tektonicznym, rosnąc rocznie o ponad sześć centymetrów.

Weszli do owalnej jaskini, której ściany zasypane były skalnymi odłamkami. Wewnątrz było dość ciemno, więc wyciągnął latarkę, którą starzec kazał mu wziąć ze sobą.

W skalnym podłożu znajdowały się dwa zbiorniki wodne, każdy o średnicy około trzech metrów. W jednym z nich bulgotała woda z ciepłego źródła. Vincenti poświecił latarką i dostrzegł, że woda w obu zbiornikach różni się kolorem. W aktywnym zbiorniku była rudobrzazowa, w tym drugim o spokojnej tafli - zielonka-woniebieska.

- Choroba, którą opisałeś, nie jest nowa - powiedział starzec.

- Od pokoleń wiadomo, że tę gorączkę przenoszą zwierzęta.

Wysłano go tutaj właśnie po to, by dowiedział się czegoś więcej o jakach, owcach i olbrzymich niedźwiedziach.

- A skąd to wiecie?

- Z obserwacji. Ale ludzie zarażają się od nich tylko czasami. Jeśli twój przyjaciel choruje na tę gorączkę, to mu pomoże. - Starzec wskazał na zielony zbiornik, na którego powierzchni unosiły się jakieś rośliny. Przypominały lilie wodne, lecz były bujniejsze, a kwiaty sięgały wysoko po cenne drobiny słonecznego światła. - Uratują go te liście. Musi je żuć.

Vincenti zanurzył dwa palce w wodzie i uniósł je do ust. Bez smaku. A spodziewał się posmaku węgla, charakterystycznego dla źródeł w tej okolicy.

Mężczyzna ukląkł, zaczerpnął dłonią wody i napił się.

- Jest smaczna - powiedział z uśmiechem.

Vincenti spróbował. Ciepła, świeża, przypominająca herbatę. Napił się więcej.

- Te liście go uleczą.

Musiał dowiedzieć się więcej.

- Czy to nie jest popularna roślina?

Starzec skinął głową.

- Ale działają tylko liście z tego zbiornika.

- A to czemu?

- Nie wiem. Może taka jest wola bogów.

Vincenti miał co do tego wątpliwości.

- Czy w innych wioskach też ją znają? Inni uzdrowiciele?

- Tylko ja używam tej rośliny.

Vincenti sięgnął ręką i przyciągnął jedną z roślin bliżej, by poddać ją badaniu. Roślina naczyniowa, łodyga i liście w kształcie tarczy pokryte skomplikowanym systemem żyłek. Osiem grubych i miękkich przylistków otaczało środek rośliny, tworząc pływającą platformę. Skórka ciemnozielona, a ścianki liści pełne glukozy. Krótka łodyga wystająca ze środka prawdopodobnie tworzyła powierzchnię fotosyntetyzującą ze względu na ograniczoną powierzchnię liści. Miękkie białe płatki kwiatu układały się w okółek i nie wydzielaly żadnego zapachu.

Vincenti zajrzał pod spód. Ogon włóknistych brunatnych korzeni sięgał głęboko w wodę w poszukiwaniu składników odżywczych.

Wszystko wskazywało na to, że ten gatunek doskonale przystosował się do miejscowych warunków.

- Skąd wiesz, że te liście działają?

- Ojciec mi powiedział.

Vincenti uniósł roślinę ponad powierzchnię wody, trzymając ją w dłoniach. Ciepłe strumyki przesączały mu się przez palce.

- Liście trzeba żuć aż do końca i połykać sok.

Vincenti oderwał kawałek liścia i uniósł do ust. Patrzył na starca, w którego oczach odbijał się spokój i pewność siebie. Włożył liść do ust i zaczął żuć. Miały ostry, cierpki smak przypominający alun albo tytoń.

Przełknął wydzielający się sok, niemal się przy tym krztusząc.

## PIĘĆDZIESIĄT PIĘĆ

### WENECJA

UWAGĘ CASSIOPEII PRZYCIĄGNĘŁO NAJPIERW TO, CO DZIAŁO SIĘ po drugiej stronie nawy w północnym transepcie. Ktoś strzelał do Malone'a. Ponad sięgającą pasa balustradą dojrzała głowę i klatkę piersiową jednego z ochroniarzy, ale Malone'a nigdzie nie było widać. Potem zobaczyła, jak Zowastina strzela z pistoletu, a kula odłupuje kawałek marmurowej podłogi kilka centymetrów od Thorvaldsena. Duńczyk ani drgnął.

Ułamek sekundy później jej uwagę przyciągnął jakiś ruch po prawej stronie. Pod łukiem klatki schodowej ukazał się mężczyzna z bronią w ręku. Dostrzegł ją i uniósł broń, ale nie zdążył wystrzelić.

Cassiopeia trafiła go prosto w pierś.

Odchylił się do tyłu, wymachując ramionami. Kolejny celny strzał Cassiopeii zakończył sprawę. Po drugiej stronie nawy, w odległości czterdziestu metrów, dostrzegła drugiego ochroniarza, który wchodził w głąb muzealnej wystawy. Cassiopeia zdjęła z ramienia łuk i wyjęła strzałę, ale najpierw odeszła od balustrady, żeby Zowastina nie mogła jej trafić.

Cassiopeia była zaniepokojona. Tuż przed pojawieniem się napastnika Viktor zniknął poniżej w dole transeptu. Dokąd on poszedł?

Przyłożyła strzałę do cięciwy i mocno przytrzymała łuk.

Naciągnęła cięciwę.

Ochroniarz pojawiał się i zniknął w półmroku przeciwległego transeptu.



MALONE CZEKAŁ. BROŃ MIAŁ W POGOTOWIU, WYSTARCZYŁO, BY ochroniarz podszedł kilka kroków bliżej. Chowając się w cieniu, udało mu się wycofać za jedną z gablot. Jego kroki na drewnianej podłodze zagłuszyły trzy wystrzały dochodzące skądś z nawy. Odbijające się echo uniemożliwiało dokładne określenie, skąd dobiegały. Malone naprawdę nie miał ochoty strzelać do tego ochroniarza.

Antykwariusze raczej nie zabijają ludzi.

Ale wątpił, by miał jakikolwiek wybór.

Wciągnął powietrze i zaczął zmieniać pozycję.



ZOWASTINA WCIAŻ PATrzyŁA NA HENRIKA THORVALDSENA, a w górze wybuchały kolejne strzały. Jej trzydzieści minut sam na sam z sarkofagiem przekształciło się w zatłoczoną i hałaśliwą imprezę.

Thorvaldsen wskazał na drewniane pudełko leżące na podłodze.

- To nie było to, czego się pani spodziewała?

Zdecydowała się na szczerość.

- Warto było spróbować.

- Zagadka Ptolemeusza może być mistyfikacją. Poszukiwania szczątków Aleksandra Wielkiego trwają od piętnastu stuleci i jak dotąd okazały się bezowocne.

- A czy ktokolwiek wierzy, że w tym pudełku są szczątki świętego Marka?

Thorvaldsen wzruszył ramionami.

- Na pewno całe mnóstwo Wenecjan.

Zowastina wiedziała, że powinna opuścić to miejsce, więc zawołała:

- Viktor!

- Ma pani kłopoty, pani premier? - zapytał jakiś obcy głos.

Michener.

Książd wszedł do oświetlonego prezbiterium. Zowastina wycelowała w niego broń.

- Okłamał mnie pan.



MALONE PRZESUWAŁ się w LEWO, PODCZAS GDY OCHRONIARZ SZEDŁ wzdłuż balustrady w prawo. Ominął drewnianego lwa, stanowiącego ozdobę rzeźbionego książęcego tronu, i przykucnął za sięgającą pasa gablotą z gobelinami, która oddzielała go od przeciwnika.

Podbiegł, chcąc zająć ochroniarza od tyłu, zanim ten zdąży zareagować.

Dotarł do końca gabloty, zakręcił i przygotował się do działania.

Nagle klatkę piersiową ochroniarza przeszła strzała. Ranny mężczyzna głęboko wciągnął powietrze. Malone dostrzegł wyraz zaskoczenia na jego twarzy, gdy próbował chwycić wbity strzałę. Gdy jego ciało osunęło się na podłogę, już nie żył.

Malone szybko odwrócił głowę w lewo.

Po drugiej stronie nawy stała Cassiopeia z łukiem w ręku. Jej pozbawiona wyrazu twarz zastygła niczym maska. Za nią wysoko na zewnętrznej ścianie bazyliki widniało pogrążone w mroku okno rozetowe. Tuż pod nim pojawił się Viktor i ruszył w stronę Cassiopeii, unosząc broń na wysokość ramienia.



ZOWASTINA BYŁA ZŁA.

- Pan wiedział, że w tym grobowcu nic nie ma - powiedziała do Michenera.

- Skąd miałbym to wiedzieć? Nie otwierano go od stu siedemdziesięciu lat.

- Może pan przekazać swojemu papieżowi, że nie wpuszczę



waszego Kościoła do Federacji bez względu na postanowienia konkordatu.

- Przekażę.

Zowastina zwróciła się do Thorvaldsena.

- Nie przypominam sobie, by wspomniał pan w końcu, po co tu w ogóle się pojawił.

- Żeby panią powstrzymać.

- To będzie trudne.

- Zobaczmy. Musi pani jakoś wyjść z tego kościoła, a do lotniska jest spory kawałek drogi.

Uświadomiła sobie, że doskonale wybrali miejsce na pułapkę. A dokładniej biorąc, pozwolili, by sama je sobie wybrała. Wenecja. Miasto otoczone wodą. Żadnych samochodów, autobusów czy pociągów. Tylko te powolne łodzie. Wyjazd stąd rzeczywiście może stanowić problem. Ile płynie się do lotniska? Godzinę?

Pewność w spojrzeniach obu mężczyzn stojących pięć metrów od niej jeszcze pogarszała sprawę.



VIKTOR PODSZEDŁ DO KOBIETY Z ŁUKIEM. TEJ, KTÓRA ZABIŁA Rafaela. A przed chwilą przeszła strzałą kolejnego ochroniarza w przeciwległym transepcie. Powinien ją zabić, ale uznał, że to byłoby nierozsądne. Przysłuchiwał się rozmowie Zowastiny i wiedział, że sytuacja nie rozwija się dobrze. Żeby móc stąd wyjść, musieli mieć jakieś zabezpieczenie. Przytknął więc lufę pistoletu do jej karku.

Kobieta nie poruszyła się.

- Powinienem cię zastrzelić - warknął.

- I co by ci to dało?

- Ale wyrównałbym rachunki.

- To ja je wyrównałam. Twój partner zapłacił za Ely'ego.

Opanował rosnący w sobie gniew i zmusił się do myślenia. Zaświtał mu pewien pomysł. Sposób na opanowanie całej tej sytuacji.

- Podejdz do balustrady. Powoli.

Cassiopeia przesunęła się trzy kroki do przodu.

- Pani premier - zawołał Viktor znad balustrady.

Wyrztał zza zakładniczki i zobaczył, że Zowastina patrzy w górę, cały czas mierząc z broni w kierunku dwóch stojących obok niej mężczyzn.

- Ta zakładniczka będzie naszą przepustką - powiedział.

- Doskonały pomysł, Viktorze.

- Ona nie ma pojęcia, jakiego bałaganu narobiłeś, prawda? - wyszeptła kobieta z łukiem.

- Umrzesz, zanim zdążysz cokolwiek powiedzieć.

- Nie martw się. Nie pisnę ani słówka.



MALONE WIDZIAŁ, co się dzieje z Cassiopeią. skoczył do balustrady i wycelował pistolet na drugą stronę nawy.

- Rzuć broń - krzyknął Viktor.

Malone zignorował polecenie.

- Zrobiłabym, co mówi - powiedziała z dołu Zowastina, wciąż mierząc do Thorvaldsena i Michenera. - Albo ja zastrzelę tych dwóch.

- Premier Federacji Środkowoazjatyckiej dokonująca zabójstwa we Włoszech? Trudno mi w to uwierzyć.

- To prawda - przyznała Zowastina. - Ale Viktor z łatwością zabije tamtą kobietę, a mnie to nie zaszkodzi.

- Rzuć broń - powiedziała Cassiopeia.

Malone wiedział, że robi głupstwo, jeśli jej posłucha. Powinien wycofać się w mrok i wciąż stanowić dla nich zagrożenie.

- Cottonie - powiedział z dołu Thorvaldsen. - Zrób, co mówi Cassiopeia. Musiał wierzyć w to, że dwójka jego przyjaciół wie, co robi. Błąd?

Prawdopodobnie. Ale zdarzało mu się popełniać większe błędy.

Pozwolił, by broń wyslizgnęła mu się z dłoni za balustradę.



- SPROWADŹ JĄ NA DÓŁ! - ZOWASTINA KRZYKNEŁA DO VIKTORA.

- Ty też tu zejdz - zwróciła się do mężczyzny, który właśnie rzucił broń.

Nie ruszył się.

- Proszę cię, Cottonie - powiedział Thorvaldsen. - Rób, co każe.

Mężczyzna zawahał się, ale po chwili zniknął znad balustrady.

- Jest pod twoją komendą?

- Nie jest pod niczyją komendą.

Viktor i zakładniczka weszli do prezbiterium. Mężczyzna, któremu Thorvaldsen kazał zejść na dół, pojawił się zaraz za nimi.

- Kim jesteś? - zapytała go Zowastina. - Thorvaldsen mówi do ciebie Cotton.

- Nazywam się Malone.

- A ty? - Zowastina zwróciła się do kobiety z łukiem.

- Jestem przyjaciółką Ely'ego Lunda.

Co się tu dzieje? Zowastina musiała się tego dowiedzieć, więc zastanowiła się szybko i wskazała na zakładniczkę Viktora.

- Ona pójdzie ze mną. Żeby zapewnić mi bezpieczny wyjazd.

- Pani premier - powiedział Viktor. - Myślę, że lepiej byłoby, gdyby została tutaj ze mną. Zatrzymam ją aż do czasu, gdy będzie pani daleko.

Zowastina potrząsnęła głową i wskazała na Thorvaldsena.

- Weź jego. Zabierz go w jakieś bezpieczne miejsce. Jak będę już lecieć, zadzwonię do ciebie i będziesz go mógł wypuścić. W razie jakichkolwiek problemów po prostu zabij go i upewnij się, że nigdy nie znajdą jego ciała.

- Pani premier - wtrącił się Michener. - Ponieważ to ja jestem przyczyną tego całego chaosu, może mnie weźcie na zakładnika, a tego dżentelmena nie będziemy do tego mieszać.

- Niech pani weźmie mnie zamiast niej - powiedział Malone. -

Nie miałem jeszcze okazji odwiedzić Federacji Środkowoazjatyckiej.

Zowastina przyjrzała się Amerykaninowi. Wysoki i pewny siebie. Pewnie agent. Ale ona musiała dowiedzieć się czegoś więcej o związkach tej kobiety z Elym Lundem. Ktoś, kto był z Lundem na tyle blisko, by ryzykować życie, żeby go pomścić, wymagał bliższego poznania. Ale jeśli chodzi o Michenera... Miała nadzieję, że Viktor będzie miał okazję, zabić tego wrednego łgarza.

- Okay, księżulku. Pójdiesz z Viktorem. A jeśli chodzi o pana, panie Malone, to może innym razem.

## PIĘCDZIESIĄT SZEŚĆ

### **SAMARKANDA, FEDERACJA ŚRODKOWOAZJATYCKA**

VINCENTI OBUDZIŁ SIĘ Z DRZEMKI.

Leżał na wygodnym skórzanym fotelu w helikopterze. Lecieli na wschód, oddalając się od miasta.

Vincenti poczuł wibrowanie leżącej na jego kolanach komórki. Popatrzył na ciekłokrystaliczny wyświetlacz. Grant Lyndsey. Główny naukowiec z jego chińskiego laboratorium. Wetknął słuchawkę do ucha i wybrał „Połącz”.

- Skończyliśmy - powiedział pracownik. - Wszystkie patogeny przekazano Zowastynie, a laboratorium zostało ponownie zaadaptowane. Jest czyste i gotowe.

W obliczu planów Zowastiny nie miał najmniejszej ochoty na to, by Zachód albo chiński rząd zrobili nalot na jego laboratorium i mogli go z czymkolwiek powiązać. Nad projektem pracowało tylko ośmiu naukowców pod wodzą Lyndseya. Teraz nie pozostał już nawet ślad po ich działalności.

- Zapłać wszystkim i roześlij do domów. O’Conner odwiedzi ich później i zadba o sprawy emerytalne. - Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza. - Nie martw się, Grant. Zabierz dane z komputerów i przyjedź do mojego domu po drugiej stronie granicy. Zanim zaczniemy działać, będziemy musieli poczekać i zobaczyć, co pani premier faktycznie zrobi ze swoim arsenałem.

- Już wyruszam.

To właśnie chciał usłyszeć.

- Do zobaczenia przed zmrokiem. Mamy sporo pracy. Śpiesz się.

Wyłączył telefon i odłożył go na fotel.

Ponownie pomyślał o starym karle w górach Pamiru. W tamtych czasach Tadżykistan był prymitywnym i nieprzyjaznym krajem. Prawie w ogóle nie prowadzono w nim badań medycznych. Niewielu było gości z zagranicy. I dlatego właśnie Irakijczycy uznali, że ten rejon to świetne miejsce do badań nad nieznanymi chorobami odzwierzęcymi.

Dwa zbiorniki wodne ukryte wysoko w górach.

Jeden zielony, drugi brunatny.

I roślina, której liście żuł.

Przypomniał sobie tamtą wodę. Ciepła i przejrzysta. Ale gdy skierował na nią światło latarki, zobaczył coś dziwnego.

Dwie wyrzeźbione litery. Po jednej w każdym zbiorniku.

Z i H.

Wyrzeźbione w kawałkach skały i leżące na dnie zbiorników.

Pomyślał o monecie, którą Stephanie Nelle uznała za stosowne mu pokazać. Jedną z kilku, które najwyraźniej pragnęła zdobyć Irina Zowastina.

I mikroskopijne litery na jej awersie.

ZH.

Przypadek? Wątpił w to. Wiedział, co oznaczają te litery, ponieważ znalazł specjalistów od starożytnej greki, którzy powiedzieli mu, że reprezentują one ideę życia. Uważał, że wpadł na świetny pomysł, by tak samo nazwać w przyszłości lek przeciwko HIV. Ale teraz nie był już tego taki pewien. Miał wrażenie, jakby jego świat się rozpadał, a anonimowość, którą tak sobie cenił, zaczęła się nagle rozplýwać. Amerykanie byli na jego tropie. Tak samo Zowastina. A wkrótce dołączy do nich Liga Wenecka.

Ale on już rzucił kości.

Nie było odwrotu.



MALONE PATrzył RAZ NA THORVALDSENA, RAZ NA CASSIOPEIĘ. Żadne z jego przyjaciół nie zdawało się przejmować zaistniałą sytuacją. Mogli jeszcze zaatakować

Zowastinę i Viktora. Próbował zasugerować to wzrokiem, ale żadne z jego przyjaciół nie zwróciło na niego uwagi.

- Nie boję się waszego papieża - powiedziała Zowastina do Miche-nera.

- Straszanie kogokolwiek nie jest naszym celem.

- Jest pan zwykłym hipokrytą.

Michener nie odpowiedział.

- Niewiele ma pan do powiedzenia, co? - zapytała.

- Będę się za panią modlił, pani premier.

Splunęła mu pod stopy.

- Nie potrzebuję twoich modłów, księżulku. - Skinęła na Cassiopeię.

- Pora ruszać. Zostaw łuk i strzały, nie będziesz ich już potrzebować.

Cassiopeia rzuciła broń na podłogę.

- To jej pistolet - powiedział Viktor, przekazując broń.

- Zadzwoń, jak już będziemy daleko. Jeśli nie dam znać w ciągu najbliższych trzech godzin, zabij księdza. I jeszcze coś, Viktorze. - Zowastina zrobiła przerwę. - Postaraj się, żeby cierpiał.

Viktor i Michener wyszli z prezbiterium i weszli w pograżoną w mroku nawę.

- Idziemy. - Zowastina zwróciła się do Cassiopeii. - Mam nadzieję, że będziesz się odpowiednio zachowywać?

- Raczej nie mam wyboru.

- Ksiądz na pewno to doceni.

Obie kobiety opuściły prezbiterium.

Malone zwrócił się do Thorvaldsena.

- I tak sobie po prostu wyjdą, a my nie zareagujemy?

- Tak musiało być - powiedziała Stephanie, wychodząc z cienia południowego transeptu wraz z jakimś człowiekiem. Przedstawiła tego szczupłego mężczyznę jako Edwina Davisa, zastępcę doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego prezydenta. To on wcześniej rozmawiał z nią przez komórkę. Wszystko w nim było schludne i wyważone, od wyprasowanych spodni i bawełnianej koszuli aż po błyszczące buty z cielejącej skóry z wąskimi noskami. Malone, ignorując go, zwrócił się do

Stephanie:

- Dlaczego tak musiało być?

Odpowiedział mu Thorvaldsen.

- Nie byliśmy pewni, co się wydarzy. Tylko chcieliśmy, żeby coś się wydarzyło.

- Chciałeś, żeby zabrali Cassiopeię?

Thorvaldsen potrząsnął głową.

- Nie. Ale Cassiopeia najwyraźniej tak. Widziałem to w jej spojrzeniu, więc skorzystałem z okazji i pomogłem jej. To dlatego kazałem ci rzucić broń.

- Zwariowałeś?

Thorvaldsen podszedł bliżej.

- Cottonie, trzy lata temu to ja poznałem Cassiopeię z Elym.

- A co to ma do rzeczy?

- Ely w młodości eksperymentował z narkotykami. Był nieostrożny i niestety zaraził się HIV. Dobrze radził sobie z chorobą, przyjmował rozmaite kombinacje leków, ale ten wirus jest nieubłagany. Większość zakażonych w końcu choruje na AIDS i umiera. On miał szczęście.

Malone czekał na dalszy ciąg wyjaśnień.

- Cassiopeia też jest chora.

Czy dobrze usłyszał?

- Transfuzja krwi, dziesięć lat temu. Jest leczona objawowo i też dobrze sobie radzi z chorobą.

Malone był zaskoczony, ale w pewnym stopniu wyjaśniało to jej niektóre komentarze.

- Ale jak to możliwe? Jest przecież silna i aktywna.

- To możliwe, jeśli bierze się codzienne leki, a wirus nie szaleje.

Malone popatrzył na Stephanie.

- Wiedziałaś o tym?

- Edwin powiedział mi, zanim się tu pojawiliśmy. Jemu powiedział Henrik. Obydwaj czekali tutaj na nas. To dlatego Michener wziął mnie na stronę.

- A ja i Cassiopeia? Byliśmy przeznaczeni na straty? Bo można się nas wyprzeć? - zapytał Davisa.

- Mniej więcej. Nie mieliśmy pojęcia, co zrobi Zowastina.



- Ty żałosny sukinsynu. - Malone ruszył w kierunku Davisa.  
- Cottonie - powiedział Thorvaldsen. - To ja się na to zgodziłem. Bądź zły na mnie.

Malone zatrzymał się i popatrzył na przyjaciela.

- Jakim prawem?

- Kiedy razem z Cassiopeią wyjechaliście z Kopenhagi, zadzwonił do mnie prezydent Daniels. Opowiedział mi, co przydarzyło się Stephanie w Amsterdamie, i zapytał, co wiemy. Opowiedziałem mu. Zasugerował, że mogę przydać się tutaj.

- Razem ze mną? To dlaczego okłamałeś mnie, mówiąc, że Stephanie ma kłopoty?

Thorvaldsen rzucił okiem na Davisa.

- Tak naprawdę to mnie to też niepokoi. Powiedziałem ci tylko to, co przekazano mnie. Wygląda na to, że prezydent chciał w to zaangażować nas wszystkich.

Malone spojrzał na Davisa.

- Nie podoba mi się sposób, w jaki działacie.

- Rozumiem. Ale ja muszę robić to, co muszę.

- Cottonie - powiedział Thorvaldsen. - Miałem za mało czasu, żeby to sobie przemyśleć. Po prostu improwizowałem.

- Tak mówisz?

- Poza tym nie sądziłem, by Zowastina mogła zrobić coś głupiego w tym kościele. Nie mogła. Zresztą całkowicie ją zaskoczyliśmy. I dlatego zgodziłem się tu przyjść. Oczywiście z Cassiopeią to inna sprawa. W końcu zabiła jej dwóch ludzi.

- I jeszcze jednego na Torcello. - Malone postanowił się nie rozpraszać. - O co w tym wszystkim chodzi?

- Po pierwsze chodziło o to - odpowiedziała Stephanie - żeby powstrzymać Zowastinę. Ona planuje brudną wojnę i ma środki, by swój straszliwy plan zrealizować.

- Skontaktowała się z Kościołem, a oni dali nam znać - dodał Davis.

- Dlatego tu jesteśmy.

- Mogliście nam o tym powiedzieć - odpowiedział mu Malone.

- Nie, panie Malone, nie mogliśmy. Czytałem pana teczkę. Był pan świetnym agentem. Cała lista udanych misji i rekomendacji. Nie wygląda pan na naiwniaka. I to pan

najlepiej powinien wiedzieć, jak się rozgrywa taką partię.

- Rzecz w tym - odparł Malone - że ja już w to nie gram.

Odszedł na bok, by ochłonąć. A potem podszedł do drewnianego pudełka, które wciąż otwarte leżało na podłodze.

- Zowastina zaryzykowała wszystko tylko po to, żeby popatrzeć na te kości?

- To druga sprawa, o którą chodzi - powiedział Thorvaldsen. - Ta bardziej skomplikowana. Miałeś okazję zapoznać się z treścią manuskryptów o Aleksandrze Wielkim i jego miksturze, które odkrył Ely. Na podstawie opisanych w nich objawów Ely sądził, być może błędnie, że ta mikstura może pomagać w walce z wirusami.

- Takimi jak HIV? - zapytał Malone.

Thorvaldsen skinął głową.

- Wiadomo, że w przyrodzie występują substancje, znajdujące w korze drzew, liściach, korzeniach, które zwalczają wirusy i bakterie, a nawet raka. Ely miał nadzieję, że chodzi tutaj właśnie o taką substancję.

Malone przypomniał sobie treść manuskryptu: „Przepełniony wyrzutami sumienia i przekonany o szczerości Ptolemeusza, Eumenes wyjawiał mu miejsce spoczynku Aleksandra, które znajdowało się daleko w górach, tam gdzie Scytowie podzielili się z Aleksandrem swoją wiedzą o życiu”. To Scytowie przekazali Aleksandrowi miksturę. Eumenes powiedział, że Aleksandra pochowano tam, gdzie Scytowie podzielili się z nim swą wiedzą o życiu.

Coś mu to nasunęło. Zwrócił się do Stephanie:

- Masz jedną z tych monet, prawda?

Stephanie wręczyła mu dekadrachmę.

- To ta z Amsterdamu. Odzyskaliśmy ją od ludzi Zowastiny. Ponoć autentyczna.

Malone uniósł krążek metalu wysoko pod światło.

- Przy wojowniku są małe literki, ZH - powiedziała Stephanie.

- W starogreckim to oznacza życie.

Kolejny fragment historii według Hieronima z Kardii: „Ptolemeusz wręczył mi wtedy srebrną monetę, na której

widniał Aleksander z czasów, gdy walczył ze słoniami. Powiedział mi, że kazał wybić takie monety dla uczczenia tamtych bitew. Kazał mi także powrócić, gdy rozwiążę jego zagadkę. Ale miesiąc później już nie żył”.

Teraz już rozumiał.

- Te monety łączą się z zagadką Ptolemeusza.

- Bez wątpienia - odparł Thorvaldsen. - Ale w jaki sposób?

Malone nie był jeszcze gotowy do wyjaśnień.

- Żadne z was nie odpowiedziało na moje pytanie. Dlaczego pozwoliliście im stąd wyjść?

- Cassiopeia najwyraźniej chciała z nimi pójść - odpowiedział Thorvaldsen. - Tyle razy wspomnieliśmy o Elym, że to musiało zaintrygować Zowastinę.

- I z tego powodu zadzwoniłeś do niej wtedy na zewnątrz?

Thorvaldsen pokiwał głową.

- Cassiopeia potrzebowała informacji. Nie miałem pojęcia, co zamierza zrobić. Musisz zrozumieć, Cottonie, że Cassiopeia chce dowiedzieć się, co stało się z Elym, a odpowiedź na to pytanie może znaleźć tylko w Azji.

Ta obsesja niepokoiła Malone'a. Dlaczego? Nie był tego pewien. Ale z pewnością go niepokoiła. Podobnie jak jej cierpienie. I choroba. Za dużo tego wszystkiego. Za dużo emocji jak na człowieka, który zawsze ciężko pracował, by umieć je ignorować.

- Co zamierza zrobić, jak już znajdzie się w Federacji?

Thorvaldsen wzdrygnął ramionami.

- Nie mam pojęcia. Zowastina wie już, że znam jej ogólny plan. Jasno dałem to do zrozumienia. I wie, że Cassiopeia jest ze mną w jakiś sposób związana. Wykorzysta okazję, jaką jej daliśmy, by dowiedzieć się od Cassiopeii jak najwięcej...

- A potem ją zabije.

- Cottonie - wtrąciła Stephanie - Cassiopeia dobrowolnie podjęła to ryzyko. Nikt nie kazał jej tam jechać.

Malone'a ogarniał coraz większy smutek.

- Nie, po prostu jej na to pozwoliliśmy. Czy ten ksiądz też jest w to zaangażowany?

- Ma swoją misję - powiedział Davis. - I dlatego zgłosił się na

ochotnika.

- Jest jeszcze coś - dodał Thorvaldsen. - Odkrycie Ely'ego, zagadka Ptolemeusza jest autentyczna. A my mamy teraz wszystkie elementy układanki, by znaleźć rozwiązanie.

Malone wskazał na pudełko.

- Tam nic nie ma. To ślepa uliczka.

Thorvaldsen pokręcił głową.

- Nieprawda. Te kości przez wieki leżały w krypcie, zanim zostały przeniesione wyżej pod ołtarz. - Thorvaldsen wskazał na otwarty sarkofag.

- Kiedy po raz pierwszy je przenoszono, w tysiąc osiemset trzydziestym piątym roku, znaleziono przy nich coś jeszcze. Wiedziało o tym tylko kilka osób. - Duńczyk wskazał na pogrążony w mroku południowy transept.

- To coś od bardzo dawna znajduje się w skarbcu.

- A ty chciałeś pozbyć się Zowastiny, zanim tam zajrzysz?

- Mniej więcej. - Thorvaldsen uniósł dłoń, w której trzymał klucz.

- Nasza wejściówka.

- Jesteś świadom tego, że Cassiopeia mogła przeliczyć się z siłami? Thorvaldsen powolnym ruchem skinął głową.

- Całkowicie.

Malone musiał to wszystko przemyśleć, popatrzył więc na południowy transept i spytał:

- I wiesz, co trzeba zrobić z tym czymś?

Thorvaldsen potrząsnął głową.

- Ja nie. Ale jest ktoś, kto powinien wiedzieć.

Malone nie rozumiał.

- Henrik przypuszcza - powiedziała Stephanie - a Edwin podziela jego zdanie...

- Chodzi o Ely'ego - powiedział Thorvaldsen. - Sądzymy, że wciąż żyje.

# CZEŚĆ IV

## PIĘCDZIESIĄT SIEDEM

### FEDERACJA ŚRODKOWOAZJATYCKA, GODZINA 6:50

VINCENTI WYSIADŁ Z HELIKOPTERA. LOT Z SAMARKANDY TRWAŁ MNIEJ więcej godzinę. Na wschód od stolicy, aż do Kotliny Fergańskiej, prowadziły nowe autostrady, jednakże jego posiadłość leżała bardziej na południe, w starym Tadżykistanie, i podróż drogą powietrzną wciąż była najszybszym i najbezpieczniejszym sposobem dotarcia na miejsce.

Wybrał to położone wysoko wśród okrytych chmurami szczytów miejsce bardzo starannie. Nikt nie dziwił się jego wyborowi, nawet Zowastina. Wyjaśnił, że jest znudzony płaskimi i błotnistymi okolicami Wenecji, i kupił osiemdziesiąt hektarów pokrytych lasami dolin i skalistych wyżyn Pamiru. Tu będzie jego świat. Nikt go tu nie zobaczy i nie usłyszy. Tu, u góry, będzie otoczony tylko służbą i dziką przyrodą, którą zdążono już nieco ujarzmić na modłę włoską, bizantyjską i chińską.

Ochrzcił swoją posiadłość Attico, a podczas lotu dostrzegł, że nad główną bramą widnieje już elegancki kamienny łuk z tą nazwą. Zauważył też, że wokół domu wzniesiono kolejne rusztowania, a prace nad elewacją są na ukończeniu. Budowa postępowała wolno, ale nieprzerwanie i Vincenti był bardzo szczęśliwy, gdy postawiono wreszcie wszystkie ściany.

Wymknął się spod wirujących śmigieł helikoptera i przeszedł przez ogród, który zgodnie z planem rozkwitł na zboczu góry, sprawiając, że posiadłość zaczynała przypominać majątek na angielskiej wsi.

Na nierównym, wyłożonym kamieniami tylnym tarasie czekał Peter O'Conner.

- Wszystko w porządku?- Vincenti zapytał swojego pracownika. O'Conner skinął głową.

- Bez problemów.

Vincenti zatrzymał się na zewnątrz, by zaczerpnąć tchu. Burzowe chmury kłębiły się wokół odległych szczytów po wschodniej, chińskiej stronie. Nad doliną krążyły wrony. Vincenti specjalnie tak zaplanował położenie swojego pałacyku, by zapewnić jak najlepsze widoki z okien. Wiedział, że ta azjatycka wiosna jest niezwykle ciepła i sucha, i cieszył się chwilą wytchnienia.

- A co z Zowastiną? - zapytał.

- W tej chwili wylatuje z Włoch. Jest z jakąś kobietą. Atrakcyjna, o ciemnej karnacji, na odprawie paszportowej przedstawiła się jako Cassiopeia Vitt.

Vincenti czekał, wiedząc, że O'Conner na pewno wszystko sprawdził.

- Mieszka w południowej Francji. Obecnie finansuje odbudowę średniowiecznego zamku. To duży i kosztowny projekt. Jej ojciec był właścicielem kilku olbrzymich hiszpańskich koncernów produkcyjnych. A ona wszystko to odziedziczyła.

- A co to za osoba?

- Muzułmanka, ale niezbyt pobożna. Świetnie wykształcona. Skończyła inżynierię i historię. Panna. Trzydzieści osiem lat. To wszystko, czego udało mi się dowiedzieć w tak krótkim czasie. Mam szukać dalej?

Vincenti pokręcił głową.

- Na razie nie. Masz jakąś koncepcję, dlaczego jest teraz z Zowastiną?

- Moi informatorzy nie mieli pojęcia. Zowastina wyszła z bazyliki razem z nią i udały się od razu na lotnisko.

- Jest już w drodze powrotnej?

O'Conner skinął głową.

- Powinna wylądować za cztery do pięciu godzin.

Vincenti zauważył, że O'Conner chce jeszcze coś dodać.

- Chodzi o naszych ludzi, którzy śledzili Nelle. Jednego zastrzelił snajper, który był na dachu. Drugiemu udało się uciec. Wygląda na to, że Nelle była przygotowana na ich obecność.

Vincentiemu nie spodobało się to, co usłyszał. Ale ta kwestia musiała poczekać. Skoczyli z urwiska. Teraz nie mogli się już wdrapać z powrotem.

Vincenti wszedł do pałacyku.

Rok temu skończył urządzać jego wnętrza, wydawszy miliony na obrazy, tapety, politurowane meble i dzieła sztuki. Zależało mu jednocześnie, by przepych nie wykluczał wygody, więc plany domu obejmowały salę kinową, przytulne saloniki, sypialnie i łazienki dla gości oraz ogród. Niestety, do tej pory udało mu się spędzić tutaj zaledwie kilka tygodni, podczas których zatrudnił miejscową służbę. O 'Conner wszystkich sprawdził osobiście. Ale wkrótce Attico stanie się jego prawdziwym domem, komfortowym schronieniem, w którym będzie mógł całkowicie poświęcić się wygodnemu życiu i rozmyślaniam. W pałacyku zainstalowano wyrafinowany system alarmowy, doskonały system komunikacji oraz skomplikowaną sieć ukrytych przejść.

Vincenti minął pomieszczenia na parterze, które tworzyły amfiladę we francuskim stylu, a każdy ich zakątek zapewniał chłód i cień, przypominające wiosenny brzask. W eleganckim atrium w klasycznym stylu znajdowały się kręcone marmurowe schody prowadzące na piętro.

Vincenti wszedł na górę.

Nad jego głową widniały freski przedstawiające pochod sztuk wyzwolonych. Ta część domu najbardziej przypominała mu Wenecję, tyle że ze strzelistych okien podzielonych słupkami roztaczał się widok na skaliste góry, a nie na kanał Grande. Zmierzał do zamkniętych drzwi po lewej, tuż za schodami, które prowadziły do jednego z przestronnych pokoi

gościnnych.

Delikatnie otworzył drzwi.

Karyn Walde wciąż leżała na łóżku.

O'Conner przywiózł ją i jej pielęgniarkę z Samarkandy drugim helikopterem. Prawe przedramię znowu miała podłączone do kroplówki. Vincenti podszedł bliżej i wziął jedną ze strzykawek leżących na stoliku z nierdzewnej stali. Wstrzyknął jej zawartość do kroplówki. Kilka sekund później substancja pobudzająca zadziałała i Karyn Walde otworzyła oczy. W Samarkandzie pozbawił ją świadomości. Tutaj potrzebna mu była przytomna.

- Proszę się obudzić - powiedział.

Zamrugła, a on dostrzegł, że jej wzrok zaczyna się koncentrować.

Ale potem znowu zamknęła oczy.

Chwycił dzbanek z lodowatą wodą z nocnego stolika i chlusnął jej w twarz.

Podskoczyła i oprzytomniawszy, zaczęła pluć wodą i wycierać ją sobie z oczu.

- Ty sukinsynu - warknęła, prostując się na łóżku.

- Powiedziałem, że ma się pani obudzić.

Karyn nie była skrepowana. Nie było takiej potrzeby. Rozejrzała się po pokoju.

- Gdzie ja jestem?

- Podoba się tu pani? Chyba przywykła pani do równie eleganckich wnętrz.

Dostrzegła promienie słońca wpadające przez okna i otwarte drzwi na taras.

- Jak długo byłam nieprzytomna?

- Dość długo. Jest rano.

Gdy to do niej dotarło, znów poczuła się zdezorientowana.

- Co się tu dzieje?

- Chciałbym coś pani przeczytać. Zrobi mi pani tę uprzejmość?

- A mam wybór?

Wróciła jej przytomność umysłu.

- Raczej nie, ale myślę, że nie pożałuje pani.



*Badanie kliniczne W12-23 od początku wzbudzało moje wątpliwości. Najpierw Vincenti przydzielił do nadzoru nad tym badaniem tylko siebie i mnie, co było dziwne, bo rzadko angażował się w badania, zwłaszcza że chodziło o testy tylko na grupie dwunastu uczestników. To też zresztą było podejrzane. Większość badań klinicznych przeprowadzaliśmy na grupach liczących od ponad stu pacjentów aż do (przynajmniej w jednym przypadku) ponad tysiąca. Próbka licząca zaledwie dwunastu pacjentów nie mogła przecież nic powiedzieć o skuteczności danej substancji, szczególnie jeśli chodziło o niezwykle istotne kryterium szkodliwości, ponieważ wyniki mogły być zupełnie przypadkowe.*

*Gdy wyraziłem swoje zastrzeżenia, Vincenti wyjaśnił mi, że celem tego testu nie jest zbadanie szkodliwości. To też wydało mi się dziwne.*

*Zapytałem, jaki konkretnie czynnik będziemy badać, a Vincenti odpowiedział, że chodzi o coś, co sam odkrył, i dodał, że chce sprawdzić, czy wyniki testów laboratoryjnych można powtórzyć również w badaniach z udziałem ludzi. Wiedziałem, że Vincenti pracuje nad ściśle tajnymi projektami, co oznaczało, że tylko niektórzy mieli dostęp do danych, ale w przeszłości zawsze zaliczałem się do tych wybranych. W przypadku tego badania Vincenti wyraźnie zaznaczył, że tylko on będzie dysponował testowaną substancją pod nazwą Dzeta Eta.*

*Zgodnie ze szczególnymi wymogami, jakie określił Vincenti, wyszukałem dwunastu ochotników w różnych szpitalach w całym kraju. Nie było to łatwe zadanie, ponieważ w Iraku nie mówi się otwarcie o HIV i przypadki zakażenia są tam rzadkie. W końcu dzięki łapówkom udało się znaleźć pacjentów. Trzech zostało zakażonych niedawno, liczba białych krwinek wynosiła u nich około tysiąca, a ilość wirusa we krwi była niewielka. Nikt z nich nie miał też żadnych zewnętrznych objawów AIDS. Pięciu kolejnych pacjentów chorowało już na AIDS, w ich krwi było mnóstwo wirusa, a*

liczba białych krwinek była bardzo niska. U każdego pojawiły się już specyficzne objawy choroby. Czterej kolejni pacjenci byli bliscy śmierci, liczba białych krwinek nie przekraczała u nich dwustu, rozwinęły się także wtórne infekcje, a śmierć była tylko kwestią czasu.

Raz dziennie jeździłem do kliniki w Bagdadzie i podawałem im dożylnie dawki przepisane przez Vincentiego. Jednocześnie pobierałem próbki krwi i tkanek. Już po pierwszej dawce poprawa wystąpiła u całej dwunastki. Liczba białych krwinek gwałtownie wzrosła, system odpornościowy zaczął działać, więc wtórne infekcje zaczęły ustępować. Niektóre zmiany były nieuleczalne, jak mięsaki Kapo-siego, które pojawiły się już u pięciu z dwunastu pacjentów, ale infekcje, z którymi układ odpornościowy mógł sobie poradzić, zaczęły ustępować już rankiem drugiego dnia.

Trzeciego dnia działały już układy odpornościowe wszystkich dwunastu pacjentów. Białe krwinki zregenerowały się. Ich liczba rosła. Powrócił apetyt. Zaczęli przybierać na wadze. Ilość wirusa HIV we krwi spadła niemal do zera. Gdyby kontynuowano te zastrzyki, wszyscy pacjenci bez wątpienia zostaliby wyleczeni z AIDS. Ale iniekcje wstrzymano. Czwartego dnia, gdy Vincenti przekonał się, że

jego substancja działa, kazał podać zamiast niej roztwór soli fizjologicznej. U wszystkich dwunastu pacjentów doszło do gwałtownego pogorszenia się stanu zdrowia. Liczba białych krwinek raptownie spadła, a wirus HIV na powrót opanował ich organizmy. Czym dokładnie była testowana substancja, pozostaje tajemnicą. Kilka testów chemicznych, które udało mi się wykonać, pozwala stwierdzić, że był to roztwór wodny o odczynie zasadowym. Z ciekawości obejrzałem próbkę pod mikroskopem i ze zdumieniem znalazłem w tym roztworze żywe organizmy.

Vincenti zauważył, że Karyn Walde uważnie słucha.

- To sprawozdanie kogoś, kto kiedyś był moim podwładnym.

Chciał wysłać je do moich przełożonych. Oczywiście nie dopuściłem do tego. Zapłaciłem, żeby się go pozbyć. W Iraku w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy rządził tam jeszcze Saddam, bez trudu można było zlecić morderstwo.

- Dlaczego kazał go pan zabić?

- Wściubiał nos w nie swoje sprawy. Za bardzo interesował się tym, co w ogóle nie powinno go obchodzić.

- To nie jest odpowiedź. Dlaczego tamten człowiek musiał umrzeć?

Vincenti uniósł do góry strzykawkę wypełnioną przezroczystym płynem.

- Kolejna dawka czegoś usypiającego? - zapytała.

- Nie. W tej strzykawce kryje się pani największe marzenie, o którym powiedziała mi pani w Samarkandzie. Coś, czego pragnie pani najbardziej na świecie.

Zrobił przerwę dla dodania efektu.

- To życie.

## PIĘĆDZIESIĄT OSIEM

### WENECJA, GODZINA 2:55

MALONE POTRZAŚNAŁ GŁOWĄ.

- Ely Lund żyje?

- Nie wiemy - odpowiedział Edwin Davis - ale podejrzewamy, że ktoś instruował Zowastinę. Wczoraj dowiedzieliśmy się, że pierwotnym źródłem jej informacji był Lund, Henrik nam o nim opowiedział, a okoliczności jego śmierci z pewnością są podejrzane.

- To dlaczego Cassiopeia jest przekonana, że on nie żyje?

- Bo nie ma innego wyjścia - powiedział Thorvaldsen. - Nie było sposobu, by udowodnić, że jest inaczej. Ale ja podejrzewam, że zawsze po trochu wątpiła w prawdziwość jego śmierci.

- Henrik uważa, a ja się z nim zgadzam - dodała Stephanie - że Zowastina spróbuje wykorzystać powiązania między Elym i Cassiopeią. To, co się tutaj wydarzyło, było dla niej wstrząsem, a w przypadku ludzi takich jako ona paranoja to po prostu ryzyko zawodowe. Cassiopeia może to wykorzystać.

- Ta kobieta planuje wojnę. Nie będzie się przejmować Cassiopeią. Potrzebowała jej tylko do tego, by dostać się na lotnisko. Potem Cassiopeia będzie dla niej jedynie zbędnym balastem. To szaleństwo.

- Cottonie - zwróciła się do niego Stephanie. - Jest jeszcze coś. Czekal na wyjaśnienia.

- Naomi nie żyje.

Przeciagnął ręką po włosach.

- Mam już dosyć umierania moich przyjaciół.

- Chcę dostać Enrica Vincentiego - dodała Stephanie.  
To tak jak on.

Znowu zaczął myśleć jak agent, zwalczając w sobie chęć dokonania szybkiej zemsty.

- Powiedzieliście, że w skarbcu coś jest. W porządku. Pokażcie mi to.



ZOWASTINA PATRZYŁA NA KOBIETĘ SIEDZĄCĄ NAPRZECIWKO NIEJ w luksusowej kabinie odrzutowca. Bez wątplenia była to osoba obdarzona odwagą. I podobnie jak więźniarka z chińskiego laboratorium знаła uczucie strachu, ale w przeciwieństwie do tamtej słabeuszki potrafiła je kontrolować.

Od momentu opuszczenia bazyliki nie zamieniły ani słowa, a Zowastina wykorzystała ten czas na obserwację swojej zakładniczki. Wciąż nie potrafiła zdecydować, czy obecność tej kobiety została zaplanowana, czy też jest czystym przypadkiem. Zbyt wiele wydarzyło się w zbyt krótkim czasie.

No i te kości.

Zowastina była pewna, że coś znajdzie, przynajmniej tyle, by warto było zaryzykować tę podróż. Wszystko wskazywało na to, że odniesie sukces. Ale minęły przecież dwa tysiące lat. Thorvaldsen mógł mieć rację. Czy cokolwiek mogło przetrwać?

- Skąd wzięłaś się w tej bazylice? - zapytała.

- Zabrała mnie pani, żebyśmy mogły sobie pogadać?

- Zabrałam cię, żeby dowiedzieć się, co wiesz.

Ta kobieta za bardzo przypominała jej Karyn. Obie obnosiły się ze swoją cholerną pewnością siebie. I ten szczególny wyraz nieufności, który intrygował Zowastinę, ale jednocześnie wytrącał ją z równowagi.

- Mokre ubranie, włosy. Wyglądasz jak po kąpieli.

- Pani ochroniarz wrzucił mnie do laguny.

To coś nowego.

- Mój ochroniarz?

- Viktor. Nie mówił pani? Zabiłam jego partnera w muzeum na Torcello. Jego też miałam zabić.

- Ambitny plan.

- Nie sądzę - w jej zimnym, zgryźliwym tonie słyhać było poczucie wyższości.

- Znałaś Ely'ego Lunda?

Kobieta nie odpowiedziała.

- Myślisz, że go zabiłam?

- Wiem, że pani to zrobiła. Powiedział pani o zagadce Ptolemeusza. Opowiedział o Aleksandrze Wielkim i o tym, że ciało złożone w Somie wcale do niego nie należało. Powiązał tamto ciało z kradzieżą zwłok świętego Marka przez Wenecjan i dlatego wiedziała pani, że trzeba udać się do Wenecji. Zabiła go pani, żeby mieć pewność, że nie powie o tym wszystkim nikomu innemu. Ale on powiedział. Mnie.

- Tobie i Henrikowi Thorvaldsenowi.

- Między innymi.

To stanowiło pewien problem. Zowastina zaczęła się zastanawiać, czy coś łączy tę kobietę z nieudaną próbą zamachu na jej osobę. A Vincenti? Henrik Thorvaldsen z pewnością był typem człowieka, który mógłby być członkiem Ligi Weneckiej. Ale ponieważ spis członków był ściśle tajny, nie miała możliwości potwierdzenia jego statusu.

- Ely nigdy o tobie nie wspominał.

- Mnie o pani mówił.

Ta kobieta naprawdę była podobna do Karyn. Ten sam niedający spokoju urok i szczerý sposób bycia. Opór zawsze przyciągał Zowastinę. Opanowanie go wymagało cierpliwości i determinacji.

Ale było możliwe.

- A jeśli Ely żyje?

## PIĘĆDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

### WENECJA

MALONE PODĄŻYŁ ZA INNYMI DO POŁUDNIOWEGO TRANSEPTU. Zatrzymali się przed słabo oświetlonym przejściem ozdobionym misternym łukiem w stylu mauretańskim. Thorvaldsen wyjął klucz i otworzył odlane z brązu drzwi.

Wewnątrz znajdował się sklepiony przedsionek, który prowadził do prezbiterium. Po lewej wnęki w ścianie skrywały ikony i relikwiarze. Po prawej znajdował się skarbiec, w którym przechowywano najdelikatniejsze i najcenniejsze symbole dawnej republiki oparte o ścianę lub zgromadzone w gablotach.

- Większość pochodzi z Konstantynopola - powiedział Thorvaldsen. - Przybyły tutaj po tym, jak Wenecjanie ograbili to miasto w tysiąc dwieście czwartym roku. Jednakże przebudowy, pożary i kradzieże bardzo uszczupliły zbiory. Gdy Republika Wenecka upadła, większość kolekcji przetopiono, by uzyskać złoto, srebro i klejnoty. Przetrwało tylko dwieście osiemdziesiąt przedmiotów.

Malone podziwiał lśniące kielichy mszalne, relikwiarze, szkatułki, krzyże, misy i ikony, wykonane z kamienia, drewna, kryształu, szkła, srebra i złota. Dostrzegł też amfory, ampułki, oprawy manuskryptów oraz kadzidła, a wszystko to były trofea przywiezione z Egiptu, Rzymu czy Bizancjum.

- Niezła kolekcja - stwierdził.
- Jedna z najlepszych na świecie - odparł Thorvaldsen.
- A czego my tutaj szukamy?
- Michener mówił, że to tam - odpowiedziała Stephanie, wskazując jedną z gablot.

Podeszli do szklanej szafki, w której wystawiono miecz, biskupi pastorał, kilka sześciokątnych mis i parę połączonych szkatulek na relikwie. Thorvaldsen skorzystał z następnego klucza, by otworzyć gablotę. A potem otworzył jedną ze szkatulek.

- Trzymają to tutaj, żeby nie rzucało się w oczy.

Malone rozpoznał leżący w środku kształt.

- To skarabeusz.

Podczas mumifikacji Egipcjanie zwykle przystrajali ciało zmarłego mnóstwem amuletów. Wiele służyło jedynie ozdobie, inne natomiast miały wzmacniać odpowiednie części ciała. Ten, któremu się przyglądał, nosił nazwę owada, którego kładziono na klatce piersiowej zmarłego. *Scarabaeus* - żuk gnojny. Skojarzenie starożytnych Egipcjan zawsze wydawało mu się zaskakujące, ale oni obserwowali, jak te owady zdają się wylaniać z nawozu, więc identyfikowali je z Chepri, twórcą wszystkiego, ojcem bogów, który stworzył sam siebie z materii, którą wcześniej powołał do istnienia.

- To amulet serca - powiedział.

Stephanie skinęła głową.

- Tak właśnie powiedział Michener.

Malone wiedział, że podczas mumifikacji usuwano wszystkie organy zmarłego z wyjątkiem serca. Na nim właśnie kładziono skarabeusza, który miał symbolizować wieczne życie. To był typowy skarabeusz. Wykonany z zielonkawego kamienia, prawdopodobnie karneolu. Ale coś zwróciło jego uwagę.

- Nie ma złota. Zwykle wykonywano je ze złota albo przynajmniej nim ozdabiano.

- I chyba tylko dlatego przetrwał - odparł Thorvaldsen. - Wedle historyków Soma w Aleksandrii została splądrowana przez późniejszych Ptolemeuszów. Zerwano wszystkie złote ozdoby, stopiono złoty sarkofag, zabrano wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Ten kawałek kamienia najwyraźniej uznano za bezwartościowy.

Malone sięgnął ręką i uniósł amulet. Mniej więcej dziesięć centymetrów na pięć.

- Jest większy niż zwykle. Skarabeusze są zazwyczaj o połowę



mniejsze.

- Dużo pan o nich wie - powiedział Davis.

Stephanie się uśmiechnęła.

- On dużo czyta. W końcu to antykwariusz.

Malone odpowiedział uśmiechem, ale nie odrywał wzroku od amuletu i spostrzegł trzy hieroglify wyryte na skrzydłach żuka.



- Co oznaczają? - zapytał.

- Michener mówił, że życie, spokój i ochronę - odpowiedział Thorvaldsen.

Malone odwrócił amulet. Na spodzie widniał wizerunek ptaka.



- Znalaziono go między szczątkami świętego Marka, gdy w tysiąc osiemset trzydziestym piątym roku przenoszono je z krypty pod ołtarz. Święty Marek zmarł męczeńską śmiercią w Aleksandrii i jego ciało zostało zmumifikowane, więc uznano, że ten amulet wiąże się właśnie z mumifikacją. Ale ponieważ odnosi się on do pogańskich wyznań, ojcowie Kościoła postanowili usunąć go z grobu świętego Marka. Docenili jednak jego wartość historyczną i umieścili w tutejszym skarbcu. Gdy Kościół dowiedział się o zainteresowaniu Zowastyny świętym Markiem, domyślono się, że może to mieć związek ze skarabeuszem. A kiedy Daniels mi o tym powiedział, przypomniałem sobie zagadkę Ptolemeusza - wyjaśnił Thorvaldsen.

Malone też sobie ją przypomniał.

„Dotknij najskrytszej istoty złotej iluzji”.

Wszystko zaczynało się układać.

- Złota iluzja to ciało złożone w Memfis, ponieważ zostało owinięte złotem. Najskrytsza istota? Serce. - Malone uniósł amulet. - Czyli to.

- Co oznacza - powiedział Davis - że szczątki spoczywające w bazylice wcale nie należały do świętego Marka.

Malone skinął głową.

- Są czymś zupełnie innym. I nie mają nic wspólnego z chrześcijaństwem.

Thorvaldsen wskazał na spód skarabeusza.

- To egipski hieroglif oznaczający Feniksa, symbol powtórnych narodzin.

Malone'owi nagle przyszedł do głowy kolejny fragment zagadki.

„Podziel Feniksa”.

I już wiedział, co trzeba zrobić.



CASSIOPEIA MIAŁA ŚWIADOMOŚĆ, ŻE ZOWASTINA MANIPULUJE nią za pomocą tego pytania: „A jeśli Ely żyje?” Opanowała więc emocje i spokojnie odpowiedziała:

- Ale on nie żyje, i to od kilku miesięcy.

- Jesteś pewna?

Przedtem Cassiopeia wiele razy się nad tym zastanawiała, jak mogłaby się nie zastanawiać, ale teraz powstrzymała na wodzy swe pragnienia i zdecydowanie stwierdziła:

- Ely nie żyje.

Zowastina sięgnęła po telefon i nacisnęła jeden z klawiszy. Po kilku sekundach powiedziała:

- Viktorze, chciałabym, żebyś opowiedział komuś o tym, co zdarzyło się tamtej nocy, gdy zginął Ely Lund.

I podała telefon Cassiopei.

Ta ani drgnęła. Przypomniała sobie, co Viktor powiedział na łodzi. Ale to przecież nie ma żadnego znaczenia.

- Czy na pewno stać cię, by nie wysłuchać tego, co ma do powiedzenia? - zapytała Zowastina z obrzydliwym wyrazem

satysfakcji w ciemnych oczach.

Ta kobieta знаła jej słabość, i ta świadomość przeraziła Cassiopeię bardziej niż cokolwiek, co Viktor mógł powiedzieć. Chciała wiedzieć. Ostatnie kilka miesięcy były dla niej męką. Tylko że...

- Wsadź sobie ten telefon w tyłek.

Zowastina zawahała się, a potem uśmiechnęła. W końcu powiedziała do telefonu:

- Może później, Viktorze. Możesz wypuścić księdza.

Rozłączyła się.

Samolot wciąż przebijał się przez chmury, kierując się na wschód w stronę Azji.

- Viktor obserwował dom Ely'ego. Na mój rozkaz.

Cassiopeia nie chciała tego słuchać.

- Wszedł tylnym wejściem. Ely był przywiązany do krzesła, a napastnik właśnie miał go zastrzelić. Ale to Viktor zastrzelił jego, a potem przyprowadził Ely'ego do mnie i spalił dom razem z ciałem napastnika.

- Proszę nie liczyć na to, że w to uwierzę.

- W moim rządzie są ludzie, którzy chętnie by się mnie pozbyli. Niestety, zdrada to element naszego systemu politycznego. Boją się mnie, a wiedzieli, że Ely mi pomaga. Więc kazali go zabić, tak samo jak wyeliminowali wielu innych moich sprzymierzeńców.

Cassiopeia wciąż nie wierzyła.

- Ely ma wirusa HIV.

Cassiopeię zaskoczyła wzmianka o tym fakcie.

- Skąd pani wie?

- Powiedział mi. Przez ostatnie dwa miesiące dostarczałam mu leki. W przeciwieństwie do ciebie on mi ufa.

Cassiopeia wiedziała, że Ely nigdy nikomu nie powiedziałby o tym, że jest zakażony. O jej chorobie wiedział tylko Henrik i Ely.

Ale teraz się spieszyła.

I zaczęły się zastanawiać.

Czy o to właśnie chodziło?



MALONE POGLĄDZIŁ GŁADKĄ POWIERZCHNIĘ SKARABEUSZA i powiódł palcami po zarysie ptaka symbolizującego Feniksa.

- Ptolemeusz mówił, żeby podzielić Feniksa.

Potrząsnął amuletem, przysłuchując się.

W środku nic się nie poruszało.

Thorvaldsen najwyraźniej domyślił się, co ma zamiar zrobić.

- Ten przedmiot ma ponad dwa tysiące lat.

Malone'a nic a nic to nie obchodziło. Cassiopeia była w tarapatkach, a na świecie być może niedługo wybuchnie wojna biologiczna. Ptolemeusz stworzył zagadkę, która najwyraźniej prowadziła do miejsca, w którym Aleksander Wielki chciał zostać pochowany. Grecki wojownik, który został faraonem, był świetnie poinformowany. I jeśli powiedział, żeby podzielić Feniksa, on, Cotton Malone, to właśnie robi.

Rzucił amulet prosto na marmurową podłogę.

Skarabeusz odbił się od niej, a mniej więcej jedna trzecia amuletu ukruszyła się niczym kawałek orzecha. Malone schylił się, by przyjrzeć się leżącym na podłodze kawałkom.

Coś wysypywało się z pęknięcia.

Pozostali również przyklękali.

Malone wskazał na amulet i powiedział:

- Wnętrze zostało nacięte, żeby było łatwo je rozłupać, a potem wypełnione piaskiem.

Uniósł większy kawałek amuletu i wysypał z niego ziarenka.

Edwin Davis wskazał na coś, mówiąc:

- Spójrzcie.

Malone również to dostrzegł. Delikatnie odgarnął piasek i ujrzał cylindryczny przedmiot o średnicy blisko dwóch centymetrów. A potem zauważył, że to wcale nie jest walec.

Tylko zwinięty pasek złota.

Ostrożnie przewrócił zwitek na bok i dostrzegł wygrawerowane w złocie pojedyncze litery.

- Greckie - powiedział.


Stephanie pochyliła się bliżej.

- Zobaczcie, jak cienka jest ta folia. Jak listek.

- Co to jest? - zapytał Davis.

Umysł Malone'a kończył układanie ostatnich fragmentów układanki. Teraz istotna była kolejna część zagadki Ptolemeusza: „Życie zapewni miarę prawdziwego grobu. Lecz strzeż się, bo jedna jest tylko szansa powodzenia”. Sięgnął do kieszeni i wyjął monetę, którą dała mu Stephanie.

- Są na niej wyryte mikroskopijne litery ZH. Wiemy też, że Ptolemeusz wybił te monety wtedy, kiedy ułożył zagadkę.

Dostrzegł mały symbol -  - na monecie i od razu mu się przy pomniało.

- Taki sam symbol był na manuskrypcie, który mi pokazaliście. Na dole, pod zagadką. - Wyraźnie widział kolejny fragment zagadki: „Życie zapewni miarę prawdziwego grobu”.

- Co łączy monety ze słoniem z tym paskiem złota? - zapytał Davis.

- Żeby to zrozumieć - stwierdził Malone - trzeba wiedzieć, czym ten pasek jest.

Widział, że Stephanie uważnie mu się przygląda.

- A ty wiesz? - zapytała.

Skinął głową.

- I to doskonale.



VIKTOR WYŁĄCZYŁ SILNIK I POZWOLIŁ, BY ŁÓDŹ DRYFOWAŁA W KIERUN-ku nabrzeża przy placu Świętego Marka. Zabrał Michenera z bazyliki prosto do łodzi, ponieważ uważał, że na wodzie będzie najbezpieczniej czekać na odlot Zowastiny. I stamtąd patrzył na jasno oświetlone kopuły, pinakle, biało-różowy Pałac Dożów, dzwonnice i rzędy zabytkowych budynków, mocnych i wysokich, ozdobionych balkonami i oknami, a wszystko to pokryte mrokiem nocy. Nie mógł się doczekać, kiedy opuści Włochy.

Nic tutaj nie szło tak, jak należy.

- Pora, żebyśmy porozmawiali - powiedział Michener.

Czekając na telefon od Zowastiny, trzymał księdza w przedniej kabinie łodzi. Michener siedział tam rozluźniony i spokojny.

- A o czym mielibyśmy rozmawiać?

- Może o tym, że jesteś amerykańskim szpiegiem.

## SZEŚĆDZIESIĄT

### FEDERACJA ŚRODKOWOAZJATYCKA

VINCENTI POCZEKAŁ, AŻ KARYN WALDE PRZETRAWI JEGO SŁOWA. Pamiętał tę chwilę, kiedy on sam po raz pierwszy uświadomił sobie, że odkrył lekarstwo na HIV.

- Opowiadałem pani o tamtym starcu w górach...

- Tam pan to odkrył? - zapytała zaintrygowana.

- Mówiąc precyzyjnie, odkryłem na nowo.

Nigdy wcześniej nikomu o tym nie mówił. Więc teraz z przyjemnością oddał się wyjaśnieniom.

- To niesamowite, że najbardziej złożone problemy mogą mieć tak proste rozwiązania. Na początku dwudziestego wieku choroba beri-beri opanowała całe Chiny, zabijając setki tysięcy mieszkańców. A wie pani dlaczego? Bo sprzedawcy ryżu zaczęli polerować ziarna, by lepiej wyglądały. W ten sposób usuwali tiaminę, czyli witaminę B<sub>1</sub>, znajdującą się w łupinie. W populacji pozbawionej tej witaminy beri-beri była nie do powstrzymania. Gdy zaprzestano polerowania ziaren, choroba zniknęła. A kora cisu zachodniego to skuteczny środek na raka. Nie leczy go, ale spowalnia jego rozwój. Zwykła pleśń dała nam niezwykle skuteczne antybiotyki do walki z infekcjami bakteryjnymi. A coś tak prostego jak wysokotłuszczowa dieta potrafi uwolnić dzieci od ataków epilepsji. Prostota jest najskuteczniejsza. To samo dotyczy AIDS.

- A co to za substancja, którą znalazł pan w tamtej roślinie? - zapytała.

- To nie substancja, to żywe organizmy.

Widział, jak opuszcza ją strach, bo to, co uważała za zagrożenie, nagle zaczęło przeistaczać się w możliwość zbawienia.

- Trzydzieści lat temu w układzie krążenia koczokodanów

zauważyliśmy pewnego wirusa. Wiedza o wirusach była wówczas bardzo skąpa w porównaniu do tego, co wiemy teraz. Nawet myśleliśmy, że to jakaś forma wścieklizny, ale rozmiary, kształt i funkcjonowanie tego organizmu były zupełnie inne. W końcu wirusa tego nazwano małpim wirusem niedoboru odporności, w skrócie SI V. Teraz wiemy, że wirus ten może długo przebywać w organizmie, w ogóle mu nie szkodząc. Najpierw myśleliśmy, że małpy mają rozwiniętą odporność na tego wirusa, ale później okazało się, że zawdzięczają ją samemu wirusowi. On jakby wiedział, że nie może niszczyć każdego organizmu, z którym się kontaktuje. Nauczył się funkcjonować w organizmach małp w taki sposób, by one w żaden sposób nie odczuwały jego obecności.

- Słyszałam o tym - powiedziała Karyn. - A epidemia AIDS zaczęła się od ugryzienia takiej małpy.

Vincenti wzruszył ramionami.

- Kto to może wiedzieć? Może ugryzienie, może zadrapanie, a może do zakażenia doszło przez układ pokarmowy. Ludzie jadają przecież małpy. Nieważne, jak do tego doszło, w każdym razie wirus przeszedł z małp na człowieka. Mogłem to zaobserwować na własne oczy na przypadku Charliego Eastona, w którego ciele wirus SIV przekształcił się w wirus HIV.

Opowiedział jej o tym, co wydarzyło się przed dziesiątkami lat, kiedy umierał Easton, wcale nie tak daleko od miejsca, w którym się teraz znajdowali.

- HIV nie był tak łagodny wobec ludzi, jak SIV wobec małp. Szybko zaczął działać, przekształcając komórki węzłów chłonnych w swoje własne kopie. Charlie zmarł po kilku tygodniach. Ale nie on pierwszy zaraził się HIV. Pierwszy przypadek, który można bez wątplenia zdiagnozować, to pewien mężczyzna z Anglii w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym roku. Badanie próbki jego zamrożonej surowicy krwi, które przeprowadzono na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, wykazało obecność wirusa HIV. Najprawdopodobniej wirusy SIV i HIV istnieją w ludzkiej populacji od setek lat, tyle że chorzy umierali w



oddalonych od siebie miejscach i nikt niczego nie skojarzył. Zgony następowały z powo-odu wtórnych infekcji, jak zapalenie płuc, więc lekarze zwykle mylili AIDS z innymi chorobami. W Stanach Zjednoczonych najpierw nazwano tę chorobę „gejowskim zapaleniem płuc”. Teraz uważa się, że AIDS zaczął się rozprzestrzeniać w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy Afryka zaczęła się modernizować i coraz więcej ludzi przenosiło się do miast. W końcu ktoś spoza Afryki zabrał wirusa poza ten kontynent. W latach osiemdziesiątych HIV dotarł niemal do wszystkich zakątków świata.

- Czyli sprawdził się jako broń biologiczna.

- My go nie doceniliśmy. Uważaliśmy, że za trudno się zakazić i że śmierć następuje zbyt późno. Co ma swoje plusy. Inaczej mielibyśmy współczesną wersję dżumy.

- Mamy - odparła. - Tylko na razie nie zabija odpowiednich ludzi.

Wiedział, co miała na myśli. Do tej pory znano dwa rodzaje wirusa.

Dominujący w Afryce HIV-1 oraz popularny wśród narkomanów i homoseksualistów HIV-2. Ostatnio zaczęły pojawiać się nowe odmiany, na przykład paskudny typ w Azji Południowo-Wschodniej, który otrzymał nazwę HIV-3.

- Ten Easton... Myśli pan, że się pan od niego zaraził? - zapytała.

- Wtedy prawie nic nie wiedzieliśmy o sposobach rozprzestrzeniania się wirusa. Proszę pamiętać, że każda ofensywna broń biologiczna jest bezużyteczna, jeśli nie dysponuje się antidotum. Więc gdy tamten stary uzdrowiciel zaproponował, że zabierze mnie w góry, poszedłem z nim. Pokazał mi tę roślinę i powiedział, że sok z jej liści potrafi powstrzymać chorobę, którą nazywał gorączką. Więc zjadłem trochę tych liści.

- I nie dał pan ich Eastonowi? Pozwolił mu pan umrzeć?

- Podąłem mu sok z tej rośliny. Ale to nic mu nie pomogło.

Wyglądała na zdziwioną, a on nie śpieszył się z odpowiedzią.

- Gdy Charlie umarł, zakwalifikowałem tego wirusa do grupy nieprzydatnych. Irakijczycy chcieli słyszeć tylko o sukcesach.

Nieudanymi eksperymentami mieliśmy się nie przejmować. W połowie lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy w końcu we Francji i w Stanach udało się wyizolować wirusa HIV, rozpoznałem tę chorobę. Najpierw nie zwróciłem na to uwagi. W końcu mało kto spoza środowiska gejowskiego się nią przejmował. Ale w osiemdziesiątym piątym roku dotarło do mnie, co mówią w kręgach farmaceutycznych. Ktokolwiek wynajdzie lek na tę chorobę, zarobi mnóstwo pieniędzy. Postanowiłem się tym zająć. Wtedy wiedziałem już dużo więcej. Wróciłem do Azji Środkowej, wynająłem przewodnika, żeby zabrał mnie w góry, i ponownie znalazłem tę roślinę. Zabrałem próbki, a potem je zbadałem i bez cienia wątpliwości mogłem stwierdzić, że to coś niemal natychmiast eliminuje wirusa.

- Ale mówił pan, że Eastonowi nie pomogło?

- Bo sama roślina nie pomaga. Zanim mu ją podałem, liście zdążyły wyschnąć. To nie liście są ważne, tylko woda. W niej je znalazłem.

Uniósł strzykawkę.

- To bakterie.

## SZEŚĆDZIESIĄT JEDEN

### WENECJA

- CZY KTOŚ Z WAS SŁYSZAŁ O SKYTALE? - ZAPYTAŁ MALONE.

Nikt się nie zgłosił.

- Bierze się kij, owija paskiem pergaminu, pisze wiadomość, a potem odwija się pergamin i dopisuje dowolne litery. Osoba, do której wysyła się taką zaszyfrowaną wiadomość, musi mieć taki sam kij, o identycznej średnicy i długości, żeby odczytać tekst. Jeśli parametry kija będą inne, odbiorca uzyska tylko zbitkę przypadkowych liter. Starożytni Grecy bardzo często używali skytale do przesyłania tajnych wiadomości.

- A skąd pan to wszystko wie? - zapytał Davis.

Malone wzruszył ramionami.

- Skytale jest narzędziem szybkim, skutecznym i mało podatnym na błędy, co sprawdza się zwłaszcza na polu walki. To doskonały system przesyłania tajnych wiadomości. A odpowiadając na pańskie pytanie, po prostu sporo czytam.

- Nie mamy odpowiedniego kija - stwierdził Davis. - W jaki sposób odszyfrujemy wiadomość?

- Proszę nie zapominać o zagadce Ptolemeusza: „Życie zapewni miarę prawdziwego grobu” - odparł Malone, unosząc monetę. - ZH. Życie. Ta moneta jest naszą miarą.

- „Lecz strzeż się, bo jedna jest tylko szansa powodzenia” - powiedziała Stephanie. - Ta złota folia jest bardzo cienka. Nie da się jej wokół czegoś owinać, a potem znowu odwinąć. Wygląda na to, że mamy tylko jedną szansę.

Malone pokiwał głową.

- Też tak myślę.

Wyruszyli na poszukiwania z folią i monetą, opuszczając bazylikę i kierując się z powrotem do biur diecezji. Malone

ocenił, że dekadrach-ma ma niecałe dwa centymetry średnicy, i zaczęli się rozglądać za czymś o podobnej wielkości. Kije od szczotek znalezionych w schowku okazały się za grube, kilka innych przedmiotów było z kolei za cienkich.

- Wszystkie światła się palą - zauważył Malone - ale nie ma tu nikogo.

- Michener kazał opuścić budynek, kiedy Zowastina została sama w kościele - odpowiedział Davis. - Chcieliśmy mieć jak najmniej świadków.

Na półce obok kopiarki Malone dostrzegł świece. Chwył pudełko i sprawdził, że ich średnica jest odrobinę większa od średnicy monety.

- Zrobimy sobie nasze własne skytale.

Stephanie zrozumiała od razu.

- Na końcu korytarza jest kuchnia. Poszukam noża.

Malone trzymał pasek złota w dłoni, zawinięty dla ochrony w pogniecioną kartkę papieru, którą znaleźli w kasie skarbcza.

- Czy ktoś z obecnych zna starożytną grekę? - zapytał Malone.

Davis i Thorvaldsen pokręcili głowami.

- Będzie nam potrzebny komputer. Jakikolwiek słowo odczytamy, na pewno będzie po grecku.

- Widziałem komputer w biurze, w którym przed chwilą byliśmy - odpowiedział Davis. - Kilka drzwi dalej.

Stephanie wróciła z nożykiem do obierania owoców.

- Wiecie co, martwię się o Michenera - rzucił Malone. - Co powstrzyma Viktora przed zabiciem go, nawet jeśli Zowastina bezpiecznie odleci?

- Nie będzie takiego problemu - odparł Davis. - Chciałem, żeby to Michener poszedł z Viktorem.

Malone wydawał się zaskoczony.

- Czemu?

Wzrok Edwina Davisa skupił się na nim, jakby mężczyzna zastanawiał się, czy Malone jest kimś, komu można zaufać.

Co go oczywiście zirytowało.

- O co chodzi?

Stephanie skinęła głową, a Davis powiedział:

- Viktor pracuje dla nas.



Viktor był zdumiony.

- Kim pan jest?

- Katolickim księdzem, tak jak mówiłem. Ale pan jest kimś więcej, niż się na pozór wydaje. Prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki prosił mnie, żebym z panem porozmawiał.

Motorówka wciąż dryfowała w stronę nabrzeża. Za chwilę Michenera miało już nie być. Wybrał doskonały moment na swoje wystąpienie.

- Powiedziano mi, że Zowastina ściągnęła pana z chorwackich służb bezpieczeństwa. Tyle że już wcześniej zwerbowali pana Amerykanie. Pomógł im pan w Bośni, a gdy uświadomili sobie, że pracuje pan dla Zowa-stiny, odnowili relacje.

Viktor miał świadomość, że te wszystkie zgodne z prawdą informacje mają przekonać go o wiarygodności posłańca.

- Dlaczego pan to robi? - zapytał Michener. - Dlaczego żyje pan w kłamstwie?

Viktor postanowił udzielić szczerzej odpowiedzi.

- Powiedzmy, że nie chciałbym stanąć przed sądem wojennym. Walczyłem w Bośni po drugiej stronie. Wszyscy robiliśmy rzeczy, których żałujemy. Ulżyłem swemu sumieniu, zmieniając front i pomagając Amerykanom w łapaniu najgorszych drani.

- Co oznacza, że tamci z drugiej strony znieawidziliby pana, gdyby się dowiedzieli.

- Coś w tym stylu.

- Amerykanie wciąż mają na pana ten haczyk?

- Sprawy o morderstwa nie przedawniają się. Mam rodzinę w Bośni. W tamtych okolicach odwet dotyczy wszystkich członków rodziny. Wyjechałem stamtąd, żeby nie pogarszać sprawy. Ale kiedy Amerykanie dowiedzieli się, że pracuję dla Zowastiny, dali mi wybór. Wydadzą mnie albo jej, albo Bośniakom. Uznałem, że lepiej będzie się do nich przyłączyć.

- Gra pan w niebezpieczną grę.

Viktor wzruszył ramionami.

- Zowastina nic o mnie nie wie. To jedna z jej słabości. Uważa, że nikt z otoczenia jej nie zagraża, ponieważ wszyscy albo za bardzo się jej boją, albo za bardzo ją szanują... - Musiał o to zapytać. - Ta kobieta dziś w nocy, w kościele, Cassiopeia Vitt, ta, która poleciała z Zowastiną...

- Jest po naszej stronie.

Viktor uświadomił sobie teraz powagę błędu, który popełnił. Naprawdę mogło go to zdradzić. Musiał więc o tym powiedzieć.

- Spotkaliśmy się w Danii. Próbowałem ją zabić, razem z tamtymi dwoma mężczyznami z bazyliki. Nie wiedziałem. Ale jeśli ona opowie Zowastinie o tym, co się wydarzyło, będę trupem.

- Cassiopeia tego nie zrobi. Powiedziano jej o panu, zanim weszła do bazyliki. Liczy na pańską pomoc w Samarkandzie.

Teraz zrozumiał jej dziwny szept na galerii transeptu i wiedział już, czemu nikt spośród tych, którzy byli w Danii, nie puścił przy Zowastinie pary z ust.

Łódź dotarła do nabrzeża. Michener wyskoczył z motorówki.

- Proszę jej pomóc. Ponoć nie brakuje jej sprytu.

I potrafi zabijać bez emocji.

- Niech Bóg będzie z panem, Viktorze. Wygląda na to, że może potrzebować pan Jego pomocy.

- Bóg jest bezużyteczny.

Na twarzy księdza pojawił się uśmiech.

- Też tak kiedyś myślałem - powiedział i potrząsnął głową. - Ale myliłem się.

Viktor był podobny do Zowastiny. Też był poganinem. Choć nie ze względów religijnych ani moralnych. Po prostu dlatego, że wcale nie obchodziło go, co stanie się po jego śmierci.

- Jeszcze jedno - powiedział Michener. - W bazylice Cassiopeia wspomniała o człowieku nazwiskiem Ely Lund. Amerykanie chcą wiedzieć, czy on żyje.

Znowu to nazwisko. Najpierw mówiła o nim ta kobieta, a teraz Waszyngton.

- Jeszcze niedawno żył. Ale teraz nie jestem już tego pewien.



MALONE POTRZAŚNAŁ GŁOWĄ.

- Macie tam kogoś swojego? To po co wam nasza pomoc?

- On nie może się ujawnić - powiedział Davis.

- Wiedziałaś o tym? - Malone zapytał Stephanie.

Pokręciła głową.

- Dowiedziałam się przed chwilą.

- Michener przypadkiem stał się doskonałym łącznikiem - powiedział Davis. - Nie byliśmy pewni, jak to wszystko się skończy, ale gdy Zowastina kazała Viktorowi go zabrać, wszystko ułożyło się doskonale. Chcemy, żeby Viktor pomógł Cassiopeii.

- Kim jest Viktor?

- Nie jest zwyczajnym agentem - powiedział Davis. - CIA wzięła go pod swoje skrzydła wiele lat temu. To przypadkowy nabytek.

- To była pokojowa adopcja czy wroga? - Malone wiedział, że tego rodzaju nabytki często przymuszano do współpracy.

Davis zawahał się.

- Wroga.

- No to mamy problem.

- W zeszłym roku odnowiliśmy z nim kontakt. I bardzo nam się przydał.

- Działa na wszystkie fronty, w żadnym razie nie możemy mu ufać. Nie pamiętam już nawet dokładnie, ile razy zostałem wystawiony przez takie przypadkowe nabytki. To zwykle sprzedawczyki.

- Jak już mówiłem, on okazał się pomocny.

Malone'a to nie przekonało.

- Najwyraźniej nie uczestniczy pan w tej grze wystarczająco długo.

- Wystarczająco długo, by wiedzieć, że czasem trzeba podjąć ryzyko.

- Podejmowanie ryzyka często oznacza po prostu głupotę.

- Cottonie - wtrąciła Stephanie. - Podobno to Viktor zwrócił

naszą uwagę na Vincentiego.

- I przez to zginęła Naomi. Tym bardziej nie powinniśmy mu ufać.

Malone położył kulę zgniecionego papieru na kopiarce i wziął od Stephanie nożyk. Przyłożył monetę ze słoniem do spodu jednej ze świec. Moneta była zużyta i miała nierówne brzegi, ale jej średnica była niemal identyczna jak średnica świecy. Wystarczyło kilka ruchów nożykiem, by zestrugać zbędny wosk.

Malone wręczył świecę Stephanie i ostrożnie rozwinął papier. Zaskoczyło go to, że ma spocone dłonie. Uniósł złoty pasek, chwytając krawędź między palec wskazujący i kciuk. Ostrożnie odciągnął koniec paska i przyłożył go do świecy, którą trzymała Stephanie.

Powoli rozwijał pomarszczoną folię.

Gdy złoty pasek znalazł się w oryginalnym położeniu, przypadkowe litery zaczęły układać się w sensowny ciąg. Malone przypomniał sobie coś, co kiedyś przeczytał na temat skytali: „To, co następuje, łączy się z tym, co poprzedza”.

Mogli już odczytać wiadomość.

Sześć greckich liter.

KAIMΑΣ

- Niezły sposób na przekazanie zaszyfrowanej wiadomości. Działa nawet po dwudziestu trzech wiekach.

Złota folia przywarła do świecy, a Malone zrozumiał, że ostrzeżenie Ptolemeusza było jak najbardziej słuszne: „Strzeż się, bo jedna jest tylko szansa powodzenia”. Teraz nie dałoby się już ponownie odwinąć złotego paska, bo folia rozpadłaby się na kawałki.

- Poszukajmy tego komputera - powiedział.



## SZEŚĆDZIESIĄT DWA

VINCENTI LUBIŁ PANOWAĆ NAD SYTUACJĄ.

- Jest pani bystrą kobietą. I z pewnością chce pani żyć. Ale co pani wie o życiu?

Nie czekał na odpowiedź Karyn Walde.

- Nauka zawsze mówiła nam, że są dwa rodzaje życia: bakterie i cała reszta. Czym się różnią? W bakteriach cząsteczki DNA są nieupakowane, natomiast u wszystkich innych organizmów znajdują się w jądrze komórkowym. Ale w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku mikrobiolog Carl Woese odkrył trzeci rodzaj życia. Archeowce. Coś pomiędzy bakteriami i pozostałymi organizmami. Kiedy je odkryto, wydawało się, że żyją tylko w najtrudniejszych warunkach, w Morzu Martwym, w gorących źródłach, w oceanach na głębokości kilku kilometrów, na Antarktydzie, w pozbawionych tlenu bagnach. Wydawało nam się, że funkcjonują tylko w takich środowiskach. Ale przez ostatnie dwadzieścia lat okazało się, że archeowce są wszędzie.

- To te bakterie, które pan odkrył, niszczą wirusa? - zapytała.

- I to z wielkim zapalem. I chodzi zarówno o HIV-1, HIV-2, SIV, jak i każdą inną odmianę, jaką udało mi się przetestować, w tym tę najnowszą z Azji Południowo-Wschodniej. Te bakterie mają białkową otoczkę, która unicestwia białka tworzące strukturę wirusa. Niszczą go tak, jak on niszczy komórki chorego. I robią to bardzo szybko. Cała sztuczka polega na tym, żeby powstrzymać układ odpornościowy organizmu przed zniszczeniem archeowców, zanim te wyeliminują wirusa. - Vincenti wskazał palcem na swoją rozmówczynię. - U ludzi takich jak pani układ odpornościowy już nie funkcjonuje, więc to nie problem, macie za mało białych krwinek, żeby poradziły sobie z inwazją bakterii. Ale u osób, które niedawno zakaziły się HIV, układ odpornościowy wciąż jest stosunkowo sprawny i

białe krwinki niszczą bakterie, zanim one zdołają dotrzeć do wirusa.

- Udało się panu znaleźć na to jakiś sposób?

Vincenti skinął głową.

- Te bakterie można przyjmować doustnie. W taki właśnie sposób podawał je pacjentom tamten stary uzdrowiciel, tyle że on myślał, że lekiem jest sama roślina. Ja nie tylko przeżulem jej liście, ale też napiłem się wody z tamtego zbiornika, więc nawet jeśli zakaziłem się wtedy wirusem, bakterie go zniszczyły. Teraz wiem, że lepiej podawać je w formie iniekcji. Można wtedy kontrolować stężenie bakterii. We wczesnych fazach infekcji wirusem HIV, kiedy układ odpornościowy wciąż działa, potrzeba ich więcej. W późniejszych fazach, jak w pani przypadku, kiedy liczba białych krwinek spada niemal do zera, wystarczy o wiele mniejsze stężenie.

- I dlatego do prób klinicznych potrzebował pan pacjentów na różnych etapach rozwoju choroby. Chciał się pan dowiedzieć, jak duże dawki są potrzebne.

- Bystra z pani dziewczyna.

- Więc ten, kto napisał to sprawozdanie, które mi pan przeczytał, i myślał, że nie interesuje pana szkodliwość badanej substancji, mylił się.

- Miałem wręcz obsesję na punkcie szkodliwości. Musiałem dowiedzieć się, jak duże dawki archeowców są potrzebne do zlikwidowania wirusa u pacjentów na różnych etapach choroby. To niesamowite, że te bakterie same w sobie są zupełnie nieszkodliwe. Można ich połknąć miliardy i nic się nie stanie.

- Wykorzystał pan tamtych Irakijczyków jako króliki doświadczalne?

Vincenti wzruszył ramionami.

- Musiałem, żeby sprawdzić, czy archeowce faktycznie są skuteczne. To nie było pewne. W końcu udało mi się stworzyć dodatkową otoczkę, która zwiększa skuteczność bakterii, ponieważ daje im więcej czasu na niszczenie wirusa. Niesamowite jest to, że ta otoczka na koniec odpada, a układ odpornościowy chorego wchłania archeowce jak wszystkie inne

organizmy, które znajdują się w układzie krążenia. Nie ma po nich śladu. Znika i wirus,

i archeowce. Tylko bakterii nie może być za dużo, bo to nadmiernie obciąża układ odpornościowy. Ale w sumie jest to prosty i niezwykle skuteczny lek zwalczający jeden z najbardziej niszczycielskich wirusów świata. A do tego nie stwierdziłem żadnych skutków ubocznych.

Vincenti wiedział, że Karyn z własnego doświadczenia zna spustoszenie, jakie sięją w organizmie leki zwalczające jedynie objawy HIV. Wysypki, wrzody, gorączka, zmęczenie, nudności, obniżone ciśnienie, bóle głowy, wymioty, uszkodzenia nerwów, bezsenność.

Ponownie uniósł strzykawkę.

- To panią uleczy.

- Proszę mi to podać - w jej głosie słychać było desperację.

- A wie pani, że Zowastina też mogła to zrobić? - od razu zauważył, że kłamstwo wywarło zamierzony efekt. - Ona o wszystkim wie.

- Domyślałam się. Ona i te jej zarazki. Od lat ma na ich punkcie obsesję.

- Pracujemy razem. A mimo to nigdy nic pani nie zaproponowała.

Karyn potrząsnęła głową.

- Nigdy. Przyjeżdżała tylko, żeby popatrzeć, jak umieram.

- Ona ma zawsze wszystko pod kontrolą. Nic pani nie mogła na to poradzić. Rozumiem, że wasze rozstanie przed laty musiało być trudne. Ona poczuła się zdradzona. Kiedy pani wróciła, prosząc o pomoc, dała jej pani tym samym sposobność odwetu. Z radością pozwoliłaby pani umrzeć. Czy potrafi pani odwzajemnić się jej tym samym?

Obserwował, jak przez chwilę się waha, ale tak jak podejrzewał, już dawno przestała się przejmować swoim sumieniem.

- Ja po prostu chcę żyć. Jeśli taką cenę trzeba zapłacić, zrobię to.

- Będzie pani pierwszą osobą, którą wyleczono z AIDS.

- I która o wszystkim opowie.

Vincenti skinął głową.

- Właśnie. Na trwałe zapiszemy się w historii.

Wydawało się, że to nie robi na niej wrażenia.

- Jeśli pański lek jest taki nieskomplikowany, to czy inni nie mogą go ukraść albo skopiować?

- Tylko ja wiem, gdzie żyje ten szczególny rodzaj archeowców. Proszę mi wierzyć, istnieje mnóstwo ich rodzajów, ale tylko ten jeden jest skuteczny.

Jej oczy zwięzły się.

- Oboje wiemy, dlaczego ja jestem na to gotowa. Ale pan?

- Jak na umierającą, zadaje pani mnóstwo pytań.

- Wygląda pan na kogoś, kto chce na nie odpowiedzieć.

- Zowastina stanowi przeszkodę na drodze do realizacji moich planów.

- Proszę mnie wyleczyć, a ja pomogę panu usunąć tę przeszkodę.

Nie wierzył w tak bezwarunkowe zapewnienia, ale utrzymanie tej kobiety przy życiu miało dla niego sens. Mógł wykorzystać jej gniew. Najpierw myślał, że rozwiązaniem może być zamach na Zowastinę, i dlatego dał florentczykowi wolną rękę. Ale potem zmienił zdanie i wyspał współnika. Śmierć z ręki zamachowca uczyniłaby z niej męczennicę. Lepiej było ją skompromitować. Niby miała wrogów, ale wszyscy się jej bali. Być może uda mu się dodać im trochę odwagi za sprawą tej wpatrzonych w niego teraz zgorzkniałej kobiety.

Ani on, ani Liga nie byli zainteresowani podbojem świata. Wojny były kosztowne pod wieloma względami, a przede wszystkim prowadziły do niszczenia bogactwa i zasobów naturalnych. Liga pragnęła urzeczywistnienia swojej utopii, ale nie w takiej formie, jak wyobrażała to sobie Zowastina. On sam pragnął miliardów zysków oraz sławy człowieka, który pokonał HIV. Wcześniej Ludwik Pasteur, Linus Pauling, Jonas Salk, a teraz Enrico Vincenti.

Wstrzyknął więc zawartość strzykawki do kroplówki.

- Jak długo to potrwa? - zapytała pełnym nadziei głosem, a jej twarz wyraźnie się ożywiła.

- Za kilka godzin poczuje się pani znacznie lepiej.



MALONE SIEDZIAŁ PRZED KOMPUTEREM. WŁĄCZYŁ WYSZUKIWARKE Google, znalazł strony ze starożytną greką, a wśród nich taką, która umożliwiała dokonywanie tłumaczeń. Wpisał sześć liter: KAIMAE. Zaskoczyła go zarówno wymowa tego słowa, jak i jego znaczenie.

- Czyta się „klimaks”. Oznacza drabinę - przeczytał.

Znalazł inną stronę z możliwością tłumaczenia ze starożytnej greki. Wybrał te same litery z podanego alfabetu i otrzymał identyczne tłumaczenie.

Stephanie wciąż trzymała w dłoniach świecę owiniętą złotą folią.

- Ptolemeusz zadał sobie sporo trudu, żeby przekazać tę wiadomość

- stwierdził Thorvaldsen. - To słowo musi mieć istotne znaczenie.

- I co się stanie, jak je odkryjemy? - zapytał Malone. - Czemu to wszystko jest takie ważne?

- Dlatego - odpowiedział jakiś nowy głos - że Zowastina planuje zamordowanie milionów ludzi.

Wszyscy odwrócili się i zobaczyli stojącego w drzwiach Michenera.

- Przed chwilą rozstałem się z Viktorem na nabrzeżu. Był bardzo zaskoczony, gdy dowiedział się, że o nim wiem.

- Mogę to sobie wyobrazić - powiedział Thorvaldsen.

- Czy Zowastina odleciała? - zapytał Malone.

Michener skinął głową.

- Sprawdziłem. Przed chwilą odleciała.

Malone musiał o to spytać.

- Skąd Cassiopeia dowiedziała się o Viktorze? - Ale zaraz sam się domyślił. Zwrócił się do Thorvaldsena. - Telefon. Przy nabrzeżu, jak tylko tu dopłynęliśmy. Ty jej wtedy powiedziałeś.

Duńczyk skinął głową.

- Potrzebowała tej informacji. Na szczęście nie zabiła go na

Torcello. Ale oczywiście wtedy o tym nie wiedziałem.

- Kolejny element improwizacji - stwierdził Malone, kierując swą uwagę do Davisa.

- Tę winę biorę na siebie. Ale udało się.

- Tylko że troje ludzi nie żyje.

Davis nie odpowiedział.

Malone drążył dalej.

- A gdyby Zowastina nie chciała zakładnika, żeby dostać się na lotnisko?

- Na szczęście stało się inaczej.

- Jak dla mnie, jest pan cholernie lekkomyślny. - Malone był już tym zirytowany. - Skoro Viktor jest waszym człowiekiem, dlaczego nie wiecie, czy Ely Lund żyje?

- To nie było dla nas istotne aż do wczoraj, kiedy wy zaangażowaliście się w tę sprawę. Zowastina miała kogoś, kto ją prowadził, ale nie wiedzieliśmy, kto to jest. Teraz wydaje się oczywiste, że to Lund. Jak tylko się dowiedzieliśmy, musieliśmy skontaktować się z Viktorem.

- Viktor powiedział, że Ely Lund jeszcze niedawno żył. Ale teraz prawdopodobnie już nie żyje - powiedział Michener.

- Cassiopeia nie ma pojęcia, z czym się mierzy - stwierdził Malone.

- Będzie się tam poruszać po omacku.

- To ona wszystko ustawiła - powiedziała Stephanie. - Być może mając właśnie nadzieję, że Ely wciąż żyje.

Nie miał ochoty tego słuchać. Z wielu różnych powodów. Ale w tym momencie ani mu się śniło nad nimi zastanawiać.

- Cottonie - powiedział Thorvaldsen - zapytałeś, czemu to wszystko jest takie ważne. Poza oczywistą tragedią, jaką spowoduje wybuch wojny biologicznej, istnieje możliwość, że ta mikstura to naturalny cudowny lek. Starożytni byli o tym przekonani. Aleksander też. Podobnie jak kronikarze, którzy są autorami tamtych manuskryptów. A jeśli w tym wszystkim jest cień prawdy? Nie wiem dlaczego, ale Zowastina chce do niej dotrzeć. I Ely też. I Cassiopeia.

Malone nie wyglądał na przekonanego.

- Nie wiemy kompletnie nic.

Stephanie zamachała świecą.

- Wiemy, że ta zagadka jest prawdziwa.

Miała rację i Malone musiał przyznać, że sam jest zaintrygowany. Znowu ta pożałowania godna ciekawość, która zawsze sprowadzała na niego kłopoty.

- No i wiemy, dlaczego zginęła Naomi - dodała Stephanie.

Pamiętał o tym.

Ponownie popatrzył na skytale. Drabina. Czy to jakieś miejsce? Jeśli tak, to taka nazwa z pewnością miała więcej sensu w czasach Ptolemeusza. Malone wiedział, że Aleksander Wielki dbał o to, by tworzono dokładne mapy jego imperium. Kartografia była wtedy zaledwie w powijakach, ale pamiętał, że widział reprodukcje takich starożytnych map. Postanowił więc sprawdzić, czy nie ma ich w Internecie. Po dwudziestu minutach poszukiwań nie znalazł nic, co mogłoby odpowiadać nazwie KAIMAE, czyli drabina.

- Możemy skorzystać z innego źródła wiedzy - powiedział Thorvaldsen. - Ely miał chatę w górach Pamiru. Jeździł tam, żeby pomyśleć i popracować. Cassiopeia opowiadała mi o tym. Trzymał tam swoje papiery i książki. Niezły zbiór wiedzy o Aleksandrze. Wspomniała, że jest tam mnóstwo map z tego okresu.

- To miejsce znajduje się na terenie Federacji - zwrócił uwagę Malone.

- Wątpię, by Zowastina wydała nam wizę.

- To blisko granicy? - zapytał Davis.

- Czterdzieści kilometrów.

- Możemy dostać się tam od strony Chin. Współpracują z nami w tej sprawie.

- A co to w ogóle za sprawa? - zapytał Malone. - Czemu my zostaliśmy w to zaangażowani? Nie macie CIA i mnóstwa innych agencji wywiadowczych?

- Tak naprawdę, panie Malone, sam pan się w to zaangażował, podobnie jak pan Thorvaldsen i Stephanie. Zowastina oficjalnie pozostaje naszym jedynym sojusznikiem w tym regionie, więc nic nie może wskazywać na to, że mamy coś przeciwko niej. Wykorzystanie oficjalnych agend byłoby

ryzykowne. Ponieważ mieliśmy Viktora, który na bieżąco nas informował, znaleźliśmy większość jej działań. Ale sprawa nabrała tempa. Rozumiemy pańskie wątpliwości dotyczące Cassiopeii...

- Tak naprawdę to nie rozumiecie. Ale właśnie dlatego nie wycofam się. Pojadę po nią.

- Wolałbym, żeby udał się pan do tej chaty i sprawdził, co tam jest.

- To właśnie wielki plus bycia na emeryturze. Mogę robić, co mi się podoba. - Malone zwrócił się do Thorvaldsena. - Powinieneś pojechać do tej chaty ze Stephanie.

- Zgadza się - odparł przyjaciel. - A ty sprawdź, co z Cassiopeią.

Malone popatrzył na Duńczyka. Thorvaldsen pomagał Cassiopeii i współpracował z prezydentem, wciągając ich w to wszystko. Ale wcale nie podobało mu się to, że Cassiopeia jest tam zupełnie sama.

- Masz już jakiś plan - powiedział Thorvaldsen. - Prawda?

- Myślę, że tak.



## SZEŚĆDZIESIĄT TRZY

### GODZINA 4:30

ZOWASTINA POPIJAŁA WODĘ Z BUTELKI, POZWALAJĄC, BY JEJ współpasażerka zatopiła się w myślach. Przez ostatnią godzinę lotu nie zamieniły ze sobą słowa. Milczały od momentu, gdy omamiła Cassiope-ię Vitt wizją wciąż żywego Ely'ego Lunda. Najwyraźniej jej zakładniczka miała do zrealizowania jakąś misję. O charakterze osobistym? Czy zawodowym? To trzeba będzie sprawdzić.

- Skąd ty i ten Duńczyk wiecie o moich sprawach?
- Wielu ludzi wie o pani sprawach.
- Skoro tak, czemu nikt mnie dotąd nie powstrzymał?
- Może właśnie zamierzamy to zrobić?

Zowastina uśmiechnęła się.

- We trójkę? Ty, ten starzec i pan Malone? A przy okazji, czy to twój przyjaciel?

- Malone pracuje dla Departamentu Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych.

Spodziewała się, że wydarzenia w Amsterdamie przyciągną uwagę czynników oficjalnych, ale temu wszystkiemu brakowało sensu. W jaki sposób Amerykanie mogli się tak szybko zorganizować i skąd wiedzieli, że będzie w Wenecji? Od Michenera? Prawdopodobnie. Departament Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych. Amerykanie. Przypomniał jej się jeszcze jeden problem. Vincenti.

- Nie ma pani pojęcia - powiedziała Vitt - jak dużo wiemy.
- Nie muszę. Mam ciebie.
- Ja jestem nieistotna.

Zowastina nie uwierzyła w tę deklarację.

- Ely bardzo dużo mnie nauczył. Więcej, niż myślałam, że to możliwe. Otworzył mi oczy na przeszłość. Podejrzewam, że

tobie też otworzył oczy.

- To się nie uda. Nie wykorzysta go pani, żeby dobrać się do mnie.

Zowastina musiała jakoś złamać tę kobietę. Jej cały plan opierał się na tajemnicy. Jawność jej działań narazi ją nie tylko na porażkę, ale też na możliwość zemsty. Cassiopeia stanowiła w tej chwili najszybszy i najprostszy sposób stwierdzenia, jak poważne są jej tarapaty.

- Poleciałam do Wenecji, żeby znaleźć odpowiedź na kilka pytań

- stwierdziła Zowastina. - Ely mnie tam skierował. Uważał, że ciało spoczywające w bazylice może nas doprowadzić do prawdziwego grobu Aleksandra Wielkiego. Sądził, że w tym miejscu będzie można odkryć tajemnicę starożytnego lekarstwa. Czegoś, co pomoże nawet jemu.

- To mrzonki.

- Ale wasze wspólne, prawda?

- Czy on żyje?

Wreszcie padło bezpośrednie pytanie.

- Nie uwierzysz mi, cokolwiek bym odpowiedziała.

- Proszę spróbować.

- Nie zginął w pożarze swojego domu.

- To nie jest odpowiedź.

- To wszystko, co mam do powiedzenia.

Samolot nagle zanurkował, gdy turbulencje uderzyły w skrzydła, ale silniki wciąż pracowały, a one leciały coraz dalej na wschód. W kabinie były tylko we dwie. Obaj ochroniarze, którzy towarzyszyli jej w podróży do Wenecji, zginęli, a ich ciała stanowiły teraz problem Michenera i jego Kościoła. Tylko Viktor spisał się jak zwykle.

Zowastinę i jej zakładniczkę coś łączyło. Obie troszczyły się o osoby chore na HIV. Cassiopeia tak bardzo, że była gotowa postawić na szali swoje życie, Zowastina na tyle, by zaryzykować idiotyczną podróż do Wenecji i narazić się na fizyczne i polityczne niebezpieczeństwo. Głupota? Najprawdopodobniej.

Ale bohaterowie czasem muszą postępować głupio.

## SZEŚĆDZIESIĄT CZTERY

### FEDERACJA ŚRODKOWOAZJATYCKA, GODZINA 8:50

VINCENTI ZASZYŁ się w LABORATORIUM, KTÓRE KAZAŁ WYBUDOWAĆ w podziemiach swojej posiadłości. W środku był tylko on i Grant Lyndsey. Lyndsey przyleciał prosto z Chin, gdzie zakończył misję. Dwa lata temu Vincenti powierzył mu swą tajemnicę. Potrzebował kogoś zaufanego do nadzorowania wszystkich badań nad wirusami i odtrutkami. A jednocześnie kogoś, kto potrafiłby ugłaskać Zowastinę.

- Jak temperatura? - zapytał Vincenti.

Lyndsey zerknął na cyfrowy wyświetlacz.

- Stabilna.

Laboratorium było prawdziwym królestwem Vincentiego. Sterylna przestrzeń o kremowych ścianach i podłodze wyłożonej czarnymi kafelkami. Pośrodku ciągnęły się dwa rzędy stołów ze stali nierdzewnej. Kolby, zlewki i biurety piętrzyły się na metalowych stojakach nad autoklawem, destylatorem, wirówką, wagami analitycznymi i dwoma stanowiskami komputerowymi. Symulacja komputerowa odgrywała kluczową rolę w ich badaniach. Teraz było zupełnie inaczej, niż gdy pracował dla Irakijczyków, kiedy kosztowna i czasochłonna metoda prób i błędów powodowała mnóstwo strat. Dzisiejsze wyrafinowane programy komputerowe potrafiły symulować niemal każdą reakcję chemiczną czy biologiczną, jeśli tylko znane były odpowiednie parametry. A w zeszłym roku Lyndsey wykonał świetną robotę, ustalając parametry do komputerowego testowania ZH.

- Roztwór ma temperaturę pokojową - powiedział Lyndsey. - A one kręcą się jak szalone. Zdumiewające.

Zbiornik, w którym znalazł archeowce, był zasilany wodą z

ciepłych źródeł i panująca w nim temperatura sięgała 37,8 stopnia Celsjusza. Produkowanie tych bakterii w ilościach masowych oraz ich bezpieczny transport po całym świecie w tak wysokiej temperaturze mogły się okazać niewykonalne. Dlatego musieli je nieco zmodyfikować. Powoli przyzwyczajali archeowce do coraz niższej temperatury otoczenia. Co ciekawe, w temperaturze pokojowej ich aktywność malała, wpadały niemal w stan spoczynku, lecz gdy tylko znalazły się w krwiobiegu o temperaturze 36,7 stopnia Celsjusza, następowała szybka reaktywacja.

- Badanie kliniczne, które skończyłem kilka dni temu - powiedział Lindsey - potwierdziło, że można je przechowywać w temperaturze pokojowej przez dłuższy czas. Te tutaj trzymałem tak przez cztery miesiące. Ich zdolności adaptacyjne są po prostu niewiarygodne.

- I dlatego przetrwały miliardy lat, czekając na odkrycie.

Vincenti pochylił się nad jednym ze stołów i wsunął okryte gumowymi rękawiczkami dłonie do hermetycznie zamykanego pojemnika. W laboratorium nieustannie rozlegał się niemal hipnotyzujący warkot wyposażonego w wielowarstwowe filtry systemu oczyszczania powietrza. Vincenti, patrząc przez okienko z pleksiglasu, zręcznie manipulował parowniczką. Położył na szkiełku próbkę aktywnego wirusa HIV i wymieszał ją z kropelką, która już na nim była. Wsunął szkiełko na stolik wbudowanego mikroskopu. Zdjął wilgotne rękawiczki i zaczął nastawiać ostrość.

Dwa ruchy i gotowe.

Wystarczyło jedno spojrzenie.

- Wirus zniknął. Niemal natychmiast. Jakby bakterie tylko czekały, żeby go zniszczyć.

Vincenti wiedział, że genetyczna modyfikacja archeowców to klucz do sukcesu. Kilka lat temu nowojorska kancelaria prawnicza, której porady zasięgnął, wyjaśniła mu, że nie można opatentować nowo odkrytego minerału czy znalezionej w dziczy nieznaney dotąd rośliny. Einstein nie mógł opatentować swojej słynnej formuły  $E = mc^2$ , a Newton odkrytego przez siebie prawa grawitacji. To prawa natury, które należą do

wszystkich. Ale można opatentować rośliny poddane inżynierii genetycznej, stworzone przez człowieka organizmy wielokomórkowe czy zmodyfikowane bakterie.

Później Vincenti znów skontaktował się z tamtą kancelarią prawniczą i zlecił jej rozpoczęcie procesu patentowego. Potrzebna była także akceptacja Agencji ds. Żywności i Leków. Zanim eksperymentalna substancja trafiła z laboratorium do domowych apteczek, miało średnio dwanaście lat - amerykański system akceptacji leków był najsurowszy na świecie. Vincenti wiedział, jakie są szanse. Tylko pięciu spośród czterech tysięcy związków testowanych w badaniach przedklinicznych przez Agencję udawało się przejść do etapu badań z udziałem pacjentów. Z tych pięciu tylko jeden uzyskiwał akceptację. Siedem lat temu wprowadzono nową, szybszą procedurę dla substancji stosowanych w chorobach śmiertelnych, szczególnie AIDS. Szybsza procedura oznaczała dla Agencji okres od sześciu do dziewięciu miesięcy. Europejskie procedury akceptacji leków również były rygorystyczne, ale nie aż tak. W krajach afrykańskich i azjatyckich, które najbardziej cierpiały z powodu chorób, nie wymagano urzędowej akceptacji.

Więc tam właśnie rozpocznie sprzedaż.

Niech świat zobaczy, jak Azjaci i Afrykanie wychodzą z choroby, podczas gdy chorzy na AIDS Amerykanie i Europejczycy wciąż umierają. Wtedy nawet nie będzie musiał prosić o akceptację.

- Nigdy o to nie zapytałem - powiedział Lyndsey - a pan też nigdy o tym nie mówił, ale gdzie pan znalazł te bakterie?

Czas tajemnicy minął. Bez wątpienia potrzebował Lyndseya w swojej drużynie. Ale odpowiadając na pytanie gdzie, musiał jednocześnie powiedzieć kiedy.

- Zastanawiał się pan kiedyś, ile warta była firma produkująca prezerwatywy przed pojawieniem się wirusa HIV? Z pewnością miała sporą sprzedaż. Jaką? Kilka milionów sztuk rocznie? Ale po pojawieniu się AIDS zaczęto produkować i sprzedawać na całym świecie miliardy prezerwatyw. A leki objawowe? Leczenie AIDS to maszynka do robienia pieniędzy. Potrójny

koktajl leków kosztuje od dwunastu do osiemnastu tysięcy dolarów rocznie. Proszę pomnożyć to przez miliony zakażonych i mamy miliardy wydawane na leki, które tak naprawdę nie leczą. Proszę pomyśleć o wszystkich dodatkach, jak lateksowe rękawiczki, szpitalne fartuchy, sterylne igły. Wie pan, ile milionów igieł kupuje się i rozdaje, żeby powstrzymać rozprzestrzenianie się HIV pośród narkomanów? A ich cena, podobnie jak w przypadku prezerwatyw, poszybowała w górę. To są niemal nieograniczone możliwości. Dla firm farmaceutycznych i produkujących sprzęt medyczny, jak Philogen, HIV to żyła złota. Przez ostatnie osiemnaście lat nasza firma rozwijała się, a zakład produkujący prezerwatywy rozrósł trzykrotnie. Sprzedaż wszystkich naszych produktów rosła w niesamowitym tempie. Opracowaliśmy nawet kilka leków objawowych, które też dobrze się sprzedają. Dziesięć lat temu weszliśmy na giełdę, zebraliśmy kapitał, a rozwijający się dział leków i produktów medycznych finansował dalszą ekspansję. Kupiłem firmę kosmetyczną, mydlarską, sieć domów towarowych oraz firmę produkującą mrożonki, bo wiedziałem, że pewnego dnia Philogen bez problemu spłaci wszystkie długi.

- Skąd pan to wiedział?

- Te bakterie znalazłem niemal trzydzieści lat temu. Dwadzieścia lat temu uświadomiłem sobie ich potencjał. I od tamtej pory byłem w posiadaniu leku na HIV, w każdej chwili mogąc go ujawnić światu.

Vincenti obserwował reakcję Lyndseya.

- I nikomu pan o tym nie powiedział?

- Nikomu. - Vincenti musiał sprawdzić, czy Lyndsey faktycznie jest pozbawiony zasad moralnych. - Czy to stanowi problem? Po prostu czekałem, aż rynek się rozwinie.

- I cały czas wiedział pan, że ma w rękach prawdziwie skuteczny lek, a nie coś, z czym wirus zaraz by sobie poradził? Że dysponuje pan jedynym sposobem na zniszczenie HIV? Nawet gdyby ktoś wynalazł lek powstrzymujący jego namnażanie się, pański lek działałby szybciej, lepiej, bezpieczniej, a jego wyprodukowanie kosztowałoby grosze.

- Mniej więcej.

- I nie obchodziło pana, że tymczasem umierają miliony ludzi?

- Myśli pan, że świat przejmuje się AIDS? Niech pan nie buja w obłokach. Dużo gadania i prawie zero działania. To dość specyficzna choroba. Powszechnie uważa się, że dotyka wyłącznie czarnych, gejów i narkomanów. Ta epidemia zadziałała tak, jakby przewaliła wielki gnijący pień i ujawniła wijące się pod spodem życie. Pokazała, czym są zasadnicze wątki ludzkiego istnienia: seks, śmierć, władza, pieniądz, miłość, nienawiść, strach. AIDS stał się najbardziej polityczną ze wszystkich chorób, i to zarówno w odniesieniu do tego, jak ją sobie wyobrażamy, jak i do tego, jak ją opisujemy, badamy czy finansujemy.

Przypomniało mu się, co powiedziała wcześniej Karyn Walde: „Na razie nie zabija odpowiednich ludzi”.

- A co z innymi firmami farmaceutycznymi? - zapytał Lyndsey. - Nie bał się pan, że odkryją jakiś lek?

- To stanowiło pewne ryzyko, ale ściśle obserwowaliśmy konkurencję. Powiedzmy, że ich badania zawsze kończyły się fiaskiem. - Vincenti czuł się doskonale. Po tak długim okresie milczenia mówienie o swoim sukcesie sprawiało mu przyjemność. - Chciałby pan zobaczyć, gdzie te bakterie żyją?

Oczy Lyndseya rozbłysły.

- To gdzieś tutaj?

Vincenti skinął głową.

- Bardzo blisko.

## SZEŚCZDZIESIĄT PIĘĆ

### **SAMARKANDA, FEDERACJA ŚRODKOWOAZJATYCKA, GODZINA 9:15**

CASSIOPEIĘ ZABRAŁO Z SAMOLOTU DWÓCH OCHRONIARZY ZOWASTINY. Powiedziano jej, że odprowadzą ją do pałacu, gdzie będzie przetrzymywana.

- Jest pani świadoma - Cassiopeia powiedziała do Zowastiny, zatrzymując się przy otwartych drzwiach samochodu - że wpakowała się pani w kłopoty?

Zowastina zdecydowanie nie życzyła sobie tego rodzaju rozmowy w tym miejscu, na płycie lotniska, w towarzystwie załogi i ochroniarzy. W samolocie, gdy były same, jak najbardziej. Ale Cassiopeia celowo milczała przez ostatnie dwie godziny.

- Kłopoty to u nas nic nadzwyczajnego.

Gdy Cassiopeia wsiadała na tylne siedzenie z dłońmi skrępowanymi kajdankami na plecach, postanowiła wbić nóż.

- Nie miała pani racji co do tych szczątków.

Zowastina jakby rozważała rzucone wyzwanie. Wenecja, mimo najlepszych chęci, okazała się porażką, więc nic dziwnego, że podeszła bliżej i zapytała:

- Jak to?

Wypełnione spalinami powietrze drżało od ryku silników odrzutowych i ostrych porywów wiatru. Cassiopeia siedziała spokojnie na tylnym siedzeniu i patrzyła przez przednią szybę.

- Tam coś było. - Odwróciła się w stronę premier Zowastiny. - A pani to przegapiła.

- Kpiąc ze mnie, nie poprawiasz swojej sytuacji.

Cassiopeia zignorowała tę groźbę.

- Jeśli chce pani poznać rozwiązanie zagadki, proszę



zapropnować mi coś w zamian.

Nietrudno było przeniknąć tę demoniczną kobietę. Zowastina z pewnością zakładała, że Cassiopeia dużo wie. Inaczej by jej ze sobą nie zabrała. A Cassiopeia jak dotąd zachowała ostrożność, wiedząc, że nie powinna ujawniać zbyt wiele. W końcu jej życie zależało od tego, ile informacji uda jej się zachować dla siebie.

Jeden z ochroniarzy podszedł i szepnął coś Zowastinie do ucha. Pani premier słuchała go, a Cassiopeia dostrzegła przez moment wyraz zdumienia na jej twarzy. Potem Zowastina skinęła głową, a ochroniarz się wycofał.

- Jakies problemy? - zapytała Cassiopeia.

- Uroki premierostwa. Później porozmawiamy - rzuciła Zowastina i odeszła.



DRZWI WEJŚCIOWE DO DOMU BYŁY OTWARTE. W ŚRODKU ŻADNYCH zniszczeń. Żadnych śladów przemocy. Wewnątrz czekało na nią dwóch członków Świętego Zastępu. Zowastina popatrzyła na jednego z nich i zapytała:

- Co się stało?

- Obu naszych zabito strzałem w głowę. To stało się zeszłej nocy. Pielęgniarki i Karyn Walde nie ma. Nie zabrały ubrań. Budzik pielęgniarki był ustawiony na szóstą rano. Nie wygląda na to, by wyjechały dobrowolnie.

Zowastina przeszła do głównej sypialni. Respirator był wyłączony, a kroplówka zwisała ze stojaka. Czy Karyn uciekła? Dokąd? Zowastina wróciła do holu i zapytała ochroniarzy:

- Jacyś świadkowie?

Wydarzenie miało miejsce podczas jej nieobecności. To nie mógł być przypadek. Postanowiła posłuchać intuicji. Podeszła do aparatu telefonicznego i wybrała numer swojej osobistej sekretarki. Powiedziała jej, czego chce, i odczekała kilka minut, aż sekretarka znowu się odezwała:

- Vincenti pojawił się w Federacji wczoraj w nocy o pierwszej czterdzieści. Ma ważną wizę. Przyleciał prywatnym samolotem.

Wciąż uważała, że to Vincenti stał za tamtą próbą zamachu. Musiał wiedzieć, że opuściła Federację. W jej rządzie z pewnością było mnóstwo przecieków, czego dowiedli Henrik Thorvaldsen i Cassiopeia Vitt, ale co powinna z tym zrobić?

- Pani premier - powiedziała przez telefon sekretarka - właśnie miałam się z panią skontaktować. Ma pani gościa.

- To Vincenti? - zapytała ze zbędnym pośpiechem.

- Nie, ale też Amerykanin.

- Ambasador? - W Samarkandzie było mnóstwo zagranicznych ambasad i czasami całe dnie spędzała, przyjmując przedstawicieli obcych rządów.

- To Edwin Davis, zastępca doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego amerykańskiego prezydenta. Ma paszport dyplomatyczny, przyleciał tutaj kilka godzin temu.

- Bez zapowiedzi?

- Po prostu pojawił się w pałacu i powiedział, że chce się z panią zobaczyć. Z nikim innym nie zamierza rozmawiać o celu swojej wizyty.

To też nie mógł być przypadek.

- Zaraz tam będę.

## SZEŚĆDZIESIĄT SZEŚĆ

### **SAMARKANDA, FEDERACJA ŚRODKOWOAZJATYCKA, GODZINA 10:30**

MALONE POPIJAŁ COŁĘ LIGHT I OBSERWOWAŁ, JAK NIEWIELKI LEAR-JET 36A zbliża się do lotniska. Znajdowało się ono na północ od miasta. Miało tylko jeden pas, który służył zarówno lotom rejsowym, jak i samolotom prywatnym i wojskowym. Przybył z Włoch szybciej zarówno od Zowastiny, jak i od Viktora, dzięki F-16-E strike eagle, którego prezydent Daniels oddał do jego dyspozycji. Do bazy lotniczej w Aviano, położonej siedemdziesiąt kilometrów od Wenecji, dotarł helikopterem, a lot na wschód dzięki ponaddźwiękowej prędkości ponad tysiąc pięćset kilometrów na godzinę trwał tylko nieco ponad dwie godziny. Zowastina i learjet Viktora, który właśnie kołował, potrzebowali na pokonanie tej samej trasy niemal pięciu godzin.

Dwa F-16 wylądowały w Samarkandzie bez problemu, ponieważ Stany Zjednoczone miały nieograniczone prawo korzystania z wszystkich baz i lotnisk Federacji. Choć Federacja była oficjalnie amerykańskim sojusznikiem, Malone wiedział, że tego rodzaju gościnność w tej części świata miała niezwykle ulotny charakter. Drugim myśliwcem przyleciał Edwin Davis, który teraz znajdował się już w pałacu. Prezydentowi nie podobał się pomysł zaangażowania Davisa, wołałby go do tego bezpośrednio nie mieszać, ale słusznie uznał, że Malone nie przyjmie odmowy. Poza tym, jak prezydent ze śmiechem stwierdził, cały plan miał mniej więcej dziesięćprocentowe szanse sukcesu, więc co tam.

Malone wypił ostatni łyk coli, której smak był słabszy niż amerykańskiej, ale zadowalający. Podczas lotu zdrzemnął się

godzinę. Ostatni raz leciał bojowym myśliwcem dwadzieścia lat temu. Nauczył się je pilotować na początku swojej wojskowej kariery, zanim został prawnikiem i przeszedł do korpusu głównego prokuratora wojskowego. To koledzy ojca z wojska namówili go na ten krok.

Ojciec.

Komandor porucznik. Ale pewnego sierpniowego dnia okręt podwodny, którym dowodził, zatonął. Choć Malone miał wtedy dziesięć lat, wspomnienie to zawsze sprawiało mu ból. Zanim zaciągnął się do marynarki, koledzy ojca awansowali na wysokie stanowiska i mieli swoje plany co do syna Forresta Malone'a. Z szacunku zrobił to, o co go poprosili, i w efekcie skończył jako agent jednostki Magellan Billet.

Nigdy nie żałował dokonanych wyborów, a jego kariera w Departamencie Sprawiedliwości należała do najbardziej udanych. Nie zapomniano o nim nawet na emeryturze. Templariusze. Biblioteka Aleksandryjska. A teraz grób Aleksandra Wielkiego. Malone potrząsnął głową. Wybory. Każdy musi ich dokonywać.

Także ten mężczyzna, który właśnie wysiada z learjeta. Viktor. Informator CIA. Przypadkowy nabytek.

I problem.

Malone wrzucił puszkę do kosza na śmieci i czekał, aż Viktor wejdzie do hali. AWACS E3 Sentry, który zawsze krąży nad Bliskim Wschodem, śledził lot jego samolotu z Wenecji, więc Malone dokładnie wiedział, kiedy przyleci.

Viktor wyglądał tak samo jak w bazylice. Spierzchnięta twarz, brudne ubranie. Jego chód był sztywny, wyglądał na kogoś, kto ma za sobą ciężką noc.

Malone cofnął się za niski murek i czekał, aż Viktor wejdzie do środka hali i ruszy w kierunku stanowiska odprawy. Wtedy wyszedł z ukrycia i poszedł za nim.

- Trochę to trwało.

Viktor zatrzymał się i odwrócił. Na jego twarzy nie pojawił się nawet ślad zaskoczenia.

- Myślałem, że mam pomóc Vitt.

- A ja pomogę tobie.

- Ty i twoi przyjaciele wrobiliście mnie w Kopenhadze. Nie lubię, jak się ze mną pogrywa.

- A kto lubi?

- Wracaj tam, skąd przyszedłeś, Malone. Ja się wszystkim zajmę. Malone wyciągnął pistolet. Jedną z zalet podróżowania wojskowym odrzutowcem był brak kontroli granicznej dla personelu wojskowego Stanów Zjednoczonych oraz ich gości.

- Powiedziano mi, że mam ci pomóc. I zamierzam to zrobić bez względu na to, czy ci się to podoba czy nie.

- Masz zamiar mnie zastrzelić? - Viktor potrząsnął głową. - Cassiopeia Vitt zabiła w Wenecji mojego partnera i próbowała zabić mnie.

- Wtedy nie wiedziała, że jesteś po właściwej stronie.

- Mówisz tak, jakby to stanowiło jakiś problem.

- Jeszcze nie zdecydowałem, czy stanowisz problem czy nie.

- To ta kobieta stanowi problem - odpowiedział Viktor. - Przypuszczam, że żadnemu z nas nie pozwoli sobie pomóc.

- Prawdopodobnie masz rację, ale zrobimy, co do nas należy. - Malone postanowił złagodzić swoje podejście. - Podobno jesteś cennym nabytkiem. Więc pomóżmy jej.

- Taki miałem plan. Tylko nie spodziewałem się, że będę miał pomocnika.

Malone wsunął broń pod marynarkę.

- Wprowadź mnie do pałacu.

Viktor wydawał się zaskoczony jego prośbą. - To wszystko?

- To chyba nie powinien być problem dla dowódcy Świętego Zastępu. Nikt nie będzie ci zadawał pytań.

Viktor pokręcił głową.

- Kompletnie oszaleliście. Czy koniecznie chcecie igrać ze śmiercią? Już jest źle, bo ona tam jest. A teraz jeszcze ty? Nie mogę brać za to wszystko odpowiedzialności. A przy okazji, w ogóle nie powinniśmy rozmawiać. To ryzykowne. Zowastina zna twoją twarz.

Malone już to sprawdził. W tej części hali nie zainstalowano kamer. Były tylko dalej, przy odprawie. Wokół nie było nikogo innego i dlatego uznał, że to dobre miejsce na pogawędkę.

- Tylko wprowadź mnie od pałacu. Jeśli wskażesz mi właściwy

kierunek, odwalę całą ciężką robotę. W ten sposób cię ochronię. Nie musisz nic robić, tylko mnie osłaniać. Waszyngton za wszelką cenę chce zachować twoją anonimowość. Dlatego tu jestem.

Viktor z niedowierzaniem pokręcił głową.

- A kto wymyślił ten idiotyczny plan?

Malone uśmiechnął się.

- Ja.

## SZEŚĆDZIESIĄT SIEDEM

VINCENTI WYPROWADZIŁ LYNDSEYA Z DOMU NA SKALISTĄ ŚCIEŻKĘ wiodącą w góry. Kazał wygładzić starożytny trakt, tam gdzie się dało, wyciąć w skale stopnie i pociągnąć prąd, ponieważ wiedział, że jeszcze wielokrotnie będzie się tędy wspinał. Zarówno ścieżka, jak i sama góra znajdowały się w granicach jego posiadłości. Za każdym razem gdy tu wracał, przypominał mu się stary uzdrowiciel, który wdrapywał się po skałach niczym kot, wczepiając się w kamienisty trakt palcami bosych stóp. Vincenti wspinał się za nim pełen radosnego oczekiwania, niczym dziecko wchodzące za rodzicem po schodach i zastanawiające się, co czeka na nie na poddaszu.

I nie rozczarował się wtedy.

Znaleźli się w miejscu sprawiającym wrażenie stworzonej przez naturę świątyni. Otaczały ich szare skały pokryte cętkowanymi żyłami błyszczących kryształów. Nogi bolały go z wysiłku, a każdy oddech rozdzierał mu płuca. Podciągnął się na kolejny występ skalny, a na jego czole pojawiły się kropelki potu.

Szczupły i żyłasty Lyndsey nie sprawiał wrażenia wyczerpanego.

Vincenti z wdzięcznością wypuścił powietrze, gdy stanął na ostatnim występie.

- Na zachodzie Federacja, na wschodzie Chiny. Jesteśmy na rozdrożu.

Lyndsey podziwiał panoramę. Popołudniowe słońce rozświetlało rozległe pasma strzelistych zboczy i szczytów. Stado dzikich koni pędziło w ciszy przez dolinę za domem.

Vincenti cieszył się, że może się tym z kimś podzielić. Rozmowa z Karyn Walde rozpalila w nim potrzebę uznania. Odkrył coś wyjątkowego i udało mu się zdobyć nad tym

całkowitą kontrolę, a to nie byle co, biorąc pod uwagę fakt, że w całym regionie jeszcze niedawno dominowali Sowieci. Ale Federacja wszystko zmieniła, a on poprzez Ligę Wenecką mógł sterować tymi zmianami tak, by odpowiadały jego osobistym potrzebom.

- To tutaj - powiedział, wskazując szeroką bruzdę między skałami.

- Trzeba przejść tędy.

Trzydzieści lat temu z łatwością mieścił się w szczelinie, ale od tamtej pory przybyło mu ponad siedemdziesiąt kilogramów. Ledwo się teraz przecisnął.

Szczelina stanowiła przejście do szarej komory otoczonej ze wszystkich stron nierównymi ostrymi skałami. Panował w niej mrok, ponieważ jedynym źródłem światła była prowadząca do jaskini szczelina. Vincenti włączył prąd i wewnątrz komory rozświetliły zawieszona u sklepienia żarówki. W skalistym podłożu znajdowały się dwie sadzawki, jedna rdzawa, druga zielonkawa, każda o średnicy około trzech metrów, a obie podświetlone zanurzonymi w nich lampami.

- W tych górach jest mnóstwo gorących źródeł - powiedział Vincenti.

- Od czasów starożytnych miejscowa ludność wierzy, że mają one właściwości lecznicze. I w tym przypadku rzeczywiście tak jest.

- A po co to oświetlenie?

Vincenti wzruszył ramionami.

- Chciałem zbadać tę wodę, a poza tym piękny jest ten kontrast barw.

- To tutaj żyją archeowce?

Vincenti wskazał zielonkawy zbiornik.

- To ich dom.

Lyndsey przykucnął i pogładził przejrzystą powierzchnię wody, po której rozeszła się fala zmarszczek. W zbiorniku nie było już roślin, które zarastały go, gdy Vincenti był tu pierwszy raz. Najwyraźniej już dawno wymarły. Ale one nie były istotne.

- Około 37,8 stopnia - powiedział o wodzie. - Ale wprowadzone przez nas modyfikacje umożliwią im życie w



temperaturze pokojowej.

Jednym z zadań Lyndseya było przygotowanie planu działania firmy na wypadek, gdyby Zowastina przystąpiła do akcji i niezbędne były ogromne ilości antidotum, więc Vincenti zapytał go:

- Jesteśmy gotowi?

- Wyhodowanie niewielkich ilości, które wykorzystywaliśmy w przypadku zoonoz, było łatwe. Produkcja na pełną skalę to zupełnie coś innego.

Vincenti też tak uważał i dlatego zabezpieczył pożyczkę od Arthura Benoit. Trzeba będzie stworzyć infrastrukturę, zatrudnić ludzi, zorganizować sieć dystrybucji, przeprowadzić kolejne badania. Wszystko to wymagało ogromnych nakładów.

- Można dostosować linie produkcyjne naszych zakładów we Francji i Hiszpanii - stwierdził Lyndsey. - Chociaż ja raczej doradzałbym zbudowanie nowego zakładu, bo będziemy potrzebować milionów litrów. Na szczęście te bakterie rozmnażają się bardzo szybko.

Pora sprawdzić, czy Lyndsey naprawdę jest zainteresowany.

- Myślał pan kiedyś o tym, by przejść do historii?

Lyndsey roześmiał się.

- A kto o tym nie myśli?

- Mówię o zapisaniu się w annałach jako człowiek, który dokonał wspaniałego odkrycia naukowego. Przypuśćmy, że byłbym gotów odstąpić ten zaszczyt? Byłby pan zainteresowany?

- Tak jak powiedziałem, kto nie byłby zainteresowany?

- Proszę wyobrazić sobie szkolną dziatwę za kilkadziesiąt lat, jak szuka w encyklopedii haseł HIV i AIDS, a tam widnieje pańskie nazwisko jako człowieka, który pomógł zwalczyć plagę dwudziestego wieku. - Vincenti przypomniał sobie, jaką przyjemność sprawiła mu ta wizja, gdy pomyślał o niej po raz pierwszy. Wyraz zaciekawienia i zdumienia w spojrzeniu Lyndseya świadczył o tym, że na nim uczyniła podobne wrażenie. - Czy chciałby pan w tym uczestniczyć?

Zero wahania.

- Oczywiście.

- Mogę to panu zapewnić. Ale pod pewnymi warunkami. To oczywiste, że sam wszystkiego nie zrobię. Potrzebuję kogoś, kto będzie osobiście nadzorować produkcję, kogoś, kto zna się na biologii. Naturalnie niezwykle istotne jest bezpieczeństwo. Jak tylko złożymy wnioski patentowe, poczuję się lepiej, ale ktoś musi tym wszystkim na co dzień zarządzać. To logiczne, że zwracam się z tym do pana. W zamian otrzyma pan udział w chwale i hojne wynagrodzenie. Liczone w milionach.

Lyndsey otworzył usta, by coś powiedzieć, ale Vincenti uciszył go, unosząc palec.

- To była dobra wiadomość. A teraz ta zła. Jeśli zacznie pan sprawiać kłopoty albo stanie się zbyt pazerny, każę O'Connerowi strzelić panu w łeb. W laboratorium powiedziałem panu, że kontrolowaliśmy postępy konkurencji. Pozwoli pan, że wyjaśnię to bardziej szczegółowo.

Vincenti opowiedział Lyndseyowi o duńskim mikrobiologu, którego znaleziono w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku na ulicy w pobliżu laboratorium w stanie śpiączki. Kolejny mikrobiolog z Kalifornii zaginął, jego porzucony samochód stał obok mostu, a ciała nigdy nie odnaleziono. Trzeciego naukowca znaleziono na poboczu drogi na angielskiej prowincji, najprawdopodobniej zginął w wypadku, którego sprawca zbiegł. Czwarty został zamordowany we francuskiej winnicy. Kolejny zginął w wyjątkowy sposób dziesięć lat temu utknął w śluzie prowadzącej do chłodni swojego laboratorium. Pięciu mikrobiologów zginęło naraz w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku, gdy wiozący ich prywatny samolot rozbił się nad Morzem Czarnym.

- Nasi konkurenci nieźle sobie radzili - powiedział Vincenti. - Robili postępy. Aż za duże. Więc rób, co mówię, Grant. Bądź wdzięczny za możliwości, jakie ci oferuję, a obaj dożyjemy późnej i opływającej w dostatki starości.

- Z mojej strony nie będzie miał pan żadnych kłopotów.

Vincenti pomyślał, że miał rację, wybierając tego człowieka. Lyndsey doskonale radził sobie z Zowastiną i nigdy nie dopuścił, by zdobyła odtrutkę. Utrzymywał też odpowiedni poziom bezpieczeństwa w laboratorium. Wszystko działało

doskonale w dużej mierze właśnie dzięki niemu.

- Ciekawi mnie jedna rzecz - powiedział Lyndsey.

Vincenti był skłonny do zwierzeń.

- Czemu właśnie teraz? Skoro ma pan już ten lek, czemu nie poczekać jeszcze trochę?

- Plany wojenne Zowastiny sprawiły, że nadszedł odpowiedni moment. Dzięki niej mieliśmy możliwość ukończenia badań w takich warunkach, by absolutnie nikt nic o nich nie wiedział. Nie ma sensu czekać dłużej. Muszę powstrzymać Zowastinę, zanim posunie się za daleko. A ty, Grant? Skoro już wiesz, czy to stanowi dla ciebie problem?

- Trzymał pan to w sekrecie przez dwadzieścia lat. Ja dowiedziałem się godzinę temu. Nie mam z tym żadnego problemu.

Vincenti się uśmiechnął. Odpowiednia postawa.

- Czeka nas wielki rozgłos. Będziesz miał w nim swój udział. Ale to ja będę kontrolować wszystko, co mówisz, więc ostrożnie dobieraj słowa. Ma cię być przede wszystkim widać, a nie słychać. Wkrótce rozsławisz swe nazwisko. - Vincenti zakreślił dłonią krąg niewidocznej publiczności.

- Oto Grant Lyndsey, pogromca HIV.

- Brzmi nieźle.

- Ujawnimy sprawę w ciągu trzydziestu dni. Tymczasem będziesz pracował z naszymi prawnikami od patentów. Zamierzam jutro poinformować ich o przełomie. Publiczne wystąpienie zostawię tobie. Potrzebne też będą próbki, świetnie wypadną na zdjęciach. I slajdy z bakteriami. Niech ludzie od PR się tym zajmą. To będzie niezły show.

- Czy ktoś jeszcze o tym wie?

Vincenti pokręcił głową.

- Zupełnie nikt poza pewną kobietą, która przebywa obecnie w moim domu i bezpośrednio korzysta z efektów działania bakterii. Musimy mieć jakiś przypadek do pokazania, a ona nadaje się do tego jak każdy inny.

Lyndsey podszedł do drugiego zbiornika. Ciekawe, że nie zauważył, co leży na dnie każdego z nich. Wybrał tego człowieka również z tego powodu.

- Jak mówiłem, to starożytne miejsce. Widzisz litery na dnie zbiorników?

Lyndsey dostrzegł obie litery.

- W starożytnej grece oznaczały życie. Nie mam pojęcia, skąd się tam wzięły. Od starego uzdrowiciela zdołałem się tylko dowiedzieć, że Grecy kiedyś czcili to miejsce, więc może to coś wyjaśnia. Nazywali tę górę Klimaks, czyli drabina. Dlaczego właśnie tak? Być może ze względu na azjatycką nazwę tego miejsca. Arima. Tak nazwałem swoją posiadłość.

- Widziałem napis nad bramą, gdy wjeżdżałem. Attico. Co to oznacza?

- Włoski odpowiednik nazwy Arima. Znaczą to samo. Miejsce na górze, jak poddasze.

## SZEŚĆDZIESIĄT OSIEM

### SAMARKANDA, FEDERACJA ŚRODKOWOAZJATYCKA

ZOWASTINA WKROCZYŁA DO SALI AUDIENCYJNEJ PAŁACU I STANEŁA twarzą w twarz ze szczupłym mężczyzną o gęstych siwych włosach. Minister spraw zagranicznych Federacji, Kamil Rewin, również tam był. Siedział nieco z boku. Protokół wymagał jego obecności. Amerykanin przedstawił się jako Edwin Davis i okazał list od prezydenta Stanów Zjednoczonych poświadczający jego wiarygodność.

- Jeśli pani pozwoli, pani premier - powiedział Davis lekkim tonem - czy moglibyśmy porozmawiać na osobności?

Była zaskoczona.

- Cokolwiek mi pan powie, i tak przekażę to Kamilowi.

- Nie sądzę, by dotyczyło to także tego, o czym będziemy rozmawiać.

Słowa Amerykanina brzmiały jak zaczepka, jednakże wyraz jego twarzy nie zmienił się. Zowastina postanowiła być ostrożna.

- Zostaw nas - powiedziała do ministra. Młodszy mężczyzna zawahał się, ale po Wenecji i zaginięciu Karyn Zowastina była nie w humorze.

- Już.

Kamil Rewin wstał i wyszedł.

- Zawsze traktuje pani swoich ludzi w ten sposób?

- Tu nie ma demokracji. Ludzie tacy jak Kamil słuchają poleceń albo...

- Do ich organizmów dostaje się jeden z pani zarazków.

Powinna była się domyślić, że coraz więcej ludzi wie o jej sprawach.

Ale tym razem chodziło o sam Waszyngton.

- Nie przypominam sobie, by pański prezydent kiedykolwiek narzekał na pokój, jaki Federacja zaprowadziła w tym regionie. Kiedyś cały ten obszar był problemowy, teraz Ameryka korzysta z udogodnień dla przyjaciół. A rządzenie tutaj nie opiera się na perswazji, tylko na sile.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć, pani premier. Pani metody to nie nasza sprawa. Zgadząmy się z panią. Dla utrzymania przyjaźni warto tolerować okazjonalną - Davis zawahał się - wymianę personelu. - W jego zimnych oczach dostrzegła pełen niechęci respekt. - Pani premier, przybyłem tutaj osobiście, by coś pani przekazać. Prezydent uznał, że zwyczajowe kanały dyplomatyczne byłyby niewłaściwe. Ta rozmowa musi pozostać między nami, jak między przyjaciółmi.

Czy miała jakiś wybór?

- W porządku.

- Czy zna pani kobietę o nazwisku Karyn Walde?

Nogi ugięły się pod nią pod wpływem emocji, ale opanowała się i postawiła na szczerość.

- Znam. I co z tego?

- Zeszłej nocy została porwana. Z pewnego domu tutaj, w Samarkandzie. Kiedyś była pani kochanką, a teraz choruje na AIDS.

Za wszelką cenę starała się zachować obojętny wyraz twarzy.

- Wygląda na to, że zna pan wiele szczegółów z mojego życia.

- Staramy się jak najwięcej wiedzieć o naszych przyjaciółach.

W przeciwieństwie do was żyjemy w otwartym społeczeństwie i wszystkie nasze sekrety są ujawniane w telewizji lub w Internecie.

- A co sprawiło, że grzebiecie się w moich sekretach?

- Czy to ważne? Całe szczęście, że tak się stało.

- I co pan wie na temat zniknięcia Karyn?

- Zabrał ją Enrico Vincenti. Przetrzykuje ją w swojej posiadłości na terenie Federacji. Działkę kupił w ramach pani umowy z Ligą Wenecką.

Przekaz był jasny. Jej rozmówca wiedział mnóstwo rzeczy.

- Jestem tu także po to, by zapewnić panią, że Cassiopeia Vitt nie stanowi dla pani zagrożenia.

Ukryła swoje zaskoczenie.

- Vincenti. On jest dla pani zagrożeniem.

- A to niby czemu?

- Muszę przyznać, że z naszej strony jest to przede wszystkim spekulacja. W większości krajów pani orientacja seksualna nikogo by nie obchodziła. To prawda, że kiedyś wyszła pani za mąż, ale z tego, co wiemy, chodziło o zachowanie pozorów. Pani mąż zmarł tragicznie...

- Nigdy się nie kłóciliśmy. Rozumiał, jaką spełnia rolę. I tak naprawdę bardzo go lubiłam.

- To nie nasza sprawa i nie chciałem pani urazić. Ale nie wyszła pani powtórnie za mąż. Karyn Walde pracowała dla pani przez jakiś czas. Była jedną z pani sekretarek. Przypuszczam, że nietrudno było ukryć waszą relację. Przy odpowiedniej dozie ostrożności nikt nie zwrócił uwagi. Ale Azja Środkowa to nie Europa... - Davis sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął mały odtwarzacz. - Pani pozwoli, że coś pani pokażę. - Włączył urządzenie i postawił je na stojącym pomiędzy nimi stole.

- *...cieszę się, że pańskie informacje się sprawdziły.*

- *Nie zawracalbym pani głowy jakimiś rojeniami.*

- *Ale wciąż nie wiem, skąd pan wiedział, że ktoś będzie chciał mnie dziś zabić.*

- *Liga chroni swoich członków, a pani, pani premier, jest jednym z najważniejszych.*

- *Pan to ma gadane, Enrico.*

Davis wyłączył odtwarzacz.

- To rozmowa telefoniczna, którą przeprowadziła pani z Vincentim dwa dni temu. Międzynarodowa, łatwa do przechwycenia.

Ponownie wcisnął przycisk urządzenia.

- *Musimy porozmawiać.*

- *To pańska cena za uratowanie mi życia?*

- *Pani udział w naszym układzie, który uzgodniliśmy już dawno temu.*

- *Będę mogła spotkać się z Radą za kilka dni. Wcześniej muszę załatwić kilka spraw.*

- Bardziej mnie interesuje to, kiedy my się spotkamy.  
- Nie wątpię. Mnie również. Ale najpierw dokończę pewne sprawy.

- Wkrótce kończy się moja kadencja w Radzie. Potem będzie pani musiała radzić sobie z innymi jej członkami. Nie wszyscy będą tak ugodowi.

- Cudownie to pan określił. Ugodowi. Naprawdę doskonale się z panem rozmawia, Enrico. Tak dobrze się rozumiemy.

- Musimy porozmawiać.

- Wkrótce. Teraz ma pan na głowie to, o czym rozmawialiśmy. Tych Amerykanów.

- To żadne zmartwienie. Zajmę się tym jeszcze dzisiaj.

Davis wyłączył odtwarzacz.

- Vincenti faktycznie się tym zajął. Zabił jedną z naszych agentek. Znaleźliśmy jej ciało wraz z ciałem człowieka, który zorganizował zamach na panią.

- Pozwoliliście jej zginąć? Mając zapis tej rozmowy?

- Niestety, otrzymaliśmy go już po jej zniknięciu.

Nie podobało jej się to, jak Davis przenosi wzrok z niej na odtwarzacz, a także dziwny niepokój, który rósł w niej wraz z gniewem.

- Najwyraźniej pani i Vincenti jesteście zaangażowani w jakieś wspólne przedsięwzięcie. Przybyłem tutaj jako pani przyjaciel, by uprzedzić panią, że on zamierza zmienić ten układ. Powiem pani, co sądzimy. Vincenti chce pozbawić panią władzy. Przy pomocy Karyn Walde może pogrążyć panią tak, że straci pani urząd albo przynajmniej wpadnie w poważne tarapaty polityczne. Tutaj homoseksualizm nie jest akceptowany. Religijni fundamentaliści, których udało się pani poskromić, odzyskają wigor. Będzie pani mieć takie kłopoty, że nawet te pani zarazki niewiele pomogą.

Nigdy wcześniej o tym nie pomyślała, ale teraz musiała przyznać Amerykaninowi rację. Po cóż innego Vincenti porywałby Karyn? Powinni jednak omówić coś jeszcze.

- Tak jak pan wspomniał, ona umiera na AIDS i być może już nie żyje.

- Vincenti nie jest głupi. Może uważa nawet, że świadectwo



umierającej będzie mieć większą wagę. Będzie pani musiała odpowiedzieć na mnóstwo pytań dotyczących tamtego domu, pobytu w nim Walde i pielęgniarki. Podobno ona wie wszystko, tak jak wielu członków pani Świętego Zastępu, którzy pilnowali domu. Vincenti zabrał też pielęgniarkę. Trudno zachować tajemnicę, którą zna tylu ludzi.

- To nie Ameryka. Tutaj telewizję można kontrolować.

- A fundamentalistów? W dodatku ma pani mnóstwo wrogów, którzy chętnie zajmą pani miejsce. Myślę, że należy do nich ten młody mężczyzna, który właśnie nas opuścił. Tak przy okazji, wczoraj w nocy spotkał się z Vincentim. Odebrał go z lotniska i zawiózł do miasta.

Jej rozmówca był doskonale poinformowany.

- Pani premier, nie chcemy, żeby Vincentiemu udało się zrobić to, co planuje. Dlatego tutaj jestem. Żeby zaproponować naszą pomoc. Wiemy o pani podróży do Wenecji i o tym, że przywiozła pani ze sobą Cassiopeię Vitt. Powtarzam, ona nie stanowi zagrożenia. W rzeczy samej wie sporo o tym, czego szukała pani w Wenecji. Coś tam pani przeoczyła.

- Proszę mi o tym powiedzieć.

- Zrobiłbym to, gdybym znał szczegóły. Będzie pani musiała zapytać Vitt. Ona i jej dwaj partnerzy, Henrik Thorvaldsen i Cotton Malone, wiedzą coś o zagadce Ptolemeusza i o tak zwanych monetach ze słoniem. - Davis uniósł ręce w udawanym geście poddania. - Ja nie wiem. Nie obchodzi mnie to. To pani sprawa. Wiem tylko, że w Wenecji było coś, co pani przeoczyła. Jeśli już pani o tym wie, przepraszam, że zmarnowałem pani czas. Ale prezydent Daniels chciał, żeby wiedziała pani, że on też, podobnie jak Liga Wenecka, dba o swoich przyjaciół.

Dosyć. Musiała osadzić tego typka.

- Chyba bierze mnie pan za idiotkę.

W milczeniu wymienili spojrzenia.

- Proszę przekazać prezydentowi, że nie potrzebuję jego pomocy.

Davis wyglądał na urażonego.

- Gdybym była na pana miejscu - powiedziała Zowastina - jak

najszybciej opuściłabym terytorium Federacji.

- Czy to groźba, pani premier?

Pokręciła głową.

- Tylko drobna uwaga.

- W dziwny sposób rozmawia pani z przyjaciółmi.

Zowastina wstała.

- Pan do nich nie należy.



DRZWI ZAMKNEŁY się ZA WYCHODZĄCYM EDWINEM DAVISEM. Jej umysł pracował na wysokich obrotach, jak zawsze gdy nadarzała się jakaś okazja.

Kamil Rewin wszedł do sali i zbliżył się do jej biurka. Przyjrzała się swojemu ministrowi. Vincenti uważał, że jest sprytny, bo ma w nim swojego szpiega. Ale ten wykształcony w Rosji Azjata, który głosił się muzułmaninem, chociaż nigdy nie był w meczecie, stanowił doskonałe źródło dezinformacji. Wyprosiła go ze spotkania z Davisem, bo nie mógł powtórzyć czegoś, czego nie usłyszał.

- Zapomniałeś wspomnieć, że Vincenti jest w kraju - powiedziała.

Rewin wzruszył ramionami.

- Przyleciał zeszłej nocy w interesach. Zatrzymał się w Interconti-entalu, jak zwykle.

- Jest w swojej posiadłości w górach.

Dostrzegła zaskoczenie w oczach młodego człowieka. Prawdziwe? Czy udawane? W jego przypadku trudno to było stwierdzić. Ale najprawdopodobniej wyczuł jej podejrzliwość.

- Pani premier, zawsze byłem pani sojusznikiem. Kłamałem dla pani. Wystawiałem pani wrogów. Obserwuję Vincentiego od lat i zawsze wiernie wypełniałem pani polecenia.

Nie miała teraz czasu na sprzeczki.

- Więc udowodnij swoją lojalność. Mam dla ciebie specjalne zadanie, któremu tylko ty zdołasz podołać.

Stephanie BAWIŁ widok wykończonego Thorvaldsena.

Przylecieli z bazy lotniczej w Aviano dwoma F-16, ona jednym, a Thorvaldsen drugim. Podążali śladem Malone'a i Edwina Davisa, którzy wylądowali w Samarkandzie, tyle że oni polecili dalej na wschód, aż do Kaszgaru, tuż za granicą Federacji z Chinami. Thorvaldsen nie lubił latać samolotami. Gdy wsiadali, nazwał je złem koniecznym. Ale lot po-naddźwiękowym myśliwcem to nie to samo co lot samolotem rejsowym. Siedziała za pilotem, tam gdzie zwykle siedzi oficer sterujący systemem uzbrojenia. Lot był emocjonujący i przerażający, a wstrząsy oraz zgrzyty przy prędkości ponad tysiąc pięciuset kilometrów na godzinę trzymały ją w napięciu przez całe dwie godziny.

- Nie mogę uwierzyć, że się na to zdecydowałem - powiedział potem Thorvaldsen. Stephanie zauważyła, że wciąż jest roztrzęsiony.

Na lotnisku w Kaszgarze czekał na nich samochód. Chiński rząd chętnie spełniał wszystkie prośby prezydenta Danielsa. Najwyraźniej Chińczyków niepokoiły plany ich sąsiada i byli skłonni współpracować z Waszyngtonem, żeby przekonać się, czy ich obawy są realne czy wymaginowane.

- Nie było aż tak źle - odpowiedziała Stephanie.

- Muszę zapamiętać na resztę życia. Nigdy, przenigdy nie dać się namówić, żeby wsiąść do takiej diabelskiej maszyny.

Stephanie się uśmiechnęła. Jechali przez góry Pamiru w stronę terytorium Federacji. Granicę wyznaczał jedynie powitalny znak. Wjeżdżali coraz wyżej, mijając jałowe pasma górskie i równie jałowe doliny. Stephanie wiedziała, że słowo *pamir* oznacza właśnie ten specyficzny rodzaj doliny, w której zimy trwają długo, a deszcze padają bardzo rzadko. Mnóstwo szorstkich zarośli piołunu, karłowate sosny, miejscami żyzne pastwiska. Okolica słabo zaludniona, porozrzucane wioski i trochę jurt, które sprawiały, że widok tych gór zdecydowanie różnił się od panoramy Alp czy Pirenejów, w których byli ostatnio z Thorvaldsenem.

- Słyszałam o tych górach - powiedziała Stephanie. - Ale nigdy nie byłam w tej części świata. Widok jest niesamowity.

- Ely uwielbiał góry Pamiru. Mówił o nich wręcz z religijnym

namaszczeniem. I teraz rozumiem dlaczego.

- Dobrze go znałeś?

- Och, tak. Znałem jego rodziców. Był przyjacielem mojego syna. W zasadzie mieszkał razem z nami w Christiansgade, gdy byli z Caiem jeszcze chłopcami.

Thorvaldsen siedzący na tylnym siedzeniu samochodu wyglądał na bardzo znużonego, i to nie z powodu lotu. Stephanie domyśliła się, o co chodzi.

- Cotton zadba o Cassiopeię.

- Wątpię, by Zowastina miała Ely'ego - stwierdził Thorvaldsen z rezygnacją w głosie. - Viktor ma rację. Pewnie już nie żyje.

Droga przestała piąć się w górę, gdy przejechali przez jedną z przełęczy i wjechali do kolejnej doliny. Powietrze na zewnątrz było zaskakująco ciepłe, a niższe partie gór pozbawione śniegu. Federacja Środkowoazjatycka bez wątpienia mogła szcycić się tym cudem natury, jednakże Stephanie czytała informatory CIA. Plany rządu Federacji przewidywały rozwój gospodarczy rejonów górskich. Rozbudowywano sieć elektryczną, telefoniczną, wodną i kanalizacyjną oraz ulepszano drogi. Ta szosa stanowiła doskonały przykład planowanych zmian, położony na niej asfalt był nowiusieńki.

Świeca wciąż owinięta złotą folią leżała w pojemniku z nierdzewnej stali na tylnym siedzeniu. Współczesne skytale z jednym słowem w starożytnej grece. KAIMAE. Dokąd ono prowadziło? Nie mieli pojęcia, ale może coś w górskiej chacie Ely'ego Lunda pozwoli im zrozumieć jego znaczenie. Mieli też ze sobą broń. Dwie dziewiątki i zapasowe magazynki. Dzięki uprzejmości amerykańskiego wojska i za zgodą Chińczyków.

- Plan Malone'a - powiedziała - powinien się udać.

Ale była tego samego zdania co Cotton. Na przypadkowych nabytkach, takich jak Viktor, nie można było polegać. Zdecydowanie wolałaby doświadczonego agenta, kogoś, kto troszczy się o swoją emeryturę.

- Malone'owi zależy na Cassiopeii - stwierdził Thorvaldsen. - Nie przyzna się, ale to prawda. Widać to w jego oczach.

- Widziałam w nich ból, gdy powiedziałeś mu o jej chorobie.

- Między innymi z tego powodu przypuszczałem, że znajdują

wspólny język z Elym. Wspólne nieszczęście ich do siebie przyciągało.

Minęły kolejne dwie rzadko zaludnione doliny, cały czas kierując się na zachód. W końcu, tak jak zapowiedziała Cassiopeia, droga rozwidliła się, a oni wybrali kierunek na północ. Po dziesięciu kilometrach okolica stała się bardziej zalesiona. Stephanie dostrzegła sarisę wbity w ziemię tuż przy wąskim trakcie, który nikał w ciemnym lesie. Wisiała na niej mała tabliczka z wymalowaną nazwą „Soma”.

- Ely wybrał odpowiednią nazwę dla tego miejsca - stwierdziła. - Nazwał je tak, jak nazywano grób Aleksandra w Egipcie.

Skręciła w leśną drogę, a samochód podskakiwał i kołysał się na nierównej nawierzchni. Wiodąca w górę droga prowadziła ich kilkaset metrów wśród drzew i kończyła się przy parterowej chacie zbitej z grubo ciosanych bali. Do drzwi wejściowych prowadził zadaszony ganek.

- Wygląda trochę jak domek na północy Danii - powiedział Thorvaldsen. - Nic dziwnego, że Ely czuł się tutaj jak w domu.

Stephanie zatrzymała samochód i wysiedli, wdychając ciepłe popołudniowe powietrze. Roztaczający się wokół las był pełen ciszy. Stephanie miała wrażenie, że patrząc na północ, widzi wśród drzew kolejne górskie szczyty. Wysoko na niebie krążył orzeł.

Drzwi do chaty były otwarte.

Oboje nagle odwrócili się w ich kierunku.

Przez drzwi wyszedł jakiś mężczyzna.

Wysoki, przystojny, z jasnymi, lekko falującymi włosami. Miał na sobie dżinsy, wysokie buty i koszulę z długim rękawem. Thorvaldsen stał bez ruchu, ale jego wzrok natychmiast złagodniał, co pozwoliło domyślić się, kim jest nieznajomy.

To musiał być Ely Lund.

## SIEDEMDZIESIĄT

### **SAMARKANDA, FEDERACJA ŚRODKOWOAZJATYCKA, GODZINA 11:40**

CASSIOPEIA CZUŁA ZAPACH MOKREGO SIANA I KONI, więc DOMYŚLAŁA się, że przetrzymują ją w pobliżu stajni. Pomieszczenie, w którym przebywała, przypominało pokój gościnny, odpowiednio wyposażony, choć pozbawiony elegancji, prawdopodobnie przeznaczony dla personelu. Drewniane okiennice odcinały wewnątrz od świata, drzwi były zamknięte i prawdopodobnie strzeżone. W drodze z pałacu zauważyła uzbrojonych mężczyzn na szczytach dachów. Próba ucieczki z tego więzienia wiązała się więc z ryzykiem.

W pokoju był telefon, który nie działał, i telewizor bez sygnału. Cassiopeia siedziała na łóżku i zastanawiała się, co dalej. Udało jej się dostać do Azji. Co teraz? Próbowała złapać Zowastinę na przynętę, wykorzystując jej obsesje. Trudno było stwierdzić, na ile jej się to udało. Na lotnisku coś zaniepokoiło premier Federacji. Na tyle, że Cassiopeia przestała być sprawą priorytetową. Ale przynajmniej wciąż żyła.

W zamku zazgrzytał klucz i drzwi gwałtownie się otworzyły.

Do pokoju wszedł Viktor, a za nim dwóch uzbrojonych mężczyzn.

- Wstawaj - powiedział.

Cassiopeia ani drgnęła.

- Nie ignoruj mnie.

Rzucił się do przodu i uderzył ją wierzchem dłoni w twarz, zrzucając ją z łóżka na podłogę. Cassiopeia zerwała się na nogi, gotowa do walki. Obaj mężczyźni stojący za Viktorem wycelowali w nią broń.

- To za Rafaela - powiedział Viktor.

W jej oczach rozpalił się gniew. Ale wiedziała, że ten mężczyzna robi to, czego się od niego oczekuje. Thorvaldsen powiedział jej, że jest ich sprzymierzeńcem, tyle że w ukryciu. Więc ona też będzie odgrywać swoją rolę.

- Mocny jesteś, jak stoją za tobą ludzie z gnatami.

Viktor zachichotał.

- Ja miałbym się ciebie bać? To właśnie sugerujesz?

Cassiopeia dotknęła spuchniętej wargi.

Viktor przyskoczył do niej i wykręcił jej rękę za plecy. Nadgarstek przyciągnął niemal do ramienia. Był silny, ale miała nadzieję, że wie, co robi, więc nie opierała się. Kajdanki zatrzasnęły się najpierw na jednym nadgarstku, a potem na drugim. Kostki skrępowano jej w ten sam sposób, gdy Viktor położył ją twarzą na ziemi, a potem odwrócił.

- Bierzcie ją - rozkazał.

Mężczyźni złapali ją za nogi i ramiona i wynieśli na zewnątrz. Ruszyli zwirowaną ścieżką w kierunku stajni. Tam wrzucili ją na grzbiet konia. Gdy tak zwisała twarzą w dół, krew napłynęła jej do głowy. Viktor przywiązał ją szorstkim sznurem, a potem wyprowadził konia ze stajni.

Razem z dwoma ochroniarzami szedł w ciszy, prowadząc wierzchowca. Przecięli trawiaste pole o wielkości dwóch boisk piłkarskich, na którym pasły się kozy. Granicę pola wyznaczały wysokie drzewa. Z otwartej przestrzeni weszli w las i ruszyli ścieżką prowadzącą do polany otoczonej kolejnymi drzewami.

Rozwiązali ją, zsunęli z grzbietu konia i postawili prosto. Potrzebowała kilku minut, by krew zaczęła odpływać jej z głowy. Miała mroczki przed oczami, ale pomału zaczynała dostrzegać otoczenie. Wierzchołki dwu wysokich topól przyciągnięto w dół i przywiązano do trzeciego drzewa. Sznury zwisały z wierzchołków obu topól, a ich końce leżały na ziemi. Pociągnięto ją w ich stronę i nadgarstki uwolnione z kajdanek owinięto sznurami.

Zdjęto jej też kajdanki z kostek.

Stała tak z rozciągniętymi ramionami i nagle uświadomiła sobie, co stanie się, jeśli oba drzewa zostaną uwolnione z

wieżów.

Od strony lasu ktoś się do nich zbliżał. Wysoki muskularny wierzchowiec, na którym jechała Irina Zowastina. Pani premier miała na sobie wysokie skórzane buty i pikowaną skórzaną kurtkę. Przyjrzała się scenie na polanie, odesłała Viktora i dwóch pozostałych mężczyzn, a potem zsiadła z konia.

- Tylko ty i ja - powiedziała.



VIKTOR ŚCISNAŁ KONIA OSTROGAMI I POPEŁDZIŁ Z POWROTEM DO stajni. Gdy tylko przyjechał do pałacu, Zowastina kazała mu przygotować drzewa. Nie pierwszy raz. Trzy lata temu podobnej egzekucji dokonała na pewnym spiskowcu, który planował rewolucję. Nie potrafiła go przekabacić, więc kazała przywiązać go do drzew, wezwać współspiskowców i na ich oczach osobiście przecięła przytrzymujące drzewa więzy. Jego ciało zostało rozdarte, gdy drzewa gwałtownie się wyprostowały. Część zwisała z jednego drzewa, reszta z drugiego. Po tym widowisku Zowastina nie miała żadnych trudności z przekonaniem do siebie pozostałych spiskowców.

Koń Viktora galopem wpadł do zagrody.



MALONE CZEKAŁ W SIODLARNI. Viktor przeszmygłował go do pałacu w bagażniku samochodu. Nikt nie zadawał żadnych pytań ani nie przeszukiwał szefa ochrony. Gdy samochód zaparkował w pałacowym garażu, Malone wysiadł z bagażnika, a Viktor dał mu plakietkę obsługi pałacu. Nikt poza Zowastiną nie mógł go rozpoznać, więc w towarzystwie Viktora przeszedł do stajni, gdzie mógł bezpiecznie przeczekać.

Cała ta sytuacja w ogóle mu się nie podobała. Oboje z Cassiopeią byli zdani na łaskę człowieka, o którym nic nie



wiedzieli, poza zapewnieniami Edwina Davisa, że do tej pory ich nie zawiódł. Malone miał nadzieję, że Davisowi uda się zająć Zowastinę, co da im trochę czasu. Cały czas miał przy sobie pistolet i od godziny cierpliwie czekał. Zza drzwi nie dochodziły żadne dźwięki.

Budynek stajni był imponujący i godny osoby piastującej najwyższe stanowisko w wielkiej Federacji. Doliczył się czterdziestu stanowisk, gdy Viktor wprowadzał go do środka. W siodłami było mnóstwo pierwszej jakości siodła i drogiego ekwipunku. Nie był specjalistą od jeździectwa, ale umiał obchodzić się z końmi. Jedyne okno w siodłami wychodziło na tyły stajni, więc nic nie mógł zobaczyć.

Dosyć. Pora działać.

Wyciągnął broń i otworzył drzwi.

Nikogo w polu widzenia.

Skreślił w prawo i ruszył w kierunku otwartych drzwi na końcu stajni, mijając liczne stanowiska ze wspaniałymi wierzchowcami.

Za drzwiami dostrzegł jeźdźca, który galopował prosto do stajni. Malone przysunął się do ściany i wciąż podążał w kierunku wyjścia z bronią w pogotowiu. Kopyta wierzchowca zaryły w ziemię, a Malone usłyszał chrapliwy oddech zmęczonego galopem konia.

Jeździec ześlizgnął się z siodła.

Uderzył stopami o ziemię.

Malone przygotował się do starcia. Do środka stajni wpadł jakiś mężczyzna, ale zaraz zatrzymał się i odwrócił. Viktor.

- Nie stosujesz się do poleceń. Powiedziałem, żebyś został w siodłami.

Malone opuścił broń.

- Potrzebowałem świeżego powietrza.

- Kazałem wszystkim opuścić stajnię, ale ktoś zawsze może tu zajrzeć.

Malone nie miał ochoty wysłuchiwać wykładu.

- Co się dzieje?

- Chodzi o Vitt. Ma kłopoty.

## SIEDEMDZIESIĄT JEDEN

STEPHANIE PATRZYŁA, JAK THORVALDSEN MOCNO PRZYCISKA do siebie Ely'ego Lunda niczym ojciec, który odnalazł zaginionego syna.

- To wspaniale móc znowu cię widzieć - powiedział Thorvaldsen.

- Myślałem, że nie żyjesz.

- A co ty tutaj robisz? - zapytał Ely głosem pełnym zdumienia.

Thorvaldsenowi udało się opanować wzruszenie i przedstawił go Stephanie.

- Ely - powiedziała Stephanie - jesteśmy niczym egipskie mumie. Nieustannie w uścisku czasu. Możemy porozmawiać?

Zaprosił ich do środka. Wnętrze chaty było skromne, z niewielką ilością mebli, za to mnóstwem książek, czasopism i dokumentów. Stephanie nie dostrzegła żadnego urządzenia na prąd.

- Nie ma tu elektryczności - powiedział Ely. - Gotuję na gazie i nim podgrzewam wodę. Za to mam czyste powietrze i całkowitą samotność.

- Skąd się tu wzięłeś? - zapytał Thorvaldsen. - Czy Zowastina cię tu przetrzymuje?

Na twarzy Ely'ego pojawił się wyraz zaskoczenia.

- Nie, skądże. Uratowała mi życie. Chroni mnie.

Śluchali, jak Ely opowiada o tym, że jakiś mężczyzna wpadł do jego domu w Samarkandzie i trzymał na muszce. Ale zanim coś się stało, inny mężczyzna uratował go, zabijając tamtego. Potem jego dom spłonął wraz z ciałem napastnika. Ely'ego zabrano do Zowastiny, która wyjaśniła mu, że stał się celem jej politycznych przeciwników. W tajemnicy przewieziono go do tej chaty, gdzie przebywał przez ostatnie kilka miesięcy. Dwa razy dziennie przychodził do niego strażnik, który mieszkał w

pobliskiej wiosce, i przynosił mu prowiant.

- Strażnik ma telefon komórkowy - powiedział Ely. - W ten sposób komunikuję się z Zowastiną.

Stephanie musiała o to spytać.

- Powiedziałaś jej o zagadce Ptolemeusza? O monetach ze słoniem i zaginionym grobie Aleksandra?

Ely się uśmiechnął.

- Ona uwielbia o tym rozmawiać. Pasjonuje się *Iliadę*. W ogóle wszystkim, co dotyczy starożytnej Grecji. Zadaje mi mnóstwo pytań, nawet teraz prawie codziennie o coś pyta. I owszem, mówiłem jej o monetach i o zaginionym grobie Aleksandra.

Stephanie od razu domyśliła się, że Ely o niczym nie wie, że nie ma pojęcia, w jakim wszyscy znajdują się niebezpieczeństwie.

- Zowastina wzięła Cassiopeię jako zakładniczkę. Jej życiu grozi niebezpieczeństwo.

Zauważyła, że nagle opuściła go pewność siebie.

- Cassiopeia jest tutaj? W Federacji? Dlaczego pani premier miałaby ją skrzywdzić?

- Ely - powiedział Thorvaldsen - powiem tylko tyle. Zowastina nie jest twoją wybawicielką. Trzyma cię w więzieniu, choć wymyśliła bardzo sprytne więzienie, takie, w którym może trzymać cię bez przemocy.

- Nie masz pojęcia, ile razy chciałem zadzwonić do Cassiopeii. Ale pani premier mówiła, że teraz najważniejsza jest dyskrecja. I że mógłbym narazić innych na niebezpieczeństwo, gdybym się z nimi kontaktował. Zapewniała mnie, że ta sytuacja długo nie potrwa i będę mógł wrócić do pracy i dzwonić, do kogo tylko będę chciał.

Stephanie uznała, że pora przejść do sedna sprawy.

- Rozwiązaliśmy zagadkę Ptolemeusza. Znaleźliśmy skytale, które zawierało jedno słowo - wręczyła Ely'emu kawałek papieru, na którym napisano KAIMAE. - Wiesz, co to znaczy?

- Klimaks. Starogreckie słowo oznaczające drabinę.

- Ale co to może oznaczać? - zapytała.

Ely nie miał ochoty wdawać się w spekulacje.

- Czy to ma związek z zagadką?

- To prawdopodobnie miejsce, w którym znajduje się grób Aleksandra: „Dotknij najskrytszej istoty złotej iluzji. Podziel Feniksa. Życie zapewni miarę prawdziwego grobu”. Zrobiliśmy to wszystko i doszliśmy właśnie do tego - powiedziała Stephanie, wskazując na karteczkę.

Ely od razu zrozumiał powagę sytuacji. Ominął stół i wyciągnął jakąś książkę z jednego ze stosów. Przewertował ją szybko, znalazł, czego szukał, i rozłożył na stole. Stephanie i Thorvaldsen podeszli bliżej i zobaczyli na otwartej stronie mapę z podpisem: „Podbój Baktirii przez Aleksandra”.



- Aleksander ruszył na Wschód i podbił terytoria dzisiejszego Afganistanu i Federacji, czyli dawne Turkmenistan, Tadżykistan i Kirgizję. Nie udało mu się przejść przez góry Pamiru i dotrzeć do Chin. Skręcił za to na południe w kierunku Indii, a tam jego podboje zakończyły się z powodu buntu wojska. - Ely wskazał na mapę. - Ten obszar tutaj, pomiędzy rzekami Jaksartes i Oksos, podbił w roku trzysta trzydziestym przed naszą erą. Na południe znajdowała się kraina zwana Baktria, a na północ kraina Scytów.

Stephanie zrozumiała od razu.

- I tam właśnie Aleksander poznał tajemniczą miksturę Scytów.

Ely był pod wrażeniem.

- Otóż to. Samarkanda już wtedy istniała, w regionie zwanym Sogdiana, choć miasto nosiło wtedy nazwę Marakanda. Tutaj Aleksander założył jedną ze swych licznych Aleksandrii, tę nazywając Aleksandrią Eschate, czyli Kresową, położoną na krańcu świata. Było to miasto leżące najbardziej na wschód w całym jego imperium i też jedno z ostatnich, jakie założył. - Ely przesunął palec po mapie i zaznaczył długopisem znak X.

- Klimaks to góra, o, tutaj, w byłym Tadżykistanie, a teraz w Federacji. Scytowie otaczali to miejsce wciąż, podobnie jak Aleksander po tym, jak zawarł z nimi pokój. Ponoć w tych górach Scytowie chowali swoich królów, choć nigdy nie znaleziono na to dowodów. Muzeum w Samarkandzie wysłało kilka ekspedycji, które miały się rozejrzeć, ale nic nie odkryto. To prawdziwe pustkowia.

- Ale skytale wskazuje właśnie to miejsce - powiedział Thorvaldsen.

- Byłeś tam kiedyś?

Ely skinął głową.

- Dwa lata temu. W ramach jednej z wypraw. Z tego co wiem, teraz większość tego obszaru należy do prywatnego właściciela. Jeden z moich kolegów z muzeum mówił, że u stóp góry wzniesiono wielką posiadłość. Ogromną. Wciąż jest w rozbudowie.

Stephanie przypomniała sobie, co Edwin Davis mówił jej o Lidze Weneckiej. Jej członkowie skupowali ziemię. Postanowiła sprawdzić swoje przeczucia.

- Wiesz, kto jest właścicielem?

Ely pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia.

- Musimy ruszać - stwierdził Thorvaldsen. - Ely, możesz nas tam zaprowadzić?

Ely potaknął.

- To na południe stąd, dotarcie tam zajmie nam około trzech godzin.

- A jak się czujesz?

Stephanie domyśliła się, czemu Duńczyk o to pyta.

- Stephanie wie - dodał Thorvaldsen. - Normalnie nigdy nic bym nikomu nie powiedział, ale to nie jest normalna sytuacja.

- Zowastina dostarcza mi codzienną porcję leków. Mówiłem wam, że dobrze mnie traktuje. A jak się ma Cassiopeia?

Thorvaldsen potrząsnął głową.

- Obawiam się, że stan jej zdrowia to teraz najmniejszy z jej kłopotów.

Na zewnątrz rozległ się pomruk samochodowego silnika.

Stephanie wyprostowała się i podbiegła do okna. Z audi wysiadał mężczyzna z automatem.

- To mój strażnik - powiedział Ely tuż nad jej ramieniem. - Ten z wioski.

Mężczyzna z miejsca przestrzelił opony w ich samochodzie.

## SIEDEMDZIESIĄT DWA

### SAMARKANDA, FEDERACJA ŚRODKOWOAZJATYCKA

CASSIOPEIA MIAŁA TRUDNOŚCI Z OCENĄ ZOWASTINY.

- Przed chwilą złożył mi wizytę zastępca doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego amerykańskiego prezydenta. Powiedział mi to samo co ty na lotnisku. Że w Wenecji coś przegapiłam, a wy wiecie, co to jest.

- I sądzi pani, że w ten właśnie sposób przekona mnie do mówienia?

Zowastina z podziwem popatrzyła na dwa rosłe drzewa, których pnie przygięto do ziemi za pomocą mocnych lin.

- Przygotowałam tę polanę lata temu. Kilka osób zostało już tutaj rozdartych żywcem. Niektórzy przeżyli, choć mieli ramiona oderwane od tułowia. Wykrwawili się na śmierć dopiero po kilku minutach. - Zowastina potrząsnęła głową. - Okropny sposób na opuszczenie tego świata.

Cassiopeia była bezradna. Nie mogła zrobić nic, tylko próbować jakoś się z tego wykreśćić. Viktor, który miał jej przecież pomagać, nie zrobił nic, a wręcz pogorszył jej sytuację.

- Gdy umarł Hefajstion, Aleksander w ten właśnie sposób ukarał swojego osobistego medyka. Uznałam, że to genialny pomysł, więc odnowiłam ten zwyczaj.

- Ma pani tylko mnie - powiedziała Cassiopeia obojętnym tonem.

Zowastina wyglądała na zaintrygowaną.

- Naprawdę? A co możesz mi zaoferować?

- Najwyraźniej Ely nie powiedział pani tego, co powiedział mnie.

Zowastina podeszła bliżej. Miała muskularne ciało i ziemistą cerę.

Niepokój budził przelotny błysk szaleństwa, który od czasu do

czasu pojawiał się w jej czujnych ciemnych oczach. Zwłaszcza teraz, gdy jej wnętrze rozpałały i gniew, i ciekawość.

- Znasz *Iliadę*? Kiedy Achilles daje w końcu upust swojemu gniewowi i zabija Hektora, wypowiada interesującą kwestię.

*Bodajby mógł w mej wściekłości poszarpać na sztuki i pozreć na surowo twe ciało za wszystko, coś mi wyrządził! Nie masz zaprawdę takiego, co łeb twój od psów by osłonił, choćby tu dziesięciokrotny czy dwudziestokrotny mi znieśli okup, rzucili na wagę i jeszcze więcej przyrzekli.*

- Powiedz, czemu tu jesteś?

- Pani mnie tu sprowadziła.

- Nie stawiałaś oporu.

- Dużo pani ryzykowała, przylatując do Wenecji. Po co? Tu nie może chodzić tylko o politykę.

Zauważyła, że spojrzenie Zowastiny stało się odrobinę mniej wojownicze.

- Czasami musimy działać za innych. Ponosić ryzyko. Zdobycie wszystkiego co wartościowe wiąże się z ryzykiem. Szukam grobu Aleksandra Wielkiego, mając nadzieję, że znajdę w nim odpowiedź na pewne trudne problemy. Ely na pewno mówił ci o miksturze Aleksandra. Ale może tam nic nie ma? Choć samo znalezienie tego miejsca byłoby czymś wspaniałym.

W głosie Zowastiny więcej było podziwu niż złości. Wydawała się szczerze poruszona tą myślą. Z jednej strony sprawiała wrażenie zwariowanej romantyczki, opętanej wizją dokonania wielkich czynów. Z drugiej strony Thorvaldsen mówił, że planuje zamordować miliony ludzi.

Zowastina mocno chwyciła podbródek Cassiopeii.

- Musisz teraz powiedzieć mi, co wiesz.

- Książd panią okłamał. W skarbcu bazyliki przechowywany jest amulet, który znaleziono wśród szczątków świętego Marka. Skarabeusz, umieszczany na sercu mumii, z wygrawerowanym Feniksem. Pamięta pani zagadkę? „Dotknij najskrytszej istoty złotej iluzji. Podziel Feniksa”...

Zowastina jakby jej nie słuchała.



- Jesteś piękna. - Jej oddech cuchnął cebulą. - Ale jesteś też kłamczuchą. Próbujesz mnie oszukać.  
Zowastina puściła ją i odsunęła się.  
Cassiopeia usłyszała meczenie kóz.



MALONE WSIADŁ NA KONIA.

- Żaden ze strażników na dachu nie zwróci na nas uwagi - powiedział Viktor. - Jesteś ze mną.

Viktor z powrotem wskoczył w siodło.

- Są za polem do gry, w lesie. Ona chce zabić Vitt.

- Na co więc czekamy?

Viktor popędził konia. Malone ruszył za nim.

Pogalopowali z zagrody na otwarte pole. Malone zauważył pomalowane w pasy słupy na jego końcach oraz wykopaną w ziemi misę pośrodku i domyślił się, jakie rozgrywki się na nim odbywają. *Buzkaszi*. Czytał o tej grze, o jej brutalności, o częstych wypadkach śmiertelnych, o tym, jak jednocześnie łączy w sobie barbarzyństwo i piękno. Zowastina najwyraźniej była miłośniczką tej gry, a konie ze stajni hodowano, by w niej uczestniczyły. Również jego wierzchowca, który pędził susami do przodu z niezwykłą prędkością i zręcznością. Po całym polu wałęsały się kozy, które doskonale sprawdzały się jako kosiarki. Były spore i liczne. Rozbiegły się na widok pędzących koni.

Malone obejrzał się i dostrzegł stanowiska strażnicze na dachu pałacu. Tak jak przewidywał Viktor, nikt nie podniósł alarmu. Przyzwyczajeni byli do przeróżnych wyczynów pani premier. Przed nimi, na drugim końcu pola, znajdowała się gęsta kępa drzew. Wcinały się w nią dwie ścieżki. Viktor zatrzymał swojego konia. Malone dostosował się. Jego nogi zwisały wzdłuż ciemnych zacieków potu na bokach wierzchowca.

- Są mniej więcej sto metrów dalej, na polanie. Zostawiam to tobie.

Malone ześlizgnął się z siodła i wyciągnął broń.



- MAMY PROBLEM - POWIEDZIAŁA STEPHANIE. - JEST STĄD JAKIEŚ inne wyjście?

Ely wskazał głową kuchnię.

Stephanie i Thorvaldsen akurat zdążyli tam wbiec, gdy drzwi do chaty gwałtownie się otworzyły. Mężczyzna wyszczerzył jakieś rozkazy w języku, którego Stephanie nie rozumiała. Dotarła do kuchennych drzwi i otworzyła je, nakazując Thorvaldsenowi zachowanie ciszy. Ely odpowiedział mężczyźnie w tym samym języku.

Stephanie wyślizgnęła się na zewnątrz, a za nią Thorvaldsen.

Z wnętrza chaty rozległy się wystrzały z automatu, a kule pręły drewniane belki tuż za nimi.

Gdy usłyszeli huk tłuczonego szkła, przypadli do ziemi. Odłamki okiennej szyby rozprysły się dokoła. Kule dolatywały aż do drzew. Stephanie usłyszała, że Ely woła coś do napastnika, i wykorzystała ten moment, by zerwać się na nogi i pobiec wokół chaty do samochodu. Thorvaldsen z trudem podnosił się z ziemi i Stephanie miała nadzieję, że Ely'emu uda się wystarczająco długo odciągać uwagę strażnika.

Dobiegła do samochodu, otworzyła tylne drzwi i chwyciła jeden z pistoletów.

Thorvaldsen okrążył chatę.

Stephanie zajęła pozycję, wykorzystując samochód jako zasłonę, broń oparła na masce i dała znać Henrikowi, żeby przeszedł prosto do ganku z przodu domu. Usunął się z linii ognia, jak tylko w drzwiach pojawił się strażnik trzymający automat na wysokości pasa. Najpierw zauważył Thorvaldsena i obrócił się, by w niego wycelować.

Stephanie oddała dwa strzały.

Obie kule trafiły mężczyznę w klatkę piersiową.

Strażnik przewrócił się na ziemię.

Stephanie zamarła. Nie poruszyła się, dopóki nad ciałem martwego strażnika nie pojawił się Ely. Thorvaldsen zszedł z

ganku. Jej broń wciąż była wycelowana, a obie ręce ścisnęły rękojeść. Cała drżała. Właśnie zabiła człowieka.

Po raz pierwszy w życiu.

Thorvaldsen podszedł do niej.

- Wszystko w porządku?

- Ludzie mi o tym opowiadali. Mówiłam im, że to element ich pracy. Ale teraz już rozumiem. To nie takie proste kogoś zabić.

- Nie miałaś wyboru.

Podszedł do nich Ely.

- Nie chciał mnie słuchać. Mówiłem mu, że nie jesteście groźni.

- Właśnie, że jesteśmy - odparł Thorvaldsen. - Jestem pewien, że miał rozkaz nie dopuszczać do ciebie nikogo. Zowastina z pewnością sobie tego nie życzyła.

Myśli Stephanie powoli zaczynały się klarować.

- Musimy się zbierać.

## SIEDEMDZIESIĄT TRZY

MALONE WKROCZYŁ DO CIEMNEGO I CICHEGO ZAGAJNIKA, KTÓRY potęgował wrażenie zagrożenia. Dostrzegł przed sobą polanę oświetloną promieniami słońca, których nie powstrzymywał baldachim z liści. Obejrzał się, ale Viktora już nie było. Rozumiał to. Usłyszał jakieś głosy, więc przyspieszył, a potem zatrzymał się za grubym pnem tuż przy końcu ścieżki.

Zobaczył Cassiopeię. Przywiązaną do dwóch drzew. Z rozciągniętymi ramionami. A obok niej stała Irina Zowastina.

Viktor miał rację.

Cassiopeia faktycznie miała kłopoty. I to spore.



CASSIOPEIA VITT JEDNOCZEŚNIE IRYTOWAŁA I INTRYGOWAŁA Zowastinę.

- Sprawiasz wrażenie, jakbyś nie przejmowała się tym, że zaraz umrzesz.

- Gdybym się tym przejmowała, nie przybyłabym tutaj.

Zowastina uznała, że nadszedł odpowiedni moment, by dać tej kobiecie powód do życia.

- W samolocie pytałaś o Ely'ego. Czy żyje. Wtedy nie odpowiedziałam. A chcesz to wiedzieć?

- Nie uwierzę w ani jedno słowo.

Zowastina wzruszyła ramionami.

- Masz prawo. Wcale się nie dziwię.

Wyjęła z kieszeni telefon i nacisnęła jeden z przycisków.



STEPHANIE USŁYSZAŁA DZWONEK TELEFONU. JEJ WZROK POSZYBOWAŁ W stronę martwego mężczyzny, który leżał na skalistej ziemi. Thorvaldsen też to usłyszał.

- To Zowastina - powiedział Ely. - Dzwoni do mnie na telefon, który on ma przy sobie.

Stephanie podbiegła do ciała, znalazła komórkę i podała ją Ely'emu.

- Odbierz.



CASSIOPEIA USŁYSZAŁA, JAK ZOWASTINA MÓWI:

- Jest tu ktoś, kto chciałby z tobą porozmawiać.

Zowastina przystawiła jej komórkę do ucha. Cassiopeia nie zamierzała się odzywać, ale głos, który usłyszała po drugiej stronie, sprawił, że dreszcz przeszedł jej po plecach.

- O co chodzi, pani premier? - chwila ciszy. - Pani premier? Cassiopeia nie mogła się powstrzymać. Głos w telefonie wszystko jej wyjaśnił.

- Ely. To ja, Cassiopeia.

Odpowiedziała jej cisza.

- Ely? Jesteś tam? - piekły ją oczy.

- Jestem. Trochę mnie zaskoczyłaś. Jak dobrze znów słyszeć twój

- I wzajemnie - nie potrafiła ukryć emocji. Wszystko się zmieniło.

- Co ty tutaj robisz? - zapytał Ely.

- Szukam ciebie... Wiedziałam... Miałam nadzieję, że żyjesz... - Cassiopeia starała się kontrolować swoje emocje. - Wszystko u ciebie w porządku?

- U mnie tak, ale martwię się o ciebie. Są tutaj Henrik i Stephanie Nelle.

A to nowina. Cassiopeia postarała się odsunąć na bok swe lęki

i się skoncentrować. Zowastina nie miała pojęcia, co dzieje się tam, gdzie przebywa Ely.

- Powtórz pani premier to, co mi właśnie powiedziałaś.  
Zowastina przystawiła słuchawkę do swojego ucha.



STEPHANIE USŁYSZAŁA, JAK ELY POWTARZA TO, CO PRZED CHWILĄ powiedział. Rozumiała, że Cassiopeia przeżywa szok, ale czemu kazała Ely'emu powiedzieć Zowastinie, że też są na terytorium Federacji?



ZOWASTINA RZUCIŁA DO TELEFONU:

- Kiedy twój przyjaciel Thorvaldsen i tamta kobieta przyjechali?
- Niedawno. Pani strażnik chciał ich zabić, ale to on nie żyje.
- Pani premier - w jej uchu rozbrzmiał inny głos, który od razu rozpoznała.  
Thorvaldsen.
- Mamy Ely'ego.
- A ja mam Cassiopeię Vitt. Szacuję, że ma przed sobą około dziesięciu minut życia.
- Udało nam się rozwiązać zagadkę Ptolemeusza.
- Dużo gadacie. Ty i Vitt. Macie na to jakieś dowody?
- Och, oczywiście. Przed zapadnięciem zmroku dotrzemy do grobu. Ale pani nigdy nie dowie się, gdzie on jest.
- Jesteście na terytorium mojej Federacji - stwierdziła.
- Tylko że jesteśmy w stanie tu wkroczyć, zabrać pani więźnia i wyjechać razem z nim, nie zwracając niczyjej uwagi.
- Ale z jakiegoś powodu mnie informujecie.
- Wszystko, czego od pani chcę, to Cassiopeia. Proszę oddzwonić, jeśli będzie pani chciała dokonać wymiany.  
Rozłączył się.



- MYŚLISZ, ŻE TO MĄDRE? - STEPHANIE ZAPYTAŁA THORVALDSENA.

- Trzeba nieustannie wytrącać ją z równowagi.

- Ale nie mamy pojęcia, co tam się dzieje.

- Nie musisz mi tego mówić.

Stephanie widziała, że Thorvaldsen jest zaniepokojony.

- Musimy zaufać Cottonowi, że panuje nad sytuacją - powiedział.



ZOWASTINA Z TRUDEM OPANOWAŁA NARASTAJĄCE POCZUCIE niepokoju. Musiała przyznać, że napotkała twarde przeciwników.

Z rękawa skórzanej kurtki wysunęła nóż.

- Twój przyjaciele tu są. I mają Ely'ego. Niestety, wbrew temu, co sądzi Thorvaldsen, nie mają niczego, czego bym chciała.

Podeszła do zwoju lin.

- Wolę popatrzeć, jak umierasz.



MALONE WSZYSTKO WIDZIAŁ I SŁYSZAŁ. NAJWYRAŹNIEJ CASSIOPEIA rozmawiała przez telefon z Elym Lundem. Dostrzegł jej wzruszenie, ale potem w telefonie odezwał się chyba ktoś inny. Henrik? Stephanie? Na pewno dotarli już do Lunda.

Nie mógł dłużej czekać. Wybiegł z kryjóWKi.

- Wystarczy.

Zowastina stała tyłem do niego. Zauważył, że odsunęła ręce od lin.

- Nóż - powiedział. - Rzuć go.

Cassiopeia patrzyła na niego z niecierpliwością. On też miał złe przeczucia. Wydawało mu się, że się go tutaj spodziewano.

Zza drzew wyszło dwóch uzbrojonych mężczyzn. Celowali w niego.

- Panie Malone - powiedziała Zowastina, odwracając się z ponurym wyrazem satysfakcji w oczach. - Wszystkich nas pan nie pozabija.



# CZEŚĆ V

## SIEDEMDZIESIĄT CZTERY

VINCENTI WSZEDŁ DO BIBLIOTEKI, ZAMKNAŁ DRZWI I NALAŁ SOBIE drinka. Kumys. Miejscowy specjał, który bardzo polubił. Sfermentowane mleko kłaczy. Mało procentów, ale i tak rajcuje. Wypił wszystko jednym haustem, z przyjemnością odczuwając migdałowy posmak.

Nalał sobie kolejną porcję.

Burczało mu w brzuchu. Był głodny. Powinien powiedzieć kucharzowi, co chce na kolację. Najlepiej gruby kawał marynowanego steku z koniny. Ten lokalny specjał też bardzo polubił.

Łyknął kumysu.

Wszystko miało się wkrótce wyjaśnić. Intuicja od lat mówiła mu, że jedyną przeszkodę stanowi Irina Zowastina. I miał rację.

Podszedł do biurka. Dom wyposażony był w nowoczesny system komunikacji satelitarnej z bezpośrednim połączeniem z Samarkandą oraz siedzibą firmy w Wenecji. Z drinkiem w dłoni zobaczył, że przed półgodziną przyszedł e-mail od Kamila Rewina. Dziwne. Rewin, mimo swej jowialności, nie ufał żadnej formie komunikacji poza rozmową twarzą w twarz, i to pod warunkiem że sam ustalał jej czas i miejsce.

Vincenti otworzył wiadomość.

BYLI TU AMERYKANIE.

Zmęczony umysł Vincentiego nagle się ocknął. Amerykanie? Już miał wybrać: „Odpowiedz”, gdy nagle otworzyły się drzwi i do biblioteki wpadł Peter O’Conner.

- Zbliżają się do nas cztery śmigłowce bojowe. Federacyjne. Vincenti podbiegł do okna i spojrzał na zachód. Nad odległym krańcem doliny dostrzegł na jasnym niebie cztery powiększające się kropki.

- Właśnie się pojawiły - powiedział O’Conner. - Przypuszczam, że nie chodzi o wizytę towarzyską. Spodziewa się pan kogoś?

Vincenti nie spodziewał się nikogo.

Wrócił do komputera i wykasował e-mail od Rewina.

- Wylądują za niecałe dziesięć minut - powiedział O’Conner.

Coś tu się nie zgadzało.

- Czy to Zowastina leci po tę kobietę? - zapytał O’Conner.

- Możliwe. Ale skąd by się tak szybko dowiedziała?

Zowastina nie mogła mieć pojęcia o jego zamiarach. To prawda, że nie ufała mu, tak jak on nie ufał jej, ale nie miała żadnego powodu, by demonstrować swoją przewagę siłową. W każdym razie nie w tej chwili. Z drugiej strony to zamieszanie w Wenecji i problemy, gdy próbował dopaść Stephanie Nelle. I do tego jeszcze Amerykanie tutaj?

Czegoś najwyraźniej nie wiedział.

- Szykują się do lądowania - stwierdził stojący przy oknie O’Conner.

- Przeprowadź ją.

O’Conner wybiegł z pokoju.

Vincenti wysunął jedną z szuflad biurka i wyjął z niej pistolet. Jeszcze nie zatrudnili pełnego zespołu ochrony, jakiego wymagała tej wielkości posiadłość. Wszystko mieli załatwić w ciągu następnych kilku tygodni, kiedy Zowastina będzie zajęta przygotowaniami do wojny. Vincenti miał zamiar w pełni wykorzystać jej odwróconą uwagę.

Do biblioteki weszła Karyn Walde w szlafroku i kapciach. O własnych siłach. Za nią wszedł O’Conner.

- Jak się pani czuje? - zapytał Vincenti.

- Od miesięcy nie czułam się tak dobrze. Mogę chodzić.

Lekarz z Wenecji był już w drodze. Miał wyleczyć jej wtórne infekcje. Na szczęście w jej przypadku wszystkie były uleczalne.

- Zanim pani organizm zacznie się całkowicie regenerować, minie jeszcze kilka dni. Ale już teraz wirusa atakuje napastnik, przed którym nie potrafi się on obronić. Nas zresztą też to dotyczy.

O'Conner zajął pozycję przy oknie.

- Wylądowali. Wojsko. Azjaci. To chyba jej.

Vincenti zwrócił się do Walde.

- Wygląda na to, że Irina może chcieć panią z powrotem. Nie jesteśmy pewni, o co tu chodzi.

Przeszedł przez pokój w kierunku wbudowanej w ścianę biblioteczki z ozdobną witryną. Drewno pochodziło z Chin, podobnie jak rzemieślnik, który wykonał szafkę. Ale O'Conner dodał coś ekstra. Vincenti nacisnął przycisk kieszonkowego pilota, uruchamiając mechanizm sprężynowy umieszczony nad i pod biblioteczką, dzięki któremu mebel obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni. Za biblioteczką krył się wąski, słabo oświetlony korytarz.

Walde była pod wrażeniem.

- Jak w jakimś cholernym horrorze.

- Horror to zaraz tu będziemy mieć - odparł Vincenti. - Peter, sprawdź, czego chcą, i przekaż moje ubolewanie, że nie mogłem ich powitać. - Skinął na Walde. - Proszę za mną.



DŁONIE STEPHANIE WCIAŻ DRŻAŁY, GDY PATrzyŁA, JAK ELY przeciąga ciało strażnika na tył chaty. Nie podobało jej się to, że Zowastina dowiedziała się, że są na terytorium Federacji. Zwracanie na siebie uwagi osoby z takimi możliwościami jak ona nie było zbyt roztropne. Stephanie musiała zaufać, że Thorvaldsen wie, co robi, zwłaszcza że narażał też samego siebie.

Przez frontowe drzwi chaty wyszedł Ely, a tuż za nim Thorvaldsen. Ely trzymał pod pachą stertę książek i papierów.

- To mi się przyda.

Stephanie popatrzyła na drogę prowadzącą do szosy. Wokół panowała cisza. Thorvaldsen podszedł do niej. Zauważył, że drży jej ręka, więc łagodnie ją ujął. Żadne z nich nie powiedziało ani słowa. W drugiej, spoconej dłoni cały czas trzymała broń. Musiała na czymś skoncentrować swoją uwagę, więc zapytała:

- Co dokładnie zamierzamy zrobić?

- Wiemy już, co to za miejsce - powiedział Ely. - Klimaks. Sprawdźmy, co tam jest. Warto się przekonać.

Stephanie spróbowała przypomnieć sobie odpowiedni fragment zagadki Ptolemeusza.

- „Wspnij się na wzniesione przez bogów mury. Gdy dotrzesz na poddasze, popatrz w płowe oko i odważ się odnaleźć odległe schronienie”.

- Pamiętam tę zagadkę - powiedział Ely. - Muszę posprawdzać parę dodatkowych informacji i pogrzebać w pamięci, ale mogę to wszystko zrobić po drodze.

Stephanie musiała go o coś spytać.

- Dlaczego Zowastina szukała monet ze słońcem?

- Zwróciłem jej uwagę na związek między znakiem na monetach i zagadką. Chodzi o ten symbol jak dwie litery B złożone w A. Jest i na monetach, i na manuskrypcie z zagadką. Musi coś znaczyć. Ponieważ wiadomo było tylko o ośmiu monetach, Zowastina powiedziała, że zdobędzie je wszystkie, żebyśmy mogli je porównać. Ale mnie mówiła, że ma zamiar je po prostu kupić.

- To chyba cię okłamała - odparła Stephanie. - Ciągle się zastanawiam. Cała ta historia ma ponad dwa tysiące lat. Chyba wszystko, co się dało, zostało już odkryte?

Ely wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć. Bądźmy szczerzy, te wskazówki wcale nie były ogólnie dostępne. Żeby dotrzeć do istotnych informacji, trzeba było wynalezienia fluorescencji rentgenowskiej.

- W każdym razie Zowastina chce to znaleźć. Cokolwiek to jest.

Ely skinął głową.

- W swojej wyobraźni, którą zawsze uważałem za nieco szaloną, uważa się za Aleksandra, Achillesa czy innego wielkiego bohatera. Napawa się tego rodzaju wizjami. Wielka wyprawa poszukiwawcza. Ona uważa, że może tu chodzić o jakiś lek. Sporo o tym mówiła. To było dla niej najważniejsze, ale nie wiem dlaczego... - Ely na chwilę zamilkł. - Dla mnie zresztą też to było ważne. Jej entuzjazm był zaraźliwy. Sam nawet zacząłem wierzyć, że faktycznie uda się coś znaleźć.

Widać było, że jest zakłopotany tym wszystkim, co się wydarzyło, więc Stephanie pocieszyła go:

- Być może masz rację.

- To byłoby wspaniałe, prawda?

- Ale co w ogóle może łączyć świętego Marka z Aleksandrem Wielkim? - zapytał Thorvaldsen.

- Wiadomo, że ciało Aleksandra znajdowało się w Aleksandrii do roku trzysta dziewięćdziesiątego pierwszego naszej ery, kiedy to zakazano pogańskich kultów. Ale później nigdzie nie ma o nim żadnej wzmianki. Natomiast ciało świętego Marka pojawiło się w Aleksandrii około roku czterechsetnego. Wiadomo też, że chrześcijaństwo często adoptowało pogańskie relikwie. Znam mnóstwo przykładów z samej Aleksandrii. Brązowy posąg Saturna z Cezareum przetopiono na krzyż dla patriarchy Aleksandrii. Samo Cezareum przekształcono w chrześcijańską katedrę. Moja teoria, którą opieram na wszystkim, co przeczytałem o świętym Marku i Aleksandrze, jest taka, że któryś z patriarchów aleksandryjskich z czwartego wieku naszej ery wpadł na pomysł, jak uchronić ciało założyciela miasta, a jednocześnie dostarczyć chrześcijaństwu relikwii. Rozwiązanie korzystne dla wszystkich stron. I tak Aleksander stał się świętym Markiem. Kto by ich zresztą po tylu wiekach rozróżnił?

- Trochę to naciągane - powiedziała Stephanie.

- Trudno powiedzieć. Mówiliście, że Ptolemeusz zostawił coś w szczątkach w bazylice, co doprowadziło was prosto tutaj. Mam wrażenie, że teoria okazała się mocno zakorzeniona w rzeczywistości.

- Ely ma rację - stwierdził Thorvaldsen. - Warto pojechać na południe i tam się rozejrzeć.

Stephanie niekoniecznie podzielała jego zdanie, ale wszędzie było lepiej niż tutaj. Przynajmniej będą się przemieszczać. Nagle coś jej się skojarzyło.

- Mówiłeś, że miejsce, w którym znajduje się góra Klimaks, to teraz teren prywatny. Możemy mieć trudności, żeby się tam dostać.

Ely się uśmiechnął.

- Może ten nowy właściciel pozwoli nam się rozejrzeć.

## SIEDEMDZIESIĄT PIĘĆ

MALONE BYŁ W PUŁAPCE. POWINIEN BYŁ się DOMYŚLIĆ. VIKTOR po prostu wystawił go Zowastinie.

- Przybył pan na ratunek pannie Vitt?

Malone wciąż trzymał broń.

Zowastina skinęła na nią.

- Kogo ma pan zamiar zabić? Proszę wybrać sobie kogoś z naszej trójki. - Wskazała na swoich dwóch ochroniarzy. - Zanim zdąży pan zastrzelić jednego, drugi strzeli do pana. - Pokazała swój nóż. - A potem ja przetnę liny.

Wszystko prawda. Miał ograniczone możliwości.

- Bierzcie go - poleciała ochroniarzom.

Jeden z mężczyzn ruszył na niego, ale nagle uwagę Malone'a przyciągnął jakiś dźwięk. Meczenie. Coraz głośniejsze. Ochroniarz był trzy metry od niego, gdy nagle z drugiej ścieżki wiodącej z pola do *buzkaszi* wysypały się kozy. Najpierw było ich kilka, ale potem całą polanę zalało wielkie stado.

Ich kopyta dudniły po ziemi.

Malone dostrzegł na koniu Viktora, który popędzał przerośnięte kozy, nie pozwalając im się zatrzymać. Ich ciężki krok przemienił się w trucht, te z tyłu popychały te z przodu, zmuszając je, by zrobiły miejsce. Nagłe pojawienie się stada kóz wywołało pożądany efekt. Ochroniarze wydawali się zdezorientowani, więc Malone wykorzystał chwilę nieuwagi i zastrzelił jednego z nich.

Kolejny wystrzał i drugi ochroniarz padł na ziemię.

Malone zauważył, że to Viktor go zastrzelił.

Kozy zapełniały polanę i wpadały na siebie, wciąż ogłupiałe, aż pomału zaczęło do nich docierać, że dalej mogą ruszyć tylko pomiędzy drzewa.

W powietrzu unosił się kurz.

Malone dostrzegł Zowastinę i zaczął przedzierać się między cuchnącymi zwierzętami w jej kierunku. Obok była Cassiopeia.

Stado wycofało się do lasu.

Dotarł na miejsce w momencie, gdy Viktor zsunął się z siodła z bronią w dłoni. Zowastina stała tam z nożem, ale Viktor trzymał ją na muszce, trzymając się blisko lin, które przytrzymały oba wygięte drzewa.

- Rzuć nóż - powiedział Viktor.

Zowastina wyglądała na zaskoczoną.

- Co ty wyprawiasz?

- Powstrzymuję cię. - Viktor skinął głową. - Malone, uwolnij ją.

- Wiesz co - odparł Malone - to ty uwolnij Cassiopeię, a ja popilnuję pani premier.

- Wciąż mi nie ufasz?

- Powiedzmy, że wolę zrobić to po swojemu. - Malone uniósł broń.

- Zrób tak, jak powiedział. Rzuć nóż.

- Albo co? - zapytała Zowastina. - Zastrzelisz mnie?

Malone wycelował w ziemię pomiędzy jej nogami i strzelił. Zowastina wzdrygnęła się.

- Następnym razem strzelę ci w głowę.

Upuściła nóż.

- Kopnij go tam.

Posłuchała go.

- Co ty tu robisz? - zapytała Cassiopeia.

- Byłem ci to winien. Kozy? - zapytał Viktora, gdy ten uwalniał Cassiopeię z więzów.

- Bierze się, co się ma. Wydawało mi się, że świetnie nadają się do odwrócenia uwagi.

Malone nie mógł zaprzeczyć.

- Pracujesz dla Amerykanów? - Zowastina zapytała Viktora.

- Tak.

W jej oczach zapłonął ogień.

Cassiopeia otrząsnęła się z więzów i ruszyła na Zowastinę. Zamachnęła się i uderzyła ją prawym prostym w twarz. Kopnęła jeszcze w okolice kolan i Zowastina zachwiała się do



tyłu. Cassiopeia kontynuowała atak, kopiąc ją stopą w brzuch, a potem uderzając jej głową o pień jednego z drzew.

Zowastina skuliła się nieruchomo na ziemi.

Malone spokojnie przyglądał się tej napaści.

- Rozumiem, że to wszystko zaplanowane działanie?

Cassiopeia z trudem łąpała oddech.

- Mogłam jej jeszcze bardziej przyłożyć. - Zamilkła, rozcierając obolałe od więzów nadgarstki. - Ely żyje. Rozmawiałam z nim przez telefon. Są z nim Stephanie i Henrik. Musimy ruszać.

Malone zwrócił się do Viktora.

- Myślałem, że Waszyngtonowi zależy, żebyś się nie ujawnił.

- Nie miałem wyboru.

- Sam wysłałeś mnie w tę pułapkę.

- Czy ja ci kazałem się jej pokazywać? Nie dałeś mi szansy, żeby cokolwiek zrobić. Jak zobaczyłem, że masz kłopoty, zrobiłem, co musiałem.

Malone był innego zdania, ale nie mieli czasu na dyskusje.

- Co robimy teraz?

- Wyjeżdżamy. Mamy trochę czasu. Nikt jej tutaj nigdy nie przeszkadzał.

- A strzały? - zapytał Malone.

- Nikt nie zwróci uwagi. - Viktor wskazał na otaczającą ich polanę.

- To jej miejsce na egzekucje. Zlikwidowała tutaj wielu swoich wrogów.

Cassiopeia ciągnęła po ziemi bezwładne ciało Zowastiny.

- Co ty robisz? - zapytał Malone.

- Przywiążę ją do tych lin Niech poczuje, jak to jest.



STEPHANIE JECHAŁA Z HENRIKIEM Z PRZODU, A ELY Z TYŁU. Nie mieli wyjścia i musieli zarekwirować samochód strażnika, ponieważ ich auto miało przestrzelone opony. Szybko zostawili za sobą chatę, dotarli do szosy i ruszyli na

południe wzdłuż przedgórza Pamiru, kierując się do miejsca, które przed ponad dwoma tysiącami lat nazywano górą Klimaks.

- To niesamowite - powiedział Ely.

Stephanie zobaczyła we wstecznym lusterku, że podziwia skytale.

- Kiedy czytałem zagadkę Ptolemeusza, zastanawiałem się, jak miałyby mu się udać przekazanie jakiegokolwiek wiadomości. To naprawdę bardzo sprytne rozwiązanie. - Ely uniósł skytale. - Jak na to wpadliście?

- To Cotton Malone, nasz przyjaciel. Ten, który jest teraz z Cassiopeią.

- A my nie powinniśmy jej pomóc?

Stephanie usłyszała w jego głosie zniecierpliwienie.

- Musimy zaufać Malone'owi, że da sobie radę. My mamy do wykonania zadanie tutaj - znów mówiła pozbawionym emocji tonem szefowej agendy wywiadowczej, chłodnej i obojętnej, ale tak naprawdę nadal była roztrzęsiona po wydarzeniach w chacie. - Cotton jest świetny. Poradzi sobie.

Thorvaldsen też wyczuł rozterkę Ely'ego.

- A Cassiopeia jest zaradna. Potrafi o siebie zadbać. Może powiesz nam to, co powinniśmy wiedzieć, żeby móc to wszystko zrozumieć? W manuskrypcie wspomniano o miksturze Scytów. Możesz nam o nich trochę opowiedzieć?

Stephanie patrzyła, jak Ely ostrożnie odkłada na bok skytale.

- Wędrownny lud, który przybył z Azji Środkowej na południe Rosji w ósmym i siódmym wieku przed naszą erą. Wspominał o nich Herodot. Panował u nich system plemienny i żądza krwi. Wzbudzali strach. Odcinali głowy wrogów, owijali ich czaszki skórą i pili z tak powstałych pucharów.

- Zasłużyli na swoją reputację - powiedział Thorvaldsen.

- A jakie są ich związki z Aleksandrem? - zapytała Stephanie.

- W czwartym i trzecim wieku przed Chrystusem osiedlili się na terenach późniejszego Kazachstanu. Udało im się odeprzeć ataki Aleksandra i zablokowali mu drogę na wschód przez rzekę Syr-darię. Walczył z nimi zacięcie, został kilkakrotnie ranny, ale w końcu zawarli rozejm. Aleksander raczej się ich

nie bał, ale na pewno ich szanował.

- A mikstura? - zapytał Thorvaldsen. - To od nich?

Ely skinął głową.

- Pokazali ją Aleksandrowi. W ramach rozejmu. A on najwyraźniej użył jej, żeby się wyleczyć. Z tego co czytałem, wynika, że to był jakiś naturalny rodzaj leku. Uleczył Aleksandra, Hefajstiona i pomocnika medyka wspomnianego w jednym z manuskryptów. Zakładając, że te relacje są prawdziwe... Scytowie byli dziwnym ludem - dodał Ely. - Kiedyś na przykład w środku bitwy z Persami nagle wszyscy opuścili pole walki, żeby zapolować na królika. Nikt nie wiedział dlaczego, ale odnotowano to w oficjalnych relacjach. Byli zafascynowani złotem, nosili go na sobie mnóstwo. Ozdoby, pasy, brosze, nawet broń zdobili złotem. Scytyjskie kurhany są pełne wyrobów ze złota. Ale ich głównym problemem był język. Byli niepiśmienni. Nie pozostały po nich żadne zapiski. Tylko rysunki, legendy i opowieści innych. Znamy zaledwie kilka słów ich języka, i to wyłącznie dzięki Herodotowi.

Stephanie popatrzyła na Ely'ego we wstecznym lusterku i odniosła wrażenie, że chciał jeszcze coś dodać.

- O co chodzi?

- Jak wspomniałem, przetrwało tylko kilka słów z ich języka. *Pata* oznacza zabijać, *spou* to oko, *oior* mężczyzna. I jest jeszcze *arima*... - Ely szybko przejrzał jakieś papiery, które ze sobą zabrał. - Nic mi to nie mówiło aż do teraz. Pamiętacie zagadkę? „Gdy dotrzesz na poddasze”. Ptolemeusz razem z Aleksandrem walczył ze Scytami. Więc ich znał. *Arima* znaczy jakieś miejsce na górze.

- Jak poddasze - powiedziała Stephanie.

- Jest jeszcze coś. Miejsce, które kiedyś Grecy nazywali Klimaks i do którego teraz zmierzamy, miejscowi zawsze nazywali Arima. Pamiętam tę nazwę z mojej poprzedniej wyprawy w te okolice.

- Czy to nie za dużo zbiegów okoliczności? - zapytał Thorvaldsen.

- Wygląda na to, że wszystkie drogi prowadzą w to miejsce.

- A co mamy nadzieję tu znaleźć? - zapytała Stephanie.
- Scytowie usypywali kurhany otaczające groby ich królów, ale czytałem też, że swoich najwybitniejszych przywódców chowali w górach. To najodleglejszy zakątek imperium Aleksandra. Jego wschodnia granica. Z daleka od domu. Tutaj nikt nie zakłócałby jego spokoju.
- I może właśnie dlatego wybrał to miejsce? - zapytała Stephanie.
- Nie wiem. To wszystko wydaje się jakieś dziwne. Stephanie była tego samego zdania.



ZOWASTINA OTWORZYŁA OCZY. LEŻĄC NA ZIEMI, PRZYPOMNIAŁA sobie atak Cassiopeii Vitt. Otrząsnęła się z ośpienia i uświadomiła sobie, że coś mocno przytrzymuje jej nadgarstki.

Wtedy zrozumiała. Została przywiązana do drzew, tak jak wcześniej Vitt. Potrząsnęła głową. To poniżające.

Wstała i rozejrzała się po polanie.

Tylko kozy. Malone, Vitt i Viktor zniknęli. Jeden z ochroniarzy leżał martwy. Ale drugi wciąż żył. Siedział oparty o drzewo, a krew sączyła mu się z rany na ramieniu.

- Możesz się poruszać? - zapytała.

Mężczyzna skinął głową, ale najwyraźniej sprawiło mu to ból. Wszyscy członkowie jej Świętego Zastępu byli twardymi i zdyscyplinowanymi ludźmi. Sama o to zadbała. Jej współczesna wersja słynnego greckiego oddziału była równie nieustraszona, jak oryginał z czasów Aleksandra.

Ochroniarz z trudem wstał, przyciskając lewą dłońią prawe ramię.

- Nóż - powiedziała. - Jest tam, na ziemi.

Z ust mężczyzny nie wydobył się ani jeden jęk bólu. Zowastina próbowała przypomnieć sobie, jak ma na imię, ale nie udało się jej. To Viktor zatrudniał każdego członka Świętego Zastępu, a ona dbała o to, by nie przywiązać się do żadnego z nich. Byli

przedmiotami. Narzędziami do wykorzystania. I tyle.

Mężczyzna pokuśtykał do noża i z trudem podniósł go z ziemi.

Podszedł do lin, stracił równowagę i opadł na kolana.

- Dasz radę - powiedziała. - Walcz z bólem. Skup się na obowiązku.

Ochroniarz zebrał się w sobie. Pot lał mu się z czoła, a z rany sączyła się świeża krew. Zdumiewające, że nie był w szoku. Ale jego silna psychika pozostała w doskonałym stanie.

Podniósł nóż, odetchnął kilkakrotnie, a potem przeciął liny wokół jej prawego nadgarstka. Zowastina przytrzymała jego trzęsącą się rękę, gdy podawał jej nóż, a potem uwolniła swoją drugą dłoń.

- Świetnie się spisałeś - powiedziała.

*Uśmiechnął się, słysząc pochwałę. Wciąż klęczał i z trudem oddychał.*

- Połóż się. Odpocznij - powiedziała.

Słyszała, jak kładzie się na ziemi, podczas gdy ona przeszukiwała leśne poszycie. *Tuż obok ciała drugiego ochroniarza znalazła broń.*

Wróciła do rannego.

Widział ją w chwili słabości - po raz pierwszy od dawna rzeczywiście poczuła się słaba.

Mężczyzna leżał na plecach, wciąż ściskając ramię.

Stała nad nim. Jego ciemne oczy skupiły się na niej, a ona dostrzegła w nich, że już wie.

Uśmiechnęła się, widząc taką odwagę.

Potem wycelowała broń w jego głowę i strzeliła.

## SIEDEMDZIESIĄT SZEŚĆ

MALONE PATRZYŁ W DÓŁ NA NIERÓWNY TEREN, SPIECZONE połacie ziemi, pastwiska, zaokrąglone wzgórza i drzewa. Viktor pilotował śmigłowiec Hind, który znaleźli zaparkowany na betonowym lądowisku kilka kilometrów za pałacem. Znał tę maszynę. Rosyjska produkcja, dwie bliźniacze turbiny napędzające wirnik nośny i ogonowy. Sowieci nazywali go latającym czołgiem. NATO krokodylem, ze względu na wielkość, maskującą barwę oraz charakterystyczny kształt kadłuba. W sumie był to budzący respekt śmigłowiec bojowy, w tym przypadku nieco zmodyfikowany, z dużym tylnym przedziałem do transportu żołnierzy. Na szczęście bez problemów udało im się opuścić i pałac, i Samarkandę.

- Gdzie nauczyłeś się latać? - Malone zapytał Viktora.

- W Bośni. I Chorwacji. Tym właśnie zajmowałem się w wojsku. Znajdź i zniszcz.

- Dobre miejsce, żeby wyrobić sobie stalowe nerwy.

- Albo zginąć.

Malone nie mógł zaprzeczyć.

- To daleko? - zapytała Cassiopeia przez hełmofon. Lecieli na wschód z prędkością blisko trzystu kilometrów na godzinę w kierunku chaty Ely'ego w górach Pamir. Zowastina może już zdołała się uwolnić, więc Cassiopeia zapytała: - A jeśli ktoś wyruszy za nami w pościg?

Viktor wskazał widok przed nimi.

- Ukryjemy się w tych górach. Trudno tam cokolwiek wysledzić. Zaraz między nie wlecimy, a poza tym jesteśmy tylko kilka minut od chińskiej granicy. Zawsze możemy tam uciec.

- Nie udawaj, że nie usłyszałeś mojego pytania - powiedziała Cassiopeia. - To daleko?

Malone celowo nie odpowiedział. Cassiopeia była

zaniepokojona. Chciał jej powiedzieć, że wie o jej chorobie. Dać jej do zrozumienia, że kogoś to obchodzi. Że rozumie jej frustrację. Ale powstrzymał się. Powiedział tylko:

- Lecimy tak szybko, jak się da. - Na chwilę zamilkł. - W każdym razie to chyba lepsze, niż być przywiązany do drzew.

- Przypuszczam, że zawsze będziesz mi to wypominać.

- Raczej tak.

- Okay, Cottonie. Jestem trochę zdenerwowana. Ale powinieneś to rozumieć. Myślałam, że Ely nie żyje. Chciałam, żeby żył, ale wiedziałam... myślałam... - z trudem panowała nad sobą. - A teraz...

Odwrócił się i dostrzegł w jej oczach ożywienie, które jednocześnie ucieszyło go i zasmuciło. Ale potem opanował się i dokończył jej myśl:

- A teraz jest ze Stephanie i Henrikiem. Więc możesz się uspokoić.

Siedziała sama w tylnym przedziale. Malone dostrzegł, jak klepnęła Viktora w ramię.

- Wiedziałaś, że Ely żyje?

Viktor potrząsnął głową.

- Zadrwiłem z ciebie wtedy na łodzi w Wenecji, kiedy powiedziałem, że nie żyje. Musiałem coś powiedzieć. Ale prawda jest taka, że to ja go uratowałem. Zowastina bała się, że ktoś może chcieć go usunąć. Był jej doradcą, a w Federacji często dochodzi do mordów na tle politycznym. Chciała, żeby go chronić. Po tamtym zamachu na jego życie ukryła go. Od tamtej pory nie miałem z nim do czynienia. Choć to ja byłem szefem ochrony, ona wydawała rozkazy. Więc naprawdę nie wiem, co się z nim stało. Nauczyłem się nie zadawać pytań, tylko robić to, co każe.

Malone zauważył, że Viktor mówi o swojej pracy w czasie przeszłym.

- Zabije cię, jak cię dopadnie.

- Znałem zasady, zanim to wszystko się zaczęło.

Kontynuowali lot bez przeszkód. Malone nigdy dotąd nie leciał hindem. Jego oprzyrządowanie było imponujące, podobnie jak siła ognia. Zdalnie sterowane pociski.

Wielolufowe karabiny maszynowe. Dwa podwieszane działka.

- Cottonie - powiedziała Cassiopeia - masz urządzenie zdolne skontaktować się ze Stephanie?

Nie miał ochoty w tej chwili odpowiadać na tego rodzaju pytania, ale nie miał wyboru.

- Tak.

- Daj mi je.

Znalazł komórkę o międzynarodowym zasięgu, specjalną wersję dla jednostki Magellan Billet, którą Stephanie dała mu w Wenecji, i wybrał numer, zsuwając hełmofon. Pulsujące buczenie po kilku sekundach potwierdziło nawiązanie połączenia i usłyszał głos Stephanie.

- Zmierzamy w waszym kierunku - powiedział.

- Opuściliśmy chatę - odpowiedziała. - Jedziemy na południe szosą M45 w stronę góry zwanej kiedyś Klimaks. Ely wie, gdzie to jest. Mówi, że miejscowi nazywają ją Arima.

- Podaj szczegóły.

Posłuchał, a potem powtórzył informację Viktorowi, który skinął głową.

- Wiem, gdzie to jest.

Viktor przechylił śmigłowiec, kierując się na południowy wschód, i zwiększył prędkość.

- Już się tam kierujemy. - Malone powiedział do Stephanie. - U nas wszystko w porządku.

Widział, że Cassiopeia chce rozmawiać, ale nie miał zamiaru do tego dopuścić. Pokręcił głową, mając nadzieję, że ona zrozumie, że to nie jest odpowiedni moment. Ale żeby ją pocieszyć, zapytał Stephanie: - U Ely'go wszystko okay?

- Tak, ale trochę się martwi.

- Wiem, co masz na myśli. Będziemy na miejscu przed wami. Zadzwoń. Zanim dojedziecie, zrobimy rozpoznanie z powietrza.

- Viktor wam się przydaje?

- Nie byłoby nas tutaj, gdyby nie on.

Wyłączył telefon i powiedział Cassiopeii, dokąd zmierza Ely.

W kabinie rozległ się dźwięk alarmu.

Wzrok Malone'a poszybował na ekran radaru, który



pokazywał dwa obiekty zbliżające się od zachodu.

- Czarne Reki - powiedział Viktor. - Lecą prosto na nas.

Malone znał te śmigłowce. Ka-50. W nomenklaturze NATO - hokumy.

Szybkie, skuteczne, naładowane zdalnie sterowanymi pociskami i działkami kalibru 30 mm. Widział, że Viktor też jest świadomy zagrożenia.

- Szybko nas znaleźli - powiedział Malone.

- Tu niedaleko jest baza.

- Co masz zamiar zrobić?

Zaczęli się wznosić, zwiększając wysokość i zmieniając kurs. Sześć tysięcy stóp. Siedem. Dziewięć. Wyrównali na poziomie dziesięciu.

- Umiesz obsłużyć te działka? - zapytał Viktor.

Malone siedział na fotelu operatora uzbrojenia, więc zerknął na panel sterujący. Na szczęście znał rosyjski.

- Poradzę sobie.

- To szykuj się do walki.

## SIEDEMDZIESIĄT SIEDEM

### SAMARKANDA, FEDERACJA ŚRODKOWOAZJATYCKA

ZOWASTINA PRZYGLĄDAŁA SIĘ GENERAŁOM, KTÓRZY ROZWAŻALI jej wojenne plany. Mężczyźni siedzący wokół stołu konferencyjnego byli jej najbardziej zaufanymi podwładnymi, choć miała świadomość, że jeden lub kilku z nich może się okazać zdrajcami. Po ostatnich dwudziestu czterech godzinach już niczego nie mogła być pewna. Ci ludzie byli z nią od samego początku, awansowali razem z nią, stopniowo budowali siłę uderzeniową Federacji, przygotowując się do tego, co miało teraz nadejść.

- Najpierw zajmiemy Iran - postanowiła.

Znała wyliczenia. Obecnie ludność Pakistanu liczyła sto siedemdziesiąt milionów, Afganistanu trzydzieści dwa miliony, a Iranu sześćdziesiąt osiem. Wszystkie te trzy państwa stanowiły ich cel. Początkowo myślała o równoczesnym ataku, ale teraz uważała, że lepiej będzie najpierw dokonać jednego strategicznego uderzenia. Jeśli starannie dobierze się miejsca infekcji, obszary o maksymalnej gęstości zaludnienia, a wirusy zostaną umiejętnie rozprowadzone, wówczas populacja powinna zgodnie z przewidywaniami modeli komputerowych spaść o minimum siedemdziesiąt procent w ciągu czternastu dni. Powiedziała zgromadzonym wojskowym to, co już wiedzieli, a potem dodała:

- Trzeba wywołać totalną panikę. Kryzys. Irańczycy mają pragnąć naszej pomocy. Co zaplanowaliście?

- Zacniemy od ich sił zbrojnych i rządu - odpowiedział jeden z generałów. - Większość wirusów działa w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Ale zróżnicujemy ich zastosowanie. Jednego wirusa zidentyfikują dość szybko, ale potem będą się musieli

zająć kolejnym. W ten sposób rozproszymy ich uwagę i uniemożliwimy skuteczną reakcję medyczną.

Wcześniej się tym martwiła, ale teraz już nie.

- Nasi naukowcy powiedzieli mi, że wszystkie wirusy zostały zmodyfikowane i teraz jeszcze trudniej będzie je wykryć czy im zapobiegać.

Wokół stołu znajdowało się ośmiu mężczyzn, wszyscy z armii albo sił powietrznych. Azja Środkowa przez długi czas marniała pomiędzy Chinami, Związkiem Radzieckim, Indiami i Bliskim Wschodem. Wszyscy chcieli ją posiadać, ale ona nie należała do nikogo. Jedna z wielkich rozgrywek odbyła się tutaj przed dwoma wiekami, gdy Rosja i Wielka Brytania walczyły o dominację, nie przejmując się pragnieniami miejscowej ludności.

Ale to już się skończyło.

Teraz Azja Środkowa mówi jednym głosem poprzez demokratycznie wybrany parlament, ministerstwa, wybory, sądy i rząd prawa.

Jednym głosem.

Jej głosem.

- A co z Europą i Ameryką? - zapytał jeden z generałów. - Jaką reakcję wywoła nasza agresja?

- O to właśnie chodzi, że nie będzie żadnej agresji - wyjaśniła.

- Po prostu wkroczymy tam, niosąc wsparcie i pomoc humanitarną udręczonej ludności. Będą zbyt zajęci chowaniem zmarłych, żeby niepokoić się naszą obecnością.

Znała takie przypadki z historii. Najskuteczniejsi zdobywcy, Grecy, Mongołowie, Hunowie, Rzymianie i Turcy osmańscy, okazywali tolerancję wobec podbijanych ludów. Hitler mógł zmienić bieg II wojny światowej, gdyby przyjął pomoc milionów nienawidzących Rosjan Ukraińców, zamiast ich wykańczać. Jej żołnierze wkroczą do Iranu jako wybawcy, nie ciemniejący, a ona zyska pewność, że gdy wirusy przestaną działać, nie będzie już żadnej opozycji, która mogłaby podnieść bunt. Wtedy dokona aneksji.

I zmian ludnościowych. Przeniesie ludzi ze zrujnowanych przez Sowietów rejonów na nowe ziemie. Rasy wymieszają się.

Dokona tego samego, co Aleksander Wielki w ramach hellenistycznej rewolucji, tylko w odwrotnym kierunku, ze wschodu na zachód.

- Czy możemy mieć pewność, że Amerykanie nie zainterweniują? - zapytał inny generał.

Rozumiała ich obawy.

- Amerykanie nie pisną ani słowa i nie ruszą palcem. Nic ich to nie będzie obchodzić. Po fiasku w Iraku nie będą się chcieli mieszać, zwłaszcza że to my odwalimy całą robotę. Tak naprawdę będą szczęśliwi z eliminacji Iranu.

- Ale jak ruszymy na Afganistan, zginą ich ludzie - zauważył jeden z wojskowych. - Ich wojska wciąż tam stacjonują.

- Jak przyjdzie na to pora, zminimalizujemy ryzyko - odparła Zowastina. - Chcemy w efekcie osiągnąć to, by Amerykanie wycofali się stamtąd, gdy my będziemy przejmować kontrolę. Przypuszczam, że taka decyzja spotka się w Stanach z entuzjastycznym przyjęciem. Trzeba tam zastosować wirusa, który daje się łatwo opanować. Dokonamy taktycznych zakazań wycelowanych w konkretne grupy i regiony. Mają umierać przede wszystkim miejscowi, szczególnie talibowie, musimy mieć pewność, że straty amerykańskiego personelu będą minimalne.

Wszyscy przy stole patrzyli na nią. Żaden z mężczyzn ani słowem nie wspomniał o siniaku, pamiętacie po napaści Cassiopeii Vitt. Czy to wśród nich znajdowało się źródło przecieków? Jak Amerykanie zdołali się tak wiele dowiedzieć o jej zamiarach?

- Zginą miliony ludzi - powiedział jeden z generałów szeptem.

- Znikną miliony problemów - wyjaśniła. - Iran to wylegarnia terrorystów. I rządzą tam głupcy. Zachód wciąż to powtarza. Ci, którzy przeżyją, będą mieli lepiej. My też. Będziemy mieli ich ropę i ich wdzięczność. A nasz sukces będzie zależeć od tego, jak to wykorzystamy.

Przysłuchiwała się dyskusji o strategiach, wielkości oddziałów, planach na różne ewentualności. Wyszkolono specjalne brygady, które miały rozmieścić wirusa. Były już gotowe, by wyruszyć na południe. Zowastina czuła

zadowolenie. Nadszedł kres wieloletniego oczekiwania. Wyobrażała sobie, że tak samo musiał się czuć Aleksander Wielki, gdy wyruszał z Grecji do Azji, rozpoczynając podbój świata. Podobnie jak on, ona również spodziewała się całkowitego sukcesu. Kiedy opanuje już Iran, Pakistan i Afganistan, zajmie resztę Bliskiego Wschodu. Tam jej dominacja będzie jednak bardziej subtelna, a wirusowe ataki zorganizowane tak, by wyglądały na rozprzestrzenianie się pierwotnych epidemii. Jeśli miała rację co do Zachodu, to Europa, Chiny, Rosja i Ameryka zajmą się same sobą. Uszczelnia granice, ograniczą możliwości podróżowania, mając nadzieję, że epidemie zawęzają się do krajów, które tak naprawdę nic a nic ich nie obchodzą. Ta bezczynność da jej czas na zdobycie kolejnych ogniw w łańcuchu krajów dzielących Federację od Afryki. Jeśli dobrze to rozegra, podbije cały Bliski Wschód w ciągu miesiący, nie oddając ani jednego strzału.

- Czy dysponujemy już odtrutkami? - zapytał na koniec szef sztabu.

Czekała na to pytanie.

- Będziemy nimi dysponować. - Nielatwy pokój, który panował między nią a Vincentim, wkrótce miał dobiec końca.

- Philogen nie dostarczyło nam zapasów dla naszej ludności - zauważył jeden z generałów. - Nie mamy też odpowiednich ilości, żeby powstrzymać rozprzestrzenianie się wirusów wśród atakowanej ludności po zwycięstwie.

- Jestem tego świadoma - odpowiedziała.

Czekał na nią helikopter.

Wstała.

- Panowie, niedługo rozpoczniemy największy podbój od czasów antycznych. Grecy przybyli tutaj i pokonali nas, zapoczątkowując erę hellenistyczną, która ukształtowała zachodnią cywilizację. Teraz my rozpoczniemy nowy etap w rozwoju ludzkości. Erę azjatycką.

## SIEDEMDZIESIĄT OSIEM

CASSIOPEIA PRZYPIĘŁA SIĘ DO METALOWEJ ŁAWKI W TYLNEJ CZĘŚCI śmigłowca. Helikopter gwałtownie zanurkował, gdy Viktor rozpoczął manewry, dzięki którym mieli umknąć pościgowi. Cassiopeia domyślała się, że Malone wie, iż chciała porozmawiać z Elym, ale rozumiała, że to nie była odpowiednia chwila. Doceniała, że Malone tyle dla niej ryzykował. Jak uciekłaby od Zowastiny, gdyby nie on? Raczej by jej się to nie udało, nawet z pomocą Viktora. Thorvaldsen powiedział jej wcześniej, że Viktor to ich sojusznik, ale uprzedził ją o jego ograniczonych możliwościach. Jego misja miała pozostać tajna, choć najwyraźniej ta wytyczna uległa zmianie.

- Strzelają - powiedział Viktor przez hełmofon.

Śmigłowiec przechylił się w lewo, przecinając powietrze. Dzięki uprząży mocno trzymała się wręgi. Ręce zacisnęła na ławce. Walczyła z mdłościami. Szczerze mówiąc, miała chorobę lokomocyjną. Unikala łodzi, a samoloty nie stanowiły problemu, jeśli tylko leciały prosto. Teraz jednak miała kłopot. Czowała, jak żołądek podchodzi jej do gardła, kiedy ciągle zmieniali wysokość, niczym w oszalałej windzie. Nie mogła nic na to poradzić, musiała jakoś się trzymać i mieć nadzieję, że Viktor wie, co robi.

Zobaczyła, że Malone majstruje przy panelu uzbrojenia, i usłyszała strzały z działek po obu stronach kadłuba. Zerknęła też do przodu, na przednią szybę kokpitu, i dostrzegła górskie grzbiety wyłaniające się z chmur ze wszystkich stron.

- Wciąż tam są? - zapytał Malone.

- Szybko się zbliżają - odpowiedział Viktor. - I próbują strzelać.

- Mamy rakiety.

- To prawda. Ale ich wystrzelenie tutaj mogłoby być zdradliwe i dla nas, i dla nich.

Znaleźli się poza chmurami. Śmigłowiec skręcił w prawo i ostro za-pikował w dół.

- Czy musimy to robić? - zapytała Cassiopeia, starając się zapanować nad mdłościami.

- Obawiam się, że tak - odpowiedział Malone. - Musimy wykorzystać te doliny, żeby im zwać. Będziemy przedzierać się przez nie jak przez labirynt.

Wiedziała, że Malone pilotował kiedyś myśliwce i że wciąż ma licencję pilota.

- Niektórzy z nas nie lubią takiej zabawy.

- Możesz spokojnie puścić pawia.

- Nie dam ci tej satysfakcji - na szczęście nie jadła nic od wczorajszego lunchu na Torcello.

Kolejne ostre przechyły, gdy pędzili przez rozjaśnione popołudniowym słońcem niebo. Ryk silników był ogłuszający. Do tej pory tylko kilka razy leciała helikopterem i nigdy nie znalazła się w sytuacji bojowej. To było niczym jazda na latającym diabelskim młynie.

- Kolejne dwa śmigłowce na radarze - powiedział Viktor. - Są na północ od nas.

- Dokąd zmierzamy? - zapytał Malone.

Helikopter wziął kolejny ostry zakręt.

- Na południe - odparł Viktor.



MALONE WPATRYWAŁ SIĘ W EKRAN RADARU. OTACZAJĄCE ICH GÓRY stanowiły jednocześnie osłonę i kłopot, ponieważ utrudniały obserwację pościgu. Cele wciąż pojawiały się i znikaly. Amerykańskie wojska korzystały raczej z satelitów i samolotów AWACS, uzyskując pełniejszy obraz. Na szczęście Federacja Środkowoazjatycka nie dysponowała najnowszymi zdobyczami techniki.

Ekran radaru opustoszał.

- Za nami czysto - powiedział Malone.

Musiał przyznać, że Viktor potrafi latać. Ze zdecydowaniem manewrował pośród gór Pamiru, mimo że wirniki niebezpiecznie zbliżały się do stromych szarych urwisk. Malone nigdy nie nauczył się pilotować śmigłowca, choć zawsze chciał. Od dziesięciu lat nie siedział nawet za sterami ponaddźwiękowego myśliwca. Utrzymywał swoje umiejętności na takim poziomie przez kilka lat po przejściu do jednostki Magellan Billet, ale potem to zaniedbał. Wtedy mu nie zależało. Teraz żałował, że nie jest na bieżąco.

Viktor wyrównał lot na wysokości sześciu tysięcy stóp i zapytał:

- Trafiłeś coś?

- Trudno stwierdzić. Myślę, że udało nam się tylko utrzymać ich na dystans.

- Nasze miejsce docelowe znajduje się około stu pięćdziesięciu kilometrów na południe. Znam Arimę. Byłem tam kiedyś, ale dość dawno.

- Po drodze same góry?

Viktor skinął głową.

- I coraz więcej dolin. Myślę, że uda nam się pozostać poniżej ich radarów. Ten rejon nie jest strefą bezpieczeństwa. Granica z Chinami jest otwarta od wielu lat. Większość sił Zowastiny koncentruje się na południu, na granicy z Afganistanem i Pakistanem.

Cassiopeia podeszła do nich.

- To już koniec?

- Na to wygląda.

- Polecimy okrężną drogą - powiedział Viktor - żeby już na nikogo się nie natknąć. To potrwa trochę dłużej, ale im dalej na wschód polecimy, tym będziemy bezpieczniejsi.

- O ile dłużej? - zapytała Cassiopeia.

- Około pół godziny.

Malone skinął głową, a Cassiopeia nie zgłosiła sprzeciwu. Uchylenie się przed kulami to jedna sprawa, ale pociski powietrze-powietrze to zupełnie coś innego. Sowieckie uzbrojenie, jak choćby rakiety, było pierwszorzędne. Viktor



niał rację.

Malone usiadł w fotelu i obserwował przepływającą obok nich falę nagich zboczy. W oddali mgła sięgała już białych szczytów. Jakaś pełna mułu rzeka purpurową żyłą przecinała pogórze. Po tej ciemnej ziemi stąpali zarówno Aleksander Wielki, jak i Marco Polo, a cała okolica bywała polem bitwy. Na południu terytoria podległe Wielkiej Brytanii, na północy Rosjanie, na wschodzie i zachodzie Chińczycy i Afgańczycy. Przez większą część dwudziestego wieku Moskwa i Pekin walczyły o kontrolę nad tymi terenami, sprawdzając się wzajemnie i ostatecznie zawierając chwiejny pokój, a jedynym zwycięzcą tych wszystkich potyczek pozostawały góry Pamiru.

Aleksander Wielki mądrze wybrał miejsce swego ostatniego spoczynku.

Ale Malone wciąż się zastanawiał.

Czy on naprawdę jest tam w dole?

I czeka?

## SIEDEMDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

**GODZINA 14:00**

ZOWASTINA POLECIAŁA Z SAMARKANDY DO POSIADŁOŚCI VINCENTIEGO najkrótszą drogą i najszybszym śmigłowcem, jakim dysponowały jej siły powietrzne.

W dole pojawił się dom Vincentiego. Olbrzymi, drogi i podobnie jak jego właściciel zupełnie zbędny. Może pozwolenie na rozkwit kapitalizmu w Federacji wcale nie było mądrym posunięciem. Potrzebne będą zmiany. Trzeba będzie poskromić Ligę Wenecką.

Ale najpierw ważniejsza sprawa.

Helikopter wylądował.

Gdy Edwin Davis opuścił jej pałac, kazała Kamilowi Rewinowi skontaktować się z Vincentim i poinformować go o swojej wizycie. Ale ostrzeżenie wysłano z wystarczającym opóźnieniem, by jej oddziały zdążyły wcześniej dotrzeć na miejsce. Powiedziano jej, że dom został już zabezpieczony, więc kazała żołnierzom odlecieć, pozostawiając przy sobie tylko dziewięcioosobową drużynę. Personel domu również został już ewakuowany. Nie miała pretensji do miejscowych, którzy po prostu starali się zarobić na życie. Jej przeciwnikiem był Vincenti.

Wysiadła z helikoptera i pomaszerowała po zadbanym trawniku wprost na kamienny taras, przez który weszła do rezydencji. Choć Vincentiemu wydawało się, że nie interesowała się jego pałacem, ona doskonale знаła tę budowlę. Pięćdziesiąt trzy pomieszczenia. Jedenaście sypialni. Szesnaście łazienek. Architekt, który zaprojektował dom Vincentiego, bez oporu dostarczył jej wszystkie plany. Wiedziała o królewskiej jadalni, dopracowanych w każdym szczególe salonikach, świetnie urządzonej kuchni i piwnicze

na wino. Jedno spojrzenie na wystrój wyjaśniało, dlaczego wartość tego domu wyrażała się w ośmiocyfrowej kwocie.

W głównym holu dwóch jej żołnierzy strzegło drzwi frontowych. Kolejnych dwóch strażników stało po obu stronach marmurowych schodów. Wszystko tutaj przypominało jej Wenecję. A ona nie lubiła pamiętać o porażkach.

Spojrzała na jednego z wartowników, a on wskazał jej karabinem kierunek na prawo. Przeszła krótkim korytarzem i weszła do biblioteki. W pomieszczeniu było trzech żołnierzy i jakiś mężczyzna. Choć nigdy się nie spotkali, wiedziała, jak się nazywa i kim jest.

- Panie O'Conner, będzie pan musiał podjąć pewną decyzję.

Mężczyzna wstał ze skórzanej kanapy i popatrzył na nią.

- Przez długi czas pracował pan dla Vincentiego. Ufa panu. I trzeba przyznać, że bez pana nie doszedłby tak daleko.

Poczekala, aż jej komplement wybrzmi, rozglądając się po urządzonym z przepychem wnętrzu.

- Vincentiemu dobrze się powodzi. Ciekawe, czy dzieli się z panem swoim bogactwem.

O'Conner nie odpowiedział.

- Pozwoli pan, że opowiem o czymś, o czym chyba pan nie wie. W zeszłym roku firma Vincentiego przyniosła mu zysk w wysokości ponad czterdziestu milionów euro. Ma akcje warte ponad miliard euro. A ile płaci panu?

Brak odpowiedzi.

- Sto pięćdziesiąt tysięcy euro - obserwowała wyraz jego twarzy, gdy docierała do niego prawda. - Jak pan widzi, panie O'Conner, sporo wiem. Sto pięćdziesiąt tysięcy euro za wszystko, co pan dla niego robi. Zastrasza pan, wymusza, a nawet zabija. On zarabia dziesiątki milionów, a pan dostaje sto pięćdziesiąt tysięcy. On żyje tak, jak widać, a pan... - zawahała się - a pan po prostu żyje.

- Nigdy nie narzekałem - powiedział O'Conner.

Stała za biurkiem Vincentiego.

- Owszem, nie narzekał pan. To godne podziwu.

- Czego pani chce?

- Gdzie Vincenti?

- Wyjechał. Zanim przybyły pani oddziały.

Uśmiechnęła się.

- Proszę. Kolejna rzecz, w której jest pan świetny. Kłamstwa. Wzruszył ramionami.

- Może pani wierzyć, w co chce. Pani ludzie na pewno dokładnie przeszukali dom.

- To prawda. I ma pan rację, nie znaleźli Vincentiego. Ale i pan, i ja wiemy dlaczego.

Zauważyła małe alabastrowe figurki zdobiące biurko. Chińskie figurynki. Nigdy nie przepadała za sztuką orientalną. Uniosła jedną z figurek. Skrzywiony półnagi grubas.

- Podczas budowy tego ohydneho paskudztwa Vincenti uwzględnił dodatkowe przejścia, z których rzekomo korzystała służba, ale oboje wiemy, do czego tak naprawdę miały służyć. Zaplanował też wielkie podziemne pomieszczenie, które wykuto w skale pod domem. Myślę, że teraz jest właśnie tam.

Twarz O'Connera nawet nie drgnęła.

- Więc, jak już mówiłam, panie O'Conner, ma pan wybór. Znajdę Vincentiego z pańską pomocą lub bez. Ale pańska pomoc pozwoliłaby mi zaoszczędzić czas, co jest dla mnie bardzo ważne. Dlatego jestem skłonna negocjować. Przydałby mi się taki człowiek jak pan. Zaradny - zamilkła.

- I pozbawiony chciwości. Oto pański wybór. Zmienia pan stronę czy też pozostaje przy Vincentim?

Zaoferowała mu to samo co innym. Przede wszystkim członkom Zgromadzenia Narodowego, członkom rządu oraz rodzącej się opozycji. Niektórzy nie byli tego warci, lepiej byłoby ich zabić i mieć z głowy, ale w większości okazali się wartościowymi neofitami. Wszyscy byli albo Azjatami, albo Rosjanami. Teraz machała przynętą przed nosem Amerykanina i bardzo ciekawiło ją, jak na nią zareaguje.

- Wybieram pani stronę - powiedział O'Conner. - Co mogę dla pani zrobić?

- Odpowiedzieć na moje pytanie.

O'Conner sięgnął do kieszeni, a jeden z żołnierzy natychmiast uniósł karabin. O'Conner szybko pokazał mu puste dłonie.

- Żeby odpowiedzieć na pani pytanie, muszę coś pokazać.

- Proszę - powiedziała.

Wyjął małego srebrnego pilota z trzema przyciskami.

- Do tych pomieszczeń można wejść różnymi drzwiami. Ale do pokoju w podziemiach można dotrzeć tylko tędy. - Pokazał jej pilota. - Ten przycisk otwiera wszystkie drzwi w przypadku pożaru. Drugi włącza alarm. A trzeci - wskazał na przeciwległą ścianę i wcisnął przycisk - otwiera to.

Rzeźbiona chińska szafka obróciła się, ukazując słabo oświetlony korytarz.

Zowastina poczuła ciepło zwycięstwa.

Podeszła do jednego z żołnierzy i wyjęła mu z kabury makarowa 9 mm.

A potem odwróciła się i strzeliła O'Connerowi w głowę.

- Nie potrzeba mi tak płytkiej lojalności.

## OSIEMDZIESIĄT

ŹLE się DZIAŁO i VINCENTI O TYM WIEDZIAŁ. ALE SIEDZIAŁ CICHO, czekał i miał nadzieję, że jakoś się ułoży. O'Conner na pewno sobie poradzi, jak zawsze. Ale Karyn Walde i Grant Lyndsey to inna sprawa.

Karyn dreptała po laboratorium niczym zwierzę w klatce. Pełna oczekiwania najwyraźniej odzyskiwała siły.

- Proszę się uspokoić - powiedział. - Zowastina mnie potrzebuje. Nie zrobi nic głupiego.

Wiedział, że to odtrutki trzymają ją w ryzach, i dlatego zawsze starał się, żeby niewiele o nich wiedziała.

- Grant, zabezpiecz swój komputer. Wszystko zabezpiecz hasłem, tak jak to omówiliśmy.

Widział, że Lyndsey jest jeszcze bardziej zaniepokojony niż Karyn, ale o ile jej niepokój zdawał się być podszyty gniewem, to Lyndseya po prostu paraliżował strach. Potrzebował jego logicznego umysłu, więc powiedział:

- Tu na dole jesteśmy bezpieczni. Nie przejmuj się tak.

- Ona od początku mnie nie lubiła. Nie znosiła mieć ze mną do czynienia.

- Może i cię nie znosiła, ale potrzebowała cię i wciąż cię potrzebuje. Wykorzystaj to.

Ale Lyndsey nie słuchał. Stukał w klawiaturę komputera, mrużąc coś do siebie w rozgorączkowaniu.

- Słuchajcie oboje - powiedział Vincenti, podnosząc głos. - Uspokójcie się. Nawet nie wiemy, czy ona tu jest.

Lyndsey spojrział znad komputera.

- To już tak długo trwa. Co robi tu jej wojsko? Co tu się w ogóle dzieje?

Dobre pytanie, ale Vincenti musiał zaufać O'Connerowi.

- Ta kobieta, którą wtedy zabrała ze sobą z laboratorium -

powiedział Lyndsey. - Jestem pewien, że ona nigdy nie wróciła do Federacji. Widziałem to w jej oczach. Zowastina zamierzała ją zabić. Tak dla zabawy. Ona jest gotowa zamordować miliony ludzi. Czym dla niej jesteśmy?

- Jej zbawieniem - odparł Vincenti.

Taką przynajmniej miał nadzieję.



STEPHANIE SKRĘCIŁA Z SZOSY NA ASFALTOWĄ DROGĘ, KTÓREJ strzegły wysokie topole ustawione w rzędzie niczym wartownicy. Dobrze im poszło, przejechali sto pięćdziesiąt kilometrów w mniej niż dwie godziny. Ely opowiadał, że podróż wyglądała teraz zupełnie inaczej niż przed kilku laty. Poprawa jakości dróg stanowiła priorytet dla rządu Federacji, podobnie jak budowa tuneli. Przez góry przebito nowy system tuneli, co bardzo skróciło podróże z północy na południe.

- Tu jest teraz inaczej - powiedział Ely z tylnego siedzenia. - Byłem tutaj dwa lata temu. Droga była żwirowa.

- To świeżo położony asfalt - potwierdziła Stephanie.

Żyzne dno doliny, usiane pastwiskami, rozciągało się za drzewami i kończyło u stóp łagodnych wzgórz, które stopniowo przekształcały się w pogórze, a potem w góry. Stephanie dostrzegła pasterzy pilnujących stad owiec i kóz. Gdzieniedzie wolno biegały konie. Droga ciągnęła się prosto między topolami i wiodła ich na wschód w kierunku odległej ściany srebrzystych zboczy.

- Przyjechaliśmy tu wtedy z misją badawczą - powiedział Ely.

- Było tu mnóstwo domów zwanych *chid*. Miejsowych, pamirskich domostw o płaskich dachach, wzniesionych z kamienia i tynku. Zatrzymaliśmy się w jednym z nich. Tam, w tamtej dolinie, była niewielka wioska. Ale teraz jej nie ma.

Malone już się nie odezwał, a Stephanie nie miała odwagi do niego zatelefonować. Nie miała pojęcia, w jakiej znajduje się sytuacji, poza tym że udało mu się uwolnić Cassiopeię i ujawnić

status Viktora. Edwin Davis i prezydent Daniels nie będą zachwyceni, ale rzadko kiedy wszystko idzie idealnie zgodnie z planem.

- Dlaczego jest tu tak dużo zieleni? - zapytał Henrik. - Zawsze myślałem, że góry Pamiru to rejon suchy i jałowy.

- Większość dolin taka jest, ale tam, gdzie jest woda, doliny są piękne. Jak w Szwajcarii. Ostatnio jest sucho i ciepło. O wiele cieplej niż zwykle.

W górze za cienką linią drzew dostrzegła masywną kamienną budowlę osadzoną na pokrytym trawą wzniesieniu z górskimi zboczami w tle. Dom miał ostre pionowe linie, które przełamywały strome dachy pokryte łupkiem. Na zewnętrznych ścianach znajdowała się mozaika z płaskich kamieni w różnych odcieniach brązu, szarości i złota. Wielodzielne okna zdobiły symetrycznie elegancką fasadę, a każde z nich zwieńczał szeroki gzyms, odbijający wstęgi blasku popołudniowego słońca. Dwa piętra. Cztery kominy z kamienia. Z jednej strony ustawione rusztowanie. Całość przypominała jej jedną z wielu posiadłości rozsianych po północnej Atlantycie albo zdjęcia z czasopisma architektonicznego.

- Ale dom - stwierdziła.

- A dwa lata temu nic tu nie było - zauważył Ely.

Thorvaldsen wyglądał przez przednią szybę.

- Nowy właściciel tego wszystkiego musi być naprawdę zamożną osobą.

Posiadłość rozpościerała się mniej więcej kilometr przed nimi, na drugą stronę zielonej doliny, która kończyła się stromym wzniesieniem. Z przodu drogę zagradzała żelazna brama. Dwa kamienne słupy, niczym miniaturowe minarety, wspierały wykonany z kutego żelaza łuk z napisem „Attico”.

- To po włosku oznacza poddasze - powiedział Thorvaldsen. - Wygląda na to, że nowy właściciel uwzględnił miejscowe nazewnictwo.

- W tej części świata nazwy miejsc to świętość - powiedział Ely.

- I między innymi dlatego Azjaci nienawidzili Sowieców. Zmieniali wszystkie nazwy. Oczywiście przywrócono je, jak



tylko powstała Federacja. A to, rzecz jasna, przysporzyło Zowastinie popularności.

Stephanie starała się znaleźć sposób na skontaktowanie się z mieszkańcami posiadłości przez bramę, szukała jakiegoś przycisku czy domofonu, ale nic tam nie było. Nagle zza minaretów wyszło dwóch ludzi. Młodzi, szczupli, w maskujących mundurach polowych, z karabinami AK-74. Jeden z nich wycelował w nich broń, a drugi otworzył bramę.

- Ciekawa forma powitania - zauważył Thorvaldsen.

Jeden z mężczyzn podszedł do samochodu i zaczął gestykulować, pokrzykując coś w języku, którego Stephanie nie rozumiała.

Ale nie musiała.

Doskonale wiedziała, czego chce.



ZOWASTINA RUSZYŁA KORYTARZEM. WYJĘŁA MARTWEMU O'Connerowi z zaciśniętej dłoni pilota i użyła go, by zamknąć za sobą przejście. Na ścianie korytarza w równych odległościach zwisały z żelaznych uchwytywów żarówki. Wszystkie połączone były kablem. Wąski korytarz kończył się po dziesięciu metrach metalowymi drzwiami.

Podeszła bliżej i zaczęła nasłuchiwać.

Z drugiej strony nie dochodził żaden dźwięk.

Zowastina nacisnęła klamkę.

Drzwi otworzyły się.

Po drugiej stronie zaczynały się wycięte w skale strome schody, które prowadziły w dół.

Imponujące.

Jej przeciwnik z pewnością potrafił myśleć perspektywicznie.



VINCENTI ZERKNAŁ NA ZEGAREK. O'CONNER POWINIEN BYŁ SIĘ JUŻ odezwać. Telefon na ścianie zapewniał bezpośrednie połączenie z górą domu. Ale Vincenti powstrzymał się, nie chcąc się ujawniać. Zaszli się tutaj przed trzema godzinami, a on umierał z głodu, choć w żołądku ścisnęło go bardziej z niepokoju niż z głodu.

Wypełnił sobie czas, zabezpieczając dane na dwóch komputerach z laboratorium. Doprowadził też do końca kilka doświadczeń, które razem z Lyndseyem prowadzili w celu sprawdzenia, czy archeowce będzie można bezpiecznie przechowywać w temperaturze pokojowej, przynajmniej przez kilka miesięcy dzielących produkcję od sprzedaży. Konieczność skupienia się na eksperymentach zmniejszyła niepokój Lyndseya, ale Walde wciąż była wzburzona.

- Wylej wszystko do toalety. - Vincenti powiedział do Lyndseya.

- Wszystkie płyny. Roztwory, próbki. Nic nie zostawiaj.

- Co robicie? - zapytała Karyn.

Nie miał ochoty z nią dyskutować.

- Już ich nie potrzebujemy.

Wstała z krzesła, na którym siedziała.

- A co z moim leczeniem? Czy dostałam już dosyć? Czy jestem już zdrowa?

- Będziemy to wiedzieć jutro albo pojutrze.

- A jeśli nie? Co wtedy?

Vincenti rzucił jej badawcze spojrzenie.

- Jest pani niezwykle wymagającą osobą jak na kogoś, kto jeszcze niedawno był umierający.

- Proszę mi odpowiedzieć. Jestem już zdrowa?

Zignorował jej pytanie i skoncentrował się na ekranie komputera. Kilka przesunięć myszą i skopiował wszystkie dane na przenośną pamięć. Potem włączył szyfrowanie danych na komputerze.

Karyn chwyciła go za koszulę.

- To pan do mnie przyszedł. To pan chciał mojej pomocy. Chciał pan Iriny. Dał mi pan nadzieję. Niech mnie pan nie ignoruje.

Ta kobieta może sprawić więcej problemów, niż jest warta, pomyślał, ale postawił na ugodowy ton.

- Możemy zrobić tego więcej - odpowiedział spokojnie. - To proste. A jeśli będzie trzeba, możemy zaprowadzić panią tam, gdzie żyją te bakterie, i tam się pani napije. W ten sposób też działają.

Ale jego zapewnienia jej nie usatysfakcjonowały.

- Ty kłamliwy sukinsynu - puściła go. - Nie mogę uwierzyć, że się w to wpakowałam.

On też nie mógł w to uwierzyć. Ale teraz było już za późno.

- Wszystko gotowe? - zapytał Lyndseya.

Mężczyzna skinął głową.

Nagle uwagę Vincentiego przyciągnął dźwięk tłuczonego szkła. Odwrócił się i zobaczył, że Karyn trzyma w ręku rozbitą kolbę i przyskakuje do niego. Przycisnęła prowizoryczną broń do jego brzucha i z błyskiem w oczach powiedziała:

- Muszę to wiedzieć. Jestem już zdrowa?

- Odpowiedz jej - rozległ się jakiś głos.

Vincenti odwrócił się w stronę wejścia do laboratorium.

W drzwiach stała Irina Zowastina z bronią w ręku.

- Jest już zdrowa, Enrico?

## OSIEMDZIESIĄT JEDEN

MALONE DOSTRZEĞŁ BUDYNEK W ODLEGŁOŚCI OKOŁO CZTERECH kilometrów. Nadlecieli z północy, bo najpierw skręcili na wschód i trzymali się chińskiej granicy. Przyjrzał się posiadłości i ocenił, że zajmuje mniej więcej czterdzieści hektarów na trzech poziomach. Zbliźali się od tyłu, natomiast front domu wychodził na dolinę, która tworzyła jakby ślepą uliczkę wyciętą w górskich zboczach. Budynek celowo umieszczono na niewysokim skalistym wzniesieniu, z którego rozciągał się rozległy widok. Przyjednej ze ścian stało rusztowanie, prawdopodobnie prowadzono jakieś prace murarskie. Dostrzegł kupkę piasku i betoniarkę. Wokół wzniesienia budowano żelazne ogrodzenie, część była już ustawiona, reszta leżała w równych stosach nieopodał. Nie dostrzegł żadnego robotnika. Ani ochroniarza. W polu widzenia nie było nikogo.

Obok domu stał garaż na sześć stanowisk, z zamkniętymi bramami. Ogród, który rozpościerał się między tarasem a zagajnikiem, kończył się przy podstawie jednego z górskich zboczy. Drzewa wypuściły na wiosnę nowe lśniące liście.

- Kto jest właścicielem tego domu? - zapytał Malone.

- Nie mam pojęcia. Ostatnim razem, jak tu byłem, gdzieś tak dwa, trzy lata temu, nic tu nie było.

- Jesteśmy na miejscu? - zapytała Cassiopeia, wyglądając zza jego ramienia.

- To Arima.

- Strasznie tam na dole cicho - stwierdził Malone.

- Skrywały nas góry - zauważył Viktor. - Ekran radaru jest czysty. Jesteśmy sami.

Malone dostrzegł wyraźną ścieżkę, która prowadziła przez krzaczasty zagajnik, a potem wznosiła się po skałach i znikwała w

ciemnej rozpadlinie. Zauważył też chyba przyczepiony do podłoża kabel elektryczny ciągnący się po skalnym rumowisku wzdłuż ścieżki.

- Wygląda na to, że ktoś interesuje się tą górą.
- Faktycznie - powiedziała Cassiopeia.

Malone stwierdził:

- Musimy dowiedzieć się, kto jest właścicielem tego terenu. Ale musimy się też przygotować. - Wciąż miał przy sobie pistolet, który wwiózł na terytorium Federacji. Ale wystrzelił już z niego kilka naboń. - Jest na pokładzie jakaś broń?

Viktor skinął głową.

- W szafce z tyłu.

Malone spojrzał na Cassiopeię.

- Daj nam po jednym.



WYRAZ ZDUMIENIA NA TWARZY VINCENTIEGO I LYNDSEYA SPRAWIE Zowastinie przyjemność.

- Myśleliście, że jestem aż tak głupia?

- Niech cię szlag, Irino.

- Dosyć! - Zowastina uniosła broń. Karyn zawahała się, a potem wycofała na koniec jednego ze stołów laboratoryjnych. Zowastina zwróciła się znów do Vincentiego. - Ostrzegałam cię przed Amerykanami. Mówiłam, że nas obserwują. A ty tak mi się odwdzięczasz?

- Myślisz, że w to uwierzę? Gdyby nie odtrutki, już dawno byś mnie załatwiła.

- Ty i ta twoja Liga potrzebowaliście schronienia. Dałam wam je. Chcieliście swobody finansowej. Zapewniłam wam ją. Chcieliście ziemi, rynków i możliwości prania waszych brudnych pieniędzy. Wszystko to wam dałam. Ale to było za mało, prawda?

Vincenti patrzył na nią, starając się zachować obojętny wyraz twarzy.

- Ty najwyraźniej masz jakieś własne plany. Przypuszczam, że

to coś, o czym nie wie nawet twoja Liga. Coś, co dotyczy Karyn... - Miała świadomość, że Vincenti nigdy się do niczego nie przyzna. Ale Lydnsey był innym człowiekiem. Skoncentrowała się więc na nim. - I ty też w tym uczestniczysz.

Naukowiec patrzył na nią z nieskrywanym przerażeniem.

- Odejdź stąd, Irino - powiedziała Karyn. - Zostaw go. Zostaw ich obu. Oni dokonują wielkich rzeczy.

Zowastina była zdezorientowana.

- Wielkich rzeczy?

- On mnie wyleczył, Irino. Nie ty, tylko on. Wyleczył mnie.

Jej ciekawość wzrosła, gdy wyczuła, że Karyn może dostarczyć jej brakujących informacji.

- Z AIDS nie można się wyleczyć.

Karyn się roześmiała.

- To właśnie jest twój problem, Irino. Myślisz, że bez ciebie nic nie jest możliwe. Wspaniały Achilles, który wyrusza na bohaterską wyprawę, by uratować swego ukochanego. To niby ty. Ale to świat fantazji, który istnieje tylko w twojej głowie.

Poczuła, jak napina jej się kark, a dłoń trzymająca broń sztywnieje.

- Ale ja nie jestem bohaterką poematu - kontynuowała Karyn.

- To jest prawdziwe życie. Tu nie chodzi o Homera, Greków ani Aleksandra. To sprawa życia i śmierci. Mojego życia. I mojej śmierci. A ten człowiek...

- chwyciła Vincentiego za ramię - ten człowiek mnie wyleczył.

- Co za bzdur jej naopowiadałeś? - zapytała Vincentiego.

- Bzdury? - odpowiedziała Karyn. - On je odkrył. Lekarstwo. Jedna dawka i czuję się tak dobrze, jak nie czułam się od lat.

Co odkrył Vincenti?

- Nie rozumiesz, Irino? - spytała Karyn. - Ty nie zrobiłaś nic. On dokonał wszystkiego. To on ma lekarstwo.

Wpatrywała się w Karyn. Widziała, że rozpiera ją energia i targają nią emocje.

- Masz chociaż pojęcie, ile zrobiłam, żeby spróbować cię uratować? I ile ryzykowałam? Wróciłaś do mnie w potrzebie, a ja ci pomogłam.

- Nic dla mnie nie zrobiłaś. Wszystko robiłaś dla siebie.

Patrzyłaś, jak cierpieć, chciałaś, żebym umarła...

- Współczesna medycyna nie była w stanie ci pomóc. Staralam się znaleźć coś, co mogło pomóc. Ty niewdzięczna dziwko!... - z oburzenia podniosła głos.

Na twarzy Karyn pojawił się smutek.

- Nie rozumiesz, prawda? Nigdy tego nie rozumiałaś. Byłam dla ciebie tylko twoją własnością, Irino. Czymś, co mogłaś kontrolować. I dlatego cię zdradzałam, dlatego szukałam innych mężczyzn i kobiet. Żeby pokazać ci, że nie można nade mną zapanować. Ty nigdy tego nie rozumiałaś i nadal nie rozumiesz.

Jej serce buntowało się, ale umysł musiał zgodzić się ze słowami Karyn. Zwróciła się do Vincentiego.

- Odkryłeś lek na AIDS?

Wpatrywał się w nią bez słowa.

- Mów! - krzyknęła. Musiała to wiedzieć. - Znalazłeś miksturę Aleksandra? To legendarne miejsce Scytów?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - odpowiedział. - Nie wiem nic o Aleksandrze, Scytach ani jakiegokolwiek miksturze. Ale ona ma rację. Dawno temu na górze za tym domem znalazłem lek. Zaprowadził mnie tam miejscowy uzdrowiciel. Nazywał to miejsce Arima, czyli poddasze. To naturalna substancja, która może z nas wszystkich uczynić prawdziwych bogaczy.

- I o to w tym wszystkim chodzi? Żeby zarobić więcej kasy?

- Pani ambicje zniszczą nas wszystkich.

- I dlatego próbowałaś mnie zabić? Żeby mnie powstrzymać. Ale jednak mnie ostrzegłeś. Przestraszyłeś się?

Potrząsnął głową.

- Zdecydowałem się na lepszy sposób.

Przypomniała sobie, co powiedział jej Edwin Davis, i uświadomiła sobie, że to prawda. Wskazała na Karyn.

- Miałaś zamiar wykorzystać ją, żeby mnie skompromitować. Obrócić lud przeciwko mnie. Najpierw zamierzałaś ją wyleczyć, potem wykorzystać, a na koniec co, Enrico? Zabić?

- Nie słyszałaś, co mówiłam? - wtrąciła Karyn. - On mnie uratował.

Zowastiny to nie obchodziło. Popęłniła błąd, przyjmując Karyn z powrotem. Przez nią wielokrotnie naraziła się na zbędne ryzyko.

I wszystko to na darmo.

- Irino! - krzyknęła Karyn. - Gdyby lud tej cholernej Federacji wiedział, kim naprawdę jesteś, nigdy by cię nie poparł, jesteś oszustką. I do tego zbrodniarką. Znasz tylko ból. To cała twoja przyjemność. Ból. Tak, chciałam cię zniszczyć. Chciałam, żebyś czuła się tak podle jak ja.

Karyn była jedyną osobą, przed którą odsłoniła swoją duszę, z którą poczuła bliskość, jaka nigdy nie łączyła jej z żadnym innym człowiekiem. Homer miał rację: „Po szkodzie nawet i głupiec jest mądry”.

Strzeliła Karyn w klatkę piersiową.

A potem drugi raz w głowę.



VINCENTI CZEKAŁ, CO ZROBI ZOWASTINA. W ZACIŚNIĘTEJ LEWEJ dłoni wciąż trzymał przenośną pamięć. Trzymał tę dłoń cały czas na stole, natomiast prawą ręką powoli odsuwał górną szufladę.

W środku znajdował się pistolet, który przyniósł ze sobą z góry. Zowastina po raz trzeci strzeliła do Karyn.

Vincenti chwycił broń.



GNIEW ZOWASTINY RÓŚŁ Z KAŻDYM POCIĄGNIĘCIEM SPUSTU. Kule przesywały szczupłe ciało Karyn i odbijały się od ściany za nią. Jej była kochanka nawet nie zdążyła zorientować się, co się dzieje, a już jej martwe ciało leżało poskręcane i krwawiące na ziemi.

Grant Lyndsey siedział cały czas cicho. Był nikim. Słabeuszem. Bezużytecznym. Ale co innego Vincenti. On nie



zamierzał zginąć bez walki, a na pewno uświadomił już sobie, że wkrótce umrze.

Skierowała broń na niego.

Wyciągnął prawą dłoń, w której trzymał pistolet.

Strzeliła do niego cztery razy, opróżniając magazynek do końca.

Na jego koszuli rozkwitły plamy krwi.

Oczy Vincentiego uniosły się, a dłoń wypuściła pistolet, który zastukał o podłogę. Jego masywne ciało osunęło się w dół.

Dwa problemy z głowy.

Podeszła do Lyndseya i przystawiła mu pozbawiony amunicji pistolet do głowy. Wpatrywał się w nią z przerażeniem. To, że miała pusty magazynek, nie miało żadnego znaczenia. Wystarczył sam pistolet.

- Ostrzegałam cię - powiedziała - żebyś nie wyściubiał nosa z Chin.

## OSIEMDZIESIĄT DWA

STEPHANIE, HENRIK I ELY WCIĄŻ ZNAJDOWALI SIĘ NA TERENIE posiadłości. Zabrano ich od bramy do pałacyku, a samochód postawiono w oddzielnym garażu. Wnętrza domu strzegło dziewięciu żołnierzy. Stephanie nie dostrzegła nikogo ze służby. Znajdowali się w pomieszczeniu, które wyglądało na bibliotekę, przestronnym i eleganckim, ze strzelistymi oknami, które obramowywały panoramę zielonej doliny rozciągającej się za domem. Trzech mężczyzn z karabinami AK-74 i ciemnymi, krótko przystrzyżonymi włosami stało w gotowości, jeden przy oknie, drugi przy drzwiach, a trzeci obok szafki w stylu orientalnym. Na podłodze leżały jakieś zwłoki. Biały mężczyzna w średnim wieku, prawdopodobnie Amerykanin, z kulą w głowie.

- Nie podoba mi się to - szepnęła do Henrika.

- I chyba będzie jeszcze gorzej.

Ely wydawał się spokojny. Choć od kilku miesięcy żył w zagrożeniu, nie mając o tym pojęcia, i prawdopodobnie wciąż nie rozumiał, co się dzieje, gotów był zaufać Henrikowi. Czy raczej Cassiopei, wiedząc, że ona jest gdzieś w pobliżu. To, że temu młodemu człowiekowi na niej zależało, było ewidentne. Lecz wyglądało na to, że szybko się nie spotkają. Stephanie miała nadzieję, że Malone będzie bardziej ostrożny niż oni. W kieszeni wciąż miała komórkę. Ciekawe, że choć ją przeszukali, pozwolili jej ją zatrzymać.

Jakiś dźwięk zwrócił jej uwagę.

Obróciła się i spostrzegła, że orientalna szafka obraca się i zatrzymuje w połowie drogi, ukazując przejście. Z ciemności wyszedł drobny, chochlikowaty i łysiejący mężczyzna o zmartwionej twarzy, a za nim Irina Zowastina z bronią w ręku. Strażnik zrobił jej miejsce, przesuwając się pod okno.

Zowastina nacisnęła przycisk na małym pilocie i szafka zasłoniła przejście. Potem rzuciła pilota na martwe ciało.

Zowastina podała pistolet jednemu ze strażników i chwyciła jego karabin. Podeszła prosto do Thorvaldsena i uderzyła go kolbą w brzuch. Duńczyk zgiął się wpół i trzymając się za brzuch, próbował złapać oddech.

Stephanie i Ely chcieli ruszyć mu na pomoc, ale pozostali strażnicy wycelowali w nich broń.

- Postanowiłam - powiedziała Zowastina - że zamiast oddzwaniać, jak sugerowaliście, przybędę osobiście.

Thorvaldsen wciąż walczył o oddech, ale wyprostował się, opanowując ból.

- Miło słyszeć... że zrobiłem na pani... aż takie wrażenie...

- Kim jesteś? - Zowastina zapytała Stephanie.

Stephanie przedstawiła się i dodała:

- Amerykański Departament Sprawiedliwości.

- Malone dla ciebie pracuje?

Stephanie skinęła głową i skłamała:

- Tak.

Zowastina zwróciła się do Ely'ego.

- Co oni ci naopowiadali?

- Że pani mnie cały czas okłamywała. Że przetrzymywała mnie pani wbrew mojej woli, a ja nawet nie zdawałem sobie z tego sprawy - zamilkł na chwilę, zbierając się na odwagę. - I że planuje pani wojnę.



ZOWASTINA BYŁA ZŁA NA SIEBIE. DAŁA SIĘ PONIEŚĆ EMOCJOM. Zabicie Vincentiego było koniecznością. Ale Karyn? Żałowała, że ją zastrzeliła, choć nie miała wyboru. Musiała to zrobić. Lek na AIDS? Jak to możliwe? Czy oni próbowali ją nabrać? Albo tylko odwrócić jej uwagę?

Vincenti od jakiegoś czasu coś kombinował. Wiedziała o tym. I dlatego zatrudniła swoich własnych szpiegów, jak Kamil Rewin, którzy mieli ją na bieżąco informować.

Popatrzyła na troje swoich więźniów i powiedziała do Thorvaldsena:

- Być może w Wenecji byliście kilka kroków przede mną, ale teraz to już przeszłość.

Wskazała karabinem na Lyndseya.

- Podejdź tutaj.

Mężczyzna stał jak skamieniały, nie mogąc oderwać wzroku od broni. Zowastina skinęła i jeden z żołnierzy popchnął go w jej stronę. Lyndsey potknął się, upadł na podłogę i próbował wstać, ale ona zatrzymała go, gdy ukląkł na jedno kolano, i przytknęła mu lufę karabinu do nasady nosa.

- Powiesz mi dokładnie, co się tu działo. Inaczej liczę do trzech. Jeden.

Cisza.

- Dwa.

Nadal cisza.

- Trzy.



ZŁE PRZECZUCIE MALONE'A POGŁĘBIAŁO SIĘ. WCIAŻ KRAŻYLI w powietrzu kilka kilometrów od domu, kryjąc się za górskimi szczytami. Nadal nie dostrzegali żadnej aktywności ani wewnątrz domu, ani na zewnątrz. Bez wątplenia posiadłość ta musiała kosztować dziesiątki milionów dolarów. A znajdowała się w takim rejonie świata, w którym niewiele było osób mogących pozwolić sobie na taki luksus, poza samą Zowastiną.

- Musimy sprawdzić to miejsce - powiedział.

Ponownie dostrzegł ścieżkę wiodącą na górę oraz pociągnięty równolegle naziemny kabel. Popołudniowy upał uderzał falami w nagie skały. Znów pomyślał o zagadce Ptolemeusza: „Wspnij się na wzniesione przez bogów mury. Gdy dotrzesz na poddasze, popatrz w płowe oko i odważ się odnaleźć odległe schronienie”.

Wzniesione przez bogów mury.

Góry.

Uznał, że wystarczy tego krążenia. Zsunął hełmofon i chwycił za telefon.



STEPHANIE PATRZYŁA, JAK MĘŻCZYŻNA KŁĘCZĄCY NA ZIEMI ZACZYNA szlochać, gdy Zowastina doliczyła do trzech.

- O Boże, błagam - powiedział. - Niech mnie pani nie zabija.

Zowastina, która wciąż trzymała lufę karabinu przy jego twarzy, powiedziała:

- Powiedz mi to, co chcę wiedzieć.

- Vincenti mówił prawdę. Tam w laboratorium. One żyją na tej górze za domem, tam, dokąd prowadzi ścieżka. Są w zielonej sadzawce. Tam jest już prąd i światło. On je znalazł dawno temu - mówił szybko, a wypowiedane słowa zlewały się w jedno gorączkowe wyznanie. - Wszystko mi powiedział. Pomogłem mu je zmodyfikować. Wiem, jak działają.

- Co za one? - Zowastina zapytała spokojnym głosem.

- Bakterie. Archeowce. Unikalna forma życia.

Stephanie usłyszała zmianę w tonie głosu mężczyzny, jakby wyczuł nowego sojusznika.

- One pożerają wirusy. Niszczą je, ale człowiekowi nie szkodzą. Po to robiliśmy te wszystkie badania kliniczne. Żeby sprawdzić, jak działają na pani wirusy.

Zowastina rozważała jego słowa. Stephanie usłyszała wzmiankę o Vincentim i zaczęła zastanawiać się, czy ten dom nie należy właśnie do niego.

- Lyndsey - powiedziała Zowastina - opowiadasz jakieś bzdury. Ja nie mam czasu na...

- Vincenti okłamał panią w sprawie odtrutek.

Wzbudził jej zainteresowanie.

- Myślała pani, że istnieje oddzielne antidotum na każdą zoonozę.

- Lyndsey potrząsnął głową. - Ale to nieprawda. Jest tylko jedno - wskazał na ścianę naprzeciwko okien. - Tam z tyłu.

Bakterie żyją w zielonym zbiorniku. Potrafiły zniszczyć każdy wirus, jakim dysponowaliśmy. On panią okłamał. Sprawił, że myślała pani, że mamy wiele odtrutek. Ale to nieprawda. Jest tylko ta jedna.

Zowastina mocniej przycisnęła lufę karabinu do jego twarzy.

- Jeśli Vincenti mnie okłamał, to znaczy, że ty też mnie okłamałeś.

Z kieszeni Stephanie dobiegł dzwonek komórki.

Zowastina popatrzyła na nią.

- Pan Malone. Wreszcie. - Skierowała broń na Stephanie. - Odbierz.

Stephanie zawahała się.

Zowastina wycelowała w Thorvaldsena.

- Potrzebuję go tylko do tego, żeby zmusić cię do odebrania telefonu. Stephanie otworzyła klapkę komórki. Zowastina podeszła bliżej, żeby słyszeć rozmowę.

- Gdzie jesteście? - zapytał Malone.

Zowastina pokręciła przecząco głową.

- Jeszcze nie dotarliśmy - odpowiedziała Stephanie.

- Długo jeszcze?

- Z pół godziny. To dalej, niż myślałam.

Zowastina z aprobatą przyjęła kłamstwo.

- My jesteśmy na miejscu - powiedział Malone. - Oglądamy największy dom, jaki kiedykolwiek widziałem, zwłaszcza na takim pustkowiu. Wygląda na opuszczony. Z szosy prowadzi do niego utwardzona droga. Krążymy kilka kilometrów za posiadłością. Czy Ely mógłby udzielić nam więcej informacji? Jest tu jakaś ścieżka, która prowadzi do rozpadliny na górze. Mamy to sprawdzić?

- Poczekaj, zapytam.

Zowastina ponownie pokiwała głową.

- Mówi, że to dobry pomysł.

- Przyjrzymy się temu. Zadzwoń, jak już tu dotrzecie.

Stephanie wyłączyła telefon, a Zowastina jej go odebrała.

- Teraz przekonamy się, co tak naprawdę wiedzą Cotton Malone i Cassiopeia Vitt.

## OSIEMDZIESIĄT TRZY

W SZAFCE Z BRONIĄ CASSIOPEIA ZNALAZŁA TRZY PISTOLETY. ZNAŁĘ markę. Makarow. Trochę krótszy niż standardowa wersja wojskowej be-retty, ale w sumie całkiem niezła broń.

Helikopter obniżał lot, a Cassiopeia widziała przez okno, jak szybko zbliża się ziemia. Malone rozmawiał ze Stephanie przez telefon. Najwyraźniej nie dotarli jeszcze na miejsce. Cassiopeia pragnęła zobaczyć Ely'ego. Bardzo. Żeby przekonać się, że wszystko z nim w porządku. Opłakiwała go, ale nigdy do końca, zawsze miała wątpliwości, zawsze miała nadzieję. To już przeszłość. Miała rację, kontynuując poszukiwanie monet ze słońcem. Miała rację, przyglądając się działaniom Iriny Zowastiny. Miała rację, zabijając tamtych ludzi w Wenecji. Choć pomyliła się co do Viktora, nie czuła wyrzutów sumienia z powodu śmierci jego partnera. To Zowastina, a nie ona, zaczęła tę wojnę.

Helikopter wylądował, a jego silniki zamilkły. Ich ryk zastąpiła niesamowita cisza. Cassiopeia otworzyła klapę, Malone i Viktor zaczęli wychodzić. Popołudnie było słoneczne, suche i ciepłe. Spojrzała na zegarek: 15.25. To był długi dzień i nie zapowiadało się, by miał się wkrótce skończyć. Udało jej się zdrzemnąć tylko podczas lotu z Wenecji z Zowastiną, ale to był niespokojny sen.

Dała Malone'owi i Viktorowi po jednej sztuce broni.

Malone wrzucił swój stary pistolet do helikoptera i wetknął makarowa za pasek. Viktor zrobił to samo.

Wylądowali mniej więcej sto pięćdziesiąt metrów za domem, tuż za kępą drzew. Ścieżka prowadząca na górę znajdowała się po ich prawej stronie. Malone schylił się i dotknął grubego kabla, który ciągnął się równoległe do ścieżki.

- Buczy. Ktoś używa prądu na tej górze.
- A co tam jest? - zapytał Viktor.
- Być może to, czego szuka twoja była szefowa.



STEPHANIE PODESZŁA DO HENRIKA, GDY ZOWASTINA ROZKAZYWAŁA dwóm żołnierzom zejść do laboratorium.

- W porządku? - zapytała.

Skinął głowę.

- Bywało gorzej.

Ale ona miała wątpliwości. Był już po sześćdziesiątce, miał skrzywiony kręgosłup i jej zdaniem jego kondycja fizyczna nie była najlepsza.

- Nie powinieneś słuchać tych ludzi - powiedziała Zowastina do Ely'ego.

- Czemu nie? To pani trzyma wszystkich na celowniku. Bije starszych panów. Może niech pani ze mną spróbuje?

Zowastina zachichotała.

- Naukowiec, który lubi się bić? Nie, mój mądry przyjacielu. Ty i ja nie musimy się bić. Potrzebuję twojej pomocy.

- To proszę z tym wszystkim skończyć, wypuścić ich i wtedy chętnie pani pomogę.

- Chciałabym, żeby to było takie proste.

- Ona ma rację. To nie jest takie proste - powiedział Thorvaldsen.

- Choćby dlatego, że pani premier planuje wojnę z wykorzystaniem broni biologicznej. Chce być współczesnym Aleksandrem Wielkim, który zabije miliony ludzi, żeby na powrót zdobyć to, co on, albo i więcej.

- Nie naigrawaj się ze mnie - warknęła Zowastina.

Thorvaldsen się nie przejął.

- Będę mówić do pani tak, jak mi się będzie podobało.

Zowastina uniosła karabin.

Ely skoczył, by zasłonić Thorvaldsena.

- Jeśli chcesz odnaleźć ten grób - powiedział - opuść broń.



Stephanie zastanawiała się, czy pragnienie starożytnego skarbu jest u tej despotki wystarczająco silne, by zniosła objaw sprzeciwu w obliczu swoich ludzi.

- Twoja użyteczność gwałtownie spada - odpowiedziała Zowastina.

- Ten grób może być bardzo blisko stąd - powiedział Ely.

Stephanie podziwiała odwagę Ely'ego. Machał kawałkiem mięsa przed wypuszczonym z klatki lwem, licząc na to, że silny głód poskromi instynktowne pragnienie ataku. I wyglądało na to, że doskonale zna Zowastinę. Opuściła broń.

Dwaj żołnierze wrócili, niosąc komputery.

- Wszystko tam jest - powiedział Lyndsey. - Doświadczenia, wyniki, metodologia postępowania z archeowcami. Wszystko jest zaszyfrowane. Ale mogę to odszyfrować. Tylko ja i Vincenti znaleźliśmy hasła. Ufał mi. Mówił mi wszystko.

- Mam specjalistów, którzy potrafią odszyfrować wszystko. Nie potrzebuję cię.

- Ale inni będą potrzebować czasu, żeby odkryć parametry niezbędne do przechowywania tych bakterii. Pracowaliśmy nad tym z Vincentim przez ostatnie trzy lata. Pani nie ma tyle czasu. Nie będzie pani miała antidotum.

Stephanie miała świadomość, że ten tchórzliwy głupiec oferuje wszystko, co ma.

Zowastina wyszczekała jakiś rozkaz w języku, którego Stephanie nie знаła, i dwaj żołnierze z komputerami wyszli. Potem machnęła karabinem, mówiąc im, by szli za nimi.

Przeszli przez korytarz do głównego holu i ruszyli na tyły parteru. Pojawił się kolejny żołnierz, a Zowastina zapytała go o coś w języku przypominającym rosyjski. Mężczyzna skinął głową i wskazał na zamknięte drzwi.

Zatrzymali się przed nimi, a gdy je otworzono, ona, Thorvaldsen, Ely i Lyndsey zostali wepchnięci do środka. Drzwi zamknięto.

Rozejrzała się po ich prowizorycznym więzieniu.

Był to pusty schowek, dwa i pół metra na trzy, ze ścianami pokrytymi nieheblowanymi deskami. W powietrzu czuć było zapach środka an-tyseptycznego.

Lyndsey rzucił się do drzwi i zaczął walić w grube drewno.

- Mogę pani pomóc! - wrzeszczał. - Proszę mnie stąd wypuścić!

- Zamknij się - warknęła Stephanie.

Lyndsey zamilkł.

Stephanie szybko rozważała ich sytuację. Zowastina najwyraźniej się śpieszyła. Coś ją zaabsorbowało.

Drzwi nagle się otworzyły.

- Dzięki Bogu - powiedział Lyndsey.

Zowastina stała w drzwiach, wciąż ściskając w rękach karabin.

- Dlaczego pani... - zaczął mówić Lyndsey.

- Ona ma rację - powiedziała Zowastina. - Zamknij się. - Zwróciła się do Ely'ego. - Musisz mi powiedzieć. Czy to jest to miejsce, do którego prowadzi zagadka?

Ely nie odpowiedział od razu, a Stephanie zastanawiała się, czy źródłem jego oporu jest odwaga czy też głupota. W końcu powiedział:

- Skąd miałbym wiedzieć? Byłem uwięziony w chacie.

- Stamtąd przyjechałeś prosto tutaj - stwierdziła Zowastina.

- A skąd pani to wie? - zapytał Ely.

Ale Stephanie już się domyśliła. Kawalki układanki zaczęły do siebie pasować. Prawda była przykra. To była manipulacja.

- Kazała pani temu strażnikowi przestrzelić opony w naszym samochodzie. Chciała pani, żebyśmy wzięli jego wóz. Ma nadajnik.

- To był najprostszy sposób, żeby sprawdzić, co wiecie. O waszej obecności w chacie też dowiedziałam się dzięki systemowi monitorującemu, który kazałam tam zainstalować.

A przecież Stephanie zabiła tamtego strażnika.

- On nie miał o tym pojęcia.

Zowastina wzruszyła ramionami.

- Wykonywał swoją pracę. Skoro go załatwiłaś, to widocznie popełnił błąd.

- Ale ja go zabiłam - powiedziała Stephanie, podnosząc głos.

Zowastina wydawała się zdumiona.

- Za bardzo przejmujesz się czymś, co nie ma żadnego

znaczenia.

- Nie musiał zginąć.

- To właśnie wasz problem. Problem całego Zachodu. Nie potraficie robić tego, co niezbędne.

Stephanie wiedziała już, że jej sytuacja jest gorsza, niż myślała, ale teraz uświadomiła sobie coś jeszcze. Dotyczyło to również sytuacji Malone'a i Cassiopei. Zauważyła, że Henrik rozumie, o czym myśli.

Za Zowastiną przeszło kilku żołnierzy, a każdy z nich niósł jakieś dziwne urządzenie, jedno z nich postawili na podłodze za Zowastiną. Z góry wystawało coś podobnego do lejka, a pod spodem małe kółko.

- To spory dom. Przygotowania zajmą trochę czasu.

- Przygotowania do czego? - zapytała Stephanie.

- Do spalenia go - odpowiedział Thorvaldsen.

- Słusznie - powiedziała Zowastina. - A ja tymczasem zajrzę do pana Malone'a i panny Vitt. Proszę się stąd nie ruszać.

I zatrzasknęła drzwi.

## OSIEMDZIESIĄT CZTERY

MALONE, KTÓRY PROWADZIŁ ICH w GÓRĘ, ZAUWAŻYŁ, ŻE w niektórych miejscach schody w skale wycięto całkiem niedawno. Cassiopeia i Viktor szli za nim, od czasu do czasu oglądając się za siebie. W oddalającym się domu cały czas panował spokój, a w głowie Malone'a wciąż rozbrzmiewała zagadka Ptolemeusza: „Wespnij się na wzniesione przez bogów mury” To z pewnością było to, tylko przypuszczał, że wspinaczka w tym miejscu w czasach Ptolemeusza wyglądała zupełnie inaczej.

Ścieżka wyprowadziła ich na skalny występ.

Kabel elektryczny ciągnął się aż do ciemnej rozpadliny w skalnej ścianie. Była wąska, ale dało się przez nią przejść.

„Gdy dotrzesz na poddasze”...

Pierwszy wszedł przez szczelinę.

Przez kilka sekund niewiele widział, jego oczy musiały przyzwyczać się do mroku. Rozpadlina była krótka, miała z siedem metrów. Malone posuwał się wzdłuż kabla. Korytarz prowadził do większej komory. Słabe oświetlenie pozwalało dostrzec, że kabel skręca na lewo i kończy się przy skrzynce elektrycznej. Malone podszedł bliżej i zauważył na ziemi cztery latarki. Podniósł jedną z nich i użył jasnego strumienia światła, by przyjrzeć się miejscu, w którym się znajdowali.

Komora miała około dziesięciu metrów długości, mniej więcej tyle samo szerokości i około siedmiu metrów wysokości. Nagle Malone dostrzegł kilka metrów od siebie dwa zbiorniki z wodą.

Usłyszał kliknięcie i komora zajaśniała światłem żarówek.

Odwrócił się i zobaczył, że Viktor stoi przy skrzynce.

Wyłączył latarkę.

- Zawsze najpierw staram się zorientować w sytuacji, zanim zacznę działać.

- Niby od kiedy? - zapytała Cassiopeia.

- Popatrzcie - powiedział Viktor, wskazując na sadzawki.

Obie zostały podświetlone podwodnymi lampami, do których prowadziły kable. Sadzawka po prawej miała podłużny kształt, a woda w niej brunatną barwę. Druga sadzawka pobłyskiwała zielonkawo.

- „Popatrz w płowe oko” - powiedział Malone.

Podszedł do brunatnej sadzawki i zauważył, że woda w niej jest przejrzysta, a brunatną barwę nadają jej leżące pod wodą skały. Przykucnął. Cassiopeia schyliła się obok niego. Spróbował wody ze zbiornika.

- Ciepła, ale nie za bardzo. Jak w gorącej kąpieli. Muszą ją zasilać termalne źródła. Te góry wciąż są aktywne.

Cassiopeia uniosła mokre palce do ust.

- Nie ma smaku.

- Popatrz na dno.

Mniej więcej trzy metry pod powierzchnią kryształowo czystej wody, na leżącej płasko kamiennej płycie wycięto literę Z.

Podszedł do zielonej sadzawki. Cassiopeia ruszyła za nim. Tu woda też była przejrzysta, a barwę nadawały jej skały. Na dnie widniała litera H.

- Jak na monetach - powiedział. - ZH. Życie.

- Wygląda na to, że to tutaj.

Zauważył, że Viktor został przy skrzynce elektrycznej i wcale nie zainteresował się ich odkryciem. Ale było jeszcze coś. Teraz rozumiał już, co znaczy ostatnia linijka zagadki: „I odważ się odnaleźć odległe schronienie”.

Wrócił do brunatnej sadzawki.

- Pamiętasz ten dziwny symbol na monetach i na dole manuskryptu, który znalazł Ely? - Palcem narysował ten symbol na piaszczystym gruncie.



- Nie mogłem go rozszyfrować. Czy to litery? Dwa B połączone z A? Ale teraz już wiem, co to jest. Spójrz tam. -

Malone wskazał na kamienną ścianę dwa metry pod powierzchnią sadzawki. - Popatrz na ten otwór. Ma znajomy kształt, prawda?

Cassiopeia skupiła wzrok. Otwór w głębi sadzawki faktycznie wyglądał jak dwa B dołączone do A.

- Wygląda tak samo.

- „Gdy dotrzesz na poddasze, popatrz w płowe oko i odważ się odnaleźć odległe schronienie”. Wiesz już, co to znaczy?

- Nie wiem, Cottonie. Powiedz nam.

Odwrócił się.

W korytarzu prowadzącym do komory stała Irina Zowastina.



STEPHANIE PRZYTULIŁA się DO DRZWI I NASŁUCHIWAŁA DŹWIĘKÓW po drugiej stronie. Usłyszała warkot elektrycznego silniczka, który zbliżył się, zamilkł, a potem rozległo się uderzenie w drzwi. Potem chwila wahania i znów rozbrzmiało mechaniczne buczenie.

- Przygotowuje sobie teren - powiedział Thorvaldsen. - Te roboty rozpryskują wszędzie łatwopalną miksturę, a potem wybuchają i budynek staje w płomieniach.

Poczuła cuchnący zapach. Mdlący i słodki. Najsilniej czuć go było na dole, koło szpary pod drzwiami.

- Grecki ogień? - zapytała.

Thorvaldsen skinął głową, potem zwrócił się do Ely'ego.

- Twoje odkrycie.

- Ta szalona kobieta chce nas tu wszystkich usmażyć - powiedział Lyndsey. - Jesteśmy w pułapce.

- Też mi nowina - mruknęła Stephanie.

- Zabiła już kogoś w ten sposób? - zapytał Ely.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparł Thorvaldsen. - Może będziemy mieć zaszczyt być tymi pierwszymi. Ale Cassiopeia wykorzystała go w Wenecji... - starszy mężczyzna zawahał się - i zabiła trzech ludzi.

Ely wydawał się zdumiony.

- Dlaczego?
- Żeby cię pomścić.

Przystojna twarz młodego człowieka stwardniała w grymasie zaskoczenia.

- Była zraniona. Wściekła. Gdy dowiedziała się, że za wszystkim stoi Zowastina, nic nie mogło jej powstrzymać.

Stephanie przyglądała się drzwiom. Stalowe zawiasy na górze i na dole. Bolce mocno tkwiły w zaczepach, a nigdzie nie było żadnego śrubokrętu. Uderzyła dłonią w drewno.

- Czy to gmaszysko należy do Vincentiego? - zapytała Lyndseya.

- Tak, ale ona go zastrzeliła.

- Najwyraźniej umacnia swoją władzę - powiedział Thorvaldsen.

- Jest głupia - stwierdził Lyndsey. - Tu działa się wielkie rzeczy. I ja mogłem to wszystko mieć. Największy skarb. On mi go zaferował.

- Vincenti? - zapytała Stephanie.

Lyndsey skinął głową.

- Nie rozumiesz? - zapytała go. - Zowastina ma wasze komputery z danymi. I ma wirusy. A ty na dodatek powiedziałeś jej, że jest tylko jedno antidotum, i jeszcze to, gdzie może je znaleźć. Do niczego cię nie potrzebuje.

- Ależ potrzebuje - odwarknął. - Ona wie.

Cierpliwość Stephanie zaczynała się wyczerpywać.

- Co wie?

- Że te bakterie to lek na AIDS.

## OSIEMDZIESIĄT PIĘĆ

VIKTOR ROZPOZNAŁ CHARAKTERYSTYCZNY GŁOS ZOWASTINY. Ileż to razy wydawała mu rozkazy tym samym oschłym tonem? Stał blisko wejścia, z boku, niewidoczny dla Malone'a i Vitt. przysłuchiwał się. Zowastina też go nie widziała, ponieważ wciąż nie weszła do rozświetlonej komory, tylko stała w ciemnym korytarzu.

Obserwował, jak Malone i Vitt odwracają się w stronę Zowastiny. Żadne z nich nie zdradziło jego obecności. Powoli zbliżył się do wyjścia z korytarza. Mocno zacisnął prawą dłoń na pistolecie i czekał, aż Zowastina wysunie się wystarczająco, by przystawić jej broń do głowy.

Ale ona się zatrzymała.

- Mój zdrajco. Zastanawiałam się, gdzie się podziewasz.

Zauważył, że jest nieuzbrojona.

- Masz zamiar mnie zastrzelić? - zapytała.

- jeśli da mi pani powód.

- Nie mam przy sobie broni.

To go zaniepokoiło. Rzucił szybkie spojrzenie na Malone'a i stwierdził, że tamten podziela jego niepokój.

- Sprawdzę to - powiedziała Cassiopeia, podchodząc do wyjścia.

- Pożałujesz, że na mnie napadłaś - powiedziała do niej Zowastina.

- Z przyjemnością dam pani szansę rewanżu.

Zowastina się uśmiechnęła.

- Nie sądzę, by pan Malone czy mój zdrajca pozwolili mi wyrównać rachunki.

Cassiopeia zniknęła w skalnej rozpadlinie. Wróciła po kilku sekundach.

- Nie ma nikogo. W domu i okolicy panuje spokój.



- To skąd ona się tu wzięła? - zapytał Malone. - I skąd wiedziała, żeby tu przyjść?

- Ponieważ nie chcieliście się spotkać z moimi wysłannikami w górach - powiedziała Zowastina - postanowiliśmy wycofać się i zobaczyć, dokąd się udacie.

- Do kogo należy to miejsce? - zapytał Malone.

- Do Enrica Vincentiego. A przynajmniej należało. Właśnie go zabiłam.

- Krzyżyk na drogę - stwierdził Malone. - Gdyby pani tego nie zrobiła, ja bym go zabił.

- A skąd ta niechęć?

- Zabił moją przyjaciółkę.

- Ale przybył pan również po to, by uratować pannę Vitt?

- Tak naprawdę jestem tutaj, żeby panią powstrzymać.

- To może się okazać trudne.

Jej nonszalancja niepokoiła go.

- Mogę przyjrzeć się tym sadzawkom? - zapytała Zowastina.

Malone potrzebował czasu do namysłu.

- Proszę bardzo.

Viktor opuścił broń, ale trzymał ją w pogotowiu. Malone nie rozumiał, co się dzieje. A ich sytuacja nie była ciekawa. Tylko jedno wyjście. To nigdy nie było korzystne.

Zowastina podeszła do brunatnej sadzawki i popatrzyła w dół. Potem podeszła do zielonego zbiornika.

- ZH. Jak na monetach. Zastanawiałam się, dlaczego Ptolemeusz kazał wyryć na nich te litery. Prawdopodobnie to on kazał umieścić je też na dnie sadzawek. Któż by inny. To genialne. Rozwiązanie jego zagadki zajęło dużo czasu. Komu to zawdzięczamy? Panu, panie Malone?

- Powiedzmy, że był to wysiłek zbiorowy.

- Skromny z pana człowiek. Szkoda, że nie spotkaliśmy się wcześniej i w innych okolicznościach. Chciałabym, żeby pracował pan dla mnie.

- Mam już pracę.

- Jest pan amerykańskim agentem.

- Nie, jestem antykwariuszem.

Roześmiała się.

- I jeszcze ma pan świetne poczucie humoru.

Viktor stał za Zowastiną gotowy do akcji. Cassiopeia obserwowała wejście.

- Proszę mi powiedzieć, panie Malone. Czy rozwiązał pan tę zagadkę do końca? Czy Aleksander Wielki jest gdzieś tutaj? Przeszkodziłam, gdy właśnie miał pan wyjaśnić coś pannie Vitt.

Malone wciąż trzymał w ręku latarkę. Ciężką. Wodoodporną.

- Vincenti podłączył tu prąd. Podświetlił nawet sadzawki. Nie jest pani ciekawa, dlaczego były dla niego takie ważne?

- Wygląda na to, że nic tu nie ma.

- I tu się pani myli.

Malone położył latarkę na ziemi i zaczął zdejmować kurtkę i koszulę.

- Co robisz? - zapytała Cassiopeia.

Zdjął buty i skarpetki i opróżnił kieszenie spodni z telefonu i portfela.

- Ten symbol wyryty na dnie sadzawki. Prowadzi do „odległego schronienia”.

- Cottonie - powiedziała Cassiopeia.

Wślizgnął się do wody. Najpierw wydała mu się gorąca, ale po chwili ciepło przyniosło ulgę jego zmęczonemu ciału.

- Pilnujcie jej.

Zaczerpnął powietrza do płuc i zanurkował.



- LEK NA AIDS? - ZAPYTAŁA STEPHANIE LYNDSEYA.

- Gdy wiele lat temu Vincenti pracował dla Irakijczyków, miejscowy uzdrowiciel pokazał mu sadzawki w jaskini na tej górze. A on odkrył, że żyjące w nich bakterie niszczą wirusa HIV.

Stephanie zauważyła, że Ely w napięciu przysłuchuje się ich rozmowie.

- Ale nikomu nic nie powiedział - dodał Lyndsey. - Zachował tę wiedzę dla siebie.

- Czemu? - zapytał Ely.

- Czekał na odpowiedni moment. Aż rynek się rozwinie, a choroba rozprzestrzeni.

- Chyba pan żartuje - stwierdził Ely.

- Właśnie miał to ujawnić.

Teraz Stephanie zrozumiała.

- A pan miał wziąć udział w podziale łupów?

Lyndsey zauważył rezerwę w jej tonie.

- Proszę nie ironizować. Nie jestem Vincentim. O leku dowiedziałem się dopiero dzisiaj. Właśnie mi o nim powiedział.

- I co zamierzał pan zrobić? - zapytała Stephanie.

- Pomóc w jego produkcji. Co w tym złego?

- Podczas gdy Zowastina miała zabijać miliony ludzi? Przecież to pan i Vincenti jej to umożliwiliście.

Lyndsey potrząsnął głową.

- Vincenti mówił, że powstrzyma ją, zanim zdąży cokolwiek zrobić. To on miał antidotum. Bez niego nie mogła wykonać żadnego ruchu.

- Ale teraz już je ma. Obaj zachowaliście się jak idioci.

- Stephanie, czy zdajesz sobie sprawę z tego - wtrącił Thorvaldsen - że Vincenti nie miał pojęcia, że na tej górze może być coś jeszcze? Kupił ją, żeby zachować źródło bakterii. Nazwał ją zgodnie z lokalną tradycją. Najwyraźniej nie miał pojęcia o jej związkach z grobem Aleksandra.

Domyśliła się tego już wcześniej.

- Lecznicza mikstura i grobowiec są w jednym miejscu. Niestety, my utknęliśmy w tym schowku.

Zowastina przynajmniej zostawiła im włączone światło. Stephanie zbadała każdy centymetr obłożonych deskami ścian i kamiennej podłogi. Żadnego sposobu, żeby się stąd wydostać. A dochodzący spod drzwi mdlący zapach stawał się coraz silniejszy.

- Czy na tamtych dwóch komputerach są wszystkie dane dotyczące tego leku? - zapytał Lyndseya Ely.

- To nieważne - powiedziała Stephanie. - Najważniejsze to się stąd wydostać. I to zanim rozpoczną się fajerwerki.

- A właśnie, że to ważne - odparł Ely. - Nie możemy dopuścić do tego, żeby zdobyła te dane.

- Ely, rozejrzyj się wokół siebie. Co możemy na to poradzić?
- Gdzieś tam są Malone i Cassiopeia.
- To prawda - powiedział Thorvaldsen. - Ale obawiam się, że Zowastina może wyprzedzać ich o krok.

Stephanie była tego samego zdania, ale to już był problem Malone'a.

- Jest jeszcze coś, o czym ona nie wie - powiedział Lyndsey. Stephanie nie podobał się ton jego głosu.
- Niech pan nawet nie próbuje się ze mną targować.
- Vincenti skopiował wszystkie dane na przenośną pamięć tuż przed pojawieniem się Zowastiny. Trzymał pamięć w rękę, kiedy go zastrzeliła. Wciąż jest tam na dole w laboratorium. Mając mnie i tę pamięć, mielibyście antidotum na wszystkie jej zarazki i jednocześnie lek na AIDS.

- Proszę mi wierzyć - odpowiedziała Stephanie - że choć jest pan małym obleśnym sukinsynem, wy dostałabym pana stąd, gdybym tylko potrafiła.

Ponownie uderzyła dłonią w drzwi.

- Ale nie potrafię.



CASSIOPEIA JEDNYM OKIEM PATrzyŁA NA ZOWASTINĘ, KTÓRĄ VIKTOR trzymał na celowniku, a drugim okiem na sadzawkę. Malone'a nie było już trzy minuty. Niemożliwe, żeby tak długo wytrzymał bez powietrza.

W tym momencie pod wodą ukazał się cień, Malone pojawił się w otworze o dziwnym kształcie i po sekundzie wypłynął na powierzchnię. Oparł ręce na skalistym brzegu sadzawki, a w dłoni wciąż trzymał latarkę.

- Musisz to zobaczyć - powiedział do Cassiopeii.
- I zostawić ich tutaj? Nie ma mowy.
- Viktor ma broń. Da sobie radę.

Wciąż miała wątpliwości. Coś było nie tak. Cały czas myślała o Elym, ale nie straciła głowy. Viktor nadal stanowił niewiadomą, choć przez ostatnie kilka godzin bardzo im pomógł. Gdyby nie

on, szczątki jej ciała zwisałyby teraz z gałęzi drzew. Mimo wszystko jednak...

- Musisz to zobaczyć - powtórzył Malone.
- On tam jest? - zapytała Zowastina.
- Chciałaby się pani pewnie przekonać?

Cassiopeia była ubrana w dopasowany skórzany kombinezon z Wenecji. Zdjęła górę i zostawiła spodnie. Odłożyła pistolet na ziemię, poza zasięgiem Zowastiny, tuż obok broni Malone'a. Miała na sobie czarny sportowy stanik - zauważyła spojrzenie Viktora.

- Lepiej patrz na nią - skarciła go.
- Ona nigdzie się nie wybiera.

Cassiopeia wślizgnęła się do wody.

- Wciągnij dużo powietrza i pływ za mną - powiedział Malone.

Zobaczyła, jak zanurza się i przeciska przez otwór. Tuż za nim przepłynęła przez jeden z otworów w kształcie litery B. Miała otwarte oczy i widziała, że płyną tunelem w skale, szerokim na jakieś półtora metra. Sadzawka znajdowała się w odległości mniej więcej dwóch metrów od ściany komory, więc zagłębiali się we wnętrze góry. Strumień światła z latarki Malone'a tańczył po ścianach podwodnego tunelu. Cassiopeia zastanawiała się, czy to jeszcze daleko.

A potem zobaczyła, że Malone wstaje.

Wyszła z wody tuż obok niego.

Jego latarka oświetlała kolejną komorę. Ta miała kształt kopuły, a nagą wapienną skałę pokrywały podłużne ciemnoniebieskie cienie. W wyciętych w ścianie niszach stały alabastrowe pojemniki z misternie rzeźbionymi pokrywami. U góry widniały nieregularne otwory w wapieniu, przez które do przestronnej komory sączyło się srebrzyste światło, choć tunele otworów niknęły w skale.

- Te tunele muszą prowadzić w dół - stwierdził Malone. - Tu jest zupełnie sucho. Wpuszczają światło, ale nie wilgoć. Stanowią też naturalny system wentylacji.

- Zostały wycięte w skale? - zapytała Cassiopeia.

- Nie sądzę. Wydaje mi się, że wybrano to miejsce właśnie ze względu na nie. - Malone wyszedł z sadzawki. Woda ciekła mu

z przemoczonych spodni. - Musimy się śpieszyć.

Cassiopeia wdrapała się na brzeg.

- Tę komorę łączy z tamtą tylko ten podwodny tunel - powiedział Malone. - Rozejrzałem się trochę tutaj, żeby mieć pewność.

- Przynajmniej wiadomo, czemu nikt jej dotąd nie odkrył.

Malone oświetlił latarką ściany komory i Cassiopeia dostrzegła na nich porozrzucane tu i ówdzie niewyraźne malunki. Wojownik na rydwanie, trzymający w ręku berło i lejce i obejmujący drugą ręką jakąś kobietę w pasie. Jeleń przebity oszczepem. Drzewo pozbawione liści. Pieszy wojownik z włócznią. Kolejny mężczyzna, zbliżający się do zwierzęcia przypominającego dzika. Zaskakujące były zachowane fragmentarycznie barwy malowideł. Fiolet żołnierskiego płaszcza. Kasztan rydwanu. Żółta barwa zwierząt. Na przeciwległej ścianie dostrzegła kolejne obrazy. Jeździec w kwiecie wieku z włócznią i wieńcem na głowie atakujący lwa, którego okrążyły już psy. Białe tło niemal ginęło pod odcieniami ochry, bladej czerwieni i brązu zmieszanego z chłodnymi zieleniami i błękitami.

- Wygląda to na pomieszanie wpływów azjatyckich i greckich - stwierdził Malone. - Ale nie znam się na tym.

Strumień światła z latarki przebiegł po kamiennej posadzce z ułożonych w kratę płyt. Z ciemności wyłonił się otwór drzwiowy w ewidentnie greckim stylu, ze żłobkowanymi trzonami kolumn i ozdobnymi bazami. Cassiopeia, specjalistka od starożytnej inżynierii, od razu rozpoznała, że to przykład sztuki hellenistycznej.

Nad otworem widniały wyryte płytko greckie litery.

- Tędy - powiedział Malone.

## OSIEMDZIESIĄT SZEŚĆ

Vincenti z trudem otworzył oczy. BÓL w klatce piersiowej był nie do zniesienia. Każdy oddech zwiększał cierpienie. Ile kul dostał? Trzy? Cztery? Nie pamiętał. Ale jakimś cudem jego serce wciąż biło. Bycie otyłym ma swoje zalety. Przypomnił sobie, że upadł, a potem ogarnęła go ciemność. Nie zdążył oddać strzału. Zowastina jakby przewidziała jego ruch. Zupełnie jakby spodziewała się ataku z jego strony.

Z wielkim trudem przewrócił się na bok i chwycił za nogę od stołu. Krew sączyła się z jego klatki piersiowej, a nowa fala bólu przypominała gwoździe wbijane w kręgosłup. Oddychał z coraz większym trudem. Pistoletu nie było, ale w rękę trzymał coś innego. Uniósł dłoń i rozpoznał przenośną pamięć.

Wszystko, nad czym pracował przez ostatnie dziesięć lat, tkwiło w jego zakrwawionej dłoni. W jaki sposób Zowastina go znalazła? Kto go zdradził? O'Conner? Czy on wciąż żyje? I gdzie jest? O'Conner był jedyną osobą poza nim, która mogła otworzyć przejście za szafą w bibliotece.

Dwa piloty.

Gdzie jest ten jego?

Z trudem rozejrzał się wokół i dostrzegł leżące na pokrytej płytkami podłodze urządzenie.

Wydawało się, że wszystko stracone.

Choć może jednak nie.

Wciąż żył, a Zowastina może już odjechała.

Zebrał siły i zagarnął pilota drugą dłonią. Powinien był zapewnić temu domowi pełną ochronę, zanim porwał Karyn Walde. Ale nigdy nie myślał, że Zowastina powiąże go z jej zniknięciem, a już na pewno nie tak szybko.

I nie myślał, że zwróci się przeciwko niemu. To było wbrew jej planom.

Potrzebowała go.

Ale czy na pewno?

Poczuł w gardle kwaśny smak krwi i wypluł ją. Musiał dostać w płuco. Kolejna fala krwi zmusiła go do kaszlu, który wywołał nowe uderzenia bólu w całym ciele.

Może O Gonnerowi uda się do niego dotrzeć?

Bawił się pilotem, nie mogąc się zdecydować, który z trzech przycisków nacisnąć. Jeden z nich otwierał przejście w gabinecie. Drugi otwierał wszystkie ukryte przejścia w całym domu. Trzeci włączał alarm.

Nie było czasu na myślenie.

Vincenti nacisnął wszystkie przyciski.



ZOWASTINA WPATRYWAŁA SIĘ W BRUNATNĄ  
SADZAWKĘ. MALONE

i Vitt byli pod wodą od kilku minut.

- Tam musi być kolejna komora - powiedziała.

Viktor nie odzywał się.

- Opuść broń.

Wykonał polecenie.

Zowastina odwróciła się do niego.

- Miałaś frajdę, jak mnie przywiązywałeś do tamtych drzew?

Jak mi groziłeś?

- Chciała pani, żeby to wyglądało tak, jakbym był z nimi.

Viktorowi poszło lepiej, niż oczekiwała. Doprowadzili ją prosto do celu.

- Czy jest jeszcze coś, o czym powinnam wiedzieć?

- Sprawiają wrażenie, jakby wiedzieli, czego szukają.

Viktor był jej podwójnym agentem od momentu, gdy Amerykanie ponownie zwrócili się do niego o pomoc. Przyszedł prosto do niej i wyjaśnił jej swoją sytuację. Przez ostatni rok wykorzystywała go do przekazywania Zachodowi tego, co chciała, żeby usłyszeli. Przypominało to taniec na linie, ale kontynuowała tę grę ze względu na wzrost zainteresowania



Waszyngtonu jej osobą.

I to się sprawdzało.

Aż do Amsterdamu.

I do momentu, gdy Vincenti postanowił zgładzić śledzącą go Amerykankę. Zachęciła go do wyeliminowania agentki, mając nadzieję, że Waszyngton skupi swoją uwagę na jego osobie. Ale podstęp się nie udał. Na szczęście dzisiejszy wybieg okazał się skuteczny.

Viktor natychmiast zgłosił obecność Malone'a w pałacu, a ona szybko wymyśliła, jak najlepiej wykorzystać okazję, aranżując ich ucieczkę. Edwin Davis miał odwrócić jej uwagę, ale ona wiedząc, że Malone jest w Samarkandzie, przejrzała jego podstęp.

- Tam musi być inna komora - powtórzyła, zdejmując buty i kurtkę.

- Musimy to sprawdzić. Weź dwie latarki.



STEPHANIE USŁYSZAŁA, ŻE w CAŁYM DOMU ROZLEGA SIĘ WYCIE alarmu, choć dźwięk wyciszały otaczające ich grube ściany. Nagle jakiś ruch przyciągnął jej uwagę. Zobaczyła, że po drugiej stronie schowka szeroka płyta odchyła się od ściany.

Ely szybko usunął się jej z drogi.

- Cholera, to drzwi! - krzyknął Lyndsey.

Stephanie ostrożnie podeszła do wyjścia i przyjrzała się górnemu obramowaniu powstałego otworu. Elektryczne bolce, najwyraźniej podłączone do alarmu. Na pewno. Przejście prowadziło do wąskiego korytarza rozświetlonego żarówkami.

Alarm ucichł.

Stali w pełnej napięcia ciszy.

- Na co czekamy? - zapytał Thorvaldsen.

Stephanie przeszła przez ukryte drzwi.

## OSIEMDZIESIĄT SIEDEM

MALONE PRZEPROWADZIŁ CASSIOPEIĘ PRZEZ PRZEJŚCIE I OBSERWOWAŁ, jak rozgląda się w zdumieniu. W świetle latarki ożywały płaskorzeźby pokrywające kamienne ściany. Większość przedstawiała wojownika w kwiecie wieku, młodego, pełnego wigoru, z włócznią w rękę i wieńcem na głowie. Na jednym z fryzów widnieli królowie składający mu hołd. Inny przedstawiał polowanie na lwy. Jeszcze inny zacieklą bitwę. Na każdej płaskorzeźbie wszystkie części ludzkiego ciała, mięśnie, dłonie, twarze, uda, stopy, palce, przedstawione zostały z zadziwiającą precyzją. Żadnych farb. Wszystko w jednolitej srebrzystej barwie.

Malone skierował światło latarki na środek komory przypominającej kształtem tipi, gdzie na dwóch cokołach stały kamienne sarkofagi. Oba zdobione były rzeźbieniami w kształcie kwiatów lotosu, liści palm, rozetek, wąsów, kwiatów i liści. Malone wskazał na pokrywy sarkofagów.

- Na każdej widnieje macedońska gwiazda.

Cassiopeia schyliła się przed sarkofagami i przyjrzała wyrytym pod nimi literom. Delikatnie przebiegła palcami literę po literze.

ΑΛΕΞΑΝΔΡΟΣ. ΗΦΑΙΣΤΙΩΝ

- Nie potrafię tego poprawie odczytać, ale to na pewno Aleksander i Hefajstion.

Rozumiał jej zachwyty. Ale mieli pilniejsze sprawy.

- To będzie musiało poczekać. Mamy większy problem.

Cassiopeia wyprostowała się.



ZOWASTINA WSKOCZYŁA DO SADZAWKI, A ZA NIĄ VIKTOR. PRZEPLYNĘLI przez otwór, który miał identyczny kształt jak symbol wyryty na monetach ze słońcem. Natychmiast zauważyła to podobieństwo.

- O co chodzi? - zapytała.

- Zdejmij z siebie te mokre ciuchy, a ja ci wyjaśnię.

Z łatwością posuwała się do przodu. Woda działała kojąco, Zowastina czuła się jak w saunie w swoim pałacu.

Sklepienie podwodnego korytarza nagle się urwało.

Zowastina wypłynęła na powierzchnię.

Miała rację. Kolejna komora. Mniejsza niż ta po drugiej stronie. Otarła oczy z wody i zobaczyła, że z umieszczonych wysoko otworów w skale sączy się delikatne światło, które rozjaśnia wnętrze jaskini. Viktor pojawił się tuż obok niej i razem wyszli z wody. Zowastina rozejrzała się po komorze. Ściany zdobiły wyblakłe freski. Dwa przejścia prowadziły w głąb ciemności.

W zasięgu wzroku nie było nikogo.

Ani światła latarek.

Najwyraźniej Cotton Malone nie był tak naiwny, jak sądziła.

- W porządku, Malone - zawołała. - Masz przewagę. Ale czy nie mogłabym najpierw rzucić na to okiem?

Cisza.

- Rozumiem, że to oznacza zgodę.

Za pomocą światła latarki przyjrzała się pokrytej piaskiem podłodze, iskrzącej się od miki, i dostrzegła mokry ślad prowadzący przez przejście po prawej.

Weszła do kolejnej komory, w której stały dwa sarkofagi na cokółach. Oba zdobione były płaskorzeźbami, ale Zowastina nie potrafiła odczytać wygrawerowanych w kamieniu liter. I dlatego właśnie zatrudniała Ely'ego Lunda. Jedna z płaskorzeźb przyciągnęła jej uwagę i Zowastina podeszła bliżej. Delikatnie zdmuchnęła kurz, który deformował rys obrazu. Ukazał się jej wizerunek konia. Miał około pięciu centymetrów, gęstą grzywę i uniesiony ogon.

- Bucefał - wyszeptała.

Musiała przyrzeć się temu wszystkiemu, więc zawołała w

ciemności:

- Malone, przyszedłam tu bez broni, ponieważ jej nie potrzebuję. Viktor jest moją bronią, powinieneś to wiedzieć. Ale mam troje twoich przyjaciół. Byłam tam, gdy rozmawiałeś z nimi przez telefon. Są w domu, zamknęci, i niedługo pochłonie ich grecki ogień. Pomyślałam, że chciałbyś o tym wiedzieć.

Nadal cisza.

- Bądź czujny - szepnęła do Viktora.

Doszła tak daleko, pragnęła tego od tak dawna, walczyła tak ciężko, więc musiała to zobaczyć. Położyła latarkę na pokrywie jednego z sarkofagów, tego z wizerunkiem konia, i zaczęła napierać całym ciałem. Po kilku potężnych pchnięciach gruba kamienna płyta poruszyła się. Jeszcze kilka pchnięć i udało jej się zrobić trójkątny otwór.

Chwyciła latarkę z nadzieją, że tym razem nie rozczaruje się tak jak w Wenecji.

W środku sarkofagu znajdowały się szczątki człowieka.

Mumia cała pokryta złotem.

Chciała jej dotknąć, odsunąć złotą maskę, ale pomyślała, że lepiej nie. Nie chciała zrobić niczego, co mogłoby zaszkodzić szczątkom.

Zadumała się.

Czy jest pierwszą osobą, która po dwudziestu trzech stuleciach patrzy na ciało Aleksandra Wielkiego? Czy odnalazła wielkiego zdobywcę i jego leczniczą miksturę? Na to wygląda. A najlepsze było to, że doskonale wiedziała, co zrobić z oboma odkryciami. Miksturę chciała wykorzystać w swoich podbojach, a niedawno dowiedziała się, że zapewni jej ona też nieoczekiwany przyływ gotówki. Zwłoki, od których nie mogła oderwać oczu, będą symbolizować wszystkie jej dokonania. Możliwości wydawały się nieograniczone, lecz zagrażające jej niebezpieczeństwo sprawiło, że powróciła myślami do rzeczywistości.

Malone rozgrywał swoją partię z niezwykłą ostrożnością.

Powinna pójść jego śladem.



MALONE DOSTRZEGL WYRAZ ZNIECIERPLIWIEŃ NA TWARZY CASSIOPEII - Ely, Stephanie i Henrik mieli kłopoty. Zza drugiego przejścia, tego, które Zowastina ominęła, obserwowali, jak razem z Viktorem podąża za mokrym śladem i wchodzi do komory z sarkofagami.

- Skąd wiedziałeś, że Viktor nas okłamuje? - zapytała szeptem.

- Dwanaście lat doświadczenia z przypadkowymi nabytkami. Cała ta sprawa z tobą w pałacu. To za gładko poszło. I jeszcze coś, co powiedziała mi Stephanie. To Viktor wystawił im Vincentiego. Dlaczego? To byłoby bez sensu, chyba że Viktor grał na dwie strony.

- Powinnaś być się domyślić.

- Niby jak? Nie słyszałaś tego, co Stephanie powiedziała mi w Wenecji.

Stali, przyciskając nagie plecy do ukośnej ściany. W tamtej komorze zdjęli spodnie i wycisnęli z nich wodę, by nie zostawiać już śladów. Po przejściu kolejnych dwu komór, pełnych dzieł sztuki, szybko ubrali się i zaczęli czekać. Grobowiec składał się z czterech niewielkich połączonych ze sobą komór, z których dwie wychodziły na sadzawkę. Zowastina najprawdopodobniej przeżywała chwilę chwały. Ale informacja o sytuacji Stephanie, Ely'ego i Henrika wszystko zmieniła. Bez względu na to, czy była to prawda, musiał jakoś zareagować. I chyba o to chodziło.

Zerknął na sadzawkę. W komorze z sarkofagami pobłyskiwało światło latarek. Miał nadzieję, że widok grobu Aleksandra Wielkiego da im chwilę czasu.

- Jesteś gotowa? - zapytał Cassiopeię.

Skinęła głową.

Ruszył pierwszy.

Z drugiego przejścia wyszedł Viktor.

## OSIEMDZIESIĄT OSIEM

STEPHANIE ZAUWAŻYŁA, ŻE W KORYTARZU, KTÓRYM SIĘ PRZESUWALI, mdlący słodki odór wciąż się utrzymuje, choć nie jest tak silny. Przynajmniej nie byli już w pułapce. Korytarz, skręcając kilka razy, wiódł ich w głąb domu i jak dotąd nie napotkali na wyjście.

- Widziałem, jak działa ten płyn - powiedział Thorvaldsen. - Gdy tylko grecki ogień zapłonie, wkrótce wszystkie ściany zajmą się ogniem. Musimy się stąd wydostać, zanim do tego dojdzie.

Stephanie zdawała sobie sprawę z ich położenia, ale wybór mieli niewielki. Lyndsey wciąż się denerwował, natomiast Ely zachowywał zadziwiający spokój. Sprawiał wrażenie, jakby był agentem, a nie naukowcem. Stephanie podziwiała jego opanowanie, zwłaszcza w obliczu ich sytuacji. Zazdrościła mu go.

- Co pan rozumie przez „wkrótce”? - zapytał Lyndsey Thorvaldsena.

- Jak szybko ten dom spłonie?

- Na tyle szybko, że nie zdążymy się wydostać.

- Więc czemu wciąż w nim jesteśmy?

- Chce pan wrócić do tamtego schowka? - zapytała Stephanie. Korytarz znów skręcał, a jego ciemne wnętrza przypominało jej korytarz w pociągu. Kończył się przed nimi, dochodząc do stóp wiodących w górę schodów.

Nie mieli wyboru.

Zaczęli po nich wchodzić.



MALONE ZATRZYMAŁ SIĘ.

- Wybieracie się dokądś? - zapytał Viktor.

Cassiopeia stanęła za Malone'em. On zastanawiał się, gdzie jest Zowastina. Czy tańczące światło latarki było przynętą, która miała wyciągnąć ich z ukrycia?

- Pomyśleliśmy sobie, że już pójdziemy.

- Nie mogę wam na to pozwolić.

- Jeśli sądzisz, że potrafisz mnie powstrzymać, spróbuj.

Viktor skoczył do przodu. Malone zrobił unik, a potem rzucił się na przeciwnika, obejmując go ramionami.

Upadli na podłogę i potoczyli się.

Malone znalazł się na górze. Viktor próbował uwolnić się z uścisku. Malone złapał go za gardło i mocno wcisnął swoje kolano w jego klatkę piersiową. Potem złapał go obiema rękami, podciągnął do góry i uderzył potylicą o kamienną posadzkę.



CASSIOPEIA SZYKOWAŁA SIĘ DO WEJŚCIA DO WODY, JAK TYLKO Malone zdoła się uwolnić. W momencie gdy ciało Viktora zwiotczało, kątem oka dostrzegła ruch przy przejściu, za którym się ukrywali.

- Malone! - krzyknęła.

Zowastina ruszyła w jej kierunku.

Malone zeskoczył z Viktora i wślizgnął się do wody.

Cassiopeia zanurkowała tuż za nim i szybko popłynęła w głąb podwodnego tunelu.



STEPHANIE WESZŁA NA SZCZYT SCHODÓW I ZORIENTOWAŁA SIĘ, ŻE mają dwie możliwości. Mogą pójść albo na lewo, albo na prawo. Skręciła w lewo. Ely poszedł w prawo.

- Tędy - zawołał.

Wszyscy pobiegli w jego stronę i dostrzegli otwarte drzwi.

- Ostrożnie - powiedział Thorvaldsen. - Nie pozwólcie, żeby te maszyny was opryskały. Omijajcie je.

Ely skinął głową, a potem wskazał na Lyndseya.

- Pójdiesz ze mną po tamtą pamięć.

Naukowiec pokręcił głową.

- Nigdzie nie idę.

Stephanie podzielała jego zdanie.

- To nie jest dobry pomysł.

- Nie jesteś chora.

- Te roboty - wtrącił Thorvaldsen - są zaprogramowane na wybuch, a my nie mamy pojęcia, kiedy nastąpi.

- Nic mnie to nie obchodzi - odparł Ely podniesionym głosem.

- Ten człowiek wie, jak wyleczyć AIDS. Jego nieżyjący szef wiedział to od lat, ale pozwolił, by umarły miliony ludzi. Teraz ten lek ma Zowastina. Nie pozwolę, żeby i ona nim manipulowała - chwycił Lyndseya za koszulę. - Pójdiesz ze mną po tamtą pamięć.

- Oszalał pan - powiedział Lyndsey. - Kompletnie pan oszalał. Niech pan idzie do zielonej sadzawki na górze i się napije. Vincenti mówił, że tak też to działa. Nie potrzebuje mnie pan.

Thorvaldsen uważnie przyglądał się Ely'emu. Stephanie domyślała się, że Duńczyk widzi w tej chwili swojego syna, w pełni młodości, jednocześnie nieposłusznego, odważnego i głupiego. Jej własny syn był podobny.

- Rusz tyłek - powiedział Ely. - Idziesz ze mną do laboratorium.

Stephanie uświadomiła sobie jeszcze coś.

- Zowastina poszła za Cottonem i Cassiopeią. Z jakiegoś powodu zostawiła nas w tym domu. Słyszeliście ją. Specjalnie powiedziała nam, że te roboty potrzebują trochę czasu.

- Jesteśmy jej zabezpieczeniem - powiedział Thorvaldsen.

- Przynętą. Dla Cottona i Cassiopeii. Ale to tego gościa chce mieć - wskazała na Lyndseya. - Jego bredzenie ma sens. Zowastinie brak czasu, by sprawdzić, czy to antidotum działa i czy on mówi prawdę. Może nie chce tego przyznać, ale



potrzebuje go. Wróci po niego, zanim ten dom spłonie. Możecie być pewni.



ZOWASTINA WŚLIZGNEŁA SIĘ DO WODY. MALONE POKONAŁ VIKTORA, a Cassiopeia Vitt jej uciekła.

Jeśli popłynie szybko, dopadnie ją pod wodą.



MALONE OPARŁ RĘCE NA BRZEGU SADZAWKI I PODCIĄGNAŁ SIĘ do góry. Poczul za sobą jakiś ruch i zobaczył, że z wody wynurza się Cassiopeia. Zręcznie wyskoczyła z ciepłej sadzawki i ociekając wodą, chwyciła jeden z leżących w pobliżu pistoletów.

- Chodźmy - powiedział, chwytając swoje buty i koszulę.

Cassiopeia wycofywała się w kierunku wyjścia, cały czas celując w stronę sadzawki.

W wodzie pojawił się jakiś cień.

Na powierzchni pokazała się głowa Zowastiny.

Cassiopeia wystrzeliła.



PIERWSZY STRZAŁ BARDZIEJ ZASKOCZYŁ ZOWASTINĘ, NIŻ JĄ PRZE-straszył. Otarła wodę z oczu i zobaczyła, że Vitt celuje prosto w nią. Kolejny wystrzał. Nieznośnie donośny.

Zowastina zanurkowała.



CASSIOPEIA DWUKROTNIE STRZELIŁA DO PODŚWIETLONEJ SADZAWKI. Pistolet się zaciął, więc wysunęła magazynek, żeby załadował się kolejny nabój. Ale wtedy coś zwróciło jej uwagę i odwróciła się w stronę Malone'a.

- Lepiej ci teraz? - zapytał.

- Ślepaki? - zapytała.

- Oczywiście. Naboje wypełnione niewielkim ładunkiem prochu, żeby przynajmniej zamek odbijał. Ale jak widać, nie do końca się sprawdziły. Chyba nie sądzisz, że Viktor dałby nam prawdziwe naboje?

- Nie pomyślałam o tym.

- W tym właśnie problem. Nie myślisz. Możemy już iść?

Rzuciła pistolet na bok.

- Bardzo miło się z tobą pracuje.

Wybiegli z komory.



VIKTOR ROZMASOWYWAŁ SOBIE TYŁ GŁOWY I CZEKAŁ. MIAŁ ZAMIAR zaraz wskoczyć do sadzawki, ale Zowastina wróciła i ciężko oddychając, wynurzyła się z wody i oparła ramiona na kamiennym brzegu.

- Zapomniałam o pistoletach. Jesteśmy w pułapce. Pilnują jedyne wyjścia.

Viktor czuł, że kręci mu się w głowie, i próbował zignorować łomoczący ból.

- Pani minister, pistolety są naładowane ślepakami. Zmieniłem wszystkie magazynki, zanim uciekliśmy z pałacu. Sądziłem, że nierozsądnie byłoby dać im nabitą broń.

- Niczego nie zauważyli?

- A kto sprawdza naboje? Po prostu założyli, że broń w wojskowym śmigłowcu jest nabita.

- Dobry pomysł, ale mogłeś mnie uprzedzić.

- To wszystko dzieje się tak szybko. Nie było czasu, a poza tym Malone nieźle przywalił moją czaszką w te kamienie.

- A co z pistoletem Malone'a z pałacu? Tamten na pewno był

nabity. Gdzie jest?

- W śmigłowcu. Zamienił go na jeden z naszych.

Obserwował, jak Zowastina rozważa różne możliwości.

- Musimy wydostać Lyndseya z tego domu. Teraz mamy już tylko

- A co z Malone'em i Vitt?

- Moi ludzie czekają w pogotowiu. A ich broń na pewno jest nabita.

## OSIEMDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

STEPHANIE ZAJRZAŁA ZZA DRZWI DO JEDNEJ Z SYPIALNI. ELEGANCKI pokój był urządzony we włoskim stylu. Panowała w nim cisza, poza mechanicznym terkotem dochodzącym zza drugich drzwi prowadzących do korytarza na drugim piętrze.

Wyszli z ukrytego przejścia.

Jedna z rozpryskujących niebezpieczną mgielkę maszyn śmignęła przez korytarz. W powietrzu unosił się gęsty odór, wyraźny znak, że roboty już odwiedziły ten pokój.

- Szybkie są - powiedział Ihorvaldsen, podchodząc do drzwi wiodących na korytarz.

Stephanie właśnie miała go powstrzymać, ale Duńczyk wyszedł już za drzwi i do razu rozległ się donośny krzyk. Męski głos mówił coś w obcym języku.

Thorvaldsen znieruchomiał, a potem powoli uniół ręce.

Ely cicho podszedł do niej, by wyszeptać jej do ucha:

- To jeden z żołnierzy. Powiedział Henrikowi, żeby się zatrzymał i podniósł ręce.

Thorvaldsen cały czas trzymał głowę zwróconą w stronę żołnierza, który najwyraźniej stał po jego prawej stronie i nie widział wnętrza sypialni. Stephanie zastanawiała się, co z pozostałymi żołnierzami, ale miała nadzieję, że zostali ewakuowani z posiadłości, zanim do pracy przystąpiły roboty.

Kolejne głośno wypowiedane słowa.

- A teraz? - wyszeptała.

- Pyta, czy jest sam.



MALONE I CASSIOPEIA SCHODZILI Z GÓRY W MOKRYCH UBRANIACH. Malone już po drodze zapinał guziki koszuli.

- Mogłeś chociaż wspomnieć, że te pistolety są do niczego - powiedziała Cassiopeia.

- A niby kiedy miałem to zrobić? - odpowiedział, przeskakując po kamieniach i zbiegając po stromym zboczu. Oddychał z łatwością. Nie miał już trzydziestu lat, ale jego czterdziestoosmioletnie ciało trzymało formę. - Nie chciałem, żeby Viktor wyczuł, że czegośkolwiek się domyślamy.

- Ja się nie domyślałam. Ale dlaczego zostawiłeś swoją broń?

- Musiałem postąpić tak, jak tego oczekiwał.

- Dziwny z siebie typ - stwierdziła, gdy dotarli na równy teren.

- Uznam to za komplement, biorąc pod uwagę, że pochodzi od kogoś, kto spacerował po Wenecji z łukiem i strzałami.

Dom znajdował się w odległości około stu metrów. Wciąż nie dostrzegali żadnego ruchu ani wokół domu, ani w oknach.

- Musimy coś sprawdzić.

Podbiegł do helikoptera i wspiął się do tylnego przedziału. Znalazł szafkę z bronią. Cztery karabiny AK-74 stały oparte o ściankę, a na dole leżały magazynki.

Przyjrzał się nabojom.

- Same ślepaki. - W lufach tkwiły specjalne zatyczki, uniemożliwiające wypadnięcie airsoftowych kulek i pozwalające na strzelanie nimi. - Trzeba przyznać, że ten szczywany lis jest bardzo dokładny.

Malone znalazł pistolet, który przywiózł ze sobą z Włoch, i sprawdził magazynek. Pięć ostrych naboji.

Cassiopeia chwyciła jeden z karabinów szturmowych i wsunęła magazynek.

- Nikt poza nami nie wie, że są bezużyteczne. To powinno wystarczyć.

Malone również sięgnął po karabin.

- Masz rację. Najważniejsze jest pierwsze wrażenie.



ZOWASTINA I VIKTOR WYSZLI z SADZAWKI. MALONE' A I VITT NIE było w komorze.

Wszystkie pistolety leżały na pokrytej piaskiem podłodze.

- Mamy problem z Malone'em - stwierdziła Zowastina.

- Proszę się nie martwić - odparł Viktor. - Coś mu się ode mnie należy.



STEPHANIE PRZYŚLUCHIWAŁA SIĘ, JAK ŻOŁNIERZ W KORYTARZU wykrzykuje kolejne rozkazy do Thorvaldsena, a jego głos coraz bardziej zbliża się do drzwi. Twarz Lyndseya zastygła w przerażeniu, ale Ely szybko zatkał mu usta dłonią i zaciągnął go na drugą stronę łóżka z baldachimem, za którym się ukryli.

Z opanowaniem, jakiego się po sobie nie spodziewała, skupiła wzrok na figurce z chińskiej porcelany, która stała na komodzie. Chwyciła ją i wślizgnęła się za drzwi.

Przez szparę widziała, jak strażnik wchodzi do sypialni. Gdy tylko minął krawędź drzwi, uderzyła go figurką w tył głowy. Mężczyzna zachwiał się, a ona uderzyła go drugi raz, a potem wyrwała mu karabin.

Thorvaldsen przyskoczył i odebrał mu pistolet.

- Miałem nadzieję, że coś zaimprovizujesz.

- A ja miałam nadzieję, że tych ludzi już tu nie ma.

Ely przyprowadził Lyndseya.

- Świetnie sobie z nim poradziłeś - powiedziała mu Stephanie.

- On ma kościec z galarety.

Stephanie przyjrzała się karabinowi. AK-74. Znała się na pistoletach, ale nie na karabinach szturmowych. Nigdy z nich nie korzystała. Ithorvaldsen wyczuł jej wahanie i zaproponował pistolet.

- Chcesz się zamienić?

Nie mogła odmówić.

- Na pewno umiesz się tym posługiwać? - zapytała.

- Mam trochę doświadczenia.

Postanowiła zainteresować się tą sprawą bliżej w późniejszym terminie. Podeszła do drzwi i ostrożnie wyjrzała na korytarz. Nikogo nie dostrzegła. Poprowadziła grupę korytarzem w kierunku holu na piętrze. Stamtąd prowadziły w dół schody do głównego wejścia do domu. Za nimi pojawił się kolejny robot rozpryskujący grecki ogień, który śmigał od pokoju do pokoju. Jego nagłe pojawienie się odwróciło na moment jej uwagę.

Ściana po lewej stronie nagle skończyła się i zastąpiła ją szeroka kamienna balustrada.

Jakiś ruch na dole przyciągnął jej wzrok.

Dwóch żołnierzy.

Obaj natychmiast zareagowali, unosząc broń i oddając strzały.



CASSIOPEIA USŁYSZAŁA TERKOT BRONI  
AUTOMATYCZNEJ DOBIEGAJĄCY z wnętrza domu.

Od razu pomyślała o Elym.

- Pamiętaj - powiedział Malone - że mamy tylko pięć ostrych naboń. Wyskoczyli z helikoptera.



ZOWASTINA I VIKTOR WYSZLI ZE SZCZELINY WŚRÓD  
SKAŁ I POPATRZYLI na rozgrywającą się sto metrów poniżej  
scenę. Malone i Vitt biegli od strony helikoptera z dwoma  
karabinami.

- Te są naładowane? - zapytała.

- Nie, pani minister. Same ślepaki.

- Malone zapewne już to wie, więc wzięli je tylko na pokaz. Jej uwagę zwróciły strzały dobiegające z wnętrza domu.

- Te roboty eksplodują w przypadku uszkodzenia - powiedział Viktor. Musiała wydostać stamtąd Lyndseya, zanim do tego

dojdzie.

- Ukryłem magazynki z ostrymi nabojami do pistoletów i karabinów w śmigłowcu - powiedział Viktor. - Na wypadek gdybyśmy ich potrzebowali.

Zowastina była pod wrażeniem jego zapobiegliwości.

- Świetnie się spisałeś. Chyba będę cię musiała jakoś nagrodzić.

- Najpierw musimy to skończyć.

Uścisnęła go za ramię.

- I to właśnie zrobimy.



## DZIEWIĘDZIESIĄT

KULE ODBIJAŁY SIĘ RYKOSZETEM OD SZEROKIEJ MARMUROWEJ balustrady. Wiszące na ścianie lustro pękło, a potem rozbiło się o podłogę. Stephanie schowała się z powrotem za ścianą graniczącą z balustradą, a reszta grupy skupiła się tuż za nią.

Kolejne strzały rozorały tynk po jej prawej stronie.

Na szczęście znajdowali się pod takim kątem od napastników, że zapewniało im to pewną ochronę. Żeby oddać pewny strzał, żołnierze musieliby wejść po schodach, a wtedy to ona mogła ich trafić.

Thorvaldsen podszedł bliżej.

- Pozwól, że ja to zrobię.

Cofnęła się, a wtedy Duńczyk posłał salwę z karabinu na parter. Jego kule osiągnęły zamierzony efekt. Strzały z dołu umilkły.

Tuż za nimi z jednej z sypialni wytoczył się kolejny robot. Stephanie nie zwróciła na niego uwagi, gdyby warkot jego elektrycznego silniczka nie zaczął narastać. Odwróciła głowę i dostrzegła, że maszyna zbliża się do miejsca, w którym stoją Ely i Lyndsey.

- Zatrzymaj to coś - powiedziała bezgłośnie do Ely'ego.

Ely wysunął stopę i powstrzymał robota. Ten wyczuł przeszkodę, zawahał się, a potem spryskał spodnie Ely'ego niebezpieczną miksturą. Stephanie widziała, jak skrzywił się od mdlącego zapachu, który sama poczuła z odległości kilku metrów.

Robot odwrócił się i ruszył w przeciwnym kierunku.

Kolejne strzały dobiegły z dołu, a piętro zostało zasypane kulami. Powinni się wycofać i skorzystać z ukrytych przejść, ale zanim zdążyła wydać polecenie, zza rogu na drugim końcu

balustrady wyłonił się żołnierz.

Thorvaldsen też go dostrzegł i zanim Stephanie zdążyła wymierzyć z pistoletu, ściął go salwą ze swojego AK-74.



MALONE OSTROŻNIE PODSZEDŁ NA TYŁ DOMU. PISTOLET TRZYMAŁ w dłoni, a karabin zarzucił sobie na ramię. Przez tylny taras weszli do imponującego salonu.

Powitał ich znajomy zapach.

Grecki ogień.

Malone widział, że Cassiopeia też go poczuła.

Kolejne wystrzały.

Dobiegały z piętra.

Malone ruszył w kierunku hałasu.



VIKTOR SZEDŁ ZA ZOWASTINĄ, KTÓRA ZBLIŻAŁA się DO DOMU. Pozostali w ukryciu i obserwowali, jak Malone i Vitt wchodzi do budynku. Ze środka dobiegał terkot energicznej wymiany ognia.

- Wewnątrz jest dziewięciu żołnierzy - powiedziała Zowastina.

- Powiedziałam im, że nie wolno im strzelać. Tam w środku pracuje sześć robotów. Eksplodują, jak tylko nacisnę przycisk.

Wyjęła pilota podobnego do tych, których sam wielokrotnie używał do detonowania żółwi. Pomyślał, że warto ostrzec ją jeszcze raz.

- Jeśli jakaś kula uszkodzi któregoś z nich, wybuchnie od razu. Domyślił się, że ona doskonale o tym pamięta, ale nie zareagowała z typową dla siebie arogancją.

- Po prostu będziemy musieli bardziej uważać.

- To nie o nas się martwię.



CASSIOPEIA NIEPOKOIŁA SIĘ. ELY BYŁ GDZIEŚ W TYM DOMU, prawdopodobnie uwięziony, a roboty wszędzie rozpryskały grecki ogień. Miała już okazję przekonać się o jego niszczyielskiej sile.

Rozkład wnętrza domu był skomplikowany. Parter wił się niczym labirynt. Usłyszała jakieś głosy. Dobiegały zza znajdującego się tuż przed nimi saloniku obwieszonych obrazami w złoconych ramach.

Malone szedł tuż przed nią.

Podziwiała jego odwagę. Jak na kogoś, kto cały czas narzeka, że nie ma ochoty uczestniczyć w tej grze, był cholernie dobrym graczem.

Weszli do kolejnego pomieszczenia emanującego barokowym szykiem. Malone ukrył się za krzesłem z wysokim oparciem i pokazał jej, by ruszyła na lewo. Za szerokim łukowym przejściem dziesięć metrów przed nimi dostrzegła tańczące na ścianie cienie.

Kolejne głosy w języku, którego nie rozumiała.

- Musisz odwrócić ich uwagę - wyszeptał Malone.

Zrozumiała. On miał kule. Ona nie.

- Tylko mnie nie zastrzel - odparła bezgłośnie, zajmując pozycję przy wyjściu.

Malone przesunął się szybko za kolejne krzesło, zza którego miał lepszy widok. Cassiopeia głęboko odetchnęła, policzyła do trzech i nakazała swemu mocno bijącemu sercu spokój. To było ryzykowne, ale powinna mieć sekundę lub dwie przewagi. Uniosła karabin, wyszła zza ściany i stanęła w przejściu. Nacisnęła spust i posłała salwę ślepych nabojami. Po drugiej stronie holu stało dwóch żołnierzy, którzy mierzyli w balustradę na piętrze, ale jej strzały wywołały pożądany efekt.

Zdumione twarze odwróciły się w jej stronę.

Przestała strzelać i rzuciła się na podłogę.

Wtedy rozległy się dwa strzały. Malone zastrzelił obu żołnierzy.



Stephanie usłyszała strzały z pistoletu. TO coś nowego. TUŻ za nią przykucnęła Henrik z palcem na spuście karabinu.

Na piętrze za ciałem zabitego żołnierza pojawili się jego dwaj koledzy.

Thorvaldsen natychmiast zaczął strzelać.

Stephanie uznała, że go nie doceniała. Wiedziała, że potrafi być przebiegły i wyrachowany, ale okazało się, że ma też nerwy ze stali i najwyraźniej potrafi robić to, co konieczne.

Ciała żołnierzy odskoczyły do tyłu, gdy rozrywały je karabinowe kule.

Zauważyła robota i jednocześnie usłyszała brzęk.

Jedna z maszyn wyłoniła się zza rogu tuż za dwoma umierającymi żołnierzami.

Kule przeszły jej obudowę. Silnik jęknął niczym ranne zwierzę, a robotem szarpnęło. Lejek wsunął się do środka.

Raptem całe urządzenie stanęło w ogniu.

## DZIEWIĘĆDZIESIĄT JEDEN

MALONE USŁYSZAŁ DOCHODZĄCE Z GÓRY STRZAŁY, A POTEM HUK, po którym nadeszła fala trudnego do wytrzymania gorąca.

Od razu domyślił się, co się stało, i wybiegł zza krzesła w kierunku łukowatego przejścia. Cassiopeia właśnie zrywała się z podłogi.

Malone rozejrzał się wokół.

Z piętra lały się płomienie ognia, otaczając marmurową balustradę i trawiąc ściany. Szkło w wysokich oknach rozprysło się pod wpływem gwałtownego wzrostu temperatury.

Podłoga również zaczęła się palić.



STEPHANIE OSŁONIŁA SIĘ PRZED MIJAJĄCĄ JĄ FALĄ GORĄCA. MIAŁA wrażenie, że robot nie eksplodował, tylko po prostu wyparował w przypominającym atomowy wybuch błysku. Opuściła ramię i zobaczyła, że płomienie ognia suną na wszystkie strony niczym tsunami, zajmując ściany, sufit, a nawet podłogę.

Ściana ognia znajdowała się w odległości dwudziestu kilku metrów od nich, ale już się zbliżała.

- Chodźcie - powiedziała Stephanie.

Zaczęli uciekać przed zbliżającą się burzą płomieni, ale choć biegli szybko, ogień wciąż się zbliżał. Stephanie była świadoma niebezpieczeństwa. Robot spryskał ubranie Ely'ego.

Obejrzała się przez ramię.

Ogień był już trzy metry od nich i wciąż się zbliżał.

Tuż przed nimi znajdowały się otwarte drzwi do sypialni, w

której wyszli z ukrytego przejścia. Lyndsey wpadł przez nie pierwszy, a za nim Ely.

Stephanie i Thorvaldsen ledwo zdążyli uskoczyć przed nadciągającą falą ognia.



- On JEST TAM NA GÓRZE - POWIEDZIAŁA CASSIOPEIA, PATRZĄC na płonące piętro, i krzyknęła: - Ely!

Malone objął jej szyję ramieniem i zakrył dłonią usta.

- Nie jesteśmy tu sami - wyszeptał jej do ucha. - Pomyśl. Są inni żołnierze. Poza tym Zowastina i Viktor. Są tutaj. Możesz być pewna.

Rozluźnił uścisk.

- Idę po niego - powiedziała stanowczo Cassiopeia. - Ci żołnierze na pewno strzelali do nich. Bo do kogo innego?

- Nie wiadomo.

- Więc gdzie oni są? - rzuciła pytanie w stronę ognia.

Malone skinął na nią i wycofali się do saloniku. Słyszeli, jak na górze trzeszczą meble i roztrzaskują się szyby. Na szczęście ogień nie ruszył jeszcze po schodach, jak w kopenhaskim muzeum. Ale jeden z robotów, jakby wyczuwając ciepło, pojawił się po drugiej stronie holu. To było niepokojące.

Skoro jeden z nich eksplodował, kolejne mogły zrobić to samo.



ZOWASTINA USŁYSZAŁA, ŻE KTOŚ WOŁA ELY'EGO. JEDNOCZEŚNIE poczuła gorąco i zapach płonącego greckiego ognia.

- Głupcy - szepnęła do swoich żołnierzy znajdujących się gdzieś we wnętrzu domu.

- To była Vitt - powiedział Viktor.

- Znajdź naszych. Ja znajdę ją i Malone'a.



STEPHANIE ZNALAZŁA UKRYTE PRZEJŚCIE, KTÓRE WCIĄŻ BYŁO otwarte, i wprowadziła wszystkich do środka, zatrzymując za nimi drzwi.

- Dzięki Bogu - powiedział Lyndsey.

W ukrytym przejściu nie czuć było jeszcze dymu, ale Stephanie słyszała, jak ogień próbuje przedrzeć się przez ściany.

Wrócili do klatki schodowej i zbiegli na dół na parter.

Stephanie wypatrywała jakiegokolwiek wyjścia i w końcu dostrzegła przed sobą otwarte drzwi. Thorvaldsen też je zauważył i razem weszli do głównej jadalni.



MALONE NIE POTRAFIŁ ODPOWIEDZIEĆ NA PYTANIE CASSIOPEII. NIE wiedział, gdzie są Stephanie, Henrik i Ely. Sam też się o nich niepokoił.

- Pora, żebyś się wycofał - powiedziała Cassiopeia.

Znów była opryskliwa jak wtedy w Kopenhadze. Pomyślał, że warto sprowadzić ją na ziemię.

- Mamy tylko trzy kule.

- Wcale nie.

Minęła go, wyrwała karabiny dwóm martwym żołnierzom i sprawdziła magazynki.

- Mamy ich mnóstwo. - Podawała mu jeden magazynek. - Dzięki, Cottonie, że mnie tu przyprowadziłeś. Ale to ja muszę to zrobić - zawahała się. - I to sama.

Wiedział, że nie przekona jej żadna argumentacja.

- Na pewno jest inna droga na piętro - stwierdziła. - Znajdę ją. Właśnie miał jej ustąpić, gdy jakiś ruch po lewej zwrócił jego uwagę. Obrócił się z bronią gotową do strzału.

W drzwiach stanął Viktor.

Malone posłał serię z AK-74 i ukrył się w holu. Nie wiedział, czy trafił Viktora, ale jedno mógł stwierdzić z pewnością.

Cassiopeia zniknęła.



STEPHANIE USŁYSZAŁA STRZAŁY DOCHODZĄCE SKĄDŚ Z PARTERU. Przed nią rozciągała się prostokątna jadalnia o wysokich ścianach, sklepieniem suficie i witrażowych oknach. W pomieszczeniu dominował podłużny stół z tuzinem krzeseł po każdej stronie.

- Musimy się stąd wydostać - powiedział Thorvaldsen.

Lyndsey ruszył do przodu, ale Ely chwycił go i przycisnął do stołu, przewracając przy okazji kilka krzeseł.

- Mówiłem ci już, że idziemy do laboratorium.

- Możesz sobie iść nawet do piekła.

W odległych o dwadzieścia metrów drzwiach stała Cassiopeia. Jej ubranie było przemoczone i wyglądała na zmęczoną. W rękach trzymała karabin. Stephanie widziała, jak jej przyjaciółka dostrzega Ely'ego. Podjęła ogromne ryzyko, wyjeżdżając z Zowastiną z Wenecji, ale opłaciło się.

Ely też ją zauważył i rozluźnił uścisk, którym przygwoździł Lyndseya.

Nagle za Cassiopeią pojawiła się Zowastina i przystawiła jej do pleców lufę karabinu.

Ely znieruchomiał.

Włosy i ubranie Zowastiny również były wilgotne. Stephanie rozważała atak, ale sytuacja zmieniła się, gdy pojawił się Viktor z trzema żołnierzami. Wszyscy z wycelowaną bronią.

- Opuśćcie broń - powiedziała Zowastina. - Powoli.

Stephanie spojrzała na Cassiopeę i potrząsnęła przecząco głową, dając jej znać, że w tym momencie nie mają szans. Thorvaldsen pierwszy położył swój karabin na stole. Stephanie zrobiła to samo z pistoletem.

- Lyndsey - powiedziała Zowastina. - Pora, żebyś poszedł ze mną.



- Nie ma mowy - odpowiedział, cofając się w stronę Stephanie. - Nigdzie z panią nie pójdę.

- Nie mamy na to czasu - stwierdziła Zowastina i skinęła na jednego z żołnierzy. Który ruszył za wycofującym się w kierunku drzwi do ukrytego korytarza Lyndseyem.

Ely wykonał ruch, jakby miał zamiar go chwycić, ale gdy żołnierz do nich dotarł, popchnął na niego Lyndseya, a sam wślizgnął się za drzwi, które natychmiast za sobą zatrzasnął.

Wszystkie lufy skierowały się w tamtą stronę.

- Nie! - krzyknęła Zowastina. - Niech idzie. Nie potrzebuję go, a ten dom za chwilę doszczętnie spłonie.



MALONE PĘDZIŁ PRZEZ LABIRYNT POKOI. KORYTARZ, POKÓJ I ZNOWU korytarz. Nikogo nie spotkał, ale cały czas czuł zapach ognia trawiącego górne piętra. Większość dymu zdawała się dochodzić z drugiego piętra, ale nie minie wiele czasu, gdy cały parter będzie zadymiony.

Musiał odnaleźć Cassiopeię.

Dokąd ona poszła?

Minął drzwi, które prowadziły do dużego schowka. Zerknął do środka i dostrzegł coś niezwykłego. Część wyłożonej drewnianymi panelami ściany była uchylona, a w powstałym otworze widniał ukryty korytarz. Szereg żarówek rzucał blade plamy światła.

Z głębi korytarza dobiegł go odgłos kroków.

Coraz głośniejszy.

Chwycił karabin i przycisnął się do cuchnącej ściany tuż przy wyjściu ze schowka.

Szybkie kroki były coraz bliżej.

Malone czekał.

Ktoś wyszedł przez drzwi.

jedną ręką przycisnął nieznanego mężczyznę do ściany, przystawiając mu lufę karabinu do szczęki. Palec trzymał na spuście. Wpatrywały się w niego pozbawione strachu błękitne

oczy. Mężczyzna był młody i przystojny.

- Jak się nazywasz? - zapytał Malone.

- Ely Lund.

## DZIEWIĘDZIESIĄT DWA

ZOWASTINA BYŁA ZADOWOLONA. MIAŁA LYNDSEYA, WSZYSTKIE dane Vincentiego, grób Aleksandra, leczniczą miksturę, a teraz na dodatek Thorvaldsena, Cassiopeię Vitt i Stephanie Nelle. Brakowało jej tylko Cottona Malone'a i Ely'ego Lunda, ale żaden z nich nic tak naprawdę dla niej nie znaczył.

Wyszli już z domu i kierowali się w stronę śmigłowca. Dwóch jej żołnierzy prowadziło więźniów, mając ich ciągle na muszce. Viktor wziął dwóch innych żołnierzy, żeby zabrać komputery Vincentiego i dwa roboty, które nie zostały wykorzystane.

Musiała wrócić do Samarkandy i osobiście nadzorować tajną operację militarną, która wkrótce miała się rozpocząć. Jej misja tutaj zakończyła się pełnym sukcesem. Od dawna liczyła, że jeśli kiedykolwiek grób Aleksandra zostanie odkryty, to na podlegającym jej terytorium. I, dzięki bogom, tak właśnie się stało.

Podszedł Viktor z komputerami.

- Załadujcie je do śmigłowca - powiedziała.

Obserwowała, jak układają je w tylnym przedziale razem z dwoma robotami, tymi cudami azjatyckiej inżynierii zaprojektowanymi przez jej naukowców. Dające się zaprogramować bomby, które działały bez zarzutu, rozpylając grecki ogień z wielką dokładnością, a potem eksplodując na żądanie. Były oczywiście kosztowne i dlatego pilnowała stanu zapasów i ucieszyła się, że udało się odzyskać te dwa. Wykorzysta jej gdzie indziej.

Wręczyła Viktorowi piloty kontrolujące roboty wewnątrz domu.

- Zajmij się tym, jak tylko odlecę. - Górne piętra już płonęły, za kilka minut cały dom miał zająć się ogniem. - I zabij ich wszystkich.

Viktor skinął na znak zgody.

- Ale zanim odlecę, muszę spłacić pewien dług.

Podążyła Viktorowi swoją broń, podeszła do Cassiopeii Vitt i powiedziała:

- Tam w jaskini złożyłaś mi pewną propozycję. Że dasz mi szansę na wyrównanie rachunków.

- Z przyjemnością.

Zowastina uśmiechnęła się.

- Tak myślałam.



- GDZIE POZOSTALI? - ZAPYTAŁ MALONE ELY'EGO, OPUSZCZAJĄC broń.

- Są w rękach Zowastiny.

- A ty co tu robisz?

- Wymknąłem się. - Ely zawahał się. - Muszę coś załatwić.

Malone czekał na wyjaśnienie, i to takie, które go przekona.

- W tym domu jest lek na AIDS. Muszę go znaleźć.

Nieźle. Malone rozumiał, że to pilna sprawa. Zarówno dla Ely'ego, jak i Cassiopeii. Po jego lewej stronie dwa plujące cuchnącą mgiełką żółwie przecięły skrzyżowanie dwóch korytarzy. Ryzykował, wciąż przebywając wewnątrz domu. Ale musiał się dowiedzieć.

- Dokąd wszyscy poszli?

- Nie wiem. Byli w jadalni. Zowastina i jej ludzie przejęli kontrolę. Udało mi się uciec ukrytym korytarzem.

- Gdzie jest ten lek?

- W laboratorium pod domem. Wejście jest w bibliotece, tam gdzie najpierw nas przetrzymywano.

Trudno było nie zauważyć podniecenia w jego głosie. To z pewnością nie było rozsądne. Ale co tam. Raz się żyje.

- Prowadź.



CASSIOPEIA OKRĄŻYŁA ZOWASTINĘ. STEPHANIE, HENRIK I LYNDSSEY stali po jednej stronie, wciąż pilnowani przez strażników. Pani premier najwyraźniej planowała pokaz swego męstwa na oczach żołnierzy. Świetnie. Pokaże jej, na co ją stać.

Zowastina zaatakowała pierwsza, chwytając Cassiopeię za kark i zginając ją do przodu. Była silną kobietą. Silniejszą, niż Cassiopeia się spodziewała. Zowastina zręcznie schyliła się i przerzuciła sobie Cassiopeię nad plecami.

Cassiopeia wyleciała do góry, po czym mocno uderzyła o ziemię.

Otrząsnęła się z bólu, zerwała z ziemi i kopnęła Zowastinę prawą nogą w klatkę piersiową. Przeciwniczka zachwiała się. Cassiopeia wykorzystała ten moment, by zapanować nad własnym bólem, a potem rzuciła się na nią.

Uderzyła ramieniem w mocne uda Zowastiny i razem przewrócili się na ziemię.



MALONE WSZEDŁ DO BIBLIOTEKI. GDY OSTROŻNIE PRZEMIERZALI parter, nie spotkali żadnego żołnierza. Dymu było coraz więcej, a gorąco stawało się nie do zniesienia. Ely od razu podbiegł do leżącego na podłodze ciała.

- Zastrzeliła go Zowastina. To człowiek Vincentiego - powiedział, szukając srebrnego pilota. - Tym otwierała ukryte drzwi.

Ely wysunął rękę z pilotem i nacisnął jeden z przycisków.

Chińska szafka obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni.

- Ten dom przypomina park rozrywki - stwierdził Malone, wchodząc za Elym do mrocznego korytarza.



ZOWASTINA GOTOWAŁA SIĘ ZE ZŁOŚCI. BYŁA PRYZYWYCZAJONA, że zawsze zwycięża. W *buzkaszi*. W polityce. W życiu. Wyzwała Vitt, ponieważ chciała pokazać tej kobiecie, kto jest górą. Chciała też, by jej ludzie zobaczyli, że ich przywódczyni nikogo się nie boi. To prawda, że było ich tu tylko kilku, ale często opowieści nielicznych stawały się legendami.

Teraz cała posiadłość należała do niej. Dom Vincentiego zostanie zrównany z ziemią, a na terenie posiadłości stanie odpowiedni pomnik na cześć zdobywcy, który wybrał te okolice na miejsce swego ostatniego spoczynku. Choć urodził się Grekiem, w sercu był Azjatą, i to było najważniejsze.

Wykonała gwałtowny skręt nogami i znowu zrzuciła z siebie Vitt, ale tym razem brutalnie przytrzymała ją za ramię, a potem podciągnęła do góry.

Kolanem trafiła ją w podbródek. Takie uderzenie wywoływało fale, które wstrząsały mózgiem. Kiedyś sama tego doświadczyła. Potem uderzyła Vitt pięścią prosto w twarz. Ileż to razy atakowała innych *czapandazi* na boisku? Jak długo potrafiła utrzymać ciężki *boz*? Jej silne ramiona i dłonie były przyzwyczajone do bólu.

Oszołomiona Vitt runęła na kolana.

Jak takie nic mogło uważać, że może się z nią równać? Vitt była załatwiona. To przynajmniej było jasne. Nie miała sił do walki. Zowastina delikatnie przycisnęła podeszwę buta do jej czoła i jednym pchnięciem brutalnie powaliła ją na ziemię.

Vitt leżała nieruchomo.

Zowastina, zmęczona wysiłkiem i złością, wyprostowała się i otarła twarz. Obróciła się, zadowolona z walki. W jej oczach nie było śladu humoru ani współczucia. Viktor skinął z uznaniem. Twarze żołnierzy wyrażały szczery podziw.

Dobrze jest być wojowniczką.



MALONE WSZEDŁ DO PODZIEMNEGO LABORATORIUM. ZNAJDOWALI się co najmniej dziesięć metrów pod ziemią, pod płonąącym domem i byli otoczeni litą skałą. W powietrzu czuć było mdlący zapach greckiego ognia, a schodząc po schodach, Malone poczuł znajomą lepkość.

Najwyraźniej w pomieszczeniu tym prowadzono badania biologiczne, ponieważ w laboratorium stało kilka sterylnych pojemników z rękawicami oraz lodówka z jaskrawą nalepką ostrzegającą przed zagrożeniem dla życia ze strony organizmów żywych. Zawahali się w drzwiach i obaj niechętnie weszli do środka. Niechęć u Malone'a wywołały porozrzucane po stołach pakunki z przezroczystą cieczą. Widział już takie. W kopenhaskim muzeum tamtej pierwszej nocy.

Na podłodze leżały dwa ciała. Wymizerowana kobieta w szlafroku i olbrzymi mężczyzna w ciemnym garniturze. Oboje zostali zastrzeleni.

- Lyndsey mówił - powiedział Ely - że Vincenti trzymał w dłoni przenośną pamięć, gdy Zowastina go zabiła.

Musieli to dokończyć. Malone ostrożnie minął stoły i popatrzył na martwego mężczyznę. Ważył co najmniej sto pięćdziesiąt kilo. Jego ciało leżało na boku, ale jedna ręka była wysunięta, jakby próbował się podnieść. W klatce piersiowej widniały cztery dziury po kulach. Jedna dłoń, ta obok nogi od stołu, była otwarta, druga mocno zaciśnięta. Malone rozwarł jej palce za pomocą lufy karabinu.

- To musi być to - stwierdził Ely z niecierpliwością i przyklęknął, by zabrać pamięć.

Ten młody mężczyzna przypominał Malone'owi Caia Thorvaldsena, choć tamtego widział tylko raz, w Meksyku, gdy po raz pierwszy los zetknął go z Henrikiem Thorvaldsenem. Cai i Ely musieli być w tym samym wieku. Łatwo zrozumieć, czemu Henrik przywiązał się do Ely'ego.

- To miejsce wkrótce spłonie - powiedział.

Ely wstał.

- Popełniłem wielki błąd, ufając Zowastinie. Ale ona była taka przekonująca. Wydawało się, że naprawdę pasjonuje się przeszłością.

- Bo to prawda. O ile może się z niej czegoś nauczyć.

Ely wskazał na swoje spodnie.

- Mam tę ciecz na sobie.

- Już to przerabiałem.

- Zowastina jest szalona. To morderczyni.

Malone był tego samego zdania.

- Ponieważ mamy już to, czego szukaliśmy, może postaramy się nie zostać jej kolejnymi ofiarami? - Zawahał się. - A poza tym Cassiopeia złoł mi tyłek, jeśli cokolwiek ci się stanie.



## DZIEWIĘCDZIESIĄT TRZY

ZOWASTINA WSIADŁA DO ŚMIGŁOWCA. LYNDSEY SIEDZIAŁ JUŻ w pasach, przypięty kajdankami do przegrody.

- Pani premier, nie sprawię żadnego kłopotu. Przysięgam. Zrobię wszystko, co pani będzie chciała. Zapewniam panią. Nie trzeba mnie wiązać. Proszę, pani premier...

- Jak się nie zamkniesz - odparła spokojnie - będę cię musiała zastrzelić od razu.

Naukowiec wyczuł, że milczenie będzie najlepszą odpowiedzią, i uciszył się.

- Nie waż się już więcej odzywać.

Zowastina rozejrzała się po przestronnym wnętrzu, które zwykle mieściło tuzin uzbrojonych mężczyzn. Komputery Vincentiego i dwa zapasowe roboty też mocno przypięto pasami. Na zewnątrz Cassiopeia Vitt wciąż leżała na ziemi, a więźniów pilnowało czterech żołnierzy.

Viktor stał obok helikoptera.

- Dobrze się spisalesz - powiedziała do niego. - Jak odlecę, zdetonuj maszyny w domu i zabij tych ludzi. Ufam, że będziesz potrafił zabezpieczyć to miejsce. Wyślę tu dodatkowych ludzi, jak tylko znajdę się w Samarkandzie. Ta posiadłość jest teraz własnością Federacji.

Popatrzyła na dom, którego górne piętra stały w ogniu. Wkrótce zostaną po nim tylko gruzy. Wyobraziła sobie azjatycki pałac, jaki postawi na jego miejscu. Nie zdecydowała jeszcze, czy ujawni miejsce spoczynku Aleksandra Wielkiego. Powinna rozważyć wszystkie możliwości, a ponieważ to ona władała teraz tym terenem, do niej należała ostateczna decyzja.

Zwróciła się do Viktora, spojrzała mu w oczy i powiedziała:

- Dziękuję ci, przyjacielu. - Dostrzegła przelotny wyraz zdumienia na jego twarzy, gdy dotarło do niego znaczenie jej

słów. - Tak, nigdy tego nie mówię. Po prostu oczekuję, że zadania będą wykonywane. Ale tutaj poradziłeś sobie naprawdę znakomicie.

Ostatni raz popatrzyła na Cassiopeję Vitt, Stephanie Nelle i Henrika Thorvaldsena. Problemy, które już wkrótce staną się przeszłością. Cotton Malone i Ely Lund wciąż byli wewnątrz domu. Jeśli jeszcze żyją, to i tak za kilka minut będą martwi.

- Do zobaczenia w pałacu - rzuciła do Viktora, gdy zatrzaskiwały się drzwi śmigłowca.



VIKTOR USŁYSZAŁ, ŻE WŁĄCZONO SILNIK HELIKOPTERA, I ZOBACZYŁ, że śmigła zaczęły się obracać. Potem silnik zawył pełną mocą. Z wysuszonej ziemi zerwał się kurz, a śmigłowiec uniósł się w rozświetlone późnopołudniowym słońcem niebo.

Szybko podszedł do swoich ludzi i rozkazał dwóm z nich, by poszli do głównej bramy posiadłości i kontrolowali wstęp. Pozostałym dwóm kazał pilnować Nelle i Thorvaldsena.

Potem podszedł do Cassiopeii. Z nosa leciała jej krew, a twarz była posiniaczona. Pot spływał po niej strumieniami, zostawiając jasne bruzdy w pokrywającym ją kurzu.

Nagle otworzyła oczy i mocno chwyciła go za rękę.

- Przeszedłeś dokończyć sprawę? - zapytała.

W lewej dłoni trzymał pistolet, w prawej pilota do robotów. Spokojnym ruchem położył pilota na ziemi obok Cassiopeii.

- Właśnie po to.

Śmigłowiec z Zowastiną na pokładzie wyrównał lot i skierował się na wschód, pozostawiając za sobą dolinę i posiadłość.

- Kiedy z nią walczyłaś - powiedział do Vitt - ja aktywowałem żółwie w śmigłowcu. Zaprogramowałem je tak, żeby wybuchły jednocześnie z tymi, które są w domu. - Wskazał na pilota. - Po naciśnięciu tego przycisku.

Cassiopeia zgarnęła pilota z ziemi.

Ale Viktor szybko przystawił jej broń do głowy.  
- Ostrożnie.



CASSIOPEIA WPATRYWAŁA się w VIKTORA, TRZYMAJĄC PALEC NA przycisku pilota. Czy zdąży go nacisnąć, zanim ją zastrzeli? Czy on zastanawia się nad tym samym?

- Musisz wybrać - powiedział. - Twój Ely i Malone wciąż mogą być wewnątrz domu. Śmierć Zowastiny oznaczałaby jednocześnie ich śmierć.

Miała nadzieję, że Malone kontroluje sytuację. Ale uświadomiła sobie coś innego.

- Skąd można wiedzieć, kiedy ci ufać? Grasz na wszystkie fronty.

- Moim zadaniem było to zakończyć. I to właśnie zrobimy.

- Śmierć Zowastiny nie rozwiąże wszystkiego.

- To jedyne rozwiązanie. Inaczej nic jej nie powstrzyma.

Zastanowiła się nad jego stwierdzeniem. Miał rację.

- Sam miałem zamiar to zrobić - powiedział. - Ale pomyślałem, że chętnie przyjmiesz ten zaszczyt.

- A broń wycelowana w moją twarz to tylko dla pozorów? - zapytała cicho.

- Żołnierze nie powinni widzieć, co trzymasz w dłoni.

- Skąd mogę wiedzieć, że jak to zrobię, nie strzelisz mi prosto w twarz?

Udzielił jej uczciwej odpowiedzi.

- Nie możesz tego wiedzieć.

Śmigłowiec znajdował się daleko za domem, unosząc się trzysta metrów nad pokrytą trawą łąką.

- Jeśli będziesz zwlekać - powiedział Viktor - znajdą się poza zasięgiem pilota.

Cassiopeia wzruszyła ramionami.

- Zawsze zakładałam, że nie dożyję starości.

I wcisnęła przycisk.



STEPHANIE Z ODLEGŁOŚCI DZIESIĘCIU METRÓW OBSERWOWAŁA, JAK Viktor celuje z broni do Cassiopeii, ale Cassiopeia odwróciła się i nie widać było, co się dzieje.

Nagle śmigłowiec przekształcił się w kulę ognia.

Nie było żadnego wybuchu. Tylko erupcja jaskrawego światła na wszystkie strony, niczym wybuch supernowej. Zaraz potem wybuchło paliwo śmigłowca, a echo zagrzmiało w całej dolinie. Płonące szczątki helikoptera rozprysły się wokół, a później niczym gwałtowna ulewa opadły na ziemię. W tym samym momencie szyby na parterze domu roztrzaskały się, a ramy okien wypełniły szalejącymi płomieniami.

Cassiopeia wstała przy pomocy Viktora.

- Wygląda na to, że nam pomaga - stwierdził Thorvaldsen, który patrzył na to samo co Stephanie.

Viktor wskazał na dwóch żołnierzy i rzucił im jakieś rozkazy w języku przypominającym rosyjski.

Mężczyźni odbiegli.

Cassiopeia ruszyła w stronę domu.

Stephanie i Henrik pobiegli za nią.



MALONE WSZEDŁ NA SCHODY TUŻ ZA ELYM, A POTEM PONOWNIE weszli do biblioteki. Z głębi domu dochodziły głuchoe tąpnięcia, a Malone od razu zauważył wzrost temperatury.

- Aktywowali te urządzenia.

Za drzwiami biblioteki wybuchł ogień. Kolejne huki. Coraz bliższe. Gorąco. Narastające. Malone podbiegł do drzwi i rozejrzał się na boki. Korytarzem nie dało się pójść w żadną stronę, płomień trawił podłogę, kierując się ku nim. Przypomniał sobie, co powiedział Ely: „Mam tę ciec na sobie”. Odwrócił się i przyjrzał strzelistym oknom. Miały trzy metry na

dwa i pół. Za nimi na tle doliny dostrzegł jakieś płomienie. Mieli kilka sekund, zanim ogień do nich dotrze.

- Daj rękę.

Zauważył, że Ely wrzuca przenośną pamięć do kieszeni i chwyta brzeg niewielkiej sofy. Malone złapał za drugi. Razem unieśli ją i rzucili przez okno. Szyba roztrzaskała się, a sofa wypadła na zewnątrz, torując im drogę. W ramie okiennej zostało jednak zbyt dużo kawałków szkła.

- Użyj krzesła - krzyknął.

Ogień zawirował w drzwiach i zaczął atakować ściany biblioteki. Książki i drewniane półki płonęły. Malone chwycił krzesło i wybił resztki szyby. Ely użył drugiego krzesła, by oczyścić ramę z wyszczerbionych odłamków.

Ogień zaczął trawić podłogę.

Wszystko, co zostało polane greckim ogniem, natychmiast wybuchało płomieniami.

Nie mieli już czasu.

Obaj wyskoczyli przez okno.



CASSIOPEIA USŁYSZAŁA BRZĘK TŁUCZONEJ SZYBY, GDY WRAZ Z VIKTOREM, Stephanie i Thorvaldsenem podbiegli do budynku. Widziała, jak przez jedno z okien wylatuje sofa i roztrzaskuje się o ziemię. Zaryzykowała zabicie Zowastiny, wiedząc, że Ely i Malone wciąż są wewnątrz domu, ale jak powiedziała Malone, nieważne, dobrze czy źle, ważne, żeby działać.

Przez okno wypadło krzesło.

A potem wyskoczyli przez nie Malone i Ely, a pokój za nimi wypełnił się jaskrawopomarańczowymi falami ognia.

Skok Malone'a nie był tak udany, jak ten w Kopenhadze. Prawym ramieniem gwałtownie uderzył o trawiaste podłoże i przekoziółkował. Ely też mocno uderzył o ziemię i przeturlał się kilka razy, osłaniając ramionami głowę.

Cassiopeia podbiegła do nich. Ely wpatrywał się w nią.

Uśmiechnęła się i zapytała:

- Dobrze się bawisz?
- Chyba równie dobrze jak ty. Co się stało z twoją twarzą?
- Trochę oberwałam. Ale to ja śmiałam się ostatnia. Pomogła mu wstać, a potem przytulili się do siebie.
- Cuchniesz - stwierdziła.
- Grecki ogień. Najmodniejszy zapach.
- A ja? - burknął Malone, wstając i otrzepując się. - Żadnego: „Jak się masz?” No to może chociaż: „Cieszę się, że się nie usmażyłeś”?

Cassiopeia potrząsnęła głową i jego również objęła.

- Chyba wpadłaś pod parę autobusów z rzędu? - zapytał Malone, patrząc na jej twarz.

- Tylko pod jeden.
- Wy się znacie? - zapytał Ely.
- Owszem.

Cassiopeia dostrzegła, jak twarz Malone'a wykrzywia się na widok Viktora.

- Co on tu robi?
- Nie wiem, czy uwierzysz - odpowiedziała - ale jest po naszej stronie. Tak mi się przynajmniej zdaje.

Stephanie wskazała na płomienie w dolinie i mężczyzn biegnących w ich kierunku.

- Zowastina nie żyje.
- Okropność - powiedział Viktor. - Tragiczny wypadek śmigłowca. Na oczach czterech jej żołnierzy. Będzie miała królewski pogrzeb.

- A Daniels postara się, żeby następny premier Federacji Środkowoazjatyckiej był bardziej przyjaźnie nastawiony - dodała Stephanie.

Cassiopeia zauważyła powiększające się plamki po zachodniej stronie nieba.

- Mamy towarzystwo.
- Patrzyli na nadlatujące helikoptery.

- To nasze - stwierdził Malone. - Apacze AH64 i jeden black hawk.

Amerykańskie śmigłowce bojowe zniżyły lot. W jednym z

apaczy uchyliły się drzwi i Malone dostrzegł znajomą twarz.

Edwin Davis.

- To oddziały z Afganistanu - powiedział Viktor. - Davis mówił mi, że stacjonują niedaleko, obserwują i są gotowe do działania w razie potrzeby.

- Wiecie co - powiedziała do wszystkich Stephanie. - Zabicie Zowastiny w ten sposób nie było najmądrzejszym posunięciem.

Cassiopeia usłyszała ton rezygnacji w jej głosie.

- O co chodzi? - zapytała.

Thorvaldsen wystąpił do przodu.

- W tym śmigłowcu były komputery Vincentiego i Lyndseya. Nie jesteśmy pewni, ale wygląda na to, że Vincenti odkrył lek na AIDS. Opracował go razem z Lyndseyem, a wszystkie dane były na tamtych komputerach. Były też na przenośnej pamięci, którą Vincenti miał przy sobie w momencie śmierci. Ale niestety - Duńczyk wskazał na płonący dom

- tej nie da się już odzyskać.

Kassiopeia dostrzegła figlarny wyraz na osmolonej twarzy Malone'a. Zauważyła też, że Ely się uśmiecha. Obaj wyglądali na wyczerpanych, ale dzielili też poczucie triumfu.

Ely sięgnął do kieszeni i wyciągnął otwartą dłoń.

Przenośna pamięć.

- Co to? - zapytała pełna nadziei.

- Życie - odpowiedział Malone.

## DZIEWIĘDZIESIĄT CZTERY

MALONE PODZIWIĄŁ GROBOWIEC ALEKSANDRA WIELKIEGO. PO przybyciu Edwina Davisa jednostka sił specjalnych szybko objęła kontrolę nad posiadłością i bez walki rozbroiła czterech pozostałych żołnierzy Zowastiny. Prezydent Daniels zgodził się na tę interwencję, a Davis nie spodziewał się żadnego oficjalnego sprzeciwu ze strony Federacji.

Zowastina nie żyje. Nadeszły nowe czasy.

Po zabezpieczeniu terenu posiadłości, gdy góry zaczynały już pogrążyć się w wieczornym mroku, wszyscy wspięli się do jaskini i zanurkowali w płowe oko. Nawet Thorvaldsen, który koniecznie chciał zobaczyć grób. Malone pomagał mu przepłynąć przez tunel i okazało się, że pomimo wieku i ułomności Duńczyk jest zaskakująco sprawnym pływakiem.

Zabrali ze sobą latarki i dodatkowe oświetlenie z apaczy. Cały grobowiec jaśniał. Malone w zdumieniu przyglądał się barwom szklawionych mozaik, ich błękitom, żółciom, pomarańczom i czerniom, które po dwóch tysiącleciach wciąż zachowały intensywność.

Ely patrzył na motyw trzech lwów kunsztownie ułożony z kolorowych płytek.

- Podobne wzory widniały na ścianach drogi procesyjnej w starożytnym Babilonie. Mamy fragmenty. Ale tutaj wszystko zachowało się w idealnym stanie.

Edwin Davis też z nimi przypłynął. On również chciał zobaczyć to, czego tak bardzo pragnęła Zowastina. Malone czuł się lepiej, wiedząc, że drugiej strony sadzawki pilnuje sierżant i trzech amerykańskich żołnierzy wyposażonych w karabiny M-4. Wraz ze Stephanie złożyli Davisowi raport z tego, co się wydarzyło, a on sam nie był już tak negatywnie nastawiony wobec zastępcy doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego,



zwłaszcza że ten przewidział potrzebę zapewnienia im wsparcia i gotów był wyruszyć w każdej chwili.

Ely stał obok dwóch sarkofagów. Na boku jednego z nich wygrawerowano jedno słowo. ΑΛΕΞΑΝΔΡΟΣ

Zdrugiej strony widniały kolejne litery.

ΑΙΕΝ ΑΡΙΣΤΕΥΕΙΝ ΚΑΙ  
ΥΠΕΙΡΟΧΟΝ ΕΜΜΕΝΑΙ ΑΛΛΩΝ

- To grób Aleksandra - powiedział Ely. - Ta dłuższa inskrypcja to cytat z *Iliady*: „Zawsze być najlepszym i wybijać się ponad innych”. Tak Homer wyraził ideał bohatera. Aleksander pragnął żyć zgodnie z tą zasadą. Zowastina też uwielbiała ten cytat. Wielokrotnie go powtarzała. Ci, którzy go tu pochowali, wybrali mu odpowiednie epitafium.

Ely wskazał na drugi sarkofag, którego inskrypcja była krótsza.

ΗΦΑΙΣΤΙΩΝ  
ΦΙΛΟΣ ΑΛΕΞΑΝΔΡΟΥ

- Hefajstion. Przyjaciół Aleksandra. Słowo kochanek nie oddałoby pełni ich związku. Nazwanie kogoś „przyjacielem” było najwyższym komplementem dla Greków, zarezerwowanym tylko dla najbliższych osób.

Malone dostrzegł, że z wizerunku konia na grobie Aleksandra starto kurz.

- Zowastina to zrobiła, gdy tu byliśmy - powiedział Viktor. - Zauroczył ją ten wizerunek.

- To Bucefał - powiedział Ely. - Na pewno. Koń Aleksandra. Uwielbiał go. Rumak zginął podczas kampanii w Azji i został pochowany gdzieś w górach niedaleko stąd.

- Zowastina tak samo nazwała swojego ulubionego wierzchowca - zauważył Viktor.

Malone rozejrzał się po pomieszczeniu. Ely pokazał im rytualne czary, srebrny pojemnik na perfumy, róg w kształcie głowy jelenia, a nawet pozłacane nagolenniki z brązu z

resztkami skóry, które kiedyś chroniły łydki wojownika.

- To zachwycające - powiedziała Stephanie.

Malone był tego samego zdania.

Cassiopeia stała obok sarkofagu, którego pokrywa została przesunięta.

- Zowastina zerknęła do środka - wyjaśnił Viktor.

Oświecili latarkami leżące w środku szczątki.

- To niezwykle, że nie ma kartonazu - powiedział Ely. - Ale może zabrakło im czasu albo umiejętności, żeby go zrobić.

Od szyi po stopy ciało okrywały arkusze złota wielkości kartki papieru, wiele z nich leżało porozrzucanych luzem w trumnie. Prawe ramię było zgięte w łokciu, a przedramię leżało na brzuchu. Lewa ręka była wyprostowana, a przedramię odłączone od ramienia. Większość ciała spowijały mocno zaciśnięte bandaże, a na częściowo odsłoniętej klatce piersiowej spoczywały trzy złote dyski.



- Macedońska gwiazda - powiedział Ely. - Godło Aleksandra. Wspaniałe egzemplarze. Piękne.

- Jak oni to wszystko tutaj wnieśli? - zapytała Stephanie. - Przecież to wielkie sarkofagi.

Ely objął gestem komorę.

- Dwadzieścia trzy wieki temu topografia tej okolicy z pewnością wyglądała inaczej. Założę się, że prowadziło tu wtedy jakieś inne wejście. Może poziom wody w zbiornikach był niższy, a tunel nie znajdował się pod wodą i był łatwiej dostępny? Kto wie?

- Ale te litery w sadzawkach - zwrócił uwagę Malone. - Skąd one się tam wzięły? Na pewno nie wykonali ich ci, którzy urządzili ten grobowiec. To wyraźny sygnał, który zwraca uwagę.

- Przypuszczam, że zrobił to Ptolemeusz. To element jego zagadki. Dwie greckie litery na dnie dwu ciemnych sadzawek. Na swój sposób oznaczył teren.

Twarz Aleksandra przykrywała złota maska. Nikt jej jeszcze nie dotknął. W końcu Malone powiedział:

- Może ty, Ely? Sprawdźmy, jak wyglądał król świata.

Dostrzegł zachwyty w oczach młodszego mężczyzny. Do tej pory badał postać Aleksandra Wielkiego, dowiadywał się wszystkiego, co było możliwe, na podstawie skąpych przekazów, którym udało się przetrwać. A teraz miał być pierwszym człowiekiem od dwóch tysięcy lat, który go dotknie.

Ely powoli zdjął maskę.

Resztki wyschniętej kruszej skóry miały ciemną barwę. Śmierć wpasowała się w oblicze Aleksandra, jego półprzymknięte oczy wydawały się zerkać z ciekawością. Usta były otwarte, jakby do krzyku. Czas wszystko unieruchomił. Głowa pozbawiona była włosów oraz mózgu, który przecież w największym stopniu przyczynił się do sukcesów Aleksandra.

Wszyscy w milczeniu wpatrywali się w szczątki leżące w sarkofagu.

W końcu Cassiopeia poświeciła latarką na drugą stronę komory, a snop światła minął wizerunek jeźdźca ubranego tylko w długi płaszcz przewieszony przez jedno ramię i spoczął na intrygującym popiersiu z brązu. Podłużna mocna twarz wyrażała pewność siebie, a zwężone oczy wpatrywały się w dal. Półdługie, lekko kręcone włosy opadały z czoła w klasycznym stylu. Głowa była uniesiona wysoko, mężczyzna swym wyglądem i postawą potwierdzał, że sprawuje kontrolę nad swoim światem.

Aleksander Wielki.

Wizerunek jakże odmienny od tego w sarkofagu.

- Na wszystkich popiersiach Aleksandra, jakie widziałem - powiedział Ely - jego usta, brwi i włosy zwykle były dorobione z gipsu. Niewielu rzeźbom udało się przetrwać do dzisiaj. Ale tu mamy wizerunek z jego czasów w doskonałym stanie.

- A tu on sam - dodał Malone - we własnej osobie.

Cassiopeia podeszła do sąsiedniego sarkofagu i z wysiłkiem odsunęła pokrywę tak, by mogli zajrzeć do środka. Kolejna mumia, podobnie ułożona, tylko tym razem złoto pokrywało jedynie jej twarz.

- Aleksander i Hefajstion - powiedział Thorvaldsen. - Spoczywali tu w spokoju przez tyle wieków.

- Zostaną tutaj? - zapytał Malone.

Ely wzruszył ramionami.

- To odkrycie archeologiczne niezwyklej wagi. Szkoda byłoby z niego nie skorzystać.

Malone spostrzegł, że uwagę Viktora przyciągnęła złota skrzynia stojąca blisko ściany. Skałę powyżej pokrywała płatanina płaskorzeźb przedstawiających bitwy, rydwany, konie i wojowników z mieczami. Na pokrywie skrzyni widniała macedońska gwiazda. Jej środek zdobiły rozety z płatkami z błękitnego szkła. Podobne rozety umieszczone były na pasie biegnącym wokół skrzyni. Viktor chwycił skrzynię z obu stron i zanim Ely zdążył go powstrzymać, podniósł pokrywę.

Edwin Davis oświetlił jej wnętrze latarką.

Ujrzeni złoty wieniec z dębowych liści i żółdzi wykonany z niezwykle dbałością o szczegóły.

- Królewska korona - powiedział Ely.

Viktor uśmiechnął się ironicznie.

- Tego właśnie pragnęła Zowastina. To miała być jej korona. Wszystko potrafiła wykorzystać na swoją chwałę.

Malone wzruszył ramionami.

- Co za szkoda, że jej śmigłowiec się rozbił.

Stali tak w tej komorze, ociekając wodą, ale wierzyli, że ciężka próba już za nimi. Reszta dotyczyła polityki, a ta Malone'a nie interesowała.

- Viktorze - powiedziała Stephanie. - Jeśli kiedykolwiek zmęczy cię status wolnego Strzelca i zaczniesz rozglądać się za stałą pracą, daj mi znać.

- Będę pamiętał.

- Kiedy się tu wcześniej biliśmy, dałeś mi fory, prawda? - zapytał Malone.

Viktor skinął głową.

- Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli się stąd wydostaniecie, więc dałem ci szansę. Nie tak łatwo mnie pokonać, Malone.

Malone uśmiechnął się.

- Będę pamiętał. - Wskazał na sarkofagi. - A co z nimi?

- Czekali tu bardzo długo - odpowiedział Ely. - Mogą jeszcze trochę poczekać. W tej chwili musimy zająć się czymś innym.



CASSIOPEIA JAKO OSTATNIA WYSZŁA Z PŁOWEJ SADZAWKI W PIERW-szej komorze.

- Lyndsey powiedział, że można wypić wodę z bakteriami z zielonej sadzawki - powiedział Ely. - Nam na pewno nie zaszkodzą, a zniszczą HIV.

- Nie wiemy, czy to prawda - powiedziała Stephanie.

Jednakże Ely sprawiał wrażenie przekonanego.

- Myślę, że tak. Jego życie było zagrożone. Wykorzystał wszystko, by uratować swoją skórę.

- Mamy pamięć - powiedział Thorvaldsen. - Postaram się, żeby najlepsi naukowcy świata udzielili nam odpowiedzi w jak najkrótszym czasie.

Ely potrząsnął głową.

- Aleksander Wielki nie dysponował pomocą naukowców. Ufał otaczającemu go światu.

Cassiopeii imponowała jego odwaga. Zaraziła się wirusem ponad dziesięć lat temu i od tamtej pory cały czas zastanawiała się, kiedy pojawią się pierwsze objawy choroby. Wiedza o tym, że w jej ciele tyka bomba, i czekanie na dzień, w którym jej system odpornościowy w końcu zawiedzie, zmieniły jej życie. Wiedziała, że Ely'ego dręczy ten sam niepokój i że chwyta się każdej nadziei. A przecież należeli do szczęśliwców, których stać było na leki, które hamowały namnażanie się wirusa. W przeciwieństwie do milionów innych zarażonych.

Wpatrywała się w brunatną sadzawkę, w widniejącą na jej dnie grecką literę Z: „Eumenes wyjawił mi miejsce spoczynku Aleksandra, które znajdowało się daleko w górach, tam gdzie Scytowie podzielili się z Aleksandrem swoją wiedzą o życiu”. Cassiopeia podeszła do zielonkawej sadzawki i przyjrzała się literze H.

Życie.

Cóż za piękna obietnica.

Ely chwycił ją za dłoń.

- Gotowa?

Skinęła głową.

Oboje przyklęknęli i napili się wody.

## DZIEWIĘCDZIESIĄT PIĘĆ

**KOPENHAGA,  
SOBOTA 6 CZERWCA,  
GODZINA 19.45**

MALONE SIEDZIAŁ NA PIĘTRZE CAFÉ NORDEN I JADŁ ZUPĘ Z HOMARA. Wciąż była najlepsza. Po drugiej stronie stolika siedział Henrik Thorvaldsen. Okna na piętrze restauracji były szeroko otwarte, więc wszystkimi zmysłami odczuwali cudowny późnowiosenny wieczór. O tej porze roku pogoda w Kopenhadze była bliska ideału, jeden z licznych powodów, dla których odpowiadało mu mieszkanie właśnie tutaj.

- Dostałem dzisiaj wiadomość od Ely'ego - powiedział Thorvaldsen.

Malone zastanawiał się, jak potoczyły się sprawy w Azji Środkowej. Wrócili do domu sześć tygodni temu, a on rzucił się w wir pracy w antykwariacie. Tak właśnie funkcjonowali agenci tacy jak on. Po wykonanym zadaniu wracali do swoich spraw. Żadnych analiz, raportów i omówień. Ten ciężar spoczywał na barkach innych.

- Ely prowadzi badania archeologiczne grobu Aleksandra. Nowy rząd Federacji współpracuje w tej sprawie z Grekami.

Malone wiedział, że Ely dzięki wstawiennictwu Thorvaldsena objął posadę w Muzeum Archeologicznym w Atenach. Oczywiście to, że znał lokalizację grobu Aleksandra Wielkiego, sprzyjało jego kandydaturze.

Miejsce Zowastiny zajął umiarkowany wicepremier, który zgodnie z konstytucją Federacji objął władzę do momentu przeprowadzenia wyborów. Waszyngton po cichu zadbał o to, by wszystkie zapasy broni biologicznej w Federacji zostały zniszczone, a Samarkandzie postawiono ultimatum. Albo

będzie współpracować, albo sąsiedzi Federacji dowiedzą się o planach Zowastiny i jej generałów i nikt jej przed nimi nie obroni. Na szczęście przeważyła opcja umiarkowana i Stany Zjednoczone mogły wysłać specjalny zespół do nadzorowania procesu niszczenia zarazków. Oczywiście ich wykorzystanie i tak nie miałoby sensu, skoro Zachód dysponował antidotum. Federacja mogła rozpocząć ludobójstwo, ale nie byłaby w stanie go potem powstrzymać. Nielatwy sojusz między Zowastiną a Vincentim zastąpił teraz układ dwóch niedarzących się zaufaniem krajów.

- Ely ma pełną kontrolę nad grobem i spokojnie sobie nad nim pracuje - dodał Thorvaldsen. - Twierdzi, że wiele rozdziałów historii trzeba będzie napisać od nowa. W grobowcu jest mnóstwo inskrypcji, dzieł sztuki, a nawet kilka map. To niesamowite znalezisko.

- A jak się mają Edwin Davis i Danny Daniels? - zapytał Malone.

- Są zadowoleni?

Thorvaldsen uśmiechnął się.

- Rozmawiałem z Edwinem kilka dni temu, Daniels jest wdzięczny za wszystko, co zrobiliśmy. Najbardziej spodobało mu się to, że Cassiopeia wysadziła tamten śmigłowiec. Mało współczujący człowiek. Twardziel.

- Cieszę się, że kolejny raz mogliśmy pomóc prezydentowi. - Malone zawahał się. - A co z Ligą Wenecką?

Thorvaldsen wzruszył ramionami.

- Zapadli się pod ziemię. Niczego nie można im było udowodnić.

- Poza zamordowaniem Naomi Johns.

- Vincenti ją zamordował. I zapłacił za to.

To była prawda.

- Wiesz, byłoby miło, gdyby następnym razem prezydent Daniels po prostu poprosił mnie o pomoc.

- Nie ma takiej możliwości.

- To tak jak z tobą?

Przyjaciel Malone'a skinął głową.

- Tak jak ze mną.



Malone skończył zupę i spojrzał na dół na Hojbro Plads. Plac wypełniony był ludźmi, którzy korzystali z ciepłego wieczoru, prawdziwej rzadkości w Kopenhadze. Antykwariat Malone'a po drugiej stronie placu był zamknięty. Interesy szły mu ostatnio doskonale i planował w przyszłym tygodniu wyjazd po nowe nabytki do Londynu, zanim Gary przyjedzie z coroczną wakacyjną wizytą. Nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy swojego piętnastoletniego syna.

Ale zadowoleniu Malone'a towarzyszyła pewna melancholia. Było tak od powrotu do domu. Co najmniej raz w tygodniu jadł kolację z Ihor-valdsenem, ale do tej pory nie rozmawiali o tym, co go trapi. Niektórych tematów lepiej nie poruszać.

Chyba że ma się na to ochotę.

- A jak się miewa Cassiopeia? - zapytał w końcu.

- Zastanawiałem się, kiedy o to zapytasz.

- To ty mnie w to wszystko wciągnąłeś.

- Powiedziałem ci tylko, że ona potrzebuje pomocy.

- Chciałbym wiedzieć, czy ona pomogłaby mi w razie potrzeby.

- Pomogłaby. Ale odpowiadając na twoje pytanie, i ona, i Ely pozbyli się wirusa. Edwin powiedział mi też, że naukowcy sprawdzili już skuteczność tych bakterii. Daniels wkrótce ogłosi odkrycie leku, a amerykański rząd będzie kontrolować jego dystrybucję. Prezydent zarządził, że ma być dostępny po minimalnych kosztach.

- To wpłynie na los milionów ludzi.

- Dzięki tobie. Rozwiązałeś zagadkę i znalazłeś grobowiec.

Malone nie miał ochoty tego słuchać.

- Wszyscy wykonywaliśmy swoją pracę. A tak przy okazji, słyszałem, że świetnie radzisz sobie z bronią. Stephanie mówiła, że niezłe poszalałeś z automatem w domu Vincentiego.

- Trochę się na tym znam.

Thorvaldsen opowiedział mu o Stephanie i strzelaniu przy chacie. Rozmawiał z nią o tym przed powrotem z Azji, a w zeszłym tygodniu ponownie się spotkali.

- Stephanie zaczyna sobie uświadamiać, jak trudna jest praca w terenie - powiedział Malone.

- Rozmawiałem z nią kilka dni temu.

- Zaprzyjaźniliście się?

Duńczyk uśmiechnął się.

- Jesteśmy do siebie podobni, choć żadne nie przyzna się do tego przed drugim.

- Zabijanie nigdy nie jest łatwe. Bez względu na powód.

- W domu Vincentiego zabiłem trzech ludzi. Masz rację. To nigdy nie jest łatwe.

Malone wciąż nie uzyskał odpowiedzi na swoje pytanie, ale Thorvaldsen wyczuł, czego tak naprawdę chce się dowiedzieć.

- Nie kontaktowałem się z Cassiopeią zbyt często, odkąd wróciliśmy z Federacji. Pojechała do domu do Francji. Nie wiem, co u niej i Ely'ego, co u nich obojga. Ona nie jest zbyt wylewna. - Thorvaldsen potrząsnął głową. - Sam ją będziesz musiał zapytać.

Malone postanowił się przespacerować. Lubił włóczyć się po Stroget, kopenhaskim deptaku. Zapytał Thorvaldsena, czy się do niego przyłączy, ale ten odmówił.

Malone wstał od stolika.

Thorvaldsen rzucił przez stół jakieś złożone wpół papiery.

- To akt własności działki przy zatoce, na której stał ten dom, co spłonął. Mnie jest niepotrzebna.

Malone rozwinął dokumenty i dostrzegł swoje nazwisko jako cesjo-nariusza.

- Chcę ci ją podarować.

- Ale ta działka jest bardzo cenna. Leży nad samym brzegiem morza. Nie mogę jej przyjąć.

- Odbuduj dom. Ciesz się tą posiadłością. Możesz uznać, że to rekompensata za to, że cię w to wszystko wciągnąłem.

- Przecież wiedziałeś, że wam pomogę.

- W ten sposób uspokoisz resztki mojego sumienia.

Po dwóch latach znajomości Malone wiedział, że jeśli Henrik Thorvaldsen coś postanowił, to koniec. Wcisnął więc akt własności do kieszeni i zszedł po schodach.

Przez główne drzwi restauracji wkroczył w ciepły duński wieczór. Wokół rozlegały się rozmowy ludzi siedzących przy stolikach wokół kawiarni.

- Cześć, Cotton.

Odwrócił się.

Przy jednym ze stolików siedziała Cassiopeia Vitt.

Wstała i ruszyła w jego kierunku.

Miała na sobie granatową płócienną marynarkę i takie same spodnie. Z ramienia zwisała jej skórzana torebka, a stopy zdobiły rzymskie sandały.

Ciemne włosy opadały w grubych splotach. Wciąż pamiętał jej widok na tamtej górze, gdy razem przepływali przez tunel. Obcisłe skórzane spodnie i sportowy biustonosz. I te kilka minut, gdy oboje rozebrali się do bielizny.

- Co ty tu robisz? - zapytał.

Wzruszyła ramionami.

- Zawsze mi mówiłeś, że w tej restauracji podają wyśmienite dania, więc przyleciałam zjeść tu obiad.

Uśmiechnął się.

- Nadłożyłaś drogi.

- Wiesz, jak ktoś nie umie gotować...

- Słyszałem, że jesteś zdrowa. Ciesz się.

- Spora ulga, trzeba przyznać. Nie muszę się zastanawiać, czy dziś jest ten dzień, w którym zacznę umierać.

Przypomniał sobie jej zatroskanie tamtej pierwszej nocy w Kopenhadze, gdy pomogła mu wydostać się z Muzeum Kultury Greków i Rzymian. Teraz po tamtym smutku nie pozostał nawet ślad.

- A ty dokąd się wybierasz? - zapytała.

Popatrzył na drugą stronę placu.

- Tylko na spacer.

- Potrzebujesz towarzystwa?

Zerknął z powrotem na piętro restauracji i stolik przy oknie, przy którym siedział razem z Thorvaldsenem. Henrik wyglądał przez okno i uśmiechał się. Powinien był się domyślić.

Odwrócił się do Cassiopei i zapytał:

- Czy wy dwoje zawsze coś kombinujecie?

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

A co tam.

- Pewnie, że potrzebuję towarzystwa.

Wzięła go pod ramię i poprowadziła.

Musiał o to zapytać.

- A ty i Ely? Myślałem, że...

- Malone.

Wiedział, co chce powiedzieć, więc oszczędził jej kłopotu.

- Wiem. Chodźmy i nic już nie mów.

## OD AUTORA

### PORA ODDZIELIĆ FAKTY OD FIKCJI.

W czasach Aleksandra Wielkiego stosowano sposób egzekucji opisany w prologu. Lekarz, który zajmował się Hefajstionem, został na rozkaz Aleksandra zabity, ale nie w opisany przeze mnie sposób. Większość zapisów historycznych wspomina o powieszeniu.

Aleksandra i Hefajstiona łączyły skomplikowane relacje. Hefajstion był i jego przyjacielem, i zausznikiem, i kochankiem. Rozpacz Aleksandra po nieoczekiwanej śmierci Hefajstiona jest dobrze udokumentowana, podobnie jak jego wystawny pogrzeb, który prawdopodobnie należał do najkosztowniejszych w historii. Oczywiście zabalsamowanie i wykradzenie ciała Hefajstiona (rozdział 24) to fikcja.

Grecki ogień (rozdział 5) istnieje naprawdę. I faktycznie bizantyjscy cesarze osobiście strzegli przepisu jego produkcji, który zaginął wraz z upadkiem cesarstwa. Skład chemiczny greckiego ognia do dziś pozostaje tajemnicą. Jeśli chodzi o gaszenie go słoną wodą, to już moja własna inwencja. W rzeczywistości greckiego ognia często używano w bitwach na morzu.

*Buzkaszi* (rozdział 7) to starożytna brutalna gra, która do dziś rozgrywana jest w Azji Środkowej. Opis zasad, strojów i wyposażenia graczy jest zgodny z rzeczywistością, podobnie jak wzmianka o częstych wypadkach śmiertelnych.

Federacja Środkowoazjatycka to twór fikcyjny, jednakże szczegóły dotyczące polityki i gospodarki tego regionu zamieszczone w rozdziale 27 są prawdziwe. Niestety, rejon ten zawsze stanowił dogodny pole bitwy, a rządy poszczególnych krajów wciąż nęka korupcja.

O niezwykłych monetach ze słońcem dowiedziałem się z

książki Franka Holta pt. *Alexander the Great and the Mystery of the Elephant Medallions*. W mojej książce ich liczbę ograniczyłem do ośmiu, choć jest ich o wiele więcej. Opis zamieszczony w rozdziałach 8 i 9 jest wierny, poza mikroskopijnymi literami ZH, które są moim dodatkiem. Co zdumiewające, starożytni grawerzy dzięki prymitywnym soczewkom rzeczywiście byli w stanie wykonywać tak drobne grawerunki.

Jeśli chodzi o litery ZH, dosłowne tłumaczenie tego słowa ze starożytnej greki to czasownik „żyć”. Rzeczownik „życie” ma postać ΣΦΠ. Dla dobra powieści pozwoliłem sobie na dowolność w tłumaczeniu. Jeśli chodzi o wzmianki o języku greckim, w całej powieści stosowałem określenie „język starogrecki”, choć używa się także określenia „greka starożytna”.

Święty Zastęp chroniący Irinę Zowastinę (rozdział 12) to zapożyczenie od najwaleczniejszego oddziału zbrojnego starożytnej Grecji. Składał się on ze stu pięćdziesięciu par wojowniczych tebańczyków, których co do jednego wybili Filip II i jego syn Aleksander w roku 338 p.n.e. W Cheronei wciąż stoi poświęcony ich odwadze pomnik.

Lecznicza mikstura, która przewija się przez całą powieść, jest tworem fikcyjnym, podobnie jak opis jej odkrycia zawarty w rozdziale 14. Natomiast archeowce (rozdział 62) istnieją naprawdę. Faktem jest również to, że niektóre bakterie i wirusy pożerają inne. Takie zachowanie u archeowców to już jednak wytwór mojej fantazji.

Jeśli chodzi o Wenecję, opisy miejsc są autentyczne. Wnętrze Bazyliki św. Marka jest olśniewające, a grób świętego (rozdział 42) i jego historia zostały opisane zgodnie z prawdą. Na wyspie Torcello rzeczywiście znajduje się muzeum, dwa kościoły, dzwonnica i restauracja. Geografia wyspy i jej historia (rozdział 34) zostały opisane zgodnie z prawdą. Liga Wenecka nie istnieje, choć Republika Wenecka w swej wielowiekowej historii zawierała okresowe sojusze z innymi miastami-państwami, które nazywano ligami.

Fluorescencja rentgenowska (rozdział 11) to przełomowe

odkrycie naukowe, które od niedawna wykorzystywane jest do badania starożytnych pergaminów. Mam dług wdzięczności wobec Christophera Reicha, utalentowanego pisarza, który był uprzejmy przesłać mi artykuł na ten temat.

Historia Hieronima z Kardii (rozdział 24) jest fikcją literacką, podobnie jak zagadka Ptolemeusza, choć wszystkie działania Ptolemeusza związane z konduktem pogrzebowym Aleksandra oraz jego panowanie w Egipcie są taktami. Przywłaszczenie przechowywanych w Aleksandrii szczątków świętego Marka przez weneckich kupców w roku osiemset dwudziestym ósmym n.e. (rozdziały 29 i 45) odbyło się tak, jak to opisałem, a ciało świętego faktycznie zniknęło potem w Wenecji na długie lata. Wenecjanie do dziś z dumą opowiadają o jego ponownym pojawieniu się w roku 1094 (rozdział 45).

Zoonozy, czyli choroby odzwierzęce (rozdział 31), istnieją naprawdę i często niszczą ludzkie zdrowie. Poszukiwanie niebezpiecznych zarazków oraz ich modyfikacja w celu wykorzystania militarnego (rozdział 54) to żadna nowość. Ludzkość bawi się bronią biologiczną od wieków, a fikcyjna postać Iriny Zowastiny to tylko jeden z przykładów.

Statystyki zawarte w rozdziale 32 przedstawiają narastający problem zakażeń wirusem HIV. Wirus ten faktycznie najszybciej rozprzestrzenił się w Afryce i Azji Południowo-Wschodniej. Biologia wirusa HIV opisana w rozdziale 51 oraz prawdopodobny sposób jego przejścia z małp na ludzi (rozdział 60) są zgodne z wiedzą medyczną. Koncepcja odkrycia przez kogoś leku przeciwko HIV, a potem utrzymywania tego w tajemnicy, by zdążył ukształtować się odpowiednio duży rynek (rozdział 64), to fikcja, natomiast polityczne aspekty tego problemu oraz niedostateczna reakcja świata na grożącą nam pandemię są jak najbardziej prawdziwe.

Wyspa Odrodzenia to autentyczne miejsce, w którym Związek Radziecki produkował wiele rodzajów broni biologicznej. Porzucenie instalacji faktycznie spowodowało poważne problemy (rozdział 33). Wysychanie jeziora Aralskiego (rozdział 33), do którego doprowadziły obłądne radzieckie machinacje przy jego głównym dopływie, powszechnie uważa

się za jedną z największych katastrof ekologicznych w historii. Niestety, w rzeczywistości nie udało się znaleźć skutecznego rozwiązania tego problemu.

Historia zna amulety kładzione na sercu mumii (rozdział 59), lecz pomysł umieszczenia w takim amulecie złotej folii to już fikcja literacka. Sky-tale (rozdział 61) faktycznie były wykorzystywane w czasach Aleksandra Wielkiego do przesyłania zaszyfrowanych wiadomości. Jeden egzemplarz wystawiony jest w Międzynarodowym Muzeum Szpiegostwa w Waszyngtonie, a ja nie potrafiłem oprzeć się chęci uwzględnienia tego wynalazku w mojej powieści. Scytowie (rozdział 75) istnieli naprawdę, ich historię przedstawiłem zgodnie z wiedzą naukową, choć nie ma żadnych wskazówek, by chowali swoich władców w innych miejscach niż kurhany.

A teraz przejdźmy do Aleksandra Wielkiego.

Opis jego śmierci (rozdział 8) to kompilacja kilku relacji historycznych. Trzy wersje odpowiedzi Aleksandra na pytanie: „Komu przekazujesz swe królestwo?” to mój własny pomysł. Ogólnie przyjmuje się, że odpowiedź brzmiała: „Najsilniejszemu”, lecz do mojej powieści pasowało coś innego. Historycy od dawna głowią się nad śmiercią Aleksandra, jej nagłością i tajemniczością, wielu sugeruje morderstwo (rozdział 14), lecz nie ma na to żadnych dowodów.

Zabalsamowanie ciała Aleksandra miodem, perypetie jego konduktu pogrzebowego oraz grobowiec w Aleksandrii w Egipcie pochodzą z relacji historycznych. Koncepcja, że szczątki świętego Marka w Wenecji mogą tak naprawdę być szczątkami Aleksandra Wielkiego, to też nie mój pomysł. Hipotezę tę przedstawił Andrew Michael Chugg w świetnej książce pt. *The Lost Tomb of Alexander the Great*. Faktem jest natomiast to, że pierwsi chrześcijanie bardzo często przywłaszczali sobie pogańskie relikwie (rozdział 74), a ciało Aleksandra Wielkiego rzeczywiście zniknęło z Aleksandrii mniej więcej w tym samym czasie, gdy ciało świętego Marka ponownie pojawiło się w Wenecji (rozdział 45). Co więcej, wciąż trwa polityczny spór dotyczący zwrotu całości lub części szczątków złożonych w Bazylice św. Marka Egipcjowi, a



Watykan faktycznie przekazał Aleksandrii jakieś drobne relikwie w 1968 roku.

Umieszczenie grobu Aleksandra Wielkiego w Azji Środkowej to fikcja literacka, choć opis wnętrza grobowca (rozdział 94) odpowiada opisowi grobu Filipa II, ojca Aleksandra, który archeologom udało się odkryć w roku 1977. Ostatnio pojawiły się jednak wątpliwości co do tożsamości pochowanego w nim mężczyzny.

Spuścizna polityczna i historyczna Aleksandra Wielkiego to wciąż temat intensywnych dysput. Czy był on mądrym wizjonerem, czy też bezwzględny i brutalny zdobywca? Rozmowa Malone'a i Cassiopei w rozdziale 10 stanowi odzwierciedlenie tego sporu. Tematowi temu poświęcono wiele książek, ale najlepszą z nich jest *Aleksander Wielki* Petera Greena. Dogłębne studium Greena jasno pokazuje, że Aleksander całe swe życie poświęcił zdobywaniu osobistej chwały, osiągając legendarny sukces. I choć imperium, które zdobywał z takim trudem, rozpadło się tuż po jego śmierci, legenda wciąż żyje. Dowodem jego nieśmiertelności jest inspiracja, jaką wciąż stanowi dla innych. Czasami z dobrym skutkiem, a czasami z katastrofalnym (jak w przypadku Iriny Zowastiny). Dla Petera Greena Aleksander jest tajemnicą, której wielkość nie pozwala na żadną ostateczną ocenę. Aleksander to personifikacja pewnego archetypu, pełnego nieustannego niepokoju, to ucieleśnienie wiecznych poszukiwań, to osobowość, która przerasta wymiarną sumę jej imponujących dokonań.

W końcu Aleksander sam wyraził to najlepiej.

„Znój i niebezpieczeństwa to cena chwały, lecz to wspaniała rzecz, żyć z wielką odwagą i umrzeć w wieczystej chwale”.

## Z OKŁADKI

Na gruzach ZSRR powstaje nowe państwo. Byłe radzieckie republiki tworzą Federację Środkowoazjatycką, której przewodzi premier Irina Zowastina, przebiegła despotka, wielbicielka krwawego sportu i historii starożytnej Grecji. Federacji wspieranej przez Ligę Wenecką, tajemnicze i potężne stowarzyszenie, udaje się zgromadzić zatrważający arsenał broni biologicznej. Zowastina w każdej chwili może zdecydować o zdziesiątkowaniu ludności innego kraju, lecz powstrzymuje ją brak antidotum, które zapewniłoby jej bezpieczeństwo. Tajemnicy tej cudownej leczniczej mikstury strzeże starożytna zagadka. Jej rozwiązanie ukryte jest wraz ze zmumifikowanymi szczątkami Aleksandra Wielkiego.

Poszukiwania antidotum utrudni jej jednak Cotton Malone, były agent amerykańskiego Departamentu Sprawiedliwości, a obecnie antykwariusz. By rozwiązać zagadkę nie zawaha się wyruszyć w podróż na wybrzeże Danii, do zabytkowej Wenecji, a nawet w odludne góry Pamiru w Azji Środkowej. Zdaje sobie bowiem sprawę, że odkrycie tajemnicy może przynieść milionom ludzi zagładę lub ratunek, w zależności od tego, kto pierwszy odnajdzie zaginiony grób Aleksandra Wielkiego.

Były agent amerykańskiego Departamentu Sprawiedliwości Cotton Malone zostaje wciągnięty w niebezpieczną geopolityczną rozgrywkę. Rozpoczyna się pełen niebezpieczeństw wyścig z czasem, by rozwiązać zagadkę, która milionom ludzi przynieść może zagładę lub ratunek, w zależności od tego, komu pierwszemu uda się ją rozwikłać.

„Berry po raz kolejny potwierdza swój doskonały talent do wyszukiwania białych plam w historii, tych, które kuszą tajemnicą nieznanego”.

The New York Times

„Nie zabraknie strzelanin i eksplozji. Fani Berry’ego nie będą rozczarowani”.

*Publishers Weekly*

„Mnóstwo egzotycznych podróży i bohaterских wyczynów. W skrócie: schemat, który Berry opanował do perfekcji. Świetna rozrywka, lektura na wielogodzinną podróż samolotem albo ucieczkę od zimowej zawieruchy”.

Globe and Mail

 **VIRTUALO**  
Księgarnia Internetowa

**empik**

lesiojot